



GENIUSZ I SIŁA MIŁOŚCI

Magdalena Niedźwiedzka

**Maria
Sktłodowska
Curie**

Nieprzeciętna Polka, której zdarzało się iść za głosem serca wbrew konwenansom.

Film z brawurową rolą Karoliny Gruszki w kinach.

Prószyński i S-ka

Magdalena Niedzwiedzka

**Maria
Skłodowska
Curie**

Prószyński i S-ka

Copyright © Magdalena Niedźwiedzka, 2017

Projekt okładki

Agencja Interaktywna Studio Kreacji

www.studio-kreacji.pl

Zdjęcie na okładce

© 2017 www.artz.pl

Redaktor prowadzący

Anna Derengowska

Redakcja

Anna Rydzewska

Korekta

Katarzyna Kusoń

Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-8097-909-3

Warszawa 2017

Wydawca

Prószynski Media Sp. z o.o.

ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa

www.proszynski.pl

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Paryż, 28 października 1911

Deszcz za oknem przybiera na sile, spływa po szybie, doprowadzając Jeanne Langevin do szewskiej pasji. Jej wyrazista, ładna twarz o uderzająco świeżej cerze i przenikliwych ciemnych oczach zastyga w bezruchu. Kobieta jest zmęczona, nie chce jej się nawet myśleć, dlatego denerwuje ją, że nie potrafi pozbyć się z głowy uporczywego głosu, powtarzającego, iż przegrała. Nie nawykła przegrywać. Ciemne włosy, nonszalanc-ko ufryzowane nad czołem, poruszają się wraz z całą sylwetką to w prawo, to w lewo. Jeanne omiata wzrokiem neogotyckie klonowe meble, które dostała w posagu, i czuje gniew. Reaguje zbyt emocjonalnie. Nie znosi tych sprzętów, pokrytych milionem drobnych sęków i zdobionych ciemnofioletowymi palisandrowymi intarsjami. Wolałaby mieć lekkie meble Émile'a Gallégo, które widziała niegdyś na wystawie – o gwałtownych liniach i wydłużonych skrętach, jakby wyobrażały morską falę lub targany wiatrem liść łopianu. Chciałaby mieć również inne życie. Chyba jednak łatwiej zmienić umeblowanie salonu, mimo że nie dysponuje oszczędnościami, myśli ironicznie.

Jeanne ocknęła się z zadumy i niechętnie patrzy na dwóch mężczyzn siedzących po przeciwnej stronie stołu. Odchyła krótką szyję do tyłu, przez co jej twarz przybiera wyzywający wyraz. Dłonie drżą tak niezauważalnie, że wyłącznie ona wie, jak jest rozdygotana. Nie tylko ręce, cała dygocze wewnątrz, jakby dopiero skończyła intensywne ćwiczenia. Nic takiego nie miało miejsca – Jeanne Langevin nienawidzi wysiłku fizycznego, spacerów, uganiania się za czwórką dzieci, które są jedynym dorobkiem małżeństwa z Paulem, nawet chodzenia po górach, co ostatnio stało się tak modne wśród paryżan. Lubi obserwować wielki świat, zwiedzać wystawy i oglądać witryny sklepów, bywać u przyjaciółek, którym się poszczęściło.

Jeanne napotyka spojrzenie szwagra, Henriego Bourgeois, dziennikarza „Le Petit Parisien”, i przypomina sobie, że przed kilkoma minutami zapytał, dlaczego ma do nich pretensję, do nich, czyli do niego i do Juliena Coudy'ego, adwokata, siedzącego obok.

– Jestem zła, ponieważ wasze poczynania nie zdały się na nic – mówi opryskliwie. Nie musi się powstrzymywać i udawać uprzejmej, ponieważ obaj mężczyźni są od niej zależni, chociaż każdy w inny sposób. Skończył się czas, gdy bez słowa przetykała gorycz poniżenia.

– Nasze poczynania, Jeanne?! – wybucha Henri, szeroko gestykulując wypielęgowanymi dłońmi. – Zrobiliśmy to dla ciebie, *ma chère*.

– Zapewniałeś, że ją zniszczysz – syczy Jeanne, zirytowana, że Julien Coudy

przytakuje każdemu słowu jej zarozumiałego szwagra.

Jeanne Langevin, adwokat Julien Coudy i Henri Bourgeois od trzech godzin rozmawiają na temat jej rozwodu z Paulem, profesorem fizyki w Collège de France. Kobieta miota się od płaczelivej chęci zemsty po bezsilną wściekłość na męża, kiedy to ma ochotę zostawić go wraz z dziećmi, nie oglądając się na konsekwencje.

Paul Langevin nigdy nie był ideałem. Zamiast zająć się czymś intratnym, marnował najlepsze lata na bezproduktywną pracę nauczyciela, w wolnych chwilach flirtując z koleżankami żony. Jeanne wiedziała, że ją zdradza, tym razem jednak przekroczył dopuszczalne granice. Trudno było stwierdzić, czy to on uwiódł tę kobietę, czy też ona jego. Niegdyś Paul pracował ze świętej pamięci Piotrem Curie, doktoryzował się pod jego kierunkiem, przyjaźnili się, bywali u siebie, często w towarzystwie żon. Jeanne wierzyła, że Maria Curie, wdowa po Piotrze, pomoże jej ukarać Paula. Nie zrealizował żadnego z młodzieńczych marzeń pani Langevin. Ich życie miało wyglądać inaczej. Tymczasem ta dziwka Curie, do której Jeanne zwróciła się z serdeczną prośbą, by wpłynęła na jej męża, omotała Paula i próbuje go zawłaszczyć.

Henri Bourgeois się niecierpliwi. Jak każdy pismak nie potrzebuje rzetelnych informacji, potrzebni mu są ludzie, którzy się podpiszą pod jego wersją wydarzeń. Nie rozumie szwagierki i po prawdzie nie chce zgłębiać jej problemów małżeńskich. Siedzi tu za darmo, w przeciwieństwie do mecenasa Coudy'ego, i nie widzi powodu, by marnować kolejne trzy godziny.

– Madame Curie nie przyjęto do akademii nauk – przypomina. – Czego jeszcze chcesz? Najwyraźniej nie wiesz, że była o włos od tego zaszczytu.

Dziennikarz mówi *madame Curie*, mimo że za każdym razem, gdy to robi, Jeanne przypomina, by nie używał określenia, którego złodziejka cudzych mężów nie jest godna.

– Co mnie to obchodzi, Henri? – pyta z obrzydzeniem, wydymając pełne wargi.

Za oknem słyhać przejeżdżający tramwaj. Po chwili hałas cichnie, stukot kół zamiera. Mrok wokół się zagęszcza, jest niemal namacalny.

– Ta dziwka Curie – kontynuuje Jeanne z odrazą – rozbija się po świecie w glorii i chwale. Jest z nim w Brukseli i, jak znam życie, wszyscy jej tam czapkują. – Ostatnie słowa wypowiada tak szybko, że połyka końcówki. Palce wślizgują się we włosy, do reszty burząc niesforną fryzurę.

Mecenas Coudy odwraca wzrok. Nawykł do emocji klientów. Wie, że jeśli chce zarobić, musi pozwolić im się wygadać.

– Wybacz, że jej nie zastrzeliłem, Jeanne – rzuca cierpko Henri.

Jego ostrzyżone na jeża włosy wydają się jeszcze krótsze przez kompletnie białe końce. Posiwał mimo młodego wieku. Ma na sobie elegancką marynarkę,

wystarczająco luźną, by nie krępowała ruchów, a pod nią śnieżnobiałą koszulę. W tym jednym jest podobny do Paula Langevina, męża Jeanne – wygląda szykownie. Poza nienagannym ubiorem wszystko ich jednak różni. Henri jest niski, krępy i przeciętnej urody.

Deszcz tak ostro zacina w okna salonu, że wszyscy troje mimo woli patrzą na drżące pod uderzeniami wiatru mokre szyby.

– Zastanówmy się nad pani sytuacją bez emocji, proszę – zwraca się do Jeanne mecenas Coudy. – Pan Bourgeois ma rację. Gdyby nie nasze anonimy wysłane do kilku członków akademii, madame Curie zostałyby zapewne pierwszą kobietą w tym szacownym gronie.

– Nie *madame*, panie Coudy, tylko nie *madame*. Jest zwykłą zdzirą, która próbuje mi odebrać męża. – Jeanne nie może ścierpieć, że obaj mężczyźni wyrażają szacunek dla Marii Curie, mimo tego, co o niej powiedziała, a zdradziła rzeczy straszne. Denerwuje ją łagodny głos adwokata.

– Pani Langevin, zostawmy emocje i rozważmy pani sytuację. – Julien Coudy po raz pierwszy okazuje irytację, bo powtarzanie się to strata czasu.

Jest chudym, wysokim, dobrze ubranym mężczyzną, jak przystało na człowieka sukcesu, którym wkrótce będzie. Na jego wargach bezustannie błąka się cyniczny uśmieszek, dlatego Jeanne źle się czuje w jego towarzystwie. Wie, że mężczyzna ma ją za idiotkę.

– Chcę się na niej zemścić – mówi otwarcie. Owijanie w bawełnę nie leży w jej naturze. Nawykła do posłuchu, nie odpowiada jej więc towarzystwo dwóch zarozumiałych, elokwentnych mężczyzn.

– A co z mężem? – pyta wprost Coudy. – Może go pani przecież stracić.

– Paul jest tchórzem. Nie ośmieli się mnie zostawić.

Mecenas opiera się o wygodne krzesło, rezygnując z uświadomienia klientce, jakie są złe strony jej decyzji.

– Założmy, że masz rację, kochana – wtrąca się szwagier -Jeanne.

– Mam rację. Znam go jak zły szeląg – kobieta wchodzi mu w słowo.

Dziennikarz pochyla się w jej stronę, nie kryjąc niechęci.

– Zrozum, *chère*... świat się zmienia – mówi. – Jestem po twojej stronie, ale to madame Curie ma przewagę.

– Wychowuję jego dzieci.

– I będziesz je wychowywać, kiedy cię zostawi – ucina Henri, zły, że szwagierka nie rozumie swego położenia.

Jest bezbronna. Ze względu na dzieci sąd nakaże Paulowi płacić alimenty, nic ponadto. Jeanne jest nikim. Ludzie nie zechcą nawet o niej czytać. Co innego madame Curie. Artykuły o kimś takim zawsze dobrze się sprzedają.

– Zabiję ją – stwierdza rozbrajająco Jeanne.

Mężczyźni jak na komendę wzdychają. Wiedzą, że to tylko wyraz jej

frustracji.

– Przestań pleść bzdury – rzuca Henri beznamiętnie.

Co chwilę zwilża końcem języka spierzchnięte wargi. Ma wrażenie, że trawi go gorączka. Wciąż myśli o swojej niepewnej sytuacji zawodowej. Jego pozycja w gazecie ostatnio stała się słabsza. Tematy, które proponuje, nie podobają się szefowi.

Dłoń dziennikarza bezradnie opada na kolano, palce zaciskają się na nim aż do bólu. Wstałby i poszedł do którejś z knajp, zamiast słuchać tej idiotki, ale żona nakazała mu rozwiązać problem siostry. Dodała chyba *biednej Jeanne*, co go naprawdę setnie ubawiło. Szwagierka jest apodyktyczną, silną kobietą. Gdyby nosiła spodnie, strach byłoby czegokolwiek jej odmówić.

– Chce pani skandalu? – pyta Julien Coudy. Jest ożywiony, czym zaskakuje rozmówców. Dotąd odzywał się półgłosem i nie wykazywał cienia zainteresowania tematem, a oto nagle oczy mu rozbłysły, dłonie zaczęły mieszać powietrze, pochylił się do przodu. – Można nagłośnić sprawę ich romansu – wyjaśnia. – Tyle że nikt nie przewidzi, jak się sprawy potoczą. Część błota z oczywistych względów spadnie na panią.

– Mam to gdzieś! – krzyczy Jeanne, wyraźnie sprawiając tym mecenasowi przyjemność.

Julien Coudy patrzy w oczy Henriego Bourgeois. Widać, że się rozumieją i że cieszą się z czegoś obrzydliwego, co im właśnie przyszło na myśl.

– Zaatakuję ją na łamach gazety – zaczyna Henri, dochodząc do wniosku, że wprawdzie skompromituje szwagierkę, ale szef „Le Petit Parisien” będzie więcej niż rad. – Napiszemy, że twój mąż uciekł z kochanką.

– Nie z kochanką, tylko z Marie Curie. – Jeanne nie ukrywa zadowolenia. Poniżenie znajomej jest tym, czego pragnie najbardziej.

Kobieta wstaje, podchodzi do lampy i zapala światło. Półmrok kurczy się gwałtownie. Henri mruży oczy, cierpliwie czekając, aż szwagierka usiądzie.

– Skąd dostanę informację, że kochankowie uciekli? – pyta. – Jak to uprawdopodobnię czytelnikom, krótko mówiąc... kto udzieli mi wywiadu? Nie przyznam się przecież, że jestem szwagrem bohaterki.

– Powołasz się na moją matkę.

Henri nie szaleje z radości, że przyjdzie mu rozmawiać z teściową. Unika jej, gdyż jest gwałtowna i zrzędliva, tym razem jednak czuje, że starsza pani to idealna kandydatka na informatora. Prawdopodobnie będzie dumna, że jej podobizna znajdzie się w gazecie.

– Niezły pomysł, zważywszy na to, że ty masz być pogrążona w rozpacz – zgadza się.

– Zastanawiam się tylko – martwi się Jeanne, uświadomiwszy sobie nagle, że w żaden sposób nie uda jej się udowodnić, iż wyjazd Paula to ucieczka – jak

przekonasz ludzi o dezercji, skoro od miesiący wiem o konferencji, na którą pojechali.

Mężczyźni śmieją się z jej naiwności. Henri kładzie dłoń na ręce szwagierki. Poklepuje ją pocieszająco.

– Czytelnicy „Le Petit Parisien” nie mają o tym pojęcia, *chère* – mówi. – Nie ucz mnie zawodu, bardzo proszę.

Jeanne rozgląda się po salonie, zmieszana brakiem dziennikarskiego doświadczenia. Od zawsze jest dumna, że jej szwagier liczy się w Paryżu. Lubi się do niego przymilać. Zdarza się, że sprawia mu tym przyjemność. Spłoszona nagłą, nieco niestosowną myślą, rzuca szybkie spojrzenie mecenasowi. Ten natychmiast wykorzystuje to, że znów jest przedmiotem zainteresowania.

– Chce pani rozwodu? – pyta klientkę. Pyta, ponieważ jest do tego zobowiązany. W gruncie rzeczy nic go to nie obchodzi. Bierze pieniądze za każdą godzinę pracy nad sprawą. Siedzenie w tym zatęchłym, staromodnym salonie, do którego docierają wrzaski dzieci, traktuje jako opracowywanie strategii, czyli urzędowanie, może więc w nim siedzieć choćby do północy.

Jako że pani Langevin długo rozważa odpowiedź, mecenas przenosi wzrok na jedno z okien i ze zdziwieniem stwierdza, że przestało padać. Wiatr jednak nie ustał. Przedostaje się przez nieszczęsne okna, ratując ich przed uduszeniem się. Co wydziela mdły, słodki zapach, który wdychają? Kaszka dla dzieci? Pranie? Gotowana kapusta?

– Nie chcę rozwodu – stwierdza nagle Jeanne. Ściąga brwi, co uwydatnia krótką zmarszczkę na czole. Jeanne jest bardzo ładna. Mogłaby się podobać mężczyznom, gdyby nie wiecznie skrzywiona mina i pretensja w głosie. – Ma wrócić na kolanach i błagać mnie o przebaczenie – rzuca, wyraźnie zadowolona z wizji powrotu sponiewieranego męża.

– Opowiem czytelnikom o twoim cierpieniu. – Henri obojętnie wzrusza ramionami, mimo że pomysł na artykuł zaczyna mu się podobać.

Nic nie sprzedaje się lepiej od skandalu. Ludzie, którzy dostają się w jego tryby, rzadko wychodzą bez szwanku, ale z punktu widzenia piszącego awantura ze wszech miar się opłaca. Dziennikarz nie jest pewny, czy żona pozwoli mu ryzykować dobre imię siostry. Czemu jednak mieliby je ryzykować? Przedstawią Jeanne jako ofiarę modliszki... biedną, upokorzoną prostytutkę... matkę czworga dzieci opuszczoną przez sławnego profesora fizyki, który się zabawia z koleżanką, ciepłą wdówką, a zarazem – jeśli informator Henriego ma rację – dwukrotną laureatką Nagrody Nobla. Czy madame Curie sama pisała prace naukowe? Czy wystarczyło, że zapisywała myśli swoich genialnych kochanków? Ilu ich właściwie było? Wyobraźnia Henriego pracuje; mężczyzna odzyskuje humor.

– Wytoczy jej pani sprawę – informuje klientkę mecenas – co nie będzie przyjemne. Sąd nie jest miłym miejscem, pani Langevin.

– Nie oczekuję rozkoszy, panie Coudy – obrusza się Jeanne. – Żądam krwawej zemsty! – Ze słodkim uśmiechem obraca się ku szwagrowi, jakby właśnie odczytała jego myśli. – Jeśli zostanie skompromitowany – mówi – opinia publiczna zmusi go do powrotu, prawda?

Henri się rozluźnia. Wstaje i podejmuje spacer po pokoju. Ciężkie zasłony, do których się zbliża, pachną kurzem. Mężczyznę wierci w nosie, odwraca się więc na pięcie i przechodzi w głąb pokoju.

– Możemy podgrzać atmosferę Paryża – przytakuje. – Matka czworga dzieci porzucona przez wiarołomnego męża, który wybrał się z kochanką na zagraniczne wojaże... zważywszy na to, kim jest ta kochanka – zastanawia się głośno – i zważywszy na to, że dostała kolejnego Nobla... w każdym razie mam takie przecieki...

– Srobla, nie Nobla! – wybucha Jeanne i choć jest wulgarna, mecenasowi naprawdę zaczyna się podobać. Z kimś takim ma szansę wygrać sprawę. – Wszystko zawdzięcza mężowi, którego wpędziła do grobu, żeby się gzić z innymi mężczyznami. Niby czego szuka na Sorbonie? W środowisku samych facetów?

– Nie zajmujmy się głupstwami, Jeanne – przerywa Henri. – Nie mogą nas zżerać złe emocje, jeśli chcemy wygrać. Zrozum wreszcie, że masz do czynienia nie z bandą kretynów, lecz z najpotężniejszymi umysłami Europy. Nie będą czekać, aż ich pogrążysz. Będą się bronić, zamknij się więc na chwilę i pozwól nam pomyśleć – kończy, trochę w imieniu mecenasa.

Julien wtrąca się, zadowolony, że sprawa wreszcie rusza z miejsca.

– Powiniennem o czymś poinformować – mówi cicho, co wywołuje w Jeanne nieoczekiwaną i gwałtowną złość.

– Niech mnie pan nie straszy, panie Coudy! – krzyczy. – Czyim pan jest właściwie adwokatem? Moim czy tej dziwki?

– Pani Langevin – mecenas obrusza się dla zasady. – Przypominam, że nie wziąłem tej sprawy ze względu na wysokość honorarium.

Henri przyznaje w duchu, że szwagierka rzeczywiście płaci adwokatowi nędzne grosze. Zgodził się ją reprezentować, licząc na sławę, jaką może zyskać.

– Niech mi pani pozwoli dojść do słowa.

Kobieta prostuje się z godnością, urażona, że się ją traktuje niczym dziecko, które ma przyjmować świat takim, jaki jest, bez słowa protestu. Nie po to wychodziła za mąż i nie po to walczy z wiarołomnym Paulem, który nie ma zamiaru wziąć odpowiedzialności za rodzinę!

– Wynająłem człowieka. Przeszukał ich garsonierę.

– Szlag mnie trafia, gdy pomyślę, co Paul tam robił – nie wytrzymuje Jeanne. Jak długo jeszcze ma cierpieć? Dzielić się z obcymi ludźmi upokarzającymi szczegółami ze swojego życia? Oczywiście wiedziała o istnieniu garsoniery, ale mózg wyrzuca wszystko, co niewygodne.

Pani Langevin traci pewność, że jest w stanie znieść hańbę, która za sprawą męża kładzie się cieniem na całej rodzinie. Odwraca się gwałtownie ku drzwiom, ponieważ któreś z dzieci ją woła. Waha się przez moment, po czym obojętnie na rozpaczliwy krzyk, wiedząc, że niańka jest wrażliwsza od niej. Jak to możliwe, że obcy ludzie potrafią ofiarować czasem więcej ciepła, niż sami jesteśmy w stanie z siebie wykrzesać? Otwiera usta, gdy dociera do niej, że adwokat nie przypadkiem wspomniał o garsonierze.

– Znalazł pan coś? – uprzedza jej pytanie Henri, poprawiając klapy marynarki. Ma obsesję na tle czystości swoich kołnierzyków. Nawet teraz od czasu do czasu ukradkiem zerka na marynarkę, niby to kręcąc głową z powodu nazbyt obcisłego stroju.

– Znalazłem listy, panie Bourgeois – odpowiada mecenas beznamyślnie, jakby informował o listopadowych chłódach w Paryżu.

Ile razy dziennie można słuchać pisku hamujących tramwajów?! Czy już sam ten fakt nie dowodzi inercji męża? Jeanne krzywi się. Dociera do niej, że pyszałkowaty, pochłonięty badaniami naukowymi Paul nafaszerował ją określeniami, których wstyd używać w towarzystwie. Inercja, tfu, co za idiotyzm. Pewnego dnia rzuciła coś podobnego przy koleżankach i wszystkie zamilkły... Wstyd i piekące policzki, tyle jej ofiarował Paul.

– Czyje listy pan znalazł? – Jest zła, wzrokiem przewierca adwokata na wylot. Ma własne zdanie na temat prawniczych hien. Zależy im wyłącznie na pieniądzach.

– Przecież nie moje, na litość boską – oburza się Henri, który nie rozumie, co się dzieje ze szwagierką. Widzi jej dekoncentrację, spojrzenie raz po raz biegnące ku drzwiom, ręce nerwowo wędrujące po stole.

– Pisał do tej dziwki? – pyta twardo pani Langevin i jej drobne dłonie o krótkich palcach nieruchomieją.

– Zdobyłem plik listów. Sądzę, że bardzo nam pomogą w przekonaniu pani męża do rzucenia madame Curie.

– Zagroź, że je opublikujesz! – wybucha Jeanne, zwracając się do szwagra.

Na myśl o tym, co zawierają listy męża do kochanki, rodzi się w niej chęć mordy. Boli ją, że może w nich odnaleźć informacje, iż ofiarował kochance to wszystko, na czym jej samej zależało, a czego nie dostała. Wolałaby ich nie czytać, jednak przez wypchnionego prawniczego bubka będzie zmuszona to zrobić. Nienawidzi Coudy'ego na równi z niewiernym mężem i madame Curie. Niech to szlag! Jak mogła tak nazwać tę dziwkę, choćby tylko w myślach?

– Wiesz, czym grozi publikacja cudzych listów?

– Czym?! – Pani Langevin podnosi głos, celowo nadając mu drwiący ton.

– Pozwem do sądu.

Kobieta wstaje, wspiera się obiema dłońmi o blat stołu i patrzy szwagrowi

prosto w oczy.

– A czy one są sfalszowane, żeby się lękała iść do sądu? – pyta cicho.

Jej spokój wywołuje większe wrażenie niż wcześniejszy krzyk. Adwokat zapomina na moment o ćmiącym zębie i patrzy na nią z podziwem. Czego ten dureń Langevin szuka poza domem? Geniuszu? Po co mu genialna kobieta w łóżku? Chociaż... może istnieje jakiś powód, którego większość mężczyzn nigdy nie pozna.

– Listy są autentyczne, lecz proszę pamiętać, że choć łatwo uruchomić całą maszynę, trudno ją później zatrzymać.

– Co pan ma na myśli? – Jeanne denerwuje, że mężczyźni bawią się z nią w półśłówka, wszystko musi z nich wyciągać. Za nic nie chciałyby mieszkać z żadnym z nich. Czy o to właśnie chodzi tym idiotkom... sufrażystkom? Jeżeli tak, może je zrozumieć. Większość mężczyzn to smrodliwe dupki, nawet ci zarabiający olbrzymie pieniądze.

– Redakcja będzie mnie cisnęła, żeby opublikował te listy.

Jeanne wznosi ręce, jakby coś podrzucała – gwałtownie i wysoko.

– Dlaczego ma cię cisnąć? – syczy. – Żądam publikacji. Niech wszyscy wiedzą o tym bagnie, niech poznają genialną Curie... cholerną Żydówkę... złodziejkę... harpię... małpę...

– Myślę – rzuca niecierpliwie Henri, nakazując szwagierce milczenie.

Nie obchodzą go motywy jej postępowania. Zastanawia się nad charakterem swoich przyszłych artykułów. Jeanne jest sekutnicą. Wie o tym cała Sorbona i połowa akademików w mieście, nie ma co do tego wątpliwości. Wciąż jednak jest prawowitą małżonką Paula i Francuzką. Maria to cudzoziemka, a nacjonałści znów szaleją. Maria Salomea. Henri Bourgeois zna prawdę. Madame Curie nie jest Żydówką, niemniej czytelnicy mogą myśleć inaczej... Tak czy owak, to Polka, a co za tym idzie, nie rozumie Francuzów. Henri uśmiecha się sam do siebie.

– Proszę mi dać te listy – mówi Jeanne do mecenasa.

Prawnik nie wie, co powiedzieć. Kobiety nie powinny czytać takich rzeczy. To w końcu prywatne sprawy Paula Langevina, jego intymne wynurzenia. Prawo zabrania żonom czytania korespondencji mężów. Adwokat wyjmując z teczki kilka kopert i kładzie na stole. Jeanne bierze je, odchodzi na bok i zaczyna czytać.

– Chętnie napiszę cykl artykułów o związku Paula z madame Curie – odzywa się półgłosem Henri.

– Zniszczy jej pan karierę – szepce mecenas Coudy.

– I? – Dziennikarz parska śmiechem. – Ona nie ma skrupułów.

– Wie pan – mruczy Coudy – nad uczuciami nikt z nas nie panuje. Pani Curie jest wdową.

– Oszalał pan? – obrusza się Bourgeois. – Nie zależy panu na karierze?

– Gdyby mi nie zależało, nie byłoby mnie tutaj, ale myślę nad strategią. –

Potok słów mecenasa łączy się z nieprzyjemnym zapachem z jego ust, czego jest świadom i co go deprymuje.

– Niech się pan zda na mnie – odzywa się po chwili Henri pojednawczo. – Napiszę, że to ja zdobyłem te listy.

– Świetnie, to już coś – burczy Julien.

– Podkreść informacje o jej semityzmie.

– A naprawdę jest Żydówką?

– Kogo to obchodzi, panie Coudy? Ludzie są naiwni. Ma na drugie imię Salomea. Podamy tę informację bez komentarza, nie może więc nas za to pozwać. Starannie przemilczymy fakt, że ma dzieci. Zrobimy z niej femme fatale. Znam się trochę na sterowaniu opinią publiczną, bez obaw. Jeanne, do licha, chodź tu do nas, przestań czytać te bzdury – rzuca gniewnie, zauważywszy dziwny wyraz twarzy szwagierki.

– Wydrapię jej oczy! – krzyczy pani Langevin.

Wie już wystarczająco dużo. Maria jest bezczelną, wyrachowaną zdzirą, która przekonuje Paula, że powinien zostawić rodzinę. Jeanne zna męża, wie, jak łatwo ulega wpływom. Można nim sterować, co dotąd było zaletą, skoro jednak ta małpa odkryła jego tajemnicę, stało się niebezpieczne. Trzeba wstrząsnąć Paulem, zmusić go do powrotu.

– Uspokój się, kobieto – rzuca Henri, stwierdziwszy, że szwagierka skończyła płomienne przemówienie na jednej mało realnej groźbie. – Utopimy ją w gównie bez używania przemocy, ale musisz podjąć ostateczną decyzję, czy się na to zgadzasz, bo kiedy ujawnimy listy, trafisz na pierwsze strony wszystkich europejskich gazet. To nie będzie już lokalny skandal. Jesteś pewna, że ci na tym zależy? Nie wystarczy, że Paul do ciebie wróci?

– Mam gdzieś powrót Paula! – wybucha Jeanne Langevin. – Chcę ją zniszczyć!

Obaj mężczyźni zamyślają się na moment, czując, że rozpoczynają nowy etap w życiu. Madame Curie to międzynarodowa sława. Cokolwiek by myślaro o pracujących kobietach – samo sformułowanie *kobieta na stanowisku* brzmi żenująco – zasługi madame Curie są niepodważalne. Ostatnio prasa nie ma o czym pisać. Ot, słabe zbiory w Niemczech, powstanie Ligi Edukacji Narodowej. Rząd włoski skorzystał z kryzysu marokańskiego, wypowiedział wojnę Turcji, żołnierze wkroczyli na terytorium libijskie. I co z tego? Nie posunęli się w głąb ładu, bo nie mogli. Śmiechu warte. Wszyscy wokół politykują, każdy czeka na coś niebywałego... niesamowitego... co zabije wszechobecną nudę... zadziwi cały świat... przerazi.

– Wykorzystała słabość mego męża – uzala się nad sobą pani Langevin – nasze chwilowe nieporozumienia. Mam gdzieś, że Paul mnie zdradza. To pieprzony nieudacznik i idiota.

Henri milczy, słuchając skarg szwagierki. Mecenas Coudy pochyla głowę. Na jego usta znów wypełza cyniczny półuśmieszek. Każdemu klientowi się wydaje, że stanowi centrum wszechświata, ma niepowtarzalne problemy, a racja zawsze leży po jego stronie, tymczasem prawo nie zna współczucia i racji. Prawo to umiejętność udowodnienia, że twój wróg jest słabszy. Nikt nie współczuje matce czwórki dzieci pozostawionej przez męża. Gorsze nieszczęścia zalewają świat.

– Każdy zna Paula – kontynuuje Jeanne, ponieważ czuje przemożną chęć ośmieszenia męża przed mężczyznami, których dopuściła do rodzinnych sekretów. Nie może czekać na rozprawę. Chce zwyciężyć już, w tej chwili. – Nie potrafi na siebie zarobić – mówi drżącym głosem. – Umie tylko czytać książki... Ślinić się na myśl o wieczorze z kolegami... takimi samymi nieudacznikami jak on. – Siada przy stole. Jest wyprostowana i niemal piękna z wyniosłą miną, jaką przybrała. – Nikt nie będzie mnie poniżał – stwierdza głucho. – Chcę, by wrócił do mnie jak skomlący pies, a ta szmata...

Mężczyźni, jak na komendę, unoszą wzrok, ciekawi jej planów wobec Marii.

– Wyjedzie z Francji zhańbiona... w atmosferze skandalu... jako zwykła podła dziwka, którą jest. Nikt w Paryżu jej nie zatrudni. Madame Curie zgnije na ulicy!

ROZDZIAŁ DRUGI

Bruksela, 30 października 1911

Albert Einstein zatrzymuje się przy barze. Kolejny raz sprawdza, czy marynarka, którą włożył do śniadania – obrzydliwie formalna, ale żona stwierdziła, że bez niej nie może się pokazać na międzynarodowej konferencji fizyków – jest wygodna. Nie jest. Krępuje nie tylko ruchy, jak każdy oficjalny strój, ale i myśli. Profesor widzi swoje odbicie w lustrze. Wygląda jak pajac, bez dwóch zdań.

Zgodził się wziąć do Brukseli jedną marynarkę, w rezultacie ta jedna ma mu służyć co dzień od śniadania do uroczystej kolacji. Dostrzegłszy kolegów, stwierdza ponuro, że wszyscy zachowali czerń na wieczór. Tylko on się ubrał do porannej jajecznicy jak karawaniarz. Do tego buty, które włożył – istny cyrk. Siada na barowym stolku i wyciąga nogi, prezentując letnie popielate pantofle. Mierzy je wzrokiem. Po początkowej irytacji odczuwa zadowolenie na myśl, że pewnie jest przedmiotem kpin. A jest? Na Boga, ani jedna osoba nie patrzy w jego stronę.

Zamawia czarną kawę i rozgląda się po sali. Cieszy się, że będzie miał okazję do rozmów na temat promieniowania i kwantów, bo to one są tematem kongresu. Spogląda na jasny sufit ze złożonymi ornamentami, potem w witrażowe okna hotelu Metropole, zapewniające gościom intymność. Nie ma nic przeciwko luksusowi, przeciwnie, lubi burżuazyjny zbytek. Drwi z ludzi, którzy twierdzą, że są jacyś bez względu na okoliczności. Jego zdaniem każdy staje się kimś w konkretnej sytuacji. Trudno przewidzieć wcześniej, kim będzie się w danej chwili.

Hotel Metropole jest nowy, co widać po stanie błyszczących balustrad i marmurowych podłóg, egzotycznego drewna na ścianach, zachwycających świetlików dachowych i okien o małych, kwadratowych szybkach. Wszędzie złoto, stonowane ciepłe barwy ziemi, kryształowe żyrandole, finezyjne lampy i ozdobne szkło, rzeźby, obrazy, grube dywany tłumiące kroki. W sam raz... trafiające w mój gust – myśli Albert, coraz bardziej rozleniwiony niedzielnym porankiem, zapachem świeżo zmielonej kawy, szmerem męskich rozmów i pobrzękiwaniem naczyń.

Ernest Solvay, belgijski przemysłowiec i człowiek nauki, zorganizował i sfinansował międzynarodowy kongres, na który zaprosił dwudziestu jeden fizyków, w tym Alberta Einsteina, mile go tym łechcąc, znalazł się bowiem w gronie samych sław, złożonym z dwudziestu mężczyzn i jednej niezwyklej kobiety. Tylko Solvay, uroczy, przystojny, dowcipny, elegancki starszy pan, mógł wymyślić coś takiego. Idzie nowe.

Albert uśmiecha się cynicznie, ciekaw madame Curie, noblistki z Paryża, o której właśnie plotkuje kilku jego szacownych kolegów. Panowie jedzą

śniadanie, z wyraźną rozkoszą pozwalając się obsługiwać kelnerom. To wspaniały hotel, a zatem i obsługa jest profesjonalna. Młodzieńcy krążą między stołami, dolewając gościom kawy, podsuwając półmiski z wędlinami i owoce.

– Nie rozumiem idei zapraszania kobiet na podobne konferencje – dociera do Einsteina, a ponieważ temat go interesuje, zaczyna nasłuchiwać. – Francuska Akademia Nauk wypowiedziała się w tej sprawie za nas wszystkich, panowie – oświadcza tęgi siwowłosy jegomość w śnieżnobiałej koszuli o przyciasnym kołnierzyku, co z miejsca uświadamia Albertowi, że jego własnemu brakuje świeżości. – Odrzuciła jej wniosek o członkostwo, za co jestem wdzięczny – stwierdza obserwowany i najwyraźniej zaczyna popis wątpliwej elokwencji – bo moje osobiste zdanie mogłoby być stronnicze... pozbawione obiektywizmu... naznaczone niechęcią... podszyte tchórzostwem... czyli wynikać z przesądów... uprzedzeń.

Towarzystwo wybucha gromkim śmiechem, nawet kąciki ust Alberta wędrują ku górze. Robi się przyjemnie. Nie ma jak nieformalne spotkania przed obradami. Solvay wszystko świetnie zaplanował. Wzrok Einsteina odnajduje szczupłą sylwetkę siedemdziesięcioletniego organizatora kongresu i badacz kolejny raz przyznaje w duchu, że Belg ma niezaprzeczalną klasę. Może nie jest geniuszem, ale i nie zmarnował życia. Wynalazł przemysłową metodę otrzymywania węglanu sodu, dorobił się na tym, a przecież chętnie dzieli się pieniędzmi, nieco hobbystycznie wspierając naukowców.

– Szczerze mówiąc, nie rozumiem, co kierowało panią Curie – wtrąca kolejny miłośnik niewiast w nauce, ledwie przebrzmiał śmiech profesorskiej generalicji. – Kobieta zgłaszająca swoją kandydaturę na członka akademii nauk? Czy to nie gruba przesada? Nie parodia? Nie brak zrozumienia roli kobiet w świecie?

Daje się słyszeć cichy pomruk aprobaty. Niektórzy mężczyźni jedzą, inni patrzą na mówiącego.

– Zgadza się, że Marie przyczyniła się do rozwoju fizyki, lecz nikt nie wie, jak dalece Piotr Curie przesadził, gdy szacował wagę wkładu żony w badania nad promieniotwórczością. Mówi się coraz głośniejsz, że Komitet Noblowski przyznał jej nagrodę na skutek szantażu.

– Nie rozumiem.

Szczęk sztucców ustaje. Profesorowie patrzą po sobie pytająco. Albert Einstein jawnie im się przysłuchuje.

– Piotr Curie zagroził, że nie przyjmie nagrody, jeśli ją dostanie wyłącznie z Henrim Becquerelem, jak początkowo zdecydowano.

– Co pan powie?

Poruszenie świadczy o tym, że nie wszyscy znają zakulisowe rozgrywki, towarzyszące przyznaniu nagrody w tysiąc dziewięćset trzecim roku.

– A kto, panie profesorze, zmierzy procentowy udział każdego członka zespołu w badaniach?

– W rzeczy samej – potakuje Hendrik Lorentz.

– Mary Curie ma swoje zalety, nikt temu nie zaprzecza, niemniej... proszę szanownych panów... jak mogą wyglądać osiągnięcia kobiety, która nie wysadza nosa poza laboratorium i dom?

– Zwłaszcza swój dom, nieprawdaż? Ma dzieci... czy się mylę?

Rozmowa toczy się pomiędzy dwoma mężczyznami, pozostali wracają do śniadania.

– Tak, ma dwoje dzieci, płci niestety nie znam – potwierdza profesor Emil Warburg. – Czyli coś się jednak wykazuje.

Jego rozmówca rechocze, zapominając o dobrych manierach. Jasne, nieco wypłowiałe oczy profesora Warburga pozostają poważne, tak jak reszta twarzy.

– Nie zaprzeczam, Piotr Curie miał powody, by zabiegać o jej miłość – rzuca po chwili – ale trochę przeholował. Co zresztą nie krzywdzi nikogo z nas. Nagroda mu się należała, nie ma więc nad czym deliberować. Chciał, to się z żoną podzielił, nie to mnie denerwuje. Złości jedynie ukrywanie faktów. Ludziom należy prezentować nagie fakty. Tylko one mają wagę.

– Zgaduję, że jest pan profesorem Einsteinem.

Albert odwraca się, zaskoczony. Stoi przy nim wysoki, dobrze zbudowany czterdziestolatek o gęstych, ciemniejszych od włosów wąsach.

– A pan jest jasnowidzem – mruczy Einstein, wyciągając dłoń na powitanie. – W rzeczy samej... to ja.

– Ernest Rutherford. – Mężczyzna uśmiecha się pogodnie, przyglądając się dziwacznemu, jak na tę porę dnia, strojowi kolegi. – Mów mi po imieniu, jeśli ci to nie przeszkadza. Domyśliłem się, że to ty, ponieważ wiem, że jesteś jednym z najmłodszych w naszym gronie, a większość uczestników kongresu znam osobiście.

Einstein z zazdrością myśli o Nagrodzie Nobla, którą kilka lat wstecz wręczono Rutherfordowi. Uważa, że on sam ma szansę dostać ją przed trzydziestym piątym rokiem życia, czyżby więc był lepszy od Rutherforda? Jest łasy na komplementy i zaszczyty, a jednocześnie przekonany, że nie świadczą o człowieku.

– Czemu się trzymasz na uboczu? – pyta Ernest i lustruje salę. – Szanowni koledzy nie dopuszczają cię do poważnych rozmów? Boją się geniusza? A może rewolucji, jaką niesie twoja obecność?

– Obrzucają błotem madame Curie – rzuca Albert ironicznie.

Jego spojrzenie krzyżuje się ze wzrokiem sławnego Nowozelandczyka o dobrotliwym wyrazie twarzy. Albert dostrzega w jego oczach złośliwe iskierki i odpowiada na uśmiech, który nie znika z jego warg.

– Rzeczywiście, to ulubiona dyscyplina sportu niektórych fizyków – przyznaje Rutherford.

Jego znaczące prychnięcie świadczy o wiedzy tajemnej, wciąż obcej Einsteinowi. Albert, młody niemiecki Żyd, obywatel Szwajcarii i zarazem poddany cesarza Austrii, ma nadzieję, że podczas tego kongresu pozna wszystkie sekrety europejskiej śmietanki naukowej. Jest dumny z zaproszenia, choć żywi przekonanie, że nie mogło być inaczej. Ma nadzieję, że odpocznie od szarżyny dnia powszedniego. Przeżywa ciężki okres zarówno w małżeństwie z Milewą – stracił wiarę w jego sens – jak i zawodowo. Pracuje nad nowym ujęciem teorii względności, co przychodzi mu z trudem. Męczy się nad zagadnieniami z dziedziny geometrii.

– Znasz ją? – pyta Ernesta Rutherforda, spostrzegłszy, że ten od dobrej chwili wpatruje się w niego wyczekująco.

– Marie Curie? – upewnia się Rutherford. – Miałem przyjemność z nią rozmawiać, owszem. – Siada na sąsiednim stołku. Nie jest głodny. Daje znak kelnerowi, że on i Albert nie czekają na to, by wbrew zasadom podać im śniadanie przy barze. Po prostu chcą porozmawiać na osobności. – Madame Curie należy do tej grupy fizyków, która jest zakochana w chemii... zupełnie jak ja – informuje, nie kryjąc rozbawienia na widok butów Einsteina. – Znaleźliśmy wspólny język.

Albert pachnie cygarami. Jest nieco nonszalancki, a jego pucułowata ładna twarz przypomina twarz typowego wieśniaka. Gdyby miał na sobie długą białą koszulę... Rutherford beszta się w myślach za złośliwość. Zna artykuły kolegi i nie ma wątpliwości, że ten daleko zajdzie. Jego ubiór jest mu obojętny. Ernest lubi ludzi. Odnosi się do nich bez rezerwy.

– Jaka jest?

– Madame Curie? – Ernest Rutherford zastanawia się przez chwilę, chcąc jak najlepiej scharakteryzować koleżankę. – Będziesz zdziwiony, gdy ją poznasz – mówi wreszcie, rezygnując z zamiaru, który wydaje mu się niemożliwy do zrealizowania. – Tak bym to określił. Schodząc na dół, spotkałem ją w holu recepcyjnym. Wkrótce się pojawi.

Albert stara się ukryć palącą ciekawość. Interesuje go wszystko, co dotyczy madame Curie, najbardziej fakt, czy go pozna.

– Pracowaliście razem? – docieka, zauważywszy, że temat nie drażni Rutherforda.

– Trudno z nią bezpośrednio współpracować, ale rozmawialiśmy niedawno na temat promieniotwórczości. Też w Brukseli. Jakiś miesiąc temu. Wymieniamy się artykułami...

– No tak – przerywa Einstein z nagłą niewytłumaczalną złością. – Zapomniałem, że dostałeś Nobla za wyniki badań nad promieniowaniem pierwiastków radioaktywnych. Musicie się konsultować.

– Powinniśmy się konsultować – poprawia go Rutherford łagodnie. Nie ma kompleksów, więc nie przeszkadza mu złośliwość Alberta.

– Bardzo jesteś bezpośredni – zauważa Einstein.

– Mówi się, że ty również nie uskarżasz się na nieśmiałość – kpi Ernest.

Jest mu tu dobrze, może trzymać się na uboczu. Co innego zaczynający karierę naukową Albert. Ernest cieszy się, że Solvay zorganizował kongres w imponującym hotelu Metropole. Niedziela dopiero się zaczęła. Wszelki pośpiech byłby nieuzasadniony.

Uśmiecha się, myśląc o koledze wypyującym o madame Curie. Każdy z grona słynnych europejskich fizyków i chemików przeszedł okres mniej czy bardziej gwałtownego sprzeciwu wobec konieczności liczenia się z opinią kobiety. Ernest przyznaje w duchu, że Francuzka jest ewenementem. Właściwie Polka, tyle że nikt o tym nie pamięta. Przede wszystkim ma własne zdanie i potrafi je wygłaszać z taką swadą, że konserwatywni profesorowie z wściekłości zaciskają pięści. Niemniej ogół środowiska uznał chyba, że madame Curie jest wisienką na torcie i łagodzi obyczaje. Nic złego nie wynika z faktu, że próbuje dowieść swojej inteligencji. Przesztano się oburzać, że uczestniczy w konferencjach naukowych, nadal jednak jest przedmiotem plotek.

ROZDZIAŁ TRZECI

Bruksela, 30 października 1911

Paul kładzie dłoń na szyi Marii i przyciąga kobietę do siebie, ta zaś fuka gwałtownie niczym broniąca się kotka. Ponieważ Paul nie ustępuje, odpycha go z niechęcią i wraca do przerwanej zajęcia.

– Nie wygłupiaj się – kwituje pieszczoty mężczyzny.

Nie jest rozgniewana. Po prostu uważa, że powinni wykorzystać każdą minutę pobytu w Brukseli na rozważania naukowe. W tym celu ich tu zaproszono. Maria jako jedyna kobieta bywająca na zgromadzeniach fizyków dba o wrażenie, jakie wywiera. Wie, że musi być najlepsza, by ją traktowano z szacunkiem. Spodziewa się, że nazajutrz kolejny raz ktoś zakwestionuje jej definicję *curie*, jednostki radioaktywności, dlatego przegląda notatki. Chce się przygotować do dyskusji. Jeszcze minutę wcześniej marzyła o ramionach Paula, skoro jednak okazał obojętność, uniosła się honorem i zabrała do pracy. Maria Skłodowska nie narzuca się mężczyznom! Dziwi się sama sobie, że w myślach użyła panińskiego nazwiska. Nieczęsto się to zdarza.

– Czasem odnoszę wrażenie, że cię nie znam – mówi Paul, siadając na łożku.

Jest w apartamencie Marii. Oboje mieszkają na pierwszym piętrze hotelu Metropole. Pokoje są piękne, stylowo urządzone, każdy z kominkiem i tarasem. Rzadko mają okazję wypoczywać w równie komfortowych warunkach, być blisko i korzystać z wolności. Zjawił się u przyjaciółki w nadziei na przyjemne spędzenie godziny przed śniadaniem, tymczasem ona przekłada notatki – w tę i z powrotem – kompletnie bez sensu, skoro nie ma dziś wystąpienia. Jest niedziela. Oficjalnie kongres jeszcze się nie rozpoczął.

– To nie wrażenie. Nie znasz mnie – stwierdza Maria, rzucając Paulowi niechętnie spojrzenie. – Nikt z nas nie zna nawet siebie.

– Mówisz *ex cathedra* – irytuje się Langevin. Przypomina niezadowolone dziecko, któremu się odmawia zabawki.

– Podczas gdy to ty jesteś szanowanym wykładowcą – kwituje złośliwie Maria.

– Co ci jest? – pyta Paul.

Nie spodziewa się odpowiedzi, dlatego jest zdziwiony, gdy Maria odkłada notatki i całym ciałem odwraca się ku niemu. Ma chęć ją pocałować, ale boi się. Bywa nieprzewidywalna. Ich romans wyszedł na jaw, żona Paula szaleje.

– Zdziwiał mnie, że umiesz żyć w równoległych światach – mówi Maria, nieznacznie mrużąc szare oczy.

Nieoczekiwanie promień słońca pada prosto na jej twarz, zmuszając kobietę

do odwrócenia głowy. Zaraz potem słońce znika za chmurami. Bruksela wita uczestników kongresu ładną pogodą, w sam raz na pieszą wycieczkę, którą Solvay zaplanował na godzinę jedenastą.

– Pozwól sobie na odrobinę swobody – rzuca Paul z pretensją w głosie. Jego palce wędrują po kamizelce, którą włożył pod marynarkę, spodziewając się jesiennych chłódów. – Jesteśmy w Brukseli, nie myśl ciągle o Paryżu.

Paul przypomina sobie ostatnią rozmowę z żoną i czuje przyływ irytacji. Za swoje zniecierpliwienie obwinia również Marię, która potrafi zdławić każdą jego radość. Nie poinformował kochanki, że włamano się do garsoniery będącej miejscem ich schadzek. Martwi się. Ma złe przeczucia.

– Co ja mam powiedzieć, Marie?

Kobieta wraca do lektury notatek. Jej twarz, nosząca ślady letniej opalenizny, rozjaśnia się, jak zawsze, kiedy Maria czyta coś interesującego. Lata temu zwrócił mu na to uwagę André Debiere, ich współpracownik.

Paul czuje pożądanie. Sama myśl o zbliżeniu fizycznym wywołuje dreszcz. Zastanawia się, czy powinien nalegać na odrobinę szaleństwa, nie zwracając uwagi na rozdrażnienie kochanki. Próbował tego wiele razy, czasem się udawało.

– Postaw się na moim miejscu – zaczyna, rezygnując z zachcianki. Dochodzi do wniosku, że przyjaciółka nie pozwoli zniszczyć sobie fryzury przed pierwszym wyjściem. – Jestem w matni, a mimo to próbuję żyć chwilą, być szczęśliwy...

– Chodźmy na śniadanie – przerywa mu gwałtownie Maria.

Iskry w jej oczach zawsze go przerażają. Paul boi się gniewu. Nieważne, skąd przychodzi. Nienawidzi kłótni i wzajemnych pretensji, ponieważ wie, że żadnego sporu nie wygra. Jego twarz poważnieje, powieki zdają się zbyt ciężkie. Staje tyłem do Marii.

– Nie ma pośpiechu – odzywa się po chwili. – Nikt tam na nas nie czeka. Połowa uczestników konferencji wciąż nie przyjechała.

– Za to druga połowa zdążyła zauważyć, że jesteśmy w hotelu! – wybucha Maria i natychmiast żałuje tonu, jakim to powiedziała.

Jest zagubiona. Przyjaciel nie ma pojęcia, co się z nią dzieje. Maria tak bardzo pragnie jego ciała, że ją to przeraża. Nigdy, przez całe małżeństwo z Piotrem, nie zaznała podobnych emocji. Ma wrażenie, że nie potrafi istnieć bez Paula, boi się go stracić. Fakt, że dowiedziała się o nich jego żona Jeanne, doprowadził ją do furii. Maria nie odczuwa wyrzutów sumienia. Jest wściekła, że tak pospolita, wulgarna kobieta rości sobie prawo do zatrzymania Paula przy sobie. Każdy wie, że ich drogi się rozeszły dawno temu. Maria Curie nie chce skandalu, a co za tym idzie, nie może nic zrobić. Frustracja ją zabija.

– Co z tego, że nas widziano? – mówi Paul bardziej do siebie niż do Marii. – Denerwujesz mnie czasami – stwierdza nagle w jakimś irracjonalnym przypiływie odwagi, która nie prowadzi do niczego dobrego. – Twoja... nie wiem nawet, jak to

nazwać... twoja sumienność... jakaś...

– Przyjechaliśmy tu na obrady – ucina Maria, zła, że Paul nie próbuje zainicjować chwili szaleństwa, od czego jeszcze kilka miesięcy wcześniej zaczęłyby wizytę w jej pokoju. Nie zważa na to, że sama wytrąciła go z romansowego nastroju. Ma pretensję. Obojętność Paula oznacza, że przestał ją kochać.

– Jest niedziela, Marie. Czas wolny.

– Który trzeba wykorzystać na poznanie ludzi, wymianę poglądów...

– Kogo ty chcesz poznać? – wchodzi jej w słowo Paul. – Znasz wszystkich. Jeśli nie osobiście, to z publikacji. Na miły Bóg, dokąd ci tak spieszo? Musisz ciągle błyszczeć? Nawet wśród nich?

Maria prostuje się, zaskoczona wybuchem kochanka. Nie wie, jak interpretować słowa o chęci *błyszczania wśród nich*. Czy to zazdrość?

– Co to znaczy? – pyta na wszelki wypadek, ponieważ zdaje sobie sprawę, że za słowami Paula może kryć się komplement.

Jej jasne bujne włosy prezentują się tego dnia piękniej niż zwykle, gdyż Maria wykorzystwała sztuczkę, jakiej się nauczyła od siostry. Poluzowała je wokół twarzy.

– Zachowujesz się jak prowincjuszka, która się ugania za znakomitościami tego świata – stwierdza Paul, rozwiewając złudzenia kochanki.

– Urodziłam się w Warszawie, która nie zniknęła z mapy Europy. – Maria jest wściekła. – Po ulicach polskich miast nie chodzą niedźwiedzie, a Polacy nie są upośledzeni umysłowo. Rosja się chwieje, mamy więc...

– Marie – jęczy Paul. – Nie zaczynajmy znowu. Bardzo współczuję Polakom...

– Nie współczujesz Polakom – cedzi Maria, a na jej policzkach pojawiają się rumieńce. – Masz ich za nic. Co niby oznacza *prowincjonalna*? Nie *polska* właśnie?

– Znaczy, że się podlizujesz.

– Jestem laureatką Nagrody Nobla. – Maria dławi się z oburzenia. – Nie muszę się nikomu podlizywać.

– Co wcale nie dowodzi, że twoja pozycja wśród kolegów wzrosła. – Powiedziawszy to, Paul się mityguje. Nie chce ranić Marii. Przyszedł, żeby spędzić z nią cudowny ranek, czuć jej ciało, czuć, że daje rozkosz... niech to diabli! Nie tak miało być. Nie tego dnia. – Nie jesteś kimś ze względu na idiotyczną nagrodę – dopowiada cicho, wiedząc, że nastrój nieodwracalnie prysł. Nastrój? Raczej rozwiały się pobożne życzenia.

– Zostaw mnie samą.

– Nie obrażaj się za słowa prawdy. Doskonale wiesz, że masz we mnie wsparcie i przyjaciela. Mówiłem o sytuacji obiektywnej.

– Zrobiłeś ze mnie kochankę i bardzo ci z tym dobrze. To jest prawda

obiektywna – rzuca Maria przez ściśnięte gardło, całkiem bez sensu, gdyż wiele razy zapewniał ją o głębokim uczuciu. Mówił, że jest ważniejsza od żony.

Paul również marzy o spokoju i przyszłości przy... Stwierdza ze zdziwieniem, że nie wie, u czyjego boku chciałby spędzić przyszłość. Do niedawna wydawało mu się, że z nikim nie był tak szczęśliwy jak z Marią, nagle jednak zaczęło do niego docierać, że Jeanne jest matką jego dzieci i nie potrafi ot tak, trzasnąć drzwiami i zostawić jej na pastwę losu. Kim jest kobieta bez mężczyzny? Co innego Maria. Jest wdową, jej status jest jasny, budzi szacunek. Ma jego miłość, środki do życia, pracę, którą kocha.

– Marie – zaczyna cicho, po czym milknie, nie wiedząc, co powiedzieć.

Przytula ją z czułością. Dotyka wargami ciepłej szyi Marii. Czuje jej zapach, ogarnia go znajoma fala ciepła. Pragnie jej, tylko to się liczy. Chce w nią wejść, więc toruje sobie drogę pośród fałd sukni.

– To nie ma sensu, Paul. – Maria odtrąca go ze złością, przekonana, że traktuje ją przedmiotowo, jak rzecz, która mu dostarcza przyjemności. Ogarnia ją gniew, bo niczego nie pragnie tak bardzo, jak tego, żeby Paul ją posiadał – tu i teraz. Czuje głęboką frustrację. Nie po raz pierwszy marzy o niemożliwym.

– Co znaczy *nie ma sensu*?

– Dokładnie to, co myślisz, że znaczy – odpowiada Maria opryskliwie.

Widzi w Paulu to, co muszą widzieć wszystkie kobiety – że jest przystojny, inteligentny i uczciwy, i że ona na niego nie zasługuje. Gdy są razem w towarzystwie, zwłaszcza fizyków, idealnie się uzupełniają. Ona kończy rozpoczęte przez niego myśli, on się zachwycą tym, co ją wprawiło w zachwyt. Nikogo tak boleśnie nie chciała przy sobie zatrzymać i nigdy nie czuła podobnego upokorzenia.

– Marie, nie podejmuj...

– Odejdiesz od niej?

Pytanie zaskakuje Paula. Mężczyzna bierze głęboki wdech, przekonany, że rozmowa skończy się czymś okropnym, jeśli natychmiast jej nie przerwie. Patrzy na Marię, zastanawiając się, czy jeśli opuści jej apartament, nie zostanie to odebrane jako demonstracja. Nie zauważa, że Maria jest bliska płaczu, a jej dłonie otwierają się i zaciskają, jakby nimi oddychała... z coraz większym trudem.

– Tak myślałam – stwierdza Maria, źle interpretując milczenie Paula. – W takim razie wyjdź i zapomnijmy...

Stoi wpatrzona w zamykające się drzwi i z nagłym zalem myśli, że Paul jej nie kocha. Ogarnia ją lęk, że jego żona ich rozdzieli, że wydarzy się coś strasznego, jakieś trzęsienie ziemi, które sprawi, że nigdy więcej nie poczuje na ustach zachłannych warg kochanka. Ma chęć rzucić czymś ciężkim o ścianę, wyjechać z Brukseli dokądkolwiek, byle dalej od fałszywych uśmiezków, które wszędzie ją witają, i kłamliwych *jak miło panią widzieć, madame Marie, jak się pani miewa?*

Otóż wcale się nie miewa, od miesięcy jest pusta, bez planów i widoków na przyszłość! Właściwie powinna podziękować Jeanne Langevin, że odkryła jej romans z Paulem i zapewne go przerwie. Może dzięki niej odzyska oddech?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Bruksela, 30 października 1911

Albert spogląda w stronę drzwi dokładnie w chwili, kiedy staje w nich Maria Curie. Rutherford słusznie przewidział, że jej wygląd go zaskoczy. Kobieta jest drobna i tak wąska w talii, że aż zdaje się to niemożliwe. Ma puszyste włosy, upięte w zachwycająco nonszalancki sposób. Sprawiają wrażenie żyjących własnym życiem. Hardo unosi głowę i błądzi wzrokiem po sali. Kolejni mężczyźni pozdrawiają ją ukłonem. Pani profesor wyraźnie kogoś wypatruje. Większość zebranych jest już po śniadaniu, niektórzy palą w wielkim holu i tych Maria Curie musiała właśnie minąć, pozostali wciąż jeszcze okupują salę jadalną. Rozmawiają w grupach.

Albert bez zastanowienia idzie w stronę Marii, robi to zresztą instynktownie zawsze, kiedy w towarzystwie zjawia się atrakcyjna kobieta. To silniejsze od zasad *savoir-vivre*'u. Grzywka młodego profesora, przeczesana naprędce palcami, sterczy w nieładzie, kontrastując z resztą wypomadowanych włosów. Mężczyzna gardzi sobą za chwilę słabości, która kazała mu ulec modzie, co jest sprzeczne z jego naturą.

– Proszę wybaczyć, że nie czekam, aż nas sobie przedstawią – zaczepia Marię. – Albert Einstein.

– Ach, to pan.

Maria Curie szuka wzrokiem Paula Langevina, zła na siebie, że go źle potraktowała. Z bliska widać, jak gładką ma skórę. Jedyne wokół oczu wyraźnie rysują się pierwsze zmarszczki, co tylko podkreśla jej urodę. A ta jest niezaprzeczalna, nieco chłodna w wyrazie, lecz zachwycająca.

– Miło mi... że pana widzę – mówi Maria, a ponieważ nie patrzy na Alberta, brzmi to nieco impertynencko. – Ja nie muszę się przedstawiać. – Jej szare oczy na moment zwracają się ku rozmówcy, twarz rozjaśnia uśmiech. Einstein słyszy własny żenujący rechot samca urzeczonego samicą. – Proszę wybaczyć, widzę kolegów z Francji.

Śmiech Alberta wybrzmiewa po jej odejściu, co jest jeszcze bardziej żenujące, gdyż wygląda, jakby mężczyzna śmiał się sam do siebie. Towarzyszy mu wyłącznie pozostawiona przez Marię smuga perfum.

Einstein nie spuszcza uczonej z oka. Otacza ją grupa Francuzów, w tym Langevin i Perrin, z którymi zdążył się zapoznać. Czuje ukłucie zazdrości, widząc, że są z nią w zażyłych stosunkach. Maria nie może ustać w miejscu. Raz po raz ustawia się do rozmówców innym profilem. Chwilami przypomina modelkę.

Zignorowała go. Albert Einstein jest świadomy, że przekroczyła zasady bon

tonu, ale po pierwsze, sam nigdy nie uważał się zobowiązany do ich przestrzegania, po drugie, elektryzuje go, jeśli kobieta jest niedostępna. Przynajmniej czasem. Czuje lekką irytację, kiedy widzi, jak Maria Curie kokietuje innych i posyła im znaczące, pełne erotyzmu spojrzenia; to nie powinno się zdarzyć podczas spotkań naukowych, gdzie spodziewał się wyłącznie merytorycznych dysput. Ma ochotę udowodnić Marii miałość, nijakość i brak profesjonalizmu. Nie umiałby wytłumaczyć dlaczego, lecz pragnienie to jest silniejsze od przyzwoitości.

– Napijemy się szampana?

Rutherford przychodzi w samą porę; jeszcze chwila, a Albert podszedłby do grupy Francuzów i zrobił coś nieodwracalnie głupiego.

– Picie o tej porze? – odburkuje.

Nieuświadomione i nieco paranoiczne pretensje do Marii Curie każą Einsteinowi wyładować złość na kimkolwiek. Pohamowuje się z najwyższym trudem.

– A co stoi na przeszkodzie? – Ernest Rutherford nie rozumie.

Einstein analizuje jego słowa. Ma chęć na alkohol, jak zawsze, gdy w zasięgu wzroku widzi *zwierzynę*.

– Właściwie czemu nie? – odpowiada, nie spuszczać wzroku z Marii, co bawi Ernesta, bo poznawszy słynną francuską Polkę, Albert zachowuje się zgodnie z jego przewidywaniami, czyli idiotycznie. – Może pójdziemy na spacer?

– Sądzę, że zorganizują wspólne wyjście.

Rutherford nie komentuje tego, że spacer jest jednym z punktów programu, który wszyscy otrzymali. Zdaje sobie sprawę z rozkojarzenia Einsteina.

– Pewnie zrobią nam zbiorowe zdjęcie – kontynuuje Albert, zastanawiając się, czy będzie im towarzyszyła madame Curie. – Przy odrobinie szczęścia zaczepi nas jakiś pismak.

Rutherford śmieje się na myśl, że młodszy kolega pragnie zaistnieć w mediach.

– Lubisz, gdy o tobie piszą? – pyta bez złośliwości.

– Lubię, gdy się mówi, że zasługuję na wysokie stypendia. Zainteresowanie prasy bardzo pomaga w zdobyciu sympatii ludzi, nie uważasz?

– Wywołaj skandal – proponuje Ernest, myślami coraz dalszy od rozmówcy.

– Wybacz, Albercie, mam krótką sprawę do Maxa Plancka. Zaraz wrócę.

Einstein jest zachwycony odejściem Rutherforda, ponieważ widzi, że francuscy koledzy zostawiają madame Curie samą. Ma ją teraz na wyciągnięcie ręki. Przez chwilę przygląda się białej bufce na jej rękawie, wzrok ześlizguje się z ramienia na krągłą pierś. Maria odwraca się, lustruje go bez słowa... poważnie, jakby próbowała go zniechęcić do kontaktu. Z pomieszczenia po lewej dociera do nich cichy dźwięk skrzypiec. Ktoś odbywa próbę.

– Ja również gram na skrzypcach. – Einstein wykorzystuje pretekst do

rozmowy.

Maria uśmiecha się, zwrócona do niego profilem.

– To miłe – rzuca beznamiętnie.

Miłe? Albert nie rozumiał uwagi, za to uświadamia sobie, że irracjonalna siła każe mu się narzucać uczonej, która nie może jaśniej dać mu do zrozumienia, iż jest natrętem. Łudzi się, że po prostu jest nieśmiała.

– Podobno gram całkiem niezłe – pogrąża się.

Irytuje go, że wpadł w sidła kobiety, choć wielokrotnie powtarzał, iż przydarza się to tylko głupcom. Kobiety są ograniczone i banalne. Szczerze w to wierzył.

– Najwyraźniej wszystko robi pan świetnie – kwituje Maria.

Słowa wypowiada miękko i z sympatią, mimo to Albertowi wydaje się, że są zabarwione drwiną. Ciarki przechodzą mu po plecach i zaczyna krążyć wokół niej jak elektron wokół jądra. To poniżające. Poniżające? Dlaczego sądził, że fertyczność Marii była czymś poniżającym? Może jest ruchliwa z natury? Nic w tym złego. Naukowiec beszta się w duchu za te bezsensowne rozważania.

– Mogę zagrać dla pani prywatny koncert – proponuje niepewny, czy Maria pamięta jeszcze, o czym rozmawiają.

– Nie trzeba. Wierzę panu – ucina madame Curie.

Z bliska wygląda na nieszczęśliwą. Zapytany, nie potrafiłby wyjaśnić dlaczego. Mają podobną strukturę włosów – lekko karbowaną, sprawiającą, że fryzura się unosi i wygląda niesfornie. Ich oczy są okrągłe, wyraziste. Czy to znaczy, że są bliźniętami? Albert chce powiedzieć coś sympatycznego, zabłysnąć intelektem, dać dowód inteligencji, z której przecież słynie.

– Domyślam się, że jest pani dumna z objęcia katedry na Sorbonie – zaczyna, ale Maria mu przerywa.

– A czy pan jest dumny z objęcia katedry w Pradze, panie Einstein?

A więc wie o nim więcej, niż się spodziewał. Świadomość tego miłe łechce próżność Einsteina.

– Oczywiście, madame Curie. Zwłaszcza z tego, że tak wiele osiągnąłem w tak młodym wieku – zapewnia bezczelnie i prowokująco. Miota się między uwielbieniem a niechęcią.

Madame Curie przestaje atakować. Śledzi teraz wzrokiem przystojnego Solvaya, który szerokim gestem zachęca uczonych do wyjścia z hotelu. Czekają ich zwiedzanie Brukseli.

– Ja także czuję satysfakcję – odzywa się Maria – choć wolałabym nie dziedziczyć katedry po mężu.

– Tak, naturalnie. Nie to miałem na myśli – rzuca w popłochu Albert, zawstydzony własną gruboskórnością. Nawykł dokuczać ludziom, ale madame Curie wydaje się nierzeczywista. Jakby nie była kobietą z krwi i kości, lecz

eteryczną mgiełką. Albert nie chciał jej urazić. – Wracając do mojej pracy w Pradze – chwytą się neutralnego tematu – z okien gabinetu widzę szpital psychiatryczny.

Maria przygląda mu się, a jej szare oczy połyskują w sztucznym świetle. Nie pogania młodszego kolegi.

– I wariatów – dodaje Einstein, kompletnie zbity z tropu, ponieważ nie wie, czy zainteresował kobietę, czy przeciwnie, ma go za kompletnego idiotę. – Czasem się zastanawiam, czy jest między nami jakaś różnica. Nami uczonymi a pacjentami szpitali psychiatrycznych. – Bezskutecznie czeka na choćby błady uśmiech Marii. Kobieta milczy, nie spuszczając z niego wzroku. – Dlaczego to pani nie bawi? – pyta Albert z niemal dziecięcą, wzruszającą pretensją w głosie.

– Przeciwnie. Ale nie nawykłam reagować podług czyichś oczekiwań. Pewnie pan już o tym słyszał – odpowiada Maria.

Jej zainteresowanie Einsteinem gwałtownie słabnie, co uczony wyczuwa, rzuca więc w przypływie desperacji:

– Niestety, nie. Rzadko się o pani mówi w kręgach, w których się obracam.

Madame Curie przygląda mu się jeszcze wnikliwiej, tak długo, że Albert czuje się nieswojo i kolejny raz stara się ratować sytuację.

– Pasjonuje mnie odchylenie promieni świetlnych w polu grawitacyjnym. Zwróciłem się do astronomów z prośbą o weryfikację hipotezy, że światło gwiazd ulega odchyleniu, gdy przechodzi w pobliżu Słońca.

– Nigdy nie byłam dobra z teorii, przykro mi – zbywa go, co jest gorsze od wymierzenia policzka, zważywszy na to, że Maria słynie z geniuszu. Ewidentnie nie uważa Alberta za partnera do rozmowy. Pochłania ją Paul.

Albert czuje, że ogarnia go wściekłość.

– Według pani jestem takim wielkim... ZEREM... że nie mogę pani nawet obrazić? – cedzi.

Maria wzrusza ramionami.

– Pańskie teorie są... bardzo względne, panie Einstein – mówi obojętnie. – Również te na temat kobiet – dodaje i oddala się, świadoma chyba wrażenia, jakie wywarła.

Albert nie wierzy w to, co usłyszał. Jej... chamstwo, bo jak inaczej to nazwać?... kompletnie go oszołomiło. Nagle zdaje sobie sprawę, jak podobne są zachowania Marii do tych, których on sam nigdy nie szczędził ludziom. Jest więc oburzony, a jednocześnie zafascynowany – wyglądem madame Curie, sposobem poruszania się, brzmieniem głosu i spojrzeniem, którym go oczarowała. Chce jej dopiec. Chce udowodnić, że jest jej wart.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Warszawa, 10 lipca 1884

Salon w mieszkaniu Skłodowskich nie imponował wyglądem. Stały w nim stare, odziedziczone po przodkach, proste meble, a jedynym dowodem dobrego gustu właścicieli i ich wrażliwości na piękno był wazon pełen kwiatów. Władysław Skłodowski, wdowiec samotnie wychowujący czwórkę dzieci, nie dbał o urządzenie wnętrza. Był zapracowany. Jego najstarsza córka Bronisława, która, chcąc nie chcąc, przejęła część obowiązków zmarłej matki, też nie miała do tego głowy. Jej pasją była nauka, co zresztą ojciec zaszczerpił wszystkim swoim dzieciom. Skłodowscy nigdy nie przesadzali z troską o mieszkanie. Zwykle wystarczało im, że jest czyste i funkcjonalne, a siostry Maria i Bronka prześcigały się w porządkach, jedna drugiej dając do zrozumienia, że są w domu niezbędną.

Siedemnastoletnia Maria – dotknięta do żywego tym, że starsza o zaledwie dwa lata Bronia za nic ma jej dobre rady – nie miała powodów do radości; nieprzeciętna uroda siostry akurat tego dnia krzyczała, uwidoczniając niejakość samej Marii. Najmłodsza latorośl Skłodowskich uważała się za rubensowską piękność, co jej zdaniem nie było, niestety, komplementem. Bronka zaś była szczupłą, miała zachwycające oczy w kształcie migdałów, pięknie wykrojone, lekko nadąsane usta, wyraźne kości policzkowe, idealnie zarysowany podbródek, włosy w lepszym niż Marii gatunku. Długo by wymieniać. Maria nieraz była świadkiem publicznego wychwalania zalet Bronki i przyznawała, że siostra zasługuje na każdy z prawionych jej komplementów. Na szczęście dla Marii to ona miała lepszą pamięć i dystansowała Bronkę w sprawach nauki. Była zachłanna na wiedzę. Wychowywała się w jej kulcie, w ogóle w kulcie pracy. Za sprawą ojca nikt w tym domu nie próżnował. Siostry i brat Józek a to odrabiali lekcje, a to czytali pasjonujące artykuły popularnonaukowe. Lubili zagadki, rozwiązywanie równań matematycznych, czytali felietony w gazetach, pochłaniali powieści i dramaty, chodzili na wycieczki krajoznawcze, prześcigali się w zapamiętywaniu obcych słówek. Wszyscy uczyli się doskonale, a najmłodsza Maria była wręcz mistrzynią. Jej pamięć wzbudzała podziw. W każdej szkole, do której uczęszczała, szybko zajmowała pierwszą pozycję. Ponieważ miała nadwagę, przez co rysom jej twarzy daleko było do klasycznego piękna, czuła, że chcąc wywrzeć na ludziach wrażenie, musi przewyższać rodzeństwo pod względem wiedzy. Nie zastanawiała się nad tym, działała instynktownie, potem nauka weszła jej w krew. W wieku siedemnastu lat Maria Skłodowska pozbyła się nadmiaru kilogramów, a jej twarz wysubtelniała. Niepostrzeżenie dziewczyna stanęła w jednym szeregu z pięknymi siostrami. Niestety, kompleksy pozostały. Uważała, że nadmierna koncentracja na kwestiach urody i stroju nie przystoi kobiecie o rozwiniętym intelekcie. Była kłębką sprzeczności, do tego po śmierci matki nauczyła się skrywać uczucia i często udawała kogoś, kim nie była.

– Nigdy nie uzbierasz pieniędzy na kilkuletni pobyt w Paryżu – oświadczyła tego dnia Bronce niemal z satysfakcją, mszcząc się za jej hardość, bo tylko hardość mogła tak bardzo zaślepić siostrę, że ta nie rozumiała oczywistych kwestii.

Dziewczęta znały zasady panujące w domu. Żadna nie podnosiła głosu, ale słycać było momentami, że zaczyna im to sprawiać trudność. Nie mogąc krzyczeć, w ciszy wyrywały sobie przedmioty wymagające odkurzenia.

– Na Boga, dlaczego tak mówisz? – zapytała Bronka, a jej ton wydał się Marii nieszczerzy i świętoszkowaty.

Czasem tropiła u rodzeństwa oznaki przywiązania do katolicyzmu, co było, jej zdaniem, głupotą w najczystszej postaci. Nikt nie modlił się więcej niż ona, kiedy umierała matka. Żarliwość tych modlitw powinna burzyć gmachy i wskrzeszać umarłych, ale Bronisława Skłodowska zmarła i jakby tego było mało, zmarła w konsekwencji swoich bardzo chrześcijańskich działań – zaraziwszy się od szwagra gruźlika, którym się opiekowała.

– Posłuchaj mnie do końca. Mam pomysł – zaczęła Maria, dochodząc do wniosku, że schowa dumę i spróbuje jeszcze raz. Powinna przedstawić Bronce szczegóły swego planu, który miał związek również z jej własną przyszłością. Przysiadła na kanapie, kładąc na kolanach wilgotną ściereczkę, i spojrzała na zniszczony dywan. Nie umiała znaleźć odpowiednich słów.

– Jaki plan? – odezwała się Bronka tym samym niechętnym tonem, który rozdrażnił Marię na początku rozmowy.

– Wyjedziesz na studia do Francji jeszcze w tym roku...

– Maniu, nie pleć głupstw.

– Nie mów do mnie Maniu! – wybuchnęła Maria, zrywając się z miejsca.

Temperament ją roznosił. Nie pojmowała, jak można być równie krótkowzrocznym i... tchórzliwym w gruncie rzeczy. Godzić się na to, co przynosi los, podczas gdy każdy głupiec wie, że los przynosi wyłącznie cierpienie. Szczęście wyrywa się siłą.

Z trudem się opanowała. Ich ojciec jest ubogi, trzeba to nazwać po imieniu. Ona i Bronka nie mogły się spodziewać pomocy finansowej z jego strony, za to popierał ideę ich studiowania, co, zważywszy na to, że były dziewczętami, nie stanowiło normy społecznej. Maria była mu ogromnie wdzięczna.

– Nie mów do mnie Maniu, to po pierwsze – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu – a po drugie, Broniu, tego, co zaoszczędziłaś, wystarczy ci na roczny pobyt w Paryżu.

– Nie bądź naiwna, Marysiu. Nie jest tak, że wyjadę na rok, a w tym czasie moja sytuacja finansowa diametralnie się zmieni. Wolę nigdzie nie wyjeżdżać, niż po roku wracać z niczym.

– Więc posłuchaj! Daj mi dokończyć!

Bronka podniosła głowę, zszokowana zachowaniem siostry. Nie tego je

uczono.

– Proszę, słucham – rzuciła, nie kryjąc ironicznego uśmiechu. – Odkąd chodzisz na zajęcia Uniwersytetu Latającego, zaczęło ci się zdawać, że wszystko jest możliwe.

Zamilkła, widząc wściekłe spojrzenie Marii, która przełknęła ślinę, czyniąc morderczy wysiłek, by zachować spokój.

– Wyjadę na wieś.

– Już to przerabialiśmy – zachnęła się Bronka i ponownie ucichła, nie chcąc prowokować siostry do kolejnego wybuchu.

Nie były w domu same. Ich jałowy spór przeszkadzał domownikom; dziw, że nikt ich jeszcze nie upomniął.

– Wyjadę na wieś – powtórzyła Maria – żeby uczyć tępe bachory bogatych ziemian. Wyjadę po to, żeby mnie utrzymywano i żebym wydawała na siebie jak najmniej. Większość zarobionych pieniędzy będę ci wysyłać do Paryża.

– To mrzonki. Nie udam się na drugi koniec Europy... sama... licząc na to, że młodsza siostra zarobi na moje utrzymanie.

– Dlaczego nie, do jasnej anielki?! – krzyknęła z bezsilności Maria.

– Bo to niepoważne, Maniu! – Bronka podświadomie dostrajała się do siostry, wobec czego obie wybuchały, po czym natychmiast zniżały głos do szeptu, by zaraz znów wybuchnąć. – Pracowałeś już u adwokata... – zająknęła się przy nazwisku i machnęła ręką z rezygnacją. – Czym to się skończyło?

– To nie w porządku! – zaoponowała Maria.

Bronka czuła żal do siostry, że ta rozdrapuje stare rany, znów rozbudza nadzieję, którą ona już z bólem pogrzebała. Nie miała szans na studia, tak się przedstawiała prawda. Pracowała, a pieniędzy nie przybywało. Udało jej się zdobyć środki na roczny pobyt w Paryżu i pojęła wreszcie, że studia nie są jej pisane. Więcej nie oszczędzi.

Ojciec wychował je tak, że ich pragnienia przerastały możliwości rodziny. W Polsce pod zaborem nie przyjmowano kobiet na uczelnie, a na wyjazd panien Skłodowskich za granicę brakowało pieniędzy. Mogły najwyżej doksztalcać się prywatnie. Bronka czuła się upokorzona na samą myśl o tym, że powinna szukać bogatego męża i liczyć na to, że zrozumie jej pragnienie zostania lekarzem i sfinansuje dalszą naukę. Już sam pomysł był tak żenujący, że dziewczyna z nikim nawet o tym nie rozmawiała.

– Bujasz w obłokach... Mario – rzekła chłodno.

– Nie masz lepszego pomysłu. Żadne z was – obruszyła się Maria. Zapomniała o sprzątaniu i dobrych manierach. Wielkimi, okrągłymi oczyma wpatrywała się w pożałowania godny, przetarty w paru miejscach dywan; jej wargi drżały. – Kim jesteśmy? – rzuciła z pretensją, jakby Bronka była odpowiedzialna za wszelkie ograniczenia w jej życiu. – Sierotami bez widoków na przyszłość,

wreszcie to sobie uświadom. Na wszystko brakuje pieniędzy. Ojciec nie odziedziczył majątku, zarabia tyle, co kot napłakał. W Warszawie... tu, na ziemiach polskich... nie mamy szansy na nic, nawet na dobre zamążpójście. Nikt nie zechce panien bez posagu. A w Paryżu może poznasz inteligentnego mężczyznę, który ci się oświadczy.

Spacerująca dotąd Bronka zatrzymała się przy oknie tyłem do siostry, żeby nie widziała jej wzburzenia i niechęci. Żal, który od miesięcy w sobie tłamsiła, znów ścisnął jej serce i wprawił ją w przerażenie. Maria przypominała posłańca złej wieści. Wszystkie obrzydliwe i wstydlive uczucia, które Bronia od siebie odpychała, skojarzyły jej się z młodszą siostrą i dławiąca gorycz przegranej znalazła nagle ujście w pretensjach pod adresem Marii. Ona była winna, że już na starcie odmawiano im respektu i szacunku! Że pragnęły studiów, choć pisano, że wyłącznie rozpasane i ograniczone umysłowo panny porywają się na czysto męskie zajęcia, a studia były przecież czymś takim. Ona mieszła Broni w głowie!

– Chcę studiować medycynę – oświadczyła Bronia, walcząc z gonitwą myśli i sprzecznymi uczuciami, jakie nią targaly. – Nie zależy mi na wyjściu za mąż.

– Nie każe ci wychodzić za mąż, nie przeinaczaj moich – Maria zająknęła się – intencji – dopowiedziała wreszcie. – Taka może być uboczna korzyść...

– Nie jestem pewna, czy kraj akurat tego od nas oczekuje – przerwała jej siostra bezceremonialnie.

Szyf także miał misję. Problem w tym, że nikt poza nim nie wierzył, że ta gigantyczna bezsensowna praca jednak ma sens. Bronia nie życzyła sobie marzeń. Nie zniosłaby kolejnej porażki.

Uspokoiła się, wzięła głęboki wdech i spojrzała na siostrę. Kiedy twarz Marii tak wyszlachetniała? Stała przed nią piękna rozdrażniona dziewczyna, która zachwycała pewnie niejednego mężczyznę. Bronka poczuła żal na myśl o tym, że uroda Mani cieszyć będzie tylko jej bogatych pracodawców.

– Masz przekonanie, że ktokolwiek... czegoś... od nas oczekuje? – zapytała Maria cicho, niemal łagodnie. – Mniejsza zresztą o to. Wykształcone kobiety są Polsce równie potrzebne jak mężczyźni. Nie tego uczył nas ojciec? Nigdy nie odzyskamy niepodległości, jeśli...

– Żadna z nas nie była w Paryżu! – Bronka nie pojmowała, co w Marię wstąpiło. Kusila niczym szatan Chrystusa na pustyni.

– Znamy mnóstwo ludzi, którzy odwiedzali Francję – upierała się Maria. – Pojedziesz tam, skończysz studia, zaczniesz zarabiać i zaprosisz mnie, a wtedy... – Spojrzała na nieprzejednaną minę siostry i przerwała.

Była sfrustrowana. Przyzwyczała się do tego, że jej ustępowano. Ustępowano, ponieważ miewała błyskotliwe pomysły, a jej przenikliwość zadziwiała rodzeństwo. Przyjęła za pewnik, że Bronia padnie jej w ramiona z wdzięczności za strategię, która umożliwi realizację najskrytszych pragnień,

tymczasem siostra kompletnie wsiąkła w polskie bagienko, zaakceptowała marazm, wyzbyła się marzeń i poprzestała na małym. Jak to w ogóle jest możliwe? Tyle wspólnie czytały, dyskutowały o powinnościach kobiet, wspierały się, podbechtywały, rywalizowały nawet. I oto Bronisława Skłodowska przyklaskuje żenującym wywodom Gabrieli Zapolskiej, że domeną kobiet nie są studia, lecz rodzina. Czemu? Co się stało? Maria wolałaby śmierć od kapitulacji.

– Dlaczego? To przecież nasza jedyna nadzieja – szepnęła. – Dla mnie i dla ciebie. – Osunęła się na podłogę i przyklękła przed siostrą, biorąc w dłonie brzeg jej sukni. – Zlituj się, Broniu – szepnęła błagalnie – musisz chociaż spróbować. W przeciwnym razie żadna z nas nie skończy studiów. To nieprawda, że lepiej nie zaczynać, niż być zmuszoną do powrotu przed ukończeniem nauki. Jeśli nie spróbujesz... jeśli nie dasz mi spróbować... nigdy ci nie wybaczę. – Łzy zdławiły głos Marii.

Bronce było przykro. Nie chciała zranić siostry, lecz uświadomić jej, że być może powinny szukać samorealizacji w innym obszarze... miejscu... innej sferze... gdzieś... Sama nie wiedziała gdzie. Czowała się za Marię odpowiedzialna.

– Nic nie wiemy o Paryżu – wróciła do twardych realiów.

– Ale znamy język francuski.

Upór siostry przerażał. Bronka bała się, że zaprowadzi ją kiedyś na skraj przepaści. Maria była zbyt gwałtowna, bezkompromisowa; dążąc do celu, zapominała o bożym świecie. Gdy czytała książkę, inne sprawy przestawały istnieć; opowiadała, dopowiadała, zmuszała wszystkich do słuchania, do dyskusji. Terroryzowała rodzeństwo. Każde z nich świetnie się uczyło, każde pragnęło zdobyć wykształcenie, lecz Maria się nie uczyła, ona... stawiała się nauką. Nie przyjmowała do wiadomości istnienia czegokolwiek poza swoimi zainteresowaniami. A potem, gdy się rzucała w wir zabaw, nie można jej było zmusić do lektury. Nieważne więc, co ją akurat pochłaniało, nauka czy rozrywka, oczekiwała, że wszyscy pójdą w jej ślady. Bronka była inna. Po śmierci matki czuła się odpowiedzialna za rodzeństwo. Nie mogła dokładać ojcu cierpień, uświadamiać mu, że jest...

– Akurat znamy język francuski – zakpiła, wyszarpując z rąk siostry rąbek sukni. – Do reszty oszalałaś.

– Jesteś tchórzem! Małym tchórzem! – Okrzyk zamarł Marii na ustach, kiedy zobaczyła ojca, ale było już za późno. Nie mogła się łudzić, że jej nie usłyszał.

– Co tu się dzieje? – spytał z irytacją. – Dlaczego podnosisz głos na siostrę?

Oboje wzrokiem odprowadzili Bronisławę do drzwi. Wyszła wzburzona i zawstydzona, że się przyczyniła do zakłócenia spokoju ojca.

– Nie mogę pracować przez wasze krzyki.

– Przepraszam, ojcze, że ośmieliłam się podnieść głos na twoją ukochaną Bronię – wypaliła Maria i dopiero wtedy Władysław Skłodowski naprawdę się

zdenerwował.

– Dlaczego *moją ukochaną*? – spytał wyniośle, świadom, że nie radzi sobie z emocjami dorastających córek.

Zaczął spacerować po salonie, zły na siebie za życie, jakie im zgotował. Nie powinny sprzątać ani zajmować się gotowaniem. Należało je ubierać w eleganckie suknie i wystawiać na sprzedaż. Mimowolnie zakrył usta dłonią, ponieważ myśl o sprzedawaniu dziewcząt była przewrotna i bolesna. Najlepsze, co mógł im ofiarować, to udane małżeństwo z kimś zamożnym, problem w tym, że nie dysponował majątkiem, który by to umożliwił.

Władysław bezwiednie szarpał posiwiałe wąsy, z niepokojem przyglądając się ukochanej Mani, najbardziej chyba do niego podobnej, o pełnych jak jego policzkach i przenikliwym spojrzeniu wielkich szarych oczu. Powinien ją zganić, lecz to przekraczało jego możliwości. Czuł niechęć do samego siebie.

– Usiądź, dziecko, przestań się miotać po salonie i wymachiwać rękoma.

Rzeczywiście, z Marią działo się coś dziwnego. Brakowało jej pokory, pokrzykiwała na siostrę, jej ruchy stały się gwałtowne, pozbawione kobiecości. Czyżby znowu nerwy odmawiały jej posłuszeństwa? Raz już musiał odseparować ją od normalnego życia i wymóc odpoczynek. Wysłał Manię na wieś do rodziny, gdzie spędziła cały rok. Pedagodzy twierdzili, że po śmierci matki zamknęła się w sobie. Cierpienie ją przerosło. Przepracowywała się, rzekomo znajdując w tym ukojenie.

– Mama też... – burknęła.

– Co *mama też*? – przerwał córce.

Ton jej głosu mówił mu, że lepiej zdławić gniew w zarodku, niż pozwolić na jego eskalację, co mogło się zakończyć nieprzyjemnie dla obojga.

– Nic, tato. Wam, rodzicom, zdaje się... – Maria z uporem powracała do jakichś niewypowiedzianych pretensji pod adresem matki i ojca.

– O co kłócisz się z siostrą? – zapytał łagodnie. – Co ci zrobiła świętej pamięci mama?

– Stwierdzam tylko fakty. Ty mnie tego nauczyłeś. Że fakty są najważniejsze.

Mania najwyraźniej o coś go oskarżała. Władysław był zdumiony. Usiadł na kanapie. Położył obie dłonie na pokaźnym brzuszku i przyglądał się córce.

– Jakie według ciebie są fakty? – zaczął. – Spójrz mi w oczy i spokojnie powiedz, co się stało. Wszystko da się wyjaśnić.

– Nie wszystko, tato. Nie ma sensu o tym rozmawiać. Mama nie żyje.

Z każdą sekundą rozumiał ją mniej, czuł jednak, że nadszedł czas na poważną rozmowę. Kolejny raz nie bez satysfakcji pomyślał, że ma piękne córki. Przyciągały spojrzenia mężczyzn na ulicy. Wyjątkowe i wykształcone, nowoczesne, wielkoduszne, zaangażowane, pełne patriotyzmu. Skarby. Cuda. Miał

cichą nadzieję, że uroda przyniesie im lepszy los niż ten, jaki był w stanie im zapewnić.

– Wyjaśnij mi, proszę, jakie masz pretensje do świętej pamięci matki – nakazał przekonany, że może pozwolić dzieciom na swobodę wyrażania uczuć, niemniej kalandrię pamięci matki winien ganić, i to zdecydowanie. Nie czuł się powołany do wychowywania dojrzewających córek. Ośmieszał się. Nie rozumiał ich, wprawiały go w zakłopotanie. Często wyręczał się Bronisławą, najstarszą z dzieci pozostałych przy życiu, nie bardzo jednak wiedział, co ma zrobić wobec konfliktu Mani właśnie z pocziwą, cierpliwą jak mało kto Bronią. – Matka kochała was całym sercem – mruknął zmieszany.

– Tyle że nie wszystkich jednakowo – wypaliła Maria.

– Słucham? – Władysławowi Skłodowskiemu podskoczyło ciśnienie.

– Unikała mnie – rzuciła bezlitośnie Maria, świadoma, że sprawia ojcu przykrość.

– Masz siedemnaście lat... dziewczyno... nie pamiętasz, co zabiło matkę? – oburzył się nie na żarty. – Gruźlica! Nie uważasz, że czas zmądrzeć? Jak śmiesz czynić matce zarzut z tego, że cię unikała? Lekarze zabronili jej kontaktu z dziećmi... nazbyt bliskiego. Serce jej krwawiło, gdy na ciebie patrzyła. – Nie pojmował zarzutów Mani, za to pamiętał doskonale rozpacz żony, której zabroniono dotykania dzieci, zwłaszcza najmłodszej córki.

Maria skuliła się i pochlipywała.

– Uspokój się i przestań płakać – burknął. – Skoro jesteś wystarczająco dorosła, by wyrzucać matce obojętność, powinnaś mieć odwagę wysłuchać prawdy.

Dobry nastrój Władysława nieodwoalnie prysł. Zobaczył naraz swoje siermiężne mieszkanie, w którym każdy sprzęt był bladym wspomnieniem lepszych czasów, i zrobiło mu się żal ambitnych córek. Był bezradny wobec tego, co je w życiu spotka. Czuł się winny. I zbyt stary, by cokolwiek zmienić. Śmierć żony Bronisławy odebrała mu energię, wolę walki. Godził się na to, co ma, a miał niewiele. Pensja żony długo stanowiła połowę dochodów rodziny, później musiał sobie radzić sam. Słuchając swoich dzieci podczas rodzinnych spotkań, czuł dumę – zaszczerpił im ambicję, były zdolne, uwrażliwione na kwestie społeczne, nie godziły się na bylejakość egzystencji – ale... Dokąd je miała zaprowadzić ta ambicja? Dokąd i z czyją pomocą? Bo chyba nie jego, którego życie runęło wraz ze śmiercią ukochanej żony? Kto, jeśli nie on, był odpowiedzialny za zaproszenie śmierci do domu? To jego chorym bratem troskliwie opiekowała się nieszczęsna Bronisława, po czym przegrała z przeznaczeniem. Wiele razy zastanawiał się, czy nie lepiej by się stało, gdyby to on umarł na gruźlicę, pozostawiając żonę z piątką dzieci. Może nie umarłaby ich córka Zosia? Może nie byłoby problemów z Manią? Nie sprawdził się w roli ojca. Tak się przedstawiała prawda.

– Zależało jej na mnie? – usłyszał.

Poczuł w gardle gorzki szloch.

– Jak możesz pytać?

Wstał ciężko, podszedł do córki i otoczył ją ramieniem. Nie był już smukłym, przystojnym mężczyzną, który kiedyś poślubił piękną Bronisławę Boguską. Stał się korpulentnym zapracowanym człowieczkiem. Tyle że jego praca nie przynosiła efektów. Pamiętał zażenowanie i wstyd, gdy przed laty uczestniczył w jakimś zgromadzeniu rodziców. Dzieci wybiegły ze szkoły, pomiędzy nimi drobna, żywa Maria, on zaś dostrzegł na tle dziesiątek podobnych do niej szkrabów lichotę jej ubrania i poszarzały ze starości, biały kiedyś kołnierzyk.

– Maniu, pracuj nad sobą – szepnęła, całując włosy córki. – Zaczynam się o ciebie bać. Matka kochała cię do szaleństwa. Wszystkich was kochała. Byłaś najmłodsza, o ciebie więc bała się najbardziej. Przerazała ją, że niechcący wyrządzi ci krzywdę.

– Nigdy jej przy mnie nie było.

– No, nie było, dziecko, tak się ułożyło.

Nadal stał mu przed oczyma obraz małej Mani zaglądnącej do sypialni matki. Nie myślał wtedy, co czuła, ponieważ drżał o żonę. To prawda, że Marii dali najmniej miłości rodzicielskiej – pieszczot, pocałunków i przytuleń. Jedno z nich umierało, drugie... także; na swój sposób.

– Co się z tobą dzieje? – spytał, nieciekawym odpowiedzi; ot, z samej przyzwoitości.

– Czuję się, jakbym była w więzieniu. Nie mam widoków na przyszłość.

Tego się nie spodziewał. Jasne oczy córki przypominały mu spojrzenie żony. Z bólem odwrócił głowę.

– O jakich widokach mówisz?

– Na przykład doświadczenia, które wykonywałam w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa – zaczęła Maria, co napełniło ojca jeszcze większym zdumieniem. – U naszego kuzyna Józefa Boguskiego. Uczyłam się tam analizy chemicznej, robiłam doświadczenia. Mogłabym tak pracować całe życie. Jaką ja mam przyszłość przed sobą?

– Ale, dziecko, co ty chcesz osiągnąć? – spytał oszołomiony irracjonalnością wypowiedzi córki. Doświadczenia? Analizy chemiczne? W taki sposób postrzegala swoją przyszłość?

– Chcę być kimś – rzuciła twardo, odsuwając się od ojca. – To takie dziwne? Kimś, tato. Nie czyjąś żoną, tylko kimś.

Władysław znieruchomiał, kompletnie nie wiedząc, jak zareagować, i po raz pierwszy w życiu cieszył się, że Bronisława tego nie dożyła. Nie był idealnym ojcem, ale robił przeciwieństwo wszystko, żeby... Płacząca Maria nie pozwalała mu myśleć. Czuł się niewolnikiem jej żalnego szlochu.

– Może powinnam zostać aktorką – powiedziała chwilę później, siląc się na spokój, celowo żartobliwym tonem, żeby rozładować napięcie.

Wstydziała się, że zadaje ojcu ból, a jednocześnie wiedziała, że musi zneutralizować własny, w przeciwnym razie oszaleje.

Władysław nie zrozumiał jej, nie docenił wysiłku, z jakim powstrzymała płacz. Przypominali obcych sobie ludzi, rozpaczliwie próbujących znaleźć wspólny język.

– To, co mówisz, wcale nie jest zabawne – rzekł wreszcie. – Naczytałaś się głupstw. Wolę nie wiedzieć, gdzie i z kim. Nie jestem pewny, czy Uniwersytet Latający dobrze ci posłużył. Zależy mi na waszym wykształceniu, jednak pewnych barier w życiu nie przeskoczysz.

– Tatku, nie gniewaj się. – Mania, wyjątkowo wrażliwa na nastroje innych, rozpląkała się. – Ja tylko zaproponowałam Bronce, że zarobię na jej studia.

– Zarobisz na jej studia?! – Władysław krzyknął po raz pierwszy od niepamiętnych czasów. – Jakim cudem, skoro ja nie mogę?

– Znajdę dobrze płatną pracę na wsi... z pełnym utrzymaniem. – Maria z ożywieniem zaczęła roztaczać swoją wizję, wcale niezrażona zachowaniem ojca. – Będę jej wysyłać swoje oszczędności. Jeśli mnie wesprzesz, Bronka skończy medycynę, zacznie zarabiać...

– Zastanów się nad sobą, Mańka!

W drzwiach stanął Józek, brat Marii. Był wzburzony.

– Jesteś... – próbował znaleźć odpowiednio mocne określenie, wreszcie jednak zrezygnował, uznawszy obrażanie siostry za niegodne kulturalnego mężczyzny. Dokończył szyderczo: – Wiemy, że jesteś genialna... że masz najlepszą pamięć, najszybciej rozwiązujesz zadania, wszystkim się podobasz. Piramidy egipskie przy tobie – skrzywił się lekceważąco – to żaden cud.

– Wystarczy, Józiu – przerwał ojciec. – Naigrawanie się z kogoś...

– Nie wyśmiewam jej, tato. – Józef, przystojny młody mężczyzna, jak całe rodzeństwo podobny do rodu Boguskich, z ich miękko zarysowanymi pełnymi wargami, nie dał się uciszyć. – Tylko niech się czasem zastanowi – zacinał się ze złości – jak my się czujemy. Wciąż daje nam do zrozumienia, że jest naj-lepsza.

– Nieprawda! – próbowała go zakrzyczeć Maria.

Stanęli naprzeciwko siebie, pełni gniewu, w postawie niedopuszczalnie agresywnej, co przeraziło Władysława do tego stopnia, że kolejny raz tego dnia kompletnie oniemiał.

– Prawda, nie udawaj, że ci to nie sprawia satysfakcji! – darł się Józek. – Wszystko potrafisz najlepiej!

– Odczep się!

– Maniu, zważaj na słowa – upomniał córkę Władysław.

– Znów coś wymyśliłaś, a my mamy ci przyklasnąć i realizować twoje

pomysły – kontynuował nieco spokojniej Józek.

– Nie każę wam niczego realizować. Złożyłam obietnicę we własnym imieniu.

– Nikt cię o to nie prosił. Zdajesz sobie sprawę, w jakiej sytuacji stawiasz ojca? Twierdzisz, że nie potrafi zarobić na studia córki, podczas gdy ty... ty... uzbierasz całą kwotę.

Maria otworzyła usta, nie znalazła jednak dobrej riposty.

– Dajesz Bronce jakiś wybór? – spytał Józek lodowatym tonem. Długo patrzył na skuloną nagle siostrę – bardzo kruchą, sięgającą mu zaledwie do podbródka. – Każesz jej po prostu jechać do Paryża, ponieważ TY tak postanowiłaś. Z nikim nie rozmawiałaś, niczego nie konsultowałaś. Jak zawsze zresztą. Genialna, wspaniała Maria Skłodowska i jej równie genialne, wspaniałe pomysły. – Prychnął, widząc łzy w oczach siostry. – To jest właśnie twoja odpowiedź na wszystko... płacz i obrażanie się – rzucił zrezygnowany.

– Chciałam Bronce pomóc! – krzyknęła Maria, czując, że przegrywa, i nie rozumiejąc, dlaczego nagle cała rodzina obróciła się przeciwko niej. Oślepli? Postradali rozum?

– A pytałaś kiedyś, czy ona potrzebuje twojej pomocy? – Józek zaśmiał się ironicznie.

– Przestań. – Głos Bronki przypominał smagnięcie bicia. Dziewczyna wkroczyła do salonu, nie mogąc ścierpieć awantury, którą poniekąd sama wywołała. Zastała bezradnego ojca i skaczące sobie do oczu rodzeństwo, co było żalosalne i pozbawione klasy. W ich domu nikt nie miał prawa podnosić głosu. Takie zasady ustanowiła matka i dopóki Bronka żyła, dopóty nie wolno ich było łamać. – Uspokójmy się. Może Mania ma odrobinę racji. Bez rzucenia się na głęboką wodę nic z naszych planów nie wyjdzie.

– O, na pewno. – Józek nie dawał za wygraną. – Mania jest niesamowita.

– A ty mi zazdrościsz!

– Manieczko – upomniał ją ojciec bez przekonania.

– Tobie zazdrościsz? – Józek ryknął śmiechem. – Rzeczywiście miałbym czego. – Stał przed siostrą i spojrzał na nią z góry, wydymając pogardliwie usta. – Uczę się nie gorzej od ciebie. Zajdę dalej...

– Nie bądź taki pewny. – Maria odepchnęła brata, robiąc równie pogardliwą minę.

– Oszalałaś. Kompletnie oszalałaś. Zapisz się do sufrażystek i maszeruj po ulicach z transparentem w dłoniach – podpowiedział drwiąco.

– Uspokójcie się!

Krzyk ojca był czymś tak niesamowitym, że rodzeństwo jak na komendę zamilkło. Józef, student Uniwersytetu Warszawskiego, wsparł się dłonią o framugę okna, udając, że obserwuje ruch uliczny. Wzburzyło go zachowanie siostry.

– Wybacz, tato – szepnął, starając się opanować – ale czasem trudno słuchać jej wiecznych pretensji. Wciąż jest z czegoś niezadowolona, bezustannie ma żal, że świat jest taki, a nie inny. Szarga nawet dobre imię mamy. – Rzucił okiem na siostrę i dostrzegł, że znów płacze. – Zostań... nie wiem... filozofem czy pisarką. Będziesz nawoływać ludzi do przemiany duchowej. Pod warunkiem że ktoś cię zechce czytać. I zacznij leczyć nerwy; ciągle ryczysz. Szantażujesz nas tym swoim płaczem. Czasem mam naprawdę dość. – Powiedziawszy to, Józef opuścił salon.

Bronka westchnęła ciężko i usiadła obok siostry. Przytuliła ją bez słowa. Wszystko z biedy, pomyślała z żalem, tylko z biedy. Żadne z nich nie zazdrościło przecież drugiemu. Gdyby nie chroniczny brak środków, obie studiowałyby już w Paryżu.

Bronisława rozmarzyła się. Wyobraziła sobie, że jest po studiach medycznych na Sorbonie i ma własny gabinet. Widziała w myślach elegancką kamienicę, szerokie schody, lśniącą poręcz, na drzwiach wizytówkę ze swoim imieniem i nazwiskiem. Pomagałaby biednym, jak teraz. Biedniejszym nawet, takim, o których nikt na świecie nie dba. Tylko czy ukończyłaby męskie studia? Ojciec twierdził, że bez trudu, ale to ojciec... Kochał ich wszystkich do szaleństwa, nie był obiektywny.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Bruksela, 31 października 1911

Albert zbiega ze schodów, zdziwiony, że koledzy jeszcze nie wyszli z hotelu, lecz dyskutują z ożywieniem w holu, pałac. Dym papierosowy i cygarowy unosi się nad nimi na podobieństwo chmury burzowej. Fizyk uwielbia palić, lecz nie znosi dymu, kieruje się więc ku tym, których zajmuje wyłącznie rozmowa.

Max Planck chichocze, raz po raz głaszcząc się po wysokim czole, jakby z przyzwyczajenia szukał włosów, których linia przesunęła się o kilka centymetrów ku tyłowi głowy. Nadrabia miną, ale bliskość sławnych kolegów wciąż go onieśmiela. Profesor Lorentz wygłasza monolog przed Ernestem Solvayem, ten zaś słucha z zainteresowaniem. Wygląda imponująco. Jego wielka piękna głowa, okryta śnieżnobiałą siwizną, robi wrażenie na Einsteinie. Solvay jest pogodny, ma nienaganne maniery. Niczego nie musi udawać, najmniej, że jest kimś wartościowym.

– Coś mnie ominęło? – pyta Albert Plancka. – Dlaczego nie idziemy w miasto?

Einstein uwielbia spacerować. Jest zachwycony, że w programie kongresu są przewidziane codziennie. Ma nadzieję, że podczas pieszej wycieczki zbliży się do madame Curie. Wczoraj mu się nie udało. Rozmawiała z Langevinem i Perrinem. Dzisiejszy spacer skończą w słynnej knajpie, gdzie dostaną obiad. Wystarczy, że ubiegnie dwóch Francuzów podczas zajmowania miejsc przy stole.

Albert ma na sobie długi płaszcz, lekko wyświechtany, jak twierdzi jego żona Mileva, której brakuje już sił, by nauczyć go porządku i schludności. Mężczyzna gardzi podobnymi błahostkami. Strój jest potrzebny, by nie marznąć. Albo nie narażać ciała na otarcie. Owszem, Albert lubi robić wrażenie, czasem więc wkłada coś nowego, owija szyję białym szalem, przyczesuje włosy i rusza na podbój świata, zwykle jednak szkoda mu czasu na pindrzenie się przed lustrem.

– Spacer odwołany?

– Czekamy na naszą gwiazdę – wyjaśnia Max.

– O której gwiazdzie mowa? – dopytuje Albert, mimo że ma stuprocentową pewność, iż chodzi o madame Curie.

– Madame Curie dostała telegram, że przyznano jej drugiego Nobla – oświadcza Planck i ponownie nerwowo chichocze.

Albert czuje dreszcz. Z udawanym znużeniem przygląda się długim lśniąącym ladom recepcji. Wszystkie wnętrza hotelu Metropole są imponujące, myśli, a kto twierdzi, że nie lubi luksusu, jest wierutnym kłamcą. Einstein kocha niekończące się godziny, które spędza nad książkami i kartką papieru, kiedy jednak

dane mu jest zagłębić się w fotelu z miękkiej skóry, poczuć zapach drzewa sandałowego, słyszeć miły odgłos kroków kelnera, trzymać w dłoni szklanekę z uderzającą do głowy whisky, wie, że żyje. Po to właśnie goni się za sławą.

Nie dowierza Planckowi i jego rewelacjom.

– Drugiego Nobla? Jakim cudem? – pyta.

– O, i to jest dobrze postawione pytanie – włącza się do rozmowy Emil Warburg. – Farsa, panowie, zwykła farsa. Nie wiem, co o tym myśleć.

– Dwa razy przyznać najwyższe wyróżnienie za to samo – dodaje ktoś inny – stanowcza przesada.

– Panie profesorze, bądźmy sprawiedliwi, madame Curie dostała tę nagrodę w innej dyscyplinie.

Albert Einstein, Max Planck i Ernest Rutherford odsuwają się od starszych kolegów, z góry wiedząc, co mają do powiedzenia. Einstein wspiera się o ladę recepcji, zagląda za nią, ciekawy szczegółów wystroju, które pozostają ukryte. Tu i ówdzie kręcą się dziennikarze, również reporterzy z kamerami. Wycelowali je w drzwi windy, jakby spodziewali się, że za chwilę zjedzie nią madame Curie.

– Naprawdę? – mruczy Albert, wciąż nie mogąc uwierzyć, że gwiazda Marii Curie rozbłysła jeszcze jaśniej i nie ma już chyba szans, by on, biedny profesor z Pragi, wkradł się w łaski uczonej. Zresztą nie zależy mu na jej poparciu. Fascynuje go jako kobieta i jest to nieco poniżające, zważywszy na to, jak go potraktowała.

– Wyróżniono ją w dziedzinie chemii – słyszy Rutherforda. – Za odkrycie polonu i radu.

Recepcjonista, młody chłopak w ozdobnej liberii, zbliża się do nich z uprzejmym uśmiechem. Ma dołeczki w policzkach.

– Bała się czytać telegram – informuje z satysfakcją.

– Wcale się nie dziwię – zauważa Max, a jego zaczerwienione z zimna dłonie znów lądują na wysokich zakolach czoła. – Telegramy przynoszą same złe wiadomości.

– Widać nie zawsze – kwituje Ernest, którego drugi Nobel dla Curie lekko rozdrażnił. Uważa, że świat zszedł na psy, a kapituła nagrody z niewiadomych względów chce się kobiecie przypodobać.

Dziennikarze robią się nerwowi.

– To zależy, jak się na to spojrzysz – mówi z uśmiechem Max Planck. – Biorąc pod uwagę jad, którym jej teraz zatrują herbatę, nic dobrego z tego telegramu nie wyniknie. Czyli... miałem rację.

Einstein zostawia kolegów i zmierza w stronę madame Curie, która właśnie pojawiła się na schodach. Ma na sobie suknię z jasną twarżową wstawką, widoczną spomiędzy półrozpiętego, przypominającego wojskowy płaszcz. Jedną ręką machinalnie koryguje fryzurę, w drugiej trzyma przewodnik po Brukseli. Szuka

kogoś wzrokiem.

– Moje gratulacje – mówi Albert, siląc się na spokój. Zdaje sobie sprawę, że ma fizjonomię idioty, jak to sam określa w przyпыlywie masochizmu, chociaż jest niebrzydki i podoba się płci przeciwnej. Dlatego często bywa ironiczny. – Do wczoraj miałem wątpliwości, które z nas jest genialniejsze.

Śmieje się, zachłannie lustrując twarz Marii. Jest w niej coś ponętnego, zwłaszcza oczy przykuwają jego uwagę. Ociekają erotyzmem, myśli. O dziwo, pani profesor tym razem go nie ignoruje.

– Nie spodziewałam się, że wiadomość równie szybko się rozejdzie – stwierdza kłamliwie.

– Z prędkością światła, madame Curie.

Doświadczywszy dzień wcześniej kompletnej obojętności z jej strony, Albert jest pewien, że Maria natychmiast uda się w kierunku grupy Francuzów, tymczasem ona zatrzymuje się, uprzejmym uśmiechem dając do zrozumienia, że słucha go z uwagą. Einstein czuje miłe ciepło, gdy obserwuje niesforne kosmyki włosów, których nie udało jej się zniewolić i upiąć z tyłu głowy. Dałby wiele, żeby ujrzeć je w nieładzie, rozsypane na poduszce. Napotyka wyzywające spojrzenie Marii, zupełnie jakby przeświałała go na wylot promieniami rentgenowskimi, i w popłochu przenosi wzrok na profesora Lorentza. Ma nieodparte wrażenie, że niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki on i jego rozmówcy stali się niewidzialni. Nikt im nie przeszkadza.

– Czy mogłaby się pani zająć również medycyną? – pyta niespodzianie.

Zdaje sobie sprawę, że w obecności Marii jego słowa wyprzedzają myśli. Chciałby strzelić sobie w łeb. Za bardzo się stara, za bardzo mu zależy. To dziwne, ponieważ nigdy nie demonizuje kobiet. Może poza własną matką, która potrafi go zdyscyplinować i doprowadzić do obłądu.

Powszechnie szanowani profesorowie zachowują się nie lepiej od swoich studentów – przekrzykują się i są niesforni. Organizator kongresu Ernest Solvay bezradnie rozkłada ręce, najwyraźniej w odpowiedzi na uwagę rozmówcy, że go nie słyszy.

– Na co czekamy? – pyta madame Curie z tą samą co dzień wcześniej uroczą obojętnością na sprawy nurtujące Einsteina.

– Solvay udziela wywiadu „New York Worldowi” – informuje grzecznie Albert, mimo że oboje widzą przecież to samo. – Więc? – ośmiela się zapytać, choć nie wierzy, aby Maria pamiętała zadane przed minutą pytanie.

– Dlaczego medycyną, panie Albercie?

Jednak go słuchała! Albert zaczyna się popisywać. Wstępuje w niego Zły. Bywa wtedy przekorny i ironiczny.

– Mieszkam w Pradze, blisko Warszawy – zaczyna, świadom, że nastąpi teraz wielka improwizacja, której końca nawet on nie umie przewidzieć – ale

jestem pewny, że nie macie w Warszawie podobnych problemów. Siłą rzeczy zaraz po przeprowadzce nad Wełtawę zająłem się urządzaniem mieszkania.

Madame Curie nie odrywa wzroku od twarzy młodszego kolegi, mimo że zatrzymuje się przy nich Ernest Rutherford. Jej oczy nie tracą ironicznego błysku.

– Kupiłem zapchlony materac, więc mnie to paskudztwo oblaźło, i jakby tego było mało, gdy gasiłem pożar w pokoju służącej, zaatakowały mnie pluskwy.

Co robił nocą w pokoju służącej? Rutherford kryje uśmiech. Einstein ma opinię dziwkarza, co jest nieco zaskakujące, zważywszy na jego młody wiek. Możliwe, że wynika to z gadulstwa fizyka. W towarzystwie zawsze stara się grać pierwsze skrzypce.

– Musiałem wziąć kąpiel. Mieszka pani w Paryżu, nie ma więc pojęcia, czym to grozi w Pradze. Wodę do kąpeli pobiera się tam prosto z rzeki. Jest ohydną brązową zawiesiną o nieznanym składzie – coś w sam raz dla chemika. Odkryłaby w niej pani niejedną pierwiastek radioaktywny. Niestety, kąpiąc się w czymś takim, raczej bym nie dożył ogłoszenia pani odkryć. Na pewno będzie mi potrzebny dobry lekarz.

– Polecę panu swoją siostrę i szwagra – obiecuje Maria wesoło, oswoiwszy się z faktem, że nikt jej nie prosi o udzielenie wywiadu.

– Oboje laureaci Nobla? – pyta z przekąsem Einstein.

Przytłumiony chichot Marii dociera, o dziwo, do najdalej stojących szacownych kolegów, gdyż zaczynają się im przyglądać.

– Niewykluczone, że w przyszłości – mówi madame Curie, wyraźnie zadowolona z tego, że wreszcie budzi jakieś zainteresowanie.

Prostuje się, co sprawia, że jej szyja wydaje się dłuższa.

– Proszę nie drwić – strofuje ją zartobliwie Einstein. – Grozi mi tyfus i dżuma.

Mężczyźnie się wydaje, że szampan uderzył mu do głowy... z jednodniowym zresztą opóźnieniem. Uczucie jest przyjemne. Patrzyłby na Marię bezustannie, próbując dociec, co sprawia, że jest tak urocza.

W drodze do Brukseli myślał, że zmarnuje kilka dni, które mógłby poświęcić na rozwinięcie swojej nowej teorii, teraz wydaje mu się, że trafił do przedsionka nieba. Maria go urzekła.

– Naprawdę Praga jest tak niebezpieczna? – włącza się do rozmowy Ernest Rutherford, rozbawiony zachowaniem Alberta Einsteina.

Nie dziwi go, że madame Curie się podoba, lecz to, iż zainteresowanie może się objawiać w równie beznadziejny sposób. Einstein nie przestaje się uśmiechać. Przypomina ucznia zapatrzonego w mistrzynię.

– Mówię prawdę – tokuje, przestępując z nogi na nogę. – Powietrze pełne jest sadzy, rozpalone letnim słońcem mury gmachów są nie do zniesienia. Praga ma w sobie coś przynębiającego. To piękne stare miasto z ciekawą architekturą, nie

zaprzeczam, ale żyć w nim ciężko. Moja żona wciąż narzeka.

– Jak wszędzie pod cudzym panowaniem – oświadcza Maria ze znużeniem, jakby obserwacje Einsteina były wynikiem naiwności.

– Chodzi o sytuację Polski? – chwyta w lot młody uczonek; pragnie się wykazać przenikliwością. – Ale pani, madame Curie, jest jednak bardziej Francuzką niż Polką, mam rację?

Maria Curie rzuca mu szybkie, niechętne spojrzenie. To zdumiewające – cała jej postać wyraża lekceważenie dla Einsteina. Widać to nawet w ruchu głowy. Tylko ona się odwraca, podczas gdy reszta ciała pozostaje w bezruchu.

– Nie ma pan racji – kwituje kobieta. – Ma pan za to bajeczną łatwość stawiania szokujących hipotez.

– Przepraszam, jeśli panią uraziłem. – Albert wpada w lekki popłoch. Wydaje mu się, że pani profesor jest o krok od opuszczenia jego towarzystwa, za wszelką cenę pragnie więc ją zatrzymać.

– To ja przepraszam. Nie wiem, co we mnie wstąpiło – mówi niespodziewanie Maria.

– Szatan – podpowiada Albert i natychmiast gryzie się w język.

Madame Curie ożywia się. W jej oczach błyszczą wesołe iskierki, twarz promienieje.

– Myśli pan, że w niewierzących też wstępuje? – Śmieje się.

– O tak, jestem doskonałym przykładem. Słynę z chamstwa, lecz... proszę mi wierzyć, nie miałem złych intencji. Udział mego kraju w tragedii Polaków nie napawa mnie dumą. Choć co właściwie oznacza *mój kraj*? Mam obywatelstwo szwajcarskie, jestem też poddanym...

– Podobno zamknęliście Apollinaire'a za kradzież *Mony Lisy* z Luwru – wchodzi mu w słowo Rutherford, kompletnie nieciekawym obywatelstwa Einsteina. Ma dość błaznowania kolegi.

Maria lekko kiwa głową.

– Owszem, chociaż ja akurat w to nie wierzę – odpowiada.

– Jest poetą, a Polki są podobno bardzo romantyczne. – Albert stara się wyjaśnić brak wiary madame Curie w winę Apollinaire'a, mimo że nie ma czego wyjaśniać. Z punktu widzenia kolegów sprawa jest całkiem błaha.

– Zapewniam pana, Albercie, że nie jestem romantyczką.

Ernest nie wytrzymuje paranoicznej, jego zdaniem, konwersacji. Oddala się, nawet nie przepaszając.

– Szkoda. Kobieta tej urody... – zaczyna Einstein, nic sobie nie robiąc z cichego, pełnego irytacji fuknięcia odchodzącego Rutherforda.

Solvay skończył rozmowę z dziennikarzem. Zbliży się teraz do każdej grupy profesorów, informując o czymś, prawdopodobnie za ile minut opuszczą hotel.

– Nie działają na mnie męskie komplementy – kłamie Maria.

– Szkoda do kwadratu – mówi Albert, a palce jego prawej dłoni przez ułamek sekundy muskają rękaw płaszcza uczonej. – Ma pani piękne włosy.

– Tak, to prawda.

Einstein wybucha głośnym śmiechem, ale nie jest to oznaka uwielbienia. Dociera do niego, że znów jest żaloszny, a madame Curie traktuje go niczym natręta.

– Zdeprawowana uwielbieniem – stwierdza mimo to. – Chciałbym z panią kiedyś porozmawiać szczerze, bez pośpiechu. O tym, co robię jako fizyk, o teorii promieniowania...

– Nikt mnie jeszcze nie uwodził rozmową o teorii promieniowania – kpi Maria.

– Dlaczego pani sądzi, że ją uwodzę?

– Proszę mi wybaczyć. – Kobieta poważnieje.

– Niech mnie pani nie przeprasza. To takie czarujące słyszeć z pani ust... mieć świadomość, że jestem w pani oczach... móc wierzyć, że dostrzega pani we mnie... – Albert rezygnuje z próby nazwania tego, co czuje. Traci humor. Czuje tylko kompulsywną potrzebę postawienia na swoim, bo nie może przystać na to, by uważała go za głupca.

– Dostrzegam wybitny umysł i przyszłą sławę w dziedzinie fizyki – zamyka kwestię madame Curie.

– Tylko tyle? – naprzykrza się Albert.

– To bardzo wiele – zapewnia Maria, całym ciałem zwracając się w kierunku nadchodzącego profesora Langevina.

– Rzeczywiście, mówi się w Europie, że nie widzi pani niczego i nikogo poza pracą – kwituje Einstein złośliwie.

Maria posyła mu wesoły uśmiech, jakby zdawała sobie sprawę, że kolega miota się między obrzydzeniem do siebie a wrodzoną potrzebą dostarczania sobie przyjemności.

– Proszę nie słuchać plotek.

– A więc mogę marzyć?

– Marzenia to jedyne, co mamy.

Paul Langevin uśmiecha się do Alberta Einsteina, po czym przenosi wzrok na Marię z charakterystycznym dla siebie zawstydzeniem. Albert zauważył to już kilka godzin wcześniej.

– Marie, nie daj się omamić czarowi osobistemu pana profesora. O czym rozmawiacie?

– Błagam madame Curie o spotkanie. Chciałbym z nią porozmawiać o moim postrzeganiu fizyki – kłamie Einstein.

– Marie nie odmawia nauce, mam rację? – Langevin podkreśla swoją zażyłość z Marią. Jest wyższy od Einsteina i nieprzyzwoicie przystojny. Płaszcz ma

przewieszony przez ramię, buty aż lśnią.

– Jak zawsze przesadzasz, Paul – zbywa go uczona.

Albert wyczuwa między nimi pewien rodzaj napięcia, nie ma jednak czasu tego analizować. Nawykł do dyrygowania.

– Jesteście tutaj silną grupą – stwierdza. – Przewodzi wam kobieta. Wyjątkowa sytuacja. Zna pani Marie Szeliga?

Zwrócił się do obojga, po czym sprytnie wyłączył Paula z dalszej rozmowy. Langevin nie czuje się dotknięty. Wystarcza mu chyba niema obecność, co zresztą charakteryzuje wielu naukowców. Często są pochłonięci pracą i tylko udają, że się przysłuchują rozmowie.

– Nie znam pani Szeligi osobiście, ale słyszałam o niej. Dziwi mnie, że pan ją zna.

– Dlaczego dziwi? – irytuje się Einstein. – To bardzo zacna kobieta. Z wielkimi ideałami. Spotkałem ją we Włoszech – wyjaśnia. – Uważam, że jej walka o emancypację kobiet jest, proszę mi wybaczyć, odrobinę żenująca, ponieważ... z całym szacunkiem dla pani geniuszu, jest pani wyjątkiem potwierdzającym regułę. Kobiety zwykle są ograniczone. Wiem, wiem, zaraz pani powie, że zablokowaliśmy wam dostęp do edukacji. Tak i nie, madame Curie. Studia są już dostępne dla niewiast, jest pani tego przykładem, problem w tym, że większość pań nie dorasta do poziomu intelektualnego, który gwarantuje ich ukończenie. Dlaczego zapisują się na Sorbonę? Lub na studia malarskie?

Madame Curie wydyma wargi.

– Żeby znaleźć męża. Ja też o tym myślałam.

– Nie wierzę – protestuje Albert.

– Rzeczywiście, to nieprawda. Użyłam tego argumentu, żeby przekonać ojca, by mi pozwolił studiować – kłamie gładko Maria.

Paul wydaje się zdziwiony jej słowami. Przysięgłby, że kiedyś mówiła coś innego. Nie zaskakuje go jednak sama idea zapisywania się kobiet na studia w celu znalezienia męża. Przecież wykształcenie nie jest im potrzebne. To raczej balast psujący im opinię w społeczeństwie.

– Popiera pani sufrażystki?

Langevin wybucha głośnym śmiechem, gdyż pytanie Einsteina jest zabawne dla każdego, kto zna pocziwłą Marię.

– Nie mam czasu o nich myśleć – odpowiada kobieta zgodnie z przewidywaniami kochanka. – Nie podobają mi się metody ich działania.

– Jesteście niezorganizowane – atakuje Einstein. – Jako płeć piękna – doprecyzowuje szybko.

Zdążył się zorientować, że madame Curie jest doskonale zorganizowana.

– Mylę się, czy pan mnie wciąż obraża? Pośrednio? – pyta Maria szczerze.

Albert potakuje, zły na Paula już tylko za to, że ten istnieje. Przeszkadza mu

w podboju.

– Obrażam, to nie złudzenie – odpowiada chłodno. – Z całą świadomością, że jest pani inna od kobiet, które znam. Zdradzę pani tajemnicę.

– Nie wiem, czy tego chcę – kpi madame Curie, zastanawiając się, czy zdjąć płaszcz, skoro pobyt w hotelu przedłuży się w nieskończoność.

– Chce pani – zapewnia Albert. – Płynie w pani krew odkrywcy. Pociąga panią każda tajemnica, ponieważ działa jak opium. Otóż mam wrażenie, że nikt mnie nie rozumie. Zwykle przebywam w towarzystwie mężczyzn. Niektórzy są, jak pani, laureatami Nagrody Nobla i mimo to, madame, większość z nich mnie nie rozumie.

Maria unosi brew, nie wiedząc, do czego zmierza mężczyzna.

– Czuję się samotny. Niech pani sobie teraz wyobrazi, w jakiej mierze rozumieją mnie kobiety.

– Współczuję panu – mówi Maria, do której dociera, że kolega wysilił się na kolejny komplement pod jej adresem.

Najchętniej zostałaaby z Paulem w hotelu i omówiła parę spraw. Rozmowa z Einsteinem przypomina jej walkę bokserską. Jest zmęczona, poza tym młody Niemiec w ogóle jej nie interesuje, natomiast to, że żaden z dziennikarzy do niej nie podchodzi, owszem.

– Błagam o jedno spotkanie przy kawie.

– Pozwolicie mi się przyłączyć? – pyta Paul, czując, że Maria nie potrafi pozbyć się natręta.

Einstein reaguje gwałtowniej, niż można by się spodziewać. Jego gęste brwi niemal się łączą. Ma w tej chwili okrągłe, niewinne oczy dziecka... lub głupca.

– Do spotkania z madame Curie? – zaperza się. – W Paryżu?

– Tak.

– Nie zgadzam się – kwituje kategorycznie i nie ma w tym ani cienia żartu. – Chcę ją mieć dla siebie. Pan jest za inteligentny, panie Langevin.

– Mów mi po imieniu, Albercie.

– Nie przekupisz mnie, Paul. Lubię błyszczeć w towarzystwie pięknych kobiet.

Albert doskonale wie, że kwestie najbardziej kontrowersyjne należy wypowiadać otwarcie. Tylko wtedy ludzie nie traktują ich poważnie, a intuicja, podpowiadająca im, że ktoś mówi szczerze, zawodzi.

Maria jest obrażona na Paula, podejmuje więc grę Einsteina, mimo że mężczyzna ją drażni. Wykorzystuje go, by wzbudzić w kochanku zazdrość.

– Zapraszam pana do Paryża. Służę swoim domem.

Niespodziewanie profesor Einstein oddała się ku Lorentzowi, nie skomentowawszy propozycji. Jakby przejrzał ją na wylot. To sprawia, że Maria czuje się przez moment nieswojo.

– Wiesz, że to kobieciarz? – Paul pyta, ale tak naprawdę chce jej to uświadomić.

Wielokrotnie słyszała, że Paul Langevin ma słabość do kobiet. Wolą w to nie wierzyć; tak było jej wygodnie. Czuje łzy napływające do oczu; również dlatego, że spodziewała się zainteresowania prasy.

– Jakie to ma znaczenie? – rzuca oschle.

– Ostrzegam cię po prostu, żebyś nie brała serio jego komplementów.

– Pozwól, że sama będę się o siebie troszczyła.

Paulowi przychodzi na myśl, że Maria flirtuje z Niemcem, chcąc oszukać środowisko. Jest zadowolony.

– Odwracasz uwagę ode mnie – stwierdza z cokolwiek cynicznym uśmiechem.

Maria czuje się dotknięta. Nigdy nie chciała ukrywać swej miłości do Paula.

– A nie przyszło ci do głowy, że Einstein mi się podoba? – atakuje.

Ból wydaje się mniejszy, kiedy się go sprawia temu, kto go zadał. Wizja spaceru przestaje Marię nęcić. Jest zmęczona. Chętnie położyłaby się i wypija ciepłą, lekko osłodzoną herbatę.

– Nie biorę tego pod uwagę – przyznaje Paul z rozbijającym uśmiechem.

Wydaje się Marii tak przystojny, że na moment musi ona zamknąć oczy, by to znieść. Czuje się niegodna jego uczuć, brzydka i zbyt gruba. Od lat zdaje sobie sprawę, że jej figura jest nienaganna, niemniej kompleks z dzieciństwa wlecze się za nią bez końca.

– Kocham cię, Marie – szepce Paul. – Cieszę się, że tu jesteśmy... że wypoczniemy po ostatnich szaleństwach.

Ma na myśli awantury Jeanne czy upojne noce z nią?

– Boli mnie głowa – informuje go zgodnie z prawdą. – Już drugi dzień.

Czasem jej się wydaje, że powinna mniej pracować. Ostatnio w środku nocy, pochylona nad aparaturą, zastanawiała się, co robi o tej porze w laboratorium. Tłumaczyła sobie, że nic się nie zmieniło, że nigdy nie знаła umiaru, że genialne artykuły doczytywała do końca, niezależnie od pory, lecz zdawała sobie sprawę, że sama siebie okłamuje. Po prostu czekała na Paula, za każdym razem z nadzieją, że się pojawi. Cała jej praca stała się oczekiwaniem. Paul ją znał, wiedział, że jest w laboratorium, mimo to zazwyczaj nie przychodził, wypijała więc ostatnią herbatę z André Debiernem i wracała do domu – przyzwyczajona do ciemności i paryskich ulic nocą. Że były niebezpieczne? I cóż z tego?

– Przepracowujesz się – oświadcza Langevin beznamiętnie. Cokolwiek ostatnio mówi, Maria czuje się dotknięta. Inaczej wyobrażała sobie ich związek. – Nieregularnie jesz, nie dbasz o siebie – kontynuuje mężczyzna, choć ze wszystkich odgrywanych w życiu ról Maria najbardziej nienawidzi roli dziecka.

– Dziwisz się? – reaguje gniewnie.

– Przykro mi, Marie. – Langevin jest znudzony utyskiwaniem kochanki. Traktuje Marię jak każdą inną kobietę, choć myślał początkowo, że jest wyjątkowa. Tymczasem nie istnieje taka kategoria – każda z pań chce wyłączności, Maria również.

Zaspokojony seksualnie Paul przestał dostrzegać konieczność wzięcia rozwodu z żoną. Zastanawiał się nad kolejnym krokiem.

– Do niedawna myślałam, że przeżywam najpiękniejszy okres w życiu.

– Nie wiem, co powiedzieć.

Rozczarowanie Marii rośnie. Madame Curie lubi działać szybko, tym razem jednak prawie nic nie zależy od niej.

– Czy powinnam zaproponować wszystkim szampana, żeby uczcić Nagrodę Nobla? – pyta i to także ją złości.

Wielu kolegów wydaje się nie zauważać jej sukcesu. Tylko nieliczni pospieszili z gratulacjami.

Wie, że jest niesprawiedliwa. Zaraz po odebraniu telegramu w recepcji zniknęła im z oczu, poszła do swojego apartamentu, licząc, że Paul pójdzie za nią. Myliła się. Od tygodni była jak zużyta zabawka, którą ktoś porzucił w kącie.

Paul uznaje, że lampka szampana może ułatwić uczestnikom kongresu przełknięcie sukcesu Marii. Niektórym jej drugi Nobel wyraźnie stanął kością w gardle. Nie powtarza jej, co się mówi. Dystansuje się wobec całej sprawy, ponieważ również czuje się nieswojo.

– Myślę, że to dobry pomysł.

Koledzy wolno zaczynają się przesuwać w stronę głównego wyjścia z hotelu. Paul robi to samo, Maria, chcąc nie chcąc, także. Kilka minut później owiewa ich zaskakująco chłodne powietrze. Madame Curie nie zapina płaszcza, zdaje się nie zauważać obserwujących ją mężczyzn. Patrzy nieobecny wzrokiem. I wtedy nagle wybucha istne szaleństwo. Otacza ją kilkunastu dziennikarzy. Każdy coś krzyczy, każdy o coś pyta. Śmieją się, robią zdjęcia, gratulują nagrody. Maria nie może się gniewać. Cierpliwie odpowiada, tłumaczy, dlaczego odkrycie polonu i radu może być ważne dla ludzkości, co odczuwa jako pierwsza kobieta, której powierzono katedrę na Sorbonie. Wiadomo, że świetnie wychodzi na zdjęciach. Jest zdystansowana, ale posłuszna. Przybiera pozy, o które się ją prosi, zamyśla się, jak przystoi wielkiej badaczce równej najtęższym głowom w Europie. U którego krawca szyje suknie? Gdzie kupuje perfumy? Kto się zajmuje dziećmi, kiedy spędza czas w laboratorium? Jak to wszystko godzi? Dziennikarze umawiają się z nią na wieczór, kiedy to odpowie na więcej pytań. Oddalają się ze śmiechem; przywodzą na myśl plagę szarańczy. Pomruk cichnie. Któryś jeszcze woła, że jest piękna. Pozostali, a także szacowni profesorowie, kwitują to uśmiechem. Żaden uczony nigdy nie był świadkiem podobnego szaleństwa – przepychania się, zebrania o uwagę. Aktorki, gwiazdy rewii, najślawniejsze z kurtyzan nie wzbudzają

równie gorących emocji.

Grupa fizyków rusza znów przed siebie; dotychczas grzecznie stali, dając madame Curie szansę na kontakt z mediami.

Słońce kryje się za grubą warstwą chmur.

Paul Langevin ma świadomość, że niektórzy koledzy domyślają się jego romansu z Marią, ale mu to pochlebia. Nie unika kochanki. Dziennikarze odsunęli go bezpardonowo, dlatego wraca do niej teraz, na migi dając znaki, że jest przerażony tym, co zaszło.

– Einstein wciąż ci się przygląda – informuje ironicznie.

Maria wzrusza ramionami. Czuje lekkie zawroty głowy i satysfakcję, że ze wszystkich sław europejskiej nauki to ona jest przedmiotem uwagi mediów. Chciałaby iść na spacer, jednocześnie nudzi ją towarzystwo obcych jej fizyków. Nawet perspektywa interesującej wymiany myśli nie wydaje się już atrakcyjna.

– Dlaczego zaproponowałaś mi przejście na ty?

Pyta, ponieważ Paul, podobnie zresztą jak ona, mało z kim jest po imieniu.

– Żeby mieć go na oku.

Śmieją się. Dłoń Marii trąca lekko zasłoniętą grubym płaszczem pierś Paula. Kobieta powstrzymuje nagłą chęć pogładzenia przyjaciela po brodzie, ale sama myśl o tym już ją rozgrzewa. Paul cieszy się z pogodnego nastroju kochanki.

– Będzie z niego wielki fizyk, nie sądzisz? – pyta Maria.

Paul się krzywi. Nie lubi, gdy się wyrokuje, kto zdobędzie sławę, a kto odejdzie w niepamięć. Przez chwilę idą w milczeniu. Maria oddycha głęboko, czasem przymykając oczy. Czuje senność. Dziwi się, że zainteresowanie prasy nie niesie ze sobą długotrwałej przyjemności. Kiedyś wydawało jej się, że jest synonimem sukcesu, dowodzi, iż dotarła na szczyt. Dziś znajduje się na szczycie i nie czuje nic. Miłość do Paula też jej nie uskrzydla. Kobieta odpędza złe myśli, przypominając sobie, że w młodości cierpiała na podobne wahania nastroju.

– Potraktowałam go koszmarne podczas śniadania. – Wraca myślami do Einsteina.

Paul Langevin w lot chwyta, o kim mowa.

– Nie podałaś mu mleka do herbaty? – pyta złośliwie. – Znów na ciebie patrzy.

– Co będzie po powrocie do Francji, Paul?

Żarliwość tego szeptu wywołuje u Paula ciarki. Mężczyzna dochodzi do wniosku, że musi zmienić taktykę, w przeciwnym razie Maria będzie go zdręzczać. Nienawidzi, gdy się go zmusza do bycia niemiłym.

– Nie wiem, Marie. Jeanne nie należy do osób, które działają racjonalnie i przewidywalnie. Nie czas na takie rozmowy.

– Odejdź od niej...

– Niewykluczone, że to zrobię – przerywa jej z wściekłością – ale nie

naciskaj, bo to nie jest takie proste.

Mijający ich kolega patrzy jakoś dziwnie. Langevin chętnie opuściłby towarzystwo Marii, wie jednak, że sprawiłby jej przykrość, a tego nie potrafi.

– Przetnij wszystkie więzy... na miłość boską, co w tym trudnego, Paul? – syczy Maria.

Jej policzki płoną. Może to wpływ wiatru, może gniewu. Paul woli się nie zastanawiać.

– Marie, mam czworo dzieci – przypomina niemal szeptem. – Zostawmy tę rozmowę na później.

– I ja mam dzieci. Myślę o ich dobru, ale to się musi skończyć. Nie mogę pracować... jeść... spać. Jestem przerażona. Nie wiem, co mnie czeka kolejnego dnia.

Paul wyprzedza ją o pół kroku. Przestaje panować nad wyrazem twarzy. Ten, kto by na nich spojrział w tej chwili, nie miałby wątpliwości, że się kłócą. Sytuacja jest niezręczna. Maria jest do bólu uparta. Paul czasem ma dość jej fochów, wolałby sam decydować, jak postąpi.

– Musimy coś postanowić. – Maria nie daje za wygraną.

– Niczego nie postanowimy teraz! Rozumiesz mnie? – Paul cedzi słowa, nie chcąc robić widowiska. Klnie w duchu, widząc, że kochanka się oddala. Nie woła jej. To nie teatr, a on nie stoi na deskach sceny.

– Madame Curie o czymś zapomniała? – pyta usłużny Einstein.

Paul ma ochotę zbyć go tak brutalnie, by nigdy więcej nie narzucał mu się z towarzystwem, powstrzymuje się jednak, wiedząc, że i tak niektórzy z uczestników kongresu mają go za dupka.

– Źle się poczuła – mówi na odczepnego.

– Może trzeba się nią zająć? Wezwać lekarza czy ja wiem...

– Ma migrenę. – Langevin patrzy Einsteinowi prosto w oczy i nie ma w tym spojrzeniu sympatii. – Zdecydowała się odpocząć przed kolacją. Przyzwyczyła się do drzemek w ciągu dnia.

Albert nie daje wiary temu tłumaczeniu, ale Paulowi wcale na tym nie zależy. Jest w najwyższym stopniu rozdrażniony. Einstein ostatni raz patrzy za oddalającą się madame Curie i bez słowa odchodzi.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Warszawa, 25 czerwca 1889

Pociąg w żółtym tempie zbliżał się do Dworca Wiedeńskiego. Normalnie Maria czułaby się szczęśliwa, tym razem jednak z każdą chwilą oddalała się od Kazimierza i... tęskniła. Wszystko jej się pomieszało – zło z dobrem, pech

ze szczęściem.

Pobyt w Szczukach się dłużył. Nie pokochała buraczanej krainy nad rzeką Węgierką, gdzie pracowała u zarządcy cukrowni Żórawskiego jako guwernantka jego córek, mimo to do pewnego czasu grzechem byłoby narzekać. Państwo Żórawscy byli dla niej dobrzy, wychowawce okazały się pracowite. Starsza, Bronka, niemalże rówieśnica Marii, darzyła ją szczerą sympatią. Panna Skłodowska oswoiła się wreszcie z monotonnym krajobrazem, który tak ją denerwował w początkach pracy, przyzwyczaiła do ludzi, do dzieci z okolicznych wiosek, którym zorganizowała prywatną szkółkę. Wszystko stało się jej bliskie, bo znajome. I tylko momentami z przerażeniem dostrzegała, że jej marzenia jedno po drugim odchodzą w niebyt. Zastanawiała się, czy to objaw dojrzewania, czy popada w marazm i stagnację.

Dzień, w którym uświadomiła sobie, że nie może znieść nawet myśli o wyjeździe ze Szczuk, czego wcześniej pragnęła, zmienił jej życie. Zakochała się i nawet nie mogła z nikim o tym porozmawiać; nie miała żadnej powiernicy. Choć myślała o swoim uczuciu żartobliwie i z ironią, po raz pierwszy straciła dystans do własnego życia. Wiedziała z książek, że miłość zmienia obraz świata, lecz nie miała pojęcia, czym jest odnalezienie swojej drugiej połówki. Ileż razy naśmiewała się z bohaterów romansów, naigrawała z zadurzonych koleżanek, i oto nagle wszystko wokół niej uległo zmianie. Pokochała Kazimierza, syna Żórawskich, studenta Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego. Chłopak pożyczał jej książki do nauki matematyki i fizyki, dyskutowali o wybranych zagadnieniach. Był odcytany, znał literaturę, czasem z zachwytem cytował wiersze, bywało jednak, że z nich drwił. Miał rację, że Polsce potrzebni są doskonale wykształceni inżynierowie, wynalazcy, tęgie umysły; potrzebni bardziej niż humaniści, którzy, owszem, pięknie pisali, ale i po części odrywali ludzi od rzeczywistości. Kazimierz był naprawdę wyjątkowy. I niesamowity; stale Marię zaskakiwał. Przewyższał ją wiedzą, znał odpowiedzi na większość pytań, wierzył, że zostanie profesorem. W dążeniu do tego celu wspierał go ojciec dzierzawiący folwark od hrabiego Krasińskiego, jednego z najbogatszych ludzi w Królestwie Polskim.

Maria nie pamiętała, kiedy jej znajomość z Kazimierzem przeszła w miłość. Pewnego dnia zdała sobie sprawę, że nie może się doczekać jego przyjazdu na ferie zimowe. Tylko tyle. Uczucie wybuchło w sposób całkiem niekontrolowany. Nim oprzytomniała, byli sobie tak bliscy, że skończyły się jej rozterki, co zrobić z własną przyszłością. Znalazła odpowiedź: poślubi Kazimierza, który po studiach zacznie pracę na uczelni, i z jego pomocą będzie się doksztalać, może nawet zdoła mu pomagać w badaniach naukowych. Nie należała do dziewcząt żyjących od miłości do miłości, nie wiedziała więc, że uczucia większości jej rówieśników

równie szybko wybuchały, jak i odchodziły w nicość. Żal jej było czasu na rozmawianie o tym z koleżankami. Gdyby nie to, wiedziałyby, że w tych sprawach pośpiech jest złym doradcą.

Na wspomnienie zachłannych warg Kazimierza Maria poruszyła się niespokojnie i zerknęła w okno. Pociąg zbliżał się akurat do peronu dworca. Dziewczyna z trudem opanowała cisnące się do oczu łzy i sięgnęła po podręczną torbę, w której trzymała chusteczki.

Rodzice Kazimierza powiedzieli zdecydowane *nie*, nim zdążył ich poinformować, że się żeni. Oświadczył się Marii, zapewniając, że jest jego drugą połówką, ale matce o tym nie powiedział. Nie śmiał, zwłaszcza po tym, jak go zakrzyczała, ledwie wspomniał, że Maria jest dla niego kimś niezwykle ważnym.

On? Żórawski? Dobrze urodzony, świetnie się zapowiadający spadkobierca rodzinnej fortuny? Nie tak znowu wielkiej, myślała Maria ze złością. Miałby poślubić takie... nic? I cóż, że Skłodowska wywodziła się ze szlachty, skoro była biedna jak mysz kościelna? Panicz Żórawski z guwernantką?

Maria nie mogła zapomnieć purpurowej z wściekłości twarzy matki Kazimierza i jej pogardliwych spojrzeń. W jednej chwili dom Żórawskich stał się dla dziewczyny więzieniem i pustelnią zarazem. Domownicy przestali ją odwiedzać, wciągać w rozmowy, jadać z nią śniadania. Uznano, że jest awanturnicą i uzurpatorką. Rzucano pod jej adresem uszczypliwe uwagi, śledzono każdy jej krok.

Czekała, wiedząc, że upłynie jeszcze kilka minut, zanim pozwolą pasażerom opuścić pociąg. Spodziewała się, że ktoś po nią wyszedł na dworzec. Może Józek? Może Hela? Nie cieszyło jej spotkanie z rodzeństwem.

Mimo ostracyzmu w domu Żórawskich Kazimierz nadal przychodził do jej pokoju. Ilekroć zjeżdżał do domu, biegł na poddasze, które zajmowała.

Przymknęła oczy, wspominając ich ostatnią rozmowę. Zaczęła się, jak wiele poprzednich, od spraw, które jej nie zajmowały. Mężczyzna unikał poważnych dyskusji z rodzicami, licząc, że wszystko samo się ułoży; Maria, pamiętająca przykre doświadczenia z poprzednich miejsc pracy, czuła, że będzie tylko gorzej.

– Ja na przykład lubię jasne sytuacje – stwierdził Kazimierz.

Czasem, kiedy się zapalał do czegoś albo zależało mu na przekonaniu

rozmówcy do swoich racji, odrzucał głowę, a jego zaczesane do góry gęste włosy sprawiały wrażenie ciemniejszych, niż były.

– Podobnie rzecz się ma ze społeczeństwem. Są przecież pewne wytyczne jego funkcjonowania. Choćby taka broszura w sprawie ubioru po powstaniu styczniowym...

– Chyba żartujesz! – krzyknęła wtedy Maria.

Nienawidziła wszelkich form unifikacji czy decydowania za jednostkę. Jaki jest sens narzucania żałoby komuś, kto jej nie ma w sercu?

– Ludzie się stosowali do tej broszury – upierał się Kazimierz, gdyż z jakiegoś względu przykład jedności narodu był dla niego ważny.

Zdaniem Marii marnowali czas na jałowe rozmowy o patriotyzmie, zamiast pomóc sami sobie. Jaką mieli przyszłość?

– Oczywiście, że się stosowali – śmiała się ironicznie – bo żyjemy w nienormalnym kraju. Wszystko wokół nas jest nienormalne.

– Co na przykład? – wszedł jej w słowo.

– Uważasz, że broszury ingerujące w życie Polaków są czymś godnym pochwały? – zaatakowała. – Pokaż mi normalny kraj na świecie, w którym się zaleca całemu narodowi noszenie żałobnych strojów!

– Zdajesz sobie sprawę, że obrażasz teraz pamięć wielu męczenników, którzy oddali życie za sprawę?

– Nie masz racji, Kaziu. Doceniam poświęcenie i uważam ich za bohaterów, lecz nie wmawiaj mi, że to normalne. Żyjemy pod zaborami, które wykoślawiły nasze postrzeganie świata.

Maria również była patriotką. W jej rodzinie szanowało się powstańców i pamięć zmarłych, ale najważniejsza była przyszłość – tylko od jej kształtu zależało, czy Polsce uda się odzyskać wolność. Jak mógł tego nie pojmować? Toasty za zmarłych, wznoszone podczas uroczystości patriotycznych, wydawały jej się kpina z ofiar za wspólną sprawę Polaków. Skłodowscy inaczej rozumieli patriotyzm. W każdym razie ona.

– Nie gniewaj się, że powiem to, co powiem – oświadczył wtedy Kazimierz. Butem stukał w nogę stołu, co irytowało Marię. Odsunęła się demonstracyjnie. – Twoje poglądy są bulwersujące...

Po opuszczeniu Szczuk wiele razy przywoływała w pamięci te słowa, szukając czegoś, czego nie dostrzegła, a co mogłoby tłumaczyć Kazimierza, za każdym razem jednak rozumiała je podobnie: uważał, że jest dziwna.

– Nie rozumiem – powiedziała wtedy.

– Masz żal do moich rodziców, że odnoszą się do ciebie z rezerwą.

A powinna rzucić się Żórawskim w ramiona? Co próbował jej powiedzieć? Potraktowali ją okropnie, odsądzili od czci i wiary wyłącznie dlatego, że była uboga. To bolało.

– Twoi rodzice nie wyobrażają sobie, że mógłbyś poślubić guwernantkę, mimo że pochodzi z drobnej szlachty – poinformowała go z goryczą, uznając, że powinni przejść do meritum, skoro, jak twierdził, są sobie przeznaczeni i nie istnieje taka siła, która by ich mogła rozdzielić.

– Nieprawda – zaprzeczył bez przekonania. Właściwie stawał w obronie matki, jakby podejrzewał, że kryje się gdzieś za drzwiami i słyszy każde jego słowo.

– Mają mnie za służącą, za kogoś, kto żyje na cudzej łasce, i dlatego nie jest wart szacunku – wypaliła Maria. – Nie obchodzi ich, kim jestem ani co chcę w życiu osiągnąć.

– Czy ty słyszysz sama siebie, Maniu? Chcesz osiągnąć? W życiu? Bardziej ci zależy na nauce i osiągnięciach niż na byciu kobietą... matką... patriotką.

– Nie wyobrażasz sobie wykształconej kobiety i matki?

Kazimierz posmutniał. Sprawiał wrażenie przystojniejszego niż zwykle, może dlatego, że wydawał się kimś obcym, nieznanym. Miał resztki opalenizny i poważne podpuchnięte oczy. Przygryzał wargi, unikając jej spojrzenia. Tyle zapamiętała. Była zbyt wściekła i bezradna, żeby móc ogarnąć całą sytuację. Siedzieli przy surowym, nieprzykrytym obrusem stole naprzeciwko okna, jedyne go ładnego elementu jej pokoju, i patrzyli na siebie z niechęcią. To znaczy ona spoglądała na niego z niechęcią, a on omiatał wzrokiem pokój.

– Tobie nie zależy na zdobywaniu wiedzy i doświadczenia – rzucił z żalem.
– Mogłabyś przecież wychowywać dzieci, czytać książki, dyskutować z mężem; ale ty nie o tym marzysz. Chcesz mieć dyplom.

Maria zaniemówiła na moment. Rozmawiała z tym człowiekiem od trzech lat, często na tematy naukowe, które to rozmowy sam inicjował, po czym dowiadywała się od niego, że jej pasja i wola zdobycia wykształcenia są... Właściwie jakie? Niekobiece? To jej chciał powiedzieć? On czy jego matka?

– Owszem, pragnę dyplomu. Co w tym złego?

Spojrzał na nią, jakby go zbudziła ze snu. Słońce podświetlało mu rzęsy. Lubiała całować jego oczy. Mrugał wtedy, a ona czuła coś w rodzaju łopotu motyli skrzydeł.

– To po prostu śmieszne – szepnął. – Cała ta naukowa aura wokół ciebie. Śmieszne. Wybacz, jeśli cię zraniłem.

– Po co studiujesz? Mógłbyś czytać w domu – oświadczyła. Chciała, by zrozumiał. Przepęłniał go irracjonalny żal, istniała więc szansa, że uda się go przekonać.

– Studiuję, żeby zdobyć zawód.

– Ja także chcę mieć zawód.

– Właśnie o tym mówię. Po co, Maniu? Nie szanujesz tradycji, nie godzisz się wypełniać obowiązków kobiety, nie martwi cię, że studiując, odbierzesz swój

czas dzieciom, które urodzisz...

– Jak możesz mówić, że nie szanuję tradycji? – Zachłysnęła się ze złości. – Uczę wiejskie dzieci, zamiast leżeć do góry brzuchem!

– A choćby i ten przykład, Mario, skoro sama go przywołujesz – przerwał rozniewany, co było czymś nowym, gdyż dotychczas to ona krzyczała, a on zachowywał spokój. – Masz niezdrową skłonność do robienia nie tego, co jest powinnością kobiety...

– Ponieważ wszyscy jesteśmy ludźmi i wyłącznie to się liczy. Mówisz *kobieta* i od razu widzisz istotę ograniczoną.

– Nie imputuj mi chorego postrzegania świata, bo to ty odbiegasz od normy! – krzyknął i zawstydzził się wybuchu.

Maria miała wrażenie, że wyładowuje na niej złość, jaką ma do siebie za słabość wobec rodziców, którzy czuli się w prawie kierować jego życiem. W żaden sposób nie mógł jej udowodnić, że burze kiedyś ucichną i będą mogli się pobrać. Był bezsilny.

– Przewyższam uzdolnieniami większość mężczyzn.

– Skąd to wiesz?

– W szkole miałam...

– W szkole miałaś do czynienia z dziećmi. – Zaśmiał się ironicznie.

– Uczestniczyłam w zajęciach Uniwersytetu Latającego.

– Zejdź na ziemię, Maniu! Zlituj się nade mną – jęczał, spacerując po pokoju. Wiedział, że Maria nienawidzi krzyków. Świadczyły o braku dobrych manier i niczego nie udowadniały. Opanował się więc i dokończył spokojnie: – Kochamy się, chciałbym być z tobą. Twierdzisz, że spędziłabyś ze mną resztę życia. Jak mam walczyć o ciebie, skoro nawet nie wiem, kim jesteś i do czego zmierzasz?

Przesłyszała się? Żartował?

Za oknem cykały świerszcze. Słysząc było gdakanie kury. Promienie słońca padały teraz pod innym kątem i pokój pogrążył się w półmroku.

– Zastanów się, dlaczego musisz o mnie walczyć – ucięła, zatraskując książkę, którą się machinalnie bawiła.

– Nie wracajmy do tego. Rodzice martwią się o moją przyszłość. Nie rób im zarzutu z tego, że się boją o swojego syna.

– A dlaczego widzą we mnie zagrożenie? – zapytała z satysfakcją, rada, że ujawnia jego zakłamanie. – Czy dałam im podstawy do traktowania mnie jak osoby nie w pełni wartościowej?

– Nikt cię nie rozumie, Maniu! Nawet ja!

Stała przed nim z odchyloną głową. Nie chciała go ranić; na pewno nie to pragnęła osiągnąć. Cisza, jaka zapadła, przeciągała się w nieskończoność. Niespodziewanie Kazimierz objął Marię i przytulił. Czuła drżenie jego ciała. Sama

również drżała.

– Kocham cię – szepnął. – Chciałbym się z tobą ożenić. Ale ty myślisz o wyjeździe do Paryża, o studiowaniu, życiu gdzieś na stacji... wynajmowanej wspólnie z kolegami... z mężczyznami...

– Nie masz prawa!

Wyrwała się z jego objęć, oburzona insynuacjami, które czynił.

– Co mam myśleć? – spytał bezradnie.

Maria ocknęła się i wyrzała przez okno, zaskoczona, że pociąg nie wjeżdża na peron. Coś musiało się stać. Pomyślała o wypadku na torach i poczuła dreszcz. Pasażerowie dawali wyraz niezadowoleniu, wzdychając i mamrocząc coś pod nosem.

Poza ojcem i rodzeństwem nikt jej nie rozumiał, nie doceniał tego, że pragnęła zostać wykształconą matką i żoną. Tylko... czy nie upierała się dla samej zasady? Czy naprawdę chciała teraz jechać do Paryża? Tułać się po obcych domach kilka lat? Nie widywać Kazimierza? Zwlekać ze ślubem? Żyć z dala od pocałunków, pieszczot... od tego, o czym krępowała się nawet myśleć, a co, zdaniem przyjaciółki, niektóre kobiety doprowadzało do spazmów rozkoszy? Tego chciała?

Poczuła uderzenie gorąca, kiedy przypomniła sobie, w jaki sposób się wydało, że ona i Kazimierz są parą. Nadal pamiętała, niemal czuła rozpraszającą bliskość jego ciała, zapach ukochanego, swój zawrót głowy.

– Dobrze? – zapytała wtedy, dumna z siebie, ponieważ równania, które jej podsuwał, rozwiązywała z coraz większą łatwością.

Pochylił się.

– Jesteś niesamowita – rzekł wesoło.

Od godziny zastanawiał się, co zrobi Maria, jeśli on się odważy i ją pocałuje. Ukradkiem obserwował ładny profil dziewczyny, linię jej włosów przypominających czasem podświetloną słońcem aureolę. Muskały jego twarz i miał wrażenie, że jest bliski szaleństwa.

– Większość moich kolegów na studiach nie umiałaby tego rozwiązać – przyznał zaskoczony, ponieważ tym razem dał Marii zadanie, jak myślał, niewykonalne.

Zamierzał udowodnić, że jest lepszy. Był lepszy, był wszak studentem. Ona pracowała jako wiejska guwernantka. To nieprawdopodobne. Z niechęcią przyznawał, że nie ustępuje mu zdolnościami.

– Jesteś śliczna.

Niespodziewanie go pocałowała, na co zareagował tak, jakby to robili od lat: leniwie oddał pocałunek. Krew buchnęła im do twarzy. Odsunął się na moment z uśmiechem, po czym objął ją i zaczął całować w jakiś inny, porywczy sposób. Czowała jego bliskość, smak języka, gwałtowne bicie serca. Pragnęła, by to trwało wiecznie. W głowie jej szumiało.

– Kocham cię – szeptał między kolejnymi pocałunkami.

Całował gwałtownie i niezdarnie, ale niedoświadczonej Marii to nie przeszkadzało. Dotyk Kazimierza zdawał się jej najcudowniejszym doznaniem życia. Nie powstrzymywała mężczyzny, pewna, że nie uczyni niczego, czego oboje mogliby się wstydzić. Drżące dłonie wędrowały po jej ciele. Prężyła się, pragnęła tego, chciała, żeby jej dotykał.

– Zostaniesz moją żoną?

– Taaak – mruczała, oddając pocałunki, kompletnie pijana ze szczęścia.

– Szaleję za tobą.

– Nieprawda.

– Matka cię uwielbia... dziewczyny cię uwielbiają. Pobierzmy się.

– Powinam wracać do Andzi. Przerwa trwa zbyt długo.

– Nie mogę się doczekać, kiedy będziesz moją żoną, kiedy wezmę cię w ramiona... naga...

Kazimierz tracił nad sobą kontrolę. Lekko waniliowy zapach dziewczyny oszalał go, smak jej skóry odbierał mu rozum. Wgryzał się w jej usta z bolesną świadomością, że powinien odejść, zanim zrobi coś głupiego.

– Kazimierzu?! – usłyszeli szorstki, wzburzony głos jego matki. – Panno Skłodowska, wydaje mi się, że Ewa czeka na panią od dłuższego czasu. Proszę się nią zająć.

Maria przestraszyła się, lecz po chwili na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu, bo wydało jej się, że ten niefortunny moment jest zarazem idealny, by poinformować panią Żórawską o ich planach. Była pewna, że sprawy jakoś się ułożą. Tymczasem Kazimierz zerwał się niczym sztubak i bez słowa opuścił pokój, co było ostatnim, czego Maria się spodziewała. Dotarło do niej, że pani Żórawska nie patrzy z właściwą sobie łagodnością.

– Nie muszę tłumaczyć – zaczęła chłodno chlebodawczyni – że zawiodła pani moje zaufanie. To porządny dom, w którym nie ma miejsca na podobne zachowanie, liczę więc, że nigdy więcej nie będę świadkiem... – Zawiesiła głos. – Co by się stało, gdyby zamiast mnie weszła tu Anula? To skandaliczne zachowanie.

Wyszła z pokoju, przyłożywszy wierzch lewej dłoni do rozpalonego policzka. Maria zeszytniała. Nie tak to miało wyglądać. Pochodziła z szanowanej, szlacheckiej rodziny, która z pewnością bardziej się zasłużyła krajowi niż wszyscy Żórawscy razem wzięci! Maria zdała sobie sprawę, że próbuje znaleźć

wytłumaczenie dla swojego karygodnego zachowania, ponieważ... Chociaż to, co uczyniła, było okropne właściwie tylko z pozoru, skoro ona i Kazimierz mieli być małżeństwem. Mężczyzna powinien był oświadczyć matce, że są zaręczeni... przekonać, że Maria jest dumną, szanującą się dziewczyną. Chciała biec za panią Żórawską i wyjaśnić, co się stało, ale dotarło do niej, że licząc na zrozumienie, oczekuje niemożliwego. Skoro Kazimierz wybiegł od niej, jakby go goniły demony, zamiast stanąć z matką oko w oko i przedstawić Marię jako swoją przyszłą żonę, słowa Marii niczego nie zmieniają. Pani Żórawska miała ją za łatwą, głupią, prostacką dziewczuchę, która nadużyła gościnności.

Maria opuściła pociąg, czując, że twarz jej płonie. Szła, niesiona prądem, wśród pozostałych pasażerów. Palił ją wstyd, że opuściła dom Żórawskich w takiej atmosferze. Od dawna próbowano się jej pozbyć, lecz musiała znosić docinki i pogardę pracodawców, ponieważ obiecała Broni, że będzie ją wspomagać finansowo. Siostra studiowała w Paryżu. Maria za nic w świecie nie chciała jej zawieść. Upokorzenie było niczym wobec świadomości, że dzięki jej cierpieniu pewnego dnia Bronka zostanie lekarzem.

– Co się stało? Czemu płaczesz?

Płakała? Helena rzuciła się jej na szyję, wycalowała, zabrała torbę i ruszyły w stronę szpaleru włoskich topoli, rosnących przed dworcem, gdzie zamierzały wsiąść do tramwaju konnego.

– Wiesz, jak nie lubię wszelkich zmian – odparła Maria wymijająco.

Była szczupłą, chuda właściwie, co zaskoczyło Helenę, ponieważ ich najmłodsza siostra zawsze miała sympatyczne krągłości. Wszyscy się do tego przyzwyczaili, tymczasem Maria stała się filigranowa. Wypiękniała.

– Tato ma dla ciebie dobrą nowinę – poinformowała Helena, gdy znalazły się w tramwaju. Przysunęła się do Marii i szeptała, zauważywszy natrętne spojzenia dwudziestolatka w wyświechtanej szarej marynarce.

– Nienawidzę niespodzianek – rzekła Maria z irytacją.

Odwykła od ruchliwej Warszawy. Wydawało jej się, że wkoło są sami szaleńcy. Każdy się gdzieś spieszył, nawet Helenka wciąż ją poganiała; choćby przy wsiadaniu do tramwaju. Dobrze, że świeciło słońce, w przeciwnym razie Maria chybaby się rozpląkała. Zawsze była wrażliwa na pogodę.

– Ale ta niespodzianka jest wspaniała – zapewniła siostra.

– Mów.

– Nie mogę. Obiecałam papie.

– Powiedz, nie wytrzymam tyle czasu w niepewności – nalegała Maria, a jej głos niebezpiecznie zadrżał.

– Dobrze, nie płacz. – Helena skapitulowała. Uważnie przyjrzała się siostrze

i pomyślała, że trzeba będzie przerobić jej suknię. Była niemodna, w paru miejscach przetarta. – Ale nie mów w domu, że coś wiesz – poprosiła. Cieszyła się na myśl, że uszczęśliwi Manię, która od lat marzyła o studiach. Zastanawiała się, od czego zacząć, by zrobić jak największe wrażenie. – Bronia napisała, że możesz przyjeżdżać do Paryża – oświadczyła wreszcie, uśmiechając się od ucha do ucha.

Twarz Marii nawet nie drgnęła. Kobieta obojętnie przyglądała się ruchowi ulicznemu, a jej różowe spierzchnięte wargi wyduły się nieznacznie.

– Do Paryża? – powiedziała głucho. Nie było w tym ani zdziwienia, ani radości.

– No... na studia.

Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła Maria, był wyjazd za granicę. Cóż za przewrotność losu. Dostała szansę wtedy, kiedy już jej na tym nie zależało.

– Nie spodziewałam się... tak nagle...

Myślała intensywnie, jak na jej ewentualny wyjazd zareaguje Kazimierz. Może mieć problemy z przekonaniem rodziców, że Maria jest dla niego dobrą partią. I bez tego uważali ją za sufrażystkę.

Helena wodziła rozpromienionym wzrokiem po wnętrzu tramwaju, szczęśliwa, że to jej przypadło w udziale poinformowanie Marii, iż spełnia się jej największe marzenie. Cała rodzina, od warszawskiej po tę w odległych krańcach Polski, wiedziała, że dziewczyna pragnie studiować na Sorbonie, że jest nieprzeciętnie zdolna, cechując ją niebywała pamięć i przenoszący góry upór.

– Bronka z Dłuskim – co za nonszalancja mówić o szwagrze, używając nazwiska! – zaczęli wreszcie zarabiać. Idzie im całkiem nieźle – paplała Helena, nieświadoma, że każde jej słowo zawstydza Marię. – To znaczy zarabiają jakieś nędzne grosze, ale jeśli odłożyłaś na czesne, możesz przyjeżdżać. Cieszysz się?

Maria z marnym skutkiem udawała radość. Przede wszystkim unikała wzroku siostry.

– Nie wiem. Jestem zaskoczona – mruknęła.

– Nie skaczesz z radości?

– Jest tyle spraw, Helenko... tyle zobowiązań.

Helena spojrzała na nią oszołomiona. Mogła nie znać każdej minuty życia siostry, a i tak wiedziała, że nic jej tu nie trzyma.

– Przecież wszystko się kręciło wokół Paryża! – zareagowała gwałtowniej, niż wypadało, i kilku pasażerów zerknęło na nią z oburzeniem. Dziewczyna podnosząca głos w miejscu publicznym! Jej liche ubranie świadczyło, ich zdaniem, o tym, że wywodzi się z niższych sfer, niemniej jednak była kobietą... najprawdopodobniej porządną i z dobrego domu. Takim zachowaniem przynosiła wstyd rodzinie. – Nagle ci się odmieniło? – Helena przysunęła się do siostry i szeptała jej prosto do ucha.

Maria odskoczyła jak oparzona.

– Nic mi się nie odmieniło!

– Przecież widzę!

– Nic nie widzisz!

– Moje panie – odezwała się kobieta po sześćdziesiątce, mierząc je lodowatym wzrokiem.

Dziewczęta odwróciły się w stronę okna, natychmiast ścisząc głos.

– Zakochałaś się – szepnęła Helena. – Przyznaj, że mam rację. Jak on się nazywa? Gdzie go poznałaś? Jezus Maria.

– Kazimierz... to syn Żórawskich. Studiuje.

Maria miała talent do zwięzłych opisów. Nie trzeba było więcej, by opisać mężczyznę. Syn Żórawskich, czyli zamożny. Studiuje, czyli niegłupi.

– Syn Żórawskich? – W głosie Heleny słyhać było rozczarowanie.

Od trzech lat czytała w listach, jacy są Żórawscy i ich sąsiedzi. Pozowali na ziemiaństwo, uważali się za lepszych, niż byli w istocie.

– Co oni na to? – zapytała mimo podejrzenia, że Maria kocha się w Kazimierzu platonicznie, wobec czego nie ma o czym mówić.

– Oni? Nic.

– Nie wiedzą, prawda?

– W pewnym sensie wiedzą.

Helena spojrzała siostrze w oczy – badawczo, z lekkim rozbawieniem. Kiedyś mówiły sobie wszystko.

– W pewnym sensie? Co to znaczy?

Maria zaczerwieniła się gwałtownie. Palcami dotykała przykurzonej szyby tramwaju, jakby wskazywała coś za oknem.

– Kazik był w moim pokoju, kiedy przyszła jego matka – odezwała się po chwili.

Co to znaczy? Helena nie wyobrażała sobie, że młoda dziewczyna, pracująca u kogoś jako guwernantka, może przyjmować mężczyznę w pokoju, który był przecież jej sypialnią. Z pewnością tylko rozmawiali, niemniej jednak... to okropne. Przyglądała się Marii. Ciemne rumieńce na policzkach siostry dowodziły czegoś... strasznego.

– Boże, Maniu – Helena sama poczerwieniała – nie mów o tym ojcu. Byłby zdruzgotany.

– Nic się nie stało – syknęła Maria, oburzona wybujałą wyobraźnią siostry.

Helena zakryła usta dłonią, starając się bez skutku uspokoić oddech.

– Taki wstyd – rzuciła niemal bezgłośnie i zaraz spojrzała na Marię badawczo. – Masz pewność, że Żórawska nie napisze do ojca?

– Jestem dorosła. Dlaczego miałyby zawracać głowę ojcu? – Maria była wściekła.

Tramwaj zazgrzytał na zakręcie. Maria mocno chwyciła się drążka.

Rozmowa z Heleną przebiegała inaczej, niż się spodziewała. Wszystko stawało się jakieś... prostackie, podczas gdy ją i Kazimierza naprawdę łączyło coś pięknego, coś, co nawet trudno było nazwać.

– Macie jakieś plany na przyszłość?

– Kazimierz chce się ze mną ożenić.

– Gratulacje, Maniu! – krzyknęła Helena, ponownie wzbudzając irytację kilku starszych osób.

Maria uśmiechnęła się promiennie. Noskiem zakurzonego po podróży pantofla trąciła stojący na podłodze podróżny kuferek.

– Jeszcze nie ma czego – wyznała. – Musi przekonać rodziców i załatwić mnóstwo spraw. – Miała chęć opowiedzieć siostrze o przeżyciach ostatnich miesięcy, ale się powstrzymała. Nie teraz.

– Jakich spraw? – dopytywała się Helena.

– Nie męcz mnie, Helu.

Maria, choć posłała siostrze promienny uśmiech, w najmniejszym stopniu nie czuła, że jest szczęśliwa.

– Rozumiem, dlaczego nie szalejesz na wieść o Paryżu. Tylko co ty powiesz ojcu? – martwiła się Helena.

Była wyższa, a teraz i dorodniejsza od Marii. Miała grzywkę nad czołem, której w żaden sposób nie umiała zmusić do posłuszeństwa, ponieważ, jak u wszystkich panien Skłodowskich, jej włosy były mocno pokarbowane.

– Na razie nic nie powiem – rzuciła Maria niechętnie, liczyła bowiem, że skończyły temat.

Siostra nic sobie nie robiła z okazywanej przez nią rezerwy. Roznosiła ją ciekawość i zamierzała dowiedzieć się wszystkiego, czy to się Mani podobało, czy nie.

– Ale ten twój Kazimierz napisze do ciebie?

– Oczywiście, że do mnie napisze.

Twarz Marii niezwykle wyszlachetniała. Zdaniem Heleny było w niej teraz coś, za czym szaleli mężczyźni; jakaś tajemnica.

– Kochasz go? – szepnęła, po czym przechyliła głowę i przyłgnęła policzkiem do chłodnej szyby. – Matuniu, jak ja ci zazdroszczę – pisnęła. – A mówiłaś, że się nigdy nie zakochasz. – Zaniemówiła, widząc łzy płynące po twarzy siostry. – Co się stało? – Otoczyła Marię ramieniem, zasłaniając jej twarz od spojrzeń nieznanym.

– Boję się, że nic nie wyjdzie z naszych planów – szlochała cicho Maria. – Matka Kazimierza jest przeciwna naszemu związkowi. Nie ma znaczenia, za kogo mnie wcześniej uważała. Nie jestem w jej oczach nikim lepszym od służących, które zatrudnia.

– Tak ci powiedziała?

– Oczywiście, że nie. Jest za dobrze wychowana. Widziałam to w jej oczach. Chce dla syna kogoś lepszego.

Helena chwyciła kuferek Marii, dając znak, że czas opuścić tramwaj. Coraz bliżej był przystanek, na którym zwykle wysiadały, by się dostać na Nowolipki, ale dzisiaj wołała wcześniej znaleźć się na ulicy, chcąc wypytać siostrę o wszystko. Wskoczyły z pojazdu i rażnym krokiem ruszyły w stronę domu. Maria otarła łzy, nie chcąc przerazić ojca. Zdecydowanie musiała ochłonać.

– Jesteś wspaniała – zapewniła ją Helena, nie kryjąc oburzenia. – I piękna. I niezwykle mądra. Co lepszego mogłoby go spotkać? – Dalibóg, nie rozumiała pani Żórawskiej. – A to podła małpa.

– Umrę, jeśli nie pozwolą nam na ślub. Po prostu umrę – żaliła się Maria, mimowolnie zwalnijąc kroku, ponieważ łzy jak groch znów płynęły jej po twarzy.

Musiała wyrzucić z siebie gromadzony miesiącami żal do świata. Czuła się fatalnie również dlatego, że nienawidziła zwierzania się z intymnych przeżyć, nie znosiła tego. Tym razem jednak... to było silniejsze od niej.

– Nie wyobrażam sobie życia bez Kazimierza. Nie mogę jeść... nie sypiam po nocach.

– Przekona ją, zobaczysz – zapewniła siostra.

Dlatego właśnie Maria nie lubiła zwierzeń. Cieszyły wrogów, smuciły przyjaciół. Helena nie mogła jej pomóc, za to definitywnie straciła humor.

Dzień chylił się ku końcowi. Wypogodziło się, wiatr rozgonił chmury. Ulicą przebiegł rozszczekany pies. Nie wiadomo, dlaczego szczekał, gdyż poza Manią i Helą nikogo w pobliżu nie było.

– Czy to przyjemne uczucie? – zapytała Helena, przystając przed kamienicą, w której mieszkały.

– Co? – Maria nie zrozumiała.

– Zakochanie. Czy to jest przyjemne?

Obie spojrzały w stronę drzwi, jakby się spodziewały, że nagle stanie w nich ojciec. Maria westchnęła głęboko.

– Wydawało mi się, że nie istnieje nic wspanialszego... a potem... – przerwała, dochodząc do wniosku, że opowiadanie o własnych perypetiach miłosnych jest żalosne. – Przypominam niewolnicę.

– Dlaczego tak mówisz?

– Jeżeli wszystko się ułoży, będę najszczęśliwszą kobietą na ziemi. Góry przeniosę. A jeżeli nie? – mówiła coraz szybciej, wyrzucając z siebie skrywane obawy. – Co ja wtedy zrobię? Kim będę? Jak sobie dam z tym radę? Nic już nie będzie takie samo, Helu. Żałuję, że wyznałam mu miłość. Jestem zniechęcona... wściekła, że mnie mają za... za gorszą, że się muszę korzyć przed takimi ludźmi. W niczym nie są lepsi ode mnie. Nie wiem, czy będę umiała ją pokochać...

– Kogo?

– Matkę Kazimierza. Boję się, że jej pogarda stanie między nami, że nigdy tego nie zapomnę...

– To może nie idź za niego? – Helena wystraszyła się nie na żarty.

Wiatr rozwiewał im włosy. Stały przed kamienicą, świadome, że to w złym tonie. Musiały jednak zamknąć temat, i to bez świadków. Świat się kończył. Maria nie była trzpiotką, nie zakochiwała się trzy razy w roku, skoro więc płakała z miłości, sprawa była naprawdę poważna. Źle się stało, wręcz fatalnie, że ona i Kazimierz zostali przyłapani przez jego mamę, bo to oznaczało, że będą mieli problemy i próby Heleny, by pocieszyć Marię, tego nie zmieniają. Przyszła teściowa zatruje ich związek... no, jak nic zatruje.

Helena była bardzo zżyta z siostrą. Jako najmłodsze w rodzinie wszędzie wysyłano je razem. Miały setki wspólnych wspomnień. Uwielbiały zwariowane żarty, których starsza od nich Bronka często nie tolerowała.

– Jest dla mnie najważniejszy.

Helena bez wyjaśnień zrozumiała, na czym polega dramat Marysi, bo z pewnością był to dramat. Siostra chlubiła się wolnością przekonań i wyboru. Bycie niewolnicą miłości, jakkolwiek romantycznie to brzmiało, musiało ją przerażać.

– Zrezygnujesz z Paryża? – Hela zadała to pytanie z lękiem, ponieważ nie umiała przewidzieć reakcji Marii, a ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było zranienie jej.

– Kiedy się oświadczy – zaczęła Maria i przerwała na moment. – Chyba tak... pewnie zrezygnuję.

Weszły do kamienicy w posępnych nastrojach. Coś musiały zrobić. Helenie brakowało sprytu i stanowczości Bronisławy, o co czyniła sobie wyrzuty. Z pewnością Maria nie powinna się poddawać, niemniej jednak jej położenie było trudne i wymagało poważnego zastanowienia. Jak przekształcić niechęć Żórawskiej w sympatię? Jak wytłumaczyć Bronce, że siostra rezygnuje ze studiów w Paryżu? Czy Maria, od dziecka uwielbiająca naukę, od lat poważnie myśląca o Sorbonie, znosząca upokorzenia, harująca, żeby zdobyć pieniądze na wyjazd, spełni się w małżeństwie? Rezygnując z marzeń?

Helena zdała sobie sprawę, że życie zbyt wiele od nich, kobiet, wymaga, po czym natychmiast ofuknęła się w duchu, że zamiast cieszyć się, iż Maria znalazła miłość, spodziewa się wyłącznie katastrofy i rozgląda za jakimś kołem ratunkowym. Każda zakochana dziewczyna boi się, że straci ukochanego! Maria zawsze przesadzała. Czyż nie?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Bruksela, 31 października 1911

Albert Einstein przygląda się wielkiemu żyrandolowi, podziwiając eleganckie cięcie kryształów. Wszystkie odbijają złożone ornamenty kolumn i ścian, rozszczepiając światło. Czasem widzi jedną dominującą barwę, innym razem tęczę. Kryształy zachowują się jak pryzmaty; zmieniają kierunek fal świetlnych. Albert wie, że naprawdę fascynujące są zwyczajne zjawiska, między innymi dlatego twierdzi, iż fundamentalne prawa fizyki rządzące wszechświatem są proste i klarowne niczym woda alpejskiego źródła.

– No więc ja ci mówię, Max – słyszy głos podchmielonego Ernesta Rutherforda – że rewolucję w modzie zaczął Poiret. I, co najciekawsze, druhu, ubiera panie w szerokie spodnie na turecką modłę. Jest to... jak by ci powiedzieć...

Ernest szuka w myślach idealnego określenia, niemniej jednak trudno mu się skoncentrować, ponieważ uczestnicy uroczystej kolacji od kilkudziesięciu minut zapijają obfity posiłek wybornymi trunkami, a to sprawia, że ich konwersacja jest coraz głośniejsza. Nawet kilku wyjątkowo sztywnych profesorów, zwykle opanowanych i zważających na każde słowo, gestykuluje z ożywieniem, rozmawiając równolegle w paru europejskich językach. Ernest Solvay krąży między grupami dyskutantów z rozbawioną miną, zadowolony, że się świetnie bawią. Wokół czuć woń drogich cygar.

– O Paulu Poirecie, jeśli oczywiście o nim mowa, plotkuje cały Paryż – potakuje Jean Perrin.

Przed wyjściem na kolację wypomadował puszyste zwykle włosy, tak że Albert Einstein ledwie go rozpoznał.

– O tym samym.

– A, to owszem, rozbiera kobiety z gorsetów – przyznaje Jean z pogodnym uśmiechem, który go wyróżnia w każdym towarzystwie; uśmiecha się nawet podczas wykładów – ale że w zamian proponuje im spodnie, tego, dalibóg, nie zauważyłem na ulicach.

– Za mało się rozglądasz, przyjacielu – kwituje Rutherford, rozprostowując długie nogi.

– Nie powinniśmy się zainteresować madame Curie? – pyta Albert.

Nie widział Marii od obrad, które opuściła, tłumacząc się migreną. Solvay twierdzi, że ma problemy ze zdrowiem. W takim razie dziwne, że boy hotelowy krążył między jej apartamentem a salą konferencyjną z kartkami, na których wyrażała swoje zdanie w omawianych kwestiach.

– W jakim sensie mielibyśmy się nią interesować? – rzuca ze zdziwieniem

Ernest.

Podkręca wąs, a jego mina świadczy o tym, że wie więcej o madame, niż chce wyjawiać. Albert nie po raz pierwszy czuje się przy nim jak uczeń.

– W sensie zapukania do jej drzwi – odpowiada opryskliwie, z miejsca jednak kwitując to nieco figlarnym uśmiechem.

– Kobietom nie należy przeszkadzać, kiedy chcą być same – informuje Jean i zmienia temat. – Co z tym Poiretem? Skończyłeś nudny wywód?

Uczni rechoczą na całą salę.

– Jest najlepszym krawcem we Francji.

– Poiret? Nie Charles Worth? – dziwi się Albert. – Pierwsze słyszę.

Oto nadarza się okazja do popisania się erudycją. Einstein nie kryje zadowolenia. Patrzy na swoje buty, ze zdziwieniem stwierdzając, że są strasznie zakurzone, czego nie da się powiedzieć o obuwiu kolegów. Jak to możliwe?

– Worth. Typowo francuskie nazwisko, rzeczywiście – cieszy się Max Planck. Dostaje czkawki.

Trzech fizyków stojących tuż za jego plecami wybucha niekontrolowanym śmiechem. Jeden chrząkaniem stara się pokryć nietakt.

– Nie od dziś wiadomo, że trendy w Paryżu, światowej stolicy mody, dyktuje cholerny Anglik! – drze się Ernest, sprawdzając godzinę na złotym zegarku. – Tak się rzeczywiście złożyło – przyznaje. Ma świetną pamięć, magazynuje więc tysiące informacji, które pozwalają mu w dowolnym momencie oszołomić rozmówców. – Dom mody Wortha rządzi Paryżem. Wyobraźcie sobie – zniża głos, jakby zdradzał pilnie strzeżoną tajemnicę – że Worth pochodził ze znanej rodziny prawników. Jego ojciec przepił majątek, chłopak musiał więc iść do pracy. Handlował materiałami, kiedy poznał przyszłą żonę, notabene modelkę, zatrudnianą do pokazów garderoby przed najbogatszymi klientkami salonów mody. Worth zaczął szyc suknie, a ona wkładała je do pracy. Naturalnie zrobiła furorę, a wraz z nią Worth.

– Zaskakujesz mnie, Albercie. Jesteś też ekspertem w dziedzinie strojów?

– Widać to po mnie, nieprawdaż? – Szalony chichot Einsteina zwraca powszechną uwagę uczestników kolacji. – Żartuję oczywiście. Gdybym mógł, nie zdejmowałbym z nóg sandałów.

Niestety, myśli kilka osób.

– Co do mody – kontynuuje Albert, nurzając się w podziwie kolegów – nie tyle się na niej znam, ile mam dobrą pamięć. – Nagle robi mu się głupio, ponieważ mówi rzeczy tak oczywiste, że to aż żenujące. Dodaje więc czym prędzej lekceważąco: – Informacje o tym można znaleźć wszędzie, w każdym piśmie. Jesteś pewien, że madame Curie ma się dobrze? – z uporem wraca do pani profesor.

– Zakochałeś się czy co? – mówi Rutherford z przekąsem, ponieważ nie

odczuł braku dwukrotnej noblistki i uporczywe pytania młodego fizyka wydają mu się dziwne. – Od rana wciąż do niej wracasz. Czyżbyś liczył, że i tobie coś skapnie? – szepce, pochyliwszy się ku Albertowi. Akurat opuścił ich Jean Perrin, zaprzyjaźniony z Marią Curie, może więc sobie pozwolić na złośliwość.

– Nie rozumiem. – Albert udaje obojętność, chociaż temat pochłania go wprost obsesyjnie. Wie to i odczuwa wstyd. Wodzi wzrokiem po sali.

– Cały Paryż huczy od plotek na temat naszej ciepłej wdówki. – Ernest robi długą przerwę. Upija ze szklanki nieco szkockiej whisky, zapala cygaro.

Max stroi dziwne miny. Albert jest zaintrygowany, nie może opanować zniecierpliwienia. Nerwowo przebiera w miejscu nogami.

– Mówi się – Rutherford zawiesza głos – że romansuje z Paulem Langevinem – oświadcza wreszcie.

Krew uderza Albertowi do głowy. Myśli galopują w zawrotnym tempie. Weryfikuje je i odrzuca jedną po drugiej. Langevin? Niemożliwe. Jest przystojny, sądząc po wypowiedziach – zrywny do kobiet, sądząc po osiągnięciach – pochłonięty pracą, sądząc po... Beszta się w duchu za tę bezsensowną wyliczankę.

– Nie wierzę – stwierdza.

– Mnie akurat to obojętne – kwituje beznamiętnie Ernest. Milcząc, gładzi wąsy, jakby dawał Einsteinowi czas na ochłonięcie. – Lubię ją, niezależnie od tego, jaka jest prawda – mówi po paru minutach, które z niewiadomych względów wydają się Albertowi nie do zniesienia. – Tak czy siak, mogę się założyć, że madame Curie do nas nie zejdzie.

– Czemu?

– Człowieku, słyszysz, co do ciebie mówię? – Ernest nie kryje irytacji, ponieważ wszyscy, poza oderwanym od życia Einsteinem, znają już najświeższe plotki. – W południe gruchnęła wieść, że przyjechała na kongres z kochankiem. Mówi się o tym w całej Europie. W holu czatują na nią dziennikarze. Ślepy -jes-teś?

– Skąd mam wiedzieć, na kogo te hieny czekają?

– Miał nadzieję, że na niego – podśmiewa się Max Planck.

– Zwykła małostkowość i zazdrość o jej sławę – oburza się Albert.

Mówi zbyt gwałtownie, lecz kolegów mało to obchodzi.

– Masz trochę racji, chociaż przyznaj, Albercie, że odrobinę się do tego przyczyniła. Nie wojuję z poglądami sufrażystek, niemniej Marie powinna nieco spuścić z tonu. – Ernest Rutherford staje w lekkim rozkroku, jak ma zwyczaj stawać przed studentami, i przemawia z emfazą, dobitnie, tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Jej hardość doprowadza do wściekłości nadęte, pachnące starzyzną profesorskie sławy, którym się wydaje, że kobieta najlepiej się sprawdza w roli żony i matki.

– Pani Curie jest matką – przerywa mu Albert. – I się sprawdza.

– Perrin śmiał się kiedyś, że gdyby nie teść i jej znajomi, córki błąkałyby się po obcych domach. Nie ma wybujałego instynktu macierzyńskiego – zauważa twardo Max.

On również spaceruje w miejscu, tyle że jego kroczyki przypominają nieco taniec.

– Co wobec jej niewątpliwie wybitnego umysłu i osiągnięć można chyba wybaczyć – przyznaje Ernest. Lubi uchodzić za sprawiedliwego.

– Można, owszem. Jak się nie jest jedną z jej córek. – Max parska śmiechem.

Albert posyła mu lodowate spojrzenie, po czym przenosi wzrok na Rutherforda. Nie wie, że mimowolnie zrujnował sobie fryzurę starannie ułożoną przez hotelowego fryzjera, za co słono zapłacił w przyprawie szaleństwa, jakie go ogarnęło po obradach, na których koledzy wydali mu się wymuskani i elegancyści, a on sam pełen żalostnej abnegacji. Jego włosy przypominają teraz starą szczotkę.

– Wspominałeś, że wybierasz się do Paryża – rzuca cicho.

Rutherford podnosi głowę z zaciekawieniem. Zawsze jest ciekaw, co powie Albert Einstein, bo to ekscentryk, a Ernest lubi takich ludzi.

– Zgadza się – odpowiada. – Ty również?

– Kupiłbyś mi Parfums de Rosine? – pyta Albert, nie bawiąc się w subtelności. – W połowie grudnia widzimy się w Berlinie. Przywiózłbyś.

– Gdzie je znajdzie? – Ernest nie widzi w prośbie kolegi niczego niestosownego.

– Oczywiście w domu mody Poireta.

– Czyli znałeś Poireta – ożywia się Ernest. – Droczyłeś się z nami, twierdząc, że rządzi Worth?

– Worth jest nadwornym projektantem, nie ujmuje mu zasług – bryluje Einstein, zachwycony sam sobą. – Wspomniałem o nim gwoli ścisłości. Lubię być precyzyjny. Myślisz, że z Langevinem to prawda?

Nagła zmiana tematu powoduje, że Rutherford przez chwilę milczy.

– Szczerze? W ogóle mnie to nie obchodzi.

– Wyszedł już. Sądysz, że poszedł do niej?

Ernest Rutherford jest starym wyjadaczem, nie da się podpuścić młodszemu koledze.

– Nie, Albercie – zaprzecza. – Jestem niemal pewien, że to plotki wyssane z palca. Madame Curie bywa śmieszka, ale to kobieta z zasadami. – Czeka, aż Albert przetrawi jego słowa, i kontynuuje beznamiętnie: – Pozwolę sobie zmienić temat. Co myślisz o konflikcie niemiecko-francuskim?

Albert Einstein milczy, obserwując dziwne podrygi jednego z fizyków, który najwyraźniej kogoś parodiuje. Kogo?

– Dogadacie się w kwestii Maroka? – uściśla Ernest. – Kiedy w sierpniu gruchnęła wieść, że zaczęliście wojnę, nie na żarty się przestraszyłem. Ostatnio

jednak doszliście do porozumienia?

Albert prostuje się, zirytowany. Dopiero teraz widać, jak przeszywający potrafi być jego wzrok. Ma niemal czarne, wielkie tęczówki.

– Byłbym wdzięczny – zaczyna gniewnie, ale z każdym słowem łagodnieje – gdybyś nie używał określenia *wy*, ponieważ w najmniejszym stopniu nie utożsamiam się z niemiecką polityką. Ani z żadną inną, tak na marginesie. – Albert z zasady odcina się od polityki, mimo że nie jest pewien, czy to powód do dumy. Zdaje sobie sprawę, iż uchyla się od odpowiedzialności, ponieważ jednak to podпиты Rutherford dostrzega w nim Niemca, którym od dawna nie jest, nie odczuwa wyrzutów sumienia, że jest apolityczny. – Wydaje mi się, czy stare pierniki przesadzają z zawiścią? – mówi ugodowo. – Obrzucać niewinną kobietę kalumniami...

– Och, nie – zaprzecza Ernest wesoło, w lot chwytając, że Einstein z maniackim uporem wraca do madame Curie, swego ulubionego tematu. – To nie nasi szanowni koledzy rozpuszczają plotki o jej romansie. Piszą o tym wszystkie francuskie bulwarówki.

– Żartujesz? – Einstein nie dowierza, choć wydaje mu się, że kiedyś ktoś przy nim wspominał o niezwykłej popularności Marii Curie w prasie. Nie wyobraża sobie jednak, by równie sławna uczona znajdowała czas dla dziennikarzy. Albo była ich ulubioną bohaterką.

– Niestety, taka jest prawda. Piszą o nich z detalami.

– Ośmielili się ją oczernić?

Albert nie pojmuje, że można insynuować komuś romans, narażając się na konieczność wypłacenia dużego odszkodowania. Nie potrafi ukryć fascynacji całą sprawą.

– Kwestionują jej postawę moralną, jak to określają.

– Autorytety moralne, psia ich mać – klnie Einstein.

– No właśnie. – Rutherford kiwa głową; jest znużony rozmową o madame Curie. – Sprawa ma podobno drugie dno. Paul Langevin jest z żoną w separacji. Słyszałem, że to wyjątkowo nieudane małżeństwo. Nie pamiętam szczegółów. Żona go bije czy coś w tym rodzaju.

Albert rechocze na myśl, że facet, któremu zazdrości i urody, i co za tym pewnie idzie, powodzenia u kobiet, jest zwykłym pantoflarzem. Nie wierzy w tę absurdalną informację, ale pomógł-by żonie Langevina, gdyby chciała mężowi przyłożyć.

– Przesadziłeś.

– Mówię ci, jak jest – ucina Rutherford. – Żona go tłucze... czy teściowa... może obie razem, nie pamiętam. W każdym razie brat jego szanownej małżonki pracuje w jednej z paryskich gazet i rzekomo to on wylał na Marie wiadro pomyj.

– Rozumiem teraz, czemu jest nerwowa.

– Nerwowa to ona była zawsze – precyzuje Ernest, czując gotowość do wypicia kolejnej szklaneczki whisky. – Nawet się kiedyś zastanawiałem, czy ta jej walka o uznanie nie jest okupiona zbyt wielkimi wyrzeczeniami. Ja to rozumiem, lecz na jej miejscu zrezygnowałbym chyba ze starań o akceptację.

– Łatwo ci powiedzieć.

– No, łatwo mi powiedzieć – przyznaje Rutherford i nie ma w tym ani grama zrozumienia dla problemów uczonej, jest raczej rozbawienie, że sama wpędziła się w kłopoty – w rzeczy samej. Nie grzeszyłem w poprzednim wcieleniu, dane mi więc było urodzić się mężczyzną. Kobiety w naszych czasach mają ciężko. – Śmieje się, napełniając szklankę Alberta. Robi to z dużą wprawą. W ogóle jest zwinny i ma miękkie ruchy. – Czytałem ostatnio – informuje ciszej, przechodząc do napełniania swojej szklanki – o tych biednych angielskich sufrażystkach. – Przerywa na moment, bo i tak nie byłoby go słyhać na tle wrzawy, która nagle wybuchła nieopodal. – Co tam z nimi wyczyniają w Anglii... – wraca do kwestii sufrażystek – zamykają je w więzieniach! Żal mi się ich zrobiło, stary... one mają... jak by to powiedzieć... trochę racji. Może nie do końca, ale zawsze.

– Panie Rutherford – krzyczy jeden z dobrze już wstawionych naukowców – chodź pan tutaj i pokaż nam pan na kolegach ten swój model atomu. – Mężczyzna wytacza się na środek sali, odprowadzany wzrokiem kolegów. – Ja na przykład będę jądrem. Chodź pan, chodź pan.

Ernest nie daje się prosić. Pomysł wydaje mu się więcej niż zabawny.

– Elektronami będą Einstein i pan Perrin... oraz mili memu sercu Jean... i de Broglie. Ustawiaj ich pan i tłumacz, coś pan tam wymyślił, bo na trzeźwo się tego nie pojmie!

Na chwilę zagłusza go śmiech zebranych. Mężczyźni zredukowani do roli elektronów zaczynają krążyć wokół kolegi – jądra – na komendę Rutherforda. Chwilę później dołącza do nich kelner.

Einstein uwielbia takie zabawy. Ma dystans do siebie i życia. Wiruje przeszczęśliwy, a wraz z nim cała sala. Nie widzi już kryształowych żyrandoli. Zmieniły się w rozświetlone barwne wstęgi i wirują razem z nim. Gdzieś na krańcach niezmiernego wszechświata dostrzega jeszcze pojedyncze planety lamp, po chwili jednak wszystko znika. Czuje twarde zderzenie z podłogą.

– Żyjesz, Albercie?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Bruksela, 31 października 1911

Hotelowe łóżko jest olbrzymie i luksusowe. Maria, leżąc na nim, myśli ze zdziwieniem, że nie tylko na co dzień obywa się bez zbytku, ale i nie tęskni za nim. Jej dłoń spoczywa w kręgu światła rzucanego przez nocną lampkę. Kobieta ma na sobie szlafrok, bo w pokoju panuje lekki chłód. Czeka. Ostatnimi czasy do tego się sprowadza jej życie. Do czekania. Uświadamia sobie, że radość z drugiej Nagrody Nobla błyskawicznie się ulotniła, pozostawiając wyłącznie lekkie zdziwienie.

Ma nadzieję, że wspólna kolacja uczonych wkrótce się zakończy i Paul przyjdzie. Zastanawia się przez chwilę, kim jest dla niej Langevin, czuje jednak obezwładniające zmęczenie i rezygnuje z dookreślenia jego roli w swoim życiu. Kocha go. Po prostu. Czasem ma wrażenie, że całe jej jestestwo ogranicza się do tego gorzkiego, niecierpliwego, zmysłowego uczucia. Tęskni. Jest tęsknotą. Czy kiedykolwiek tak jej brakowało Piotra?

Przewraca się nerwowo na drugi bok. Nie chce sobie odpowiedzieć na to pytanie. Piotr odszedł. Umarł? Kimkolwiek dla niej był, czuła się przy nim wolna i bezpieczna. Paul jest jak fatamorgana. Jej oczy napełniają się łzami. Jedna z nich uwalnia się i spływa po policzku. Usta poruszają się bezgłośnie.

Maria żałuje, że nie poszła na kolację. Byłaby teraz z Paulem. Ernest Solvay nadskakiwałby jej, wypytywał o plany naukowe. A ma w ogóle jakieś plany? Zdarzało się, że jej życie przystawało w miejscu, było monotonne, ograniczone do niekończących się, coraz to nowych pragnień. Szła więc potem od jednego pragnienia do drugiego, wciąż niesyta, z uczuciem niespełnienia. Ale to nie było kroczenie obraną drogą. Wciąż pozostawała w laboratorium, czyli... trwała w bezruchu. Co z nią jest nie tak? Porusza się mentalnie?

Przypomina sobie gabinet ojca w mieszkaniu przy Nowolipkach: barometr ze srebrną tarczą, gablotę pełną wspaniałości – wag i szklanych tubek. Trzymał w niej również minerały i elektroskop. Maria myśli o Warszawie. Wszystko zdaje jej się jakieś udawane, sztuczne. W szkole miała dwa różne plany lekcji. Jeden na użytek władz, a drugi – Polaków. Podczas wizytacji rosyjskich inspektorów właśnie ją odpytywano, gdyż mówiła po rosyjsku z pięknym akcentem. Była nieśmiała, czuła się zmuszana do odgrywania komedii przed ludźmi, którymi jej uwielbiani nauczyciele gardzili. Rósł w niej wewnętrzny protest, miała objawy rozdwojenia jaźni. Marzyła o tym, że kiedyś, w przyszłości, stanie się wybitną, odważną nauczycielką, która wpoi patriotyzm kolejnemu pokoleniu polskich dzieci, że nie będzie musiała udawać, poniżać się i żyć pod rządami zaborcy.

Siada na łóżku. Ze smutkiem zdaje sobie sprawę, że ani ona, ani nikt z jej znajomych nie widzi oczyma wyobraźni wolnej Polski. Każdy mówi o wolności, wierzy w nią i wie, że będzie czymś wspaniałym, ale... czym ma być? Jak się objawi?

Ojciec rozdzielił ją i Helenę, nie zważając na to, że chodziły do jednej klasy, i przeniósł Marię ze szkoły Jadwigi Sikorskiej do Żeńskiego Gimnazjum Rządowego, gdzie uczyła się już Bronka. Jak wychowywano polską młodzież? Dziewczeta takie jak ona? Kim się stawały, uczone nieufności i szpiegowania, pozbawione prawa mówienia po polsku? To powodowało frustracje, wydobywało z dzieci wszystko, co najgorsze.

Maria pamięta, że nie wszyscy pedagodzy ją lubili, mimo że była doskonałą uczennicą. Choćby panna Mayer, nauczycielka robót ręcznych. Pamięta to, lecz nie rozumie dlaczego. Co ich w niej denerwowało?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Warszawa, 19 stycznia 1882

Dziewczynki pokonały schody oficyny pałacu Błękitnego, gdzie mieszkała z rodzicami Kazia Przyborowska, przyjaciółka Marii, i z tupotem wbiegły do pokoju. Rzuciły na stół książki, po czym obie, jak na komendę, padły na zasłane łóżko. Kapelusz Marii stoczył się na podłogę.

– Zaraz będzie obiad, córeczko! – usłyszały matkę Kazi, panią Mariannę.

Szczupła Kazia wdzięcznym ruchem uniosła prawą nogę, przyglądając się jej kształtowi i nowej pończosze.

– Jestem z Marią, mamó! – odkrzyknęła.

– Proś Marysię! Szybko, uwijajcie się, dziewczynki. Tatuś zje z nami, więc nie zwlekajcie.

Panny czym prędzej podbiegły do toaletki, na której stała porcelanowa miska i dzban z wodą. W ciszy umyły ręce i przeszły do salonu, gdzie czekali państwo Przyborowscy. Ojciec Kazi, dyrektor znajdującej się w pałacu Biblioteki Zamoyskich, siedział za stołem, przeglądając gazetę. Matka obserwowała jakąś scenę za oknem.

– Dzień dobry państwu – powitała ich Maria, grzecznie zatrzymując się na progu pokoju. – Może ja przeszkadzam?

– Siadaj, Maniu, i nie opowiadaj głupstw – ofuknęła ją łagodnie niewiele od niej wyższa pani Marianna. – Zjesz z nami; będzie nam bardzo miło.

Maria Skłodowska była częstym gościem w domu Przyborowskich. Lubili ją dokarmiać, wiedząc, że ojciec dziewczynki jest zapracowany i być może nie pilnuje, żeby jadała regularnie.

– Chyba że tata na ciebie czeka. – Pani Marianna uśmiechnęła się, lustrując pucułowatą twarz Marysi.

– Tata pracuje – odparła dziewczyna. – Nie wydaje mi się, żeby czekał dziś na nas z obiadem. Prędzej zastaniemy gosposię Katarzynę.

Państwo Przyborowscy wymienili spojrzenia. Pewnego dnia rozmawiali krótko o dojrzałości i doskonałych manierach panny Skłodowskiej, które były rezultatem wychowania i nie bardzo do niej pasowały, jako że Mania nadal była dzieckiem, miewała szalone pomysły i chętnie dokazywała wespół z Kazią. Niezależnie od figli jej autorstwa Przyborowscy uważali ją za świetne towarzystwo dla swojej córki, zważywszy na doskonałe oceny Marii i zdobywany przez nią każdego roku tytuł najlepszej uczennicy w szkole.

Pani Marianna zapatrzyła się na przyjaciółkę córki. Wydało jej się, że dziewczyna posmutniała. Niesforne kosmyki jej włosów wymknęły się w ciągu dnia z warkoczy i leżały teraz na nie pierwszej świeżości kołnierzyku, sprawiając czarujące wrażenie.

– Powiem ci, tatku, że Marysia zaglądała w czytelni do twojej książki o Kochanowskim – poinformowała Kazia, siadając po prawej stronie ojca.

Józef Przyborowski uniósł brew i posłał jej wesoły uśmiech.

– Naprawdę, Mario? Nie żał ci było czasu?

Miał wysokie zakola, między którymi ocalała kępka włosów, stanowiących niegdyś bujną grzywkę. Pod sumiastymi, zakręconymi ku górze wąsami, wzdłuż linii ust, była bródka, sięgająca tylko do połowy brody.

Maria była wdzięczna, że nie nazwał jej Manią; przyjęła to jako wyraz szacunku i uznanie jej dorosłości.

– Czytanie nie jest marnowaniem czasu – oświadczyła krótko.

Kucharka postawiła na stole wagę z dymiącą zupą. Pani Marianna, ubrana w codzienną granatową suknię, podeszła i zaczęła napełniać talerze, poczynając od męzowskiego.

– Święta prawda – przyznał Marii rację Józef Przyborowski. – Dużo czytasz? Mam na myśli książki niezwiązane z nauką w szkole.

– Bardzo dużo, proszę pana. – Ponieważ wyglądało na to, że wszyscy oczekują dłuższych wyjaśnień, dodała szybko: – Zapominam wtedy o rzeczywistości.

– Bylebyś nie odleciała na księżyc. – Pan Józef zaśmiał się dobrotliwie.

Pani Mariannie nie spodobała się odpowiedź Marii, ponieważ od dawna miała wrażenie, że dziewczynka nie radzi sobie ze śmiercią matki i ucieka przed cierpieniem w świat książek. Dobrze, że choć przyjaźni się z ich Kazią. Popada ze skrajności w skrajność, raz jest dzieckiem, innym razem nazbyt dojrzałą panną, niemalże kobietą. Pani Przyborowska skarciła się w duchu, dochodząc do wniosku, że wszystkie dziewczynki w wieku dojrzewania są właśnie takie.

– Mógłbyś któregoś dnia oprowadzić je po bibliotece – zaproponowała mężowi.

– Chciałybyście? – spytał, oderwawszy się wreszcie od gazety.

Mimo wielokrotnych zakazów żony nie mógł się powstrzymać od lektury podczas posiłków, co było zresztą powodem zachwytu Marii, przysięgającej sobie, że i ona będzie kiedyś czytać przy jedzeniu.

Dziewczęta błagalnie spojrzały na bibliotekarza.

– W porządku – skinął głową – tylko skończę, co mam do zrobienia, i w przyszłym tygodniu pokażę wam skarby Zamoyskich. A jest co oglądać, moje panny. Zobaczycie rzeczy, których zwykli ludzie nie mają szansy podziwiać.

– Tato, ty na pewno nam wyjaśnisz pewną kwestię – weszła mu w słowo Kazia, wcale nietęskniąca za ujrzeniem cudów zgromadzonych przez Zamoyskich.

– W szkole mówi się o wydarzeniach w kościele Świętego Krzyża.

Państwo Przyborowscy kolejny raz wymienili spojrzenia.

– Nie macie ciekawszych zajęć? – burknął pan Józef z irytacją. – Za mało wam nauki?

– Podobno zamieszki wywołali Żydzi, tak się mówi – ciągnęła Kazimiera.

– Nie słuchajcie durniów! – Głos pana Przyborowskiego przybrał ostrzegawczy ton.

Zachowanie pana domu ujęło Marię. Lubiała Przyborowskich również za to, że nigdy nie kryli uczuć. Nie byli sztucznie opanowani, jak Skłodowscy, którym od dziecka wszczepiano przekonanie, że ludzie kulturalni panują nad emocjami. Panują czy je dławią? Maria weszła w wiek, kiedy się wszystko kwestionuje.

– Józiu, nie używaj takich słów przy dziewczynkach – obruszyła się pani Marianna, z godnością poprawiając upięte na karku włosy. – Nie twierdzą, że to Żydzi wywołali zamieszki, gdyż używanie liczby mnogiej zawsze budzi moje wątpliwości, ale ludzie zapewniają, że żydowski kieszonkowiec specjalnie krzyknął *gore!*, by odwrócić uwagę tłumu w kościele. – Powiedziawszy to, pani Przyborowska zapatrzyła się w okno.

– Otóż chcę ci wyjaśnić, Marianno, że wiem z wiarygodnych źródeł, iż nikogo wtedy nie okradziono.

Dziewczynki przysłuchiwały się z uwagą, Maria bezwiednie otworzyła usta.

– Zemdląła jakaś kobieta, ktoś zawołał *wody!* i rozpętało się piekło. Zawsze ci powtarzam, duszko, że ludzie powinni słuchać się nawzajem; więcej milczeć i słuchać, niż bez sensu głądzić. Nie wydarzyłoby się wtedy to, co się wydarzyło.

Wszyscy zajęli się jedzeniem, myślami wracając do niedawnych wydarzeń w kościele Świętego Krzyża, gdzie wybuchała panika. Z niewiadomych względów ludzie zaczęli wybiegać ze świątyni, wpadali na stojących, którzy blokowali przejścia, ci upadali pod naporem tłumu, co jednak wcale tego tłumu nie zatrzymywało. Oba ciągi schodów szybko zostały zablokowane, na leżących

i ściśniętych ludzi wpadali następni, spychali ich na ściany i kamienne barierki, wciskali w posadzkę. Pękały żebra. Co bardziej przebojowi i zdesperowani wydostawali się ponad zgniecioną, w dużej mierze leżącą masę wiernych, depcząc po głowach, twarzach, byle wydostać się z tłumu i dotrzeć do wyjścia. Widok był podobno makabryczny. Rozpoczęły się zamieszki, szukanie winnych, prymitywne tłumaczenia, kto za to odpowiada.

– To, co się stało – rzekł pan Józef ze złością – i wy, panienki, też to sobie zapamiętajcie... jest hańbą! Zwłaszcza fakt, że pierwszego dnia zamieszek ani wojsko, ani policja nie reagowały. Plądrowano żydowskie sklepy i domy na Ordynackiej, na Tamce, na Wróblowej, a służby mundurowe spokojnie się temu przyglądały. – Józef Przyborowski rzucił z gniewem łyżką o stół, aż Maria z Kazią podskoczyły.

– Prawda, że to nie po chrześcijańsku, Józiu – łagodziała pani Marianna – ale zważ, że właściwie nie atakowano ludzi... podczas tych zamieszek.

Pan Józef pochylił się nad stołem, wsparty obiema dłońmi, i w milczeniu słuchał żony. Widać było, że zaciska zęby.

– Kto dowodzi takimi akcjami? – kontynuowała pani Marianna, spokojnie zbierając ze stołu puste talerze. Możliwe, że przerwałaby, widząc wzburzenie męża, ale nie patrzyła w jego stronę.

– Prostacy, którym się wydaje, że jak zniszczą majątek żydowski, to im od tego przybędzie.

– Niemniej ludzi nie atakowano.

– Co ty powiesz, moja pani? – wycedził Przyborowski i wtedy już małżonka musiała spojrzeć mu w oczy. – Nikt nie zginął? – spytał cierpko.

– Mówi się, że jeden czy dwóch Żydów – odparła ze wstydem.

– Tyle co nic! – wybuchnął, podrywając się z krzesła.

– Wiesz doskonale, że nie popieram głupoty.

– Nie ma różnicy – przerwał pan Józef, w najwyższym stopniu poruszony czymś, co zdaniem Marii wykraczało daleko poza jego rozmowę z małżonką – czy zabito jednego człowieka, czy stu! Rozpaczy bliskich nie da się zmierzyć. Uczcie się, dziewczęta, bo głupota wiedzie do zagłady.

Pani Marianna wręczyła talerze kucharce, która się właśnie pojawiła, i uspokajająco poklepała męża po ramieniu. Bez słowa wrócił na swoje miejsce. Chwilę później na stół wjechał półmisek mięs w warzywach. Dziewczynki grzecznie dokończyły obiad, na wszelki wypadek nie inicjując kolejnych dyskusji.

Maria przypominała sobie, że nie był to jej szczęśliwy dzień. Na dobrą sprawę powinna była szaleć z rozpaczy, ale nie wypadało, będąc gościem, manifestować smutku. Później. Może później.

Dziewczynki wróciły do pokoju Kazi. Panna Przyborowska nie umiała zdecydować, jakie stanowisko wobec zamieszek w Warszawie winna zająć – matki

czy ojca. W szkole różnie się o tym mówiło i, jak się okazało przed chwilą, jej rodziców zajście także podzieliło. Pociągała ją szlachetność ojca. Taka właśnie chciała być. Niemniej jednak matka również miała swoje racje.

– Marysiu, jesteś jakaś smutna. Żle ci poszło w szkole?

Pani Marianna zapytała na wszelki wypadek, tym bardziej ją zaskoczyło, że w odpowiedzi Maria się rozplakała. Przyborowska usiadła przy niej, zaniepokojona. Przyjaciółka Kazi stanowczo zbyt często płakała. Właściwie niewiele było trzeba, żeby popłynęły łzy.

– Miałam przykrą scysję z panną Mayer – przyznała Maria, dopiero teraz uświadamiając sobie, jak rozpaczliwie potrzebowała powiernika, kogoś, kto by gwarantował znalezienie rozwiązania problemu, który ją przybił i przerósł. Ufała mamie Kazi, gdyż ta wielokrotnie okazywała jej sympatię, troszczyła się o nią, udzielała rad.

– Znowu? – zapytała pani Przyborowska z irytacją.

Nie rozumiała panny Mayer, nauczycielki dręczącej nieszczęśliwe osierocone dziecko. To przekraczało jej wyobrażenie o ludziach i sprawiedliwości.

– Ta czarownica nienawidzi Marysi – włączyła się do rozmowy Kazia. – Wciąż jest uszczypliwa, stara się wykazać, że Maria do niczego się nie nadaje.

– Robótki ręczne nie są początkiem i końcem świata – ucięła pani Marianna. Miała swoje zdanie na temat panny Mayer, lecz nie uważała dziewcząt za partnerki do krytycznych rozmów o pedagogach. Gotowe były powtórzyć jej słowa w szkole i sprowokować kłopoty.

– Nie zwracaj na nią uwagi, dziecko.

– Zrzuciła mi dziś, że patrzę na nią z góry; a jak mam patrzeć, skoro sięga mi do nosa?

– Chyba jej tego nie powiedziałaś? – Pani Przyborowska skryła uśmiech. Rozplotła warkocze Marii i zaczęła splatać je na nowo.

– Powiedziałam, proszę pani – przyznała Mania szczerze. – Ogarnął mnie taki gniew... taka jakaś straszna zawziętość... że nie spuściłam wzroku, gdy na mnie krzyczała, ale w środku, proszę pani – znów się rozplakała – myślałam, że umrę ze strachu. Byłam przerażona. Boję się jej, boję się, że wyrzucą mnie ze szkoły i nigdy nie pójdę na studia.

Pani Marianna pomyślała, że i tak jest mało prawdopodobne, by panna Skłodowska trafiła na uczelnię. Jej ojciec ledwie wiązał koniec z końcem, a studia wymagałyby wysłania dziewczyny na kilka lat za granicę. Ponoć jej starsza siostra Bronka także marzyła o studiach. Zapewne obie zostaną nauczycielkami, co wcale nie było złą perspektywą.

Mama Kazi skończyła poprawianie fryzury Marii, przygarnęła dziewczynkę do siebie i pocałowała w głowę.

– Nie wdawaj się z nią w sprzeczki, Marysiu – poradziła. – Spokojnie

wysłuchaj, co ma ci do powiedzenia, i myśl swoje. Osoby jej pokroju nie są partnerami dla takich ludzi jak my. Ani cię nie może obrazić...

– Jak to, proszę pani? – zdziwiła się Marysia. Jej szare oczy przypominały oczy kota, którego mąż pani Marianny trzymał w bibliotece, by nie zaległy się tam jakieś gryzonie – były ogromne i niewinne.

– Mądry człowiek nie obraża się na głupców – mruknęła mama Kazi, na co Maria zanosła się płaczem.

To nie było normalne. Piętnastolatka jest dzieckiem, owszem, ale to zarazem panienka; zbyt dojrzała, żeby wciąż się mazać.

– Co ci jest? Co się dzieje, Marysiu? Kaziu, biegnij do kuchni, poproś panią Martę o kubek ciepłego mleka dla Marii. A ty powiedz mi, dlaczego płaczesz. – Pani Marianna wzięła w ręce obie dłonie dziewczyny i spojrzała jej głęboko w oczy.

– Boję się, że mnie wyrzucą ze szkoły. – Maria się rozszłochała, tym razem wywołując wesołość pani Przyborowskiej.

– Ciebie?! Masz najlepsze oceny! – Kobieta kołysała Marię w ramionach, śmiejąc się serdecznie. Żal jej było tego dużego dziecka, któremu ewidentnie brakowało matczynej czułości.

– Panna Mayer zagroziła, że pójdzie do dyrektora i złoży na mnie oficjalne doniesienie.

– Nic nie rozumiem – skwitowała pani Marianna. – Nigdy nie jest tak źle, jak myślimy, że jest. Mówiła, o czym chce donieść dyrektorowi? – zapytała, wstając. Rozejrzała się po pokoju córki i zauważyła, że przydałby mu się mały remont. Spojrzała na Marię, nie doczekawszy się odpowiedzi. – Więc?

Dziewczyna schyliła głowę, ale widać było, że jej twarz pokryła się purpurą. Miętoszyła w dłoniach materiał spódnicy.

– Że widziała, jak plułam na pomnik siedmiu generałów na placu Saskim.

– Co robiłaś?! – krzyknęła pani Przyborowska z nadzieją, że się przesłyszała, choć drżące wargi Marii dowodziły, iż dobrze ją zrozumiała. – Miły Boże! Skąd ci przyszło do głowy coś takiego?

Maria zdała sobie sprawę, że matka Kazi nie pojmuje, jak przyjaciółka córki mogła wymyślić równie idiotyczne kłamstwo. W ogóle nie brała pod uwagę, że może to być prawda. Dziewczyna skuliła się ze wstydu. Pani Marianna wyprostowała się wzburzona.

– No, chyba tego nie robiłaś?

Łzy jak grochy popłynęły po policzkach Marii.

– Kiedy to było? – zapytała gwałtownie pani Marianna. – Kiedy cię widziała?

– Nie wiem, proszę pani.

– No... kiedy to robiłaś? – Kobieta zirytowała się nie na żarty. Naturalnie

słyszała o tej praktyce. Warszawiacy spluwali na pomnik, rozejrzawszy się uprzednio, czy nikt ich nie obserwuje. – Czy Kazia towarzyszy ci w tych praktykach?

– Tak, mamie – usłyszała córkę, która właśnie stanęła w drzwiach z kubkiem mleka dla Marii.

– Boże najśladzszy, ja przez was zwariuję! – krzyknęła pani Marianna. Przeszła się po pokoju, wyraźnie nie wiedząc, co robić w takiej sytuacji. – Któregoś dnia stanie mi serce – rzekła gwałtownie – i tyle będziecie mnie widziały. Jak można być równie nieostrożną? Robić coś takiego bez uprzedniego upewnienia się...? – Dotarło do niej, że nie powinna uczyć dzieci kłamstwa, cokolwiek oni, dorośli, myśleli o zaborcach. – Jesteście za młode... za głupie... nie zaczęłyście jeszcze życia, niczego nie zaznałyście – wyliczała bezradnie.

– Myśli pani, że wyrzucą mnie z gimnazjum?

– Nie wiem, Marysiu, muszę porozmawiać z mężem – rzuciła pani Przyborowska na odchodne, a opuściła pokój tak zirytowana, że dziewczyna przeraziła się nie na żarty.

Było gorzej, niż jej się zdawało.

Kazia była nieco mniej przejęta; zerknęła w lustro na swą zgrabną sylwetkę, stwierdzając w duchu, że mogłaby z pulchną Marysią częściej spacerować po Ogrodzie Saskim. Wracając tamtędy do domu, jest więc idealna okazja do ćwiczeń gimnastycznych.

– Może byś ją przeprosiła? – zapytała Marię.

– Kogo? Pannę Mayer? – Maria ocknęła się z zamyślenia. Pytanie przyjaciółki nie spodobało jej się głównie dlatego, że była pewna, iż nauczycielka nie przyjęłaby przeprosin.

– Uwielbia, gdy się jej podlizuje – przypomniała Kazia, co, niestety, było prawdą.

Niektórzy uczniowie przynosili nauczycielce karmelki albo kolorowe czasopisma. Maria skrzywiła się, czując, że sytuacja jest bez wyjścia. Z nerwów miała mokre dłonie. Liczyła na to, że mama Kazi rozwieje jej obawy, tymczasem reakcja pani Marianny ją zmroziła. Dziewczyna poczuła, że oblewa ją zimny pot.

– Nie uwierzy mi – burknęła. – Wie, że jej nie cierpię.

– Mimo wszystko spróbuj – zachęcała Kazia. – Pokajasz się, wyznasz jej w sekrecie, że wychowuje cię ojciec bez mamy i dlatego sobie nie radzisz z babskimi robótkami.

– Nie wmieszam w to zmarłej mamy! – obruszyła się Maria.

Przygryzła wargi do bólu, dochodząc do wniosku, że jej życie nie ma sensu. Nic jej się nie udawało. Zerknęła w okno, z zalem myśląc o pełni wiosny, której nie mogła podziwiać, siedząc nad książkami, bo przecież musiała się uczyć więcej niż zazwyczaj, jeśli chciała uniknąć relegowania ze szkoły. Rozejrzała się po pokoju

przyjaciółki i nagle wybuchnęła cała jej skrywana pretensja do świata o to, że nie ma matki, przestronnego jasnego pokoju, zamożnego ojca, który by jej opłacił studia na Sorbonie. Po co się łudziła? Nigdy nie wyjedzie za granicę. Do końca życia będzie nauczycielką cudzych bachorów, niewolnicą w domu. Co jej po artykułach Wiślickiego czy Świętochowskiego, w których bronili praw kobiet, wykazując, że są równe mężczyznom? Same kobiety ich krytykowały! Urodziła się w kraju, którego nie ma na mapie, i jakby tego było mało, nie miała widoków na posag.

– Wydaje ci się, że twoja mama cieszyłaby się, że zaprzepaszczasz szansę na zdobycie solidnego wykształcenia? – zapytała Kazia powątpiewającym tonem. – Oczywiście, że ją wmiszasz! Koniec dyskusji.

Dziewczyna wyrzała z pokoju, by upewnić się, że nikt się nie zbliża. Wróciła pospiesznie i wyjęła z dna szuflady biurka plik kartek.

– Zdobyłam to, o co prosiłaś. – Pokazała koleżance rysunki ćwiczących kobiet. – Po pierwsze, masz dużo spacerować – szepnęła. – A po drugie, jesteś śmieszna. Ostatnio bardzo wyszczuplałaś bez żadnych starań.

– Postanowiłam sobie, że będę chodzić nad Wisłą. Myślisz, że mi się uda?

– Schudnąć? Oczywiście, spójrz na swoje siostry. Schudniesz bez gimnastyki. Niepotrzebnie masz kompleksy.

– Bronia jest taka piękna... tak skończenie piękna – stwierdziła Maria z zachwytem.

Przyszło jej do głowy, że obie jej siostry są uderzająco piękne. Niestety, nie była do nich podobna. Poczwała nową falę niezadowolenia. Niewydarzona, biedna, brzydka Polka, w dodatku bez wykształcenia, jeśli panna Mayer postawi na swoim.

– Uważasz, że pozwolą jej studiować medycynę? – zapytała Kazia, patrząc na odbicie przyjaciółki w lustrze.

Maria wzruszyła ramionami, jakby pytanie było niepoważne.

– Oczywiście – zapewniła. – Na Sorbonę przyjmują kobiety. – Denerwowała się, ilekroć ktoś w jej towarzystwie powątpiewał w siłę przebiccia kobiet.

– Ale jak to sobie Bronka wyobraża? – Kazimiera machinalnie przekładała przedmioty na biurku. – Tyle jest niestosownych słów i obrazków w książkach medycznych. Nie będzie się krępować? Zwłaszcza w obecności mężczyzn?

– Bronka pragnie pomagać kobietom; myśli o położnictwie – zachnęła się Maria, nie rozumiejąc wątpliwości koleżanki. To, co prowadzi do poprawy doli człowieka, z założenia nie może być wstydlive! Nauka jest obiektywna! I uniwersalna. – Mówi, że będzie odbierała porody, ratowała dopiero co narodzone dzieci biedoty... – zaczęła, co wywołało kolejne zdziwienie przyjaciółki.

– Biedoty? – Kazia gwałtownie odwróciła się w jej stronę, stwierdzając w duchu, że Mania ostatnio bardzo wyładniała. – Jak więc się utrzyma? Biedny nie zapłaci przecież za usługi.

Maria namyślała się przez chwilę.

– Każdy ma coś, co może ofiarować swemu dobroczyńcy – rzekła z ociąganiem.

Ona i Bronka marzyły o studiach, niemniej jednak żadna z nich się nie zastanawiała, co będzie robić później. To było naprawdę nieistotne.

– Na przykład?

Najwyraźniej Kazimiera postanowiła wyprowadzić ją z równowagi. Nie wierzyła jej?

– Na przykład kurę albo jajka – rzuciła.

– Skąd robotnik weźmie kurę? – Kazia zachichotała.

– Nie powiedziałam, że będzie leczyć robotnice – wycodziła Mania. – Może wyjedzie na wieś.

– Sama?

– Oj, przestań wypytywać, jakbyś była śledczym – obruszyła się Maria. – Będzie studiowała. Może pozna wspaniałego młodego doktora...

– Przystojnego i bogatego – przerwała jej Kazia wesoło – żeby nie musiała zarabiać na biednych robotnicach.

Teraz już obie chichotały. Maria była przyzwyczajona do żartów koleżanki. Potrzebowała kogoś, kto dostrzega pozytywne strony życia, zwłaszcza gdy ona sama wpadała w otchłań rozpacz. Kazia była słodka, dobra i uczciwa. Jej uśmiech zjednywał ludzi, wszędzie była mile widziana.

Dziewczęta nie zauważyły wejścia pani Marianny.

– Dosyć zabawy, panienki. Kaziu, bierz się do lekcji, a ty, Marysiu, chodź ze mną.

Kazimiera żałowała, że matka nie pozwoliła jej iść z Marią i dowiedzieć się, co zdecydował ojciec w sprawie problemów z panną Mayer, z kolei Maria była przerażona, sądziła bowiem, że czeka ją kolejna rozmowa, tym razem z panem Przyborowskim. Zdziwiła się, kiedy pani Marianna podała jej jakiś ciężki pakunek.

– Pójdiesz pod ten adres, kochanie – mówiąc to, wcisnęła jej do ręki karteczkę.

– Kto tam mieszka?

– Panna Mayer.

Dziewczyna podniosła wzrok i zaczerwieniła się gwałtownie. Zamrugowała, jak zawsze, kiedy czuła napływające do oczu łzy.

– Po co mam do niej iść?

Pani Przyborowska opanowała zniecierpliwienie. Widząc przerażenie Marii, machinalnie pogładziła ją po policzku.

– Żeby ją przeprosić, dziecko – powiedziała. – Przepraszam... najładniej, jak potrafisz, i wręczysz upominek.

Frustracja Marii sięgnęła zenitu. Ma wręczyć pannie Mayer upominek? Już

wyobrażała sobie awanturę i poniżające przemówienie, którego będzie zmuszona wysłuchać.

– A jeżeli go nie przyjmie? Skrzyczy mnie albo...

– Przyjmie, Maniu, o to niech cię głowa nie boli – ucięła pani Przyborska.

– Nie będziesz pierwsza.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Bruksela, 31 października 1911

Maria Curie szybko przemierza korytarz na pierwszym piętrze hotelu Metropole. Chodnik tłumi odgłos kroków. Kobieta ma nadzieję, że nikogo nie spotka, zwłaszcza nikogo z grona szanownych kolegów fizyków, którzy już skończyli kolację.

Słyszała, jak się rozchodzili po pokojach. Ludziom po alkoholu tępieje słuch; przekrzykiwali się nawzajem, kończąc dyskusje rozpoczęte parę godzin wcześniej. Wreszcie zaległa cisza. Maria odczekała jeszcze pół godziny, by mieć pewność, że wszyscy udali się na spoczynek, i właśnie rusza w stronę apartamentu Langevina. Jest spokojna przynajmniej o to, że, jeśli nawet Paul zasnął, ona i tak wejdzie do środka – na wszelki wypadek żadne z nich nie zamyka drzwi na klucz.

Nagle słyszy podniesiony męski głos (ma wrażenie, że tuż przy uchu). Czuje gwałtowne bicie serca, które niemal wyskakuje z piersi. Wbiega do pokoju Paula, pewna, że za moment ktoś nakryje ją na nocnej eskapadzie.

Przy łóżku pali się nocna lampka, wypełniając część pomieszczenia łagodnym, ciepłym światłem. Paul jest na tarasie. Udrapowana firanka unosi się lekko i opada. Maria kładzie się na łóżku i zamyka oczy. Wciąż ma na sobie krępującą ruchy suknię, na szczęście bez gorsetu. Przesuwa dłońmi po chłodnej pościeli.

– Czekałam, by mieć pewność, że wszyscy śpią – odzywa się, nie otwierając oczu, kiedy słyszy, że przyjaciel wchodzi do pokoju.

Dociera do niej powiew chłodnego powietrza. Zamykane drzwi szcękają.

– To ja, madame Curie...

Zszokowana Maria zrywa się na równe nogi. Albert Einstein, bo to on był na tarasie, kładzie palec na ustach i szybkim krokiem opuszcza pokój. Niemal w tej samej chwili zjawia się Paul. Był w łazience. Znacząco patrzy w stronę drzwi balkonowych.

– Wyszedł – informuje Maria.

Langevin chce coś powiedzieć, rezygnuje jednak. Woli nie znać szczegółów.

– Lepiej się czujesz? – pyta.

Kobieta kładzie się z powrotem na łóżku i przewraca na bok, dając do zrozumienia, że nie wybaczy Paulowi, iż zostawił ją na kilka godzin, choć to ona kazała mu wyjść. Co innego jednak kazać, co innego być posłusznym. Powinien powiedzieć, że kolacja bez niej nie ma sensu. Wierność konwenansom? Dbalność o zachowanie pozorów? Konformizm?

Dłoń Paula opada na ramię Marii, wolno sunie wzdłuż jej boku, końce

palców muskają krągłą pierś. Kobieta mruczy cicho. Chciałaby odtrącić kochanka, ale nie potrafi. Jest głodna jego pieśczoć. Mężczyzna zna ją doskonale, wie, kiedy się gniewa, a kiedy pragnie go tak bardzo, że wybaczy wszystko. To jest właśnie taki moment, Paul pochyla się więc, dotyka wargami jej ust. Rozchylają się, są chętne i zmysłowe. Mężczyzna uwalnia włosy Marii. Leniwymi ruchami, nie przestając jej całować, wydobywa z sukni drobne ciało, napawa się nim, namiętnością, z jaką Maria tuli się do niego. Zagarnia ją z zachwytem, w którym jest coś z ożywczej energii pierwszego spotkania. Uwielbia to, że w jego dłoniach ta niezłomna, skoncentrowana na nauce i nudna w dążeniu do celu kobieta staje się bezwstydną kochanką. Paul w łóżku jest mistrzem, przewodnikiem i zdobywcą.

Świat Marii przystaje. Kobieta poddaje się ekstazie, która ją wypełnia, chce Paula – bardziej, niż może mieć, głębiej, szybciej, aż do bólu, który przerwałby pasmo udręk. Odwzajemnia pocałunki, czasem gwałtownie, nie czekając na pieśczoć, tylko biorąc je, zmuszając kochanka do dawania rozkoszy, jakby nadrabiała zaległości całego życia. Jest oszołomiona. Nie ma wątpliwości – Paul jest tym jedynym, mimo że los tak długo trzymał ją z dala od niego. W przeszłości kilka razy się zdarzyło, że spojrzeli sobie w oczy, zaskoczeni nagłym, trudnym do opanowania, przejmującym pragnieniem fizycznej bliskości. Za życia Piotra nie dopuścili do siebie myśli, że są sobie przeznaczeni. A przecież byli; czuli to teraz. Maria nie wiedziała, że miłość fizyczna może być tak upojna.

W każdym związku jest ten, kto kocha bardziej. W małżeństwie Marii był to Piotr; ona jedynie przyjmowała miłość, co miało swój cierpki urok. Była adorowana, podziwiana, uwielbiana nawet, a to wszystko przy kompletnym braku wycucia ze strony męża, co i kiedy wypada. Piotr był łagodny, mądry i głęboki, obojętny na codzienne sprawy, które nieświadomie spychał na Marię, a ją też one mierzily. Miał wielkie serce, wielki umysł i potrafił być namiętny. Dlaczego w takim razie zapomniała o nim, ledwie Paul brał ją w ramiona? Czy to sprawiedliwe?

Maria lubi leżeć w objęciach Paula, zawsze jednak odbiera to jako rozkoszne marnotrawienie czasu. Nawykła do pracy, bez niej nie czuje, że istnieje. Zdaje sobie sprawę, że to nienormalne i że przesadza, ale nie umie inaczej. Od dziecka ślęczy nad książkami – by zdobyć najlepsze oceny, zapomnieć, by się śmiać albo zrozumieć. Rywalizowała z rodzeństwem. Siostry i brat byli nieprzeciętnie uzdolnieni, przy tym starsi od niej. Pierwsi trafili na szlak, którym chciała podążać, wciąż zatem ich goniła, tak długo, aż straciła poczucie rzeczywistości.

Marii czasem się wydaje, że ma zadyszkę i brakuje jej sił. Miłość Paula odrywa ją od obsesyjnych myśli. Przy nim jest kobietą. Niczego nie musi udowadniać, ponieważ jemu jest obojętne, ile nagród zdobyła. On potrafi żyć

pełnią życia, inaczej niż Piotr, dla którego istniała wyłącznie praca w laboratorium i pisanie artykułów. Mimo zachwyty dla wszystkiego, co Paul sobą uosabia, Marię irytuje, że ukochany żyje w świecie, do którego ona nie ma dostępu; świecie codziennych trosk.

– Jesteś sławna – mówi niespodziewanie Paul i chociaż Maria w pełni się z nim zgadza, nauczyła się, że takim stwierdzeniom należy zaprzeczać, bo wymaga tego kultura osobista.

– Nie pleć głupstw – odzywa się niechętnie. – Chyba... że jako kochanka – dodaje, unikając jego wzroku.

– Nie bądź złośliwa.

Paul się uśmiecha. Lubi trochę dziecinne grymasy Marii.

– Jestem z Ciebie dumny. Zasłużyłaś na drugiego Nobla, choć przyznaję, że nie przyszło mi do głowy, iż dadzą go powtórnie tej samej osobie.

– Dlaczego? – dziwi się Maria, wstając z łóżka. – Skoro nagradzają największe osiągnięcia.

Paul obserwuje zwinne ruchy przyjaciółki, myśląc, że jej słowa nie są wyrazem skromności, ale taka właśnie jest – beznamiętnie szczerą.

Kobieta ubiera się w swoją prostą starą suknię, noszącą znamiona kilkakrotnych reperacji. Nie przeszkadza mu abnegacja Marii, mimo że wie, iż stać ją obecnie na zmianę garderoby. I tak najchętniej ogląda ją nagą.

– Czuję się przy tobie bezpieczny – mówi, nieświadomie wchodząc w rolę przedstawiciela słabej płci.

Maria waha się przez moment, czy upinać włosy, dochodzi jednak do wniosku, że od pokoju, który jej przyznano, dzieli ją zaledwie kilkanaście metrów.

– Co zrobimy po powrocie do Paryża? – pyta.

– Nie mówmy o Paryżu.

– Przeciwnie, musimy coś postanowić – irytuje się Maria, głównie z powodu złych przeczuć. – Boję się, że będą nas śledzić.

– Nie myśl o tym.

– Jak mam nie myśleć, skoro gazety mają nasze listy?

– Nie osmielą się ich wykorzystać.

– Paul, zastanów się! – wybucha. – Wszystko się wydało! Wie o nas połowa Europy! Jak mam zejść jutro na obrady i spojrzeć tym mężczyznom w oczy?

Paula ogarnia senność. Jest środek nocy, plotki na temat jego romansu z Marią gruchnęły rano. Uczestniczył w kolacji, nie zauważył, żeby ktokolwiek traktował go inaczej niż zwykle, czyli Maria przesadza. Ten wniosek pozwala mu spokojnie oddać się kontemplowaniu senności. Pościel jest ciepła, wciąż pachnie Marią.

– Przesadzasz – mruczy, ruchem dłoni zachęcając, by usiadła. – To fizycy. Nie obchodzi ich, z kim sypiasz. A nawet jeśli... będą mi wyłącznie zazdrościć.

– Tobie? Zastanów się, co pomyślą o mnie!

Źle się stało, że jego żona zdobyła listy Marii do niego. Jeanne bywa nieobliczalna. Od dawna straszy go pozwem sądowym. Tak, to przykre, czy jednak rozpacz i ciągle rozprawianie na ten temat zmieni ich położenie?

– Marie, dostałaś drugiego Nobla – zaczyna zniecierpliwiony.

Maria stoi przy oknie tyłem do niego, rozedrgana niewspółmiernie do wagi problemu. Kogo obchodzi jej życie uczuciowe?

– Jeżeli coś ich w tobie interesuje, gwarantuję ci, że są to twoje osiągnięcia.

– Nie zamierzasz jej zostawić?

Maria odwraca się gwałtownie. Wyraz jej twarzy napęcza go lękiem; mężczyzna czuje, że rośnie mu ciśnienie. Widzi oczy pełne łez, drżące wargi i dłonie.

– Stawiasz sprawę na ostrzu noża – mówi łagodnie.

– Umieram ze wstydu – jęczy Maria.

– W takim razie nie krzycz, bo słyhać cię w całym hotelu – żartuje Paul.

Maria nie może znieść jego beztroski, spokoju, zadowolenia z tego, że walczą o niego dwie kobiety, pewności siebie, z jaką wygłasza komentarze na temat jej przewrażliwienia. Nie może znieść tego wszystkiego, co ma związek z jego żoną Jeanne! A najtrudniej znosi to, że nie może jej od Paula odsunąć, on sam zaś ogranicza się wyłącznie do zapewnień, że coś zmieni.

Z furią wybiega z apartamentu kochanka i wpada prosto na zaskoczonego Alberta Einsteina. Fizyk chwytą ją w objęcia, a upewniwszy się, że kobieta nie straci równowagi, puszcza, uśmiechając się od ucha do ucha. Gdyby mogła zapaść się pod ziemię, z pewnością by to zrobiła.

– Co za miłe spotkanie – cieszy się Einstein, oczarowany. Nie spodziewał się, że kiedykolwiek ujrzy madame Curie z rozpuszczonymi włosami.

– Byłam u Paula – informuje Maria i wobec oczywistości tego faktu, wszak stali pod jego drzwiami, milknie. Ma nadzieję, że w półmroku Albert Einstein nie dostrzeże jej rumieńców. Co on, u diabła, robi na korytarzu w środku nocy? Wyjaśnienie, że to zbieg okoliczności, bo po prostu tędy przechodził, nie trafia Marii do przekonania. – Wpadł mi do głowy pomysł na wykorzystanie promieni Roentgena – dodaje i natychmiast uświadamia sobie, jak bezsensowne jest to wytłumaczenie. Znalazła sposób na komercyjne wykorzystanie cudzego wynalazku i to ma być aż tak pilne? A co będzie, jeśli Einstein ją zapyta o ten pomysł?

– Czy pani stale pracuje?

Albert uśmiecha się, a w jego oczach jest wyłącznie sympatia. Maria uspokaja się, ale natychmiast miejsce obaw związanych z Einsteinem znów zajmują problemy z Paulem. Kobieta nie chce kłamać ani wracać do pokoju. Jest nieszczęśliwa i ma wrażenie, że to widać.

– Oczywiście, że nie jestem samą pracą – prostuje zniechęcona i robi ostatni

wysiłek, by zapewnić sobie alibi. – Nie mogę zasnąć, chętnie bym się przeszła. Proponowałam Paulowi spacer, ale jest znużony.

– Z radością będę pani towarzyszył.

Ruszają do wyjścia. Maria przeklina w duchu swój brak rozsądku. Senny recepcjonista posyła im blady uśmiech. Wie, kim są, zwłaszcza madame Curie, za którą uganiają się dziennikarze, odkąd wyszło na jaw, że ma romans z młodszym od siebie kolegą. Wszystko więc się zgadza. Oto idzie z nim na romantyczny spacer.

– Niedawno odbyła się w Paryżu premiera *Pietruszki* Strawińskiego. Pewnie pani była? – zagaja Albert, świadom, że brak umiejętności konwersacji źle świadczy o człowieku.

– Niestety, nie – oświadcza Maria. – Bywałam w operze z mężem. Teraz jakoś się nie składa. Nic właściwie się nie składa – dodaje z nagłą złością, nie zastanawiając się, że wprawia kolegę w zakłopotanie.

Wychodzą przed hotel. Owiewa ich chłodne, wilgotne powietrze. Maria jest w grubej sukni, mimo to czuje się tak, jakby była naga. Początkowo sprawia jej to przyjemność.

– Przykro mi – mówi Albert.

Zdaniem Marii brzmi to dość absurdalnie.

– Zmarł pięć lat temu – przypomina. Czas składania kondolencji dawno minął.

Kobieta rezygnuje z irracjonalnej napastliwości, okazuje się jednak, że znajomy nie czuje się dotknięty.

– Nie mówię o pani mężu – wyjaśnia.

Wiatr burzy mu fryzurę. Poła jego marynarki uderza Marię w ramię. Idą w milczeniu, nie znajdując tematu do rozmowy, w końcu Einstein wraca do wyjaśnień, dlaczego było mu przykro. Niepotrzebnie; Marii w najmniejszym stopniu to nie interesuje.

– Przykro mi, że gazety panią atakują. To... bezczelne i... bez-podstawne. Wytoczyłbym im proces.

Maria nie wie, co powiedzieć. Na jej twarz znów wypływa rumieniec, tyle że nie widać tego w ciemnościach bocznej uliczki, w którą skręcili. Kobieta, nieprzyzwyczajona do spacerów z rozpuszczonymi włosami, przytrzymuje je obiema dłońmi.

– Porozmawiajmy o czymś innym – proponuje z irytacją.

– Słyszała pani, że członkowie brytyjskiego parlamentu przyznali sobie wynagrodzenia? – Einstein się śmieje i po raz pierwszy Maria jest mu wdzięczna. Odpowiada uśmiechem.

– Szkoda, że profesorowie Sorbony nie mogą – kwituje lekkim tonem.

– Profesorowie w ogóle – poprawia Albert wesoło. – Byłbym za. Bardzo

mnie cieszy, że pójdziemy jutro na koncert – nawiązuje do programu kongresu. – My, Niemcy, przykładamy dużą wagę do muzyki. Nic dziwnego, skoro mamy coraz mniej do powiedzenia w innych dziedzinach. – Zauważa zdziwienie madame Curie, spieszy więc z wyjaśnieniami, a że bywa nieokrzesany, czyni to we właściwy sobie sposób. – Co się pani dziwi? Tołstoj... Zola... cały pochód zarozumiałych Anglików... Wilde, Shaw, sam już nie wiem. A my, Niemcy, co? Hauptmann, ot i wszystko – odpowiada sam sobie. – Wy, Francuzi, macie chociaż malarzy, a my mamy wyłącznie Richarda Straussa. – Śmieje się sam do siebie. Najbardziej bawi go to, że nie mieszka w Niemczech i nie czuje się Niemcem. Tamtejsze realia są mu jednak dobrze znane. – U nas w każdym mieście jest jak nie opera, to sala koncertowa – kontynuuje – albo jakiś zespół. Strauss, nasz towar eksportowy...

– Lubi pan muzykę? – przerywa mu madame Curie. – Proszę o odpowiedź z głębi serca.

Albert przystaje na chwilę i przygląda się jej twarzy. Kobieta tym razem nie unika jego wzroku.

– Zignorowała pani moje wcześniejsze wynurzenia – stwierdza z żalem uczony. – Gram na skrzypcach. Nie umiem bez nich żyć. Pewnie dlatego, że wyłącznie w czasie grania nie zastanawiam się nad tym, dokąd pędzi wszechświat.

Zamyśla się. Wygląda na dużo starszego, niż jest. Rusza przed siebie, nie oglądając się na Marię.

– Zagra pan kiedyś dla mnie? – pyta kobieta.

Czuje się nieswojo w czasie takich rozmów, ponieważ nawykła do dyskusji na tematy zawodowe. Swoje prywatne przemyślenia zostawia dla rodziny i przyjaciół, a że większość mieszka za granicą, Maria wyraża je w listach. Kiedy więc przychodzi do nic nieznaczącej pogawędki z kolegą, odczuwa dyskomfort. Każda uwaga wydaje się zbyt błaha, by ją wypowiadać.

– Już to obiecałem – przypomina Albert.

– Dotrzymuje pan obietnic? – pyta Maria wprost.

Z niewiadomych powodów mężczyzna czuje się w obowiązku mówić prawdę; prawdę głęboką i niebanalną. Chce zaimponować madame Curie.

– Czy ja wiem? – namyśla się, choć Maria żartowała. – Różnie z tym bywa. Ważne chyba, czy zamierzam dotrzymać obietnicy danej pani. – Zachodzi Marii drogę i znów przystaje. – Tak – potwierdza, jakby składał przysięgę małżeńską.

– Skąd pewność? – droczy się Maria, znajdując pewną przyjemność w dręczeniu młodszego kolegi.

Czuje, że mu się podoba. Zresztą nie jest to dla niej nic nowego, podoba się wielu mężczyznom. Umie ich oczarować, mimo że nie zdaje sobie sprawy, z czego to wynika.

– Jak to możliwe, że równie piękna kobieta stała się gigantem nauki?

– Niech pan przestanie, to nie w pańskim stylu. – Maria wybucha śmiechem, ponieważ Albert pyta jak dziennikarz.

– Jaki jestem, pani zdaniem? – Einstein się nie zraża, wręcz przeciwnie, cieszy go, że Maria wreszcie ośmieliła się wyrzec z szufladki z etykietą *dom i praca*.

Włosy madame Curie go zachwycają. Jest podniecony; od dłuższego czasu nie flirtował tak z żadną kobietą. Żona przestała go pociągać. Przestała? Albert jest zdumiony tym, jak wiele uświadamia sobie w obecności tej przedziwnej kobiety, której wielu odmawia kobiecości.

Maria omija go i kieruje się ku skrzyżowaniu ulic. Ma wrażenie, że jest w Paryżu.

– Cyniczny, zdystansowany wobec świata, złośliwy i pogodny. – Śmieje się. – Taki pan jest, Albercie – pozwala sobie na poufałość.

– Nieprawda. Zaczęła pani od swojej charakterystyki, żeby nas porównać – teraz to on się z nią droczy i oboje wybuchają śmiechem.

Jest śmiech, który wywołuje ulgę, tyle że gdy wybrzmi, życie staje się jeszcze trudniejsze. Maria właśnie tak się czuje... jakby jej życie stało się trudniejsze, ponieważ pozwoliła sobie na spacer z Einsteinem.

– Mężczyźni panią rozpieszczają, prawda? – Albert przestaje się kontrolować. Jest po prostu szczęśliwy.

– Może... trochę – przyznaje Maria bezwstydnie.

Mężczyzna zdejmuje marynarkę i nie czekając na zgodę, narzuca ją na ramiona Marii. Ona nie protestuje. Chłód zaczyna być dokuczliwy. Nie spodziewała się, że Albert potrafi być szarmancki, ale to przyjemne rozczarowanie. Jego marynarka pachnie cygarami. Maria stwierdza nagle, że nie przeżyje, jeśli Paul też ją zostawi. Nie przeżyje. Z całych sił próbuje się powstrzymać od płaczu. Ten wysiłek jest widoczny, więc Albert odwraca wzrok. Nie mogąc pomóc, nie chce przyglądać się jej cierpieniu.

– Wie pan, że to prawda.

Przechodzą nagle na niemal intuicyjny poziom dialogu. Einstein wie, że Maria zamierza mu opowiedzieć o swoim romansie z Langevinem, i nie jest pewien, czy chce tego słuchać. Czuje lekką zazdrość, nosi się więc z zamiarem wyznania, że jego zdaniem ten związek nie ma szans. A przecież nie wie o nim nic. To żenujące.

– Paryż... miejsce magicznych spektakli – zaczyna. Dziwne, że mówi Marii o Paryżu, choć go nie zna. Ma nadzieję, że zmieni nieuniknione. Czuje, jakby wciąż był na rauszu. – Balety Diagilewa – mówi z zachwytem. – Była pani na Niżyńskim? *Nimfa i Satyr* Matisse'a. Widziała pani? A Isadorę Duncan w tańcu? Rachmaninow, Rimski-Korsakow, Szalapin – nie pozwala Marii dojść do słowa, ponieważ instynktownie czuje, że madame Curie nie jest gotowa na wyznanie,

które chce poczynić.

Ulicą przebiega pies. Nie zwraca na nich uwagi. Biegnie sobie tylko znaną drogą, skoncentrowany na celu, który ma przed sobą.

– Chopin rozpisany przez Strawińskiego na orkiestrę. Specjalnie mówię o tym, co się działo w Paryżu, gdzie pani mieszka – kontynuuje Einstein, obejmując się ramionami. – Muzyka jest mi najbliższą ze sztuk, dlatego skupiam się na niej. To dotyczy jednak każdej dziedziny życia. Idzie nowe; czasem piękne, a czasem przerażające... jak choćby wizja wojny, którą mają rozpętać Niemcy. Już wojna toczona pomiędzy arystokracją... i oczywiście burżuazją – dodaje naprędce – a duchową arystokracją, do której oboje należymy...

– Do czego pan zmierza? – przerywa gwałtownie Maria.

Nastrój pryska. Madame Curie traci ochotę do zwierzeń czy raczej kompulsywną chęć, żeby wyrzucić z siebie tłumioną od miesięcy rozpacz.

– Znam wiele kobiet – tokuje Einstein – mogę więc zapewnić, że pojawiła się pani na świecie wyłącznie po to, by potwierdzić regułę, że kobiety są beznadziejne, a pani jest wyjątkiem.

Nie chce znać prawdy. Madame Curie jest dla niego symbolem – piękna, czegoś ulotnego i zjawiskowego. Romans z żonatym mężczyzną, mimo że nie jest w jego oczach niczym gorszącym, stracił Marię z piedestału, na którym kiedyś fizyk ją ustawił. Jest coś jeszcze: Albert pragnie wierzyć, iż madame Curie jest tu dla niego i że spacerują ulicami Brukseli zafascynowani swoim towarzystwem. Mileva, jego żona, ustawicznie narzeka, że ją odtrąca i nie dzieli się z nią przemyśleniami na temat fizyki, co robił na początku małżeństwa. Czy powinni rozmawiać w domu o jego pracy? Maria Curie, z którą przemierza ulice Brukseli, największy fizyk współczesności, nie poświęciła fizyce ani jednego zdania! Mileva nudzi się, kiedy jest sama, stąd jej pretensje.

– Zrobiłem ten wykład, żeby pani uświadomić, jak wiele wspaniałych i okropnych rzeczy dzieje się na świecie, tymczasem pani nie ma o nich pojęcia. Albo pochłania panią praca, albo spędza pani czas z osobą, która panią ogranicza.

Sam jest zaskoczony, że kończy wywód uwagą o Paulu Langevinie. Przystaje, Maria również. Patrzą sobie w oczy i wydaje mu się, że nie widział piękniejszej, bardziej uduchowionej kobiety. Marzy o tym, by móc dotknąć wypukłego czoła madame Curie. Albo przyłożyć do niego usta, wziąć głęboki oddech, poczuć zapach jej włosów. Czy zaczęło padać?

– On... niczego pani nie da – szepce, wytrzymując jej spojrzenie. – Proszę zapomnieć o wstydzie, o tym, co koledzy myślą na temat pani prywatnego życia, bo to nieistotne. Liczy się to, że omija panią prawdziwe życie, podczas gdy zasługuje pani na wszystko, co wspaniałego może zaoferować. – Milknie. Trudno mu znieść ciężki wzrok Marii.

– Nie zna mnie pan – słyszy wreszcie – nic pan o mnie nie wie. Ani tego, czy

dostrzegam oznaki nadchodzącej wiosny, ani tego, co jest dla mnie najważniejsze.
– Głos jej drży.

Kobieta zrywa z ramion marynarkę Alberta, wciska mu ją w dłonie i odchodzi. Przez chwilę mężczyzna wsłuchuje się w stukot jej pantofli, po czym biegnie za nią.

– Nie chciałem pani urazić – przekonuje, zrównując krok z jej krokiem.

– Wiem – szyderczo odpowiada Maria. – Należy pan do tych, którzy folgują sobie w mowie, poczytując to za ujmujący brak zakłamania.

– Marie, jest pani...

– Proszę mnie nie dotykać!

Z furią strąca jego dłoń z ramienia, czego Albert zdaje się nie zauważać. Chce jej pomóc. Być przy niej. Po prostu być. Blisko. Mógłby jej opowiedzieć, nad czym pracuje, jak się męczy, nie mogąc przebrnąć przez świat równań, jak za każdym razem z prostoty uniwersum robi skomplikowanego gniota, jak wychodzą mu pseudoteorie, choć mógłby przysiąc, że jest na właściwym tropie. Zdaje mu się, że wystarczy otworzyć usta i popłyną słowa, których szuka. Zrozumiałaby.

– Uważam panią za klejnot, dlatego dziwi mnie, że pani tego nie dostrzega – wyznaje.

– Uważa mnie pan za istotę ograniczoną, jak każdy męski szowinista. – Madame Curie unosi się gniewem.

Zranił ją. Lub stał za blisko, kiedy ją zraniono.

– Marie, wszystko pani rozumiała na opak – zapewnia. – Podziwiam panią.

Idą równym krokiem prosto do hotelu. W oknach mijanych domów jest coraz mniej świateł. Gdzieś w oddali ktoś zaśpiewał, głos jednak ucichł równie gwałtownie, jak zabrzmiał.

– Towarzystwo Paula otworzyło mnie na świat. Jesteśmy przyjaciółmi – stwierdza Maria.

Albert milczy. Przygląda się drzewom i eleganckim budynkom bogatej dzielnicy, w której stoi hotel.

– Po śmierci Piotra mój świat się zawalił. Wiem, to truizm, ale nie chcę się zastanawiać nad bardziej subiektywnym określeniem. Może dlatego, że nawykłam do obiektywizmu – kończy złośliwie Maria. – Gdyby nie Paul, prawdopodobnie nie podniosłabym się z depresji.

– Cyjanek działa podobnie – zauważa Einstein z przekąsem.

– To znaczy? – pyta urażona.

– Zabija chorobę razem z człowiekiem. Staram się powiedzieć, że...

– Nie ma pan pojęcia, czego chcę.

– Skoro pani tak twierdzi – odzywa się łagodnie Albert. – Jeśli chce pani wrócić do hotelu, należało skrócić w lewo. Teraz się od niego oddalamy.

Madame Curie zawraca z wściekłością.

– Proszę mi wybaczyć. W dużej mierze mówiłem o sobie. Moja żona...
– Nie interesują mnie pańskie prywatne sprawy.
– Nie mówię o nich, żeby dać pani obraz mojego życia intymnego, tylko dla przykładu.

– Powinien pan się skoncentrować na pracy naukowej, jeśli zamierza pan do czegoś dojść – wchodzi mu w słowo Maria.

– Proszę mnie nie musztrować, madame Curie – nie wytrzymał Albert – bo moje małżeństwo dawno już się rozpadło, wiem zatem lepiej od pani, do czego prowadzi koncentrowanie się na przedmiocie badań. Niemniej jednak ciągle mnie zastanawia, po diabła uczonemu wynalazki, jeśli nie ma z kim się dzielić tryumfem. Tak jak pani.

Maria wyczuwa złośliwość, ale niespecjalnie się nią przejmuje. Jak też tym, że go uraziła.

– Nie dokonuje się wynalazków dla tryumfu, panie Einstein.

– Tylko?

– Dla ludzkości.

– Dwie rzeczy są nieskończone, Marie: wszechświat i ludzka próżność, choć nie jestem pewien co do tej pierwszej – kwituje Albert społecznikostwo madame Curie.

– Ma pan naturę klauna; potrzebny panu poklask. – Stwierdziwszy to, Maria milknie. Ma ochotę się rozplakać. Jej ręce wędrują ku górze, palce wsuwają się we włosy, jakby ból rozsadzał jej głowę. Dlaczego go obraża? Dlaczego nienawidzi? – Przepraszam, wypięłam za dużo szampana.

Wychodzą z za rogu i Maria wreszcie widzi oświetlony hotel. Zwalnia kroku. Albert jej nie goni. Idzie teraz noga za nogą, spoglądając w niebo. Dostrzegłszy, że zwolniła, uśmiecha się do siebie.

– Nie ma za co, madame Curie – mówi, upewniwszy się, że kobieta go słyszy – bo ma pani świętą rację. Zajmuję się wszystkim po trochu... z ciekawości świata. Moja żona interesowała się tym samym, co ja, każdym moim tematem badawczym. Problem powstał, kiedy zacząłem zbyt szybko się oddalać i nie miałem czasu czekać, aż mnie dogoni. Myli się pani, twierdząc, że dzielenie pracy z ludźmi daje szczęście. Możliwe, że pani i pani mąż byliście wyjątkiem, zwykle jednak lepiej mieć w rodzinie ucieczkę przed okropnościami tego świata, a praca to okropność. Nie pracuje się dla ludzkości, Marie. Ludzkość to pojęcie nieco odhumanizowane.

– Powinien pan zostać psychoanalitykiem – drwi Maria.

– Wbrew pozorom to wcale nie jest śmieszne – zauważa Albert. – Przydałaby się pani porządna psychoanaliza.

Maria jest wzburzona, a Einstein jeszcze sugeruje jej terapię. Kobieta przypomina sobie poglądy Freuda, zgodnie z którymi nerwice są powodowane

przez czynniki seksualne. Czuje się urażona sugestią, że jej problemy wynikają z nieudanego życia intymnego. Wchodząc do hotelu, przypomniała sobie, że już nigdy... nigdy nie zbliży się do tego... do Einsteina. Nigdy. Po chwili jej myśli wracają do Paula. Jak mógł narazić ją na taki skandal? Co powinna teraz zrobić?

– Jest pani zbyt dobra – słyszy.

Albert Einstein stara się tak bardzo, że Maria to docenia, mimo że jest przygnębiona. Poza tym czuje się jak każdy, kto ujawnił komuś największy sekret: lekko.

– Nie jestem dobra – odpowiada. Bezradnie siada na skórzanej kanapie w holu i patrzy na swoje dłonie. Są zniszczone po latach pracy w laboratorium, fatalnie na nie podziałał zwłaszcza kontakt z substancjami zawierającymi rad. – Całe życie się starałam, robiłam wszystko dla innych – mówi pewna, że Einstein nie ma szans, by ją zrozumieć. – Po czym nagle uświadomiłam sobie, że jestem stara, i przestało mi zależeć na akceptacji świata.

– To nieprawda. Gdyby tak było, nie byłaby pani przygnębiona.

Maria jest zawiedziona, że młody geniusz, za którego ma się Einstein, nie zaprzeczył jej starości. Nie zauważył, że go kokietuje. Jej myśli biegną ku siostrze Bronisławie, do której w południe wysłała rozpaczliwy telegram z informacją, że muszą się zobaczyć. Żałuje tego.

Jej wzrok przykuwa ogromny żyrandol w kształcie lampy naftowej. Tak, hotel Metropole jest luksusowy. Maria czuje się w nim skrępowana. Błyszczące podłogi kontrastują ze zniszczoną skórą jej pantofli. Suknia także nie pasuje do tych zjawiskowych wnętrz. Po raz pierwszy w życiu Maria obiecuje sobie, że wykorzysta jakąś część Nagrody Nobla na zmianę garderoby... swojej i dziewczynek. Córki nie są biednymi uciekinierkami z Polski. Mają obywatelstwo francuskie, ich ojciec był jednym z najtęższych umysłów Francji, matka jest dwukrotną noblistką, są zamożne.

– O co panu chodzi? – Przypomina sobie o obecności Alberta i dostrzega jego przenikliwy wzrok. Chwilami odnosi wrażenie, że fizyk jest nią zafascynowany, innym razem czuje, iż ją lekceważy. Z pewnością do siebie pasujemy, kpi w duchu z ekscentrycznego stroju uczonego. Cóż, Einstein nie wygląda sztywno.

– O pani przyjaźń – wyznaje Albert niczym sztubak.

– Pan mnie w ogóle nie zna. – Maria się śmieje.

– Wiele o pani słyszałem – kłamie mężczyzna.

– Poznał mnie pan z gazet? – Madame Curie chichocze, rozsiadając się wygodnie.

Albert jej wtóruje. W oczach Marii jego niewątpliwą zaletą jest to, że trudno go urazić. Ma ogromny dystans do siebie.

– Nie tylko z gazet, madame – tłumaczy z ożywieniem. – Poza tym to błąd

w założeniu. Podziwiam panią jako naukowca. Czy jest coś nadzwyczajnego w tym, że genialny fizyk szuka kontaktu z jedyną kobietą na świecie, która jest w stanie go zrozumieć?

– Chyba mnie pan przecenia, Albercie – kwituje Maria, wstając.

– Moja żona bardzo chciałaby panią poznać.

– Zapraszam do Paryża.

– Szczerze?

– Oczywiście. – Kobieta wyciąga dłoń na pożegnanie. – Mówię to z wdzięczności.

Albert patrzy zaskoczony.

– Byłam przygnębiona – wyjaśnia Maria. – Sprawił pan, że po raz pierwszy od bardzo dawna poczułam ulgę.

– Może jednak powinienem był studiować medycynę? Pozwoli pani, że odprowadzę ją do drzwi?

Maria nie protestuje, więc Albert rusza za nią w stronę schodów na prawo od windy.

– Ja również zastanawiałam się nad medycyną – wyznaje madame Curie – kiedy moja siostra szykowała się do studiów na Sorbonie.

– My, Niemcy i Polacy, jesteśmy w gruncie rzeczy bardzo prowincjonalni. Brakuje nam poklasku Europy, nie uważa pani? – Albert idzie z Marią ramię w ramię, z boku patrząc na jej włosy. Ma chęć ich dotknąć, zanurzyć w nich twarz i... zasnąć. – Bardzo się zapalamy do wszelkich idei – kontynuuje – wciąż coś komuś udowadniamy, podczas gdy... taki Rosjanin na przykład... on po prostu wie, że jest wielki.

– Nie zgadzam się.

– To oczywiste. – Einstein się śmieje.

– Ale coś w tym jest – dodaje Maria, po raz drugi tej nocy wyciągając dłoń na pożegnanie.

Fizyk patrzy na zamykające się za nią drzwi apartamentu. Czuje lekką irytację, że kobieta okazuje mu wyłącznie obojętność. Jego żona jest typem naukowca, myślał tak od dnia ślubu, przestał w dniu, w którym spotkał Marię Curie. Mężczyzna zmierza do swojego pokoju. Nagle zmienia zdanie. Wraca i stanowczo puka do drzwi madame Curie. Po chwili ukazuje się w nich jej głowa. Na twarzy maluje się zniecierpliwienie.

– Pomyślałem, że to panią zainteresuje. – Albert mówi spokojnie, jakby jego zachowanie było najnaturalniejsze na świecie. – Rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego został August Witkowski.

– Skąd pan wie?

– Pracuję w Pradze, to po sąsiedzku z Krakowem. – Kłania się szarmancko.
– Widzę, że miałem rację; to panią zainteresowało.

– Owszem. W pewnym sensie.

Sarkazm Marii sprawia, że Einstein wciąż stoi i patrzy pytająco.

– Dawno temu złożyłam mu wizytę. Chciałam studiować fizykę, ale nie wyraził zgody.

– Cóż, Marie – stłumiony śmiech Einsteina wprawia madame Curie w doskonały humor – wszyscy popełniamy błędy. Niektórzy jednak mają pecha.

– Pecha – powtarza za nim szeptem.

– Ośmieszają się, madame. A to kosztowny błąd.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Paryż, 5 października 1911

Paul Langevin zastanawiał się czasem, po co mu ten romans. Maria nie była pierwszą kochanką, z którą zdradzał Jeanne, na pewno jednak okazała się najkłopotliwsza. Zdarzało się, że cynicznie podsumowywał głupotę mężczyzn wiążących się z wykształconymi kobietami. Za dużo wiedziały i zbyt wielkie miały aspiracje, w ogóle myślały kategoriami ja i dla mnie, myślały... może problem tkwił w tym właśnie? Rozważania Paula nie zdawały się na nic, ponieważ kochał Marię; pod wieloma względami była mu bliższa od żony. Podobała mu się, była idealną partnerką w pracy, nie przykładła wagi do tych wszystkich głupstw, które go rozpraszały, typu podarunki i błyskotki, pieniądze i wycieczki. Niczego nie potrzebowała. Była jak klejnot samotnie leżący w muzealnej gablocie. Gdyby nie to, że wciąż się sprzeczali, uznałby ją za ideał. Niestety, miała też wady. Bezustannie chciała korygować jego życie. Do pewnego stopnia było mu to na rękę, ponieważ nie lubił myśleć o tym, co wypada, a czego nie wypada robić, jak postąpić w danej sytuacji, a jak zdecydowanie się nie zachować. Tyle że Maria nie знаła umiaru.

Siedziała na brzegu łóżka jakaś nieobecna i skoncentrowana na swych myślach – niezdrowych, niepotrzebnych i nieprzynoszących niczego dobrego. Przyznawał, była urzekająca. Lubił jej zgrabną figurę i ładną twarz o dziecięcym wyrazie.

– Nie żądam pedantyczności, Paul – odezwała się.

Paul już dawno zrezygnował z poganiania Marii. Kiedy się pogrążyła w myślach, należało jej zapewnić spokój, w przeciwnym razie traciła cierpliwość, a jej zniecierpliwienie zawsze oznaczało kłopoty. Jedynie André Debiérne potrafił ją obłaskawić. Szeptano po kątach, że podkochuje się w madame Curie. Bóg raczył wiedzieć, co naprawdę czuł.

– Pytam tylko, po co przechowujesz nasze listy. – Maria żądała odpowiedzi, mimo że pytanie było idiotyczne. – Prosiłam cię, żebyś je niszczył po przeczytaniu, a ty wciąż je trzymasz. Do tego w cudzym domu, a przecież nie masz żadnej pewności, że ktoś tam nie wchodzi, choćby za przyzwoleniem przekupionego gospodarza.

– Mówisz tak, jakbyś uważała, że to kogokolwiek interesuje – zachnął się Paul.

Jej obsesje zaczynały mu ciążyć. Kto, u diabła, chciałby czytać ich miłosną korespondencję? Śmiechu warte!

– Interesuje. Choćby twoją żonę – odparowała.

Uroda Paula sprawiała, że Maria miała napady zazdrości. Była przekonana, że wszystkie kobiety za nim szaleją. Dzieliła je na te, które go miały, i na te, które pragnęły go zdobyć. Już za życia Piotra docierały do niej plotki, że Paul nie dochowuje żonie wierności, myślała jednak, że jest to skutek nieudanego małżeństwa. Kiedy zdecydowała, że Paul będzie dla niej idealnym partnerem na przyszłość, a priori założyła, że problem niewierności zniknie. Coraz częściej miała wątpliwości, czy to nie złudzenia. Przyłapywała go na figlarnych spojrzeniach rzucanych dziewczętom mijanym na ulicach.

– Moja żona tu nie bywa – warknął, co było o tyle dziwne, że należał do mężczyzn wyjątkowo opanowanych i dobrze wychowanych.

Marcowe ostre słońce zaglądało w okna mansardy, nagrzewając wnętrze, mimo że na zewnątrz panował chłód. Na głowie Paula pobłyskiwały pierwsze siwe włosy. Fryzura sprawiała, że przypominał czasami Piotra. Miał głęboko osadzone mądre oczy i pociągłą twarz. Maria zapatrzyła się na końce jego wąsów, podświetlone teraz przez słońce. Nigdy się nie zastanawiała, jak wyglądałby bez nich. Wszyscy mężczyźni je zapuszczali.

– Igrasz z ogniem, Paul – stwierdziła. – Od tego się zaczyna.

Wzruszył ramionami, rozdarty między pragnieniem zakończenia jałowego sporu a wrodzoną słabością, która mu na to nie pozwalała. Z dziedzińca docierała do ich uszu głośna rozmowa młodzieży, najprawdopodobniej studentów pobliskiej Sorbony.

– Co się zaczyna? – spytał, opanowując irytację.

– Wszelkie tragedie zaczynają się od niedbałości.

Miał dość tych wykładów! Każdego dnia rozpoczynali spotkanie od upojnych zbliżeń i kończyli jej utyskiwaniem. Nigdy nie umiała się powstrzymać, zostawić go ze wspomnieniem obopólnej radości.

– Przestań, Marie – zaprotestował. – Wygadujesz głupstwa. Aż mnie ciarki przechodzą.

Wstała, podeszła do Paula i spojrzała mu w oczy. Wszystko wskazywało na to, że tego dnia nie pozwoli mu się do siebie zbliżyć, nie pierwszy zresztą raz, nawykł już do tego. Dawała mu więcej niż dotychczasowe kochanki, uczciwie to przyznawał. Pracowali razem, bywał w jej domu, gdzie zaznawał czegoś, co chyba powinien określić jako szczęście rodzinne. Polubił dziewczynki, zwłaszcza często nadąsaną Irenę, tak bardzo przypominającą matkę.

– Gdybyś od niej odszedł, nie musielibyśmy się ukrywać – oświadczyła Maria, schodząc na temat, którego starał się unikać.

Jeśli się żyje w nieudanym małżeństwie, nie wystarczy się zakochać, znaleźć idealną kobietę i odejść od żony. To nie takie proste, nie rozumiał więc, dlaczego Maria, jeden z najpotężniejszych umysłów współczesności, nie może pojąć tak elementarnej -kwestii.

– Twoim zdaniem to jak wypić szklanke wody? – spytał cicho, celowo ironizując. – Jeanne zezna, że mnie kocha, i po sprawie.

– Nawet nie spróbowałaś – wycedziła, gwałtownym ruchem rozrzucając ramiona.

Czasem bawił go olbrzymi kontrast pomiędzy jej gestykulacją a spokojem, z jakim wypowiadała słowa.

– Nie chcę jej ranić, Marie. Ty masz mnie – użył najmocniejszego argumentu. – Jesteśmy szczęśliwi. Co zostanie dla niej?

Maria słuchała z uwagą, nie do końca wiedząc, jak zareagować, ponieważ w słowach, które padły, kryła się okrutna prawda: Paul nigdy nie zostawi Jeanne. A jednocześnie zapewniał, że nie rzuci Marii, bo jest jego jedyną miłością.

– Co ma z życia poza czwórka moich dzieci? – kontynuował, widząc, że jego argumenty chociaż w części do niej trafiają. – Straci szacunek. Wiesz, jacy są ludzie, kiedy kobieta zostaje sama. Będzie nikim.

– A kim jestem ja? Bez Piotra? – obruszyła się Maria.

Denerwowała ją głupota Paula, jego przywiązanie do stadła, które dawało mu wyłącznie cierpienie.

– Jesteś jedyna w całym wszechświecie!

Maria zachnęła się na wyświechtany slogan, którym się posłużył. Przecież pragnął szczęścia! A ona? Chciała mieć go w dzień i w nocy! Żadne półśrodki nie wchodziły w grę.

– Rozejrzyj się – dodał łagodnym tonem, wiedząc, że Maria w końcu ustąpi; zawsze ustępowała. – Skończyłaś fizykę jako pierwsza kobieta. Jako pierwsza kobieta dostałaś Nobla, jesteś pierwszą wykładowczynią na Sorbonie.

– Przestań, przestań!

– Nie mogę ci zaszkodzić. – Nie zważał na protest kochanki. Objął ją i kołysał w ramionach. Położyła głowę na jego ramieniu. Czuł pod palcami, że łagodnieje, jej mięśnie się rozluźniają. – Ludzie cię podziwiają i szanują. Jesteś w ich oczach wdową po słynnym naukowcu, sama nie mniej wybitna...

– Chcę żyć z tobą! – rzuciła, wrywając się z jego objęć. – Nie mogę się ukrywać niczym młoda dziewczyna. Wszędzie chodzę sama, bywam sama, sama sypiam. Nie jestem kimś, za kogo mnie mają! Tajemnice nie istnieją, Paul. Prędzej czy później ktoś się zorientuje.

– To niemożliwe, Marie – szepnął, siadając na prostym drewnianym krześle. Kiedy wynajmował mieszkanie, nie myślał o stosownym wyposażeniu. Na szczęście dla Marii to nie miało żadnego znaczenia.

– Ile stąd mamy do uczelni? – zapytała. – Uważasz, że to idealne schronienie?

– Nie zmuszaj mnie, bym był dla niej okrutny. – Paul tracił cierpliwość.

Sama myśl, że mógłby porzucić żonę i dzieci, przyprawiała go o frustrację.

Zapewne będzie zmuszony to uczynić... kiedyś... kiedyś, ale, na miły Bóg, nie dziś, nie teraz, nie w tej chwili... Panie najśłodszy, takich decyzji nie podejmuje się w ramionach kochanki!

– Krzywdzisz nas obie, Paul. Nie dostrzegasz tego? – Wiedziała, że przegrywa. Ból się wzmaczał, czuła go między łopatkami. Oddychała z trudem.

– Masz wszystko, Marie – przypomniał. – Kocham cię... moje dzieci cię lubią. Żona nie rozumie mnie tak jak ty.

Miała chęć wykrzyknąć mu, co to oznacza, a znaczyło: nie pozwala na to, na co ty pozwalasz... Na co musisz mi pozwolić.

Czekała z nadzieją, że Paul się odezwie, powie coś, co zmieni sposób, w jaki postrzegała ich związek. Niestety, milczał. Po minucie upokarzającej ciszy wybiegła z mansardy, czując słabość. Szła w dół schodów, mocno trzymając się poręczy. Praca ją wycieńczała. A może związek z Paulem? Myślała czasem, że powinna wrócić do ojczyzny, ale... po pierwsze, Polska nie istniała... po drugie, Polacy ją denerwowali... gadaniem, patriotycznymi przedstawieniami, powszechnym rozmodleniem. Zyskała międzynarodową sławę. Tyle razy w przeszłości myślała, że to będzie idealny moment, by wrócić do kraju, zrobić dla niego coś spektakularnego, tymczasem czuła, że nie może. Paryż to była szansa prowadzenia badań naukowych, publikowania, uczestniczenia w spotkaniach z najwybitniejszymi uczonymi świata. Tu, pośród przyjaciół i znajomych, była kimś, miała wsparcie, szanse. Czy powinna je pogrzebać, jadąc do zrusyfikowanej, zapyziałej Warszawy?

Czuła, że jej czyny rozmijają się z ideałami młodości, co wywoływało wewnętrzne napięcie, protest, powodowało niekontrolowane wahania nastroju, depresję, żal do samej siebie, lecz... Nie mogła. Nie potrafiła rzucić Paula. Pozbawić córek najlepszego wykształcenia na świecie. Zrezygnować ze wszystkiego, co kochała. Nie umiała.

Wróciwszy do laboratorium przy ulicy Cuvier, przysiadła na metalowym stołku. Zatrudniała ponad dwadzieścia osób, dlatego urywając się na spotkania z Paulem, kierowanie nimi powierzała najbliższemu współpracownikowi, André Debierne'owi. Z miesiąca na miesiąc miała jednak większe wyrzuty sumienia. Schadzki trwały coraz dłużej, André zaś pomagał jej po przyjacielsku, bez dodatkowego wynagrodzenia.

Czasem, gdy się przyglądała temu miejscu, chciało jej się śmiać. Ciasne pomieszczenia, proste stoły, zlew. Aparatura – od kilku lat zdecydowanie lepsza niż na początku jej pracy z Piotrem – stała dosłownie wszędzie.

Młodzi pasjonaci nauki ożywili się na jej widok, schylili głowy w ukłonach, żaden jednak nie przerwał pracy.

Maria zapatrzyła się na André. Wyczuł chyba jej intensywne spojrzenie, gdyż odwrócił się i uśmiechnął. Po chwili, skończywszy pełen cykl pomiarów,

ruszył ku niej.

– Dostałaś list od Rutherforda – poinformował. – Zaprasza nas na obrady komisji.

– Mówisz o porównywalności pomiarów? – mruknęła i dodała, nie czekając na odpowiedź: – Najwyższy czas na wprowadzenie wzorca radowego.

André, który nosił się z zamiarem powiedzenia czegoś, zrezygnował. Maria była samowystarczalna. Nie wydawało mu się, by zechciała poświęcić mu więcej czasu niż... na przykład swoim córkom, skwitował w duchu złośliwie. Miała rację w kwestii radu. Był już w powszechnym użyciu i chaos się pogłębiał. Stosowano go w medycynie, badaniach naukowych i przemyśle. Odczuwano brak norm i certyfikacji produktów radowych. Jakość wytworów diametralnie się różniła, badań nie dawało się porównać. Nie istniała uznawana przez wszystkich albo chociaż przez większość miara, a to od niej zależało przecież kalibrowanie przyrządów laboratoryjnych i przemysłowych.

– Cena soli radowych wzrosła do siedmiuset dziesięciu franków – obwieściła Maria.

André wycofał się w głąb laboratorium, nie powiedziawszy ani słowa. Maria ruszyła ku stojakowi na fartuchy, myśląc o tym, że jej przyjaźń z Debierne'em przypomina relacje starego małżeństwa. Plotkowano, że jest w niej zakochany. Co za bzdura.

– Michel – rzuciła z czarującym uśmiechem – zrobisz mnie i panu Debierne'owi herbaty? Będziesz tak miły?

André miał do Marii żal, że go wykorzystuje. Jeszcze większy, że go zdradza. Kochał ją milcząco, by pewnego dnia zobaczyć, jak oddaje się innemu. Na myśl o tym uderzył w stół otwartą dłonią, zwracając uwagę kilku najbliższym siedzących laborantów. Był na siebie wściekły.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Bruksela, 1 listopada 1911

Maria Curie stoi na tarasie i niewidzącym wzrokiem patrzy w dal. Obudziła się o świcie; wciąż jest wcześnie. Nie może spać. Myśli kotłują się w jej głowie. Są męczące i jałowe. Prowadzi kolejną rozmowę z Paulem, wiedząc, że próba generalna na nic się nie zda. Czuje chłód. Wie, że nie powinna narażać zdrowia.

Przed hotelem spaceruje mężczyzna z psem. Pies jest rasowy, idealnie utrzymany. Ma wyczesaną sierść i srebrną obrozę. Maria zastanawia się, ile rodzin na polskiej wsi utrzymałoby się przez miesiąc za cenę takiej obrozy wysadzanej szlachetnymi kamieniami.

Słysząc pukanie, a właściwie delikatne skrobanie w drzwi, Maria wraca więc do pokoju i otwiera, pewna, że to Paul. Mężczyzna wchodzi do środka. Słysząc brzęk naczyń. Personel hotelu rozwozi śniadanie dla gości, którzy z różnych względów nie mogą zejść do jadalni.

– Wczoraj, wychodząc ode mnie, wpadłaś na kogoś znajomego – mówi Paul, podchodząc do fotela. Sadowi się w nim, wygładza spodnie na kolanach i dopiero wtedy spogląda na Marię. Wydaje mu się, że jest wymizerowana, ale woli o tym nie wspominać.

– Poradziłaś sobie?

Maria nienawidzi swobodnego zachowania kochanka. Zawsze ma wrażenie, że kryje się za nim zażenowanie. Jej zdaniem swoboda Paula jest nienaturalna.

– Odpowiesz mi na jedno krótkie pytanie? – atakuje, jakby Paul nie opuszczał jej pokoju i jakby kończyli wczorajszą sprzeczkę.

– Oczywiście, jeśli tylko będę mógł – odpowiada mężczyzna. – Ślicznie wyglądasz.

– Zostawisz ją i będziemy razem?

– Marie... – jęczy.

– Zadałam ci proste pytanie!

– To nie temat na poranne rozmowy.

Maria staje w drzwiach prowadzących na taras. Nie czuje chłodu; jest wzburzona. Grzeje ją wściekłość, którą obudziła stara śpiewka Paula. Kobiętę dławi rozpacz; czuje, że robi się jej słabo.

– Znów wrócisz ze skowytem, że szwagierka i teściowa cię poturbowały? Że straciłeś sens życia i nie masz z kim rozmawiać? – pyta twardo, niemal nienawistnie. – Że żona tobą pogardza, bo nie potrafisz zarobić milionów?

Odwraca się gwałtownie, powstrzymując płacz. Paul ją wykorzystuje, zwodzi, oszukuje, a ona zdaje sobie z tego sprawę. Mimo to boi się go odprawić.

Nie jest pewna, czy podoła samotności.

– Musisz odpocząć – szepce Paul.

Maria dostrzega na jego twarzy skrywane rozbawienie i uświadamia sobie, że kochanek jest jej pewny. Traktuje to, co powiedziała, jak kolejny wybuch histeryczki. Nie ma zamiaru niczego zmieniać.

– Dłużej tego nie zniosę – oświadcza kobieta. – Wracaj do żony. I tak byś to zrobił.

Najgorsze jest to, że Paul nie ma własnego zdania. Jest jak pionek na szachownicy. Czuje się rozdarty między kochanką a żoną.

Słychać dźwięk zamykających się drzwi. Po wyjściu kochanka Maria kładzie się na łóżku. Łzy wsiąkają w poduszkę; plama robi się coraz większa. Kobieta nie chce żyć. Po raz nie wiadomo który ostatnio myśli o popełnieniu samobójstwa, ironia polega na tym, że nawet tego nie ma siły zrobić. Wpadła w dziwny letarg. Czuje ból w piersi. Ma wrażenie, że go nie wytrzyma. Poprzedniego dnia nie zjadła kolacji, dziś jest jeszcze bez śniadania. Jej wzrok sunie po firance, zatrzymuje się na widocznych przez nią gałęziach drzewa. Czy to platan? Mdli ją z głodu, ale wie, że wystarczy skoncentrować się na jakimś problemie i mdłości miną.

Przypomina sobie listy szwagra, Kazimierza Dłuskiego, kierowane do jej ojca. Pisał o niej, o tym, że się przepracowuje. Rzeczywiście, nie przesadzał. Mówi się w rodzinie, że ocalił ją od śmierci głodowej. Czy to prawda? Z perspektywy lat sama się zastanawia, czym by się skończyła jej choroba... brak drewna na opał... brak jedzenia, leków. Czasem miała żal do Kazimierza. Może gdyby się nie wtrącał, zostałoby po niej wdzięczne wspomnienie. Nikt niczego by nie oczekiwał. Zawsze kochała pracę. Była uzależniona od laboratorium. Czy to pasja, czy szaleństwo?

Potrzebuje Paula. Jakie to żalodne, że myśli dwukrotnej laureatki Nagrody Nobla krążą wokół tych dwóch słów.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Paryż, 29 października 1891

Dłuscy powiedzieli Marii, że w nowym zespole budynków uczelni z wejściem od ulicy des Écoles mieszczą się: wielka aula, rektorat, biblioteka i wydział fizyki. Wiedziała, gdzie to jest. Trafiła bez trudu. Fasada raziła bielą, zwłaszcza w zestawieniu ze starymi murami z epoki Richelieu. Gorzej jej szło ze znalezieniem laboratorium. Biegała po gmachu w tę i z powrotem z głuchą złością, myśląc, że jest nierozgarnięta. Oczywiście mogła kogoś spytać, ale uważała, że to poniżej jej godności. Powinna się wykazać spostrzegawczością. Wreszcie, kompletnie wytrącona z równowagi, wbiegła na śliskie schody. Pokonując kolejne stopnie, przyglądała się posągowi Archimedesesa w westybulu. Nic dziwnego, że źle odmierzyła odległość i stopa jej się omsknęła.

– Niech to gęś kopnie – syknęła zawstydzona, straciwszy równowagę.

Miała nadzieję, że nikt nie widział piruetu, jaki wykreśliła.

Czyjeś silne ramię uchroniło ją przed upadkiem. Nieznajomy uniósł ją na moment, upewnił się, że odzyskała kontrolę nad nogami, i ostrożnie postawił na jednym ze schodków.

– Polka? – Zaśmiał się.

Miał brwi w kształcie regularnych, ładnych łuków, inteligentne, żywe spojrzenie i pociągłą twarz; może nie piękną, ale wszystko było w niej przyjemne dla oka. Maria sięgała mu zaledwie do ramienia.

– Dzięki Bogu, że trafiłam na Polaka. – Sapnęła, poprawiając włosy.

– Przyszłaś do kogoś? – zainteresował się.

Było oczywiste, że skoro jej dotąd nie widział – a równie ładną dziewczynę na pewno by zapamiętał – nie mogła być związana z Sorboną. Przepuścił grupę studentów, dostrzegając ich porozumiewawcze spojrzenia. Kilku odwróciło się, by raz jeszcze zerknąć na śliczną nieznajomą, z którą rozmawiał. Maria również zauważyła ich natrętny wzrok. Zarumieniła się, spuszczać głowę.

– Studiuję na wydziale fizyki – wyjaśniła, przyglądając się Polakowi.

Uśmiechał się od ucha do ucha, co wzbudzało zaufanie. Uniósł dłoń, by zasłonić oczy przed słońcem, które przez jedną z szybek wpadało do wnętrza budynku. Marii wydało się, że wziął jej słowa za żart.

– Zaczynam, dokładniej mówiąc – pospieszyła z wyjaśnieniem. – Dlatego wszystko mnie jeszcze przeraża. Siostra chciała mnie oprowadzić, ale odmówiłam. Błąkam się tu...

– Żartujesz? – przerwał, gdy dotarło do niego, że mówi poważnie. – Chcesz studiować fizykę?

– A dlaczego nie?

Była przewrażliwiona na punkcie swoich studiów, zwłaszcza odkąd Bronka potwierdziła, że uczące się kobiety nie cieszą się estymą nawet w Paryżu, mieście, do którego zjeżdżały z całego świata. Okazało się, że choć Sorbona przyjmuje w swoje progi niewiasty, najczęściej studia podejmowały tu cudzoziemki. Mało kto doceniał ich wolę kształcenia się. Francuzkom doradzano, żeby się zajęły domem, dziećmi i własnym wyglądem.

Polak wyraźnie chciał coś powiedzieć, niestety, źle trafili. Na schody wylegały coraz to nowe grupy studentów i pracowników. Schodzili i zbiegali, potrącając się i rozpychając. Ożywione dyskusje zagłuszały rozmowę dwojga przygodnych znajomych.

– Źle mnie zrozumiałaś – rzucił wreszcie, wczekał na właściwy moment. – Wprowadziłaś mnie w podziw. Nie przyszłoby mi do głowy, że równie ładna dziewczyna może studiować fizykę. Zapomniałem się przedstawić. Michał Rostworowski.

Grzecznie zaczekał, aż rodaczka poda mu rękę. Naprawdę była ładna, szczupła, miła i do tego dumna, co z miejsca dawało się zauważyć. Zdaniem Michała u Polek dawało się wyczuć dumę i godność osobistą, rzadko spotykaną w takim natężeniu u przedstawicielek innych nacji. Bezbłędnie rozpoznawał je w paryskich kawiarniach i miejscach rozrywek. Brakowało im swobody.

– Maria Skłodowska – usłyszał.

Panna Skłodowska zastanawiała się nad czymś. Możliwe, że rozważała, czy powinna przedłużyć rozmowę z nieznanym. Jej czyste, szare oczy spoglądały w bok.

– Przyjechałam z Warszawy – dodała. – Moja siostra studiowała w Paryżu medycynę. Jest już lekarzem... jej mąż również. Ty także tu studiujesz?

Michał wzdrygnął się, udając przerażenie.

– Nie – zaprzeczył. – Skończyłem Wolną Szkołę Nauk Politycznych... z wyróżnieniem – nie omieszkał się pochwalić.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki Maria się rozpogodziła. Dojrzał w jej oczach szczery podziw.

– Gratulacje – wyszeptała.

Uwielbiał zachwyty, zwłaszcza płci przeciwnej. Zawsze był elokwentny, po studiach w Paryżu świat stał przed nim otworem. Wskazał Marii zaciszne miejsce u podnóża schodów. Przeszli tam, by spokojnie porozmawiać. Michał oparł się o ścianę.

– Dostałem dyplom z La Grande Distinction – oświadczył z widocznym zadowoleniem. Przeczesał włosy dłonią, na której miał rodowy sygnet, i pogodnie spojrzął Marii w oczy. – Szczerze mówiąc, cieszę się, że to już koniec – przyznał.

– Co zamierzasz? – zapytała.

Wydawało się, że ma przed sobą uosobienie szczęścia. Ileż by dała za to, by mieć dyplom i móc wrócić do Warszawy, zająć się tam nauczaniem kolejnych pokoleń Polaków, otwierać im oczy na niesprawiedliwość społeczną, zaszczepiać w nich miłość do nauki. Nie wątpiła, że wychowankowie trafią jej śladem na Sorbonę, w przyszłości zajmą wysokie stanowiska, wesprą ojczyznę.

– Ożeniłem się – wyznał tymczasem Michał i dało się zauważyć, że pęka z dumy na samo wspomnienie wybranki. – Z Marie-Rose...

– No proszę, nie marnowałeś czasu! – Maria zaśmiała się dźwięcznie.

Jak zwykle nie mogła ustać w miejscu, co sprawiło, że chłopak dokładnie przyjrzał się jej wiotkiej sylwetce. Był pewny, że bez trudu objąłby ją w tali i obiema dłońmi.

– To prawda – przyznał – nie marnowałem. Wracam do Krakowa robić doktorat.

Tym stwierdzeniem ją kupił.

– Ciebie też interesuje praca naukowa? – zapytała takim tonem, że Michał roześmiał się na całe gardło.

Miły Boże, to niesamowite! Skąd się wzięła na tym świecie?

– Też? – zaczął i natychmiast urwał, widząc, że się zachmurzyła. – Mało, że jesteś fizykiem, to ciągnie cię do badań? – poprawił się. – Panie, miej nad nią litość – westchnął, wznosząc oczy do nieba. – Ilekroć przypomnę sobie fizykę w szkole, ciarki przechodzą mi po plecach. Co ty widzisz w fizyce?

– Cały wszechświat.

Oboje się zaśmiali. Brązowy mały pantofelek Marii cicho postukiwał w kamienną posadzkę. Cieszyła się jak dziecko ze spotkania z Polakiem, z całej duszy zazdroszcząc mu zdobytego wykształcenia.

– Panno Mario, bo chyba nie powinienem mówić ci po imieniu – zaczął Michał, poprawiając marynarkę. – Zapomniałem się, słysząc na Sorbonie język polski...

– Nie mam nic przeciwko. Rodacy powinni się trzymać razem – weszła mu w słowo, nie zastanawiając się, jak dalekie było to od jej zasad.

Michałowi ufało się od pierwszego wejrzenia.

Potężne drzwi wejściowe do budynku otwierały się, wpuszczając do środka uliczny hałas, po czym zamykały, niemal idealnie tłumiąc wszelkie odgłosy.

Mężczyzna pochylił się ku Marii. Był szczęśliwie zakochany, świat wydawał mu się rajem i nie widział powodu, żeby to ukrywać.

– Mnie interesuje prawo – powiedział. – Co ci po wszechświecie, jeśli nie wiesz, jak funkcjonuje życie społeczeństw? – Wierzył, że tylko prawo i nauki socjologiczne zmienią świat, wymuszą, by stare na dobre odeszło. – Naprawdę trawisz godziny z menzurkami w dłoniach? – Nie wyobrażał sobie Marii w zimnej scenerii laboratoriów.

– Właśnie tak – przyznała z figlarnym uśmiechem, robiąc na jego użytek małą pantomimę. Jej dłonie przelewały coś z jednego niewidzialnego naczynia do drugiego, mieszała jakieś płyny, oglądała pod światło. – Powiedz, jak radziłeś sobie z językiem francuskim – poprosiła nagle.

Michał westchnął ciężko. Skrzywił usta, wracając myślami do nieszczęsnych początków nauki, kiedy zdarzało się, że nie rozumiał więcej niż połowy wykładów. Niektórzy wykładowcy mówili za szybko, mruzczyli pod nosem. Ponoć i Francuzi ich nie rozumieli. Koszmar.

– Szczerze? Na początku miałem luki. Czasem rozumiałem wszystko, po czym profesorowie wchodzili na teren kompletnie mi obcy i patrzyłem niczym cieleń na malowane wrota.

– I co?

– I siedziałem po nocach, wkuwając słówka, nie było rady – skłamał, dochodząc do wniosku, że nie wypada mówić, iż zabierał się z kompanami do nocnych knajp i tam, przy kieliszku wybornego wina, szlifował język. Jak bowiem, jeśli nie w bezpośrednim kontakcie z tubylcami, oswoisz się z jego melodią? – Nie przeskoczysz bariery językowej – rzekł z zatroskaną miną.

– Boję się kompromitacji – wyznała Maria.

– Niepotrzebnie – pocieszał, świadom, że choć na pierwszym roku studiów prawie każdy Polak ma problem z językiem, rok później już się o tym nie pamięta. – Profesorowie są przyzwyczajeni do obcokrajowców. Dają nam czas na nadrobienie zaległości. Ale ty, Marysiu – rzekł wesoło – będziesz wywoływać takie zdumienie, że...

– Nie chcę, żeby mnie traktowano ulgowo – obruszyła się, wchodząc mu w słowo.

Jej płowe włosy rozsypały się na ramionach za sprawą gwałtownego przeciągu, który powstał, gdy jeden ze studentów dłużej zatrzymał się w otwartych drzwiach. Przyglądała je i odrzuciła na plecy.

– Bez obawy, Marysiu – przekonywał Michał, zafascynowany tą burzą naturalnych loków. – Na Sorbonie nie ma taryfy ulgowej. Ale nie ograniczaj się do nauki. Paryż to zbyt piękne miasto, żeby siedzieć nad książkami. Czy ja cię nie zatrzymuję? – zainteresował się, gdy dotarło do niego, że nie przyszła na uczelnię, by z nim rozmawiać.

– Nie, nie, Michale, dziś robiłam tylko rekonesans – poinformowała zgodnie z prawdą, nie dodała jednak, że na próżno szukała sali, w której za dwa dni odbędą się pierwsze zajęcia laboratoryjne. – Czekam teraz na szwagra, jeżeli więc ci to nie przeszkadza, przenieśmy się na dziedziniec, żeby mnie odnalazł.

Ruszyli ku wyjściu. Stojący w drzwiach gaduła przepuścił Marię, zegnając ją szarmanckim ukłonem. Posłała mu powłóczyście spojrzenie, po czym roześmiała się serdecznie. Zawtórował.

Michał kontemplował jej niebrzydki profil. Ładnie się komponowała z budynkiem uczelnianej kaplicy, na której tle ją widział.

– Jeździsz na rowerze? – zainteresował się.

– Jeszcze nie.

Słyszała, że jest w Paryżu wiele grup sportowych dla dziewcząt, w tym dla rowerzystek. Ponoć spotykały się w weekendy, jechały na obrzeża miasta i odwiedzały interesujące, często zabytkowe miejsca. Miała chęć zapisać się do którejś z nich. Uwielbiała wieś. Naprawdę? Zaczynała myśleć komunałami.

Wrzesień był ciepły. Przymknęła oczy, wystawiając twarz na łagodne powiewy wiatru. Czy w Szczukach była szczęśliwa? Lubiła to miejsce? To koszmarnie miejsce? Co jej dało? Na wspomnienie krótkiego pobytu w Zakopanem i ostatniej rozmowy z Kazimierzem Żórawskim poczuła tak dojmujący smutek, że z trudem powstrzymała łzy.

– Gorąco polecam. – Michał jeszcze zachwalał jazdę na rowerze. Zauważył poruszenie Marii. Zastanawiał się gorączkowo, czy mogło mieć związek z ich rozmową, ale nie znajdował nic niestosownego w niezobowiązującej pogawędce, jaką prowadzili. – W tym roku zorganizowano pierwszy wyścig Paryż–Brest–Paryż – kontynuował, doszedłszy do wniosku, że rowery są tematem neutralnym. – Jechały tandemy i bicykle, trycikle; coś, Marysiu, absolutnie niesamowitego. Mieszkańcy wylegli na ulice i dopingowali cyklistów.

Spojrzała na niego z ukosa.

– Nie wiem, gdzie tu można jeździć – mruknęła i wypielęgnowaną dłonią dotknęła ramienia. – Mam wrażenie, że wszędzie coś przebudowują. Jeden wielki plac budowy.

– A, no to jest oczywiste. – Michał Rostworowski ożywił się.

Jego zielonkawe oczy śmieją się do świata, pomyślała Maria i jeszcze, że prawnicy zwykle są pogodni. Znała kilku. Nigdy nie zauważyła, by cierpieli, przydawali cemukolwiek nadmiernego znaczenia, roztrząsali przykrości. Zdawało się, że ich życie, studia, związki były bezproblemowe. Jakby stanowili inny gatunek ludzi, taki, za jakim w głębi duszy tęskniła. Ona sama wciąż się bała, we wszystkim upatrywała zagrożenia, w każdym – potencjalnego oszusta. Nie znosiła tej cechy swego charakteru, lecz nie mogła się jej pozbyć. Bronia była inna: z jednej strony niezwykle odpowiedzialna, z drugiej – nieskomplikowana. Uczyła się, bo tak trzeba. Pracowała do rana, gdy musiała, odpoczywała, gdy przychodził wieczór. Dawała z siebie dużo i mówiła koniec. Maria tak nie potrafiła. Miała tylko jedną twarz: zmęczoną, zatroskaną, po prostu nudną. Złościło ją, że mężczyźni to dostrzegają, że widzą w niej potencjalną matkę i panią domu. Tylko w tych kategoriach odbierała ich awanse. Dlatego chciała udowodnić, że się mylą, że jest inna – zdolna, niezrównana.

– Rozmawiałem z paryżanami – dotarły do niej słowa Michała.

Na moment się wyłączyła. To również było charakterystyczne. Dekoncentrowała się. Niczemu nie potrafiła oddać się duszą i ciałem przez dłuższy czas. Czytała kilka książek równocześnie, bo jedna szybko jej się nudziła. Nadmiar teorii, czy to w matematyce, czy w dowolnej innej nauce, nużył ją. Naturalnie, była pilna, miała świetną pamięć, uczyła się więc i odnosiła sukcesy, ale tylko ona wiedziała, jak często musiała się przerzucać z tematu na temat, by nie zasnąć nad książkami. Tłumaczyła to sobie niepohamowaną chęcią dowiedzenia się wszystkiego naraz, niemniej jednak przeczuwała, że nie ma w tym konsekwencji, że kieruje nią dziecinne pragnienie, by dowiedzieć się czegoś nowego, i dziecinna niemożność skupienia uwagi. Dziesiątki razy przyłapywała się na tym, że nie słucha rozmówcy. Czy to brak szacunku?

– Twierdzą, że miasto kompletnie przebudowano. – Słowa Michała Rostworowskiego znów zaczęły do niej docierać. – Wciąż trwają prace. Dlatego Paryż tak pięknie wygląda z szerokimi, wspaniałymi bulwarami. Większość starych budynków zburzono. – Mężczyzna gestykulował, ale robił to w powściągliwy sposób. Wyobraziła go sobie na sali rozpraw; nie miała wątpliwości, że przekonałby sędziego i przysięgłych. – Władze miasta boją się mieszkańców – rzekł z pogardą. – Znasz historię Paryża. Ponoć zlikwidowano wąskie średniowieczne uliczki, żeby utrudnić stawianie barykad.

Uwielbiała stwierdzenia w stylu znasz historię Paryża. Rzeczywiście, wiodła tak leniwe, monotonne życie, że się oddawała wyłącznie lekturze dziejów świata.

– Akurat w tym roku zmarł architekt Georges Haussmann, który zaplanował przebudowę Paryża. Odchodzą wielcy ludzie, zostaje po nich jednak zachwycające dzieło. – Michał mówił coraz szybciej, z coraz większym zapałem. Zmusiła się, by słuchać z uwagą. – Nie będziesz się nudziła w Paryżu. To wspaniałe miasto. Wszędzie obcokrajowcy, dużo się dzieje, ktoś z kimś rywalizuje, ktoś coś wymyślił i to bulwersuje konserwatystów. Mnie na przykład zawsze zachwycało malarstwo. Ostatnie Stogi Moneta... – Usta Michała otwierały się i zamykały, otwierały i wyrzucały słowa, otwierały, chwytaly powietrze, zamykały, otwierały... czuła mdłości, w głowie jej wirowało. – Coś niebywałego. Maluje ten sam motyw po wielekroć, a to zimą, a to jesienią. Amerykańscy i japońscy milionerzy kupili płótna na pniu... nawet po sześć tysięcy franków, wyobrażasz sobie?

– Nie, nie wyobrażam sobie – szepnęła. – Jestem biedna jak...

– Jak każdy Polak tutaj – przerwał życzliwie. – Obracam się w kręgach artystów; ci dopiero są biedni. Rzadko który ma jakieś zamówienie. Znasz Mehoffera albo Wyspiańskiego? – spytał i kontynuował, nie czekając na odpowiedź: – Projektują witraże do kościoła Mariackiego w Krakowie.

– W Paryżu? Do kościoła Mariackiego? – zdziwiła się Maria. Oczywiście nie słyszała o takich malarzach, ale to przemilczała. Tylu Polaków przebywało w stolicy Francji; ludzi, których prawdopodobnie nigdy nie spotka. A może

jednak?

– Co w tym dziwnego?

– Sama nie wiem – odparła. Wydawało jej się, że pracując nad witrażami do którejś ze świątyń, trzeba ją mieć na wyciągnięcie ręki.

– Powinnaś wiedzieć, skoro zamierzasz studiować fizykę na Sorbonie, a nie rysunek w szkole rysunku dla dziewcząt.

– Nie rozumiem.

Michał cieszył się z własnego dowcipu niczym dziecko. Świetnie się prezentował w sportowym ubraniu, które wyglądało jak nowe. Luźna marynarka wydymała się na wietrze.

– W szkole rysunku – zaczął, wciąż chichocząc – a zapamiętałem, ponieważ mnie to rozbawiło... uczy się dekoratorstwa i sztuk użytkowych, bo podobno tylko to jest odpowiednie dla kobiet, które z natury są i powinny być skromne, cierpliwe oraz zdolne wyłącznie do imitacji.

Maria zdawała sobie sprawę, że Michał naśmiewa się z tych poglądów, mimo to poczuła irytację.

– Rzeczywiście – rzekła cierpko, co wprowadziło mężczyznę w szampański humor.

– Domyślam się, że popierasz sufrażystki – zgadywał.

– Źle się domyślasz – burknęła.

– Przecież walczą o twoje prawa – nie dawał za wygraną.

Maria wytrzymała jego spojrzenie. Rzęsy rzuciły cień na jej policzki, co wydało mu się urocze, jak zresztą ona cała, mimo że nie umiałaby powiedzieć, co w niej jest szczególnie ujmującego.

– Nienawidzę wszelkiej walki – wycodziła, wpatrując się w mężczyzn, którzy pojawili się na horyzoncie. Wydało jej się, że jeden z nich to Kazik, mąż jej siostry, lecz był zbyt daleko, by to stwierdzić. – Zwłaszcza walki prowadzonej w moim imieniu – dodała z niechęcią.

– A jak sobie wyobrażasz lepszy świat bez wojen? – droczył się z nią Michał. Miał taki zwyczaj. W nieformalnych kontaktach z rówieśnikami rzadko zachowywał się poważnie.

– Pozwólmy ludziom, by robili to, czego pragną... w granicach prawa – skwitowała Maria cierpko.

– O, to, to! – Znów wybuchnął śmiechem. – Dlatego moją pasją jest prawo, idealistko.

Pomachał do zbliżających się mężczyzn w tej samej chwili, kiedy Maria rozpoznała swego szwagra, zrobiła więc to samo.

– Widzę, że znalazłaś opiekuna. Cześć, Michale – rzekł Kazik z odległości kilku metrów.

Był chudy, co szczególnie widać było po twarzy – miał mocno

wyeksponowane kości policzkowe i uszy. Zapuścił brodę, która łagodziła ostre rysy. Jego towarzysz, poza tym, że bardzo niski, również wyglądał na chudego, zamorzonego głodem studenta.

– Znacie się? – spytała Maria nie tyle z ciekawości, ile żeby coś powiedzieć.

Jej siostra i szwagier prowadzili dom otwarty, jak się zdążyła zorientować po tygodniu mieszkania u nich. Bardzo otwarty, zżymała się w duchu. Czasem chciało jej się płakać. Zamykała się w pokoju z nadzieją, że poczyta, odświeży wiadomości; niestety, wieczorami państwo Dłuscy się bawili. Co parę minut ktoś dzwonił albo pukał do drzwi. Głośne rozmowy skutecznie uniemożliwiały pracę. Było więcej niż prawdopodobne, że gościli też Rostworowskiego.

– Kto nie zna Michała?

– Raczej kto was nie zna, Kazimierzu? Bywa u was cała Polonia – sprostował Michał Rostworowski, po czym spojrzał na Marię. – Nie wspominałaś, że znasz socjalistę Dłuskiego.

– To mój szwagier.

Michał cofnął się o kilka kroków, tym razem rzeczywiście zaskoczony.

– Masz szwagierkę, która nienawidzi polityki? Sądząc po twojej żonie, nie wyniosła tego z domu – zażartował. – Pojęcia nie miałem, że jesteście skoligaceni.

– Skłodowscy są bardzo patriotyczni – zapewnił Kazio Dłuski.

– Nie zaprzeczam, bo ich nie znam – powiedział uprzejmie Rostworowski, po czym panowie na moment zapomnieli o istnieniu Marii.

Zapatrzyła się na kolegę szwagra. Wzruszywszy ramionami, zaczął się oddalać, ale zrobił tylko wielkie koło i wrócił. Najwyraźniej rozpiełała go energia. Kto wie zresztą, może pragnął dać im czas na rozmowę. Nie wyglądał na osobę łagodną. Jego ruchy były nerwowe i kanciaste. Zupełnie jakby prowadził w myślach ostrą polemikę z wrogiem.

– A więc jeszcze jesteś w Paryżu, Michale – odezwał się Kazimierz. – Jak się ma Marie-Rose?

Maria przypomniała sobie, że Marie-Rose to żona Rostworowskiego. Młody mąż ponownie się rozmarzył. Mimo przewidywań nie powiedział jednak ani słowa na jej temat.

– Pakuję się i jadę do Krakowa – oświadczył energicznie. Najwyraźniej rzecz była postanowiona. – Chcę się doktoryzować na Jagiellonce, jak ci zapewne wiadomo. Zapominam już, co komu mówiłem. – Stwierdziwszy to, swoim zwyczajem wyszczerzył zęby w uśmiechu. Miało się wrażenie, że bawi go wszystko, cokolwiek powie.

Kazimierz ze smutkiem pokiwał głową.

– Zazdroszczę ci, że możesz wrócić do kraju – rzekł.

– Cokolwiek rozumiemy pod tym pojęciem, nieprawdaż?

Kolega Kazimierza nadal spacerował wokół nich. Jego gwałtowne ruchy

przypominały parodię sceniczną. Najdziwniejsze, że ani Kazimierz, ani Michał nie zwracali na to uwagi, jakby jego marsz był czymś zupełnie naturalnym.

– Może wpadniesz do nas? Bronka ucieszyłaby się. Wyprawiła mnie po Marię, żeby się dziewczyna sama nie błąkała.

Głowa jego towarzysza znalazła się w zasięgu wzroku Marii. Mężczyzna wbił w nią drwiące spojrzenie.

– Szczerze mówiąc, nie rozumiem studiujących kobiet – wypalił jej prosto w twarz.

– Czego pan nie rozumie? – rzuciła wyzywająco. Miała zwyczaj odpowiadać atakiem na atak. Nie pozwalała w swojej obecności wypowiadać się negatywnie o kobietach.

– Tego, że się przy czymś upieracie – odparował – nie zważając na to, że w efekcie wszyscy muszą skakać wokół was.

Kazimierz dawał Marii znaki, by nie ciągnęła sporu. Jego towarzysz chichotał bezczelnie, wyraźnie robiąc wszystko, żeby ją urazić.

– Mówisz, byle mówić – stwierdziła.

Postanowiła odpuścić sobie sprzeczkę. Zresztą wokół przybywało ludzi, pomyślała nawet, że to jakaś zbiórka studentów przed inauguracją roku akademickiego, która miała się odbyć za dwa dni.

– Szwagier zostawia pacjentów i odprowadza cię do domu.

Jakim prawem zwracał się do niej na ty? Kim w ogóle był? Znamienne, że Kazimierz nie przedstawił ich sobie.

Młódzież stojąca najbliżej zerknęła na nieznanomego; wyglądał jak kloszard, wymachiwał rękoma, przy czym odnosiło się wrażenie, że jego kończyny zacinają się przy każdym ruchu. Nie spuszczał z Marii wzroku, lecz unikał jej spojrzenia.

– Nie musi mnie odprowadzać – wycodziła.

– Przyjechałem po Marię z przyjemnością – ratował sytuację Dłuski. Ujął dziewczynę za rękę i pociągnął w kierunku wejścia do metra.

– Jasne – skwitował jego towarzysz z cynicznym uśmieszkiem. – Profesorowie na uczelni też nie wiedzą, co z takimi robić. – Ryknął śmiechem, puszczając oko w stronę grupki studentów; właściwie do żadnego w szczególności, gdyż nikogo nie znał. Najwyraźniej nie rozumieli polskiego, trudno więc było stwierdzić, czemu to miało służyć. – Obleje się taką podczas egzaminu – oświadczył zjadliwie – to dostanie hysterii. – Mówił wolno i wyraźnie. Wciąż unikał wzroku Marii.

– Chodźmy już, Marysiu – prosił Kazimierz, lecz ona stała rozgniewana.

Nikt nie będzie jej obrażał bez powodu! Ot, po prostu dla samego obrażania! Nie pozwoli na to! Wiedziała, co ją czeka w Paryżu... wiedziała, że mało kto doceni ciężką pracę, za to wielu będzie z niej szydziło. Zdawała sobie sprawę, że kobiety bywają traktowane gorzej niż zwierzęta domowe, że odmawia im się

równych praw, inteligencji i zdrowego rozsądku. Lecz oburzyło ją, że ani Kazimierz, ani Michał nie stają w jej obronie. Nabrali wody w usta. Zejście z oczu temu... gburowi... nie rozwiązywało problemu. Kobiety muszą walczyć z podobnymi postawami – chamstwo zwalczać niezłomną odwagą, mówić prawdę prosto w oczy! Kto się za nimi ujmie, jeśli same będą tchórzyc?

– A jak tu nie oblać – szydził kolega Kazika – kiedy zjawia się na egzaminie i po prostu recytuje książki. Nie da się jej zarzucić, że za mało pracowała, tyle że... niczego nie pojmuję, papla odtwórczo...

– Nie przesadzaj – rzekł Kazimierz, podejmując kolejną próbę zmuszenia Marii, by ruszyła z nim do domu. – Zapewniam cię, że Maria... Marysiu, chodźmy już.

– Nie twierdzą, że obecnej tu koleżance brakuje inteligencji, chociaż gdyby była jej pewna, chyba by się tak nie denerwowała... jak sądzicie?

– Mityguj się, przyjacielu – rzucił Dłuski, nie chcąc awantury. – Mam w domu żonę, która jest lekarzem, więc wiem na ten temat dużo więcej.

– Najwyraźniej panny Skłodowskie są genialne i wyjątkowe – kontynuował jego towarzysz.

– Najwyraźniej, panie... – przytaknęła Maria. Czoło miała zroszone potem. Ręka, którą poprawiała włosy, drżała. – Nawet się pan nie przedstawił, widać więc, że znajomość zasad rządzących światem w niczym panu nie pomaga. Może pan się boi, że kobiety okażą się od pana lepsze?

– Oczywiście – skwitował mężczyzna, parodiując ruchy Marii. – Cały świat się boi kobiet. A zastanawiała się pani kiedyś nad tym, dlaczego od stuleci nie ma was w życiu publicznym?

– Nie dopuszczają nas mężczyźni podobni do pana, panie niewiadoma.

– Panno Mario – zaczął w odpowiedzi, kładąc nacisk na słowo panno – bo chyba żaden szanujący się mężczyzna jeszcze pani o rękę nie poprosił, czemu się wcale nie dziwię...

Policzek, który mu wymierzyła, był tak niespodziewany, że mężczyzna zaniemówił. Końcami palców dotknął palącego miejsca, wyprostował się, nawet przechylił lekko do tyłu, wypinając pierś.

– Dawno temu, panno Skłodowska – zaczął powoli, trzymając dłoń na policzku – kiedy powstawały społeczeństwa... kiedy nie było ani profesorów, ani studentów... istniały równe szanse tak dla kobiet, jak i dla mężczyzn, widać jednak żadna kobieta nie miała takich aspiracji ani... inteligencji... Zresztą – machnął ręką – szkoda gadać. – Oddalił się szybkim krokiem.

Kazimierz czym prędzej pożegnał Michała Rostworowskiego, który cmoknął dłoń Marii i niemalże rozpląnął się w powietrzu, zawstydzony, że się za nią nie ujął.

Dłuski ruszył za szwagierką, zastanawiając się, czy studia są dla kobiet

naprawdę dobrym rozwiązaniem. Rzecz nie w tym, że był przeciwny ich studiowaniu, ale nawet jego zdolna Bronka miała pewne problemy z pogodzeniem różnych zajęć. Z powodu jej pracy zawodowej cierpiał dom, choć nawzajem utwierdzali się w przekonaniu, że wszystko jest w porządku. Nie przypadkiem istniał na świecie podział ról. I nie przypadkiem Paryż, to wspaniałe miasto goszczące tak wielu Polaków, pozwalał rozwinąć skrzydła głównie mężczyznom.

– Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki, Zygmunt Krasiński, Cyprian Norwid, Fryderyk Chopin, książę Adam Czartoryski, hrabia Władysław Zamoyski, Joachim Lelewel, Maurycy Mochnacki, Józef Dwernicki, Jan Skrzynecki, Henryk Dembiński, Józef Bem...

– O co ci chodzi, Kazimierzu?

Gniewny głos Marii wyrwał Dłuskiego z rozmyślań.

– Nie rozumiem.

– Dlaczego wymieniasz sławnych Polaków? Żebym zrozumiała, gdzie jest moje miejsce?

– Wymieniam? – bąknął, przyspieszając kroku.

Pojęcia nie miał, że coś mówi. Zaczerwienił się gwałtownie, szczęśliwy, że drepcząca nieco z tyłu Maria tego nie dostrzegła.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Bruksela, 1 listopada 1911

Maria wychodzi z hotelu prosto w tłum dziennikarzy, którzy natychmiast ją otaczają, uniemożliwiając odwrót. Wiatr zapiera dech w piersiach. Ktoś potrąca jej kapelusz. Kobieta stara się go poprawić, czuje jednak, że wygląda coraz gorzej, zdejmuje go więc i trzyma w dłoni. Mężczyźni, bo tylko oni są wokoło, patrzą z zachwytem na legendarne włosy uczonej. Czarny płaszcz Marii jest ciężki, brakuje mu finezji, jak większości jej ubrań. Czasem się rozchyła; widać wtedy gęste fałdy sukni suto marszczonych w talii. Strój zdaje się za duży dla tak filigranowej kobiety.

– Madame Curie! Marie! – krzyczy ktoś piskliwym głosem zza pleców kolegów. – Jak się pani czuje po wywiadzie, którego udzieliła „Le Journal” teściowa profesora Langevina?

Maria jest wzburzona. Wprawdzie lata pracy z Piotrem i ich wspólne międzynarodowe sukcesy nauczyły ją, że dziennikarzy nie da się uniknąć, ale nadal nie umie tego zaakceptować. Są wszędzie, docierają wszędzie: do jej rodziny, nianiek i pomocy domowych. Dlaczego więc ją szokuje, że ośmielają się naruszać najbardziej intymną sferę jej życia?

Chce dobrze wypaść. Pragnie być postrzegana przez pryzmat swoich osiągnięć. Nie powinna się denerwować. Tylko najwrażliwsi z tłumu mogliby dostrzec strach w jej oczach; mogliby, gdyby nie wzajemne przepychanie się i rwetes.

– Nie czytałam „Le Journal” – odpowiada pozornie lekkim tonem. – Jesteśmy w Brukseli.

Jej promienny uśmiech rzuca czar na mężczyzn. Gdyby byli paryżanami, wiedzieliby, że madame Curie rzadko się uśmiecha. Skoro to robi, chce coś ukryć; proste. Ale to belgijscy dziennikarze, są też wśród nich Amerykanie, jakiś Anglik i dwóch Niemców.

– Proszę o komentarz! – drze się Anglik. Ma na sobie świetnie skrojoną marynarkę. Krzywi usta, jakby pogardliwym wyrazem twarzy pragnął dowieść, że nie czuje więzi z tłuszcza, która go otacza. – Piszą, że promienie radu wzniciły w pani sercu pożar.

Maria rusza przed siebie. Kierunek jest jej obojętny, ponieważ niewiele widzi spoza męskich ramion. Stara się umknąć pismakom, ale z coraz mniejszym przekonaniem, że to możliwe. Co chwilę musi się zatrzymać, w przeciwnym razie przyszłoby jej się z kimś szamotać. Czuje się osaczona jak zwierzę.

– Powinien pan pisać romanse – odpowiada mimo to, wciąż uśmiechnięta.

– Zaprzecza pani, że ma romans z żonatym mężczyzną? – Wysoki, barczysty dziennikarz zachodzi jej drogę. On także się uśmiecha, tyle że w tym wyszczerzeniu zębów nie ma cienia sympatii ani litości.

Wszyscy chcą usłyszeć odpowiedź, powstaje jeszcze większe zamieszanie.

– Proszę mnie nie popychać! – unosi się Maria, nienawykła do przepychanek w tłumie.

Jest wściekła. Wie, że wiatr dawno zburzył jej fryzurę, że wygląda źle po nieprzespanej nocy i wylaniu morza łez. Potrzebuje Paula. Umiałby ją ochronić, wyrwać z rąk tych kanalii, posłać ich do diabła. Niestety, Paul Langevin udaje, że jej nie zna. Maria ma ochotę go rozszarpać, cóż, kiedy do tego również jest potrzebny osobisty kontakt.

– Jak pan śmie popychać kobietę?! – rozlega się niespodziewanie podniesiony głos Alberta Einsteina. Mężczyzna rozpycha się łokciami, brutalnie torując sobie drogę w zwartym tłumie. – Proszę się rozstąpić!

Maria jest zaskoczona, jak błyskawicznie większość dziennikarzy od niej się odsuwa. Widzi teraz, że znajduje się blisko straganów kwiaciarek.

Albert ma rozpięty płaszcz, włosy w nieładzie, jego oczy ciskają błyskawice, dłonie opierają się o wyciągnięte ramiona mijanych mężczyzn. Porusza się do przodu, jakby się wspinał po drabinie.

– Francuskie gazety określają madame Curie mianem porywaczki cudzych mężów! – pada cytat i oskarżenie zarazem.

– Piszą również, że madame Curie uciekła w nieznanym kierunku – rzuca gniewnie Einstein – podczas gdy, jak widać, uczestniczy w dawno zaplanowanym międzynarodowym kongresie!

Maria jest zdziwiona, że Albert czytał francuskie gazety. Świat już dawno przeszedł jej wyobrażenia. Wie, że spacer będzie niemożliwy, rusza więc z powrotem do hotelu, za nią zaś kilkadziesiąt przekrzykujących się dziennikarzy i Albert Einstein. Na ulicy zebrał się spory tłum gapiów. Zgadują, kto jest powodem takiego zainteresowania prasy.

– Żona pana Langevina udzieliła wywiadu „Le Petit Journal” – dobiega z tłumy. – Twierdzi, że ma dowody zdrady.

– A ja twierdzę, że ich nie ma. – Albert śmieje się na całe gardło. – Cytuje pan bulwarówkę? Niech się pan nie ośmiesza – dodaje.

Oślania Marię, która tylko dzięki jego pomocy przeciska się do drzwi hotelu Metropole. Zmierza ku windzie z pochyloną głową, przepełniona wstydem i wściekłością. Nie życzy sobie, by ktokolwiek naruszał jej intymną przestrzeń! Pozwie „Le Petit Journal”! Paul na pewno wiedział o artykule, więc jest wściekła także na niego. Nienawidzi całego świata za to, że znęca się wyłącznie nad słabszymi. Urodziła się w kraju bez perspektyw, w rodzinie bez perspektyw, zakochała się bez perspektyw...

– Proszę nie zwracać uwagi na jazgoczące psy, madame Curie – dobiega ją szept Einsteina.

Odwraca się gwałtownie. Myli się, sądząc, że źle się prezentuje. Jej twarz jest zaróżowiona, oczy szeroko otwarte, usta rozchylone, sylwetka wyprostowana. Patrzy na Alberta, widzi, że mężczyzna wygląda dobrze, chociaż zabawnie. Po raz pierwszy dostrzega, że jest przystojny, tylko włosy ma zbyt długie.

– Niech mi pan da święty spokój – cedzi.

Nie czekając na reakcję, wsiada do windy. Drzwi się zamykają.

Albert wraca na środek holu, sięga do kieszeni po cygaretkę, przypala ją i głęboko zaciąga się dymem.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Zakopane, 18 lipca 1891

W miarę zbliżania się do hotelu Pod Giewontem na Krupówkach czuła narastający wstyd. Przyjechała do Zakopanego bez przyzwoitki, zatrzymała się w tym samym hotelu, w którym miał nocować Kazimierz, na domiar złego on sam interweniował w jej sprawie, gdyż nie było wolnych miejsc. Mimo wszystko serce wyskakiwało jej z piersi na myśl o spotkaniu z ukochanym. Pragnęła jak najszybciej dostać klucz do swego pokoju, rozgościć się i przebrać, odpocząć po podróży, na nowo uczesać włosy, wyperfumować się i... sama nie wiedziała co jeszcze. Chciała się po prostu przygotować.

Po drodze trafiła na uliczne ćwiczenia straży ogniowej, co na moment pozwoliło jej zapomnieć o Kazimierzu i zdenerwowaniu. Na dachu wielkiej willi zobaczyła biegnących strażaków; za jedyne oparcie stóp mieli rozciągniętą drabinę. Byli wysportowani i szybcy. Jeden z nich pomachał Marii, co jej przypomniało, że nie jest na wczasach.

Zakopane stawało się coraz popularniejsze, zwłaszcza wśród lekarzy, prawników, artystów i bogatej młodzieży ze wszystkich trzech zaborów. Tu wszyscy się spotykali.

Maria uwielbiała góry. Jej zdaniem Tatry były najcudowniejszym zakątkiem Polski; te krokusy wiosną, róże górskie latem, szarotki, lilie, goryczki. Łąki pokrywające zbocza gór zachwycaly. Wspinała się na Giewont i Kasprowy Wierch, wędrowała do Morskiego Oka i niezależnie od trasy, jaką obrała, widoki zapierały dech w piersiach. Była dzieckiem miasta, ale stała się wrażliwsza na przyrodę od tamtego pamiętnego roku, kiedy to ojciec przerwał jej edukację i wysłał w objazd po rodzinie. Dotąd wspominała ów czas jako najpogodniejszy okres życia, wypełniony odpoczynkiem i zabawą. Góry zawsze dostarczały Marii silnych przeżyć, ponieważ poza wrażeniami czysto estetycznymi czuła ich potęgę i tajemniczość. Gdy na nie patrzyła, nabierała przekonania, że jej los może się zmienić na lepsze. Potrzebowała takiej zmiany. Zbyt długo na nią czekała.

Hotel był ogromny i przestronny. Widziała go nie po raz pierwszy, lecz nigdy dotąd nie była w środku. Panował tu miły, wakacyjny nastrój.

Kazimierz prosił, żeby była na werandzie punktualnie o osiemnastej. Maria lubiła jasne instrukcje i miała zwyczaj stosować się do nich, najwyraźniej jednak Kazimierz traktował je luźno. Spóźnił się o kwadrans, co wystarczyło, by ją wprawić w irytację. Wszystkich wchodzących witała pełnym nadziei spojrzeniem, w związku z tym każdy pytał ją o tego, z kim był umówiony. Maria odpowiadała, że nie zna tej osoby. Słowem, po kilku minutach czuła się jak portier.

Zaproponowano jej herbatę. Odmówiła. Wstała energicznie i kiedy już zamierzała opuścić werandę, pojawił się Kazimierz. Widok ukochanego kompletnie ją rozbroił. Zapomniała o złości.

Kazimierz podszedł, pochylił się, by ucałować jej dłoń, przywarł do niej ustami na dłużej, niż zwykli to czynić mężczyźni.

– Cieszę się, że jesteś – szepnął. – Wybacz, że kazałem ci czekać.

Dopiero patrząc w jego oczy, uświadomiła sobie, jak rozpaczliwie tęskniła i jak bała się odtrącenia. Mimowolnie, nie licząc się z tym, że są w miejscu publicznym, objęła ukochanego za szyję i przyłgnęła do niego całym ciałem.

Wyszczupiał przez te kilka miesięcy, gdy się nie widzieli, wyszlachetniał. Ubrany był staranniej niż zwykle, niezobowiązująco, lecz z wrodzoną elegancją. Czują pod palcami jego umięśnione ramiona, czołem dotykała szorstkiej brody. Była tak szczęśliwa, że głos grzązł jej w gardle, a serce łomotało jak szalone.

– Przejdźmy się – szepnął zakłopotany.

Ujęła go pod ramię, dumna, wyzywająco patrząc w oczy każdej mijającej ich kobiecie.

– Myślałam, że się nie doczekam – szepnęła rozanielona, policzkiem ocierając się o jego ramię.

– Jak ci minęła podróż? – zapytał.

– Zatrzymałam się na dwa dni w Krakowie, więc jazda do Zakopanego nie była męcząca.

– To dobrze.

– Powiedziałam o nas tacie. Rozumiesz, że musiałam mu powiedzieć. W przeciwnym razie nigdy by mnie nie puścił samej.

– Marysiu...

– Kocham cię. – Przystanęła i patrzyła na Kazimierza, jakby chciała zapamiętać każdy szczegół jego twarzy. – Tyle razy mi mówiono, że stanu zakochania nie da się kontrolować. – Śmiała się, a jej dłonie błądziły po kremowej bluzce, którą miała na sobie.

Kazimierz zauważył, że jest jeszcze bardziej czarująca, niż była, dziecięca w swojej dojrzałości, kobieca, ciepła... Wolałby nie słuchać jej wynurzeń. Podniósł głowę i wpatrywał się w dal.

– Teraz uwielbiam ten stan – paplała Maria, niemal w euforii. – Budzę się rankiem i moją pierwszą myślą jest, czy i kiedy się zobaczymy, jak się masz i czy nic cię nie trapi.

Zerknął na nią. Strapienia? Zawsze myślała o złych stronach życia. Nie żeby była fatalistką, wynikało to raczej z chęci przewidzenia wszelkich przeciwności losu, zabezpieczenia się na wypadek... Męczyła go. Nigdy wcześniej tak nie myślał.

– Bronka zaprosiła mnie do Paryża. Wyobrażasz sobie, oto spełnia się

największe marzenie mego życia, a ja nie skaczę z radości. Niemożliwe, żebym teraz wyjechała.

– Maniu...

Szli przed siebie ramię w ramię, nie zwracając uwagi na podmuchy wiatru. Minęła ich grupka hałaśliwych turystów. Maria znowu przystanęła. Tak bardzo zapragnęła pocałować Kazimierza, że nie mogła czekać. Pogłaskała go po twarzy.

– Wracajmy, Kaziu.

– Źle się czujesz?

– Skądże; lepiej, niż umiem wyrazić. – Niemal tańczyła, uczepona jego ramienia.

Nie odeszli daleko. Hotel znajdował się w zasięgu wzroku. Zakopane mogło się podobać. To, co zachwycało pewnie wszystkich, to panujący tu nastrój beztroski. Zdawało się, że nikt nie pędzi do pracy, nikt nie myśli o problemach dnia codziennego. Maria przypomniała sobie zakochaną parę pijącą wino z jednego kielicha. Młodzi siedzieli w hotelowej restauracji tuż przy drzwiach.

Palce ukochanego były martwe. Jak mogła pomyśleć coś takiego? Zerknęła w górę, na twarz Kazimierza. Patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. Nawet na moment jej nie objął. Maria odsunęła się. Podejrzenie było zbyt bolesne, żeby je werbalizować, ale natrętna myśl uparcie powracała.

– Coś się stało? – zapytała. Przyszło jej do głowy, że wydarzyło się coś strasznego, zmarł mu ktoś bliski, zachorował... zbankrutował...

– Powinnaś jechać do Paryża – rzekł po chwili.

Takiego go pamiętała. Zawsze przede wszystkim troszczył się o jej potrzeby. Wsunęła dłoń do kieszeni jego wiosennej kurtki.

– Nie martw się o mnie – odparła z wdzięcznością, gotowa stanąć na wysokości zadania. – Dla chcącego nic trudnego. Uczyć się można wszędzie. Najważniejszy jest nasz ślub...

– Nie będzie ślubu – wyrzucił z siebie Kazimierz. Maria zeszywniała. – Rodzice nigdy nie wyrażą zgody – dodał.

Nie przypuszczał, że powiedzenie tych kilku słów sprawi mu taką trudność. Na Boga, nie chciał jej ranić. Inna rzecz, że, świadomy własnego tchórzostwa i konformizmu, musiał uruchomić mechanizmy obronne. Po pierwsze, wyparł się miłości do Marii. Po drugie, wyolbrzymił zły stan zdrowia matki. Nie tylko sobie skomplikowałby życie, nie tylko nie utrzymałby Marii i zniszczył jej marzenia o studiach, ale zabiłby rodzoną matkę!

Chciał mieć to już za sobą. Nie mógł ścierpieć stanu zawieszenia i dalszego oszukiwania Marii.

– Jestem w trakcie studiów w Lipsku. Nie rzucę nauki, ponieważ... zdajesz sobie sprawę, co to dla mnie znaczy, Maniu. Chcę zrobić doktorat, odwiedzić Getyngę, Paryż... – mówił gorączkowo, nie zwracając uwagi na Marię, która szła

wzburzona, poszarzała na twarzy. – Ty i ja – próbował zagrać na uczuciach dziewczyny, znając jej zamiłowania – nie powinniśmy wstępować w związki. To nie dla nas. Dla nas jest Europa, zajęcia z najsłynniejszymi profesorami, dyskusje do białego rana. Powiedz coś, na Boga!

– Co mam powiedzieć? – zapytała wprost.

Nie tak to sobie wyobrażała. Kochał ją. Oświadczył się, obiecał, że uzyska zgodę rodziców i pobiorą się jeszcze tego roku. Czy nie tak? Źle zapamiętała? Nic go więc nie tłumaczyło! Gdyby wiedział, co się z nią działo, może nie byłby w stanie wypowiedzieć tych słów. Może przeraziłby się konsekwencji. Myśl gonila myśl. Nie przeżyje tego. Nie da się tego przeżyć. Jeśli wytrzyma serce, a to mało prawdopodobne, skoro ból rozsadzał ją od środka, zabije się. Nie można żyć z piętnem takiej hańby. Wszyscy o nich wiedzą – jej rodzeństwo, ojciec, ciotka... Byli zaręczeni. W wyobraźni zbudowała dom, w którym zamieszkają, urządziła każdy pokój. Nadała imiona dzieciom, które mu urodzi. Poświęciła Paryż, zdławiła największe pragnienia... bez najmniejszego żalu... bo z miłości przecież. Czy z głupoty?

Na użytek innych Maria miała nawyk racjonalizowania wszystkiego, ukrywania uczuć i bagatelizowania problemów, ale nie zmniejszało to jej cierpień. Po śmierci matki, kiedy wraz z najukochańszą osobą straciła wiarę w Boga, straciła również umiejętność mierzenia się z przeciwnościami losu.

Stając na progu hotelu Pod Giewontem, zdała sobie sprawę, że ma dwa wyjścia: rozpląnąć się w niebycie albo wyprzeć miłość do Kazimierza i zastąpić ją czymś innym. W przeciwnym razie rozpadnie się na miliony drobnych kawałków, jej umysł straci kontrolę nad życiem. Bóg nie istniał. Nie miała do kogo się zwrócić, żeby zebrać o litość.

Nie pozwoliła się dotknąć. Dotarła do swojego pokoju, zatrzasnęła drzwi i usiadła na łóżku. Kazimierz pukał przez chwilę, po czym chyba odszedł, bo zapanowała cisza.

Maria nie wylała ani jednej łzy. Płacz przyniósłby ulgę, ale łzy nie chciały płynąć. To było piekło. Nie rozumiała, dlaczego Kazimierz ją odtrącił. Jeszcze czuła jego pocałunki, słyszała gorączkowy szept, którym zapewniał, że nigdy... z nikim innym... że tylko z nią przez całe życie, na dobre i złe. Kochał ją, nie miała żadnych wątpliwości. Za co ją to spotkało? Za ubóstwo? Za rzetelnie wykonywaną pracę? Za jej poświęcenie i oddanie?

Czuła się upokorzona w najgorszy z możliwych sposobów, bo przez tego, którego kochała. Wieczorem napisała telegram do Paryża, że jesienią przyjedzie.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Paryż, 10 listopada 1911

Marie Desfosses i jej dwie córki, w tym żona Paula Langevina Jeanne, siedzą przy lampce wina w kawiarni Les Deux Magots na placu Saint-Germain-des-Prés. Są już po deserze; Jeanne jadła bez delectowania się i nawet nie wie, kiedy pochłonęła wielką porcję lodów z bitą śmietaną i owocami. Patrzy teraz przez okno na tę część trotuaru, gdzie ciepłą wiosną rozstawia się żeliwne stoliki i fotele osłonięte od słońca kolorową markizą. Lubi tę kawiarnię, mimo że jest droga, bo spotyka tu sławnych artystów. Myśli o sobie jako o kobiecie bywającej w miejscach odwiedzanych przez cyganerię. Zwykle czuje się w nich świetnie, tym razem jednak siostra rozpoczęła rozmowę o Paulu, jej mężu, i Jeanne straciła humor, zwłaszcza że Anne-Marie Bourgeois wspomniała kochankę Paula – Marię Curie.

– Nie wymawiaj przy mnie jej imienia – syczy, odsuwając kieliszek.

Resztką złocistego wina kołysze się w nim, odbijając światła kinkietów. Jeanne przywiera plecami do oparcia krzesła, kładąc obie dłonie na kolanach. Kilku gości kawiarni dyskretnie zerka w jej stronę.

– Przestań się zamartwiać. – Anne-Marie uśmiecha się do niej.

Siostry mają na sobie podobne w kroju niebieskie suknie. Ich matka ubrała się w brązy. Siedzi teraz milcząca i obserwuje córki, wyraźnie zbierając się, by coś powiedzieć. Widać to po jej zachowaniu. Czasem otwiera usta i wydaje się, że podpowiada kobietom ich kwestie.

– Babsko nie ma dokąd wracać – przypomina Anne-Marie. – Obsmarowano ją we wszystkich gazetach.

Jeanne nienawidzi takich wypowiedzi. Owszem, wszystkie pisma obsmarowały Marię Curie, ale co, u licha, znaczy, że nie ma dokąd wracać? Wróci do swojego domu, czego nikt jej nie zabroni na nieszczęście porządnych Francuzek, i będzie się miała świetnie. niesprawiedliwość losu dobija panią Langevin. Przymyka wyraziste, ciemne oczy.

– Co mi po tym? – mruczy. – Nie rozumiesz? Ten kretyń weźmie ją w obronę.

Anne-Marie spokojnie i z wyraźną przyjemnością dopija wino, po czym daje znak kelnerowi, że może nalać do kieliszków resztki trunku z karafki. Uśmiecha się do siostry, tym razem cierpko.

– Gdy go podasz do sądu o solidne alimenty – zauważa – przejdzie mu ochota na romanse.

– A jeżeli naprawdę mnie zostawi? Może trzeba było nieco przystopować? –

wyraża obawę Jeanne.

Kolczyki, z których jest bardzo dumna, kołyszą się w jej uszach, rzucając refleksy światła.

– O czym ty mówisz, na Boga? – nie wytrzymała Marie Des-fosses.

– O tym, że może byłam zbyt gwałtowna – irytuje się Jeanne. – Niepotrzebnie waliłam go w łeb, gdy mnie doprowadzał do szału, ot co.

– Kobieto, opamiętaj się! – Pani Desfosses również odsuwa kieliszek, rozsiada się wygodnie na krześle i krzywi. Czasem córka ją denerwuje. Wydaje jej się, że po tym, jak została panią profesorową, świat diametralnie się zmienił, podczas gdy nie tylko pozostał taki sam, ale jej położenie znacznie się pogorszyło. Langevin zarabia grosze, należy więc uznać, że awans społeczny, którym się szczyci, jest kwestią umowną. – Pomyśl rozsądnie – dodaje. – Który chłop da się szantażować i bić kobiecie? – Nie chce używać obraźliwych określeń, wiedząc, że Jeanne jest przeczulona na tym punkcie, ale Paul to łachudra i tyle. Domaga się szacunku, nie mając ku temu podstaw. – Uważasz go za mężczyznę? – Prycha, dziwiąc się córce, że się patyczkuje z tym piękniśm. – Za mężczyznę go uważasz? – Pochyliła się ku Jeanne z pogardliwym wyrazem twarzy. – Wyobrażasz sobie, że w domu jest śmierzącym tchórzem, a w jej towarzystwie przeistacza się w lwa? Albo walecznego rycerza? Ludzie tacy nie są, *ma chère*. Jeśli ktoś jest tchórzem, jest nim w każdej sytuacji.

Jeanne macha ręką, mimo to nie neguje słów matki. Rozgląda się po kawiarni sfrustrowana.

– Co mi po waszych mądrych rozważaniach? – rzuca, odprowadzając wzrokiem elegantkę z kilkuletnim synkiem. – Skończy się tym, że zostanę sama.

– Nawet jeśli, Jeanne, sąd ci przyzna alimenty; zrujnujesz Paula – przypomina siostra.

– Nie chcę doprowadzić go do ruiny – denerwuje się pani Langevin. – Boże, jaka jesteś głupia. Co mi po zrujnowaniu Paula? Co na tym skorzystam? Czy jeśli go zamkną, na przykład, poprawi to byt moich dzieci?

– Dzieci, które wspiera finansowo dziadek, ponieważ ojciec nie jest w stanie. Nie zapominaj – rzuca matka.

Anne-Marie wzrusza ramionami. Suknia uwydatnia jej i tak pełny biust.

– W takim razie czego chcesz? – pyta.

Traci orientację, do czego zmierza Jeanne. Henri, mąż Anne-Marie, opowiadał, że opinia publiczna zniszczy tę Curie, a co za tym idzie, napiętnuje romans Paula Langevina. Jeanne wniosła przeciw niemu sprawę do sądu, czego więc, na litość boską, chciała? By błagał o jej wycofanie?

– Zamorduję tę szmatę – oświadcza Jeanne, czym jej towarzyszki w najmniejszym stopniu się nie przejmują.

– Nie pleć głupstw – ucina Marie Desfosses.

– Zaczaję się na nią i zarżnę ją kuchennym tępym nożem.

Po tym wyznaniu wszystkie trzy wybuchają śmiechem, wywołując zaciekawienie pozostałych gości.

– Szkoda sukni – stwierdza Anne-Marie. – Ubrudzisz się.

– Nie pozwolę się porzucić.

– Dałabyś mu święty spokój – odzywa się Marie Desfosses. – Ten twój Paul jest jak kamień u nogi. Wiecznie zajęty swoją idiotyczną fizyką. Zwariowany na jej punkcie. Szkoda twojego życia.

– Nie dam się pogrzyść ani obnosić na językach. Nie zrobi ze mnie rozwódki! – wścieka się Jeanne. Jednym haustem dopija wino i otwartą dłonią uderza w blat stolika.

– Rób, co ci radzi adwokat – tłumaczy matka. – Przygwoździsz go alimentami, to spokojnie.

– Chcę ją dorwać i upokorzyć tak... – Jeanne zamyśla się, nie znajdując wystarczająco okrutnej zemsty, jakiej mogłaby dokonać na kochance męża. Widzi przystojnego mężczyznę wkraczającego do kawiarni i mimowolnie się prostuje, co nie umyka uwagi matki.

Pani Desfosses myśli, że elegant z własnym samochodem na pewno byłby dla jej córki lepszą partią niż Paul Langevin. Chwilę wcześniej dostrzegła, jak podjeżdżał do kawiarni odkrytym fordem.

Marie Desfosses przenosi wzrok na Jeanne.

– Zrób jej awanturę na ulicy – mówi flegmatycznie. – Wyłomocz parasolką ten durny łeb.

Jeanne aż się zachłystuje z zachwytu.

– Pomożesz mi?

– Pewnie, że pomogę.

– Obie ci pomożemy – dodaje ochoczo Anne-Marie Bourgeois, uznając, że czas kończyć posiedzenie w kawiarni. Jest umówiona z mężem przed redakcją pisma, w którym on pracuje. Zastanawia się przez chwilę, czy wziąć doróżkę. – Twój mąż jest dziwkarzem – pozwala sobie na szczerość. – Znudzi się tą profesorką szybciej, niż się spodziewasz.

– Adwokat twierdzi... – zaczyna Jeanne, lecz Anne-Marie wchodzi jej w słowo.

– Adwokat chce wziąć forszę i tyle go obchodzi twoja sprawa. Mężczyźni, jak świat światem, skakali na boki. Biblii nie czytałaś?

Jeanne porusza się nerwowo, zniecierpliwiona tonem wyższości, jaki wobec niej przybiera siostra.

– Za to ty, kochana, czytasz ją od rana do nocy – odparowuje. – Zamówmy jeszcze po kieliszku.

Anne-Marie wstaje energicznie, po czym pochyla się, by ucałować matkę.

– Czas na mnie, Henri czeka – informuje. Ze znudzoną miną cmoka siostrę w policzek. – Paul wróci do ciepłej zoneczki – pociesza jeszcze – a to, że chłop się wyszumi, jeszcze żadnej nie zaszkodziło. Damy tej dziwce taki wycisk, że popamięta na całe życie. – Sięga po parasolkę, dumnie unosi brodę i rusza ku wyjściu.

Marie Desfosses odprowadza córkę wzrokiem, podziwiając jej nienaganną sylwetkę. Anne-Marie nosi się podobnie jak Jeanne, jednak wygląda lepiej, potrafi rozmawiać z ludźmi, nic więc dziwnego, że dalej zaszła. Jej mąż jest znanym dziennikarzem. A Jeanne się zaniedbuje. Mimo czwórki dzieci nie powinna zamykać się w domu.

– Nastraszysz ją – rzuca starsza pani z przekonaniem, doszedłszy do wniosku, że wybiła godzina zemsty na zięciu, który ma ją za prymitywną kwokę tylko dlatego, że pochodzi z robotniczej rodziny.

Kimże jest on sam? Liczba przeczytanych ksiązek nie stanowi o człowieku! Marie gotuje się w środku. Jej dłoń mimo woli podnosi się do szyi, jakby starsza pani za moment miała zacząć się dusić. Ile jeszcze lat zmuszona będzie kierować życiem Jeanne? To męczące.

– Zaczeka się, aż będzie tłumek gapiów – informuje córkę – i rozpuścisz gębę, żeby ludzie usłyszeli, z kim mają do czynienia. Madame Curie, będziesz wrzeszczeć.

Jeanne rozpromienia się i Marie Desfosses myśli, że właśnie taka córka – uśmiechnięta i zadowolona z życia – podbiłaby Paryż. Jest piękna. Jeśli ten idiota Paul nie dostrzega tego... Marie wzdycha ciężko, świadoma, że zięć, jak to dziwkarz, pasjami spija miód z coraz to innych ust. Niech go diabli!

– Wytraskam ją po gębie – rozmarza się Jeanne.

Matka kiwa na kelnera, dyskretnie wskazując pusty kieliszek. Mężczyzna czym prędzej podbiega do nich z butelką wina i napełnia oba kieliszki, a trzeci stawia na tacy i zabiera ze stolika wraz z pucharkami po lodach.

– Zapewniam cię, że nikt się za nią nie ujmie.

– Nożem ją postraszę – wpada na pomysł Jeanne.

Przez minutę rechoczą bez opamiętania, budząc zgorszenie klientów kawiarni, wreszcie Jeanne poważnieje. Prześladowają ją myśli o madame Curie.

– Stara chabeta – syczy, po czym już głośno dodaje: – Pojęcia nie miałam, że jest taka chuda.

– Gzi się z kolegami na Sorbonie, to i zreć nie ma czasu – kwituje Marie.

Pani Langevin popada w melancholię. Wyobraża sobie, że mąż ją porzuca na wieki wieków amen, i czuje się bezradna.

– Dobrze, że mama udzieliła gazecie wywiadu. Niech ludzie znają prawdę. Już się tak świetnie nie bawi w tej Brukseli z moim Paulem, gdy ją wzięli na języki.

Matka przygląda się jej przez chwilę i zauważa, że obie cheszą się podobnie nonszalancko.

– Myślisz, że wiadomości dotarły aż tam? – pyta córkę z niedowierzaniem.

– Oczywiście, nie mam wątpliwości – mówi Jeanne.

– Po co ci ta fajtłapa, której się nie trzymają pieniądze? – fuka Marie. Ze smakiem upija z kieliszka odrobinę wina. Rozgląda się po sali z pogardą – na wszelki wypadek, gdyby ktoś chciał kwestionować jej maniery. – Zakreśliłabyś się przy porządnym mężczyźnie.

Jeanne sprawia wrażenie, jakby siedziała na rozżarzonych węglach.

– Mama myśli, że to takie proste – mówi żałośnie.

– Nie myślę, że to proste, ale trzeba szukać, *ma chère*.

– Dzieci go kochają.

– Jak to dzieci – odzywa się matka beznamietnie. – Nogę stołową też by pokochały, jakby wiedziały, że to ojciec. Nie byłby zły, gdyby się wziął za porządny interes... rzeźnikiem został albo kimś takim.

– Gdyby, gdyby – zżyma się Jeanne. – Ta jego lafirynda Nobla dostała.

– Jakiego nobla? Co to za choroba?

Kobiety znów wybuchają niepohamowanym śmiechem, szybko jednak cichną, nikt więc nie robi uwag. Jeanne dopija wino.

– Piszą, że to najważniejsza nagroda na świecie – rzuca przygnębiona.

– A tam, najważniejsza. Jak najważniejsza, to ona Paula zaraz wykopie z domu, lepszego se znajdzie, jak nic.

– Na mnie niech nie liczy – wybuchła pani Langevin. – Wypędzę go jak psa! Nawet w tej swojej nauce nie doszedł do niczego. Kochanka jest lepsza od niego, bo drugiego Nobla jej przyznali, a ten... nic... żadnego splendoru dla rodziny. Pewnie jej próbówki trzyma.

Rechot Jeanne zamiera tak gwałtownie, że pani Desfosses podąża za jej wzrokiem i czuje ciepło rozlewające się po ciele. W drzwiach kawiarni stoi wzburzony Paul Langevin. Rozgląda się. Po chwili jego spojrzenie spoczywa na żonie. Mężczyzna w trzech krokach podchodzi do stolika i opiera na nim dłonie.

– Jesteś z siebie dumna? – warczy. – Dumna? Nie dostaniesz nic. Choćbym miał zgnić w więzieniu, nie dostaniesz ani grosza. Wiesz, co narobiłaś, idiotko? Zdajesz sobie sprawę?

– Licz się ze słowami, zięciu...

Paul chwyta dłoń teściowej, którą chciała położyć na jego dłoni, i gwałtownie odtrąca. Kobieta patrzy zszokowana. Nie poznaje go.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Sceaux, 11 listopada 1911

Ciążące Marii myśli, które nie opuściły jej przez całą drogę z Paryża, gwałtownie przerywa widok zgromadzonego pod jej domem tłumu, złożonego głównie z rozsierdzonych kobiet. Wpatrują się w stary biały budynek, niektóre uwieszone płotu, skandując obelgi pod adresem właścicielki.

Maria przyspiesza kroku. Bez przeszkód zrównuje się z kobietami, ponieważ żadna z nich nie patrzy do tyłu. Lustrują okna jej piętrowego domostwa z mieszkalnym poddaszem, mając nadzieję, że wypatrzą coś ciekawego. To mieszkanki Sceaux, robotnice dojeżdżające do pracy w Paryżu. Jest ich tyle, że zatarasowały ulicę des Sablons.

Maria Curie przeciska się przez tłum. Jest mniej więcej w środku, gdy niektóre z kobiet ją rozpoznają. Wszczynają straszliwy jazgot, mimo że nie mają odwagi podnieść na panią profesor ręki. Za to rusza lawina niewybrednych obelg. Maria jest tak wzburzona, że sama nie wie, jak jej się udaje otworzyć furtkę i pokonać niewielki trawnik przed domem. Znika za drzwiami, odprowadzana stekiem wyzwisk. Cała dygocze, fale gorąca raz po raz uderzają jej do głowy. Zdejmuje pelerynę, czując, że jeszcze sekunda, a jej ciało stanie w płomieniach. Drżącymi rękoma wiesza okrycie w przedpokoju i niemal po omacku, z powodu panujących ciemności, idzie do kuchni.

Przystaje na moment, opiera czoło o ścianę i zaciska powieki, powstrzymując płacz. Nie utożsamia się z kimś, kogo przed chwilą sponiewierały obce kobiety. Czuje się niesprawiedliwie upokorzona. Wie naturalnie, co się jej zarzuca, że chodzi o ujawniony związek z Paulem, nie może jednak pojąć, dlaczego mszczą się na niej kobiety, te, którym społeczeństwo odmawia wszelkich praw. Kogo bronią? Swoich ciemnych? Nie znają przecież faktów. Domyśla się, że sterują nimi mężczyźni.

Jeszcze niedawno zgłosiła swoją kandydaturę na członka Francuskiej Akademii Nauk. Sądziła, że piekło, jakie się wtedy rozpętało, jest nie do zniesienia. Gazety rozpisywały się o niej, czatowano na nią wszędzie. Powszechnie szanowani, światli profesorowie zarzucali jej, że sieje zgorszenie, samotnie odwiedzając mężczyzn w ich domach, mimo że wiedzieli, iż każdy kandydat musi składać wizyty członkom akademii i nie ma w tym nic gorszego. Ciemnota i zła wola ludzi przerażała Marię. Nie godziła się na bycie rzeczą, mimo że taka była pozycja, jak to określano: niewiasty. Nie pozwalała się zasufladkować, zniszczyć, ująć w ramki i pozbawić woli. Lata pracy, nagrodzone niejednym międzynarodowym sukcesem, przekonały ją, że walka ma sens. Wygra, torując

drogę pozostałym kobietom.

Przegrana rywalizacja o członkostwo akademii była dla niej poważnym ostrzeżeniem. Jasno pokazała, gdzie jest jej miejsce. Żydówka, mściwa harpia, femme fatale... uważała, że to mocne słowa, raniące, niedające się wymazać z pamięci. Co miała powiedzieć teraz, kiedy zamieszczono w gazecie fragment jej listu do Paula i przedstawiano ją czytelnikom jako wyzutą z kobiecości, drapieżną Żydówkę, która niszczy życie delikatnej Francuzki i jej czworga dzieci. Subtelna – że też komukolwiek przeszło przez gardło podobne określenie – Jeanne Langevin zwróciła się o pomoc do prasy, by wpłynęła na oświeconą opinię publiczną. Wszystkie francuskie matki stanęły po stronie zdradzonej żony.

Maria bierze głęboki oddech i idzie dalej. Zatrzymuje się na progu kuchni. Służąca, sześćdziesięcioletnia kobieta o pogodnej pełnej twarzy, posyła jej blady uśmiech, nie przerywając zmywania. Nie wie, co ma myśleć o pani Curie i Paulu Langevinie. Oboje widywała tak często, że zaczęła ich traktować jak członków rodziny.

– Przykro mi, Heleno, że musi pani to wszystko znosić – mówi Maria, wspierając się o framugę drzwi.

Kobieta przygląda się jej zmęczonej twarzy, dostrzega zroszone potem czoło i wzdycha.

– Nie ma mnie pani za co przepraszać, madame Curie.

Skończywszy zmywanie, bierze się do wycierania stołu. Dbanie o dom sławnej uczonej nie sprawia jej kłopotu. Ograniczone do niezbędnych meble zajmują niewiele miejsca. To ułatwia utrzymanie podłóg w czystości. Tylko te książki, pisma i gazety... siedlisko kurzu, które zlikwidowałyby w parę minut, ale nie może.

– Miałam ochotę zdzielić jednego z tych pismaków przez łeb – wyznaje.

Na twarzy Marii maluje się przestרח. Zdaniem gospodyni ostatnimi czasy straciła resztki poczucia humoru, choć i dziwić się nie ma czemu.

– Niech pani tego nie robi, bo panią oskarżą.

– Ani myślę – uspokaja służąca. – Boże, zlituj się nad idiotami w tym kraju – dodaje, odkładając ścierkę. Zagląda do garnka z zupą, choć po samym zapachu można poznać, że nadaje się już do jedzenia. – Ja rozumiem prostych ludzi, ale dziennikarze? Zdawałoby się, że ludzie wykształceni.

Kobieta zna Marię, wie, że nie skrzywdziłaby nawet muchy. Madame Curie jest samotna. Możliwe, że ją ciągnie do pana Langevina.

– Żerują na cudzym nieszczęściu – szeptem Maria.

Mówi z trudem. Coś jej każe komentować sytuację, w jakiej się znalazła. Dom wygląda dziwnie z zaciągniętymi za dnia zasłonami.

– Wyrzucają innym to, co sami robią w cichości swoich mieszkań – odpowiada gosposia. Jest prostą wieśniaczką, nie umie czytać ani pisać, dlatego

Maria wydaje jej się cudem natury. Nie wyobraża sobie, co można robić z grupą studentów na Sorbonie. Podziwia madame Curie i uwielbia za odwagę. – Chodzące świętości – burczy pod nosem.

Odkąd pani Curie wysłała dziewczynki do nowego paryskiego mieszkania na Wyspie Świętego Ludwika, w domu zapanowała nieznośna cisza. Słysząc każde pociągnięcie nosem. Codziennie pani Maria płacze, co wprawia Helenę w zakłopotanie. Kobieta nie wie, czy powinna zajrzeć do sypialni uczonej i starać się ją pocieszyć, czy udawać, że niczego nie dostrzega. Wybiera to drugie, ponieważ madame Curie zachowuje dystans do ludzi. Niby jest uprzejma, miła, ciepła, z nikim się jednak nie spoufala. Trudno jest pomóc komuś takiemu. Musi cierpieć w samotności.

– Obiad zaraz będzie, proszę pani – informuje Marię.

– Dziękuję. Nie jestem głodna.

Ta sama śpiewka, odkąd Helena pracuje w tym domu. Zero zrozumienia dla potrzeb cielesnych. Denerwujące tłumaczenie, że się uwielbia francuską kuchnię.

– Trzeba jeść, proszę pani. – Kobieta nie zamierza czekać, aż jej pracodawczyni zgłodnieje, wiedząc, że ten moment może nie nadejść. – Niech pani spojrzy w lustro, mruczy, stawiając na stole głęboki talerz. – Sama skóra, kości i rozum.

Zastanawia się przez chwilę, czy Paul Langevin mógłby się uganiać za kimś takim – wiecznie smutnym, wiecznie zatroskanym, wiecznie niezadowolonym z życia. Nie rozumie, dlaczego tak niepochlebnie podsumowała pracodawczynię. Maria Curie nie jest marudna i kapryśna. Odkąd wyjaśniła, czego od Heleny oczekuje, nie ma między nimi zgrzytów. Czyżby na jej opinię wpłynęła lektura plotkarskich kolumn w gazetach?

– Francja dla Francuzów czy arbuzów, bo nie dosłyszałam? – żartuje służąca, chcąc rozbawić Marię. Akurat grupka kobiet kolejny raz skanduje nacjonalistyczne hasła. – Jak żyję, nie słyszałam większej głupoty. – Przybiera lekceważący ton, by nie pogłębiać złego nastroju Marii. Gołym okiem widać, że madame Curie jest strzępkiem nerwów. – Pan Jezus był Żydem, a oni robią nagonkę na Izraelitów. Co za ludzie – mruczy. – Ja nie mam szkół i nie znam się na polityce, ale matka mnie uczyła, że każdy człowiek ma prawo myśleć, co chce. Byle nie wadził innym. A w cudze lepiej nie zaglądać. Gdzie kto świętego spotkał? Żyję już sześćdziesiąt lat i żaden mi na drodze nie stanął.

Krzyk przed domem wybucha ze zdwojoną siłą. Chwilę później słysząc pukanie do drzwi. Ktoś wchodzi do środka bez zaproszenia.

W kuchni pojawiają się Jean Perrin i André Debiere. André staje przy oknie i gwałtownym ruchem rozsuwa zasłony. Dopiero wtedy cmoka Marię w policzek.

– Nie wiem, co powiedzieć, Marie – odzywa się Jean, ucałowawszy przyjaciółkę bardziej we włosy niż w policzek. – Brzydzą mnie ci ludzie...

Mężczyzna nie kończy, bo szyba rozsypuje się na drobne kawałki, a do kuchni wpada spory kamień.

- Złodziejka mężów! – słycać histeryczny krzyk.
- Precz z Francji, cudzołożnico!
- Precz od cudzych mężów!
- Degeneratka! Wstyd!

Wesoły zwykle Jean Perrin krzywi się. André daje mu znak, by zabrał Marię w głąb domu. Sam wychodzi na zewnątrz, świadom, że zebrane tam kobiety są zmanipulowane przez dziennikarzy, którym zależy na atrakcyjnych opisach protestu. Zawsze lepiej pisać prawdę, niż wymyślać, jak to mieszkanki Sceaux występują przeciw madame Curie.

André jest oburzony. Wszystko go ostatnio irytuje. Najbardziej to, że Maria nie pojawia się w laboratorium. Przejął jej obowiązki i kieruje personelem, codziennie odwiedza jej córki, wydaje dyspozycje niańce, upewnia się, że dziewczynkom niczego nie brakuje, czym prędzej jedzie do Sceaux, by poinformować przyjaciółkę i szefową zarazem, co u nich, zapytać, jak odpowiedzieć na kolejne urzędowe pismo w sprawie instytutu radowego, jakie dyspozycje wydać asystentom. Ma coraz więcej pracy. Jest zmęczony. Zmęczony i poirytowany, zwłaszcza tym, że Maria wdała się w romans z Paulem i z dnia na dzień więdnie. Z Paulem, o którym każdy wie, że jest flirciarzem i nie umie odmówić żadnej kobiecie.

- Wezwałem żandarmów! Proszę się rozejść! – krzyczy André.
- Kto nam rozkazuje? – pyta hardo jedna z kobiet. – Kochanek lubieżnicy?

Mężczyzna kilkoma krokami przecina trawnik. Śmiało otwiera furtkę, wkracza między rozsierzdzone robotnice. Jest wysoki, dobrze zbudowany, ubrany starannie i zgodnie z najnowszą modą. Rozgląda się, czując chłód. Nie włożył płaszcza.

– Jestem szanowanym pracownikiem Sorbony – zaczyna. – Ani mi w głowie sprawy, o które mnie panie podejrzewają. Proszę się rozejść do domów. Madame Curie jest chora.

Kultura osobista André Debierné'a na moment deprymuje protestujące, zaraz jednak najodważniejsza krzyczy prosto w jego ucho:

- Niech wraca do Anglii!

André odwraca się do niej; jest niska, szczupła, patrzy wyzywającym wzrokiem. Nie wygląda na osobę walczącą o wyższe racje, raczej na kogoś, komu zapłacono. Widać to po cynicznym uśmiechu.

- Madame Curie jest Polką – prostuje André.
- Anglia, Polska jedna chwała! – drze się robotnica.
- Odpowiedcie przed Bogiem za nękanie niewinnej kobiety – mówi André spokojnie.

Jego opanowanie robi wrażenie. Na twarzach kobiet maluje się niepewność.

– Nie jest niewinna – rzuca mu w twarz prowodyrka. – Gazety opublikowały jej listy do kochanka.

– Gdyby tak było, zająłby się nią sąd – odpowiada André.

Pulchna młoda kobieta w szarej sukni, którą widać spod cienkiej peleryny w tym samym kolorze, cofa się o parę kroków, jakby rezygnowała z pikiety przed domem Marii Curie.

– Ten człowiek ma rację – stwierdza mocnym głosem.

Nikt nie zaprzecza.

– Oczywiście, że mam rację – zgadza się André.

Kobiety są wyraźnie zdezorientowane.

– Dajcie spokój pani Curie – słychać jedną z nich. – Jest sławnym naukowcem, powinniśmy się wspierać nawzajem... my, kobiety.

André wycofuje się do furtki. Czas najwyższy, gdyż zimno zaczyna być dokuczliwe.

– Pisma kłamią, żeby się na nas bogacić – oświadcza na odchodne. – Piszą poczytne bzdury, a ludzie wykupują wszystkie egzemplarze tych szmatławców.

– Za bardzo pan jej broni – pada nagle oskarżenie.

Jak na komendę tłum rusza ku niemu. André jest w pułapce, wsparty plecami o ogrodzenie.

– Panu też zawróciła w głowie!

– Proszę mnie nie poklepywać, proszę pani. – Mężczyzna ogania się od natarczywych protestujących.

Na niektóre kobiety działa to niczym płachta na byka. Robią się agresywne.

– Zechcę, to będę pana klepała – oświadcza szara mysz, której nikt by nie podejrzewał o to, że umie sklecić poprawnie zdanie – kochasiu lafiryndy! Nic mi pan nie robi – prowokuje.

– Proszę mnie nie zmuszać do użycia siły – irytuje się André. Nigdy nie był w takiej sytuacji.

– A tylko spróbuj, fagasio, to ci...

– Precz!!!

André uświadamia sobie, że jeśli chce zyskać przewagę, musi użyć siły. Jego pacyfistyczne przekonania mogą się obrócić przeciwko niemu i przeciwko Marii. Ponieważ pośrednio to przyjaciółka spowodowała protest, podskórnie ma do niej żal. Czuje zazdrość o Paula, gniew, że przez nią musi uzewnętrznić najprymitywniejszą, zwierzęcą część swojej natury. Z furią napiera na zdezorientowane kobiety i, o dziwo, przeciw tej agresji żadna nie śmie protestować. Grzecznie usuwają mu się z drogi, a po chwili zaczynają się rozchodzić.

– Jakie wy macie prawa? Wariatki! – krzyczy za nimi André. – Kompletnie

odebrało wam rozum?! Chcecie, żeby was aresztowano?! Żeby wasi mężowie zapłacili grzywnę za naruszanie miru domowego madame Curie?! Nie mieszajcie się do polityki!

– To nie polityka – protestuje któraś słabym głosem.

– Nie?! – odparowuje z wściekłością André Debiere. – Pani Curie dostała dwie Nagrody Nobla. Jej badania wspiera rząd Austrii. Francja jest dumna, że pani profesor tu mieszka. Finansuje budowę instytutu imienia jej męża.

André spluwa i wolnym krokiem idzie w stronę domu, kompletnie wytracony z równowagi. Przywiózł Marii cholernie złą wiadomość; jest wystarczająco przygnębiony i bez słownych utarczek z prymitywnymi babami.

Wraca do domu i kieruje się na jego tyły, tam, gdzie Maria ma gabinet. Liczył na to, że Jean Perrin wpłynie jakoś na poprawę nastroju przyjaciółki, widzi jednak, że nie rozmawiają. Siada na jedynym wolnym krześle. Zna to pomieszczenie tak dobrze, jakby sam je urządził. W przeciwieństwie do pozostałych pokoi jest zagracone, ale przedmioty stoją niczym żołnierze podczas musztry – w idealnym porządku.

– Jak się czujesz, Marie? – pyta.

– Co mam ci powiedzieć? – W głosie przyjaciółki pobrzmiwa zaczepny ton.

– Nic nie mów – ucina André. – Na głupotę ludzką nie ma rady.

– Przyszedełś w jakiejś sprawie?

Maria mówi w sposób, do którego nie nawykł. Wyraźnie dąży do awantury. André zdaje sobie sprawę, że przemawia przez nią bezsilność, niemniej jednak jest mu przykro. Nawet Perrin wydaje się zdziwiony.

– Sprawiasz wrażenie bardzo czymś przejętego – mówi uczona łagodniej.

– Rzeczywiście jestem.

Perrin spogląda w okno. Wie, co kolega ma do powiedzenia, i wolałby chyba tego nie słuchać. Maria czeka na wyjawienie powodu ich wizyty, lecz André uparcie milczy.

– Co się stało? – naciska kobieta.

Nie zdaje sobie sprawy, że bliska przyjaźń, jaka ją łączy z André Debiere'em, powoduje, że czasem w rozmowach z nim zapomina o elementarnych zasadach dobrego wychowania.

Do gabinetu docierają jakieś dźwięki. Znowu ktoś przyjechał?

– Hop, hop!

Wszyscy troje rozpoznają głos Marguerite Borel, żony matematyka i polityka, powieściopisarki drukującej pod pseudonimem Camille Marbo. Po chwili zaprzyjaźniona z Marią Margue-rite staje w drzwiach gabinetu. Jest średniego wzrostu, ma krótkie, zaczesane na bok, równo obcięte włosy i poczciwą, sympatyczną twarz. Jest młoda, ekscentryczna, wprost tryska energią.

– Helene! – krzyczy w głąb domu. – Pakuj rzeczy pani Curie! Wyjeżdża

ze mną!

– Dokąd? – pyta André z niechęcią.

Marguerite nie odpowiada, znając jego przesadną troskę o Marię. Wiele razy mówiła przyjaciółce, że André Deberne jest w niej zakochany bez pamięci, ale uczona ją wyśmiała.

– Jedziesz do mnie, kochana – wyjaśnia Marguerite, zwracając się do Marii, jakby nikogo więcej nie było w gabinecie. – Nie będzie cię obrażać byle jaka łachudra.

W drzwiach pojawia się Helena, zaaferowana słowami pani Borel.

Maria jest w nie lada kłopotcie. Nigdy dotąd nie wygrała pojedynku z Marguerite Borel, a wolałaby nie opuszczać domu. Jak ma się zachować? Jedyne, na co czeka, to chwila, gdy zostanie sama i będzie mogła oddać się masochistycznym rozmyśleniom. Jest zmęczona.

– Nie powinnam – zaczyna sennie.

– Powinnaś... walczyć, Marie – przerywa Marguerite. – Zbieraj się, jedziemy do nas. Mój mąż będzie zaszczycony. – Marguerite patrzy wyzywająco na André, wyraźnie odgadując jego myśli. Mężczyzna otwiera usta. – Masz wątpliwości, mój drogi? – pyta pani Borel, wytrzymując jego twarde spojrzenie.

– Nic nie powiedziałem. – André kapituluje.

– Pewnie słyszałeś mego ojca w akcji – kwituje Marguerite z niechęcią, dając do zrozumienia, że go rozumie.

Ma na sobie długą piękną spódnicę i kolorową bluzkę z białym kołnierzem. Mimo że jest zdecydowanie młodsza od Marii, jej figura nie wydaje się młodzieńcza. Zdradza zamiłowanie Marguerite do smakołyków.

– Co to znaczy? O co chodzi z twoim ojcem?

Maria patrzy przyjaciółce w oczy. Marguerite krzywi usta i wolno odwraca się do niej.

– Nic ponad to, że czasem się wstydzę, iż mam coś wspólnego z dziekanem Wydziału Badań Naukowych na Sorbonie – odpowiada, celowo opisując ojca tak, jakby był kimś obcym. – Znasz go – dodaje lekceważąco. – Jest raptusem.

Chwyta dłonie Marii i zmusza ją do wstania z krzesła. Nie przejmuje się widoczną irytacją André Deberne'a. Mężczyzna miał swoje pięć minut. Sądząc po nastroju panującym w domu Marii, nie wykorzystał ich.

– Porywam cię, Marie. Włóż kapelusz, owiń się szalem i wskakuj do auta.

Obaj panowie patrzą na nią zaskoczeni. Auta? Marguerite obraca się radośnie wokół własnej osi.

– Małżonek użyczył mi swojego forda T. Wóz jest trochę osłonięty, wyjedziemy więc stąd, nim tłum się zorientuje.

– Nie chcę uciekać, jakbym... – wtrąca Maria, ale przyjaciółka nie pozwala jej dokończyć.

– W tym rzecz. – Śmieje się hałaśliwie. – Wy, naukowcy, bujacie w obłokach. Szykuj się, kochana. Czekam. – Niezwykle lekkim jak na jej posturę krokiem wychodzi z gabinetu.

Jean Perrin, który od pół godziny milczy jak zaklęty, i tym razem się nie odzywa. Korzystając z okazji, opuszcza gabinet. Ford T Borelów go zelektryzował. Chce się przymierzyć do kierownicy.

Maria wpatruje się w André, marszcząc brwi. Czuje, że mężczyzna ma jej coś ważnego do zakomunikowania.

– Co miała na myśli, mówiąc o swoim ojcu?

André wzrusza ramionami, próbując ją ominąć. Maria chwyta go za ramię.

– Patrz mi w oczy!

– Nie traktuj mnie jak dziecka, Marie – obrusza się mężczyzna.

Jeszcze nie wybaczył jej romansu z Paulem. Nie ma prawa go strofować.

Od powrotu Marii z Brukseli między nią a Deberne'em trwa cicha wojna. On jest rozżalony, ona poirytowana jego zaborczością i zażenowana tym, że nie okazała się tak wspaniała, jak uważał.

– Co mogła mieć na myśli? A jak sądzisz? – burczy André, odsuwając się od przyjaciółki. – Żałosne zachowanie Appella, cóż by innego?

Wolałby, z wielu względów, mieć Marię przy sobie. Czuje się za nią odpowiedzialny. Pomysł Marguerite, by ją zabrać, jest zarazem doskonały i kompletnie idiotyczny. Dla André zaś dodatkowo uciążliwy.

– Co zrobił Paul Appell?

André wzdycha ciężko. Appell, ojciec Marguerite, należał do wąskiego grona przyjaciół Marii Curie. To na jego wykładach pierwszy raz doznała niemal metafizycznego zachwyty niezwykłością wszechświata i prawami natury.

– Nic nie zrobił – rzuca Deberne wściekły, że to jemu przypada w udziale informowanie Marii o kolejnym świństwie, jakie jej wyrządzono.

Ma pretensję do Jeana Perrina o to, że przyjął postawę strusia, do Marguerite, że przyjechała, a także do Marii – o kompletny brak wyczucia i zrozumienia.

– Nawołuje, by cię usunięto z Sorbony – mówi twardo, patrząc przyjaciółce prosto w oczy. – A najlepiej z Francji.

– Niemożliwe – wyrywa się kobiecie.

– Naturalnie! – prychnął André. – Żyj w sferze złudzeń, Marie. – Widząc łzy w oczach ukochanej, łagodni ton wypowiedzi. – Jedź do Marguerite, to dobry pomysł. I nie rozczulaj się nad sobą, kochana. Nawet Jezusa Chrystusa nie wszyscy popierali.

– Jestem niewierząca!

– A ma to jakieś znaczenie, *ma chère*? – pyta, głaszcząc jej policzek. – Nie bądź śmieszna. Walcz o siebie. Nie będziesz chyba szlochać dlatego, że jakiś stary

ramol źle się o tobie wyraził?

André mówi to, by Maria nie roztkliwiała się nad sobą. Wszystko, co ostatnio robi, robi wbrew sobie. Czuje, że się dusi. Jest trzydziestokilkuletnim nieudacznikiem. Widnieje w spisie inwentarza madame Curie, wciśnięty gdzieś między zlew a paczkę drutu, używany od przypadku do przypadku. Na co właściwie czeka? Że Maria rzuci mu się na szyję?

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Paryż, 12 lipca 1892

Po urodzeniu dziecka Bronia stała się dorodna. Kazimierz Dłuski zauważył to natychmiast, ale znając przewrażliwienie panien Skłodowskich, ani słowem nie zająknął się o tym przy żonie. Uważał ją zresztą za skończoną piękność i okrągłe kształty nie zmieniły jego zdania. Bronka była pyszna, tak to nazywał, kiedy nie słyszała. Miała pyszne włosy, zaczesywane śmiałymi, wprawnymi ruchami, pyszną twarz o regularnych rysach, pełne usta, wielkie migdałowe oczy. Fakt, że przybrała na wadze, przydał jej majestatu. Kobiety, które leczyła, darzyły ją większym szacunkiem.

Pani Dłuska uśpiła kilkumiesięczną córkę Helenkę, a nie było to łatwe, ponieważ Kazimierz stał w drzwiach i narzekał na Marię. Usta mu się nie zamykały. Ignorująca go Bronisława, zorientowawszy się, że dziecko wreszcie usnęło, poprawiła kołderkę i rozgniewana opuściła sypialnię. Mąż podążył za nią.

– Przestań jej nadskakiwać – rzekł po raz trzeci tego dnia. – To dorosła kobieta.

Bronka miała własne zdanie na temat siostry i jej humorów, w zasadzie podobne do mężowskiego, niemniej jednak zdecydowanie nie lubiła, kiedy małżonek krytykował Manię. To było jej prerogatywą.

– Daj spokój, Kazimierzu – poleciła. Wróciła do cerowania prześcieradła i demonstracyjnie zaczęła nucić.

Uwielbiał siostry Skłodowskie! Złe na kogoś zwracały się do niego pełną wersją imienia. Czasem stroiły jaśniepańskie miny, zapominając, że on także wywodził się ze szlachty, a majątek jego rodziny przerastał zasoby wszystkich Skłodowskich. Pomyślał, że to bardzo hipotetyczny majątek, niemniej istniał... gdzieś w guberni podolskiej.

– Wszyscy w rodzinie trzęsiecie się nad nią – oświadczył z gniewem.

– Bądź łaskaw mówić ciszej – obruszyła się małżonka.

W głębi ducha przyznawała mężowi rację we wszystkim, co miał do powiedzenia na temat Mani, lecz powinien wreszcie pojąć, że ona, Bronka, jest bezradna. Kochała Marię, obiecała, że ją wesprze w trakcie studiów, toteż rozmowy o tym, czy i jak bardzo siostra odbiega od ideału, oraz popieranie tego przykładami uważała za idiotyzm i marnowanie czasu. Pani Dłuska była stale niewyspana. Karmiła małą, wieczorami wraz z mężem podejmowała gości, bo żadne nie umiało z tego zrezygnować. Naprawdę mógłby sobie darować cierpkie uwagi.

Od narodzin Helenki dom wyglądał jak pobożowisko. Służąca wymigiwała

się od mycia okien, twierdząc, że boli ją kręgosłup. Kilkakrotnie Bronka zauważyła kurz w salonie. To był problem! Usłyszawszy płacz dziecka, tupnęła nogą, wytrącona z równowagi.

– Widzisz, co narobiłeś? – syknęła. – Teraz nie zaśnie.

– Ty mnie zmuszasz do wiecznego narzekania – jęknął Kazimierz. – Krzyczę z bezsilności. Maria mogłaby ci pomóc.

Bronka bez słowa zniknęła w sypialni. Helenka spała w najlepsze, po chwili więc wyszła od niej na palcach. Kazimierz czekał przed drzwiami i było to więcej niż irytujące. Czatował na nią.

– Żyje na nasz koszt – szepnął – czego jej nie wymawiam, bo macie jakieś swoje rozliczenia, wasza sprawa, ale nie rozumiem... tak, kochanie, nie potrafię pojąć... dlaczego młodszą siostrą mojej żony nie może raz w miesiącu przypilnować dziecka. Żebyśmy, na przykład, mogli gdzieś wyjść razem. Gdyby chociaż sama korzystała z życia, ale nie... siedzi wiecznie zamknięta w czterech ścianach i nie wyściubia nosa z książek. – Z każdym wypowiedzianym zdaniem Kazimierz tracił nad sobą kontrolę. Mówił coraz głośniej.

– Uczy się – rzuciła Bronka.

Właśnie to najbardziej go bolało: potrafił pół godziny wyluszczać swoje pretensje, po czym ona kwitowała je jednym zdaniem. Wzniósł oczy do nieba.

– Tak – przyznał ironicznie. – Mam wrażenie, że jest jedyną osobą w Paryżu, która studiuje. Każdy ma czas na wszystko, tylko nie twoja siostra.

Bronka zatrzymała się i odwróciła ku niemu tak gwałtownie, że niemal się z nią zderzył. Przyznał w duchu, że wygląda... pysznie.

– Czego od niej chcesz? – wycedziła powoli.

Każdy w domu wiedział, że jeśli pani Dłuska zaczyna mówić, niezdolnie przeciągając sylaby, należy zmienić temat, a najlepiej zejść jej z oczu.

– Niczego nie chcę, moja droga – powiedział więc ugodowo. – Życzę sobie tylko, aby moja żona... która także ma akademickie wykształcenie... ciężko harująca w gabinecie lekarskim... nierzadko wyłącznie za dobre słowo... dbająca o dom i dziecko, nie musiała nadskakiwać zarozumiałej, upartej pannicy.

Małżonkowie nie zauważyli Marii, która pojawiła się na progu salonu i zszokowana wpatrywała się w Kazimierza.

– Nie mów o niej w ten sposób – zachnęła się Bronka.

– Z całym szacunkiem, Bronisławo – Kazik skorzystał z kodu językowego siostr – twoja cudowna Marysia jest zarozumiała i rozpuszczona. Wszyscy się nad nią trzęsiecie. Spełniasz każde jej życzenie, a ona nie jest łaskawa nawet wyjść ze swojego pokoju, kiedy przyjmujemy gości. Wiesz dlaczego? Ponieważ jest nieużyta i dzika, tak wygląda prawda! Otóż zrozum wreszcie, że w niczym nie jesteś od niej gorsza. Te wasze rodzinne bajki o tym, jak to górowała intelektualnie nad tobą i resztą rodzeństwa, są po prostu śmieszne i żalotne.

Bronisława dostrzegła czerwoną jak burak Marię i pomyślała, że sytuacja ją przerasta. Czowała, że za moment rozpęta się piekło.

– Wiesz, dlaczego nie wychodzę wieczorami ze swojego pokoju? – zapytała Maria z godnością. Oczy miała pełne łez. – Bo bez przerwy paplesz, Kazimierzu. Albo bębnisz na pianinie. – Starannie wypowiadała każde słowo, nadludzkim wysiłkiem panując nad nerwami. Była w brzydkim, spranym szlafroku, który nosiła po domu. Celowo uraziła szwagra, nazywając jego grę bębnieniem. – Usta ci się nie zamykają – kontynuowała coraz szybciej. – Trajkoczesz jak najęty. Każdy by miał dość. Twoi goście przychodzą i wychodzą, a ja słucham cię całymi dniami. Gadasz, ciągle gadasz... bez opamiętania.

– Po to między innymi – przerwał jej podniesionym głosem – żebyś ty miała lepiej, panno Skłodowska. Wyobraź sobie, że ktoś musi zadbać o układy z ludźmi, aby takie panny jak ty mogły się poświęcić nauce. – Chciał pokazać przemądrzałej szwagierce, że jest mężczyzną kulturalnym i opanowanym, ale nerwy wzięły górę.

– Nie musisz robić mi łaski, drogi Kazimierzu. – Maria podjęła rękawicę, gotowa wygrać kolejny pojedynek. Zawsze wygrywała. Cokolwiek mówiła, jej słowa były przemyślane; całymi nocami zastanawiała się nad wszystkim... w samotności... nad książkami. Dotarło do niej, że chyba się przecenia. – Bawisz się w socjalistę, podczas gdy tak naprawdę jesteś po prostu rozpieszczonym arystokratą ducha, który wie, że prędzej czy później dostaną mu się pieniądze rodziców i będzie za nie żył jak pączek w maśle. Jaki z ciebie polityczny emigrant? – uderzyła w najczulszy punkt Kazimierza. – Nikt na ciebie nie poluje. Ciągle słyszę o Karolu Marksie, z którym miałaś się skontaktować. Podejrzewam, że to identyczna bajka jak...

– Maniu, co cię opętało?! – Krzyk Bronki wyrwał Marię z transu. Teraz to ona wyszła na nerwową, przewrażliwioną... zrzędlivą...

Czowała, że siostra ją potępia, że podziela opinię męża, ma pretensję o lenistwo, o to, że Maria całymi dniami siedzi zamknięta w pokoju albo jej nie ma, bo wyszła na zajęcia czy do czytelnicy. Rozumiała Bronkę, ale nie umiała żyć inaczej – była zachwycona studiami, oszalała na ich punkcie, czuła się tak, jakby ktoś ją przeniósł w krainę czarów.

Wybiegła z płaczem do swojego pokoju. Chwilę później weszła tam Bronisława. Nie była ciepłą, kochaną siostrą. Przyglądała się jej lodowatym wzrokiem.

– Dlaczego stawiasz mnie w podobnej sytuacji? – spytała z wyrzutem, odgarniając włosy z czoła.

Jej również zbierało się na płacz. Padała ze zmęczenia. Helenka budziła się nocami, domagając się karmienia. Rankiem Kazimierz czekał na śniadanie. Wszyscy się spodziewali, że w południe poda obiad, że mieszkanie będzie czyste i schludne, a goście urzeczeni dowcipem i pogodą ducha pani domu.

– Co mam teraz zrobić? Dokonać jakiegoś koszmarnego wyboru pomiędzy tobą a Kazimierzem? Co to miało być, na Boga?

Maria szlochała, wzbudzając w Bronisławie jeszcze większy gniew. Oto rozwiązanie każdego problemu – łzy i zamykanie się w pokoju!

– Jestem przemęczona – chlipała Maria – niewyspana. Mam braki, ledwie rozumiem, co mówią profesorowie. Boję się, że z moich studiów nic nie wyjdzie i że wtedy... zapadnę się ze wstydu pod ziemię. Muszę się stąd wyprowadzić. Droga na uczelnię jest za długa. Marnuję czas na dojazdy. Omnibusy jeżdżą wolno. Do tego muszę się przesiadać. Wciąż mam katar, bo jeżdżę w części odkrytej, żeby było taniej, a i tak wydaję na bilety majątek.

Bronka rozumiała siostrę. Kilka lat wstecz czuła to samo: nadrabiała zaległości we francuskim, w chemii... Było ciężko. Wiedziała już, że to mija i nie warto tak się szamotać. Trzeba tylko stanowczości i systematycznej pracy. Wiedziała też, że siostra nie mówi wszystkiego i że to, co skrywa, nie jest niczym miłym. Ona sama, jadąc do Paryża, spodziewała się zobaczyć raj. Sądziła, że jedynym problemem będą pieniądze i ciężka nauka. Okazało się, że nikt nie przyjął jej z otwartymi ramionami. Była dziwadłem, gorszym gatunkiem człowieka... gorszym nawet od większości kobiet, którym wystarczało ciepło domowego ogniska. Spotkała się z ostracyzmem, kompletnym brakiem zrozumienia. W niektórych kręgach uważano ją za równą artystkom i prostytutkom. Rozumiała Marię, problem w tym, że chciała odpoczynku i spokoju.

– Maniu, błagam cię – szepnęła. – Źle mnie zrozumiałaś.

Maria szczękała zębami, wpatrując się w jeden punkt na ścianie. Bronka przypomniała sobie niedawne żarty siostry z samobójstwa. Słowo żarty nie było właściwe. Mania mówiła o samobójstwie i myślała o nim. Czy poważnie, tego Bronka nie wiedziała, ale była bardzo zaniepokojona.

– Muszę znaleźć lokum, w którym nikt i nic nie będzie mnie dekoncentrować – jękała się Marysia. Przestała płakać. Siedziała na łóżku z podkurczonymi nogami, kołysząc się w przód i w tył. – Nie potrafię się tu skupić, nie potrafię, Broniu. Ciągle nasłuchuję jednym uchem...

– Za dużo pracujesz – przerwała Bronisława ostro. – Wpadasz w jakąś obsesję.

– Nie wpadam w obsesję! Chcę być najlepsza, rozumiesz?! Tylko wtedy będą się ze mną liczyć.

Bronka nie miała sił, by wyznać siostrze prawdę, ostrzec, że to się nigdy nie stanie. Nikt nie będzie się z nią liczył – w każdym razie nie świat mężczyzn. Może niektórzy... może czasem... w sprzyjających okolicznościach. Przypomniała sobie kilka młodych matek, których ciężę prowadziła. Nagrodą za lata harówki były ich wizyty po porodzie, szczęście w oczach, nieporadne słowa, którymi próbowały wyrazić wdzięczność za bezpłatną opiekę lekarską, za to, że nie czuły się

upokorzone wzrokiem lekarza mężczyzny.

– Kiedy wrócę do Polski – tłumaczyła Maria, nie wiedząc, jakie są realia – jako doskonały fizyk i matematyk... przydam się... w jakimś charakterze. Będę potrzebna...

– Skąd weźmiesz pieniądze na wynajem pokoju? – przerwała jej Bronisława. Nie znosiła bujania w obłokach, uznawała jednak, chociaż w części, racje Marii.

Maria zatrzepotała powiekami. Jej dłonie uniosły się i opadły na kolana. Spodziewała się oporu, stanowczego sprzeciwu siostry. Nie była gotowa na wypowiedzianą odpowiedź. Szukała naprędce odpowiedzi.

– Zaoszczędzę na dojazdach.

– Gdzie znajdziesz współlokatorki?

– Muszę mieszkać sama.

– Jezu Chryste! – oburzyła się Bronka. – Chyba nie mówisz poważnie? Żadna szanująca się kobieta nie mieszka sama! Nie w Paryżu! – Pani Dłuska wyobraziła sobie, że nowi sąsiedzi natychmiast wykorzystają bezbronność Marii. Ta myśl była nieznośna. – Masz pojęcie, kto będzie twoim sąsiadem? W najlepszym razie studiujący mężczyźni. Wezmą cię za... kobietę lekkich obyczajów. – Zmusiła się do wypowiedzenia tych strasznych słów.

– Maniu... – usłyszały Kazimierza. Stał w drzwiach z łagodnym uśmiechem. Żałował sprzeczki ze szwagierką przede wszystkim ze względu na żonę. Był wybuchowy, ale gniew mu szybko mijał. – Nie unoś się honorem. Przykro mi, żeśmy się posprzecziali. Bardzo cię przepraszam, naprawdę żałuję – kajał się.

Bronka słuchała go, wpatrzona w jasną narzutę, którą przykryte było łóżko siostry. Doceniała to, że mąż potrafi przyznać się do błędu. Kazimierz – energiczny chudzielec, który przesłonił jej świat. Wciąż jeszcze była zdumiona, jak bardzo był jej bliski. Bardziej niż rodzeństwo, bardziej...

– Ja nie dlatego, że się obraziłam, Kaziu – doszedł ją spokojny głos Marii. – Po prostu muszę się wynieść. Prowadzicie dom otwarty, a ja chcę być naukowcem.

Kazimierz podszedł i usiadł przy niej. Położył dłoń na drobnej ręce Marii.

– Nie powinnaś się odrywać od realnego świata. Bronka ma rację. Wieczorami nie wyjdiesz przecież sama z domu. Kobieta nie powinna mieszkać sama. Zepsujesz sobie opinię.

– Codziennie wracam późno z biblioteki. Sama – przypomniała Maria.

– Co wcale nie jest bezpieczne, wiele razy ci to powtarzałem – rzekł z niechęcią.

Poklepał Marię po dłoni i wstał. Wyjrzał przez okno. Mieszkali w dzielnicy robotniczej, ponieważ żyło się tu taniej. Czasem miał do siebie pretensję, że nie dał Broni tego, na co zasługiwała. Była dzielna, skoro związała się z biednym emigrantem.

– To postanowione – oświadczyła Maria, sama zaskoczona tym, co mówi. –

Już od jakiegoś czasu nosiłam się z zamiarem powiedzenia wam o tym – dodała, widząc ich zmieszane miny.

Dłuscy nie uwierzyli jej. Bronisława westchnęła. Z ulgą czy ze smutkiem?

– Co ja powiem ojcu? – szepnęła. – Zabije nas, jeżeli cię puścimy.

– Skłamiemy? – wyrwało się Marii, a siostra nie zaprotestowała. –

Poinformujemy go za jakiś czas.

Jak zwykle po podjęciu ważnej decyzji bez należytego przemyślenia, co zdarzało się nierzadko, Maria nie mogła zasnąć. Ślęczała nad podręcznikiem do fizyki, w końcu jednak zdała sobie sprawę, że niewiele zapamiętuje. Myśli wciąż ulatywały ku jutrzejszym poszukiwaniom odpowiedniego lokum. Powinna zamieszkać w Dzielnicy Łacińskiej, by oszczędzić na kosztach dojazdu na uczelnię. Ponieważ rozważania o przyszłym mieszkaniu były jałowe, Maria próbowała zająć się rozwiązywaniem zadań matematycznych, lecz i one, choć zwykle pomagały w skoncentrowaniu się, nie pozwoliły jej się wyciszyć. Chodziła po pokoju na bosaka, w kompletnych ciemnościach, by nikogo nie obudzić. Im dłużej tłumaczyła sobie, że Bronka nie zaakceptowała jej planu, lecz wyłącznie przyjęła do wiadomości decyzję, tym większy czuła do niej żal. Owszem, znalezienie samodzielnego mieszkania było świetnym pomysłem, Maria jednak nigdy w życiu... za żadne skarby... za nic w świecie nie pozwoliłaby młodszemu rodzeństwu na wyprowadzkę. Kazimierz miał fatalny wpływ na żonę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Paryż, 14 listopada 1911

Paul Langevin przebiega ruchliwą aleję, potrącając sprzedawcę zapalek. Jest przyzwyczajony do tego, że ulice pełne są konnych zaprzęgów, aut i ludzi, niemniej jednak tego wieczoru ich liczba go przeraża. Czuje rosnącą irytację, gdyż kataryniarze, sprzedawcy słodyczy, lasek i króliczych skórek – tych akurat zdołał wyłowić z tłumu – przeszkadzają mu myśleć. Otoczony nawoływaniem, uliczną wrzawą i niemiłosiernym piskiem hamulców nie jest w stanie podjąć decyzji, dokąd wracać na noc – do laboratorium czy do wynajętego mieszkania – nie mówiąc już o rozwiązaniu któregośkolwiek z małżeńskich problemów. Korek na Champs-Élysées napelnia go odrazą. O tej porze miasto powinno szykować się do snu. Paryż najwyraźniej o tym nie wie.

Młoda elegancko ubrana kobieta, wsiadająca do powozu, rzuca mu zalotne spojrzenie. Paul uśmiecha się. Jego przystojna twarz pogodnieje, zaciśnięte dłonie się otwierają. Chwilę później zapomina o ślicznotce. Przytłaczają go codzienne sprawy.

Odkąd się wydało, że romansuje z Marią, życie zamieniło się w koszmar. Zrozumiał znaczenie ludowej mądrości, która głosi, że dwie kobiety każdego potrafią doprowadzić do szaleństwa. Kocham żonę i kochankę chyba dlatego, że są tak do siebie podobne, zżyma się w duchu, albowiem obie doprowadzają go niemal do obłądu. Jeanne żąda, by się zmienił, co jest irracjonalne i śmieszne. Maria chce, by rzucił Jeanne i na stałe się z nią związał, a on przecież nie może. Potępiono by go za skrzywdzenie czwórki dzieci. Tak brzmi wersja oficjalna. Prawda jest taka, że Paul nie umie podjąć decyzji. Kocha obie kobiety. Dotąd odpowiadały mu krótkie skoki w bok, po których grzecznie wracał do domu. Obecny romans wiezie go, niestety, na manowce. Kochanka chce wyłączności. Maria – melancholijna, chorobliwie pracowita i zaborcza. Zbyt inteligentna na tanie gierki, jakie Paul stosował zawsze wobec kobiet. Zresztą jest w niej coś szczególnego; coś, co każe mu być szczerym.

Maria zachwyca subtelnością, wrażliwością, wielkim sercem i miłością do świata. Nigdy nie wierzył w cierpienie za miliony. Ani w życie dla ludzkości. Dopiero Maria mu uświadomiła, że to możliwe. Kobieta nie zastanawia się nad sensem swojej pracy ani celem życia. To zajęcie dla filozofów. Maria jest fizykiem, a fizyk szuka sposobu na poprawę doli człowieka. Chce, by świat był bardziej przyjazny. Często wspomina swoją nieistniejącą ojczyznę i Warszawę, gdzie się urodziła. Twierdzi, że wróci tam, gdy już będzie uznanym autorytetem. Pomoc Polakom uważa za swój obowiązek. Paul nieraz się zastanawiał, jak mogłaby

pomóc i dlaczego właściwie jej rodacy potrzebują pomocy. Bo chyba Maria nie myśli, że dzięki niej odzyskają wolność? Rozmowy z nią na ten temat są trudne, gdyż, jak twierdzi, obywatel wolnego kraju nigdy nie pojmie narodu ciemzonego przez obce mocarstwa. Możliwe, że ma rację. Langevin nie rozumie prostszych spraw; na przykład tego, co dla Marii znaczy być autorytetem. Jeśli nie wystarczają do tego dwie Nagrody Nobla i katedra na Sorbonie – a nie wystarczają, skoro Maria ciągle mieszka w Paryżu, zamiast wrócić do Warszawy – Paul nie ma pojęcia, co byłoby potwierdzeniem jej pozycji zawodowej.

Mężczyzna kręci gniewnie głową. Decyduje się odwiedzić żonę, choć perspektywa awantury nie nastraja optymistycznie. Dłonie znów zaciskają się bezwiednie. Paul przygryza wargę, kolejny raz zastanawiając się, czy byłby w stanie stworzyć z Marią trwałą związek. Wyobraża sobie, ile przyzwyczajęń musiałby zmienić, ilu ludziom tłumaczyć, co się stało, i przechodzi go dreszcz. A finanse? Kompletnie by się załamały. Zarabia tyle, by utrzymać rodzinę. Dwie rodziny to zbyt wiele.

Otwiera furtkę i wchodzi na teren posesji. Jest mu bliższa od reszty świata. Przekraczając jej granicę, zawsze czuje ulgę. Wita go urzekająca cisza. Owszem, w tle wciąż słychać odgłosy miasta, niemniej jednak tu, pomiędzy starymi drzewami ogrodu, zdają się niewinnym szumem. Paul wdycha zapach roślin szykujących się do zimowego snu i wbiega na schodki prowadzące do kuchni.

Jest czujny i gotowy do obrony. Służąca, widząc go, ucieka do spiżarni. Mężczyzna pewnie kroczy przez kolejne pokoje. Żona jest w salonie. Siedzi nad robótką. Już zapomniał, jaka jest ładna, krągła, elegancka. Kiedy o tym myśli, ona pochyla głowę i odkłada tamborek. Blask lampy gazowej rozjaśnia jej twarz.

Paul spodziewał się ataku, a nie doczekawszy się go, stracił werwę; nie wie, co dalej. W końcu siada w jednym z posagowych foteli Jeanne.

– Coś ty narobiła? – pyta cicho, niemal żałośnie. – Dlaczego, Jeanne? Czym ci zawiniła?

Żona podnosi głowę. Jej oczy są teraz w cieniu, mimo to widać, że napełniają się łzami. Paul nie znosi płaczu.

– Nie kochasz dzieci – stwierdza Jeanne, nie odpowiadając na pytanie męża. – Jak mam im powiedzieć, że chcesz odejść i założyć nową rodzinę?

Zmieniła temat; zawsze stawia na swoim. Paul ciężko wzdycha.

– To nieprawda. Mącisz im w głowach, nastawiasz je przeciwko mnie.

Jeanne gwałtownie wstaje. Jest wzburzona, wciąż jednak panuje nad emocjami.

– Chcesz mnie rzucić ludziom na pożarcie.

Paul wie, że jeśli ją zostawi, tak właśnie będzie i chyba dlatego czuje się niczym złodziej przyłapany na gorącym uczynku. Nie lubi słuchać przykrew prawdy.

– Bzdura – mówi twardo.

Usta żony drżą. Kobieta przypomina przerażone dziecko. Chciałby ją ukarać, ale czuje rozrzewnienie. Zna każdy skrawek jej ciała, każdą myśl.

– Zastanowiłeś się, co ze mną będzie? – pyta Jeanne.

– Co ma być?

Paul wpatruje się w tarczę zegara kominkowego projektu Charles'a Boullé'a; na cyferblacie są wielkie rzymskie cyfry w granatowym kolorze. Jest dwudziesta trzydzieści. Lada moment odezwie się gong.

– Nie udawaj, Paul.

Jeanne przechadza się po salonie, prezentując swe krągłości. Paul przełyka ślinę. Od dwóch tygodni nie tknął kobiety. To nie powód do cierpienia, niemniej jednak zmysły są wyostrome. Jakkolwiek wyglądało jego życie z Jeanne, w łóżku rozumieli się bez słów.

– Kiedy małżeństwo się rozpada, o wszystko obwinia się kobietę – stwierdza Jeanne i oboje wiedzą, że ma rację.

Paul nie zaprzecza. Nudzi go mówienie w kółko o tym samym. Utknął pomiędzy dwiema pozytywkami i nie może się wydostać. Jeanne i Maria. Dwie melodie. Od świtu po noc; do znudzenia i obłędu.

– Zostanę sama bez środków do życia.

– Nie mów tak – przerywa z irytacją, urażony jej sugestią. – Nigdy bym cię nie zostawił bez zabezpieczenia.

– Zostawisz mnie na zawsze, to wystarczy – wyznaje szczerze Jeanne. – Byłam pewna, że to tylko nieporozumienia, że wrócimy do siebie... minie złość i...

– Od dawna nam się nie układa.

Tyle razy odgrywali już ten spektakl, że mężczyzna czuje się znużony. Nie obchodzi go prawda.

– Kocham cię, Paul.

Langevin przypomina sobie ostrzeżenia Marii, że żona zechce grać na najwrażliwszych strunach jego duszy. Wraca pamięcią do ostatniej samotności z Jeanne i jej matką, w wyniku której dostał w głowę metalowym krzesłem, do wyzwisk, jakimi obie go obrzucały. To wystarcza, żeby pozbyć się wyrzutów sumienia.

– Cokolwiek kiedykolwiek robiłam – tłumaczy żona, jakby czytała w jego myślach – powodowane było zazdrością. Przecież zależy mi na tobie.

Paul przemyślał ich wspólne życie. Maria przekonała go, że nie ma sensu ciągnąć piekła w nieskończoność. U jej boku znów usłyszał ciszę. Delektował się nią, smakował każdą chwilę normalności.

– Tak się nie da żyć – stwierdza stanowczo. – Nie wracajmy do przeszłości.

Jeanne podchodzi i przywiera do niego całym ciałem, kładzie mu głowę na

ramieniu.

– Zmienię się, Paul – szepce, a jej usta dotykają jego szyi.

– Jeanne... nie jestem z kamienia – błaga Paul, czyniąc nieskuteczne próby wyswobodzenia się z jej ramion.

Kobieta całuje go w usta, triumfując w głębi duszy, gdyż mąż odwzajemnia pocałunki – niechętnie, ale odwzajemnia. Pragnie jej, chciałby pchnąć ją na kanapę, zapomnieć o niesnaskach, upić się kolejny raz – aksamitem ciała, namiętnością, mocnym uściskiem ud, pieśczołą warg.

– Nie potrafię żyć w ten sposób... góra, dół. – Paul zdobywa się na wysiłek i odtrąca Jeanne. Jest rozpalony. Pożąda jej jak nigdy dotąd.

Dom śpi; wydaje się, że wszystko wokół zamarło w oczekiwaniu.

– Kocham cię – jęczy Jeanne.

Przysiada na sofie, kryje twarz w dłoniach, przyglądając się mężowi zza skrzyżowanych palców. Prowadzi grę, chce go odzyskać, lecz oprócz pragnienia postawienia na swoim ona również czuje pożądanie. Nie spał z nią od miesiący.

– Nie rozumiesz mojej pracy – oświadcza Paul.

Istotnie, jest to główny powód ich małżeńskich kłopotów. Paul nie umie żyć bez nauki, podczas gdy Jeanne nią gardzi, jak każdym zajęciem, które nie obraca się w gotówkę.

– Jestem zazdrosna, bo cię fascynuje – wyznaje szczerze, ujmując tym męża.

– Zazdrosna? – dziwi się Paul. – O to, że wykładam fizykę? – Ma wrażenie, że niespodziewanie po gwałtownej burzy dotarł do przystani, znalazł odpowiedź na dręczące go pytanie.

– Zazdrosna o to, że kochasz swoją pracę... bardziej niż mnie.

– Nigdy nie dawałem ci powodu...

– Matka twierdzi, że mężczyźni nie wypada uczyć w szkole – zaczyna sprytnie Jeanne, zrzucając z siebie ciężar winy – że bylibyśmy szczęśliwsi, gdybyś pracował na swoim.

Paul przygląda się żonie. Zawsze był gotowy do rozmowy. Zachwyca go jej metamorfoza i wnikliwość. Wypowiada przeciw jego myśli. Winna jest matka. Nikt inny.

– Nie potrafię się zmienić, Jeanne.

Kobieta czuje ból, patrząc na przystojną twarz męża. Boi się takich chwil. Jest gotowa wybaczyć, byle tylko pozwolił jej z sobą być, całować swoje usta, umięśnione ramiona, silne uda. Wie, że zrobi wszystko, by ją posiadał – teraz. Nie może czekać.

– Wiedziałyście, kim jestem, kiedy za mnie wychodziłaś.

– Masz rację, Paul – przyznaje, rozpalona trawiącym ją pragnieniem. – We wszystkim masz stuprocentową rację – szepce gorączkowo. – Ale zrozum... gdy mi doniesiono... że ona również pojechała na tę konferencję...

– Nie wyjechałem z nią ani dla niej! – Paul jest wściekły bardziej na siebie niż na żonę. – Ta konferencja była zaplanowana przed wieloma miesiącami.

– Wpadłam w rozpacz, trudno się było ze mną porozumieć – wyjawia Jeanne. – Matka miała sprzeczne informacje. Dlatego udzieliła im wywiadu.

– Nie mówmy o tym. Chciałbym zabrać z domu parę rzeczy.

Paul jest gotowy do ucieczki. Zdaje sobie sprawę, że jeszcze chwila i zdradzi Marię, a że nic się przed nią nie ukryje, unika tego jak ognia. Zaciska zęby, odwracając myśli od napięcia, jakie czuje w łądźwiach.

– Kiedy wyobraziłam sobie, że odejdziesz na zawsze – kontynuuje żona, wsuwając dłoń pod szlafrok i błędząc nią po miękkich piersiach, co Paul rejestruje wzrokiem – że masz powód, żeby od nas odejść...

– Nie zadrażajmy się – wchodzi jej w słowo.

Ciałem Jeanne wstrząsa dreszcz. Kobieta płacze. Paul przytula ją, bezradny. Kładzie dłoń na jej piersi.

– Nie wyszło nam – mówi cicho. Zanurza twarz we włosach żony, półprzytomny wdycha jej zapach. Gdyby go teraz zapytać, o czym mówi, nie wiedziałby. – Tak bywa.

– Żeby można było cofnąć czas...

– Nikt z nas tego nie potrafi. Nie... Jeanne... proszę... – Rozpływa się pod dotykiem jej dłoni. – Powinienem iść.

– Tęskniłam za tobą. – Kobieta rozchyła szlafrok.

Spomiędzy zaciśniętych ust Paula wydobywa się stłumiony jęk. Nie umie jej odtrącić. Westchnienia Jeanne doprowadzają go do szaleństwa. Ma ją wreszcie pod sobą – uległą jak zawsze, chętną jak zawsze, spragnioną i gorącą. Nikt nie robi tego z taką pasją. Paul kołysze się coraz gwałtowniej... szybciej... z coraz większym zapamiętaniem. Nie widzi żony. Przeszywająca rozkosz oślepia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Paryż, 24 stycznia 1893

Kazimierz Dłuski sięgnął po dzbanek z wodą zaprawioną miętą. Bronia dbała, by się nie odwodnił.

Nie miał ochoty na wizytę u Marii, ale obiecał żonie, że wpadnie do nowego gniazdka szwagierki na szóstym piętrze, więc rozmyślanie, co by zrobił w czasie, który zmarnuje na jazdę do Dzielnicy Łacińskiej, nie miało sensu. Poinformował służącą, że wychodzi, szybko się ubrał i wybiegł na ulicę. Czasem po wielogodzinnej pracy w gabinecie czuł potrzebę ruchu.

Dzień był zachwycający; na niebie ani jednej chmurki, lekki wiatr, silny mróz, humor Kazimierzowi dopisywał – problemy ostatnich miesięcy właściwie same się rozwiązywały jeden po drugim.

Skręcił w boczną uliczkę, przy której znajdowała się mała cukiernia, gdzie sprzedawano ulubioną czekoladę Marii. Pomyślał, że prezent i umiarkowanie gorliwe przeprosiny to doskonały pomysł. Maria wciąż boczyła się na niego, czas to chyba skończyć.

Kazimierz kochał Paryż z jego oszalamiającym pędem. Nie wyobrażał sobie życia gdzie indziej, milczał więc najczęściej, kiedy żona snuła plany przeniesienia się do Warszawy. Ostatnio nie to jednak było jego zmartwieniem. Nie własna przyszłość. Martwił się o Marię. Miał wyrzuty sumienia. Wyprowadziła się od nich, a odnosił wrażenie, że nie była przygotowana do samodzielnego zamieszkania. Ogarniał go irracjonalny lęk, że ktoś się do niej włamie, okradnie ją lub skrzywdzi. Budził się w środku nocy i zamartwiał o nią. A ona marniała w oczach. Gdy mieszkała z nimi, Bronka znajdowała sposób, żeby wcisnąć w nią choć talerz zupy, teraz Maria sama gospodarowała czasem i pieniędzmi, obawiał się więc, że jedzenie nie było jej priorytetem. Żyła nauką.

Kazimierz Dłuski postanowił raz na zawsze skończyć głupie waśnie i poważnie porozmawiać z Marią o powrocie do ich mieszkania. Zadowolony z siebie, wspiął się na szóste piętro taniej kamienicy czynszowej i zapukał do drzwi. Nie doczekawszy się odpowiedzi ani najmniejszego szmeru, świadczącego o tym, że wewnątrz ktoś jest, użył zapasowego klucza, który dzień wcześniej wręczyła mu Bronka. Wszedł do środka i zobaczył, że na łóżku ktoś leży.

– Maria? – spytał z niepokojem. – Jesteś chora?

Pod grubą warstwą ubrań na kołdrze coś się poruszyło.

– Źle się czuję.

Kazimierz gniewnym ruchem rozsunał zasłony. Pokój wypełnił się światłem. Maria leżała w łóżku przykryta wszystkim, co się do tego nadawało. Nic dziwnego,

bo wewnątrz panowało takie zimno, że czuł je nawet przez swój ocieplony płaszcz. Niefrasobliwość szwagierki doprowadziła go do furii.

– Masz co jeść? – rzucił ze złością. – Może zrobić zakupy?

– Mam, niczego mi nie trzeba. Dziękuję – odezwała się po chwili.

Rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Postanowił zaparzyć herbatę, zmusić Marię do przełknięcia czegoś – bezwzględnie, gotów był się o to bić.

– Gdzie trzymasz żywność?

Kącik kuchenny świecił pustkami, sięgnął więc po opał. Ręka zawisła w powietrzu.

– Nie mów mi, że nie masz brykietów.

– Naprawdę niepotrzebnie się fatygowałeś.

Maria uniosła się na łóżku i niemal natychmiast opadła na wznak. Kręciło jej się w głowie. Kazimierz dostrzegł chorobliwe cienie pod oczami szwagierki. Z zapadniętymi policzkami wyglądała przerażająco. Zdenerwował się tak, że potrącił stół, który z hukiem uderzył o łóżko.

Pokój wyglądał obskurnie, jakby dopiero co go wynajęła.

– Masz tylko to? – wybuchnął, rzuciwszy na kołdrę zawiniątko z herbatą. Myszkował po kątach, czując, że za moment całkiem straci panowanie nad sobą. – Chyba zwariowałaś. Ty... niepoczytalna jesteś... trzeba cię leczyć... i odseparować...

– Niczego tu nie ruszaj – protestowała słabo. – I niczego mi nie przynoś.

Słyszając płacz szwagierki, Kazimierz usiadł bezradnie na brzegu łóżka, bo stół leżał wywrócony, a innych mebli do siedzenia nie było. Zmarzniętą dłonią przetarł twarz. Dalibóg, nie wiedział, co robić. Maria oszalała! Postanowiła zagłodzić się na śmierć. Albo zamarznąć. Jej twarz była rozpalona, włosy wilgotne, usta spierzchnięte, wzrok półprzytomny. Pewnie miała gorączkę. Mimo że był lekarzem z kilkuletnią praktyką, zastanawiał się, od czego zacząć badanie. Czy w ogóle powinien ją badać?

– Dlaczego nam to robisz? – jęknął, czując bezsilną wściekłość. – Wciąż się gniewasz?

Nie powinien jej denerwować, ponieważ nie wiedział, w jakim jest stanie. Gdyby Marii cokolwiek się stało w jego obecności, Bronka nigdy by mu tego nie wybaczyła. A nawet abstrahując od reakcji żony, nie miał prawa dręczyć półprzytomnej, osłabionej głodem, na wpół zamarzniętej kobiety! Zwariowała. Czuł gniew i wzruszenie jednocześnie.

Maria bezwiednie wysunęła rękę spod kołdry. Ujął ją w dłonie; była gorąca i wilgotna.

– Wiesz, że cokolwiek przykrego ci powiedziałem, zrobiłem to pod wpływem emocji – mrucał, głaszcząc tę rozpaloną dłoń. – Wcale tak nie myślę.

Nigdy tak nie myślę. Wybacz mi, Marysiu. – Wziął ją w ramiona. – Co ci jest?

Ciałem Marii wstrząsały drgawki. Przyłożył dłoń do jej czoła. Krew mu uderzyła do głowy.

– Boże najdroższy – rzekł gardłowo. – Ubieraj się, czekam na dole, słyszysz? Ubieraj się natychmiast i jedziemy do nas.

– Nie powinnam wychodzić. Źle się czuję – zaprotestowała słabo.
– Dziewczyno! – krzyknął ochrypłym głosem, zrywając się na równe nogi. – Umrzesz z głodu! Nie masz tu nic do jedzenia. Założę się, że nie dlatego, iż nie mogłaś wyjść na zakupy. Brakuje ci pieniędzy. Zamiast przyjechać do nas... Jesteś nieodpowiedzialna – skwitował, siląc się na spokój. – Proszę cię, Marysiu. Nie chcesz chyba, żeby Bronka mnie zabiła. Czekam na dole. Czy zostać i pomóc ci się ubrać?

Maria przeszła go wzrokiem. Mimo woli się uśmiechnął. Zszedł na dół, zastanawiając się nad stanem szwagierki. Miał nadzieję, że to nie zapalenie płuc. Na sąsiedniej ulicy znalazł wolną dorożkę. Kilka minut później czekał w niej przed wejściem do kamienicy.

Dorożkarz rozgadał się na temat niestosownych studenckich żartów i tego, że późno w nocy Dzielnica Łacińska rozbrzmiewa odgłosami pijackich libacji. Kazimierz nie reagował na jego barwne opowieści. W drzwiach kamienicy pojawiła się Maria. Pomógł jej wsiąść do dorożki. Szwagierka wyglądała nieco lepiej, w każdym razie jej skóra przestała przypominać skórę, jaką widywał u zmarłych. Wzdrygnął się na samą myśl, że kobieta mogła umrzeć.

– Jestem zły – zaczął, ledwie się usadowili i dorożka ruszyła ulicami – że zamiast nas zawiadomić... poprosić, żebyśmy ci przynieśli coś do jedzenia... Przecież wiemy, że cię na niewiele stać – zachnął się, mając wrażenie, że Maria wcale go nie słucha. – Tak nie może być. Twój ojciec do mnie będzie miał pretensję. No i słusznie! Przynajmniej stołuj się u nas, jeśli musisz mieszkać sama!

Maria opatulila się starym płaszczem, ale to niewiele dało, bo był podszyty wiatrem. Trzęsła się tak, że Kazimierz otoczył ją ramieniem i przytulił. Nie protestowała.

– Niczemu nie jesteście winni – tłumaczyła. – Nic się przecież nie stało. Chętnie bym wpadała do was na obiady, ale przecież całymi dniami ślęczę w czytelni.

– Co nie jest takie złe – burknął, cmoknąwszy ją we włosy – bo przynajmniej siedzisz w ciepłe. Wybacz, że jestem szorstki – rzekł, przypominając sobie o kłopotach finansowych, z którymi sam wciąż się zmagał. – Czekam na pieniądze od rodziców, tymczasem chodzą słuchy, że pada bank za bankiem. Krach w Londynie. Bank Anglii wystąpił do Francji o pożyczkę, ludzie stają się nerwowi, podejmują gotówkę...

– To nielogiczne – zauważyła Maria. – Jeśli wszyscy będą wycofywać

pieniądze, doprowadzą bank...

– Tak, zgadza się, Marysiu – przerwał ostro, na moment zapominając, że nie powinna się denerwować – tylko ilu opanowało matematykę na twoim poziomie?

– Nie wystarczy umiejętność dodawania i odejmowania?

– Potrzebne jest logiczne myślenie, a z tym zawsze krucho – uciął Kazimierz, nawykły do tego, że panny Skłodowskie są przemądrzałe.

Najgorzej, gdy zbierały się wszystkie. Przypomniawszy sobie wakacje sprzed roku, kiedy to w Paryżu do Bronki i Marii dołączyła ich siostra Helena. Całymi wieczorami wysłuchiwał ich rozważań, które w skrócie nazywał szukaniem sposobów na zbawienie świata. Uśmiechnął się mimo woli. Cokolwiek by mówił na ich temat, kochał te rozszczebiotane, zwariowane idealistki.

– Długo chorujesz?

Pytanie uświadomiło mu, że on i Bronka są pośrednio winni jej stanowi. Było im wygodnie myśleć, że Maria jest dorosłą kobietą, która odpowiada za siebie.

– Uczę się do egzaminów – skłamała. – Nie choruję. Dziś poczułam się gorzej.

– Co znaczy *uczę się*? – obruszył się Kazimierz. Nie umiała kłamać. Wystarczyło na nią spojrzeć i wszystko było jasne. – Całe życie nic innego nie robisz.

– Może się do tego nie nadaję? – zapytała szczerze. Zaszokowało go, że najwyraźniej wierzyła w to, co mówi. – Nauka ciężko mi idzie. Szlifuję francuski, żeby nie mówić jak wieśniaczka...

Mężczyzna parsknął śmiechem, słysząc jej wyznanie.

– Masz specyficzne poczucie humoru – skwitował. – Jak sobie radzi reszta ludzkości, jeśli tobie idzie ciężko? Kpisz ze mnie?

– Uczę się po kilkanaście godzin dziennie, mimo to wciąż piętrzą się stosy książek do zgłębienia. A mnie idzie coraz wolniej.

Obrócił się w jej stronę z pogodnym uśmiechem.

– Kobieto – przerwał, dając znak, żeby go wysłuchała – opamiętaj się. Nigdy nie przeczytasz wszystkiego. To niewykonalne.

– Dobrze ci mówić. Jeśli nie uzyskam licencji...

– Ależ to niemożliwe! – wyrwało mu się.

Wszystkie panny Skłodowskie były histeryczkami, skonstatował w duchu, jak również to, że ostatnio każdą obserwację kończy tym stwierdzeniem.

– Możliwe, Kazimierzu – odezwała się ze smutkiem. – Każdy chce mi udowodnić, że się do niczego nie nadaję.

– Mówisz głupstwa. Kogo masz na myśli?

Spojrzała w okno, wzdychając.

– Wiem, jak jest – mruknęła.

Często się zastanawiał, która z nich jest najładniejsza. Mimo podobieństwa

siostry różniły się diametralnie. Spoglądał w zamyśleniu na ładny profil Marii, wysuniętą brodę, zarys ust.

– Bronka też jest kobietą – zauważył – też wzbudzała kontrowersje, lecz mimo to...

– Bronka miała ciebie! – rzuciła Maria gwałtownie, jakby obwiniała go o swoją samotność.

Miły Boże, ilekroć ją zapraszał na wieczorek, podczas którego mogła kogoś poznać, odmawiała. Odmawiała tyle razy, że wreszcie on i Bronka przestali ją zapraszać. Kazimierz źle się czuł ze świadomością, że pozwolili Marii opuścić swoje życie i byli zadowoleni, że przejęła odpowiedzialność za siebie, która im ciążyła.

– A ja nie mam nic – usłyszał.

– No to znajdź sobie kogoś – zachnął się.

– Nie w tym rzecz.

– Zdasz – rzekł stanowczo, klepiąc ją po dłoni. – Uwierz szwag-rowi, który niejedno w życiu widział. Zdasz. Chyba że obleją wszystkich.

– Wiadomości mi się mieszają, jestem przerażona. Momentami nie potrafię sobie przypomnieć najprostszyc...

– To histeria – zapewnił z przekonaniem, nie dodając, że z ust Broni słyszał niegdyś takie same lamentsy. – Jesteś przemęczona.

– Jestem ciężarem.

– Oczywiście. – Kazimierz zaśmiał się, znowu obejmując szwagierkę ramieniem. – Strasznie nam uprzykrzasz życie.

– Bronia cię po mnie wysłała?

Cofnął ramię. Zapatrzył się na mijane kamienice, które raz po raz znikwały im z oczu, przesłaniane przez kolorowe reklamy na pojazdach.

– Bronia zajmuje się Helenką – rzekł po chwili – domem, mną i upierdliwymi pacjentami, a ja mam na głowie tylko ciebie.

Maria uśmiechnęła się i pomyślała, że Kazimierz potrafi być miły.

– Nie narzekam. Lubię, gdy się złościysz – dokończył.

– Tata nic nie pisał? – zmieniła temat.

Mężczyzna poprawił się na miejscu. Jego szczupła twarz przybrała marsowy wyraz. Pogodny nastrój, z jakim wyruszał do szwagierki, wolno ustępował świadomości, że liczba problemów, z jakimi się boryka, jest przytłaczająca, i że one same się nie rozwiązują, choć tak mu się wydawało.

– Oczywiście, że pisał. Zobowiązałem mnie, żebym o ciebie dbał, odpisałem więc, że nigdy, przenigdy mnie nie słuchasz i nie bardzo wiem, jak miałbym się stosować do tej prośby.

– Żartujesz, prawda?

– Nie – zaprzeczył. – Doniosłem, że się nie szanujesz i wyglądasz niczym

cień człowieka, że nie chcesz z nami mieszkać, brać od nas pieniędzy ani u nas jadać...

– Dlaczego go martwicie? – Rozgniewała się. Wyobrażała sobie, czego będzie musiała wysłuchać, kiedy spotka się z ojcem. Nie powinni jej dobijać, dręczyć... i szpiegować. – Teraz nie będzie spał spokojnie.

Kazimierz wzruszył ramionami, przelotnym spojrzeniem obrzucając jej suknię. Widywał wiele studentek. Połowa z nich cierpiała na chroniczny brak pieniędzy, żadna jednak nie nosiła równie lichej odzieży. Maria wolała książki od ubiorów. Była niepoprawna. Do spódnicy doszyła pas innego materiału, by zamaskować, że jej skraj się przetaił. Czy to postępowanie chwalebne, czy obsesja? Każde odstępstwo od normy wzbudzało w nim uzasadnioną podejrzliwość.

– W jaki sposób chcesz pomóc Polsce? – spytał ją tak poważnie, że nie mogła mu zarzucić drwiny. – Śmiechu warte – odpowiedział sam sobie chwilę później. – Rozumiem, że pragniesz zdobyć świetne wykształcenie, ale nie myl pracowitości z obłudą. Dziewczyno, wpadniesz w suchoty. Zbadam cię w domu, bo twój oddech mi się nie podoba. Jadzia cię odwiedza?

Tak nagle zmienił temat, że zastanawiała się przez chwilę, o kim mówi.

– Dydyńska?

Skinął głową, szykując się do wyjścia z dorożki. Gdy pojazd stanął, wyskoczył, zapłacił woźnicy, po czym wrócił do Marii i, nim się zorientowała, podniósł ją i postawił na ulicy. Pisnęła oszołomiona. Zakręciło jej się w głowie i runęła na ziemię. Złapał ją w ostatniej chwili.

– Oczywiście, że widuję Jadzię Dydyńską – szepnęła, odsapnąwszy moment. – Wczoraj mi przyniosła placek z owocami.

Spojrzał podejrzliwie, nie dowierzając szwagierce.

– Którym ją poczęstowałaś? – spytał. – W efekcie niewiele ci zostało?

Ujął Marię pod ramię i ruszyli ku wejściu do kamienicy.

– Jestem przygnębiona – szepnęła płaczliwie.

– Z jakiego powodu?

– Muszę wracać do Warszawy.

Powiedziawszy to, zaczęła płakać. Kazimierz wiedział, że ludzie z wysoką gorączką mają zmienne nastroje i bywają płaczliwi, nie przejął się więc.

– Co w tym złego? – rzekł, przyciskając do siebie ramię Marii, jakby mimo wszystko pragnął dodać jej otuchy.

– Miałam wielkie plany i na nich się skończyło – chlipała.

– Właściwie czemu z nich rezygnujesz?

Zadawszy pytanie, podniósł ją i ruszył po schodach. Szwagierka objęła go za szyję, szepcząc gorączkowo:

– Czuję się kompletnie bezradna. Nic ode mnie nie zależy. Marzyłam o tym, żeby po fizyce studiować matematykę. Tylko dlatego nie zastanawiałam się, którą

z tych dyscyplin wolę. Pojęcia nie masz, jak mi teraz ciężko. Jestem sfrustrowana, nie mam środków na dalszy pobyt w Paryżu. Los jest podły, wciąż mnie oszukuje. Nie tak miało być.

Dotarli do drzwi. Wniósł ją do salonu i posadził na kanapie.

– Kochanie! – krzyknął w głąb mieszkania. – Przywiozłem twoją nieobliczalną siostrę! Wstawiaj mięso do pieca, bo od tygodnia nie miała nic w ustach!

Chwilę później w drzwiach pojawiła się Bronka. Na widok Marii padła przy niej na kolana. Dłonią dotknęła rozpalonego czoła siostry.

– Elżuniu, niech Elżunia grzeje wina z miodem! Co cię boli? Gardło? Płuca? Od jak dawna...

– Kotku, przede wszystkim trzeba ją nakarmić. Spójrz na nią, wory pod oczami, ledwie chodzi o własnych siłach. Wiesz, co miała w domu? Dwie łyżeczki herbaty. Żadnych brykietów, żeby ogrzać pokój albo zagotować wodę.

– Maniu... na Boga! Ja cię chyba zamorduję! – zdenerwowała się Bronka.

Wybiegła do dawnego pokoju Marii, by jej przygotować łóżko.

– Wiozłem ją dorożką – relacjonował Kazik na odległość. – Wątpliwe, żeby w tym stanie dojechała omnibusem. Siedź! – nakazał, widząc, że szwagierka próbuje wstać.

Maria płonęła ze wstydu. Nie chciała być przedmiotem uwagi, a jednocześnie, ku swojemu zaskoczeniu, czuła się cudownie, gdy tak przy niej skakano i okazywano, że jest ważna i kochana. Od dziecka pragnęła uwagi. I czułości.

– Właściwie w czym rzecz, Marysiu? – Kazimierz wrócił do rozmowy na temat jej powrotu do Warszawy, nie bacząc na to, że sprawia szwagierce przykrość. – Sama fizyka ci nie wystarczy, żeby uczyć dzieci? – Bardziej zastanawiał się, niż pytał. – I tak przewyższysz wykształceniem każdą nauczycielkę w Warszawie.

– Nie studiuję po to, żeby być nauczycielką – obruszyła się.

Jej oczy lśniły, znak, że gorączka się wzmagala. Czekał, aż Bronia pościeli łóżko. Chciał zbadać Marię.

– Bronka jest lekarzem – kontynuowała Maria z emfazą. Była nadmiernie ożywiona, gestykulowała. – Pomaga ludziom, jest potrzebna, robi coś ważnego, istotnego, a ja co? Kończę zaledwie fizykę. Wracam do Warszawy, żeby przerabiać z dziećmi te same ćwiczenia. Do końca kariery zawodowej. Chciałam być kimś, a nie nauczycielką cudzych bachorów.

– Jesteś kimś – odparł spokojnie, uważnie jej się przyglądając. Była naprawdę zadziwiająca.

– Kocham uczenie się, eksperymenty, doświadczenia... sama nie wiem – mówiła, szlochając. – Nie tak miało być. Powinnam zostać naukowcem, ale jestem kobietą i do tego cudzoziemką. Nie mam szans. Zresztą może to i dobrze, bo

pewnego dnia i tak zdechłabym z głodu nad książkami. Przepraszam, że tak mówię – rozkleiła się na dobre. – Nie znam umiaru. Przewróciło mi się w głowie. Ludzie nie szanują kobiet, które rywalizują z mężczyznami.

Pomyślał, że w zasadzie ma rację, choć kilkuletnie obcowanie z rodziną Skłodowskich zrobiło swoje i zaczął wierzyć, że Maria naprawdę jest przeznaczona do wyższych celów. Nigdy nie mówiła równie bezpośrednio o pragnieniu zrobienia kariery naukowej. Ona chce sławy, pomyślał i skarcił się w duchu za przypisywanie szwagierce nieistniejących marzeń.

Czy Maria mogła dostać katedrę na Sorbonie? Rozbawiło go już samo to, że w ogóle zadał sobie takie pytanie.

– Nie ma o czym mówić, skoro wracam do Warszawy – zakończyła.

Pewnego dnia dostrzegła, że każde z pragnień, które się spełniło, cieszyło ją bardzo krótko. Kilka dni później pojawiała się nowe i w zasadzie nigdy nie była szczęśliwa. Wciąż czekała... na coś, co sprawi, że zanurzy się w morzu radości i spełnienia. Tyle że to coś nie nadchodziło. Obierała więc sobie nowy cel, którego osiągnięcie było jej bezwzględnie potrzebne... tak jak teraz. Czy licencjat z matematyki był niezbędny? Zdała sobie sprawę, że nie potrafi cieszyć się terażniejszością, jakby ktoś nastawił ją na przyszłość, kazał zmagać z milionem przeciwności, walczyć, pragnąć. Ktoś? To ona sama wciąż się umartwiała, nie dostrzegając, jak jej się poszczęściło. Miała kochającą rodzinę, wspaniałego, troskliwego szwagra, garstkę wiernych przyjaciół. Studiowała mimo braku środków, mieszkała w najcudowniejszym mieście świata. Jak mogła być równie niewdzięczna? Skarżyć się bez końca, wpadać w melancholię?

– Nie ma znaczenia, jakie wykształcenie zdobędę – wyrwało się Marii. – I tak skończę jako właścicielka pensji dla dziewcząt.

Kazimierz drgnął. Posłał żonie, która właśnie skończyła szykować łóżko dla Marii i stanęła w drzwiach, znaczące spojrzenie.

– To źle? – zapytał. – Czy ja czegoś nie rozumiem? Marzyłaś o tym, żeby uczyć.

– Żeby przekazywać wiedzę, którą zdobędę podczas studiów, o tym marzyłam – wyrzuciła z siebie.

Nikt nie pojmował, jak koszmarnie się czuła. Nie zgadzała się ze światem, w którym żyła. Chciała mieć możliwości mężczyzn, ich przywileje, wolny wybór i autorytet. Tego pragnęła.

– Tak, marzyło mi się, żeby zostać pracownikiem naukowym – rzekła z wyzywającą miną. – Śmieszne, prawda?

Usłyszeli krótki dzwonek do drzwi. Chwilę później z właściwym sobie głośnym tupotem wpadła do pokoju Jadzia Dydyńska. Miała zwyczaj całowania na powitanie, więc podbiegła do każdego z osobna, cmoknęła w policzek i rozejrzała się wokoło.

– Co tu się dzieje? – zapytała, spoglądając to na Bronkę, to na zapłakaną Marię.

Maria wytarła nos i poprawiła się na kanapie.

– Właśnie rozmawiamy o moich planach na przyszłość. Wrócę do Warszawy i zajmę się uczeniem bachorów.

– Wstrzymaj się kilka dni z wyjazdem – rzuciła Jadzia niefrasobliwie. Często marszczyła nos, co wyglądało dość zabawnie. Był maleńki jak u dziecka. Kobieta gestykulowała przesadnie, świadomie błaznując. – Zacznę od tego, że wciąż jestem obrażona – zwróciła się do Marii. – Bardzo obrażona, kochana. Miałas mnie odwiedzić.

– Jadziu...

– Tak czy nie? – przerwała. – Nie szukaj wymówek, bo będą żalosne, jak twój obecny wygląd. Żaden student nie spojrzy już, na szczęście, w twoją stronę. Aaa... – zwróciła się do Dłuskich – zapomniałam wspomnieć, że za nami łożą... za nią łożą – poprawiła się. – Muszę więc ich przeganiać... studentów... Ja ich przeganiam, a oni i tak robią do niej maślane oczy.

Bronka spojrzała na siostrę, lekko unosząc brew. Maria wzruszyła ramionami, widać jednak było, że zaczęła odzyskiwać humor.

– Wsyłałam cię przed Dłuskimi – Jadzia znów utkwiała wzrok w Marii – ponieważ to, co wyczyniasz, jest skandalem. Wroga bym nie traktowała tak, jak ty traktujesz własne ciało. Właściwie, kochana, powinnaś wracać do kraju, ponieważ w Paryżu dostajesz obłędu. Panno Skłodowska... niewdzięcznico, która obiecuje ludziom różne rzeczy wyłącznie po to, żeby ją zostawili w spokoju. – Jadzia rzuciła się na Marię z buziakami. – Otrzymałaś stypendium Aleksandrowiczów! – krzyknęła. – Sześćset rubli na licencjat z matematyki! Nie musisz wracać do bachorów! Możesz się dalej spotykać ze swoimi podstarzałymi profesorami. Może ci się któryś wreszcie oświadczy.

– O czym ty mówisz? – Maria niewiele rozumiała z płomiennej przemowy przyjaciółki. Stypendium? Chce, by wystąpiła o stypendium?

– O tym, że przyznano ci stypendium dla wybitnie uzdolnionych Polaków studiujących za granicą. Trzymajcie mnie, ludzie, bo nie wytrzymam. To jest geniusz?

– Ale jakim cudem? – Maria wciąż nie pojmowała.

– Nie cudem, kochana, tylko dzięki Jadwidze Dydyńskiej. Zgłosiłam cię i zaakceptowano twoją kandydaturę!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Paryż, 3 grudnia 1911

Przestronny hol w domu państwa Borelów optycznie pomniejszają tapety oraz stojące na ich tle dwuosobowa kanapa i dwa fotele obite materiałem, wszystko w ornamenty roślinne według projektu Williama Morrisa.

Paul Appell – profesor matematyki na Sorbonie, ojciec Marguerite Borel – czuje się tu jak mała w oranżerii; wciąż powtarza, że tylko dziwak urządza wnętrza w taki sposób.

Wchodzi właśnie, zaferowany, przewidując kłopoty, bo jego córka jest wyemancypowana, przemądrzała i niezdolna – efekt wychowania przez słabą matkę – a ma jej do powiedzenia parę przykrych słów. Pociera wysokie czoło, siada na kanapie i rozsznurowuje buty. Jest wysoki i zwalisty, dlatego czynność zmuszająca do głębokiego skłonu sprawia mu problemy. Fuka więc, nie zważając na pełen politowania uśmiech Marguerite.

– Jak się macie? Co u Émile’a? – uprzejmie pyta o zięcia.

– Mamy się świetnie, tato – odpowiada córka. – Marie również.

– Co to znaczy?

Profesor domyśla się znaczenia jej słów, ale chce zyskać na czasie. Mężczygo tak zwana sprawa madame Curie, żałosna sprawa żalosnej kobiety. Jakby oni, szanowani profesorowie słynnej uczelni, nie mieli na głowie nic ważniejszego od tej zwariowanej, bezwstydnego cudzoziemki. Świat zdecydowanie zszedł na psy.

Appell prostuje się, wciąż siedząc, i odważnie patrzy w oczy córki. Na jego twarzy pojawia się grymas lekceważenia.

– Nie przyszedłeś w jej sprawie?

– Nie ma żadnej sprawy, Marguerite – zaprzecza. – Jej przypadek przestał być zajmujący.

Cieszy go, że córka jest kobietą postawną i przy kości, ponieważ budzi szacunek samym wyglądem, nie lubi jednak jej powiewnych strojów. Uważa je wręcz za niestosowne, ale nie wypowiada się na ten temat, bojąc się śmieszności. Nastaly czasy projektantów, pokazów mody, salonów, gdzie się wypada pokazać i gdzie ponoć można spotkać olśniewające modelki... Appell na moment traci oddech. Kto wie, czy nie powinien wybrać się do któregoś z nich, by zamówić jakiś frak lub...

Przerywa rozmyślenia, kątem oka widząc, że córka już drugi raz przeszła mu przed nosem. Czuje ruch powietrza pachnącego jej perfumami.

– Tato, nie przyłączaj się do idiotów – słyszy.

Rusza do salonu – równie *oranżeryjnego* jak hol – z palcami lewej dłoni

w kieszonce marynarki.

– A ty łaskawie weź pod uwagę, że ludzie nie bez powodu kogoś oskarżają – rzuca niedbale, co w jego przypadku oznacza, że macha ręką, podkreślając tym lekceważący ton głosu.

Siadają przy imponującym politurowanym stole, niezadowoleni z przebiegu rozmowy. Marguerite zauważa, że mówią zbyt głośno. Boi się, że Maria ich usłyszy. Ojciec jest niepoprawnym cholerykiem, obrzydliwym snobem i konserwatystą. Tym razem przebrał miarę. Pisarka nie zamierza godzić się na bliskie kontakty z człowiekiem, który nie ma szacunku dla wybitnej uczzonej.

– Marie jest wspaniałym naukowcem – oświadcza – i tylko tym powinniście się kierować. Jej życie prywatne jest bez znaczenia.

– Wykłada na Sorbonie – przypomina ojciec z irytacją – gdzie się zatrudnia ludzie uczciwych.

Marguerite rechocze. Sorbona i uczciwość! Jakby od dziecka nie znała tego towarzystwa. Nie chce jej się wymieniać wujków uganiających się za aktorkami i kurtyzanami.

– Przede wszystkim jest wolną kobietą – odparowuje. – Na Boga, tato, od lat jest wdową. Ma prawo wiązać się, z kim chce.

– Langevin jest żonaty! Opuścił dla niej czworo dzieci! – krzyczy Paul Appell.

Oboje wstają i żywo gestykują. Appell co jakiś czas gładzi wypielęgnowaną brodę. Nie rozumie córki. Największy żal ma o to, że dojrzała i przestała go słuchać.

– Jego żona wystąpiła o separację. Z tego, co mi wiadomo, uzyskała ją – oświadcza Marguerite z godnością, przypominając sobie jednocześnie, że mąż prosił ją dziś rano o jedno spokojne popołudnie. Czy szesnasta to już popołudnie? – Doskonale wiemy, jak Langevin był traktowany przez żonę.

– Nie masz pojęcia, jak był traktowany, nie mieszkałaś z nimi – ucina Appell, wykorzystując swoją ulubioną taktykę zbijania kobiet z tropu: ośmieszanie.

– Znajomi od lat wiedzą, co się u nich dzieje – odpowiada niezrażona córka.

Profesora irytuje, że Marguerite wciąż popatruje w okno, jakby spodziewała się kogoś ujrzyć. Żaden student nigdy nie ośmielił się go ignorować. Patrzenie w oczy to podstawa kontaktu.

– Błagam cię, Marquerite, nie opowiadaj bajek o tym, że żona go bije. Może i się wścieka, kiedy Paul ugania się za kobietami, co zresztą nie jest jego winą... Bierze tylko to, co dają. I w tym rzecz.

Pani Borel nie wierzy własnym uszom. Nie życzy sobie, by w jej towarzystwie mężczyzna pozwalał sobie na taką swobodę wypowiedzi, nawet jeśli tym mężczyzną jest jej ojciec.

– Jesteś wulgarny – mówi z pretensją, a jej twarz przybiera wyniosły wyraz.

Małe oczka profesora Appella wpatrują się w nią przez chwilę.

– Wybacz, może rzeczywiście nieco się zagalopowałem – przyznaje, kładąc dłoń na sercu. – Przepraszam cię, kochanie, to się więcej nie powtórzy.

Marguerite ma wrażenie, że to najlepszy moment, by przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę. Zmienia ton i zaczyna ze słodyczą w głosie:

– Proszę cię, tato, masz taki wpływ na ludzi...

– Nie mieszaj się w sprawy polityki – przerywa jej Appell niegrzecznie, dając do zrozumienia, że tym razem się nie ugnie.

Poprawia okrągłe okulary i wraca na krzesło z postanowieniem, że będzie twardym rodzicem, chociaż ma świadomość, iż spóźnił się z tym o jakieś trzydzieści lat.

– Nie mówimy o polityce – niecierpliwi się córka. – Mówimy o nagonce na Marię.

– Powinna wracać do Warszawy. Nie jest tu potrzebna – stwierdza ojciec bezlitośnie.

Wie, że Maria jest przyjaciółką Marguerite. On sam był jej bardzo życzliwy. Marguerite jest oczkiem w głowie Appella. To, że kłóci się z nią teraz, też jest winą madame Curie, awanturnicy, która wprowadza zamęt wszędzie, gdzie się zjawi. Appell mruga szybko, posapując.

– Jak możesz mówić w ten sposób? – Pani Borel nie poznaje ojca. Jest cholerykiem, ale zawsze można było na nim polegać. – Przyznano jej drugiego Nobla – przypomina.

Gardłowy śmiech Appella wypełnia salon. Marguerite jest zszokowana jego zachowaniem.

– Nie wynoś jej pod niebiosa, bo nie masz pojęcia, co się kryje za tym drugim Noblem – oświadcza profesor. – To nie jest takie oczywiste, jak ci się wydaje.

Przyszedł na herbatę. Chciał poświęcić godzinę na kulturalną rozmowę, zanim ruszy w obchód po Paryżu, tymczasem znosi impertynencje Marguerite. Czuje, że podnosi mu się ciśnienie i rozsądnym rozwiązaniem byłoby zakończenie wizyty.

– Zawieść przez was przemawia – piekli się córka.

Czy Appell jest jej wrogiem? Czy wyrządza jej krzywdę? Godzi się na jej ekscentryczne wybryki, publikowanie powieści, bratanie się ze światkiem artystycznym. Może powinien dać jej do zrozumienia, że jego cierpliwość ma granice?

– Pierwszy Nobel dla Becquerela i Piotra Curie oburzył środowisko chemików – informuje.

– Nobel dla Becquerela, Piotra i Marie, tato! – prostuje córka z furją. – Umniejszacie wagę jej osiągnięć, gdzie się tylko da.

– Traktujemy ją stosownie do wkładu pracy. – Appell ma dość sporów o sprytną Polkę. Skłóciła go z rodziną, nim się zorientował. Odkąd zdobyła wpływ na Marguerite, profesor nie jest w stanie wymienić z córką jednego sensownego zdania. – Każda robotnica potrafi mieszać w garnku – kończy triumfalnie, robiąc przytyk do laboratoryjnych zajęć uczoney.

– Wie pan doskonale, że mieszanie blendy uranowej było niezbędne do odkrycia nowych pierwiastków – słyszy Marię.

Nie wiadomo, jak długo kobieta stoi na progu salonu. Przypomina zagubione dziecko. Wstyd, żeby dorosły mężczyzna krzywdził kogoś takiego. Appell zżyma się w duchu na własną głupotę. Zna Marię, wie, że to pozory. Jest bezwzględna i okrutna wobec... wobec pani Langevin... Francuzki, matki i przykładowej żony. Kto potrafi niszczyć bezbronną istotę, nie jest wart szacunku.

– Pani praca była niezbędna, ale mógł to robić każdy – obstaje przy swoim.

Twarz Marguerite zdradza ogromne zmieszanie; kobieta przyciska palce obu rąk do rozchylonych ust.

– Niech pan złoży zażalenie do Komitetu Noblowskiego, panie Appell – proponuje Maria, co jest obraźliwe i szydercze.

Zwalisty mężczyzna staje przed nią w rozkroku, mierzy ją spojrzeniem.

– Nie jestem zazdrosny o pani wątpliwą sławę, madame Curie – zaczyna, stopniowo podnosząc głos. – Przemienie szybciej, niż się pani spodziewa. A drugiego Nobla dostała pani wyłącznie dlatego, że trzeba było zatkać gęby oburzonym chemikom! – krzyczy.

Rozdygotana Maria opuszcza salon. Profesor, jak można było przypuszczać, ani myśli kończyć. Wychyla głowę z salonu, omiatając wzrokiem zakamarki holu, jakby szukał madame Curie.

– Gdyby miała pani odrobinę godności osobistej, wróciłaby pani do Warszawy, gdzie jest jej miejsce! Sorbona nie potrzebuje pseudonaukowców i sufrażystek w jednym. Jest pani przebojowa i zrozumiła, jak wszyscy pani bracia w wierze. Tu nie Izrael, pani Salomeo Curie!

– Nie ośmieszaj się, tato! – wybucha Marguerite, siłą wciągając ojca do pokoju. Patrzy mu prosto w oczy niemal z obrzydzeniem. – Doskonale wiesz, że Marie jest katoliczką.

– Jako dziekan stoję na straży ładu – ignoruje jej uwagę ojciec. – Tolerowałem panią Curie, ponieważ uważam, że każdy człowiek ma prawo się rozwijać, prowadzić badania naukowe i przynosić korzyść społeczeństwu... dopóty, moja droga, dopóki szanuje reguły gry. – Profesor odwraca się i zaczyna chodzić po salonie, wymachując rękoma. – Sorbona nie będzie płaszczykiem ochronnym pani Curie! Po pierwsze, dlatego, że pani Curie nie jest Francuzką, po drugie, dlatego, że wyszła za Piotra Curie, żeby mieć oparcie, a nie z miłości, o czym świadczy to, że szybko o nim zapomniała. Jej standardy moralne

pozostawiają wiele do życzenia. Rozbija porządną francuską, wielodzietną rodzinę także nie z miłości, tylko z egoizmu. Trzymała się jednego geniusza, teraz chwyciła następnego wrażliwego na jej wdzięki. Mówimy takim ludziom: nie! Precz z Sorbony! Niech się zabiera do Warszawy!

Appell opuszcza salon.

Marguerite jest wstrząśnięta. Widzi ubierającego się ojca. Ona również ma choleryczne usposobienie. Nie działają na nią szantaż i próby zastraszenia. Pewna jest swoich racji, ponieważ zna Marię i wie, że jest ona uosobieniem wrażliwości.

– Przysięgam, że nigdy więcej mnie nie zobaczysz. Słyszysz, tato? Nie żartuję. Jeśli doprowadzisz do usunięcia Marie z Sorbony, możesz tu nie wracać. Zerwę z tobą wszelkie stosunki!

Profesor Appell z wściekłością ciska butem o ścianę.

– Nie broń tej intrygantki! Jesteś ślepa?! – krzyczy z bezsilności.

Po chwili opuszcza dom Borelów – w niedopiętym płaszczu, mamrocząc pod nosem obelgi.

Marguerite opiera się o drzwi wejściowe w chwili, gdy jej mąż Émile wkracza do holu.

– Stary dureń – rzuca. – Chętnie przywaliłabym mu w łeb.

Opadające brwi Émile'a poruszają się zabawnie. Mężczyzna wyciąga dłoń i końcami palców gładzi policzki żony. Chce jej żartobliwie podziękować za stworzenie idealnych warunków do pracy, ale gryzie się w język.

– Kłótniami nic nie osiągniesz – mówi spokojnie.

Marguerite nie może przeboleć, że ojciec tak ją potraktował. Miała go za człowieka wrażliwego, który nie pozwoli, by sterowali nim głupcy.

– Mylisz się; ten stary baran zawsze reagował wyłącznie na szantaż. Wypije coś mocniejszego, powścieka się i opamięta – stwierdza z żalem. – Na szczęście nie jest kompletnym idiotą, tylko narwańcem. Wstyd mi, że Marie musiała tego słuchać.

– Wyszła z domu – informuje Émile beznamiętnie i rusza do kuchni.

– Dokąd?

– Nie mam pojęcia. Jest dorosła.

– Jak mogłeś ją wypuścić?

Émile staje i posyła żonie rozbijający uśmiech.

– Co miałem zrobić? Zagrozić jej drogę?

– Mogłeś mnie zawołać! – nie wytrzymuje pani Borel. Jest całkiem wytracona z równowagi. – Boże – jęczy – dlaczego wy jesteście tacy beznadziejni? Zaczynam rozumieć sufrażystki. Z wami... nie da się normalnie żyć. Marie jest w okropnym stanie. Może sobie zrobić krzywdę.

Émile marszczy czoło.

– O czym mówisz?

Marguerite zamyśla się. Nie wie, co odpowiedzieć. Są słowa, które przychodzą jej z trudem, decyduje się jednak na szczerość. Może prawda wypowiedziana głośno odgoni widmo tragedii?

– Tak, właśnie o tym. Marie jest rozdygotana, gdziekolwiek się pojawi, rzucają się jej do gardła. Czuje się niczym osaczone zwierzę.

– Nie przesadzaj.

– Jeśli stanie się coś złego... – zaczyna kobieta, ale mąż jej przerywa.

– Przestań pleść, nic się nie stanie. Dokąd mogła pójść? – pyta, starannie ukrywając, że czuje się nieswojo.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Paryż, 12 lutego 1894

Odkąd pomoc domowa państwa Dłuskich zaczęła lekcje rysunku, nabrała dużej pewności siebie i wtrącała się do rozmów gości swoich pracodawców. Traktowali to pobłażliwie, niemniej jednak Maria uważała, że dziewczyna nie powinna zaprzętać innych swoją osobą. Jej wywody o sztuce rysowania były nużące. Panna Skłodowska przerwała więc dyskusję i w połowie zdania służącej opuściła kuchnię. Nucąc, przeszła do salonu. Ułożyła się wygodnie na kanapie i patrzyła w sufit. Zwykle w takich chwilach uruchamiała jej się wyobraźnia i przenosiła ją w rejony, za którymi tęskniła. Tym razem były to Tatry. Przypomniła sobie wspinaczkę na Kasprowy Wierch. Wzięła głęboki oddech, jakby spodziewała się poczuć świeże górskie powietrze, i natychmiast usiadła zniecierpliwiona. Jej ostatni pobyt w Zakopanem nie był miły. Poczula ukłucie serca. Nim zdążyła pomyśleć o swoich odczuciach, szczęknęły drzwi wejściowe. Ktoś wszedł do małego holu. Kilka sekund później zobaczyła Bronkę – zaaferowaną i nienaturalnie bladą. Siostra usiadła ciężko na najbliższym krześle, pozdrawiając ją lekkim skinieniem głowy.

– Coś się stało? – zaniepokoiła się Maria.

Wzrok Bronisławy był nieobecny. Machinalnie zdejmowała z szyi szal.

– Przejeżdżaliśmy w pobliżu kawiarni Terminus – rzekła głucho. – Zdetonowano tam bombę. Akurat wynoszono rannych.

– Kolejny zamach anarchistów?

Maria nienawidziła rozmów o okrucieństwach świata. Była wobec nich bezsilna, a bezsilność uważała za największą plagę życia. Pragnęła dokonywać wielkich odkryć, zamknąć się w laboratorium i pracować. Tylko to, jej zdaniem, miało sens. Bezmyślne niszczenie, a potem rozwodzenie się nad nim nic ludzkości nie dawało. Poza dławiącym strachem.

Zdarzało się, że przemierzając Paryż, czuła irracjonalny lęk, gdy docierało do niej, że właśnie na tych ulicach, pośród dziesiątek innych równie nieświadomych ludzi, ginęli Bogu ducha winni turyści.

– Nie mamy wpływu na wszystko... niestety – zaczęła, wiedząc, jak okrutnie to zabrzmiało. – Zawsze można trafić na szaleńca. Są ofiary śmiertelne?

Bronia przetarła twarz dłońmi i bezmyślnie poprawiła fryzurę.

– Nie znam szczegółów – powiedziała z niechęcią. – Widziałam tylko, że wynoszą zakrwawionych ludzi, ale nie wiem przecież, czy żyli.

Zapanowało milczenie. Bronka zdjęła okrycie i przewiesiła przez poręcz.

– Podobno to kolega Vaillanta – dodała z obrzydzeniem. – Tego, którego

stracono po zamachu w parlamencie.

Głosy dochodzące z gabinetu lekarskiego Kazimierza stały się wyraźniejsze, a to znaczyło, że doktor kończył przyjmować, a ostatni pacjent pytał go o coś już przy drzwiach, z ręką na klamce.

– Dlaczego w kawiarni? – zapytała Maria, zwracając się bardziej w próżnię niż do siostry. – Akurat tam, gdzie przebywają ludzie, którzy nie mają wpływu ani na rządy, ani na politykę? – Wstała gwałtownie, jakby pragnęła zrzucić z siebie ciężar odpowiedzialności za bestialstwo innych. – Nienawidzę anarchistów, nienawidzę wszystkich, których celem jest niszczenie – wycedziła. – Oni nie chcą rozwiązania konfliktu, chcą jedynie unicestwić przeciwnika. Ich walka nie ma końca. Pozbawione wyobraźni półzwierzęta. Nawet mi ich nie żal.

– Nie życzę nikomu takiego widoku. Zalana krwią młoda dziewczyna...

– Nie myśl o tym, Broniu – przerwała siostrze Maria.

– Jak mam o tym nie myśleć? – Bronka podniosła się i stanęła naprzeciwko Marii. Górowała nad nią wzrostem, a jej uroda przykuwała uwagę. Gdziekolwiek się pojawiła, otaczał ją wianuszek zauroczonych mężczyzn. – Człowiek studiuje latami medycynę, żeby ratować ludzi, a inni robią, co w ich mocy, żeby ich upodlić... w imię swoich chorych...

– Czasem sama nie wiem, co jest chore, a co nie – zachnęła się Maria.

Wzburzona siostra już miała odpowiedzieć, przerwał im jednak ruch w holu. Kazimierz, który najwyraźniej zdążył już pożegnać gadatliwego pacjenta, witał się z jakimś mężczyzną.

– Dzień dobry, drogie panie.

Ujrzały znajomego profesora Uniwersytetu we Fryburgu, Józefa Wierusza Kowalskiego, i jak na komendę uśmiechnęły się od ucha do ucha. Uczony zatrzymał wzrok na Marii.

– Cieszę się ogromnie, że panią widzę.

Ucałował dłoń Bronisławy i podszedł do panny Skłodowskiej. Uśmiech nie schodził mu z twarzy. Profesor był średniego wzrostu i mocnej budowy. Twarz miał nieco nalaną, co czyniło jego spojrzenie dobrotliwym. Ponieważ był w wieku Bronisławy, jego afektowane zachowanie bawiło siostry. Było przesadnie formalne. Widać odpowiedzialne zadanie stworzenia we Fryburgu wydziału nauk matematycznych i przyrodniczych, które mu powierzono, dodawało pewności siebie, uznał też może, że szanowany profesor powinien być dostojny i majestatyczny.

– Jak się mają pani studia? – spytał uprzejmie.

– Skończyłam fizykę, a w tym roku kończę matematykę – poinformowała Maria z dumą.

– Nie dodała, że z pierwszą lokatą – wyręczyła ją Bronisława.

Oboje zachichotali. Maria nie znosiła tego. Z czego się właściwie śmiali?

Albo zasługiwała na pochwałę, albo nie.

– Niewiarygodne – przyznał profesor i natychmiast się poprawił. – Nie, proszę mnie źle nie zrozumieć... nie dlatego *niewiarygodne*, żebym miał kobiety za gorsze... ale musimy wszyscy przyznać – tu rozejrzał się po zebranych, co było nawykiem wyniesionym z wykładów, podczas których stale kontrolował uwagę studentów skorych do myślenia o niebieskich migdałach – że trudno jest kobiecie wspinać się po szczeblach kariery naukowej... w świecie mężczyzn.

Pani Dłuska przytaknęła. Dała dyskretnie znak mężowi i, przeprosiwszy gościa na chwilę, oboje opuścili salon.

– Byłem pewny, że daleko pani zajdzie. Nie ma pani nic przeciwko temu, że usiądę?

Maria zaczerwieniła się, gdy dotarło do niej, że pozwala młodemu wprawdzie, ale szanowanemu profesorowi stać w swojej obecności, zamiast od razu poprosić, by usiadł. Brakowało jej oglady, co tak często piętnowała u innych. Ojciec nie pochwaliłby gapiostwa i lekceważenia kindersztuby.

– Czyli nic się nie zmieniło? – rzekł uprzejmie profesor Kowalski, udając, że nie widzi jej zmieszania. – Wciąż się pani nie może zdecydować, którą z nauk kocha bardziej: fizykę czy chemię?

– Mam pojemne serce – zażartowała.

Zaległa niezręczna cisza. Kowalski złożył na jednym z kolan obie dłonie. Posłał Marii blady uśmiech. Zawsze czuł się przy niej odrobinę niezręcznie. Była zachwycająca, dokładnie taka, jaką zapamiętał. Trochę jednak zbyt... wymowna. Z trudem znalazł określenie na jej swobodę wyrażania poglądów. Nie chciał jej urazić nawet w myślach.

– Zarabia pani czy żyje z jakiegoś stypendium? – spytał, unikając jej spojrzeń.

Dostrzegł za oknem kilka nagich drzew. Dzielnica, w której mieszkali Dłuscy, nie należała do luksusowych; otoczenie ich domu, szczerze powiedziawszy, wyglądało byle jak. Profesor przeraził się, że jego twarz zdradza myśli.

– Otrzymuję stypendium Aleksandrowiczów – odparła Maria. – Pracuję też nad zleceniem Société d'Encouragement pour l'Industrie Nationale w laboratorium profesora Lippmanna na Sorbonie.

Ta informacja sprawiła, że profesor się ożywił, co z kolei zachęciło Marię do sprecyzowania przedmiotu badań.

– Chodzi o własności magnetyczne różnych gatunków stali.

– No, to zapewne pasjonujące – przyznał Kowalski.

– Zna mnie pan, profesorze. Uwielbiam tego typu doświadczenia, niemniej jednak... to droga przez mękę. Zaczynam się martwić o efekty.

– Nie rozumiem.

Odwrócił się w jej stronę, zaintrygowany. Miał zachwycającą zdolność absolutnego koncentrowania się na rozmówcy. To dopingowało Marię do większej staranności w wyrażaniu myśli.

– Wydaje się z pozoru, że tego rodzaju praca nie powinna sprawiać przykrych niespodzianek – zauważył. – Ale pewnie myślę się, jak każdy niezaangażowany w dany rodzaj badań.

– Ma pan rację, panie profesorze.

Maria walczyła ze sobą, nie będąc pewna, czy rozwijać przykry temat. Czowała, że nie powinna zamęczać gościa swoimi kłopotami, ale tak rzadko rozmawiała z kimś, kto wykazywał szczere zainteresowanie, że nie umiała się oprzeć.

– Chodzi o warunki w laboratorium – przełamała się. – Brakuje mi miejsca na porządną analizę. Nie mam gdzie segregować próbek.

Umilkła na widok siostry. Za Bronisławą szła pomoc domowa z tacą ciasteczek, wyraźnie nadąsana i ze spuszczonego wzrokiem, z czego Maria wnosiła, że pani domu nakazała jej milczenie. Chwilę później wszedł Kazimierz z czterema szklankami i dzbanem soku.

– Od zamierzonych czasów to samo, pani Mario – profesor Kowalski wrócił do przerwanej rozmowy. – Problemy lokalowe, braki w aparaturze. Władze uczelni chcą, żebyśmy sięgali szczytów... najlepiej za własne pieniądze. – Uśmiechnął się ironicznie. – Mamy ratować ludzkość, wspierać rząd, zwłaszcza wojsko... – Wyprostował się, gotów włączyć do dyskusji państwa Dłuskich. – Tak, to przykre. Jeśli o mnie chodzi, nie miałem z tym problemów wyłącznie w Berlinie – zakończył, dochodząc do wniosku, że nikogo poza nim i Marią nie zainteresuje kwestia warunków pracy w jej laboratorium. – Co słyszeć u państwa Dłuskich? – zagadnął Bronisławę, zastanawiając się przez moment, która z sióstr jest ładniejsza.

Dzwonek do drzwi nie pozwolił na kontynuowanie rozmowy. Kazimierz ponownie zniknął im z oczu. W holu rozległ się perlisty śmiech młodej damy. Kiedy weszła do salonu, profesor wstał, żeby się przywitać. Całe towarzystwo знаło Elżbietę, od niedawna żonę francuskiego hrabiego, którego imię stało się znane za sprawą głośnego romansu z kucharką matki. Arystokracja, owszem, godziła się na mezalianse dla ratowania sytuacji finansowej rodziny, ostro piętnowała jednak głupotę, za którą uważano miłość do osoby niższego stanu. Hrabia przemyślał chyba swoje postępowanie, ponieważ niespodziewanie dla wszystkich ożenił się z majątną Polką. Rzadko jej towarzyszył w spotkaniach, dlatego hrabinę spotykało się najczęściej samą.

– Wybieramy się dzisiaj na koncert Paderewskiego – wyjaśnił Kazimierz profesorowi. – Później maestro wpadnie do nas z narzeczoną. Zapraszamy cię, Józek. Elżbieta też z nami idzie. – Wskazał dłonią elegancko, wręcz wytwornie ubraną hrabinę.

– Mam tyle obowiązków towarzyskich, że raczej wątpię, chociaż naprawdę miałbym chęć – odparł profesor, nie odrywając od niej wzroku.

Znał Elżbietę doskonale, bardziej ze słyszenia niż osobiście, ale spotkali się raz czy dwa w towarzystwie.

– Daj się namówić – nalegał Kazimierz. – Nie będziesz żałował. Trzeba się czasem pokazać, przypomnieć sobie, że jesteśmy Polakami. Zaśpiewać wspólnie pieśń patriotyczną.

– Będzie nabożeństwo po koncercie? – weszła mu w słowo żona.

Dłuski spojrzął na nią ze zdziwieniem.

– Dlaczego miałyby być nabożeństwo?

– Nie wiem, pomyślałam, że ludzie zechcą się pomodlić za ofiary dzisiejszego zamachu.

– Tak, to koszmarnie, co się stało. – Elżbieta westchnęła teatralnie.

Poinformowała niczego nieświadomych panów o zamachu bombowym w kawiarni. Maria pomyślała cierpko, że Polska ma się mimo wszystko gorzej od Francji. Walka o wolność pochłonęła więcej ofiar niż ataki anarchistów w Paryżu. Czy to nie zubożyło Polaków? Czy są normalni, uodparniając się na śmierć? Poczwała ciarki na plecach.

– Modlitwa nie pomoże rodzinom ofiar – rzuciła tak ostro, że wszyscy na nią spojrzeli.

– Tak pani sądzi? – zadrwiła hrabina.

Odkąd przebojem wdarła się w szeregi francuskiej arystokracji, uważała się za wyrocznię w polskich sprawach. Prowadziła dom otwarty, przyjmowała wielu artystów mających nadzieję na choćby skromne wsparcie finansowe.

– Tak – odparła Maria hardo. – W każdym razie mnie by nie pomogła.

– Skąd pewność?

Maria nie miała chęci tłumaczyć pustej lali, za jaką uważała Elżbietę, że jej dziecięce modlitwy o życie matki pozostały bez odpowiedzi, mimo że mówiło się, iż Pan Bóg wysłuchuje przede wszystkim niewinnych dzieci, w drugiej kolejności modlących się za innych, w trzeciej – robiących to żarliwie i tak dalej. Idiotyzmy.

– Nie lubię narzucać ludziom swego światopoglądu – skwitowała roztrzęsiona.

Przepracowanie odbijało się na jej psychice. Widać też było gołym okiem, że z trudem znosi towarzystwo hrabiny.

– Domyślam się, że jest pani ateistką – powiedziała Elżbieta, o dziwo, bez cienia złośliwości.

Zdenerwowała tym Bronkę, która nienawidziła, kiedy Marię nazywano ateistką. Jej zdaniem siostra przeżywała załamanie po utracie matki, niemniej jednak każdego dnia mogła się otrząsnąć i wrócić na łono Kościoła. Chociaż... Załamanie? Ile lat można je przeżywać?

– Zgadza się, lepsza ze mnie ateistka niż modystka – wypaliła Maria.

Wzrok Bronisławy ciskał pioruny. Przytyk odnoszący się do elegancji hrabiny był pozbawiony finezji, która świadczyła o dobrych manierach. Nie należało o nich zapominać, nawet jeśli ulegało się pokusie skrytykowania czegoś. Poza tym jaki był powód drwienia z Elżbiety, skoro zachowywała się poprawnie? Mało powiedziane, była miła.

– Przynajmniej nic mnie nie mami, mam jasny umysł i polegam wyłącznie na sobie – zakończyła Maria, jakby czytała w myślach siostry.

– Jak nas widzą, tak nas piszą, pani Mario – odparła niespodziewanie łagodna zwykle hrabina. – Dumny Polak nie powinien odstawać od wizerunku dumnego Francuza.

Maria już otwierała usta, by powiedzieć coś o próżności i dodać, że elegancją nie wywalczy się wolności, ale profesor ją uprzedził.

– Nie wierzy pani z rozpacz – rzekł. – To nie jest brak wiary, panno Mario, to ból spowodowany tym, że przyjaciel panią zawiódł.

Maria zaniemówiła na moment. W jej oczach pojawiły się łzy.

– Bez Boga jestem spokojniejsza – oświadczyła zdławionym głosem. – Moim Bogiem jest nauka.

– Ładnie powiedziane – pochwalił profesor.

Zważywszy na głęboką religijność Kowalskiego, Maria oczekiwała ostrzeżenia przed pokładaniem zgubnej ufności w nauce, która może się okazać szatanem.

– Przyszło mi na myśl, że muszę panią poznać ze swoim znajomym. Nazywa się Piotr Curie. Pracuje w PC... École supérieure de physique et de chimie industrielles przy ulicy Lhomond – pospiesznie rozwinął nazwę, dochodząc do wniosku, że jej skrót może być niezrozumiały dla części towarzystwa.

Marii przyszło na myśl, że to Dłuscy poprosili przyjaciela, by przedstawił jej kogoś, co czasem się niestety zdarzało, mimo iż nie cierpiała swatania. Jej zdaniem prawdziwy naukowiec powinien żyć w samotności na podobieństwo kartuzów. Odkrycia wymagały poświęceń.

– Mam wrażenie, że może być pomocny w szukaniu odpowiedniego laboratorium – kontynuował profesor i Marii zrobiło się wstyd, że zamiast być mu wdzięczna, podejrzewa go o znowę z Dłuskimi. – Co pani na to? – Spojrzał jej w oczy pytająco. – Spotkajmy się na przykład jutro... w mieszkaniu, które wynajmuję... zapiszę pani adres. – Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej plik niezapisanych kartek i ołówek. – Zgoda, pani Mario? Wierzę, że Piotr panią wesprze. Jest profesorem... – pisząc, nie przestawał mówić – jest młody, więc wciąż jeszcze pamięta swoje studenckie problemy. Nawet nie wiem, ile dokładnie ma lat... jest chyba koło trzydziestki. Ale to akurat bez znaczenia – zreflektował się, podając jej kartkę, na której zanotował swój tymczasowy adres.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Paryż, 7 grudnia 1911

Marguerite Borel jest zamyślona, ponieważ to, co widzi, napełnia ją głębokim smutkiem. Od kilku tygodni mieszka u niej Maria Curie; dokładnie tyle czasu, ile trwa skandal związany z romanssem. Paul Langevin, drugi bohater skandalu, odwiedza ją czasem. Jego wizyty nie przynoszą niczego dobrego. Maria jest rozbita, reaguje histerycznie, najgorsze jednak, że po prostu nie wie, czego chce. Pani Borel nie ocenia niczyjej moralności, dlatego gotowa jest zaakceptować każdą decyzję przyjaciółki, niezależnie od tego, czy będzie nią zerwanie z Paulem, czy zmuszenie go do rozwodu. Problem w tym, że Maria nie potrafi podjąć decyzji. Podświadomie wysyła sprzeczne sygnały. Nawet jeśli pragnie oficjalnego związku z Langevinem, jej natura i wychowanie nie akceptują tego. Z dnia na dzień twarz przyjaciółki staje się coraz bielsza, niemal przezroczysta. Oczy są zaczerwienione od częstego płaczu, na ustach utrzymuje się grymas gorzkości. Maria nie rozwiązuje problemów. Mnoży je. Swoim postępowaniem zraża Paula i sprawia, że czuje się rozgrzeszony, pozostawiając ją samą sobie. Jest wyraźnie zniecierpliwiony. Marguerite chętnie wyrzuciłaby go ze swojego domu, gdyż jest przyczyną zbyt wielu kłopotów, jednak w milczeniu znosi te wizyty i nie komentuje gorących sprzeczek, jakie wybuchają między kochankami. Słysząc je w całym domu.

Pani Borel opuszcza swój oranżeryjny salon, świadoma, że zawadza kochankom. Zamyka drzwi i udaje się do pokoju Marii, gdzie jest jej siostra Bronka.

– Spakowana? – pyta tymczasem Paul nie dlatego, że go to interesuje, lecz dlatego, że od dawna nie wie, jak z Marią rozmawiać. Jak i o czym.

Kochanka obejmuje go, przywiera do niego całym ciałem, nie kryjąc tęsknoty i pożądania. Jej dłoń ginie pod połą marynarki Paula, wargi znajdują jego usta. Jest namiętna. Jednym pocałunkiem pozbawia go wewnętrznej równowagi. Mężczyzna czuje, że zalewa go fala gorąca, i wie, że nie może się jej poddać, jeśli zamierza przeprowadzić z Marią poważną rozmowę. Nie potrafi jednak pohamować nagłych pragnień; ręce same wędrują wzdłuż jej pleców, trafiają z talii na pośladki, usta oddają pocałunki.

– Tak się bałam, że nie przyjdiesz – szepce Maria.

– Dlaczego miałbym nie przyjść?

Palce Paula, którymi chwycił i zaczął unosić fałdę jej sukni, zamierają w bezruchu. Mężczyzna wie, że w każdej chwili ktoś może ich nakryć. Odsuwa Marię delikatnie, żalując, że nie spotkali się u niego. Tęskni za nią, za jej ciałem, za jej gorączkowym szepcem. Szczyci się tym, że kobiety, z którymi jest, otwierają się

na seks. Maria także. Jest namiętna. Mogłaby się kochać godzinami.

– Nic nie jest normalne – mówi kobieta, zawstydzona.

Chce kierować Paulem, tymczasem jest od niego uzależniona. Przypomina sobie słowa Heleny, swojej siostry, która uważa, że w każdym związku jedna strona kocha mniej – i lepiej być tym kimś. Kiedyś się oburzała, teraz czuje gorycz tej prawdy. Kocha bardziej, musi więc wykazać cierpliwość.

– Na Sorbonie przycichło – informuje Paul. – Appell przestał gardłować... czyli interwencja Marguerite przyniosła skutek. Wziął ludzi za pysk i wrócili do pracy.

– Jak mógł? – Maria rzuca pytanie w przestrzeń. Wyraźnie nie oczekuje odpowiedzi, ale Paul czuje się w obowiązku jej udzielić.

– Nie bądź naiwna, Marie. Ludzie są tylko ludźmi – oświadcza. Trochę trwało, nim zdecydował, co powiedzieć. Cieszy go, że kochanka jest w dobrym nastroju. Za nic nie chciałby tego zepsuć. – Każdy szuka komfortu i własnych korzyści. Gorzej, że gazety nie przestają nas opluwać. Mimo twojego oświadczenia dla prasy i fałszywych przeprosin, które otrzymałaś.

Rodzina namówiła Marię, by wysłać dziennikarzom oświadczenie, że jest oburzona pomówieniami o romans z Langevinem i gotowa wystąpić na drogę sądową, jeśli szkalujące ją plotki nadal będą rozpowszechniane. Kobieta dotąd czuje piekący wstyd, również przed siostrą. Bronka nie pytała o nic; z góry założyła, że oskarżenia są skandalicznym kłamstwem. Chwilami Maria nie wie, gdzie podziąć oczy.

– Jesteś jakiś dziwny – odzywa się po chwili.

Cała sytuacja staje się dla niej nie do zniesienia. Na szczęście istnieje granica cierpienia, za którą człowiek obojętnieje.

– Jestem przygnębiony tym, co się dzieje – odpowiada szczerze Paul.

Ma niesamowite, przenikające na wskroś spojrzenie. Wąsy podkręca do góry, co sprawia, że jego twarz ma pogodny wyraz.

– Georges Urbain – kontynuuje – napisał list do Arrheniusa, obawiam się, że niepotrzebnie.

Maria słucha z uwagą. Svante Arrhenius jest przewodniczącym Komitetu Nagrody Nobla. Pewne sprawy, do tej pory niejasne, stają się dla niej oczywiste.

– Z odpowiedzi, którą otrzymał i dał mi dziś do przeczytania, wynika, że w Sztokholmie zrozumiano wreszcie, jaki jest rozmiar całego skandalu.

– Dureń – syczy Maria.

Urbain to dyrektor laboratorium chemii nieorganicznej na Sorbonie. Przyjaźnił się z Piotrem Curie. Czyli kolejny przyjaciel jej męża nie potrafi wybaczyć, że nie żyje jak mniszka. Dławi ją śmiech. Ktokolwiek ją oskarża o folgowanie sobie, nie wie, co mówi. Ona i asceza to właściwie jedno i to samo. Zazwyczaj – stwierdza w myślach ze zdziwieniem. Ostatnimi czasy nieco się

zmieniła, głównie za sprawą Paula.

– Chciał dobrze, nie wiń go. – Langevin ujmuje się za Ur-bainem.

– Wszyscy chcecie dobrze, Paul – odpowiada Maria cierpko.

Odrzuca z czoła kosmyk włosów i spogląda w okno. Zastanawia się z goryczą, gdzie ludzie uciekaliby wzrokiem, gdyby pokoje nie miały okien. Cierpieliby na klaustrofobię, to pewne.

– Żałuję, że dałam się namówić na napisanie do „Le Temps”. Groźba, że każdego autora publikacji o mnie podam do sądu o odszkodowanie, była śmieszna. Co to dało? Tylko tyle, że dostałam kilka fałszywych przeprosin. Później posypały się dziesiątki innych artykułów. Nie wygram z prasą na całym świecie. Ostatni raz posłuchałam waszych dobrych rad.

– Marie... bliscy radzili ci to samo.

W tym samym czasie, kiedy ona rozmawia z Paulem, Bronka pakuje jej rzeczy na podróż do Sztokholmu. Czy to normalne? Jakby życie Marii wyłączone było z normalnego nurtu, jakby nie musiała pracować, gotować, sprzątać, pakować walizek. Uświadamia sobie, że od lat tak właśnie jest. Nobel przyniósł pieniądze. Teraz, gdy ją ponownie nagrodzono, jeszcze mocniej to odczuła. Ma na sobie nową wełnianą suknię, pod nią miękką ciepłą bieliznę. Bieda nauczyła ją skąpstwa. Nie ma wątpliwości, że jej obsesja zapisywania każdego najmniejszego wydatku jest chorobą, mimo to nie umie przestać.

– Powinam słuchać wyłącznie siebie – stwierdza głucho. Jest rozżalona na los, że tyle razy ciężko ją doświadczył, iż przestała ufać komukolwiek... nawet sobie. – Piszą o mnie w „New York Timesie”. Taki wstyd. Nie wiesz, jak się czuję, ponieważ nic cię to nie obchodzi – dorzuca gorzko. – Jesteś zadowolony. W tobie nikt nie widzi winnego.

– Nie bądź niesprawiedliwa.

Nie zaskoczyła Paula, ale jej słowa są dla niego niewygodne.

– Stracili mnie do poziomu gospodyń domowych szanowanych profesorów – utyskuje Maria.

Mówienie tak o sobie jest śmieszne. Od lat jej dom prowadzą młode, ciekawe Paryża krewne lub Polki przyjęte z polecenia. Maria to umysł. Wszyscy ją traktują ulgowo, każdy wie, że jest genialna. Paula to nie zachwyca, odkąd zdał sobie sprawę, że zyskała w środowisku większą sławę niż on. Nie zazdrości, ale zdecydowanie wolałby odwrócenie ról – to on powinien otrzymać Nagrodę Nobla.

– Czasem mam wrażenie – zaczyna ironicznie – że nie martwi cię publiczne nazywanie cię moją kochanką, tylko idiotyczne uwagi, że najpierw się grzałaś w promieniach sławy Piotra, a teraz mojej.

– Pojęcia nie masz, czym się przejmuję – reaguje Maria gwałtownie.

Czyżby trafił w sedno? Kobieta spaceruje po salonie. Schudła ostatnio, choć zdawać by się mogło, że to niemożliwe. Postarzała się, przybyło jej zmarszczek,

Paul zauważa jednak, że nie wpływa to na jej atrakcyjność. Jest wiotka i delikatna, wspaniale się nosi, chodzi wyprostowana, nie sposób oderwać wzroku od jej włosów.

– Marie, dajesz się podpuszczać – mówi cicho. – Wiesz doskonale, że każdy sukces wypracowywany jest przez zespół.

– Mój nie – przerywa Maria. Jest bardzo egocentryczna. – Miesiącami wdychałam szkodliwe opary...

– Właśnie tego nienawidzą dziennikarze – teraz Paul wchodzi jej w słowo. – Zamiast porozmawiać z nimi jak sympatyczna, bezpodstawnie szkalowana kobieta, okazujesz pogardę! Do tego w sytuacji z góry skazanej na przegraną, bo przeszłości się nie zmieni... nie odzyskamy skradzionych listów. Raz w życiu mogłabyś się przemóc i wykazać sprytem.

– Jak ty?

Rozmowa staje się nieprzyjemna. Ostatnimi czasy próg cierpliwości Paula coraz łatwiej przekroczyć; mężczyzna już jest zły. Wstaje i zaczyna spacerować. Duszą się oboje w ograniczonej przestrzeni salonu.

– Nie wiem, o czym mówisz – rzuca, marząc, żeby ktoś im przerwał.

– Grzecznie wróciłeś do żony.

– A co miałem zrobić, gdy cię pogrążają? – pyta, zatrzymując się przed Marią. Patrzy jej prosto w oczy bez cienia sympatii. Grdyka mu chodzi, szczęki się zaciskają. Z trudem panuje nad nerwami. – Mam przyznać publicznie, że cię kocham? Sądzisz, że ktokolwiek by nas wtedy poparł? Czytujesz czasem gazety?

– Ja nie, lecz ktoś życzliwy podsunął jedną Irenie – wyznaje Maria.

Trudno jej zdecydować, o czym chce rozmawiać. Musi wyrzucić z siebie pokłady nienawiści do całego świata. Ale i miłość do Paula pragnie się uzewnętrznić. Kobieta nie umie mu wybaczyć, że pozwala ją szkalować, jednocześnie jest w pełni świadoma, że nie pozostaje mu nic innego, jak udawać, że ich nic nie łączy.

– Nie masz pojęcia, co czuję – oświadcza, omijając Paula, jakby był kamieniem na drodze. – W jaki sposób mam wyjaśnić dziecku, co się dzieje? – Głos grzęźnie jej w gardle. Maria nie rozumie, dlaczego z uczuć, które pozwoliły jej się odrodzić, ludzie czynią coś obrzydliwego. Irena cierpi, ona sama cierpi...

– Przykro mi, że to się odbija na twoich dzieciach. Jestem bezsilny – odzywa się Paul.

Lepiej, żeby tego nie powiedział. Jak zwykle niczemu nie jest winien, zżyma się Maria. Ilekroć z nim rozmawia, ma wrażenie, że we własnym mniemaniu on jeden pozostaje nieskazitelny, on jeden w najmniejszym stopniu nie przyczynił się do jej dramatu. Dobrze być przeświadczonym o własnej niewinności. Czy to zresztą dramat? To, że pod jej domem wystają dziesiątki osób nawołujących, żeby się wyniosła z Francji? Że ją wyzywają od dziwek i złodziejek? Że jej dziecko

czyta plotkarskie gazety, w których opisują upojne noce matki z kochankiem? Ale Paul nie widzi powodu do darcia szat!

– Robię, co w mojej mocy, Marie.

Oczywiście! Słyszała kiedyś, że przyjaźni się z każdą byłą kochanką. Jest wspaniałomyślny i wrażliwy. Nie sposób go nie lubić.

– Napisałem list do Arrheniusa, że kampania w mediach to bzdury, a ty jesteś kobietą szanowaną i kryształowo czystą.

– Widać nie odniósł żadnego skutku – ucina Maria, tłumiąc śmiech. – Masz, poczytaj sobie. Proszę bardzo.

Paula dziwi, że kobieta nosi list przy sobie, lecz bierze go z jej rąk i czyta. „Jest pożądane, aby Pani nie zjawiła się tu 10 grudnia. Do tego dnia nie zdoła jeszcze Pani udowodnić, że dokonano fałszerstwa. Toteż proszę Panią o pozostanie we Francji”.

Langevin rzuca pismo z wściekłością. Obejmuje Marię, przytula. Przez chwilę kołysze ją w ramionach. Błądzi ustami w jej włosach.

– Co postanowiłaś? – szepce.

Maria odsuwa się, staje dumnie wyprostowana, jej twarz przybiera dziwny wyraz. Ćwiczysz przed wyjazdem do Sztokholmu?

– A jak sądzisz? Nigdy, mój drogi, nie pozwolono by sobie na zwrócenie się w ten sposób do mężczyzny. To jest właśnie wasza równość płci. Pokazano mi, gdzie moje miejsce, i dlatego właśnie – zniża głos – mimo że się poważnie zastanawiałam nad tym, czy jechać po odbiór nagrody, teraz nie mam najmniejszych wątpliwości. Odbiorę ją osobiście, ponieważ mi się należy. Nie jest żadnym dowodem życzliwości komitetu ani przypadkową wygraną chemików z fizykami, gdyż wówczas mogliby nagrodzić jakiegoś męskiego szowinistycznego chemika! Mam rację? Jestem lepsza od połowy mężczyzn i tego właśnie nie możecie ścierpieć. Informacje o moim życiu prywatnym nie widnieją w uzasadnieniu przyznania nagrody, nie widzę więc powodu, dla którego miałabym się chować przed ludźmi. Przeciwnie, niech zobaczą, z kim zadarli. Mam takie samo prawo do miłości jak każdy z was. To ty mnie ośmieszasz! – kończy z wściekłością.

– Przestań, Marie.

– Wróciłeś do niej z podkulonym ogonem! – Maria rusza ku Paulowi, jakby chciała go staranować.

– Do nikogo nie wróciłem – protestuje Paul.

– Nie rób ze mnie wariatki. – Kobieta wybucha płaczem. – Donoszą mi, że u niej bywasz.

– Jest matką moich dzieci – próbuje wyjaśnić Paul.

Dłoń Marii przelatuje mu przed nosem. Kobieta nie panuje nad gestykulacją. Jej drobne ręce drżą, co sprawia przygnębiające wrażenie.

– Nie musisz u niej nocować – cedzi.

– Marie...

– Łączy nas wszystko, Paul – madame Curie dygocze z bezsilności – zainteresowania... poglądy, światopogląd i temperament. Wszystko... poza twoim tchórzostwem. Boisz się ją zostawić.

Paul chce coś powiedzieć, ale Maria nie dopuszcza go do głosu. Jej szare oczy pociemniały.

– Nie wmawiaj mi, że zginie bez ciebie. Jesteś uczciwym, prawym człowiekiem. Płaciłbyś na dzieci, nie pozwolił jej żyć w nędzy; nie na tym polega problem. Po prostu jest ci tak wygodnie.

Maria zdaje sobie sprawę, że jest żalosna. Niepotrzebnie dręczy kochanka. Nie dowiedziała się niczego, co by ją zaskoczyło. O kochliwości Paula mówi się w jej kręgach otwarcie. Zdaje się, że i Piotr wspominał o niewierności przyjaciela.

– Czy ty nie widzisz, co się wokół dzieje? – pyta Langevin.

– Bzdura poganiana bzdurą! – Maria szaleje.

Nie dba o to, że jej głos dociera do najdalszych zakątków mieszkania Borelów i że może ją usłyszeć Bronka, a wtedy skończy się rozkoszna możliwość udawania przed nią, że ten obrzydliwy skandal nie dotyczy Marii, że jest jednym wielkim kłamstwem wyssanym z palca przez jej wrogów.

– To wszystko musi ucichnąć, zrozum – tłumaczy Paul łagodnie. – Wypisują, że jesteś Żydówką, że zagrażasz najwyższym francuskim wartościom. Porównują to z aferą Dreyfusa.

– Nie mam nic wspólnego z waszym Dreyfusem! – krzyczy Maria. – Chyba że podkreślacie własne zakłamanie i wykorzystywanie niewinnych osób do swoich rozgrywek. Czuję się zaszczuta – kończy ze łzami, siadając na kanapie. – Nie mam siły pracować, nie śpiam.

– Kocham cię, Marie.

– Na pewno? – Maria łka.

Wierzy mu. Pomijając to, czego jej nie mówi, jest uczciwy. Żaden mężczyzna nie lubi, jak kobieta ma większe osiągnięcia niż on. Poza jej Piotrem, który umarł; umarł, żeby ją pogrzyść. Żal, że męża nie ma, staje się tak wielki, jakby Piotr Curie odszedł miesiąc wcześniej. Maria słabnie, nie potrafi walczyć.

Paul znów ją obejmuje. Całują się gwałtownie, z przygnębiającym przekonaniem, że nie jest im sądzone szczęście. Bez cienia pożądania.

– Nie możesz żyć w ten sposób. Powinnaś odpocząć, nabrać dystansu do tego wszystkiego.

– Nie wyobrażam sobie przesłuchania w sądzie.

Paul rozumie wstyd kochanki. Jeanne podała w pozwie o rozwód nazwisko Marii jako tej, która rozbiła zgodne małżeństwo. Sytuacja madame Curie jest i kłopotliwa, i trudna.

- Obiecuję, że nikt o tobie nie wspomni – mówi Paul na wyrost.
- Nie wiem już, co robić – skarży się kobieta, wierzchem dłoni ocierając łzy.
- Uspokoić się.

Paul ujmuje w dłonie jej głowę, zmusza Marię, by spojrzała mu w oczy, i czule cmoka ją w nos. W tej samej chwili do salonu wkracza Bronka.

– Witaj – rzuca Langevin zmieszany. Odsuwa się od Marii bez pośpiechu, jakby chciał podkreślić, że nie łączy ich nic niestosownego.

– Dzień dobry, Paul – odzywa się Bronisława szyderczo.

Kobieta różni się od siostry – jest wysoka, postawna i sprawia wrażenie silnej. Niezależnie od tego, w jak dużym towarzystwie się znajdzie, nie sposób jej nie zauważyć. Zdawałoby się, że Maria jest przy niej szarą myszką, jednak w bezpośredniej rywalizacji to młodsza z sióstr wygrywa bój o uwagę mężczyzn. Jej harde spojrzenie elektryzuje panów, sukcesy powodują, że od razu są gotowi do wyścigu. Podświadomie czują, że mogą go nie wygrać, a to powoduje irytację i zazdrość.

– Maniu, powinnaś rzucić okiem, czy wszystko zapakowałam.

Maria jest niezadowolona, że siostra porozumiewa się z nią po polsku. Boi się, że Paul wyjdzie, korzystając z okazji.

– Zajmij się gościem – mówi więc do siostry po francusku. – Sprawdź coś i możemy wychodzić.

Bronia dostrzega zaczerwienione oczy Marii. Zastanawia się, po co jej romans, który unieszczęśliwia. Ma w laboratorium André Debierne'a. To młody zdolny, zakochany w niej mężczyzna. Nikt nie zna tajemnic jego serca, niemniej jednak wszyscy są zgodni, że wodzi za Marią oczyma. Paul Langevin to szykowny, przystojny lowelas. Co Marii po tym, że jest jedną z wielu w jego życiu?

– Obraziłem cię? Dlaczego milczysz? – pyta Paul panią Dłuską.

Instykt mu podpowiada, że powinien zdobyć sympatię Bronki. Czuje się w jej obecności niczym uczeń; wydaje się, że kobieta prześwieśla go spojrzeniem.

– Żartujesz sobie? – Bronisława reaguje po minucie, cisza więc zdaje się nieznośna.

Kobieta przygląda się Paulowi ze smutkiem. Gęste rzęsy okalające jej oczy są zachwycająco długie i gęste. Paul spuszcza wzrok, porusza się nerwowo.

– Dlaczego o wszystko mnie obwiniacie?

Wy? Bronka podnosi głowę. Czyli nie ona jedna ma mu za złe to, co robi?

– O nic cię nie obwiniam, Paul – oświadcza beznamiętnie. – Maria jest dojrzałą wolną kobietą. Ma prawo żyć, jak chce, lecz, owszem, mam pretensję, że jej namieszaleś w głowie.

Patrzą sobie prosto w oczy. W głębi domu słychać głos Marii, która z kimś rozmawia.

– Nikt nie jest dla mnie tak ważny... – zaczyna mężczyzna, ale Bronka mu

przerywa.

Jest zrezygnowana. Widać, że nie ma chęci na jałowe spory.

– Paul... zostawmy to. Oboje wiemy, jak wygląda twoja przeszłość. Nie mówię tego, żeby cię urazić. – Zamyśla się na chwilę, po czym najwyraźniej podejmuje jakąś decyzję. – Nie jestem Marią, twój urok na mnie nie działa. Powinieneś dać jej spokój.

– Kocham ją.

Bronka zaciska zęby. Zerka w okno, ciężko wzdycha. Wolałaby grać rolę nieświadomej faktów przypadkowej osoby.

– Nie wątpię, Paul, naprawdę – zapewnia cicho i łagodnie. – Kłopot w tym, że kochasz wiele kobiet. Jesteś... flirciarzem, tak to nazwijmy.

– Związek z Marie... – Paul podejmuje kolejną próbę przekonania jej o swoich dobrych zamiarach.

Nie ma nic gorszego od poszarzałej twarzy kłamcy, który nie wie, jak oczywista jest jego wina dla postronnych obserwatorów. Mięsień lewego policzka drży mu delikatnie.

W salonie zrobiło się ciemno. Chmury nad Paryżem wróżą rychłe opady śniegu. Są grafitowe, wiszą nisko.

– Związek? – szydzi Bronka. – O czym mówisz? Po całej Europie rozsyłacie listy, że niczego między wami nie ma. To żenujące, nie uważasz? Jak zamierzasz ukryć to, że wasz romans trwa? Zwłaszcza przed własną żoną? Przed sądem, dziennikarzami, rodziną żony, kolegami z pracy? Macie wszystkich za idiotów? Maria nie zniesie takiego obciążenia. Inaczej ją wychowano – urywa gwałtownie. – Wyjdźmy na chwilę przed dom – mówi z niechęcią.

Nie narzuca płaszcz, więc Paul także nie sięga po swój. Owiewa ich mroźne powietrze. Bronka patrzy na drugą stronę ulicy, gdzie kilkulatek ślizga się po niewielkiej zamarznętej kałuży.

– Domyślam się, że masz mi do powiedzenia coś przykrego – odzywa się Langevin. Denerwuje go, że rodzina Skłodowskich czuje się w prawie zanudzać go kazaniem na temat przyzwoitości. Nie zadaje się z nastoletnią panną! – Słucham – burczy, nie kryjąc irytacji.

– Nie zależy mi na tym, żeby cię pognać, zależy mi na dobru siostry.

– O co chodzi? – Paul przerywa ze znużeniem. Nie ma chęci przedłużać rozmowy; z góry wie, co usłyszy. Szkoda czasu. Dał się wmanewrować w chory układ.

– Lubisz kobiety, jesteś miłym i dobrym człowiekiem, więc i one ciebie nie unikają...

– Do czego zmierzasz? – pyta oschle.

Spieszy się. Jest umówiony ze studentką, która myśli o pisaniu doktoratu. Trzeba jej umożliwić pracę w laboratorium. Paul czuje dziwny dreszcz.

Dziewczyna jest wspaniała, bardzo kobieca i zadbana.

– Bywasz w towarzystwie, nadskakujesz pewnej damie...

Słowa Bronki wyrywają go z rozmyślań o studentce. Czerwieni się gwałtownie, jakby siostra Marii przejrzała go na wylot. Przez moment nie rozumie, kogo Bronisława ma na myśli. Przypomniał sobie, że mignęła mu na ulicy, gdy opuszczał kawiarnię w towarzystwie obiecującej studentki, kolejny raz czuje gorąco napływające do twarzy. Nie był pewny, czy to Bronka. Ciekawe, że tylko tajemnice, o których ujawnieniu marzysz, nigdy nie wychodzą na jaw. Jest wściekły – zwłaszcza z powodu niedopuszczalnego wścibstwa Bronisławy.

– To... – zaczyna.

– Szczera prawda – wchodzi mu w słowo kobieta. – Wiesz, że my z Kazimierzem mamy w Paryżu mnóstwo przyjaciół. Nie czynię ci wymówek, proszę tylko, żebyś zostawił moją siostrę w spokoju. Wasz związek nie ma sensu. Nie odejdziesz od żony i nie zmienisz stylu życia. Złamiesz Marii serce. Opinię już ma zszarganą – dodaje bezlitośnie.

Paul jest zdezorientowany. Bywa w różnych miejscach, czasem towarzyszą mu kobiety. Nie znaczy to, że z każdą romansuje. Albo chciałby romansować.

– Jak mam to zrobić? – pyta bezradnie. – Jeśli ją opuszczę...

– Wesprze ją rodzina, nie przeceniaj swojej roli – ubiega go Bronka i nie jest już subtelna. Wciąż przygląda się pozostawionemu bez opieki malcowi, ale reaguje na każde słowo Paula.

– Uzna mnie za łajdaka.

– Widziałeś, w jakim jest stanie? – pyta Bronisława, przenosząc wzrok na mężczyznę. – Od miesiąca nie była w laboratorium. Wiesz, co to znaczy? Nauka jest dla niej najważniejsza, bez niej Marii nie ma. Jeśli jej to odbierzesz, znienawidzi cię.

Niespodziewanie krew uderza mężczyźnie do głowy. Niemożliwe, by jej doniesiono...

Szare chmury potęgują wściekłość Paula. Wszystko jest bez sensu – jego życie, związki, plotkarska atmosfera Paryża. Kobieta, z którą ktoś go musiał widzieć, nic dla niego nie znaczy. Ot, przelotny całus na dobranoc.

– Ciebie o to oskarży.

Paul przypomina sobie, o czym rozmawiają. Ma pretensję do całego świata, że rzuca mu kłody pod nogi. Choćby André Debieerne. Nigdy nie starał się pomóc, nigdy nie rozumiał. Uważa się za dyrektora laboratorium. Daje Marii rady; *André-dobra-rada*. Paul roztkliwia się nad sobą; jest starszy od Debieerne'a, więc to on powinien kierować laboratorium pod nieobecność szefowej. Zapomina, że pod nieobecność Marii nie bywa na ulicy Cuvier.

– Zamierzasz jej powiedzieć? – rzuca niespokojnie.

Nie chce ranić Marii. Nie może ścierpieć myśli, że Bronka powtórzy siostrze

jakieś strzępy plotek – niesprawiedliwych i bolesnych dla niego – nie zastanawiając się nad konsekwencjami. Jest bezbronny.

– Liczę, że się zachowasz jak dżentelmen – odpowiada Bronisława enigmatycznie.

– Kocham ją.

Paul dostrzega, że się powtarza, a co gorsza, przestaje być pewien miłości do Marii. Zmęczenie jest w stanie zabić każde uczucie. Tym bardziej jego pozór. Marzy o dniu bez zobowiązań, o tym, żeby stać się niewidzialnym i pozbyć wszelkich kłopotów.

– Wierzę ci, Paul, ale Maria potrzebuje wyłączności. Nie niszcz jej kariery. W przeciwnym razie...

– Skończ już, Bronka! To się staje... obrzydliwe – cedzi jej prosto w twarz, po czym bez pośpiechu odchodzi.

Dopiero teraz kobieta czuje, że przemarzła na kość. Wchodzi do domu Borełów, jakby się zanurzała w ciepłej wodzie. Napotyka wzrok Marii, która akurat pojawiła się w holu z walizką. W oczach siostry widać obawę, czy Bronka nie zraziła Paula jakimś nieprzemyślanym komentarzem. Pani Dłuska zdaje sobie sprawę, że walcząca o Langevina Maria nie jest jej sprzymierzeńcem. Boleje nad tym, zwłaszcza że nie znała takiej siostry – zaślepionej i niesprawiedliwej. To ktoś obcy... dziwny... podejrzliwy i zaborczy. Dłuska nie chce stracić kontaktu z Marią tylko dlatego, że nie akceptuje jej miłości.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Paryż, 9 kwietnia 1894

Piotr Curie stał przy otwartych drzwiach balkonowych, co ją zdziwiło, bo dzień był chłodny. Miał na sobie niebieską, lekko wygniecioną koszulę. Spodnie również wymagały prasowania. Był wysoki i przystojny, odrobinę onieśmielający... Takie zrobił na niej wrażenie. Zawstydziała się, kiedy go ujrzała.

Z głębi mieszkania dochodziły głosy państwa Kowalskich. Maria zastanawiała się, czy celowo zostawili ją sam na sam z tym nietuzinkowym Francuzem o zachwycających orzechowych oczach, które patrzyły tak dojrzałe. Podobał jej się, a naprawdę rzadko myślała w tych kategoriach o mężczyźnie, którego widziała po raz pierwszy.

Skromnie spuściła wzrok i czekała, aż profesor Curie, jak go przedstawił Józef Kowalski, odezwie się pierwszy. Tymczasem Francuz ani myślał zaczynać rozmowy. Rzuciła mu wreszcie szybkie pytające spojrzenie i zarumieniła się, stwierdziwszy, że ją obserwuje. Uśmiechał się. Był to przyjazny, ciepły uśmiech kogoś, kto nas lubi. Czy profesor mógł ją lubić? Ofuknęła się w duchu za podobne myśli, jak też i za to, że Piotr najwyraźniej dostrzegł, iż prowadzi wewnętrzny dialog. Chyba go to ubawiło.

– Józef wspomniał, że skończyła pani fizykę na Sorbonie, a przed panią matematyka – powiedział wreszcie.

Zabrzmiało pochlebnie, Maria czuła jednak, że chwalenie się przed tym człowiekiem byłoby szaleństwem. Nie dorastała mu do pięt. Piotr Curie wykładał w szkole wyższej. Według profesora Kowalskiego był wybitny. Jego sława sięgała daleko poza granice Francji, możliwe nawet, że tam właśnie była większa.

– Kończę naukę w tym roku – przyznała.

– I co dalej?

Pytał całym sobą. Przyglądał się Marii, a jego piękne smukłe dłonie poruszały się powoli wzdłuż framugi drzwi. Jego modna, nieco kanciasta fryzura bardzo jej się podobała. Naprawdę jest przystojny, pomyślała, i kolejny raz poczerwieniała.

– Pyta pan, o czym marzę, czy na co mam szansę? – spytała. – Które *dalej* ma pan na myśli?

Nie spieszył się z odpowiedzią. W ogóle mówił bardzo wolno i starannie dobierał słowa.

– Pytam o pani marzenia. Jeśli się czegoś pragnie wystarczająco mocno, to się urzeczywistnia – stwierdził.

– Bieda zabija każde marzenie – oświadczyła Maria i natychmiast pomyślała,

że jej gorzkie uwagi go nie obchodzą, nie może też ich właściwie zrozumieć.

Poczuła się niewarta jego zainteresowania... nawet jako kobieta. Była w swojej starej, przetartej w kilku miejscach sukni; szara... zaniedbana. Nie poznawała samej siebie! Jakie miało znaczenie, co na siebie włożyła?

– Bieda zabija marzenia? Tak pani sądzi? – zdziwił się.

Nie wiedziała, czy to prowokacja, czy współczucie.

– Wielu Polaków już na starcie jest bez szans – wytłumaczyła, jakby mogła go interesować sytuacja jej rodaków na obczyźnie. – Miałam nadzieję, że do czegoś dojdę i zdobędę wpływ... – przerwała nagle i zrezygnowała z dokończenia myśli. – To głupie. Jeden człowiek nie ma na nic wpływu.

Piotr się zadumał. Maria żałowała, że nie może poznać jego myśli. Im wolniej poruszały się jego dłonie, z tym większą nerwowością postukiwała pantoflem w drewnianą podłogę.

– Zaszła pani bardzo daleko.

Droczył się z nią czy naprawdę tak uważał? Poprawiła fryzurę.

– Żartuje pan. Nic nie znaczę – powiedziała, na wszelki wypadek dystansując się od komplementu.

Piotr Curie hipnotyzował ją wzrokiem.

– Na razie... – szepnął i w tej samej chwili zerknął w okno.

Bezlistne drzewa kołysały się delikatnie na tle stalowego nieba. Za ścianą niedawno poślubieni Kowalscy prowadzili z kimś ożywioną dyskusję.

– Jest pan profesorem w PC? – Użyła skrótu, by wykazać się znajomością instytucji naukowych Paryża.

– Owszem. – Skinął głową. Jego oczy zdradzały rozkojarzenie, twarz przybrała marzycielski wyraz.

– Pracuje pan z bratem? – Ledwie zapytała, ogarnął ją wstyd, że się odwołuje do prywatnych informacji, jakie zdobyła.

– Czasem – przyznał.

Zamknął okno; w samą porę, gdyż dłonie zeszywniały jej z zimna. Ukryła jedną z nich w fałdach sukni.

– Profesor Kowalski wspominał, że jesteście odkrywcami piezo-elektryczności – powiedziała, kolejny raz dając dowód, że zna odpowiedzi na stawiane mu pytania.

– Zajmuję się symetrią w zjawiskach fizycznych – odparł ze znużeniem, jakby stanowczo zbyt często musiał to tłumaczyć.

– Brzmi interesująco.

– Dlaczego pani tak uważa?

Piotr postanowił zażartować z Marii, zmusić ją, by przyznała, że symetria nie budzi jej zainteresowania – nawet nie wynikało to ze złośliwości, zwyczajnie, chciał to zrobić dla zabawy. Uznał, że to dopuszczalna forma żartu. Znał kobiety.

Puszyły się, uwodziły, żeby zdobyć mężczyznę do kolekcji i porzucić; wytrącały z równowagi, odbierały siły, rozleniwiały. Mógłby mnożyć przykłady złego wpływu niewiast. Studentki nie były wyjątkiem. Maria nie była wyjątkiem. Czasem wydawało mu się, że wyjątki w ogóle nie istnieją.

– Zawsze miałam wrażenie, że symetria jest wyrazem piękna we wszechświecie – zaczęła z właściwą sobie prostotą. – Choć zapewne w pańskich badaniach chodzi o coś innego.

– Chodzi o wiele aspektów, ale swoją uwagę świetnie pani weszła w temat – rzekł wesoło. – Kończę doktorat; jego temat brzmi: *Właściwości magnetyczne ciał w różnych temperaturach*.

– A ja pracuję w laboratorium profesora Lippmanna nad zleceniem, które dostałam od Société d'Encouragement pour l'Industrie Nationale – odwzajemniła się z uśmiechem. – Badam własności magnetyczne różnych stali.

– Czy to możliwe? – spytał, nie spuszczać z niej wzroku.

– Nie rozumiem.

– Możliwe, że tyle nas łączy?

– Najwyraźniej – przyznała, po czym gładko przeszła do problemu, z którego powodu chciała go poznać. – Niestety, warunki w laboratorium na Sorbonie są koszmarnie.

Wzruszył ramionami. Miał więc rację; wyjątków nie ma. Liczą się jedynie interesy. Kobiety załatwiają swoje sprawy.

Maria była przyzwyczajona, że mężczyźni z jej otoczenia noszą marynarki. Profesor Curie miał na sobie koszulę. Zastanawiała się przez moment, czy to dowód na to, jak traktuje spotkanie z nią, bo przecież przyszedł tu dla niej; tak przynajmniej twierdził profesor Kowalski. Odpędziła tę myśl, nie chcąc psuć miłej atmosfery, którą mimo wszystko stworzył – bo przecież ona była tylko uczennicą odpowiadającą na pytania.

– Jak niemal wszędzie, prawda? – zauważył lekceważąco. – Któż nie ma problemów z brakiem powierzchni i aparatury?

– Liczyłam, że mnie pan wesprze – zaryzykowała i powiedziała wprost, czego oczekuje. Uznała, że szczerłość jest najlepszą strategią w stosunku do tego niezwykłego człowieka.

– Jak? Mam udostępnić pani przestrzeń laboratoryjną? – domyślił się po chwili.

– Na przykład – bąknęła zawstydzona.

– Przykro mi, to niemożliwe.

Nie dostrzegła, by mu było przykro. Zamyślił się nad czymś. Poczwała żal, tym większy, że była niemal pewna, iż mu się podoba. Dlaczego skojarzyła to z chęcią pomocy? Ponieważ tak właśnie to działało? Oczarowywała mężczyzn, a oni stawali na głowie, by ją wesprzeć? Jak widać, nie wszyscy.

– Mógłbym pani przesłać swoje wykresy, przedstawiające magnesowanie się żelaza w różnych temperaturach – usłyszała nagle. – Nieco poprawione po rozmowie z lordem Kelvinem.

Wyprostowała się, nie wierząc własnym uszom. Czy Piotr Curie pragnął jej zaimponować? Czy uwaga o spotkaniu z legendarnym angielskim uczonym wynikała ze snobizmu?

Piotr stał zamyślony. Nie wyglądał na kogoś, kto próbuje zrobić wrażenie, przeciwnie, wydawało jej się, że w ogóle nie zwraca na nią uwagi.

– Chętnie je zobaczę – powiedziała uprzejmie, niepewna, czy ją słyszy.

– Uważam, że elementy symetrii przyczyn zawsze dadzą się odnaleźć w wywołanych skutkach – rzekł z namysłem.

– A gdy skutki wykazują asymetrię, czy jest też w przyczynach? – zapytała.

Nie zdołał ukryć zaskoczenia.

– Właśnie tak – przyznał. – Oglądała pani dachy Paryża z wieży Eiffla? – nagle zmienił temat.

Zachichotała, zadowolona, że nie tylko ona się ośmiesza.

– Mieszkam tu od ponad trzech lat – przypomniała.

Piotr się nie przejął popełnioną gafą. Odzywał się, kiedy uważał za stosowne, jakby się znajdował w innym wymiarze. Nawet gdy patrzył Marii prosto w oczy, zdawał się nieobecny duchem.

– Bywam roztargniony – przyznał rozbijając. – Gdzie pani mieszka?

Pytanie samotnej kobiety o adres nie świadczyło najlepiej o jego kulturze osobistej, ale może dlatego, że był tak bezpośredni, Maria odpowiedziała bez oporów, choć ogólnikowo:

– W Dzielnicy Łacińskiej.

– Mogłem zgadnąć – mruknął. – Dzielnica studentów, artystów i... – szukał właściwego określenia.

– Prostytutek – odpowiedziała grzecznie, ciekawa jego reakcji.

Ta była szybka. Piotr się wyprostował, a Marii wydało się, że jest między nimi nienaturalna dysproporcja. Asymetria, pomyślała, używając języka jego przemyśleń.

– Nie chciałem być niemiły – oświadczył z wyżyn swojej profesorskości.

– Podejrzewam, że pan nie potrafi – skwitowała.

Czasem zdarzało się, że nabierała do kogoś zaufania po kilku minutach od poznania tej osoby. Tak było z Piotrem. Szybko się zorientowała, że jest on wyrośniętym uroczym dzieckiem. Był niemal bez reszty zaprzątnięty pracą naukową, jak wspomniał profesor Kowalski.

– Jest pan stąd? Tu się pan uczył od podstaw? W Paryżu?

Piotr skrzywił się. Przyszło mu do głowy, że gdyby poznał tę niezwykłą Polkę bez pośrednictwa Józefa Kowalskiego, który mu o niej opowiedział, nie

uwierzyłyby w jej autentyczność. Lata temu stracił nadzieję na spotkanie swojej drugiej połowy, kobiety rozumiejącej jego pracę, bez reszty zaangażowanej w badania naukowe.

– Jeżeli ma pani na myśli szkołę, to do matury nie uczęszczałem do żadnej.

– Jak to? – wyrwało się Marii.

– Uczył mnie ojciec... lekarz. Nie pasuję do systemu edukacji...

– Chodzi panu o to, że wszystkich uczniów traktuje się jednakowo? – niegrzecznie weszła mu w słowo.

– Nie tylko – odparł. – Mylę litery, robię błędy. Czasem muszę coś przeczytać głośno, żeby zrozumieć... – Zamilkł, dochodząc do wniosku, że nie powinien odkrywać swoich słabych stron przed kobietą, którą dopiero poznał. Podobało mu się, że Maria nie jest elegantką. Dzięki temu czuł się w jej towarzystwie swobodnie. Uznał, że jest skromna i niewykluczone, iż rzeczywiście wie, co jest w życiu istotne. Chyba tak mówił o niej Kowalski.

– Moja siostra Bronka opowiadała kiedyś o schorzeniu, które się objawia podobnie do pańskiego.

– Wolalbym to nazywać roztargnieniem niż chorobą – skwitował rozbawiony, zawstydzając Marię. – Jak brzmi pani imię po polsku? Dlaczego wymawia się je z francuska?

– Zapisując się na Sorbonę, podałam francuską wersję imienia. Uznałam, że to będzie miły gest w stosunku do Francuzów, którzy mi umożliwili studiowanie – wyjaśniła.

Kiedy Piotr wskazał kanapę i oboje usiedli, zdała sobie sprawę, że przez co najmniej pół godziny żadnemu z nich nie przeszkadzało, że stali. W jego towarzystwie czas pędził na złamanie karku i choć raz po raz czuła się zawstydzona, nawet to było przyjemne. Nie wiedziała tylko, jak ich rozmowę odbiera profesor Curie.

– Dobrze pani w studenckiej mniejszości?

Zastanawiała się, czy ma na myśli Polaków, czy kobiety, uznała jednak, że ktoś jego pokroju, pochłonięty pracą naukową, nie zwraca uwagi na płeć badacza.

– Jest nas obcokrajowców około dwustu na całej uczelni.

– A studentów pewnie z osiem tysięcy? – Uśmiechnął się zyczliwie.

– Prawie dziesięć.

– Kto panią uczył fizyki poza Gabrielem Lippmannem? Edmond Bouty?

– Tak, a matematyki Paul Appell i Henri Poincaré – dodała.

– Jak pani poszedł egzamin końcowy?

– Nieźle.

Piotr, który siedział zwrócony do niej profilem, nagle obrócił głowę i spojrzał jej w oczy tak głęboko, że chyba po raz setny się zaczerwieniła. Był naprawdę przystojny. Niesamowicie, niezaprzeczalnie przystojny. W ogóle nie

czuła, że jest od niej starszy. Wyglądał bardzo młodo.

– Józef wspomniał, że była pani najlepsza.

Roześmiała się. Uwielbiała te rzadkie chwile, kiedy się okazywało, że jej osiągnięcia w nauce bywają doceniane.

– Sprawdza mnie pan? – Chichotała i, o dziwo, Piotr przyłączył się do jej śmiechu.

Pierwszy raz przyszło Marii do głowy, że Piotr Curie również jest zakłopotany. Czyżby jednak mu się podobała?

– Lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia – rzekł z namysłem. Każde jego słowo nabierało wagi właśnie dlatego, że wymawiał je tak wolno, z namaszczeniem. – Świetnie pani mówi po francusku; niemal bez obcego akcentu.

– Na pewno nie ma pan problemów ze słuchem? – zapytała.

Piotr uniósł brew. Zastanawiał się nad czymś przez moment, wysunąwszy brodę.

– Czy ja wiem? – mruknął. – Patrząc na mnie, odnosi się zapewne wrażenie, że w niczym nie jestem doskonały. Mało co mnie interesuje. Całe dni spędzam w laboratorium.

– Ja również – rzuciła niefrasobliwie.

To, że przedstawił się w nie najlepszym świetle, w ogóle nie wpłynęło na sposób, w jaki go postrzegała. Założyła, że to z jego strony kokieteria.

– Jest pani piękną kobietą, musi pani gdzieś bywać – obruszył się.

– Owszem, na wykładach i w laboratoriach – zgodziła się przekornie.

– Czyli jest pani zaręczona ze studentem... albo profesorem.

Chciał się dowiedzieć, czy jest z kimś związana? Pochlebiało jej, że wybitny naukowiec zadaje sobie tyle trudu, by ją lepiej poznać. Był naprawdę wzruszający.

– Zaręczona z nauką.

Piotr Curie parsknął śmiechem. Wstał z kanapy. Widać było, że odczuwa potrzebę ruchu. Marii to nie przeszkadzało. Z przyjemnością przyglądała się, jak chodzi, podziwiała jego smukłą sylwetkę. Dziwne, że równie atrakcyjny mężczyzna był samotny.

– Nie wierzę w nasze podobieństwo, bo ja jestem... nudny – podsumował ich wesołą wymianę zdań. – Szczerze powiedziawszy, nie interesuje mnie nic poza badaniami naukowymi.

– Nawet polityce nie daje się pan porwać? – zapytała z niedowierzaniem.

Wszyscy jej rodacy politykowali, właściwie niezależnie od płci, nawet ona... w każdym razie do pewnego stopnia, gdyż z aktywnego manifestowania swoich poglądów politycznych wycofała się już na pierwszym roku studiów po ostrzeżeniu ojca, że władze w Warszawie bacznie obserwują Polaków studiujących za granicą. Nie chciała mieć problemów.

– Z rzadka daję się ponieść szaleństwu... na przykład napotkawszy jakiś

zachwycający wzór. – Piotr Curie wybuchnął śmiechem, wyobrażając sobie, co musi o tym myśleć postronny obserwator. – Skoro już pani pyta – dodał usprawiedliwiająco.

– A ja wstawiałam wzory, pisząc listy do ojca – przekomarzała się Maria. – Oboje jesteście nienormalni.

– Może nie aż tak, Marie – pierwszy raz wypowiedział jej imię. – Przepraszam za poufałość.

Nie zdążyła zareagować, ponieważ wszedł profesor Kowalski z jakimś młodym mężczyzną.

– Wybaczcie mi, kochani – rzucił zaabsorbowany – ale zagadałem się z właścicielem kamienicy. Pozwólcie, że wam przedstawię Fryderyka Millera. Studiuje na Sorbonie medycynę.

– Bardzo chciałem panią poznać – wyznał Fryderyk.

Obecność Piotra Curie nie robiła na nim żadnego wrażenia, za to o Marii musiał sporo słyszeć.

– Pan mnie z kimś pomylił – powiedziała Maria, mimo że entuzjazm w jego głosie sprawił jej przyjemność.

Mężczyzna rzucił jej spojrzenie pełne uwielbienia.

– Pani się nie da z nikim pomylić, panno Skłodowska – szepnął bezbłędną francuszczyzną. – Ja i moi koledzy wielokrotnie przyglądaliśmy się pani w bibliotece Świętej Genowefy.

Zachichotała, nie protestując. Rzeczywiście spędzała tam od lat wiele godzin dziennie.

Kędzierzawy Niemiec o twarzy rasowego Włocha nie spuszczał z niej wzroku. Na moment zapomniała o Piotrze Curie. Zresztą skoro nie mógł jej pomóc w sprawie laboratorium, w zasadzie nie było powodu do podtrzymywania znajomości. Obracali się w innych kręgach.

– Zapraszam do stołu – usłyszeli żonę gospodarza. – Napijmy się herbaty. Panno Mario, proszę wybrać miejsce, a my się do pani dostosujemy.

Piotr Curie zmarszczył czoło. Widząc, jak entuzjastycznie Fryderyk Miller powitał Polkę, i widząc jej rozbawienie, udał, że przestała go interesować.

– Wybacz mi, Józiu – zwrócił się do profesora Kowalskiego – ale mam spotkanie. Niestety – zająknął się – nie mogę pomóc pani Skłowski.

– Skłodowskiej – poprawiła Maria.

– Skiej – powtórzył beznamiętnie. – Nie słyszałem o laboratorium, które mogłaby pani wynająć. Ani o niczym innym... nie słyszałem. Pani wybacz.

Józef Kowalski zdumionym wzrokiem odprowadził Piotra do drzwi, uczony bowiem energicznie, niemal z impetem opuścił mieszkanie, ledwie pożegnawszy jego żonę. Maria pomyślała, że u Piotra odezwała się zazdrość o Fryderyka Millera, zaraz jednak zbeształa się w duchu za próżność. Chwilowy triumf zastąpiło uczucie

przykrości, że czymś musiała urazić pana Curie, skoro wyszedł tak nagle. Świetnie im się przecież rozmawiało. Czyż nie?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Paryż, 17 grudnia 1911

Zapada zmierzch. Od Sekwany wieje lodowaty wiatr. Światło latarni przydaje ulicom Paryża jeszcze większego uroku, niż mają za dnia. Nie zmienia tego nawet widok bezlistnych drzew.

Bronisława Dłuska zaciska z gniewem wargi. Nie rozumie siostry. Przyjechała z Polski specjalnie dla niej. Towarzyszyła jej podczas wręczania drugiej Nagrody Nobla w Sztokholmie. Wspierała, usuwała sprzed oczu lżące ją szmatławce. Paryż chciał się Marii pozbyć. Ile czasu potrzebuje, by to pojąć?

Maria kroczy przed siebie, nie zwracając uwagi na siostrę. Omija przechodniów, których jest wielu mimo późnej pory – to odróżnia Paryż od Warszawy – coraz szybszym krokiem.

Pośpiech nie przystoi damie, myśli Bronka.

– Dziwię ci się, że mając możliwość powrotu do Warszawy – zaczyna chłodno – rodzinę i przyjaciół, zapewnioną pracę, zostajesz we Francji, gdzie jesteś... nie wiem nawet, jak to ująć... persona non grata.

– To nie takie proste – ucina Maria.

Taka właśnie jest madame Curie, myśli Bronka z goryczą. Mało słów i ośli upór. Jej zdaniem młodsza siostra coraz częściej przekracza granicę, za którą małomówność można uznać za niekomunikatywność. Lub impertynencję.

Bronka wie, że Maria przeżywa koszmar, dlatego ani chwili się nie zastanawiała, czy przyjechać, by ją wesprzeć, oderwać myśli siostry od skandalu, jaki rozpętano, dać jej odczuć, że nie jest sama. Wie, ale czuje gniew, ponieważ Maria nie przyjmuje jej pomocy. Pani Dłuska jest z nią od ponad miesiąca, a wciąż nie ma pewności, czy jej obecność czemukolwiek służy.

– Ja bym nie potrafiła chodzić do pracy, gdzie koledzy krzywo na mnie patrzą – burczy. – Kiedy w pociągu do Sztokholmu powiedziałaś, że przewodniczący Komitetu Noblowskiego wystąpił do ciebie z pismem, w którym prosił, żebyś nie przyjeżdżała odebrać nagrody, zamurowało mnie. Marysiu!

Maria staje. Bronka, która zdążyła ją wyprzedzić o parę kroków, wraca. Siostra patrzy jej prosto w oczy.

– Ludzie uwielbiają babrać się w błocie – cedzi.

Jej wargi pobladły, skóra zbielała, odcina się od niej zaczerwieniony z zimna nos. W szczupłej twarzy o nieco zapadniętych policzkach oczy wydają się ogromne i tragiczne. Bronkę przechodzą ciarki na myśl, że nawet w części nie jest świadoma przeżyć siostry. Co ją boli? Skandal czy to, że Paul odchodzi?

– Nie wiem, może nie doceniam tego, co tu masz.

Bronka bierze siostrę pod rękę i ruszają wolnym krokiem w stronę mostu. Dłuska dziękuje Bogu, że ich ojciec nie dożył tej chwili. Nie zniósłby atmosfery skandalu wokół córki.

– Chodzisz na wykłady, wiedząc, że każdy student... – zaczyna.

– Daj mi spokój – obrusza się Maria. Kocha siostrę, stara się panować nad sobą, gdy się do niej zwraca, uważa ją za przyjaciela, ale nie może słuchać ciągłego utyskiwania. Nie chce być umoralniana. Pragnie spokoju. Potrzebuje ciszy, żeby się skoncentrować. – Zostaw ten temat, dobrze? – odzywa się łagodniej.

Przez jej twarz przebiega skurcz, światło latarni wydobywa z mroku dzikie spojrzenie. Bronka boi się, że siostra traci zmysły.

– W Sceaux jest pochowany Piotr – wyjaśnia Maria; głos jej drży. – Dziewczynki są pół-Francuzkami. Spędziłam tu tyle samo czasu, ile w Polsce, z tą różnicą, że tu żyłam jako człowiek dorosły, świadomy własnych wyborów i tego, co się dzieje.

Bronka kwituje to wyznanie ciężkim westchnieniem, ponieważ paryska dojrzałość siostry, na którą się powołuje, nie przyniosła niczego dobrego.

– Rodzice nie żyją, nie mam po co wracać do Warszawy. Wybacz, źle to zabrzmiało – mityguje się Maria, dostrzegłszy, że sprawiła Bronce przykrość. – Nie mieszkasz w Warszawie. Ile razy w roku odwiedzę was w Zakopanem? Tyle samo razy mogę się tam wybrać z Paryża. Nie mam racji? Dziewczynki potrzebują warunków...

– Maniu, uczyłaś się w carskim gimnazjum i jakoś ci to nie złamało kariery – wtrąca Bronka, zirytowana wymówkami siostry.

Ojczyzna potrzebuje Marii. Polacy jej potrzebują. Ma wiele do zrobienia. Paryż stał się dla niej jałową wrogą ziemią.

– Moje dzieci mają wybór – upiera się Maria. Nie wyobraża sobie, że córki miałyby przechodzić jej niegdysiejszą drogę przez mękę. – Nie pozbawię ich najlepszych szkół na świecie tylko dlatego, że mi ciężko.

– Szkoły średnie we Francji nie są dobre, o czym doskonale wiesz – ucina Bronka. – Nie mogłabym pracować z ludźmi, którzy pisali petycje do władz, żeby się mnie pozbyć.

– A ja mogę. Gdybym cokolwiek w życiu robiła dla innych, dawno już musiałabym strzelić sobie w łeb.

Bronka patrzy zaskoczona.

– Zawsze mi się wydawało, że pracujesz dla ludzi.

– Efekt mojej pracy służy ludziom – precyzuje Maria po namyśle. – Nie mam duszy niewolnika. Zlecenia dla przemysłu nigdy mnie nie cieszyły. Realizowałam je, by zdobyć pieniądze. Zawsze robię tylko to, co uważam za słuszne. Nikt mnie nie prześladowuje. W każdym razie plotki do mnie nie docierają – tłumaczy, jakby chciała przekonać samą siebie.

Bagatelizuje to, co się dzieje, w przeciwnym razie zwariowałyby. Nie udźwignęłaby ciężaru rozstania z Paulem, wmawia więc sobie, że on nie potrafi bez niej żyć. A koledzy na Sorbonie? Maria uzbraja się w obojętność i nie zwraca uwagi na to, czy jest akceptowana. Odkąd pracuje naukowo, tu i ówdzie spotyka się z ostracyzmem. Nawykła do tego.

– Zrobisz, co uznasz za słuszne – mamrocze Bronka, jednak nie może się pogodzić z bezsensownym uporem siostry, więc mówi dalej: – Nic cię tu nie trzyma. Paryż nigdy cię nie kochał. Żal było patrzeć, kiedy studiowałaś. Myślisz, że nie pamiętam, jak wracałaś do domu ze łzami w oczach...

– Poradziłam sobie – przerywa z irytacją Maria.

– Okupiłaś to zdrowiem. – Bronka traci cierpliwość.

Nie rozumie siostry i jej pozorowanego bohaterstwa. Francja miała być dla niej pośrednikiem w zdobyciu uznania świata nauki; teraz, gdy Maria jest sławna, powinna ją opuścić. To nieprzyjazny kraj.

Bronisławie wydaje się, że w mijanej bramie coś się poruszyło.

– Byłam tu szczęśliwa. Nie chcesz o tym pamiętać, ponieważ marzy ci się, że zrobię wrażenie na rodakach – atakuje Maria.

– Przedstawiasz się obcym ludziom jako Dłuska. To wystarczy za komentarz – cedzi Bronka.

Ktoś odpycha ją gwałtownie, torując sobie drogę do Marii.

– Podła szmata! – rozlega się na całą ulicę.

Ludzie odwracają się, ciekawi, skąd dobiega krzyk. Przed Marią stoją dwie kobiety, jedna z nich szturcha ją w ramię – raz za razem.

– Jak ci nie wstyd... dziwko! – wrzeszczy na całe gardło.

Najwyraźniej chce, żeby wszyscy słyszeli. Robi się małe zbiegowisko, jak to w Paryżu, mieście wszelkich rozrywek, również tych w złym guście.

– O co pani chodzi? Proszę odejść. – Oszołomiona Bronka bierze incydent za pomyłkę.

– Pani Langevin – szepce Maria.

Nie zamyka ust. Jest tak blada, że widać to nawet w półmroku. Grupa gapiów błyskawicznie orientuje się, kto bierze udział w zajściu.

Oczy Jeanne Langevin lśnią złowrogo. Kobieta wpatruje się w rywalkę z nienawiścią.

– Zabiję cię, lafiryndo... – syczy. Chwyta kochankę męża za połą płaszcz, szarpie, otwartą dłonią uderza tak, że upięte włosy stojącej bezradnie Marii rozsypują się.

– Proszę się uspokoić. Niech pani odejdzie – powtarza Bronka, do której dotarło wreszcie, kim jest napastniczka.

– Ja mam odejść?! Ja mam odejść?! – drze się Jeanne, wyraźnie zadowolona, że ma tylu widzów. – A kim pani jest? Przyjaciółką tej rozpustnej Żydówki?

Niech wszyscy wiedzą, jak się prowadzi madame Curie.

Nazwisko Marii robi wrażenie. Ludzie podają je sobie z ust do ust.

– Wezwę żandarmerię! – ostrzega Bronka, próbując zasłonić siostrę.

Maria stoi bez ruchu, jakby skamieniała na widok żony Paula.

– Wzywaj, droga wolna! – Jeanne rechocze. Ma na sobie jasny płaszcz. Jest dorodna, przykuwa spojrzenia zgromadzonych mężczyzn. Maria wygląda jak jej dziecko. – Cudzych mężów się zachciało, tak?! Kochanka sobie znalazła! – Jeanne zachowuje się, jakby stała na scenie. Spogląda w stronę gapiów, nawiązuje kontakt wzrokowy z tymi, którzy zdają się gotowi do czynnego uczestnictwa w przedstawieniu. – Ojca czwórki dzieci od rodziny chce odciągnąć – mówi do nich. – Szmata jedna. Uczona... sławna... psia jej mać... Całymi dniami w laboratorium siedzi, po Sorbonie dupą kręci i strzela oczami! – Pani Langevin robi kilka kroków, kręcąc biodrami, by pokazać zebranym, jak wygląda polowanie Marii na mężczyzn.

– Chodźmy, Maniu – prosi Bronka po polsku, usiłując zmusić siostrę do odejścia.

Maria stoi jak wmurowana. Jeanne wciąż ją poszturchuje, a ponieważ obrażana nie protestuje, publika dochodzi do wniosku, że oskarżenia pani Langevin są słuszne. Nikt się nie przejmuje wulgarnością napastniczki.

– Co tam pytlujesz po swojemu, Żydówko? – rzuca z wściekłością Jeanne, nie rozumiejąc, co mówi jedna z Polek.

Maria wciąż milczy. Bronisława bezskutecznie stara się pociągnąć ją za sobą.

– Po francusku gadaj, skoro francuskie rodziny rozbijasz! – krzyczy pani Langevin.

Kilku gapiów bije brawo, potakując głośno.

– Wynoś się z Paryża. Ale już!

Jeanne podchodzi do Marii. Jest tak blisko, że uczona niemal czuje jej oddech. Patrzą sobie w oczy – pani Langevin ze wstrętem, Maria z przerażeniem. Jakiś wyrostek nawołuje przechodniów, by obejrzeni darmowy spektakl.

– Niech ja cię tu zobaczę za parę dni, lafiryndo – szepce Jeanne i jest to przeznaczone wyłącznie dla uszu rywalki – to ci wszystkie włosy powyrywam. Jak psa zatłukę. Na śmierć. – Odchodzi od madame Curie krokiem primadonny w operze. Posyła porozumiewawcze spojrzenia widzom. Jest rozgniewana, oczy jej błyszczą, wykrzywia rozchylone usta. – Oczy ci wydrapię! – znów teatralnie podnosi głos. – Oszpecę cię, łachudro, zdiro, ty... przebrzydła mendo! Liściki będzie pisać do mojego chłopca, do rozwodu go namawiać... trzymajcie mnie, ludzie!

Bronka używa wszystkich sił, żeby wyrwać Marię ze stanu, który przypomina letarg. Wyciąga ją poza krąg światła latarni, wykorzystując moment,

w którym grupa rozbrykanych wyrostków przesuwa się do przodu, by mieć lepszy widok, a Jeanne stoi akurat wpatrzona w swoją publiczność.

Siostry wsiadają do pierwszej wolnej dorożki, która przejeżdża obok zbiegowiska, i oddalają się od rzeki. Bronka bierze głęboki oddech, jak ktoś, kto po kilku minutach duszenia się pod wodą z trudem wydostał się na powierzchnię. Czuje, że drży jej każdy mięsień. Trzęsącą się dłonią usiłuje doprowadzić do porządku fryzurę siostry. Po twarzy Marii płyną łzy – w kompletnej, przerażającej ciszy.

– Jedź do Anglii, jeśli nie chcesz wracać do Warszawy – błaga Bronka. – Hertha Ayrton ciągle cię zaprasza. Na co jeszcze czekasz?

Maria traci przytomność i zsuwa się z siedziska, chociaż Bronisława stara się ją podtrzymać.

– Maniu – szepce gorączkowo. – Co się dzieje? Co ci jest?

Histerycznie krzyczy do woźnicy, żeby jechał do szpitala. Choć jest lekarzem, nie może sobie przypomnieć najprostszych czynności ratujących życie. Płacze coraz głośniejsze, upokorzona własną bezradnością. Woźnica parokrotnie odwraca się do pasażerek, ciekawy, czy obie żyją.

Pani Dłuska poluzowuje ubranie siostry, klepie ją po policzkach. Po chwili Maria odzyskuje przytomność.

– Nie ruszaj się. Jedziemy do szpitala. – Głos Bronki drży.

– Muszę załatwić kilka spraw – protestuje Maria. – Jestem umówiona z André Debierne'em.

Ma wrażenie, że się zapada. Szumi jej w uszach, wzrok traci ostrość, głos siostry dociera z daleka. Maria widzi światło; łagodne, ciepłe światło, które ją otacza. Jej ciało znów jest lekkie, może się poruszać. Patrzy w prawo na wiejską drogę prowadzącą do zabudowań, które kiedyś już widziała. Idzie nią Piotr, jej Piotr... znajomy, z którym pojechała dziś na piknik. Są więc pod Paryżem. Słońce grzeje coraz mocniej, Piotr podchodzi, widać już rysy jego twarzy, każdą zmarszczkę wokół oczu. Maria czuje się bezpieczna. Mężczyzna podaje jej rękę, jednym szarpnięciem wyciąga ją na powierzchnię wody. Kobieta nabiera tchu.

– Poinformuję André, że zachorowałaś – mówi Bronka. – Nie martw się.

Maria chce powiedzieć, że jest przy niej Piotr; to on ją podtrzymuje. Jest tak słaba, że nie może wydobyć głosu. Podnosi rękę, jakby chciała Bronce coś pokazać, i znów traci przytomność.

Piotr siedzi obok. Ich dłonie stykają się, wywołując u Marii dreszcz. Sama nie wie, czy kocha tego dziwnego Francuza, na pewno jednak jest jej bliższy niż ktokolwiek na świecie. Dotyk jego skóry pali. Czy to od niego promieniuje to wspaniałe ciepło?

– Masz gorączkę – mówi Bronka. – Jesteś przepracowana. Tak nie można żyć. Oprzyj się o mnie, Maniu.

Słowa siostry z trudem docierają do Marii, zwłaszcza że Piotr odchodzi. Idzie tą samą polną drogą, którą przyszedł.

– Jestem umówiona z profesorem Karolem Waltherem.

Bronka nie reaguje. Jest zszokowana nagłym odkryciem; ciało Marii wychudło, a ona tego nie zauważyła. Przy każdym ruchu siostry widać ścięgna, zarys kości... Dłuska czuje, że robi jej się niedobrze. Całe życie się starała. Nie była idealną siostrą, niemniej jednak robiła wszystko, by ulżyć rodzeństwu: podsycać marzenia, wspierać, wypełniać pustkę po odejściu matki, chociaż to niemożliwe. Nie była ideałem, nigdy nie miała co do tego złudzeń, nie zasługiwała jednak na podobne traktowanie! Jakim prawem Maria podjęła decyzję o samobójstwie? Dlaczego z nią nie porozmawiała? Jakim prawem się głodziła?

– Obiecałam doktorowi Waltherowi, że poddam się operacji nerek – szeptem Maria.

Bezgłośny płacz Bronisławy przechodzi w rozpaczliwe łkanie.

– Nie szanujesz się. Chcesz od nas odejść... iść za Piotrem. Nic dla ciebie nie znacę. – Dłuska kryje twarz w dłoniach.

Maria przygląda jej się zaskoczona; z trudem dociera do niej, co jest jawą, a co snem. Nie rozumie rozpacz siostry, nie wie, dlaczego Bronka ją oskarża. Czuje promieniujący, trudny do zniesienia ból.

– Uważasz, że nie wiem, co się tu wyczynia? – pyta Bronka. Podnosi głowę, wciąż jednak nie patrzy na siostrę. Jej twarz raz po raz oświetlają uliczne latarnie.

Maria czuje obezwładniającą słabość.

– Uważasz, że nie czytam gazet? Mam w Paryżu więcej przyjaciół niż ty! Szkalują cię, odsądzają od czci i wiary, a ty? Ty się spotykasz z tym... bezdusznym, tępym lowelasem – wybucha. – Cała Francja wie, że jesteś ruską latawicą, która kradnie cudzych mężów. Irenka czyta o twoim romansie w gazetach. Umrzesz, jeśli nie będziesz jeść! – zwraca się do siostry z furią. – Nie rozumiesz tego?! Twój organizm nie ma siły walczyć!

Dorożka zatrzymuje się przed szpitalem. Dłuska w pośpiechu płaci i prowadzi Marię do poczekalni. Sadza ją na krzesło, sama zaś podchodzi do pielęgniarki, która akurat idzie korytarzem. Tłumaczy, kogo przywiozła. Kobieta rzuca Marii kilka zaciekawionych spojrzeń. Uprowadzona, że madame Curie jest w kontakcie z profesorem Waltherem, znika za jakimiś drzwiami. Kilka minut później zjawia się dwóch sanitariuszy, kładą Marię na noszach i gdzieś zabierają.

Na długim, słabo oświetlonym korytarzu szpitala zapada wreszcie cisza. Recepcjonistka wypełnia druki, lampa po prawej stronie migocze, jakby za chwilę miała zgasnąć. Dopiero po chwili pani Dłuska orientuje się, że w głębi korytarza, za niewielkim występem muru, siedzi kilka osób. Dobrze ubrana, zadbana staruszka wstaje i podchodzi do niej.

– Przepraszam, że ośmielam się panią zaczepiać – mówi, a z jej twarzy nie

znika uśmiech. – Zwłaszcza w takiej sytuacji. Widzę, że jest pani zdenerwowana.

– Słucham panią. – Głos Bronki brzmi chłodno. Powieka jej lewego oka lekko drży.

– Jeszcze raz przepraszam. Czy dobrze poznałam? Przywiozła pani do szpitala madame Curie?

Dłuska waha się, czy powiedzieć prawdę, wreszcie uznaje, że nieznajoma nie wygląda na kogoś, kto miałby zachować się niestosownie.

– Owszem.

– Mój syn jest lekarzem, proszę pani – oświadcza staruszka i przysiadła na wolnym krześle. Trzyma w dłoniach czarne eleganckie rękawiczki.

– Ja również jestem lekarzem – informuje Bronka bez sympatii, nie wiadomo, w jakim celu.

Staruszka przygląda się jej z lekkim zaskoczeniem.

– A więc pani wie o wszystkim – stwierdza cicho. – Chciałabym mimo to powiedzieć, jak bardzo cenię zasługi madame Curie. Mój syn wciąż powtarza, że rad, który odkryła Maria Curie, przyniesie światu wybawienie. Ponoć upatruje się w nim leku na większość nowotworów.

– Nie byłabym taką optymistką.

Bronisława zna kulisy przemysłu radowego, jak mówi o tym, co wiąże się z odkryciem radu, siostra. Powszechnie uważa się, że ten pierwiastek jest panaceum nie tylko na wszelkie choroby, lecz po prostu na wszystko. Jego roztwory dodawane są do tkanin, by połyskiwały, do kosmetyków, napojów, pasty do zębów, żeby miała właściwości wybielające, słowem – gdzie się da.

– Uważa pani, że mój syn przesadza? – pyta staruszka, nie kryjąc rozczarowania. – Rad nie jest lekiem na nowotwory?

– Naprawdę trudno mi powiedzieć. – Bronka nie chce występować jako ekspert. – Nie to miałam na myśli. To prawdopodobne, że zostanie wykorzystany do walki z nowotworami – dodaje pospiesznie – ale przesadą jest przekonanie, że to panaceum na wszelkie choroby. Madame Curie twierdzi, że jest bardzo niebezpieczny.

Oczy staruszki robią się okrągłe, dłoń mimo woli wędruje do góry i zasłania wąskie usta.

– Nie rozumiem. Czy lekarstwo może być niebezpieczne?

– Rad jest metalem, proszę pani – zaczyna Bronisława i urywa. Pamięta rany na dłoniach szwagra, który sprawdzał na sobie wpływ styczności ludzkiego ciała z radem. – To metal, który niszczy wszystko, z czym się bezpośrednio styka – dopowiada po chwili.

Staruszka dochodzi do wniosku, że cudzoziemka, świetnie władająca językiem francuskim, ma na temat radu nieprawdziwe informacje albo z nieznanых powodów chce ją zrazić do specyfików radowych, których jest

mnóstwo.

– Niszczy? – mówi urażona. – Ja mam całkiem inne wiadomości. Przepraszam, że pani zakłóciłam spokój.

Bronka nie umie kłamać. Nikt poza Marią i jej najbliższymi współpracownikami nie wie na temat badań, jakie prowadzą, tyle co Dłuscy. Związki Marii z przemysłem są coraz ściślejsze, a jej laboratorium dawno przestało być rozpadającą się szopą. Popularność radu siłą rzeczy umacnia jej pozycję. Żaden chemik na świecie, jeśli zajmuje się promieniotwórczością, nie robi tego bez kontaktu z madame Curie, ci zaś, którzy wolą uniknąć negocjacji z kobietą, muszą się zwracać do jej przyjaciela, André Debierne'a. Niezależnie od drogi, jaką wybiorą, to Maria podejmie decyzję, czy podzielić się wiedzą na temat sposobu uzyskiwania radu. Debierne jest jej ślepo posłuszny. Niczego nie robi za jej plecami.

Bronisława tkwi na chłodnym korytarzu szpitala już kilka godzin. Wreszcie, wsparta skronią o ścianę, zasypia płytkim snem. Śni jej się Maria na dworcu kolejowym, tuż przed swoją pierwszą podróżą do Paryża. Bronka wyraźnie widzi grubo podniszczony, syberynowy płaszcz siostry, jej zaróżowioną twarz. Maria wygląda tak młodo, że można by ją wziąć za nastolatkę.

Lekarz w białym kitlu budzi Bronkę, delikatnie dotykając jej ramienia.

– Jest pani siostrą madame Curie, prawda?

– Co z nią?

Kobieta przytomnieje, podrywa się z miejsca. Prezentuje się wspaniale. Od jakiegoś czasu Bronisławie Dłuskiej i jej mężowi dobrze się powodzi, co natychmiast znalazło odbicie w jakości ich ubrań. Skończyło się przerabianie, sztukowanie, nicowanie. Po latach ubóstwa Dłuska ubiera się u dobrych krawców, nierzadko w samym Paryżu.

– Profesor Walther kończy ją operować – mówi lekarz półgłosem. Wyraźnie szuka w Bronisławie podobieństwa do jej sławnej siostry. Jego jasne, żółtawe tęczy sprawiają niesamowite wrażenie. – Prosił, żeby pani wróciła do domu, odpoczęła. Dziś i tak nie porozmawia pani z siostrą.

– Muszę wiedzieć, czy operacja się udała.

– Rozumiem – potakuje lekarz z roztargnieniem.

– Skończyłam medycynę.

Mężczyzna uśmiecha się, nie kryjąc uznania. Gestem wskazuje najbliższe drzwi po prawej stronie.

– Tego nie wiedziałem – mówi ożywiony. – Skoro jest pani moją koleżanką po fachu, zapraszam do gabinetu. Zapoznam panią z historią choroby madame Curie.

Bronka, oszołomiona, mierzy go wzrokiem. Energicznie wkracza do utrzymanego w nieskazitelny porządku pomieszczenia. Siada na wskazanym

krześle. Mężczyzna pochyla się nad biurkiem, przegląda papiery i wzięwszy jedną z kartek, podchodzi do stolika, przy którym usiadła.

– Z historią choroby? – nie wytrzymuje Dłuska. Chciałaby zasypać go pytaniami, wie jednak, że nie wypada. Historią choroby nazywa się przebieg leczenia zdiagnozowanej dolegliwości. Nie lubi braku precyzji, zwłaszcza w medycynie, dlatego nie potrafi ukryć irytacji. – Wydaje mi się, że to przepracowanie i niedożywienie – wyręcza niefrasobliwego lekarza. – Od lat nikt jej nie może zmusić do systematycznych posiłków.

– Madame Curie jest wycieńczona, owszem – przyznaje doktor, przypominając sobie, że nie przedstawił się siostrze sławnej pacjentki – i to bardzo martwi profesora Walthera, ponieważ nie wie, jak organizm zareaguje na poważną operację nerek. – Zastanawia się, czy mógłby jakoś zatuszować popełnioną gafę. Niestety, nic mu nie przychodzi do głowy. – Nie można było dłużej zwlekać – wraca do choroby madame Curie.

– Zwlekać? – Bronisława Dłuska odsuwa się razem z krzesłem, jakby słowa lekarza ją przestraszyły. Zaciska palce na małej, fikuśnej torebce, którą trzyma na kolanach.

Lekarz przygryza wargę z namysłem. Patrzy na nią badawczo.

– Rozumiem, że pacjentka nie poinformowała rodziny o stanie swego zdrowia.

Bronka milczy. Jej siostra jest dojrzałą kobietą, nie sposób nad nią zapanować, zwłaszcza gdy się mieszka na drugim końcu Europy. Dłuska uznaje, że Francuz i tak nie znajdzie na mapie Zakopanego, więc tłumaczenie, że to daleko, nie ma sensu.

– Profesor Walther stoczył z nią prawdziwy bój – kontynu-uje mężczyzna, trąc oczy. Widać, że jest znużony po dniu pracy. – We wrześniu czy październiku – przypomina sobie – wybierała się za granicę. Ostrzegaliśmy, że to może mieć tragiczne konsekwencje.

– Nie wiem, o czym pan mówi. – Bronkę razi protekcyjny ton doktora.

– Podejrzewam wobec tego, że o tym, iż madame Curie była tu przywożona po omdleniach w pracy, również pani nie wiedziała – dobija ją. Nie chce być złośliwy. Pragnie ją zapoznać z faktami, a te nie są miłe.

– Ktoś ją tu przywoził? Parokrotnie? – Bronka nie dowierza.

– Co najmniej trzy razy, pani doktor. Przykro mi. A oto jej wyniki. Powiem sekretarce, żeby podała nam herbatę.

Nie pyta, czy Bronisława ma chęć spędzić z nim kolejne pół godziny przy herbacie. Decyduje za nią.

Kobieta nie może wyjść z szoku. Przed wyjazdem do Sztokholmu, gdzie towarzyszyła Marii, miała wrażenie, że siostra niedomaga, uznała jednak, że to wynik zszarganych nerwów. Wolniejszy chód, twarz ściągnięta bólem – sądziła, że

to skutek nieszczęsnego, koszmarnego w skutkach romansu z Pauliem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Paryż, 27 grudnia 1911

Maria patrzy w sufit. Nie odzywa się do André. Jest słaba, obolała i kompletnie obojętna. Od czasu do czasu łzy spływają po jej twarzy na poduszkę, a ona nawet nie czuje, czy poduszka jest mokra, czy sucha. Debieerne narzuca się jej ze swoim towarzystwem. Wolałaby zostać sama, spokojnie pomyśleć. Zdaje sobie sprawę, że to tylko wymówka; myślenie koncepcyjne chwilowo ją przerasta. Dochodzi do wniosku, że niczego nie osiągnęła. Wspięła się na szczyt w hierarchii naukowej, ale uświadomiła sobie, że kariera jest wyłącznie środkiem do zaspokojenia potrzeb najbliższych. Ponieważ najbliżsi jej ludzie odeszli, kariera i pieniądze nic nie znaczą. Madame Curie czuje się pusta. Myśli o siostrach, bracie, przyjaciółach i stwierdza gorzko, że ich miłość jest jej obojętna, skoro Piotr umarł, a Paul ją opuścił. Z jednej strony wie, że to bzdura, z drugiej jest pewna, że w tej konstelacji nie potrafi żyć. Kocha Paula Langevina, ale zrozumiała, że on nie zostawi żony i dzieci, leży więc wpatrzona w sufit i próbuje znaleźć sposób na dalsze zmaganie się z losem. Nic jej nie przychodzi do głowy. Pewnie dlatego, że André wciąż się snuje po szpitalnej izolatce.

André. Jej najbliższy współpracownik – niegdyś sympatyczny grubasek z rozwianymi włosami, dziś pogodny, stateczny mężczyzna, podpora w pracy. Jego twarz sprawia wrażenie wiecznie uśmiechniętej, co czasem Marię irytuje. Teraz przyjaciel denerwuje ją z uśmiechem i bez. Cokolwiek by robiła czy mówiła, on zawsze powie: *I tak dobrze*. Maria nie chce być ciężarem, nie zamierza zaciągać nowych zobowiązań. Jeszcze za życia Piotra szeptano za jej plecami, że Debieerne ją kocha. Doprowadza ją do szału, że mijają lata, on ciągle przy niej jest, a ona coraz częściej go potrzebuje. André pilnuje prac w laboratorium, terminów spotkań i wyjazdów, prowadzi w jej imieniu korespondencję związaną z działalnością naukową. Maria ma wobec niego dług wdzięczności. To jedyny człowiek, któremu bezgranicznie ufa. Mimo to Debieerne przeszkadza – zasłania światło, kiedy stoi przy oknie, nie pozwala myśleć, kiedy się przechadza po izolatce.

Madame Curie wzdyga się, słysząc coraz głośniejsze kroki na korytarzu. Spodziewa się profesora Walthera. Krew napływa jej do twarzy. Nie może rozmawiać. Najprostszy kontakt z ludźmi w tej chwili ją przerasta. Chce jedynie spać.

André wita się z lekarzem i wychodzi.

– Pan Debieerne siedział tu wczoraj przez pół nocy – informuje Marię profesor. – Myślę, że tajemnicą pani sukcesu jest również umiejętność dobierania sobie współpracowników.

Walther widzi, że stan psychiczny pacjentki jest zły, dlatego odciąga jej myśli od choroby i kłopotów.

Maria odwraca głowę do ściany. Wydaje jej się czy poduszka znów jest mokra?

– Pan Debierno mówi, że się przyjaźnicie.

Profesor trzyma w rękach jej kartę. Sprawdza, czy zaordynowano właściwe leki. Spogląda na gęste, poprzetykane srebrnymi nitkami włosy madame Curie. Odkłada kartę na szafkę, do której André Debierno włożył kilka książek, i siada na brzegu łóżka. Czuje się jak ojciec. Patrzy na Marię, nie mogąc się nadziwić, że to drobne ciało należy do tak niezłomnej, silnej kobiety. Silnej? Wydaje mu się, że silna, podziwiana na całym świecie uczona rozsypuje się na jego oczach.

– Kazał mi powtórzyć pani, madame Curie, że pilnuje spraw laboratorium.

Maria zaciska powieki, licząc minuty do odejścia profesora. Podobna scena rozgrywa się codziennie. Początkowo wiązała się ze wstydem, teraz kobieta nie czuje nawet tego.

– Przemily mężczyzna – ciągnie swój monolog profesor Walther. – W dzisiejszych czasach rzadko się spotyka równie pogodne osoby... życzliwe wszystkim.

Wstaje z ciężkim westchnieniem, podchodzi do okna, wygląda na dziedziniec. Pracuje w tym szpitalu od dziesięciu lat. Przyzwyczał się do panujących warunków, a nawet do jesionów, których szpaler ciągnie się aż do ledwie widocznej drogi.

– Marie – pozwala sobie na poufałość, ponieważ doskonale zna uczoną – nie wniknę w pani myśli, nawet bym nie chciał. – Bierze głęboki oddech i patrzy na nią z troską. – Nie może się pani załamywać. Kiedy człowiek upada na duchu, starania lekarzy spełzają na niczym. Wiem, że miała pani ostatnio wiele problemów – mówi, ryzykując, że pacjentka zarzuci mu mieszanie się do jej prywatnych spraw – i że życie pani nie rozpieszcza, ale trzeba iść dalej. Prowadzi pani badania, które są ważne dla... całej ludzkości, madame Curie. Dokonała pani epokowego odkrycia. – Uśmiecha się i znów siada przy niej. – Złapała pani Pana Boga za nogi, podejrziała jego tajemnicę. Nie żyje pani wyłącznie dla siebie.

Ponieważ Maria milczy, profesor rusza ku wyjściu. Nie czuje się dotknięty. Wie, że chorzy przeżywają załamania. Jest cierpliwy.

– Profesorze.

Zatrzymuje się zdziwiony.

– Tak, madame Curie?

Kobieta leży na wznak. Lekarz widzi jej spuchnięte powieki, dłonie zacisnięte na cienkiej szpitalnej kołdrze.

– Proszę przekazać panu Debierno'owi, żeby mnie więcej nie odwiedzał.

– Poczuję się dotknięty – protestuje profesor Walther, lecz dostrzega twarde

spojrzenie uczonej. – Oczywiście, madame Curie, przekażę.

Opuszcza izolatkę z postanowieniem, że niczego nie powie. Uda, że zapomniał. Jest niemal pewien, że Maria pożałuje swoich słów. Trzeba tylko czasu, więcej czasu, by pojęła, co się dzieje, z czym się zмага. Lekarz zdaje sobie sprawę, że często pacjenci mylą osłabienie spowodowane chorobą z uczuciem niechęci do bliskich.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Warszawa, 10 sierpnia 1894

Bronka spojrzała w okno. Dostrzegłszy Marię, wymknęła się z domu. Chciała z nią porozmawiać sam na sam.

Maria przyjechała do Warszawy na wakacje i mimo że pobytu w Polsce nie mogła opłacić ze stypendium, zachowywała się jak niezależna, samowystarczalna kobieta, podczas gdy wciąż finansowała ją rodzina i wypadało się z nią liczyć, nie zaś wymykać się nad ranem w nieznanym kierunku.

Był ciepły sierpniowy wieczór. Rozgrzane mury domów wydzielały dziwny zapach. Maria przystanęła, zaskoczona nie tyle tym, że spotyka siostrę, ile tym, że Bronka daje jej znak, by się przeszły. Spacer był ostatnią rzeczą, na jaką miała chęć. Padła z nóg, co zresztą było widać. Przypomniała sobie, że opuściła mieszkanie nad ranem. Chwilę wcześniej wsadziła głowę do pokoju ojca, obudziła go, informując teatralnym szeptem, że jedzie do Krakowa, i nim wstał z łóżka, już jej nie było. Domyśliła się, że nadopiekuńcza siostra chce jej dać reprimendę.

– Nie lubię, gdy wychodząc, nie mówisz, dokąd idziesz – oświadczyła zgodnie z przewidywaniami Bronka.

– Powiedziałam ojcu.

Oskarżenie siostry było bezpodstawne. Maria westchnęła z rezygnacją. Miała nadzieję, że irytacja Bronki szybko minie; brak jej było siły na potyczki słowne. Szły powoli, wpatrzony w swoje buty, różniące się nieco od tych, jakie nosiły warszawianki.

– Ładnie wyglądasz – stwierdziła nagle Bronisława.

Maria parsknęła śmiechem, bo od dobrych paru minut siostra na nią nie patrzyła. Jednak była spostrzegawcza, jak to lekarz.

– Henri d'Alméras pisał w swoich artykułach, że studia czynią nas brzydkimi. Nauka odbiera kobiecość. I tak dalej. – Machnęła lekceważąco ręką.

Bronisława pomyślała, że siostra nie jest już nieśmiałą Polką, która marzy o wolności. To pewna siebie paryżanka, świadoma, czego chce, i nieco harda.

– Tęskniłam za Polską, za chodzeniem bez celu, za roślinnością, polskim powietrzem. – Maria rozmarzyła się. – Za tym, że ludzie mówią w moim ojczystym języku.

– Gdzie byłaś? – weszła jej w słowo Bronka. – Powiesz mi czy chcesz mnie zbyć jak ojca?

Marii najwyraźniej ciążył sekret, skorzystała bowiem z pierwszej okazji, by go wyjawić. Stała tyłem do wiatru. Rozwiewał jej włosy i szarpał spódnicą, która przypominała furkoczącą flagę.

– Byłam na Uniwersytecie Jagiellońskim – wyznała, mrużąc oczy. Słońce zachodziło na czerwono. Maria wydawała się znużona.

– A konkretnie?

– Rozmawiałam z profesorem Augustem Witkowskim, szefem Katedry Fizyki.

Bronka spodziewała się różnych odpowiedzi, ta jednak nie przyszła jej do głowy. Zrobiła krok w prawo, potem w lewo, stanęła niezdecydowana. Na Uniwersytecie Jagiellońskim? Maria chce przerwać studia na Sorbonie?

– Nie rozumiem.

– Czego nie rozumiesz? Profesor Witkowski kierował fizyką w Szkole Politechnicznej we Lwowie, a po śmierci Wróblewskiego objął katedrę na Jagiellonce.

Bronka machnęła ręką ze zniecierpliwieniem.

– O czym chciał z tobą rozmawiać? – zapytała.

– To ja go poprosiłam o spotkanie. Dzieje się teraz tyle nowego w Krakowie, Jagiellonka przyjęła na studia pierwsze kobiety. Pomyślałam, że może znajdzie dla mnie pracę.

– Żartujesz?

Od jakiegoś czasu siostry to szły, to przystawały. Wreszcie Bronka zatrzymała się na dobre, oszołomiona tym, co usłyszała.

– Dlaczego uważasz, że nie mogłabym pracować na Uniwersytecie Jagiellońskim? – obruszyła się Maria. – Czasy się zmieniają, w końcu jestem Polką, mam doskonale wykształcenie.

– Zaoferował ci coś? – przerwała jej Bronisława, unosząc brew.

Maria pomyślała, że po urodzeniu córki siostra zmieniła się w nerwową i zrzedliwą mamuszkę.

– Nie dostałam żadnej propozycji – odparła sucho. – Wiem, że mnie uważasz za naiwną...

– Nie uważam cię za naiwną. Jesteś po prostu... – Bronisława szukała właściwego określenia – nieodpowiedzialna... niepoważna. Nie wiem, jak to nazwać. Czasem pojęcia nie mam, co o tobie myśleć. Co ci w ogóle chodzi po głowie?

Maria zaniemówiła; nie potrafiła odgadnąć, do której sfery jej życia odnosiła się krytyka siostry. Dziwne, że w Warszawie zawsze powracały dawne kompleksy. Bronka stawała się piękniejsza, jej samej ubywało lat, traciła siłę przekonywania i zdobytą w Paryżu samodzielność. Czasem zadawała sobie pytanie, czy wciąż lubi wizyty w Polsce. Woląла chyba, jak ojciec odwiedzał ją we Francji.

– O co ci chodzi? – mruknęła, przerywając niewygodne rozważania.

Koniec z rozdrapywaniem starych ran! Dawna Maria nie istnieje!

– O to, że Piotr Curie ma twoje słowo, że wrócisz do Paryża.

Oczy Marii zrobiły się okrągłe ze zdumienia. Spojrzała na siostrę, by się upewnić, czy mówi poważnie. Niebieska żyłka na skroni Bronki pulsowała.

– Nie obiecałam mu, że wrócę – powiedziała Maria po chwili zastanowienia.

– Wymyślił to sobie? – Bronka nie ustępowała.

Doszły właśnie do kościoła Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny. Obie lubiły jego charakterystyczny schodkowy szczyt i ozdobne wgłębienia w murze. Nieopodal na skarpie wiślanej odbywały się targi, na których wielokrotnie robiły zakupy. Miasto zmieniało się, wspomnienia bladły, choć tak niewiele czasu upłynęło od wyjazdu siostr.

– Nie twierdzę, że coś sobie wymyślił – zaperzyła się Maria. – Źle zrozumiał... po prostu.

– Obie go znamy, Maniu. – Bronka odwróciła głowę, gdyż powiew wiatru od Wisły zapierał jej dech. – Piotr Curie nigdy nie mija się z prawdą, mam rację?

Maria zachnęła się. Nienawidziła, kiedy ktoś próbował kierować jej życiem.

– Żartowałam, że na pewno wpadnę do Paryża – powiedziała z naciskiem. – Co to w ogóle jest? Przesłuchanie? – Przystanęła z wyzywającym wyrazem twarzy. – Jakieś śledztwo?

– Rozczarowałam mnie – mruknęła Bronisława, ruszając w stronę rzeki. – Miałam cię za uczciwą, poważną dziewczynę. Niestety, Piotr również. To jego błąd.

Maria chwyciła ją za ramię i zmusiła do spojrzenia sobie w oczy.

– Jesteś niesprawiedliwa.

– Koniec dyskusji – ucięła Bronka.

Już zamierzała zawrócić w stronę domu, kiedy przypomniała sobie, że Kazimierz, jej mąż, od rana nie mówił o niczym innym, tylko o „procesie trzydziestu”, który zaczął się w Paryżu. Proces wytoczono grupie anarchistów nękających stolicę zamachami bombowymi. Trzeba było dać ludziom dowód na to, że przygotowane przez rząd ustawy antyanarchistyczne są bezwzględnie konieczne. Kazimierz uważał, że wynikające z tych ustaw ograniczenie wolności prasy to jedynie chytry zabieg rządu, który pragnie zakneblować usta dziennikarzom, korzystając z powszechnej paniki i dezorientacji społeczeństwa. Bronka nienawidziła polityki, zwłaszcza we francuskim wydaniu. Nie przyzwyczała się do Paryża i nie rozumiała męża, który żył jego sprawami. Postanowiła jeszcze nie wracać do mieszkania ojca, przekonana, że mąż nie zdążył ochłonąć.

Zdaniem Marii Bronka przesadzała. Zachowywała się jak matka, którą zaślepia troska o szczęście dziecka. Już to, że korespondowała z Piotrem Curie, było skandaliczne.

Maria unikała rozmów o Piotrze. Nie umiała powiedzieć, kim dla niej jest. Wykorzystywała go. Zgadzała się, gdy proponował wyjazdy za miasto, wędrowki po malowniczych wioskach, pikniki, naukowe rozmowy pod gołym niebem. Był jej

doradcą, przyjacielem i mentorem. Nie wahała się przyjmować go w wynajmowanym pokoju, za nic mając sąsiedzkie plotki. Piotr był dżentelmenem w każdym calu. Przynosił ciastka i czekoladę, śmiał się z tego, co i ją bawiło, a przede wszystkim był subtelny. Wzruszało go, że Maria żyje w skrajnym ubóstwie, jakby miało to jakiegokolwiek znaczenie dla jej pracy. Wiedziała, że jest nią zafascynowany, lecz była pewna, że poza delikatnym muśnięciem ręki nigdy na nic więcej sobie nie pozwoli. Zapraszała go więc bez lęku, gwizdząc na konwenanse.

– Broniu, nie gniewaj się, że jestem nieprzyjemna. Zrozum, przede wszystkim muszę dbać o własną przyszłość.

– Czyli nie wiążesz swoich planów z Piotrem Curie? – zapytała zdenerwowana siostra.

– Nie wiem.

– Wybacz, Maniu, że ci przerwę.

Bronisława słynęła z łatwości wygłaszania mów. Przybierała malownicze pozy, dobierała właściwe słowa, miała dar przekonywania i miażdżenia przeciwnika. Maria odczuwała dyskomfort, ilekroć siostra obracała swój wrodzony talent przeciw niej. Czuła się z góry przegrana.

– Zdajesz sobie sprawę, że życzę ci jak najlepiej i że niezależnie od tego, jak bardzo lubię Piotra i kibicuję jego planom poślubienia cię... ty jesteś najważniejsza. Jeżeli go nie chcesz, zaakceptuję to, ale nie możesz trzymać mężczyzny w niepewności, bo to niemoralne.

– Nie dałam mu nadziei!

– Przeciwnie, Marysiu – rzekła Bronka z godnością. – Piotr cię kocha do szaleństwa. Dwukrotnie ci się oświadczył i nie kryje, że liczy, iż zmienisz zdanie i kiedyś go poślubisz. Nie masz moralnego prawa trzymać go w niepewności, a korespondowanie z nim, wysyłanie mu swoich zdjęć, kokietowanie go, zapewnianie, że jest dla ciebie kimś ważnym... to wszystko jest właśnie podtrzymywaniem nadziei.

– Mam z nim zerwać wszelkie kontakty? – oburzyła się Maria. – Dopiero wtedy bym go zraniła.

– Jeśli nie wiążesz z nim swojej przyszłości, musisz go zranić – oświadczyła chłodno Bronka. – Powinnaś mu uświadomić, że nie ma na co liczyć. Nie możesz szukać pracy w Krakowie, skoro obiecałaś komuś powrót do Paryża. To dopiero jest okrutne. Twoje... lekceważenie. Planowanie przyszłości, w której nie ma miejsca dla Piotra.

– Nie dostałam pracy.

Bronka z wdziękiem zebrała fałdy spódnicy i obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, by spojrzeć siostrze w oczy. Maria była trzpiotką! Kokietowała mężczyzn, nie licząc się z konsekwencjami.

Obok sióstr przeszła wytwornie ubrana kobieta. Przyjrzała im się z uwagą, jakby zachowywały się niestosownie. Towarzyszyła jej przyzwoitka.

– To cię usprawiedliwia? – drwiła Bronisława. – Nie czujesz się z tym źle? Z jego szczerą adoracją, którą tak lekceważysz?

Maria zaczerwieniła się gwałtownie, bardziej z gniewu niż ze wstydu.

– Lubię Piotra i to wszystko – prychnęła.

– A on cię kocha – nie ustępowała Bronka.

Zirytowana Maria wykonała nieokreślony gest. Mijający ją mężczyźni spojrzeli z rozbawieniem.

– Wiesz, że nie nadaję się na żonę – syknęła.

Ujęła siostrę pod ramię i zmusiła do spaceru; stojąc, przyciągały spojrzenia przechadzających się warszawiaków, którzy po upalnym dniu tłumnie wylegli nad Wisłę.

– Piotr nie oczekuje, że mu będziesz gotowała. Nie chce cię przecież zamknąć w kuchni.

– Skąd to wszystko wiesz? – spytała Maria zdławionym głosem.

Bronka wyczuła, co się za tym kryje – żal, że miesza się w sprawy siostry.

– Ty do tego doprowadziłaś – uprzedziła oskarżenie Marii. – Bywałeś u rodziców Piotra, poznałeś ich z nami. Nie udawaj pierwszej naiwnej. Wiesz, co się kryje za takim postępowaniem. Myślałam, że go kochasz, i jest mi po prostu przykro, że uczestniczyłam w bezrefleksyjnym robieniu mu nadziei. Nie będę wymieniać, co byś zyskała na małżeństwie z Piotrem; nie o to chodzi.

– Wiem, jak wiele bym zyskała. Wiem, że dostałabym obywatelstwo francuskie, że łatwiej by mi było się utrzymać, pomógłby mi w badaniach naukowych. Ma kontakty... i laboratorium...

– Nie kochasz go, więc nie ma o czym mówić – przerwała jej spokojnie Bronisława.

Nastolatka z psem zerknęła na nią z zaciekawieniem.

– Nie wiem, czy go Kocham – uściśliła Maria.

Bronka pokręciła głową, wznosząc oczy do nieba. Chwilami nie rozumiała siostry, której naiwność graniczyła z głupotą.

– I to jest odpowiedź – skwitowała.

– Absolutnie nie!

Krzyk Marii był tak niestosowny, że zażenowana Bronka utkwiała wzrok w ziemi. Rzeczywiście, kilka osób spojrzało w ich stronę z niesmakiem.

– Pamiętasz, ile miesięcy zwlekałaś z przyjazdem na studia do Paryża? Gotowa byłaś zrezygnować z nauki, więc nie opowiadaj mi, że nie wiesz, co to miłość – szepnęła starsza siostra.

– To co innego.

Marii przyszło na myśl, że ich nawyk ściszenia głosu, gdy spór przybierał na

sile, jest oznaką fałszu. Tłumaczono im, że wymaga tego kultura osobista, co jednak było kulturalnego w chorobliwym tłumieniu emocji?

– Godziłaś się z tym, że zaprzepaścisz szansę na zdobycie wyższego wykształcenia, ponieważ byłaś zakochana. Nie miałaś żadnych wątpliwości, że to miłość.

Maria westchnęła głośno, rozbrojona sposobem rozumowania siostry.

– Upraszczasz, Broniu. Wiem, że Piotr jest wspaniałym mężczyzną, że zadbałby o mnie, wspierał i byłabym szczęśliwa.

Byłaby szczęśliwa? Czemu w takim razie nie przyjmowała jego oświadczyn?

– Jesteś dziecinna, jeśli myślisz, że Piotr Curie da ci szczęście tylko dlatego, że jest wspaniały i cię kocha.

– Nie o to wam chodzi? Nie tego ode mnie oczekujecie? Że wyjdę za niego, bo tylko idiotka rezygnuje z takiej szansy? – zachnęła się Maria.

– Nie zrzucaj na nas własnych wyobrażeń o świecie – skwitowała Bronka.

– Proszę, nie kłóćmy się. – Głos Marii drżał; była bliska płaczu.

– Skończ z terroryzowaniem ludzi swoją wrażliwością – przerwała jej Bronisława. – Przestań płakać, ilekroć ktoś ma inne zdanie niż ty. Masz pełne prawo być niedoskonała. Każdy popełnia błędy, ale weź za nie odpowiedzialność. Nie podoba mi się, że chcesz być... cudowna i kochana – dodała po namyśle. – Kokietujesz mężczyzn, to również mi się nie podoba.

– Nikogo nie kokietuję, jestem miła! – Oburzona Maria odsunęła się od siostry.

– Każdemu mężczyźnie się wydaje, że jesteś nim oczarowana.

– Przesadzasz. Za kogo ty mnie uważasz? Sądzisz, że uwodzę mężczyzn? Haruję jak wół. Nie mam czasu na flirty. – Maria gestykułowała, nie zwracając uwagi na przechodniów.

Widać było, że Bronka trafiła w sedno, skoro jej słowa tak zabolowały.

– Zachowuj się jak dorosła kobieta – poprosiła Bronisława, doczekawszy końca płomiennej wypowiedzi siostry. Nie przejęła się nią zbyt. – Nie przeinaczaj moich słów, Maniu; doskonale wiesz, co mam na myśli. Nikt nie kwestionuje tego, że jesteś tytanem pracy. Uważamy nawet, że się przepracowujesz, ale nie zmienia to faktu, że jesteś flirciarą. Zazwyczaj nie ma to znaczenia, bo większość mężczyzn nie wiąże z tobą planów na przyszłość, lecz w przypadku Piotra... Poważna kobieta, jeśli czuje, że mężczyzna jest w niej zakochany, a nie widzi go w roli partnera życiowego, zachowuje dystans, Maniu.

– Nie dawałam mu nadziei!

– Tłumaczę ci, do licha – zirytowała się Bronka, dostrzegając, że Maria idzie w zaparte – że traktujesz wszystkich mężczyzn tak samo. Nieszczęsny Piotr nie wie o tym, że nie ma u ciebie szans.

– Nigdy tak nie twierdziłam!

– No to czas najwyższy! – Bronisława była zła. – Szukasz w Krakowie pracy, wiedząc, że Piotr koczuje pewnie na Dworcu Północnym, czekając na twój powrót do Paryża!

– Czasem mi się wydaje, że go lubię.

Maria miała problem z Piotrem. Nie była głupia, wiedziała, że taki kandydat na męża może się jej więcej nie trafić, ale nie lubiła zmieniać postanowień, a postanowiła, że po studiach wróci do Warszawy, że nie poślubi cudzoziemca, że się poświęci nauce. Cóż, była śmieszna. I uparta. I przekorna, bo im usilniej ją błagał, tym większą czuła nad nim władzę. Tego jednak nie chciała siostrze zdradzić.

– Ta rozmowa nie ma sensu – powiedziała Bronisława, dochodząc do wniosku, że Maria jest nieodpowiedzialna.

– Nie wiem, czy go kocham, za to na pewno wiem, że go nie *nie kocham*. Boję się rozczarowania. Miłość bywa nieprzewidywalna.

Bronka powinna wyśmiać Marię, niestety, nie było jej do śmiechu i nie bardzo wiedziała, jak potraktować słowa, które padły. Jej genialna siostra okazała się życiowo niedojrzała.

– Tak wygląda świat dorosłych – powiedziała więc ze złością. – To nie laboratorium, gdzie zaplanujesz każdy kolejny etap, a i ze świetnym planem nie zawsze ci zapewne wychodzi.

– Nie chcę, żeby ktoś mnie znów oszukał.

– Piotr cię nie oszuka – tłumaczyła Dłuska cierpliwie.

– Tak się tylko mówi. Przychodzą dzieci i mężczyzna zmienia oczekiwania.

– Porozmawiaj z nim – podpowiedziała Bronisława, znudzona tłumaczeniem oczywistych spraw.

W kwestii uczuć Maria potrzebowała niekończących się dyskusji, wielokrotnego mielenia tego samego. Bronka była bardziej przyziemna. Nie rozumiała potrzeby dzielenia włosa na czworo. Zawróciła do domu, nie zważając na to, czy Mania za nią pójdzie. Tymczasem siostra nie dostrzegła tego, zastanawiając się nad przyjemnym ciepłem, jakie poczuła na myśl o zbliżeniu z Piotrem. Od miesięcy gotowa była na pocałunki profesora Curie. Niestety, Piotr był Piotrem. Stworzył wokół niej otoczkę tajemniczości i czystości. Czasami, kiedy składał pocałunek na jej dłoni, miała wrażenie, że jest święta. Nie chciała spędzić reszty życia na ołtarzu. Marzył jej się mężczyzna namiętny.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Sceaux, 7 marca 1912

André Debierno przecina ulicę w Sceaux, będącym już właściwie przedmieściem Paryża. Idzie ramię w ramię z Jeanem Perrinem i myśli o pierwszym locie z Paryża do Londynu bez międzylądowania, co udało się Henriemu Sei-metowi.

André lubi myśleć o lataniu, mimo że w jego wyobrażeniach lot zwykle źle się kończy. Oto siedzi za sterami samolotu, widzi chmury pod maszyną, nagle kieruje ją pionowo w dół i roztrzaskuje o jeden z alpejskich szczytów. Mężczyzna nie ma przykrych odczuć. To po prostu obraz.

Debierno źle się czuje przede wszystkim dlatego, że Maria traktuje go jak niewolnika. Naturalnie, z chęcią ją wyręcza. Cokolwiek musi robić – od pilnowania planu lekcji jej córek po kierowanie laboratorium i konsultowanie projektu przyszłego instytutu radowego – robi z zaangażowaniem. Nie godzi się jednak na bycie wyrobnikiem.

Przypomniawszy sobie Marię, André mimo woli wzdycha. On i Jean Perrin idą do niej, licząc, że będzie w domu.

Obaj mają około czterdziestki (Jean jest nieco starszy), ubierają się z przeciętną elegancją, a ich twarze zdradzają wielkie poczucie humoru. Poza tym diametralnie się różnią. Jean jest drobny i wygadany, André wysoki i małomówny.

Stają na progu domu. Jean bierze głęboki oddech, wznosi oczy do nieba i puka.

– Musimy pilnie porozmawiać z Marie – mówi chwilę później.

Całują się serdecznie z Bronisławą i Kazimierzem Dłuskimi, zaskoczeni, że to oni otworzyli drzwi i że zrobili to we dwoje. Cała czwórka zna się od lat i jest zaprzyjaźniona. Pada kilka uwag na temat marynarki Kazimierza. Jej doskonały materiał i krój rzucają się w oczy nawet w półmroku przedsionka.

– Marii nie ma.

Gospodarze prowadzą mężczyzn do salonu. Widać, że wszyscy czują się skrępowani. Bronka siada, zaintrygowana powodem wizyty fizyków. Jean pada na kanapę i stroi miny, jak zwykle niezdolny do powagi. Kazimierz staje na środku pokoju, niepewny, czy powinien zaproponować coś do picia. André kładzie dłonie na oparciu wielkiego starego fotela, który pozostał po teściu Marii. Z trudem udaje mu się ukryć rozczarowanie wywołane nieobecnością przyjaciółki. Czuje się oszukany, jak zawsze, kiedy bezinteresownie robi coś dla niej, a ona okazuje niewdzięczność. To, że tym razem nie zawiniła, nie ma znaczenia.

– Fatalnie. Zresztą sam nie wiem – płacze się Perrin.

Popatruje na kolegę, ten jednak przygląda się obrazowi.

– Coś się stało? – pyta Kazimierz.

Strzepuje z idealnie skrojonej marynarki niewidoczny pyłek, podchodzi do żony i staje za nią, jakby gotów był jej bronić. Bronisława uśmiecha się i ścisną go za rękę.

– Paul wyzwiał Téry’ego na pojedynek – informuje Jean. Okazuje się, że potrafi być poważny.

Bronisława zrywa się na równe nogi, oszołomiona tym, co usłyszała.

– Tego tylko brakowało – syczy.

Panowie wpatrują się w nią. Patrzenie na Bronkę zawsze sprawia przyjemność, ponieważ wszystko jest w niej ładne: oczy, usta, nos, kości policzkowe.

– Opublikowano w „L’Oeuvre” artykuł o podłości Paula, który dopuszcza do publicznego szkalowania żony. Strasznie się wściekł i chce zastrzelić Téry’ego za to, że ten go nazwał prostytutką.

– Marie jest w Brunoy – mówi Bronisława znacznie spokojniejszym tonem, nie dopuszczając, by Jean długo rozwodził się na temat Paula Langevina. Samo brzmienie jego imienia i nazwiska doprowadza ją ostatnio do szału.

Patrzy na André, jakby oczekiwała potwierdzenia miejsca pobytu swojej siostry, i dostrzega, że on o niczym nie wie. Bronka wstydzi się za Marię. Ma świadomość, do jakiego stopnia przyjaciel jest jej oddany.

– Wynajęłam dom na swoje nazwisko, żeby nie nękali jej dziennikarze. Tu nie sposób już wytrzymać. Chwilami drzwi się nie zamykają.

André Debiere nie dziwi się pomysłowi Bronki. W pracy też nie dają Marie spokoju. Nachodzą laboratorium, niezniechęceni tym, że madame Curie jest nieobecna. Odpowiedzialność za kontakty z nimi spada na niego. Proponują prelekcje i najróżniejsze sesje zdjęciowe. Chcą, żeby udzieliła wywiadu, albo zjawiają się z pomysłem na książkę. Proszą o rozmowę z madame Curie – o jej dzieciach, na temat radu, jej wynalazków, Nagród Nobla, które otrzymała, sytuacji Polaków pod zaborami. Władze Sorbony też są ziryutowane, bo wciąż się ktoś do nich zgłasza z nadzieją, że tą drogą nawiąże z Marie kontakt. Ludzie jej zazdroszczą, z rzadka współczują. Dziennikarze szukają sensacji, ale zadowolą ich też szczegółowy opis jej codzienności: co czyta, co je, czy gotuje, w ilu krajach była, dokąd się wybiera, jakie lubi kwiaty, czy podpisze zgodę na sfilmowanie swego życia. Ludzka ciekawość nie zna granic. Współpracownicy Marie marzą o świętym spokoju. Jest słynniejsza od aktorek teatralnych. Śpiewa się o niej w Mou-lin Rouge, a to, zdaniem André, zakrawa na szaleństwo. Nikt nie wie lepiej od niego, że życie Marie jest katorgą.

– Co u ciebie słysząc, André?

Bronisława czuje się zobowiązana zapytać go o samopoczucie. Ma

świadomość jego roli w życiu Marii. Podejrzewa też, że siostra z właściwą sobie niefrasobliwością wykorzystuje to, iż mężczyźnie na niej zależy, i korzysta z jego pomocy nie tylko w pracy. Nikt nie zna uczuć Debierne'a, ale najbliżsi przyjaciele domyślają się, że kocha Marię. Bronka przygląda się szczuplejszej ostatnio sylwetce André z najpiękniejszym uśmiechem, na jaki ją stać.

– Moje życie to właściwie praca. Najczęściej siedzę w laboratorium – mówi Debierne.

Lubi Bronkę, gdyż ma słabość do wszystkiego, co się wiąże z Marią. Zdaje sobie sprawę, że to żenujące.

Pani Dłuska ucieka wzrokiem przed spojrzeniem André, bo jest niemal pewna, że „przyjaciel madame Curie” – tak niańka Irenki i Ewy nazwała mężczyznę, który je odwiedza w zastępstwie matki – to właśnie on, a to oznacza, że z Marią jest gorzej, niż myślała.

Jean Perrin przypomina coś sobie i nie ukrywając rozbawienia, pochyla się ku Bronisławie.

– Niedawno zapakowałem do walizki wirujący żyroskop i wręczyłem ją tragarzowi na dworcu kolejowym – zaczyna opowiadać. Wydaje mu się, że to będzie dobra odskocznia od żalosalnej rzeczywistości. Z natury życzliwy i pomocny, kiedy nic nie może zrobić, niezmiennie kryje się za żartami. – Trzeba było go zobaczyć. – Śmieje się do rozpuku na wspomnienie miny nieszczęsnego tragarza. – Facet zdębiał, kiedy poczuł, że walizka stawia opór, gdy chce skrócić. Co próbował użyć siły, to ta wykręcała się w odwrotnym kierunku.

Śmiech Jeana urywa się gwałtownie, kiedy mężczyzna zauważa, że Dłuscy ledwie się uśmiechają, wysłuchawszy dowcipu, który zrobił, wykorzystując nieznaną pospółstwu właściwość żyroskopu. Perrin zrywa się z miejsca. Nie ma Marii, nie ma po co tu siedzieć.

Milczenie Debierne'a jest znaczące. Nikt go nie spytał o pojedynek ani nie próbował włączyć do rozmowy, zwłaszcza o Langevinie. André bije na głowę przystojnego kochanka Marii może nie urodą, lecz na pewno uczciwością i zrównoważeniem. Miłość nie jest jednak wypadkową zalet osoby nią obdarzanej. Bywa irracjonalna.

André ściska dłonie Dłuskich, myśląc, że czasem zapomina, iż są obcokrajowcami. Po raz nie wiadomo który czuje się wyłącznie sekretarką madame Curie. Traci przez nią czas, robi z siebie głupca, wstydzi się przed Bronisławą (na odchodne wcisnęła mu karteczkę z adresem siostry; nie prosił o to, ale niczego bardziej nie pragnął – to dopiero żenujące).

Państwo Dłuscy stoją w otwartych drzwiach tak długo, aż goście znikają im z oczu. Dopiero wtedy wracają do salonu. Cisza się przedłuża. Bronka czuje przygnębienie na myśl o ewentualnych konsekwencjach szalonego romansu Marii. Skandal, rozdmuchany przez media, może zmienić się w tragedię. Niech to szlag!

– Nie wiem, co z tym wszystkim zrobić – mówi, chodząc po pokoju. Ma złe przeczucia, nienawidzi Francji.

– Musisz jej powiedzieć – stwierdza Kazimierz tym swoim nieznoszącym sprzeciwu, nauczycielskim tonem, który irytuje Bronkę.

Każda wypowiedź jest dla niego okazją do wykładu. Czasem Dłuska ma wrażenie, że mąż delektuje się samą barwą swego głosu. Niechęć do Kazimierza przenosi się na jego poglądy, w tym na ideały socjalistów. Kobieta wzdyga się.

– Pamiętasz, w jakim była stanie po śmierci Piotra? – pyta. – Miała myśli samobójcze.

– Tego nie wiesz – protestuje mężczyzna. – Mania zawsze narzekała.

– O czym ty mówisz, Kazimierzu?

Bronisława traci panowanie nad sobą wcale nie dlatego, że mąż doprowadza ją do wściekłości, chociaż doprowadza, lecz dlatego, że od rana nic jej się nie udaje. Teraz też – poprawia włosy, a one rozsypują się, szpilka wypada, Bronka potyka się o fotel, zaczepia o niego fałdą spódnicy. Jej ruchy stają się kanciaste i nerwowe.

– Zwariowałaś? – cedzi słowa, starając się nie podnosić głosu. – Narzekała? Cóż to za określenie? Przypominam ci, że Mania straciła męża. Piotr nie był chory, nic nie zapowiadało nieszczęścia. Ona nie była przygotowana na taki cios.

Bywa, że obie strony sporu przeżywają ciężkie dni. Kazimierz również ma problemy. Sprawy Marii zdają mu się wydumane. Sanatorium chorób płuc, które zbudował w Zakopanem, to potężna firma. Zarządzanie nią nie zawsze jest przyjemne. Dłuski musi podjąć kilka kluczowych decyzji, a żona go nie wspiera. Przyjechali na drugi koniec Europy, by ratować Marię, która jest po uszy zakochana. Przecież to śmieszne!

– Wiem, Broniu, że śmierć Piotra była dla niej tragedią, ale nie o tym rozmawiamy – zaczyna spokojnie.

Zdaje sobie sprawę, że jego spokój drażni Bronkę, ale... taki jest. Nie zamierza się zmieniać. Przygląda się ludziom, analizuje ich zachowanie i wyciąga wnioski. Zbliży się do sześćdziesiątki; ma prawo do własnych poglądów.

– Próbuję ci uświadomić – odzywa się kpiącym tonem – że Maria zawsze panikuje. Zawsze więcej mówi, niż robi. Nie pierwszy raz straszy samobójstwem, a wy z miejsca wpadacie w popłoch.

– Nie mów do mnie wy! – krzyczy Bronka. Twarz jej płonie.

W takich chwilach, bardzo rzadkich zresztą, Kazimierz przypomina sobie, że poślubił kobietę z temperamentem.

– Mówię o całej twojej rodzinie, kochanie – próbuje załagodzić sytuację.

Kocha żonę. Stara się być pomocny. Mimo gniewu, który niezmiennie wywołuje w nim świadomość, że Bronka niepotrzebnie nadskakuje rodzinie, stara się zrozumieć motywy jej postępowania. Kocha ją ze wszystkimi jej wadami,

dlatego zawsze po kłótni przechodzi do działania i obmyśla, jak ją wesprzeć.

– Od dziecka się przyzwyczaiła, że wychwalacie ją pod niebiosa, i straciła trzeźwy osąd. Przywykła jęczeć i biadolić – rzuca, gestykulując – przekonywać, że zawali egzaminy. Nie pamiętasz? Zawsze się okazywało, że świetnie sobie radzi. Taka jest. Przerzuca swoje kłopoty na innych.

– Nie znasz Marii – przerywa mu Bronisława. – Kiedy się urodziła, nasza matka była chora. Jako dziecko nie zaznała miłości.

– Broniu, ja to wszystko rozumiem. – Teraz i on chodzi po pokoju, co wygląda zabawnie, bo co kilkanaście kroków ich drogi się przecinają i jedno z nich musi drugiemu ustępować. – Nie przeszkadza mi, że Maria histeryzuje – stwierdza bezsilnie Dłuski, czując, że nie przekona żony do zdystansowania się wobec problemów siostry. – Uważam, że sprawa nie jest warta tego, byś odchodziła od zmysłów. Spójrzmy prawdzie w oczy. – Kazimierz zatrzymuje się przed żoną i kładzie dłonie na jej ramionach. – Żyjemy w czasach, kiedy niewielu kobietom udaje się osiągnąć sukces. Zwłaszcza w fizyce. Zauważyłaś, do czego mimo to doszła Maria?

Bronka odsuwa się od męża z niechęcią. Żałuje, że nie pojechała do Marii. Teraz jest już zbyt późno.

– Jest dwukrotną noblistką – kontynuuje Kazimierz. – Od lat obraca się wśród mężczyzn, z których połowa chętnie by ją wyrugowała z zawodu. Wykłada na Sorbonie, co się dotąd nie udało żadnej innej kobiecie. Pamiętasz o tym? – peroruje, nie dostrzegając, że oczy żony płoną. – Chcesz mi wmówić, że osiągnęła to, gdyż była słaba i przewrażliwiona? Maria jest twarda niczym stal i znacznie silniejsza od nas wszystkich. Zawsze wiedziała, czego chce.

– Nie znasz jej – upiera się Bronka. Czuje, że obrona siostry to jej obowiązek. Ma żal do męża, że jej nie wspiera. – Praca jest dla niej ucieczką – tłumaczy. – Wkłada maskę...

– Nazywaj to, jak chcesz, ale to Maria, nie ty, osiąga zawsze wyznaczony cel. Nikomu nigdy nie udało się jej zmusić do czegokolwiek.

Bronka się waha. Mąż dotyka kwestii, których ona woli nie widzieć. Jest zmęczona. Lubi konkretną pracę – opiekę nad chorymi, usprawnianie funkcjonowania sanatorium, doksztalcanie się, pisanie artykułów naukowych. Babranie się w psychice Marii przerasta ją i brzydzi.

– Zmieniła się – oświadcza z uporem, bo czuje, że w życiu siostry dzieje się coś złego.

– Co to znaczy?

– Zakochała się w Paulu.

Powiedziawszy to, Bronka zdaje sobie sprawę, jak beznadziejnie to zabrzmiało. Miłość jej siostry do żonatego mężczyzny nie jest powodem do dumy. Powinna była to przemilczeć.

– Nie rozumiem, co to zmienia – mruczy Kazimierz.

Łagodzi ton, gdy tylko zauważy, że małżonka nie radzi sobie z oceną sytuacji. Problemem jest jej siostra. To z jej powodu zostawili sanatorium i przyjechali do Paryża. Muszą podjąć decyzję, czy powinni ingerować w sprawę Marii, dojrzałej w końcu kobiety.

– Wyszła za Piotra, mając wiele obiekcji. – Głos Bronki brzmi głucho.

– Chcesz powiedzieć, że go nie kochała?

Zdumienie Kazimierza jest szczere. Dostrzega większość wad szwagierki, ma wrażenie, że ją doskonale zna, niemniej jednak nie spodziewał się po niej małżeństwa z rozsądkiem.

– Oczywiście, że kochała – płacze się Bronka, zła, że cała odpowiedzialność za rodzinę jak zawsze spada na nią. – Może nie od początku – zastanawia się głośno. – Nie umiem tego wytłumaczyć. Maria bała się miłości. – Zdaje sobie sprawę, że zdradza tajemnice siostry, i nie czuje się z tym dobrze. Unika wzroku męża. – W młodości, kiedy pracowała na wsi między innymi po to, żeby opłacać moje studia w Paryżu, zakochała się z wzajemnością w synu pracodawców. Sprawa wyszła na jaw i okazało się, że guwernantka nie jest wystarczająco dobra dla panicza. Bardzo to przeżyła. Narzeczony zwodził ją przez jakiś czas, obiecując ślub. Chciała zrezygnować z planów dalszego kształcenia. Myślę, że to, jaka jest i jak traktuje mężczyzn, ma początek właśnie w tamtych doświadczeniach... kiedy się poczuła nikim...

Kazimierz wzrusza ramionami.

– Ponieważ jakiś miglanc...?

– Nie był miglancem! – przerywa mężowi Bronka. – Po prostu był uzależniony od rodziców. Oceniasz innych zbyt pochopnie.

– Nazywaj to sobie, jak chcesz.

– Nie masz pojęcia, co oznacza być ubogim – rzuca mu w twarz Bronka.

– Latami klepałem biedę – obrusza się mężczyzna.

– Klepałeś biedę, ponieważ twoi rodzice nie mogli znaleźć sposobu, żeby ci przekazać pieniądze. Nasz ojciec nigdy ich nie miał.

Czy to wina Kazimierza, że urodził się w takiej, a nie innej rodzinie? Dłuski ma dość ironicznych komentarzy żony. Była biedna, ale to już przeszłość.

– Mogłyśmy liczyć wyłącznie na siebie... z pełną świadomością, że to się nigdy nie odmieni... że nie odziedziczymy majątku, bo jesteśmy... Maria uwierzyła w wartość wykształcenia, ponieważ było jej to potrzebne do życia. Ja – Bronka waha się – do dzisiaj nie wiem, kim jestem. Może dlatego, że mama umarła, a ja musiałam ją rodzeństwu zastępować... choć byłam niewiele starsza. Chwilami odnoszę wrażenie, że mszczą się na mnie za to, że weszłam w rolę matki... a ja tylko...

Kazimierz przytula żonę. Przeżyli razem tyle lat; przyzwyczał się do tego,

że jest dzielna. Nigdy się nie zastanawiał, jak godzi wszystkie zajęcia – opiekę nad córką, dom, przyjęcia, które uwielbiają, dbałość o garderobę, sanatorium, ustawiczne dokształcanie się.

Coraz częściej czuje dzielące ich lata. Bronka jest kobietą w sile wieku, on zaczyna zostawać w tyle – jeszcze nie pod względem sprawności intelektualnej, ale z pewnością fizycznej.

– Nie roztkliwiał się nad sobą, kochanie – szepce jej do ucha. – Jesteś doskonała... w każdym calu.

– Po śmierci Piotra zaczęłam się obawiać, że Maria zniszczy sama siebie. Pamiętasz, jak głodowała w czasie studiów? – mówi dalej Bronka. – André twierdzi, że nie można jej było wyciągnąć z laboratorium. Snuła się po nim niczym zjawą z koszmarnego snu... ubrana w byle co i byle jak, cała w czerni, postarzała i zgorzkniała.

Dłuska podchodzi do okna, pragnąc ukryć zmieszanie. Myśl o André wraca raz po raz. Towarzyszy jej poczucie, że ludzie go wykorzystują – wszyscy, także cała jej rodzina – i że miłość Marii do Langevina jest jawną niesprawiedliwością, skoro wzdycha do niej ktoś jego pokroju.

– A potem co? – rzuca głucho. – Zakochała się jak nastolatka... do szaleństwa. Nie powiem jej o pojedynku. Niech go wreszcie zastrzelą, będzie święty spokój!

– Oszalałaś?! – obrusza się Kazimierz.

Bronka rzuca mu szybkie spojrzenie. Schudł, przybyło mu zmarszczek. Kiedyś była z niego dumna. Dziś rzadko ma czas, by się zastanowić, co do niego czuje. Zapewnił jej dostatnie życie, wiarę w lepsze jutro. Niczego nie robi dla siebie. Od lat zajmuje się chorobami płuc, pisze artykuły naukowe na ich temat. Akurat pod tym względem dobrali się idealnie. W jej rodzinie, odkąd sięga pamięcią, każdy starał się wykonywać pracę, która służyła czemuś więcej niż tylko utrzymaniu się na powierzchni. Choćby Maria i Piotr – dyskutowali nocami o tym, czy wyniki ich badań nie przyniosą ludziom więcej złego niż dobrego.

– Nie oszalałam. Maria upadła tak nisko, że niżej już nie można.

Bronka siada z rezygnacją. Jej oddech jest płytki i nerwowy. Kazimierz nasłuchuje mimo woli. Ma obsesję na punkcie gruźlicy.

– Langevin nie rzuci żony – mówi pani Dłuska sennym głosem. Senność świadczy u niej o nieradzeniu sobie z kłopotami. Jakby organizm chciał przespać sytuacje kryzysowe. – Dziennikarze będą wycierać sobie gęby nazwiskiem Marii. Nie wiem, Kaziu, pojęcia nie mam, co w tej sytuacji robić. Nie mogę patrzeć, jak ona niknie w oczach. Na nic nie mam wpływu, a czuję się za nią odpowiedzialna.

– No to będziemy przy niej, aż się sytuacja unormuje – stwierdza Kazimierz ze stoickim spokojem.

– A co z naszym życiem? – martwi się Bronisława.

Za życia Piotra Maria nie zadbała o urządzenie mieszkania. Teraz, gdy odszedł, meble i ozdoby tym bardziej jej nie interesują. Wielkie bukiety kwiatów, które wstawia czasem do wazonów, przypominają dzieła sztuki w pustych halach. Bronka rozgląda się ze smutkiem. W salonie Marii panuje przygnębiająca atmosfera; czuje się tu rozpacz.

– Trzymajmy się więc z daleka od jej problemów – proponuje Kazimierz. – W przeciwnym razie ty będziesz winna... jeśli się rozstaną.

– Tak właśnie zamierzam uczynić. Maria nie dowie się o pojedynku Langevina.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Paryż, kwiecień 1897

Maria siedziała nieruchomo przy stole – sztywno wyprostowana, zatopiona w myślach. Miała trzydzieści lat; dużo i niewiele zarazem. Ilekroć analizowała swoją sytuację, dławilo ją przerażenie. Błądziła wzrokiem po pokoju, jakby widziała go po raz pierwszy. Uświadomiła sobie nie tylko, że mieszkanie wygląda biednie, ale również, że jej mąż w ogóle tego nie zauważa, tak jak nie widzi, że ona codziennie zapisuje w zeszycie wszystkie wydatki, by wiedzieć, czy wystarczy pieniędzy na życie. Mieli wyłącznie takie meble, bez których nie mogli się obejść. Największy był stół do pracy. Marii zależało na wrażeniu lekkości w pomieszczeniach. Urządziła je pod kątem przyszłego sprzątanego, gdyby – z czym musiała się liczyć – przyszło jej zastąpić służącą, a zważywszy na topniejące pieniądze, chwila ta nieuchronnie się zbliżała.

Maria Skłodowska chciała mieć wpływ na swoje życie. Wyszła za mąż, została panią Curie i wymknęło jej się z rąk nawet to, nad czym wcześniej panowała, nie mówiąc o całej reszcie, która nadeszła.

Powinna była iść do laboratorium, ale Piotr wciąż pisał. Obiecała, że zaczeka, aż on skończy akapit. Czekala ze świadomością, że dawno już zapomniał o bożym świecie i pewnie zbliża się do końca artykułu.

Przypomniała sobie nerwowe przygotowania do swojego ślubu. Teściowa Broni, pani Dłuska, zaoferowała, że sfinansuje uszycie sukni panny młodej. Maria przystała na ten wspaniały gest, ale nie dała się namówić na marnotrawienie pieniędzy i wybrała model, który potem mogła nosić na co dzień. Coraz częściej jednak robiła rzeczy, których się po sobie nie spodziewała. Małżeństwo wywróciło jej życie do góry nogami; kupiła nawet modne szarawary do jazdy na rowerze! W podróż poślubną udali się do Bretanii. Maria była Piotrowi potrzebna, więc jej życie pierwszy raz od wielu lat miało sens. Młoda żona czuła się wolna i spokojna. Nie martwiło jej, za co się utrzyma w Paryżu i jak skończy studia. Miała męża.

Siedziała przy stole jak sparaliżowana, ponieważ dotarło do niej, że życie minie, a ona nawet go nie posmakuje. Dlaczego nie chciała białej sukni ślubnej? Nigdy więcej nie będzie okazji, aby taką włożyć. Czy użyteczność jest jedynym kryterium wyboru? Czy rozsądek to jedyne, czym człowiek winien się kierować? Czy małżeństwo było dobrym rozwiązaniem? Poślubiła Piotra, żeby pozbyć się kłopotów? Oczywiście kochała męża! Kochała duszą i ciałem, tylko czy powinna była zgadzać się na ślub? Zmienił wszystko, nie czyniąc jej życia ciekawszym. Piotr ją uwielbiał, tyle że... poza pracą nic go nie interesowało. Dotychczas sama miała identyczną postawę. O co, jeśli nie o jej egoizm, toczyły się boje z Dłuskimi?

Nagle zobaczyła w Piotrze swoje lustrzane odbicie. Ten widok jej się nie spodobał, ponieważ teraz to ona była na miejscu Dłuskich, Piotr zaś – na jej miejscu. Zmuszona była wziąć na siebie obowiązki, które jej mąż ignorował: gotowanie, pranie, sprzątanie... Chciało jej się płakać; wyć z rozpaczy.

– Witaj, Maniu.

– Nie mów do mnie Maniu! – wybuchnęła.

Gwałtowność jej reakcji oszołomiła Bronisławę. Siostra stanęła, pokręciła głową i lekkim krokiem podeszła do Marii.

– W dzieciństwie zabraniałaś mi tak do siebie mówić, czyli bez zmian – zadrwiła.

Jej wiosenna kreacja – bardzo piękna, jasna, w pastelowych kolorach – została uszyta zgodnie z najnowszą paryską modą. Maria nie musiała pytać, żeby wiedzieć, że to prezent od teściowej; zbytek niewart uwagi rozsądnej kobiety. Pomyślała, że z Bronki robi się trzpiotka. Ludzie nauki nie gonią za czymś równie trywialnym jak moda. Są setki sposobów na sensowniejsze wydatkowanie pieniędzy. Ona i Piotr ledwie wiązali koniec z końcem. Hańba! Wybitny uczony, lepiej znany za granicą niż we Francji, zarabiał kilkaset franków miesięcznie. Hańba dla kraju, który tak traktuje geniuszy! Czemu trafiła na geniusza odmawiającego wszelkich przywilejów i obojętnego na splendor? Boże, miała mętlik w głowie.

– Proszę cię od lat, żebyś mnie nie nazywała Manią, a ty swoje. Uważasz, że to zabawne? – zapytała. – To, że nikt mnie nie słucha i się ze mną nie liczy?

– U la, la, mamy chandrę? – Bronisława parsknęła śmiechem i usiadła na twardym krześle.

– Nie cierpię zwracania się do ludzi w liczbie mnogiej – rzekła Maria chłodno.

Bronka dostrzegła, że cera siostry jest zaróżowiona i wyraźnie zdrowsza, niż kiedy widziały się ostatnio. Małżeństwo Marii służyło. Dłuską rozpierała radość, że jest wiosna, że Paryż ożył na dobre, kafejki otworzyły ogródki, ludzie częściej się śmiali. Wpadła do siostry na ploteczki.

– Nie jest ci przyjemniej w moim towarzystwie? Jesteś sama?

– Piotr pracuje w sypialni – odparła Maria niechętnie.

Podeszła do drzwi, by poinformować męża o gościu, i nagle pomyślała, że nic nie jest zgodne z jej wcześniejszymi wyobrażeniami. Nie zależało jej na pięknych sukniach, ponieważ pogoń za dobrami doczesnymi nie przystoi wykształconej kobiecie, ale wygląd Bronki zrobił na niej wrażenie. Mieszkanie, które urządziła razem z Piotrem, idealnie pasowało do ich stylu życia, jednak gdy na nie patrzyła, chciało jej się wyć. Co było z nią nie tak? Dlaczego nie potrafiła się śmiać? Cieszyć chwilą? Żałosna męczennica w nieznannej sprawie. Owszem, kiedy była mała, ojciec uczył ją oszczędności, wskazywał, co jest w życiu ważne, a bez

czego można się obejść, mówił, że lepiej pracować dla ludzkości niż dla własnego wąsko pojętego interesu, lecz, na Boga, czy to oznaczało, że uczciwy człowiek i patriota nie ma prawa do odrobiny szczęścia? Co pomyślała teściowa Bronisławy, kiedy Maria odrzuciła pomysł uszycia białej sukni?

Przycisnęła czoło do framugi drzwi, powstrzymując się od płaczu. Nie widziała słońca ani rozkwitających drzew. Widziała tylko pustkę swego życia.

– Przyszła Bronia – poinformowała męża głucho.

– Cieszę się, kochanie – odparł.

Była niemal pewna, że nie zrozumiał jej słów. Używał kilku zwrotów: „cieszę się, kochanie”, „masz rację” lub po prostu „tak, już idę”. Stosował je wymiennie, rzadko wpasowując się w kontekst. Wzruszyła ramionami i wróciła do salonu.

– Daj mu spokój, niech pracuje. – Bronka wołała plotki z siostrą od rozmowy z Piotrem, zwłaszcza tego dnia, pełnego wiosennej energii. Natura zawsze wyprzedzała jej zdolność percepcji; pory roku zmieniały się niemal niezauważalnie. Jak to się działo?

– Mógłby się chociaż przywitać, ale przecież pracuje – skwitowała Maria ironicznie. Usiadła przy oknie. – Skorzystam z tego, że jesteś.

Otworzyła zeszyt, w którym prowadziła domową księgowość. Bronka podeszła i zajrzała jej przez ramię. Z trudem pohamowała śmiech. Maria, która liczy każdy grosz! Owszem, słynęła ze skąpstwa, niestety, ono w żaden sposób nie przekładało się na umiejętność zarządzania domowym budżetem. Zwykle oszczędzała nie tam, gdzie należało.

– Jaka jest objętość szczypty soli?

– Nie rozumiem.

Bronka stała jak zahipnotyzowana. Nie odrywała wzroku od zapisków siostry.

– Czego nie rozumiesz? Dałaś mi przepis na sałatkę, nie wyjaśniając podstawowych rzeczy.

– Miałam ci podać wagę szczypty soli? – zapytała Bronka ironicznie, co wydało się Marii niegrzeczne.

– Jak mam doprawić potrawę?

Bronisława zaśmiała się jak za dziecięcych czasów – serdecznie i na całe gardło.

– Dopraw do smaku – poradziła.

– Czyli? – Maria siedziała z piórem w ręce i czekała na konkretną liczbę, którą by mogła zapisać w zeszycie.

– Tak, żeby ci smakowało.

– Mam zrobić sałatkę i dopiero wtedy stwierdzić, że jest niedoprawiona?

– Widzisz jakiś problem, Marysiu?

– To... po prostu nieprofesjonalne. Zrozum, jestem beznadziejna. Moje obiady są wstrętne, mięso wysuszone, makaron się skleja.

– Starasz się, to najważniejsze. Piotr musi być z ciebie dumny.

– Nawet nie zauważył, że gotuję – ucięła Maria i w tej samej chwili dotarło do niej, że to prawda.

Małżeństwo nie przyniosło jej zbyt wielu korzyści. Było nudne, monotonne i do tego przeszkadzało w pracy. Doceniała urok zbliżeń z mężem, owszem, były przyjemne i ekscytujące, ale nawet one zaczynały męczyć. Piotr ją ubóstwiał, ale ona nie zasługiwała na pochwały. Ani nie była tak piękna, jak uważał, ani tak zgrabna, ani genialna. Ze zdziwieniem stwierdziła, że zachwyty Piotra ją irytuje. Miłość męża demoralizowała Marię. Poczawszy się silniejszą stroną związku, podświadomie zapragnęła zmienić Piotra. Robiła to konsekwentnie, co zapewne spowodowałoby spore zgrzyty w małżeństwie, gdyby nie to, że profesor Curie żył w swoim świecie.

– Musiał zauważyć, że jedzenie jest gorsze, odkąd nie stołuje się w rodzinnym domu. – Bronka znów rechotała.

Maria przemilczała jej uwagę. Zbyt wiele na nią spadło: początek wiosny, obojętność Piotra i płaczliwy nastrój, brak pieniędzy, koszmarnie mieszkanie... zakurzone na dokładkę.

– Stać nas na jedną dochodzącą pomoc. Zajmuje się co cięższymi pracami.

– Wiele tu nie ma do sprzątnięcia – zakpiła Bronka.

– Nie lubimy zbędnych sprzętów – zachnęła się Maria, kryjąc dłonie w fałdy spódnicy.

Jej dłonie były zaniedbane i zniszczone w wyniku doświadczeń laboratoryjnych, jakie przeprowadzali z Piotrem. Na co dzień tego nie dostrzegała, kiedy jednak przebywała w towarzystwie tak pięknej, zadbanej kobiety jak siostra albo gdy szła z wizytą, była zażenowana.

– Chyba nie lubicie przedmiotów – zauważyła Bronisława, rozglądając się po pustym salonie państwa Curie. – A zawsze mi mówiono, że fizycy kochają materię.

– Mam brulion do zapisywania wydatków. – Maria szybko zmieniła temat. – Czasem go przeglądam i jestem załamana.

– Więc go wyrzucić – zaproponowała niefrasobliwie Bronisława, patrząc na siostrę niemal wyzywająco. – Znów szukasz dziury w całym?

– Zmusiłam Piotra, żeby kupił karnety do teatru, rozumiesz? – szepnęła Maria. Na palcach podeszła do drzwi i ostrożnie je zamknęła, choć mąż koncentrował się na pracy tak, że nie przeszkodziłyby mu zapewne nawet wystrzały armatnie. – Takie życie nie ma sensu – oświadcza, jakby zdradzała siostrze tajemnicę państwową. – Jednostajne, nudne, przewidywalne, każdego dnia kropka w kropkę to samo. Nie wiem, czy to powinno tak wyglądać.

– Kochasz Piotra?

– Kocham, ale nie mam pojęcia, co on kocha bardziej – mnie czy pracę.

Pani Dłuska zaśmiała się perliście, ale natychmiast ucichła, przypominając sobie, że nie są same.

– Przecież ty i Piotr jesteście identyczni – szepnęła.

Maria zaczęła podejrzewać, że ktoś poczęstował siostrę winem; stanowczo za często się śmiała.

– Dlatego go nienawidzę – mruknęła. – Nienawidzę świata za to, że ktoś taki jak Piotr zarabia pięćset franków miesięcznie. Nienawidzę nudy swego życia. Trzeba piąć się wyżej. Czas upływa.

Bronisława wzruszyła ramionami. Tanecznym krokiem przechadzała się po salonie; jej spódnica falowała. Czasem nie mogła uwierzyć, że jeden promień słońca tak zmienia nastrój człowieka. Kazimierz zażartował kiedyś, że studia medyczne zabiły w niej prawdziwe uczucia. Odkąd usłyszała, że pewne zachowania są wynikiem czystej chemii, patrzyła na ludzi podejrzliwie. Miłość czy równanie chemiczne?

– Masz obsesję – odniosła się do poglądów Marii na temat kariery. – Badasz tę swoją hartowaną stal i co ma z tego wyjść?

– Moje badania mają ogromne znaczenie – rzuciła wyniośle siostra. – I dla wytwarzania magnezów trwałych, i maszyn dynamoelektrycznych, i...

– Cofam pytanie – przerwała jej Bronka. – Nie podawaj mi szczegółów, powiedz tylko, kiedy skończysz.

Maria z politowaniem pokiwała głową.

– Jeszcze przed wakacjami.

– Jednym słowem, zaliczysz precudowny rok – próbowała ją rozruszać Bronka. – Zdobyłaś uprawnienia, żeby uczyć w liceum...

– Czym jest uczenie w liceum? – zachnęła się Maria. – Też mi coś. Chciałam być naukowcem. Chciałam wspierać Piotra... doktoryzować się...

– Chciałam, chciałam. Nikt ci przecież nie zabroni.

– Oczywiście – zirytowała się Maria. – Z dzieckiem przy piersi, z pieluchami, zupkami, kupkami i całym tym pożałowania godnym bałaganem. Monotonia już mnie zabija. Nie wystarczy mi czasu na pracę w laboratorium. Spędzam tam nie więcej niż osiem godzin dziennie. Co osiągnę, pracując naukowo osiem godzin dziennie? Nic! Z miejsca nie ruszę. Potrzebuję kilku godzin na zajęcie się domem: cerowanie, gotowanie, pranie, a co będzie za kilka miesięcy?

– No, co będzie? – zapytała Bronka.

– Domyśl się – fuknęła siostra. – I ty jesteś lekarzem od chorób kobiecych?

– Maniu – pisnęła Dłuska – nie chcesz chyba powiedzieć... – Zerwała się na równe nogi. – Jesteś w ciąży?

– Kim ja jestem, żeby się decydować na dziecko? Wyobrażasz sobie moich

współpracowników z laboratorium? Kolegów z Sorbony? Mam im powiedzieć, że jestem w ciąży? Teraz? Kiedy zaczęli zapominać, że jestem kobietą?

Ciąża w jej wieku to prawdziwe wyzwanie. Może się źle zakończyć, przynieść więcej zmartwień niż radości. Kto się zajmie dzieckiem? Jak ma zrobić doktorat? Jak utrzymają dziecko, skoro dla nich dwojga ledwie wystarcza? Matka Piotra chorowała. Nie przejmie opieki nad maluchem.

– Bredzisz – rzuciła zgorszona Bronisława. – Żaden z nich nie zapomniał, że jesteś kobietą. Zdobyłaś ich szacunek.

– A po urodzeniu dziecka go stracę, ot i cała prawda o karierze madame Curie.

– Bzdura, dasz sobie radę, jak ze wszystkim, czego się tkniesz. Będziesz najlepszą matką pod słońcem.

Bronka wierzyła, że szczęście łączy się do szczęścia, ból do bólu, i dlatego to akurat tego dnia dowiedziała się, iż Maria jest w błogosławionym stanie. Kochała obie siostry, obu życzyła jak najlepiej. Były piękne i mądre, zasługiwały na spełnienie marzeń. Miewała wyrzuty sumienia, że jej i Kazimierzowi tak wspaniale się układa. Nie dość, że wciąż byli w sobie zakochani, to i finansowo coraz lepiej im się powodziło.

– Marie... czy ty spodziewasz się dziecka?

Nie wiedziały, kiedy Piotr stanął w drzwiach i jak wiele z ich rozmowy słyszał. Był blady. Nerwowym ruchem przeczesywał czuprynę.

– Spodziewasz się dziecka? – powtórzył takim tonem, jakby od odpowiedzi żony zależały losy świata.

– Ty też się spodziewasz – burknęła Maria. – Nie myśl, że się wymigasz od obowiązków.

Piotr usiadł na podłodze i schował głowę między nogi. Słysząc było dziwny dźwięk, coś pomiędzy śmiechem a parsknięciami niedowierzania. Wyglądał zabawnie i wzruszająco.

– Boję się, Piotrze. Nie jestem na to przygotowana.

– Moi rodzice nam pomogą, pomogą z całych sił... zobaczysz, Marie. Kocham cię. – Piotr z przeszczęśliwą miną podszedł do żony, objął ją i zaczął kołysać w ramionach. – Kocham cię, Marie.

Już zwątpił w to, że zostanie ojcem. Maria była taka niezależna, marzyła jej się kariera i miała wszelkie dane, by ją zrobić. Nie śmiał prosić ją o dziecko, zwłaszcza że wkroczyła w wiek, gdy ciąża mogła zagrozić jej życiu. Nie przypuszczał, że ta wiotka istota o aksamitnej skórze i anielskim uśmiechu spęta jego wolę, jak się wiąże upolowane zwierzę. Czuł się stary i bezradny. Pragnął dać jej szczęście, ofiarować wszystko, czym dysponował świat, a że najlepiej sobie radził, prowadząc badania naukowe, rzucił się w ich wir nie tylko po to, żeby nadrobić stracone lata. Chciał zaimponować żonie, być jej podporą.

Bronka wyszła niezauważona. Wzruszyło ją zachowanie szwagra, to, że powtarzał „kocham”, jakby właśnie doznał objawienia. Pomyślała o ojcu, jaki będzie szczęśliwy, gdy Maria napisze do Warszawy, że on znów zostanie dziadkiem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Brunoy, maj 1912

Marguerite i Émile Borelowie w milczeniu czekają na otwarcie drzwi. Stoją przed domem w podparyskim Brunoy, miejscowości często odwiedzanej przez Polaków. Mężczyzna jest tu pierwszy raz i nie może zrozumieć, co ludzi przyciąga do tego uzdrowiska. Jego pocziwa, przystojna twarz rozjaśnia się na widok Marii, którą Borel lubi głównie dlatego, że jest przyjaciółką jego żony. To wystarczy, żeby wzbudzić w nim sympatię. Bez słowa cmoka kobietę w policzek. Nic nie musi mówić, Marguerite szczebioce za troje. Wchodzą do salonu. Uczony uświadamia sobie, że większość czynności ludzie wykonują automatycznie. Oto zjawili się w Brunoy niezapowiedziani, a Maria przywitała ich w milczeniu, z tak obojętnym wyrazem twarzy, jakby widzieli się przed pięcioma minutami. Sami ruszyli w głąb domu, bez zachęty usadowili się w fotelach, jeszcze chwila, a wyjmą z toreb poczęstunek, naigrawa się w duchu.

– Marguerite marzy o urlopie, na który teraz nie mogę sobie pozwolić, postanowiłem więc przywieźć ją do ciebie – mówi, wygładzając spodnie na udach. Jest zmieszany, ponieważ przyjaciółka żony ma kłopoty, a on nie może pomóc. Przyjaciele nie powinni mieć kłopotów. To deprymujące. – Może wybiierzecie się nad rzekę – kontynuuje, żeby wypełnić ciszę, która zaległa, kiedy jego gadatliwa żona zamilkła.

Marguerite przygląda się Marii. Napotkawszy jej spojrzenie, speszona odwraca wzrok. Gałąź bzu stuka w okno. Wszyscy troje nasłuchują.

– W każdym razie idźcie na spacer, a ja sobie poczytam.

– Poczytasz? – Pani Borel obrusza się, zabawnie marszcząc nos. Jej krótkie, proste włosy są bardziej puszyste niż zwykle. Przygląda je bezwiednie prawą dłonią. – Chyba nie chcesz powiedzieć, że wzięłaś ze sobą książkę? – mówi zgorziona.

Émile rozkłada ręce, jakby go przyłapała na podkradaniu owoców z ogrodu sąsiada; jest zawstydzony.

– Naturalnie, że wzięłem, kochanie. Przecież wiem, że będziecie chciały porozmawiać.

Prawda jest inna. Przed tygodniem obiecał teściowi, że powie mu, co myśli o jego najnowszej pracy. Codziennie odkładał lekturę na później, a teraz nie miał już wyjścia; jak zawsze działał w ostatniej chwili.

– Jesteś źle wychowany – kwituje Marguerite.

Uczonemu się wydaje, że dopiero przedłużanie sprzeczki byłoby niegrzeczne, nie odpowiada więc. Uśmiecha się do Marii. Właściwie powinna była

zostać w Paryżu; łatwiej tam o anonimowość, myśli.

– My, naukowcy, mamy własną hierarchię ważności, prawda, Marie? – rzuca niefrasobliwym tonem, uważa bowiem, że trzeba panią Curie rozruszać. Nigdy nie była lwicą salonową, teraz jednak jej zachowanie ma znamiona ponuractwa.

– Ja chyba nie mam żadnej... – odzywa się niespodzianie gospodyni.

– Dajże spokój, co to za nastrój? – protestuje Borel, dobrotliwie klepiąc ją po ręce. – Rozejrzyj się dokoła... słońce, wiosna w pełni...

Wprawdzie najbliższe otoczenie przypomina norę, bo słońce akurat schowało się za chmurami, a sporą część światła zasłaniają ciężkie zasłony wiszące po obu stronach okna, ale tekst pasuje do pogadanki o optymizmie, myśli drwiąco Marguerite.

– Szczerze mówiąc, zmarłam – wtrąca, nic sobie nie robiąc z tego, że mąż nie skończył mówić.

Borel przez kilka sekund siedzi z otwartymi ustami, wreszcie jednak zagryza wargę, rezygnując z krzepiącej przemowy.

– Czasem mi się wydaje, że ludzie chcą doprowadzić do zagłady świata – oświadcza Maria.

Borelowie patrzą na nią oszołomieni, próbując dociec, wstępem do czego są jej słowa, ale gospodyni nie zwraca na nich uwagi. Staje na tle okna. Wygląda jak czarna plama. Ciało, włosy, ubiór, wszystko ma jeden kolor.

– Często rozmawialiśmy z Piotrem na ten temat – mówi. – Obawiał się, że nasze odkrycia zostaną wykorzystane do czegoś... strasznego... na przykład do unicestwienia człowieka.

Borelowi ciarki przechodzą po plecach – jakby zobaczył ducha. Według ludowych wierzeń o obecności ducha świadczy spadek temperatury w pomieszczeniu, w którym się zjawia.

– Na to nie masz wpływu – kwituje Marguerite.

– Naprawdę? – obrusza się Maria.

Nie rozumie powodu wizyty przyjaciół. Czuje, że są zmieszani i nie wiedzą, o czym z nią rozmawiać, uznaje więc, że przyjechali ze zwykłej, ludzkiej przyzwoitości. Jest zmęczona postawą dalszych i bliższych znajomych, którzy ją odwiedzają na znak solidarności. Trwa to od miesięcy. Ma wrażenie, że otaczają ją tłumy ludzi. Nie może się skoncentrować. Byłaby zdziwiona, słysząc, że jej odczucia są subiektywne i mają się nijak do rzeczywistości.

– Wystarczy zaniechać niebezpiecznych badań – mówi z ironią. – Może ten nasz upór – zastanawia się, odchodząc od okna, ponieważ światło staje się trudne do zniesienia – jest niemoralny... ten nasz upór... niemoralny – powtarza, nie zdając sobie sprawy, że gubi wątek. Pieką ją oczy i drażnią spierzchnięte wargi, które raz po raz zwilża językiem.

Émile spogląda na nią z niepokojem. Nigdy nie mówiła w ten sposób.

Opanowała francuski w stopniu doskonałym, a zatem rwana wypowiedź nie wynika z niedostatku słów ani z nieznamomości gramatyki.

– Sięgam po gazety... na każdej stronie konflikt włosko-turecki... liczba ofiar... kolejna eskalacja okrucieństwa i głupoty... tylko śmierć i śmierć... i śmierć.

– Co się z tobą dzieje, Marie? – mówi Marguerite ze śmiechem, który brzmi dość absurdalnie po wyznaniu przyjaciółki. – Wyjdź do ludzi, spójrz na świat. Nieprawda, że zmierza ku katastrofie. – Pani Borel wzrokiem błaga męża o pomoc.

W drodze z Paryża zastanawiali się, w jakim stanie psychicznym zastaną Marię. Przewidywali, że nie będzie dobry, jednak to, co widzą, przechodzi ich wszelkie wyobrażenia. zwłaszcza Émile'a, który zna zmienne nastroje Marii głównie z opowiadań żony.

– Samolot przeleciał z Paryża do Londynu. Czy to nie cudowne? Amundsen zdobył biegun południowy... – Marguerite niestrudzenie próbuje skierować myśli przyjaciółki na inny tor.

– Właśnie o tym mówię – przerywa Maria lodowatym tonem. – Amundsen zdobył biegun południowy, za to Scott, który naprawdę tego pragnął... dla którego... – Głos jej się łamie. Żadne z Borełów nie ma odwagi na nią spojrzeć; boją się, że płacze. – Dla którego było to jedynym celem życia... Scott przyszedł drugi. Nie przeżył wyprawy... ani żaden z jego ludzi. Tak wygląda życie. – Maria staje naprzeciwko Marguerite. Łzy płyną jej po policzkach, po szyi; płyną, jakby odkręciła kran. – Wszyscy się rozpisywali na temat „Titanica” – podnosi głos – że niezatapialny... wspaniały, luksusowy, że cud techniki. I co? Zatonął. O tym właśnie mówił Piotr... że ludziom brak pokory wobec nieuchronności losu... a przecież niezależnie od podejmowanych działań jesteśmy bezbronni wobec wszechświata. Tymczasem zamiast sobie pomagać, wspierać się, cieszyć z osiągnięć naukowców, myślimy tylko o tym, jak te osiągnięcia wykorzystać przeciw innym ludziom. To jest chore. Nie chcę w tym uczestniczyć...

– Twoje odkrycia wspierają medycynę.

– Pamiętasz rękę Piotra po tym, jak z rozmysłem pozwolił sobie na kontakt z radem? – Maria jest raczej bezsilna niż zła. – Miał poparzenia, rana się jątrzyła. Pamiętasz? Rad należy zbadać. Bardziej niszczy, niż pomaga. Co, jeżeli otworzyliśmy puszkę Pandory?

Émile ma ochotę wyjść, tyle że nie wie, czym to uzasadnić. Przygląda się deskom na podłodze, zamyśla. Nawet Marguerite traci animusz, mimo że zwykle tryska niepoprawnym optymizmem.

Ubrana na czarno Maria przywodzi na myśl starożytną wieszczkę. Czas, gdy chciała się podobać Paulowi i wymieniła część garderoby, a na stare ciemne suknie narzucała jasne, pastelowe szale, minął bezpowrotnie. Ma tragiczny wyraz twarzy, wielkie, podkrążone oczy i zaczerwieniony nos. Nie przestaje płakać.

– Siedzę tu i z nudów zastanawiam się nad własnym życiem. Miałam być społecznicą, nieść pomoc rodakom pod zaborami. Śmiechu warte. Pisałam listy do przyjaciółki, wyrzucając jej, że wychodzi za mąż za cudzoziemca, a sama zrobiłam to samo, nie oglądając się na powinności Polki. Tak się przedstawia rzeczywistość.

Marguerite Borel nie przejmuje się słowami przyjaciółki; wie, że są poddyktowane goryczą.

– Jesteś rozdrażniona – mówi twardo, nie spodziewając się dramatycznego krzyku, jaki wywołają jej słowa.

– Nie, Marguerite! Uwrażliwiona... nie rozdrażniona. To różnica. Zmęczyło mnie to wszystko. Przestały działać moje mechanizmy wybielania siebie. Tylko tyle. – Maria wolno unosi głowę, która z powodu napuszonych, niedbale upiętych włosów wydaje się nieproporcjonalnie duża, i patrzy przyjaciółce w oczy. Lepiej jej nie przerywać. – Czytam na swój temat – w kompletnej ciszy jej głos, który niespodziewanie przeszedł w szept, zdaje się dochodzić gdzieś spod ziemi – i właściwie wypada mi stwierdzić, że... że piszą prawdę – kończy przez łzy. – Owszem, przy każdym oskarżeniu chcę krzyknąć: *ale!* Jednak... piszą prawdę.

Marguerite otrząsa się z dziwnego stanu, w jaki ją wprawiły słowa Marii i brzmienie jej głosu. Zrywa się z fotela i staje tuż obok niej. Przy wychudzonej przyjaciółce wydaje się potężna i silna.

– Dosyć uzalania się nad sobą – oświadcza. – Marie, weź jakiś szal. Idziemy na spacer. Jest ciepło...

– Ja zostaję, jeśli pozwolicie – rzuca Borel.

Marguerite odprowadza Marię wzrokiem do drzwi, po czym patrzy na męża. Lubi go. Błogosławi dzień, gdy zdecydowała się związać z nim życie. Jego drobne, choć męczące wady są nieistotne.

– Jezus, miałaś jej powiedzieć – mruczy z niezadowoleniem Borel. Jest mężczyzną, a mężczyzna wie, że jeśli włókł się taki szmat drogi, by poinformować Marię o pojedynku, to należało to zrobić w pierwszych minutach wizyty i dopiero wtedy ewentualnie rozmawiać na inne tematy. Jest zirytowany. Jako uczonej nienawidzi zmiany planów. Oznaczają najczęściej porażkę.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? – syczy Marguerite. – Nie widzisz, w jakim jest nastroju?

Pisarka nie ma problemu z wyrażaniem myśli, umie też zręcznie kłamać, ale wydaje jej się, że okłamywanie Marii byłoby czymś podłym i niedopuszczalnym. Histeria przyjaciółki, choć ją denerwuje, nie daje jej prawa do kłamstwa. A jak tu powiedzieć prawdę? Konflikt wewnętrzny doprowadza ją do szału.

– Marie ma taki nastrój co drugi dzień.

– Przestań! – Kobieta jest wściekła. – Nie odróżniasz złego samopoczucia od załamania.

– Powinna wiedzieć – upiera się Borel, bo co innego ustalili w Paryżu.

– Co jej powiesz, jeśli... nie daj Bóg...

– O czym masz mi powiedzieć, Émile?! – słyszą podniesiony głos Marii.

Jej nagłe pojawienie się wywołuje efekt porównywalny do wystrzału z broni. Małżonkowie nie potrafią ukryć, że gospodyni przyłapała ich na knuciu.

– Uważam, że jesteśmy dorośli – zaczyna mężczyzna zmieszany – i potrafimy się mierzyć...

– Zejdź mi z oczu – cedzi Marguerite i niespodziewanie wpada w histerię. – Wyjdź stąd natychmiast! O nic cię nie można poprosić! Jesteś nieprzewidywalny!

– Co się dzieje, Marguerite? – pyta Maria, kładąc dłonie na ramionach przyjaciółki. Jej palce zaciskają się, lecz pisarka jest tak zdenerwowana, że nie czuje bólu.

– Na pewno nic się nie dzieje – zapewnia niezręcznie.

– Co na pewno się nie dzieje? – docieka Maria.

Émile Borel nie może znieść przedłużającej się ciszy. Głośno przełyka ślinę.

– Paul wyzwał na pojedynek redaktora naczelnego „L’Oeuvre”, Gustave’a Téry’ego – informuje. – Za szkalowanie was na łamach prasy.

Maria bierze głęboki oddech. Przez moment zastanawia się, którego Paula ma na myśli Émile, wreszcie dociera do niej przerażająca prawda.

– Kiedy to się stanie? – pyta zadziwiająco spokojnie.

– Nie znam szczegółów, Marie, ale to chyba dziś.

Maria przygląda się pąkom bzu i myśli zaskoczona, że człowiek żyje na tylu różnych poziomach jednocześnie. Na przykład ona – dostrzega otaczające piękno, uciążliwą rzeczywistość, troskę przyjaciół i, jakby tego było mało, czuje, że nie przeżyje śmierci Paula, że nie ma siły czekać na to, co się stanie. Chyba nawet jest jej to obojętne, ponieważ nagle, w jednej chwili dociera do niej, że nigdy się nie dowie, czym się skończył pojedynek Langevina z Térym.

– Powinnam wyjechać z Francji i zapomnieć o Paryżu – stwierdza sennie. Ma na sobie piękny płaszcz z dobrej wełny, kupiony na wyjazd do Sztokholmu.

Marguerite łapie się na myśli, że grubszy portfel Marii z miejsca przełożył się na jakość jej codziennego życia, mimo że przyjaciółka z natury jest ascetką i nikt jej nie podejrzewał o potrzebę posiadania luksusowych produktów. Natychmiast beszta się w duchu za to, że w takiej chwili chodzą jej po głowie głupstwa.

– Trzeba było wyjechać dawno temu, tak jak mi radzili Dłuscy – ciągnie Maria.

– Marie, nie możesz tak żyć – tłumaczy Marguerite, zmęczona jej dziwnym stanem. – Nie poddawaj się. Idąc na studia, wiedziałaś, że przyjdzie ci stoczyć bitwę...

– O czym ty, do diabła, mówisz?! – wybucha Maria i natychmiast milknie. Czerwieni się gwałtownie, zawstydzona. – Chcesz mi zrobić wykład

o równouprawnieniu płci? Czy ty nie zauważyłaś, Marguerite, że przekroczyłam granicę, poza którą to już nie jest walka o równe prawa? Przeze mnie Paul może zginąć; tak czy nie? Nie jestem kobietą sukcesu, która objęła po mężu katedrę na Sorbonie. – Zaczyna płakać. Płacze całą sobą. Jej ciałem wstrząsają spazmy.

Émile w duchu przyznaje żonie rację: z ich przyjaciółką dzieje się coś złego. Nie tylko nie wie, co powiedzieć, boi się nawet poruszyć.

– Przegrałam, nie dostrzegasz tego? – mówi Maria cicho, ale szybko, gorączkowo, niestarannie wymawiając końcówki. – Na każdym polu. Straciłam szacunek, nie mogę spojrzeć w oczy swoim studentom, nie jestem wierna wartościom, jakie mi zaszczytli rodzice, nie widuję córek. – Nagle wybucha gorzkim śmiechem. – Ukrywam się pod cudzym nazwiskiem. O jakiej bitwie mówisz? – rzuca w stronę Marguerite. – Co tu jeszcze można wygrać?

– Paula! – odpowiada ze złością Marguerite.

Maria zasłania twarz rękoma. Nie płacze. Słychać równy, głośny oddech.

– Ma żonę i czworo dzieci – rzuca sucho, ponieważ odpowiedź przyjaciółki jest absurdalna. – Ludzie nie piętnują mnie za miłość. Brzydzą się mną, bo niszczę rodzinę...

– Dosyć, Marie – wchodzi jej w słowo Marguerite. – Co za dużo, to niezdrowo.

Kobieta odzyskuje właściwą sobie energię. Przygląda się Marii przenikliwym wzrokiem. Nie jest ładna, ale emanuje ciepłem, budzi w ludziach zaufanie.

– Obie znamy fakty – przypomina. – Jeanne Langevin nie szanuje męża ani go nie kocha. Chce wydrzeć jak najwięcej pieniędzy, a przy okazji zemścić się na tobie. Musi zrzucić na kogoś winę za własną przegraną. Ta wariatka go niszczy, więc walcz. Ich małżeństwo nie istnieje, żaden ze znajomych nie ma do ciebie żalu.

– Rzeczywiście? – drwi Maria.

Chciałaby wyjść ze swojego życia i nigdy więcej doń nie wrócić.

– Poza tymi, którzy sami chcą coś ugrać – ustępuje Marguerite.

– A co chce ugrać twój ojciec? – bezlitośnie pyta Maria.

– To polityka – denerwuje się pani Borel. – I prostacka walka z emancypankami, które...

– Nigdy nie byłam emancypanką – oburza się Maria.

Émile nie słucha pań. Zapatrzył się na grę zieleni za oknem.

– Boże słodki, Marie – jęczy Marguerite.

Jej elegancki pantofel chwieje się na czubkach palców mocnej stopy, jakby miał za moment spaść. Tylko Marguerite pozwala sobie na podobne zachowanie. Mąż uśmiecha się pod wąsem, rzuciwszy jej szybkie spojrzenie. Nigdy nie żałował, że są razem.

– Nie ma na świecie kobiety, która zaszłaby w nauce dalej od ciebie –

tłumaczy pani Borel z przekonaniem. Nie wie, jak dotrzeć do tej genialnej, przenikliwej kobiety, która najwyraźniej postradała zmysły. – Czy pisarka musi ci tłumaczyć oczywiste sprawy? – Przybiera żartobliwy ton. Chwyta się wszelkich sposobów, by zmienić nastrój przyjaciółki. – Co z tego, że nie jesteś emancypantką? Udowadniasz tym idiotom... mam na myśli mężczyzn... że klapki na oczach to często... klapy fraka!

Émile składa żonie ukłon w podziękę za zaliczenie go do idiotów. Oboje parszczą śmiechem.

– Zaprzeczasz wszelkim beznadziejnym teoriom głoszącym niższość kobiet. Oni nie mogą znieść spokoju, z jakim mijasz ich na korytarzach uniwersytetu, tego, że jesteś ładna, zgrabna, delikatna i wrażliwa... ze wszech miar kobieca... a do tego...

– Dziękuję, Marguerite. – Maria lekceważąco macha ręką. Uświadamia sobie nagle, że salon wynajętego domu ją przygnębia i jeśli zaraz stąd nie wyjdzie, zwariuje. – Bardzo się starasz, doceniam to.

– Mówię prawdę.

– Mów więc całą prawdę – nakazuje Maria. – Życie nie jest sprawiedliwe. O jakim moim sukcesie właściwie rozmawiamy? Moje Nagrody Nobla to zasługa Francji. Moje odkrycia są zasługą Francji, ale kiedy jestem na wirażu, Francja widzi we mnie kogo? Żydówkę, Polkę, Ruską – odpowiada sama sobie – w każdym razie obcego; zagrożenie. Wybacz, że mówię o Francji jako o monolocie, tracę nad sobą kontrolę.

– To wspaniale, Marie. Powinnaś stracić ją lata temu. Na tym polega twój problem. – Marguerite przysiadła na kanapie obok Marii. – Walcz o Paula – prosi.

Bierze w dłoń rękę Marii. Nie zależy jej na szczęściu Langevina, czuje jednak, że bez niego nie ma ani dwukrotnej laureatki Nagrody Nobla, ani kobiety.

– Gdybyś zobaczyła twarz Ireny – zaczyna Maria.

Łzy napływające jej do oczu potęgują bezradność pani Borel, która wzdycha ciężko, kładąc głowę na oparciu kanapy. Podobno gdzieś jest słońce, myśli nie bez gorczy.

– Kiedy się dowiedziała... – kontynuuje Maria płacząco – kiedy ktoś podsunął jej gazetę z artykułem o mnie...

– Domyślam się – ucina Marguerite – ale nie możesz się poddawać tylko dlatego, że jakaś ludzka glista chce coś ugrać na twoim nieszczęściu.

– Powody są nieważne – stwierdza cicho Maria. – Kto odpowiada za moje córki? Teraz, kiedy mają tylko mnie?

Pani Borel milczy. Rozmowa z Marią nigdy nie jest łatwa, ponieważ przyjaciółka ma zwyczaj kurczowo trzymać się faktów, nie dopuszczając do ich interpretacji. Widzi tylko czerń i biel. Wszelkie niuanse są jej obce.

– Po śmierci Piotra nic mi się nie układa. Nic, rozumiesz? Nic mi nie

wychodzi.

Słowa Marii niepokoją. Jej nihilizm staje się naprawdę niebezpieczny.

– Czegokolwiek się tknę, to się rozpada. Niszczę wszystko... ludzi, Marguerite, przedmioty. Nie potrafię zmusić się do pracy, zupełnie jakby Piotr zabrał ze sobą moje pomysły... mój umysł... moje...

– To minie – przerywa Marguerite.

– Umarł pięć lat temu – przypomina Maria. – Co ma zresztą minąć? – pyta. – Bez niego jestem nikim... ani ze mnie paryżanka, ani naukowiec. Oburzam się, że uważano mnie za pomocnicę Piotra Curie. A kim byłam?

– Przemawia przez ciebie żal – tłumaczy Marguerite.

Najgorsze jest to, że Maria nie dopuszcza myśli, iż ktoś inny może mieć rację. Jest uparta i nieprzejednana.

– Jeżeli Paul dziś zginie – mówi, wstając – jeśli umrze... Nie mogę tak żyć... ukrywać się przed ludźmi, schodzić z drogi... zawieszona w wykładach. – Spogląda na półleżącą Marguerite. – Nie mam pomysłu na badania – oświadcza z bezlitosną szczerością. – Wszystko jest bez sensu... Jasek spadnie na podłogę, a dla mnie to jak koniec świata. Jestem roztrzęsiona, nie panuję nad sobą. Krzyczę na pomoc domową, odwracam się plecami do dziennikarzy, nie pytając, z czym przyszli. Każdy, kto zadaje mi merytoryczne pytanie, doprowadza mnie do szału. – Maria chwytą się framugi drzwi, jakby miała upaść. Chwieje się nieznacznie. – Z tego nie ma wyjścia, Marguerite. Nie przeżyję śmierci Paula, nie mam sił. – Wie, że musi przestrzegać konwenansów, lecz przychodzi jej to coraz trudniej. Ma wrażenie, że Borelowie świadomie ją dręczą. Marzy tylko o tym, żeby wyszli. – Jestem żałosna... tyle ze mnie zostało. – Prostuje się z wysiłkiem. – Zróbcie coś dla mnie – prosi. – Wracajcie do Paryża. Mam za sobą nieprzespaną noc, chciałabym się zdrzemnąć. Odpocząć.

– Jesteś pewna, że dasz sobie radę? – pyta Émile, ponieważ Marguerite zaniemówiła. Jest zmieszany. Nigdy wcześniej nie był świadkiem takiej rozmowy ani z nikim tak nie rozmawiał. Maria poruszyła kwestie, które człowiek winien rozwiązywać samodzielnie, dokonała daleko idącej wiwisekcji.

– Dziękuję, że przyjechaliście.

– Boję się o ciebie – odzywa się wreszcie Marguerite.

To stwierdzenie może niepotrzebnie przedłużyć rozmowę, która ewidentnie prowadzi donikąd.

– Boisz się o mnie? – Maria udaje zdziwienie. – A co mi się może stać? Ktoś mi wybije szybę w oknie? Jestem tu incognito.

Chwilę później Borelowie idą w stronę samochodu. Émile wyjmując papierośnicę, częstuje żonę, sam również bierze papierosa. Palą bez słowa, patrząc przed siebie. Czują się przegrani.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Paryż, 5 lutego 1898

Mieszkanie Dłuskich – przestronne, urządzone z gustem, idealnie wysprzątane – deprymowało Marię. Bronka kupiła na wyprzedaży czarne rzeźbione meble w stylu weneckim – niską sofę i pokryte ciemnoniebieskim aksamitem fotele. Siostra radziła sobie ze wszystkim – opiekowała się Helenką, przyjmowała pacjentów, wydawała polecenia służącej. Doskonała pani domu, żona i matka.

Maria nie była Bronisławą! Nie radziła sobie z niczym. Oprócz laboratorium niewiele ją obchodziło. Czasem żałowała, że jest kobietą, innym razem, leżąc w ramionach męża, była tym zachwycona, wyciszała się i przestawała przeklinać los. Mogła trafić gorzej, tylko czy to napawało optymizmem? Niepokoiła się. Związek z Piotrem zmierzał w niewłaściwym kierunku. Przede wszystkim mąż nie pomagał jej przy dziecku. Na razie Irenka to jeszcze berbeć, jednak co będzie za kilka miesięcy? Jak pogodzić opiekę nad córką z koniecznością spędzania wielu godzin w pracy? Doktorat Marii wisiał na włosku.

Pani Curie zerknęła na siostrę, konstatuując, że ma twarzową fryzurę i zadbane dłonie pani doktorowej (nigdy nie nazywała jej w myślach doktorem). Doszła do wniosku, że towarzystwo Bronisławy nie jest dobrym lekiem na frustrację. Powinni byli iść z wizytą do kogokolwiek innego, a najlepiej wcale nie wychodzić z domu, ponieważ nikt nie radził sobie z obowiązkami gorzej od Marii i gdziekolwiek by poszła, zobaczyłaby wyłącznie własną nędzę i kompletny brak jakichkolwiek umiejętności.

– Dyrektor École supérieure de physique et de chimie industrielles pozwolił nam korzystać z nieużywanej szopy – poinformowała Dłuskich ironicznie i w tej samej chwili pomyślała, że lubi laboratorium przy ulicy Lhomond.

– To dawne prosektorium szkoły medycznej – dopowiedział Piotr.

Maria nie zrozumiała, czemu miała służyć ta informacja. Uważał, że lekarzy pociągają takie miejsca?

– Gdy tylko jest ciepło, przenosimy się na placyk obok. Zwłaszcza kiedy podczas pracy ulatniają się gazy.

Dłuscy nie zapytali, co małżeństwo Curie robi na placyku obok szopy, która jest dawnym prosektorium. Piotr jadł z apetytem, pochłonięty myślami.

– Skoro nalegacie, powiem, czym się zajmujemy – odezwała się Maria drwiąco.

Czasem szwagier wydawał się jej zbyt paniczykowaty – wyważony i układny, choćby nie wiadomo co się działo, elegancki. Najważniejsze jednak, że

kochał Bronisławę.

– Maria szuka tematu na doktorat – obwieścił nagle Piotr. – Zwróciłem jej uwagę na badania Becquerela.

– No, pamiętam – przyznał Kazimierz po namyśle, co było niejakim zaskoczeniem, gdyż rozmawiali o Becquerelu kilka miesięcy wstecz. – Wspominaliście coś o promieniach.

– Zaczęłam od badania uranu – ożywiła się pani Curie – potem przeszłam do innych, całkiem przypadkowych substancji. Niezwykła aktywność minerałów zawierających uran podsunęła mi myśl, że możemy mieć do czynienia z nieznanymi pierwiastkami promieniotwórczymi. Wtedy Piotr odłożył swoje badania i przyłączył się do moich. Badaliśmy...

– Wspaniale, że potraficie być partnerami również w pracy – wszedł jej w słowo Kazimierz, spodziewając się nazbyt długiej przemowy.

– Wyłącznie w pracy – zaśmiała się Maria, nie kryjąc goryczy. – W domu Piotr ma wolne.

– Jak każdy mężczyzna – skwitowała Bronisława, którą męczyło wieczne utyskiwanie siostry.

Standardy, do których Maria dążyła, były tak wysokie, że niezmiernie rzadko czuła satysfakcję zarówno z osiągnięć własnych, jak i cudzych. Każdy jej znajomy wiedział, że jest skłonna do poświęceń, niestety, strasznie przy tym marudziła, męcząc wszystkich dookoła.

– Nasz ojciec zajmował się domem. – Maria musiała mieć ostatnie słowo.

– Nasz ojciec był wdowcem, Manieczko – przypomniała jej Bronisława tonem pełnym wyższości, którego młodsza siostra szczerze nienawidziła.

– Twierdzisz, że odpoczywasz przy praniu – zauważył Piotr.

Nie zrozumiał ani słowa z polskojęzycznej wymiany zdań między siostrami, ale bezbłędnie trafił z ripostą, co jak zwykle było zadziwiające. Żona obrzuciła go niechętnym spojrzeniem, nie wiedząc, jak ma się zachować, bo wprawdzie odezwał się z pozycji szowinistycznego samca, ale mówił prawdę. Do niedawna uwielbiała pranie, gdyż ją odprężało. Ale to się ostatnio zmieniło, ponieważ skóra jej dłoni stale była podrażniona na skutek intensywnych doświadczeń chemicznych.

– Przyszło mi na myśl – zaczęła, ignorując prowokacyjne stwierdzenie męża – że żyjemy w swoistej iluzji. Każdy z nas myśli, że rozumie drugiego człowieka, podczas gdy nie może go rozumieć, nie znając jego opinii na każdy temat.

Piotr i Dłuscy spojrzeli na nią uważnie.

– Między innymi dlatego nie jestem zwolennikiem nauk humanistycznych – oświadczył pan Curie, wracając do pysznej pieczeni, którą przygotowała Bronka. – Zapewne Maria powiedziała coś mądrego, tylko co z tego wynika? Dla nas i naszego życia? – zakończył z zaskakującą irytacją.

– Nie złość się, Pietia – rzuciła pojednawczo Maria.

– Pietia? – powtórzył mąż.

– To Piotr po rosyjsku – pospieszyła z wyjaśnieniem Bronka.

Była idealną panią domu. Każdy czuł się u niej dobrze. Spełniała zachcianki gości, dbała o ich samopoczucie, wciągała do rozmowy, natychmiast spieszyła z wyjaśnieniami, jeśli czegoś nie rozumieli. Marię mdliło od perfekcjonizmu siostry. Beształa się w duchu za nadmierną złośliwość, niemniej jednak ostatnio źle znosiła doskonałość Bronisławy.

– Czy zauważyliście, że w waszych rozmowach wciąż obecna jest Rosja? – spytał Piotr.

Spojrzały na niego zaskoczone. Kazimierz ledwie pohamował uśmiech, wiedząc, że słowa Piotra musiały podziałać na patriotki niczym czerwona płachta na byka.

– Nie chodzi mi o to, że wciąż ją potępiaacie – pogryzał się Francuz. – Mówię o tym, że jesteście przesiąknięci jej kulturą, językiem...

– Jesteśmy zainfekowani – przerwała to wyliczanie Maria. Odłożyła sztuce, zostawiając niedojedzony obiad. Prawa powieka lekko jej drżała.

– Mania ma nadzieję – Piotrowi zebrało się na zwierzenia – że wróci do Polski jako słynny profesor. – Mężczyzna uchylił się na krześle, by nie dostać od żony kuksańca. – Nie wiedziałem, że to tajemnica. – Zachichotał.

– Nie słuchajcie go.

Towarzystwo zaczęło z niej żartować. Nie było tajemnicą, że jest niewiarygodnie ambitna.

– Maria się przepracowuje – zwrócił się Kazimierz do Piotra, gdy już wszyscy spowaznieli. – Schudła po porodzie i założę się, że znowu nie je.

– Objadam się po powrocie do domu!

– Jeśli wcześniej nie zmorzy cię sen – rzekł spokojnie Kazimierz. – To się źle skończy.

Marię złościło, że w jej obecności mówi się o niej, jakby była wychowanką Piotra. W takich chwilach rozumiała, o co walczą sufrażystki. Mąż był za żonę odpowiedzialny, owszem, ale nic dobrego z tego nie wynikało. Prawa kobiet były ograniczone. Można było odebrać matce dzieci, jeśli by dawała odpór małżeńskiej manipulacji. Maria zastanowiła się, jak by zareagowała, gdyby odebrano jej Irenkę. Wzdrygnęła się, odpędzając tę myśl. Urodziła dziecko poprzedniego roku na jesieni. Nie wyczekiwała go z utęsknieniem, martwiła się jedynie, czy będzie zdrowe. Źle znosiła ciążę. Mdlilo ją, była drażliwa, mąż ją denerwował, życie wydawało się puste. A potem odbył się poród i zobaczyła cudowną kruszynkę, część siebie, wzruszająco bezradne stworzenie, które było całkowicie od niej zależne. Szybko pojęła, czym jest miłość macierzyńska. Pokochała – do szaleństwa i bez oglądania się na wzajemność. Problem w tym, że nie minęła jej miłość do pracy. Ubóstwiana kruszynka zaczęła być przeszkodą w samo-realizacji. Rosła

frustracja Marii, potęgowały się jej wahania nastroju.

– Nigdy dotąd nie miałam poczucia – rzekła, zapominając o Irencie – że jestem na właściwej drodze.

– Teraz masz? – Głos Piotra zdradzał takie zniecierpliwienie, że Bronisława aż podniosła głowę i przyjrzała się szwagrowi. Uśmiechnął się, co ją nieco uspokoiło.

– Tak, teraz mam – odpowiedziała Maria, wstając od stołu.

Czuła się swobodnie w domu Dłuskich, mimo to uznała, że czas kończyć wizytę. Irenka była u teściów. Maria wiedziała, że to objaw lekkiej paranoi, lecz nikomu nie ufała, jeśli chodziło o dziecko.

– Moglibyśmy im chyba powiedzieć? – zwróciła się do męża, nie wywołując jego entuzjazmu.

Bronia położyła dłonie na stole i cierpliwie czekała na decyzję państwa Curie.

– Rób, jak uważasz.

– Co się dzieje? – zainteresował się Kazimierz.

– Odkryliśmy nowy pierwiastek – oświadczyła Maria z ekscytacją.

– O czym mówisz? Toż dopiero rozpoczęliście badania.

Kazimierz wstał i poprawił klapy marynarki. Bronka westchnęła, widząc, że za przykładem Marii przerwał jedzenie.

– Tak, przypadkiem odkryliśmy nowy pierwiastek – potwierdził Piotr, a w jego oczach pojawił się znajomy ogień. – Marie nazwała go polon.

– Ludzie! – Kazimierz się ożywił. – Odkryliście nowy pierwiastek, pracując w dawnym prosektorium? Bez profesjonalnej aparatury? – W jego głosie była radość i niekłamany podziw.

– Mamy aparaturę wykonaną przez Piotra i jego brata; bardzo dokładną – sprostowała Maria, urażona, że nie pamiętają, co mówiła na temat zdolności manualnych męża.

Bronka za każdym razem, kiedy widziała Piotra, stwierdzała to samo – że jej roztrzepana siostra złowiła najbardziej interesującego kawalera w Paryżu. Cała Maria. Ciekawiło ją w zasadzie wszystko oprócz kolegów z uczelni, za to oni uganiali się za nią. Jadzia Dydyńska służyła jej za przyzwoitkę, kiedy narzucali się z ofertami odprowadzenia do domu i odniesienia książek, zarezerwowania miejsca w czytelni, podsuwali czekoladę, którą uwielbiała, albo zapraszali na wycieczki. Maria zwykle odmawiała. Każda dziewczyna marzyła o przystojnych adoratorach, a ona zachodziła w głowę, jak się ich delikatnie pozbyć.

– Boli mnie, że nigdzie nie można się doprosić wsparcia – wyznał Piotr. – Naukowiec powinien otrzymywać środki na wyposażenie laboratorium. Konstruując aparaturę, tracę czas, który mógłbym poświęcić na pracę naukową. Nie uważam się za jednostkę wybitną, ale to frustrujące.

Dłuscy wiedzieli, że Piotr Curie cieszy się większą sławą poza granicami Francji niż we własnej ojczyźnie. On i Maria opowiadali o niebywałych przykładach biurokracji na Sorbonie, gdzie o wszystko trzeba się było wyklócać albo być w doskonałych układach z władzami uczelni, na co im szkoda było czasu.

– Żeby nam choć przydzielono odpowiednie pomieszczenia – mruknął Piotr.
– Wkrótce przyjdzie fala upałów, słońce będzie świeciło prosto w oczy.

Spojrzał w okno i stwierdził, że zapada zmierzch. Pomyślał, że powinni już zwolnić rodziców z opieki nad córką. Zwłaszcza chorą matkę.

– Przestałem pisać podania o wsparcie – oświadczył. – Przestałem prosić, błagać i narzucać się. Mam dość. Żał mi jedynie Marie.

– No, ale co z tym nowym pierwiastkiem? – przypomniał sobie Kazimierz. – Zamierzacie to gdzieś zgłosić?

Piotr sprawiał wrażenie człowieka obudzonego z głębokiego snu. Zamrugał powiekami i przetarł oczy.

– Oczywiście. Powiadomimy akademię. Marie już napisała do kuzyna w Polsce.

– Do Józka Boguskiego – dopowiedziała, wiedząc, że mąż będzie miał problem z wymówieniem polskiego nazwiska. – Józek opublikuje tę informację.

Bronia uniosła brew.

– Nie boicie się? Że... nie wiem... ktoś was ubiegnie albo oszuka?

– Jakie to ma znaczenie? – zdziwił się szczerze Piotr Curie. – Odkrycie to odkrycie. Wnosi coś cennego do nauki. Nieważne, czy ja to podam do publicznej wiadomości, czy któryś z moich kolegów. Chodzi o poinformowanie ludzi o istnieniu nowego pierwiastka.

Maria spojrzała na siostrę wzrokiem mówiącym: Oto mój mąż – do bólu bezinteresowny i wspaniałomyślny. Przez chwilę trudno było zgadnąć, czy popiera altruistyczną postawę Piotra.

– Nie zgadzam się, Piotruniu, żeby ktoś mi ukradł polon – powiedziała.

– Trzeba było go ukryć. – Zaśmiał się. – Teraz już przepadło. Swoją drogą – zwrócił się do Dłuskich – podejrzewamy, że jest jeszcze drugi pierwiastek.

Kazimierz, którego zelektryzowała wieść o odkryciu nowego pierwiastka, gdyż miał świadomość, że to niebywale ważne dla nauki, słysząc informację o kolejnym, stracił zainteresowanie. Uznał, że to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

– Czyli co – rzekł żartobliwie – dostaniecie jakąś nagrodę?

– Nagrody mogą zatrzymać dla siebie. Nam zależy na pieniądzach – odparł Piotr, a jego bezpośredniość graniczyła z bezczelnością. – Potrzebujemy środków na zakup wielu ton blendy uranowej.

Zapanowała cisza. Ani Maria, ani Dłuscy nie byli przyzwyczajeni do mówienia wprost o pieniądzach.

Pani Curie patrzyła na męża i zastanawiała się, czy życie z nim to szczęście, czy udręka. Gdzie się podzieli jej koledzy ze studiów? Dydyńska, której tyle zawdzięczała? Krasowska, której uśmiech podziwiała? Doktor Motz? Czy małżeństwo z Piotrem Curie stało się pułapką? Dokąd zmierzała?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Brunoy, 2 maja 1912

Maria przygląda się André Debierne'owi, który parzy herbatę i krząta się, jakby był we własnym domu. Mężczyzna jak zwykle ma pogodny wyraz twarzy, o takiej twarzy mówi się: poczciwa. Człowiek, bez którego żaden geniusz nic by nie zrobił, mistrz drugiego planu. Uczona beszta się w duchu za takie myślenie. Debierne odkrył aktyn, dlaczego więc uważa go za postać drugoplanową? Stała się cyniczna.

Nie wiedzieć czemu Marii przypomina się pobyt w Warszawie w roku tysiąc dziewięćset drugim, kiedy przyjechała na pogrzeb ojca. Minęło dziesięć lat, a wydaje się, że chwila. Pamięta, że siedziała przy stole, a łzy ciurkiem płynęły jej po policzkach. Z wiekiem człowiek spotyka się z rodziną głównie na pogrzebach. Najpierw nie musi w nich uczestniczyć, potem są mu obojętne, więc nie zostają w pamięci, później ma już związane z nimi wspomnienia, ale nadal nie ból jest najważniejszy, aż wreszcie ani się obejrzy, a ma wrażenie, że wciąż ktoś odchodzi. Życie toczy się od pogrzebu do pogrzebu.

Maria czuje obezwładniający smutek.

– Rozmawiałem na temat budowy instytutu imienia Piotra – budzi ją z zamyślenia głos przyjaciela.

– Z kim konkretnie, André? – pyta. Jest zniecierpliwiona. Chciałaby się pozbyć Debierne'a, ale nie wypada.

André przysiada obok niej na kanapie – tuż obok, bardzo blisko. Maria zdaje sobie sprawę, że pozwala mu na zachowanie, które w wypadku kogokolwiek innego wywołałoby jej gwałtowną reakcję. Dłoń mężczyzny dotyka jej ręki.

– Z Instytutu Pasteura wieją pomyślnie wiatry – mówi André.

Przyjechał rowerem, więc jest ubrany na sportowo. Wiele razy podziwiała, jak szybko umie się na nim przemieszczać. Instytut Pasteura? Proponują jej tam pracę. To dobry argument przetargowy w rozmowach z władzami Sorbony. Maria jest już po ustaleniach z francuskim rządem. Wydawało jej się nawet, że przekonała jego przedstawiciela. Chyba jednak się myliła. Środków wciąż jest zbyt mało.

– Wieją, wieją, tylko nic przywiać nie mogą – utyskuje.

Owszem, marzy o zbudowaniu instytutu imienia swego męża, ale traci nadzieję na powodzenie przedsięwzięcia. Ma konkretne plany, wie, czemu by służył.

– Piotr co chwilę potykał się o decyzje administracji. Zawsze mówił, że ludzkość nie wyginie z powodu wojen; zniszczy ją biurokracja.

– Przesadzał.

André Debierno czuje, że jest u kresu wytrzymałości. Kocha Marię. Mógłby ją wspierać do końca swoich dni... gdyby nie historia z Langevinem. Fakt, że ukochana związała się z tym piękniśm, uwłacza mu. Wie, że nie ma na co czekać, lecz, jak każdy zakochany głupiec, wciąż widzi w jej uśmiechach cień szansy dla siebie. Nie jest już jednak tym samym mężczyzną. Czuje się niczym zwierzę w potrzasku. O niczym nie marzy bardziej niż o tym, żeby się uwolnić.

– Tak uważasz? – Maria jest zdziwiona, że przyjaciel krytykuje jej zmarłego męża, swego szefa i mentora. Oczekuje, że będzie go wspominał jako wybitną osobowość, idealizował... zwłaszcza teraz, gdy wyszedł na jaw jej romans z Langevinem. – Wszędzie go ceniono, André, tylko nie we Francji – powtarza się. Chętnie podkreśla głupotę i okrucieństwa Francuzów w stosunku do Piotra, bo wtedy sama czuje się wobec niego odrobinę mniej winna.

André ma ochotę powiedzieć, że Piotr Curie popełnił wiele błędów, co mu przysporzyło wrogów. Na przykład opuścił Sorbonę, gdzie się z nim liczone.

– Staralem się o pracę u niego, mając świadomość, kim jest – mówi z irytacją. – Było więc inaczej, niż twierdzisz.

– Owszem, chętnie korzystano z jego osiągnięć – fuka Maria. Poprawia włosy, ponieważ spojrzenia André pompują w jej żyły ożywczy eliksir. Można odrzucać czyjaś miłość, karmiąc się nią.

– Piotr miał specyficzne podejście do establishmentu – mówi ugodowo przyjaciel. – Poza tym... nie przyjmował odznaczeń.

– Co to ma do rzeczy? – pyta ze złością uczona. – Żadne nie przyniosłoby pieniędzy.

– Właśnie o to chodzi – rzuca Debierno ze stoickim spokojem. Jego duże oczy błyszczą. Takich oczu nie powinni mieć mężczyźni, myśli Maria. – Niektórzy uważali – André szuka właściwych słów – że zależy mu wyłącznie na pieniądzu.

Maria parska śmiechem. Wstaje i zaczyna się przechadzać. Jest zachwycająco wiotka, choć jeśli się zastanowić dlaczego, można poczuć zaniepokojenie. Mężczyzna zauważa, że przyjaciółka ma na sobie nową suknię z dobrej wełny.

– Nigdy nie słyszałam większej bzdury!

– Zgadza się, Marie – przyznaje André. – Ale tak mówiono. Odznaczenia przydają splendoru. Są dowodem szacunku instytucji dla naukowca, tymczasem on ich nie przyjmował, co odbierano jak policzek. Za to pieniądze brał chętnie. Myśl sobie, co chcesz... Piotr był... po trosze dziwakiem – kończy.

– Brał na badania. Ani franka nie wydał na własne potrzeby! – unosi się Maria.

André jest przekonany, że atak Marii wynika z braku szacunku do niego. Zwykle odsuwa tę myśl, czasem jednak złe uczucia biorą górę. Ogarnia go wtedy

gorycz.

– Jesteś rozdrażniona po wizycie Paula.

– Co to znaczy?

Maria patrzy oszołomiona. André nigdy nie komentował jej romansu. Mogła udawać, że między nią a Paulem nic nie zaszło. I potrzebowała tego. Wystarczająco ciążył jej publiczny pręgierz.

– Pewnie to, co myślisz – odzywa się Debierno.

Pani Curie nie wierzy, że Paul ją zdradza. Czuje wstyd. Nie nawykła do podobnych rozmów. Dotyka czołem chłodnej szyby, zastanawiając się, jak powinna się zachować.

– Paul jest nieuczciwy – dodaje André.

– Doceniam twoją troskę... – zaczyna Maria, odwracając się do André z łaskawością królowej. Ma w zanadru kilka sztuczek, które niezmiennie doprowadzają go do szału lub rozpacz.

– Właśnie nie doceniasz, Marie – przerywa jej. – Paula też widzisz w fałszywym świetle.

Oboje czują, że ich sprzeczka jest absurdalna, ponieważ nie ma na świecie człowieka, któremu Maria bardziej by ufała, tak jak nie ma kobiety, którą André by bardziej kochał.

– I zamierzasz to zmienić? – W głosie Marii pobrzmiwa złowrogi ton.

– Paul to równy gość – stwierdza André niefrasobliwie – tyle że... słaby. Nie masz w nim wsparcia. Langevin nie odejdzie od żony, ponieważ jest tchórzem. Przy kim akurat stoi, ten mu kładzie do głowy, co chce, a on wierzy, że to jego własne poglądy. Jest błyskotliwy, zdolny... to naprawdę świetny naukowiec; w życiu prywatnym jednak... Zresztą wiesz o tym doskonale.

Krótką, prawdziwą w każdym calu, choć okrutną charakterystyką Langevina sprawia Marii ból.

– Dziwi mnie – odpowiada po chwili, nerwowo bawiąc się falbaną sukni – że jako przyjaciel wypowiadasz się o nim w ten sposób.

Maria od lat manipuluje Paulem, nazywając to doradzeniem. André przejrzał na wylot jej strategię. Zna ukochaną tak dobrze, że wie, iż jest przerażona.

– Chciałbym ci pomóc.

– Nie potrzebuję pomocy – rzuca hardo kobieta.

Uważa, że wszyscy sprzysięgli się przeciwko niej. Ona i Paul kochają się i chcą być razem, co nie będzie łatwe ze względu na czwórkę jego dzieci, niemniej jednak kiedyś stanie się faktem. Paul jest jej przeznaczony. Czuje to każdą komórką ciała. Nie istnieje bez niego. Zdaje sobie sprawę, że nikt do tej pory nie odgrywał w jej życiu równie ważnej roli. Zwykle to ona rozdawała karty i kontrolowała sytuację. I nagle Paul, ten nieudacznik i flirciarz, stał się jej panem i władcą. Nie umie się bez niego obejść.

Ma wrażenie, że Paul dotyka ustami jej szyi. Rozkosz obejmuje ramiona, piersi, płynie niżej. Maria pragnie Paula, musi go zobaczyć. Nieważne, co się stanie. Chce, by przy niej był, chce się z nim kochać – zacisnąć powieki i poczuć smak jego skóry, stać się jego niewolnicą. Zgodzi się na sekretne schadzki w garsonierach, ukrywanie się przed ludzkim wzrokiem i ponizające kłamstwa – byle był.

– Mężczyźni i kobiety uwielbiają Paula... za jego miłą powierzchowność... ładny sposób wysławiania się... elegancję i...

– André, co cię napadło?! – krzyczy Maria.

Musi go uciszyć, żeby nie powiedział czegoś, czego nie da się cofnąć.

– Nie pojedynkował się o ciebie!

Maria stoi przed André bezradna wobec jego naglej i niewytłumaczalnej potrzeby rozprawienia się z Paulem. Nie rozumie, o czym przyjaciel mówi.

– Zrobił to, gdyż Téry ośmielił się napisać o nim. Słyszysz?! O nim! Jakim prawem pisał o nim?! Wcześniej wszystkie gazety atakowały ciebie, jako że to kobieta zawsze jest wszystkiemu winna. Postępowanie Paula nie było komentowane. I oto nagle ktoś miał czelność zarzucić mu, że jest tchórzem, hipokrytą i draniem, który nie dokonuje wyboru między dwiema kobietami, bo tak mu wygodnie. Powinnaś była sekundować Téry’emu! Doskonale wiesz, że Paul mógł opuścić żonę dziesiątki razy. Ale nie chciał. Dla całego świata to jest oczywiste. Nie ma takich przeszkód, których nie pokona kochający mężczyzna. Jeśli tego pragnie. Utrzymywanie garsoniery nie jest rozwiązaniem.

– Jak śmiesz – cedzi Maria z wściekłością.

– Jeszcze jedno, Marie. – André nie daje się zbić z tropu, choć dławi go żal. Wie, że nie przekona ukochanej. Uwielbia ją i nienawidzi jednocześnie. – Czuję się fatalnie, ktoś ci to jednak musi powiedzieć. Wyglądasz jak śmierć. Chudniesz, policzki ci się zapadły, masz podkrążone oczy.

Maria odsuwa się. Nie wierzy mu. Wciąż działa na mężczyzn, czyli Debiernie kłamie. Chce ją poniżyć, odebrać jej nadzieję. Co z tego, że jej waga spadła do czterdziestu sześciu kilogramów?

– Co ty robisz, Marie? Miałaś zdobyć środki na instytut radowy. Miałaś prowadzić badania.

– Wybacz. Wiem, że jest ci ciężko. – Maria zdobywa się na fałszywe przeprosiny i to przelewa czarę goryczy.

– Do diabła, nie jest mi ciężko! – wybucha André, zapominając o dobrych manierach. Twarz mu czerwienieje.

Ludzie w gniewie są żałośni, myśli Maria. Zawsze słyszy ten wewnętrzny głos, który zwraca jej uwagę na wszelkie niedoskonałości rozmówców.

– Nie drwij, bo nie zasłużyłem sobie na to! – Debiernie wystukuje lewą dłonią jakiś rytm, jakby chciał go wbić do głowy ma-dame Curie. – Kiedy ostatni

raz widziałaś swoje córki? – pyta bezlitośnie, lecz nie czeka na odpowiedź. – Kieruję ludźmi w TWOIM laboratorium, ponieważ ty nie przychodzisz. Pracownicy zaczynają już plotkować. Praca przestała być dla ciebie ważna. Nie mieszkasz w Brunoy pod własnym nazwiskiem, po prostu się ukrywasz... niczym zbieg. Ktoś musi ci to wreszcie powiedzieć. Zmierzasz donikąd. Dwukrotna laureatka Nagrody Nobla grzebie się za życia, zaprzepaszcza wszystko, co osiągnęła, ponieważ jakiś dupek jest zbyt wrażliwy na to, by zostawić żonę i czwórkę dzieci, ale ma wystarczająco mocne nerwy, żeby wynajmować garsonierę i przyjmować w niej co tydzień inną kobietę.

– Nie jestem ślepa, André! – oburza się Maria. Oboje tracą nad sobą kontrolę. Jej twarz także płonie, usta wykrzywia jakiś grymas. – Nie wysilaj się. Twoje motywy również nie są czyste.

– Są czyste, Marie – ucina André prawie szeptem i brzmi to dość diabolicznie. – Niczego od ciebie nie chcę.

– Każdy tak mówi, André, ale to tylko słowa. – Marię dławi płacz. Nie ma siły walczyć z przyjacielem. Czuje się przegrana i słaba. Tylko on ją wspierał, więc na myśl, że teraz odchodzi, kobieta wpada w popłoch. – Wszystko robimy dla zaspokojenia własnych pożądań – łka. – Każdy czegoś chce. Ty chciałbyś się znaleźć na miejscu Paula. Nie jestem naiwna, André; aż cię skręca z...

Debiernie chwyta ją za ramię, przyciąga i zmusza do spojrzenia sobie w oczy.

– Nigdy ci się nie narzucałem ze swoimi uczuciami, Marie – cedzi. – Uważasz, że się w tobie durzę, ponieważ ludzie tak mówią, zgadza się?

Maria odwraca oczy. Szanująca się kobieta nie prowadzi takich rozmów z mężczyznami. Debiernie uśmiecha się cynicznie.

– Szepcą po kątach, gdyż od lat razem pracujemy. Ty jesteś wdową, a ja jestem... na każde twoje zawołanie – kończy spokojnie. – Ale nigdy, ani razu nie wyznałem ci miłości, więc nie stawiaj mnie na równi z Paulem i nie oskarżaj o zazdrość.

Jego słowa palą niczym kwas. Maria czerwieni się gwałtownie. Nie chce tego słuchać. André jest opoką, skałą... workiem treningowym. Czemu jest spokojny?

– Moja miłość do ciebie to wymysł plotkarzy – ciągnie André. – Paul jest twoją rzeczywistością i ta rzeczywistość ciągnie cię na dno. Nie wypada, żeby kobieta z twoim intelektem taplała się w błocie. Mówię to jako przyjaciel. Możliwe, że były – dodaje i opuszcza salon.

Maria słyszy jego oddalające się kroki. Trzaskają drzwi i zalega cisza. Kobietę ogarnia żal; André zachował się okrutnie. Paul ją przecież kocha. Żal zamienia się w złość na kochanka i na los. Dlaczego sprawiają, że ciągle musi walczyć? Walczyła o matkę i przegrała, o Kazimierza Żórawskiego i przegrała, choć ją kochał. Odebrano jej Piotra i nienarodzone dziecko, teraz traci Paula. Czy

los kiedykolwiek coś jej da, zamiast tylko odbierać? Maria płacze z gorzką świadomością, że nie ma się do kogo odwołać. W Boga nie wierzy, choć... Może jej położenie jest właśnie skutkiem boskiej zemsty? A może popada w obłąd?

Kładzie się na wąskiej kanapie i ociera łzy. Marzy, żeby zasnąć, ale wie, że czeka ją kolejna długa noc. Kobieta, którą najęła do pomocy, zagląda do salonu przez otwarte drzwi. Nie ma odwagi wejść. Sława madame Curie dotarła do Brunoy. Służąca lubi przyglądać się Marii, zafascynowana jej osiągnięciami. Nie zna się ani na chemii, ani na fizyce, a to, że Maria pracuje na Sorbonie i władze uczelni liczą się z jej opinią, nie mieści się jej w głowie. Nie rozumie też, dlaczego Maria ciągle płacze. Gdyby ona miała takie pieniądze i powodzenie u mężczyzn jak madame Curie, o której czytała w gazetach, spytałaby, ile kosztuje Paryż, i bawiła się do upadłego. Świat jest dziwny.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Paryż, 10 października 1897

Gorące powietrze buchnęło Marii w twarz. Przecięła placyk przed laboratorium, zaskoczona upałem, choć wydawać by się mogło, że po kilku godzinach spędzonych w baraku wszędzie powinna odczuwać chłód.

Teść stał aż przy ulicy. Zaglądał do wózka, przemawiał do niemowlęcia i najwyraźniej czekał... na odpowiedź. Dziecko miało miesiąc, nie potrafiło zatem nawet świadomie się uśmiechnąć, a tym bardziej... Przyspieszyła kroku.

Eugène Curie, ojciec Piotra, wywołał ją z laboratorium. Zapytała asystenta, za którego pośrednictwem to zrobił, czy teść nie wolałby porozmawiać z synem, ale niby skąd André Debiere, ów asystent, mógł wiedzieć, z kim wolałby się zobaczyć doktor Curie?

Teść, domator i wielbiciel zdrowego trybu życia, ubierał się z nonszalancką elegancją. Tego dnia miał na sobie śnieżnobiałą koszulę i świetnie skrojone spodnie.

Eugène dostrzegł synową. Stanął w cieniu drzewa i z uśmiechem patrzył, jak się zbliża. Wciąż budziła jego zachwyty – te niesforne włosy, smukła sylwetka, piękna twarz.

– Panie Curie! – zaczęła Maria już z daleka. – Tato... – Przypomniała sobie, że prosił, by tak do niego mówiła. – Trzeba było powierzyć małą niańce.

– Dlaczego? Przecież to moje oczko w głowie.

Maria uśmiechnęła się. Zerknęła na Irenkę, której oczy same się zamykały.

– Jak się ma?

– Jest najedzona – rzucił z satysfakcją. – Nałykała się świeżego powietrza, jeśli można tak nazwać to, czym oddychamy w Paryżu, i za moment będzie spała niczym suseł.

Eugène lubił żarty. Zamilkł na chwilę, myśląc z zadowoleniem, że dobrze wychował syna, skoro wybrał sobie tak doskonałą partnerkę.

Obaj, Piotr i Jakub, mieli, jak on, wizję świata wolnego od bogów, bożków i szkodliwego wpływu kleru, co wyszło im na dobre. Wpoił im proste zasady: uczciwość, pracowitość, dbałość o potrzeby innych. Wyrośli na wspaniałych mężczyzn. Był z nich dumny, teraz zaś – co było efektem dobrego wychowania synów – był też dumny z Marii.

Październik był tak ciepły i słoneczny, jakby wciąż trwało lato. Mężczyzna domyślał się, że w szopie, gdzie młodzi urządzili laboratorium, musiało być nieprawdopodobnie gorąco.

– Coś się stało, tato? – zapytała Maria, pewna, że nie przyszedł z wizytą

towarzyską.

– Piotr martwi się o ciebie. – Teść od razu przeszedł do sedna. Cenił czas innych. Jego praca, a był lekarzem, przekonała go, że skuteczność wszelkich działań w dużej mierze zależy od tego, czy zostały podjęte we właściwym czasie. Źle, jeśli się robi coś za wcześnie, jeszcze gorzej, gdy zbyt późno. – Mówi, że całkiem pochłonęły cię badania – ciągnął z emfazą – i zajdziesz dalej niż on. Mój syn jest nudny... zamknięty w sobie i monotematyczny – dodał po namyśle i zaśmiał się szczerze, bo to była prawda. – Z mego punktu widzenia oboje wsiąkliście bez reszty w pracę – rzekł, poważniejąc – więc chciałbym, żebyście razem zaszli w życiu jak najdalej.

– Wiem, tato.

Maria zdawała sobie sprawę, że śmierć żony przybiła Eugène'a. Stała w milczeniu, skrępowana strojem, jaki miała na sobie, i spojrzeniami nielicznych przechodniów. Wyszła na ulicę w ciężkim brudnym fartuchu, w którym pracowała w laboratorium. Był rozpięty, mimo to pocila się niemiłosiernie.

– Piotr jest szczęściarzem, że ma takiego ojca – skomplementowała teścia.

Mężczyzna przyjrzał jej się uważnie, co było odrobinę deprymujące. Omiótł spojrzeniem jej twarz, ramiona, piersi i zatrzymał wzrok na kształtnych, ale zniszczonych dłoniach.

– Przez wiele lat byłem przekonany, że mój syn zostanie starym kawalerem – zaczął i natychmiast pokręcił głową. – Wiem, znasz już tę bajkę – ubiegł odpowiedź Marii. Oparł się o pień drzewa i przyciągnął do siebie wózek. – Piotr wierzy, że jego odkrycia zmieniają ludzkość. – Wydał wargi i raz jeszcze pokręcił głową.

Wydał się Marii podobny do Jeana Perrina – taki sam układ kości twarzy i wesołe oczy.

– Ja akurat wątpię, żeby ludzie mogli się zmienić pod wpływem badań naukowych – stwierdził drwiącym tonem – chyba że opracujecie szczepionkę przeciwko głupocie; coś na kształt szczepionek Pasteura. Ale zawsze uważałem, że marzenia Piotra są wspaniałe. Wspierałem jego pracę naukową. Ma wybitny umysł i wiele osiągnięć. Od czasów, gdy był dzieckiem, wiedziałem, że to wyjątkowy dziwak, więc, jak wspominałem, spodziewaliśmy się z Sophie-Claire, że przejdzie przez życie samotnie. Nie umie postępować z kobietami, choć wiem, że ma powodzenie. Znasz go, każdego zadręczy opowieściami o swoich zainteresowaniach i rozważaniach filozoficznych.

Maria uśmiechnęła się, zdziwiona szczerością teścia i jego przenikliwością.

– Ja nie narzekam.

– O to właśnie chodzi, Marie. – Eugène ucieszył się, że synowa go rozumie. – Dobraliście się jak w korcu maku. Nie sądziłem, że jest na świecie kobieta odpowiednia dla Piotra, a jednak...

– Nie żartuj ze mnie, proszę.

Ilekoć słyszała, że ona i Piotr świetnie do siebie pasują, czuła wyrzuty sumienia. Mąż przerastał ją pod każdym niemal względem, a jednak to ona rządziła w małżeństwie. Besztala go i zmuszała do zachowań, które były mu nie w smak.

– Łączy was... – Pan Curie przerwał nagle, pochylił się i zmieszany zajrzał do wózka, by się upewnić, że wnuczka śpi. – Dobrze, Marie – mruknął – nie będę ci przeszkadzał w pracy. – Wziął głęboki oddech i nim Maria zdążyła się odezwać, wyznał: – Przyszedłem, żeby powiedzieć, byś pod żadnym pozorem nie rezygnowała z doktoratu.

Tego się nie spodziewała. Teść nerwowo przygryzł wargę. Gdy robiła Piotrowi wymówki, wyglądał tak samo.

– Nie rozumiem.

– Syn mówił, że chcesz robić doktorat. Uważam, że to doskonały pomysł. Z twoimi zdolnościami...

– Tato, to nie takie proste.

Piotr bujał w obłokach. Życie składało się z miliona drobnych czynności, które ktoś, niestety, musiał wykonać.

– Marzę o tym – przyznała – lecz są sprawy, z którymi muszę sobie poradzić, zanim... – Urwała, pchnęła wózek i ruszyła przed siebie. Eugène podążył za nią. Idąc, nie musieli na siebie patrzeć. – Kazimierz... Dłuski wykrył u mnie zmiany gruźlicze w płucach – poinformowała z westchnieniem. – Powinam zadbać o siebie, lepiej się odżywiać, więcej odpoczywać, a to mało realne. Mniejsza z tym. Muszę się zająć Irenką, co, jak wiesz, nie najlepiej mi wychodzi. Piotr twierdzi, że zaczynam mieć obsesję na jej punkcie. Nie ufam niańkom, więc wciąż myślę o dziecku, co mnie dekoncentruje i sprawia, że w pracy popełniam proste błędy.

Eugène nie zdradził, że pewnego dnia syn żalił mu się, iż żona szaleje z niepokoju o córkę, wyobraża sobie, że niańka ją gdzieś zostawi lub wyrządzi jej krzywdę. Maria wciąż się bała o zdrowie dziecka i najchętniej każdy dzień zaczynałaby od wizyty u lekarza. Ubierała Irenkę za ciepło, przekarmiała, zrywała się w nocy, ilekroć mała zakwiliła.

– Mieliśmy nadzieję, że pomoże nam pańska żona – przyznała Maria, stając.

– Ja wam pomogę – nieśmiało zaproponował pan Curie.

– To miłe, tato... – rzuciła Maria z roztargnieniem. Pomyślała, że nie powinna była narażać córki na taki upał.

– Zamieszkamy razem i zajmę się Irenką. Chcę się na coś przydać, Marie. To dla mnie bardzo ważne.

Choć doceniła propozycję, nie potraktowała jej jednak poważnie. Mężczyzna nie mógł się zamknąć w domu z miesięcznym dzieckiem; oszalałby najdalej w ciągu kilku tygodni. Co by zresztą ludzie powiedzieli? Eugène Curie był znanym

i cenionym lekarzem.

– Tato, to bardzo wielkoduszne, lecz... – spojrzała na teścia przeprasząco – masz swoje sprawy. Nie możemy zrobić z ciebie niańki.

– Proszę, byś mi zaufała – rzekł pan Curie. Niczego tak nie pragnął, jak przekonania synowej, że będzie przydatny.

– To nie kwestia zaufania, tato. Ufam ci bez zastrzeżeń.

– Pozwól mi się zająć Irenką, nim zwariuję – szepnął. Obawiał się, że Maria go wyśmieje.

Teść w roli opiekunki dziecka... to dość absurdalne. Nigdy nie rozważała takiego rozwiązania.

– Naprawdę tego chcesz? – spytała z niedowierzaniem.

– Bardzo.

Mijająca ich para zerknęła na dziwaczny strój madame Curie.

– Trzeba by znaleźć jakiś dom... – zaczęła Maria.

– Piotr ma już coś na oku – przerwał jej teść.

– Rozmawiałeś z Piotrem?

A więc przemyśleli wszystko, nie zdradzając się z tym? Nie mogła wyjść ze zdumienia. Jej Piotr? Posłuszny, oderwany od życia naukowiec znalazł dom?

Spojrzała teściowi w oczy. Wziął ją w ramiona i przytulił. Powstrzymała łzy wzruszenia. Eugène nie udawał, że ją kocha. Kochał ją naprawdę. Jej także stał się bliski i cierpiał razem z nim, gdy odprowadzał żonę... na miejsce wiecznego spoczynku... pozornie pogodzony z losem, dzielny i spokojny. Nawet w takiej chwili dbał o to, by nikogo nie absorbować sobą.

Cóż miała powiedzieć? Zwłaszcza gdy z wdzięcznością ucałował jej dłoń? Pożegnała go bez słowa i wróciła do laboratorium.

– Rozmawiałam z twoim ojcem – poinformowała męża.

– Do niczego go nie namawiałem – zastrzegł.

Nie знаła go od tej strony. Wpatrywał się w elektroskop, uśmiechając się pod wąsem.

– Wypierasz się?

– Wszystkiego – odparł z powagą.

Maria miała wiele wątpliwości. Pomysł sam w sobie wydawał się dobry, bała się tylko, że lekkomyślni panowie zbyt wielu spraw nie wzięli pod uwagę. Usiadła na metalowym stołku, trącając męża kolanem. André Debiérne, nowo przyjęty pracownik, obserwował ją dyskretnie.

– Stajemy się pasożytami – powiedziała wprost.

Piotr na chwilę przerwał pracę i pogłaskał ją po głowie.

– W jakim sensie, Marie?

– Nie traktuj mnie jak obiektu badań – zachnęła się zmieszana niestosowną pieśczołą. Piotr nadwierał jej autorytet. W laboratorium nie była kobietą. Była

fizykiem! Powtarzała mu to setki razy! – Nadużywamy dobroci twojego ojca.

Mąż na dobre przerwał obliczenia. Wydał jej się przystojniejszy niż zwykle. Odsunął zeszyt, w którym oboje notowali obserwacje z doświadczeń.

– Nie pojmuję, kotku – zaczął cicho, wiedząc, że Maria nie lubi publicznie obnosić się z prywatnymi sprawami – co...

– Dziecko jest wyłącznie naszą sprawą – syknęła.

Kotku? Skąd wziął takie określenie? Może powinna jednak zostać sufrażystką? Szczerze powiedziawszy, myślała czasem, że odżegnując się od uczestnictwa w walce o prawa kobiet, zdradza je. Twierdziła, że obchodzi ją wyłącznie praca, ale to nieprawda. Żadna z kobiet czynnych zawodowo nie powinna ignorować tego problemu. Maria bagatelizowała poczynania emancypantek z czystego egoizmu.

– Wnuczka to również sprawa mego ojca – rzekł Piotr spokojnie.

To właśnie irytowało Marię – łatwość, z jaką mąż obciążał innych swoimi sprawami. Zapominał o tym, że starszy pan Curie może mieć do niej pretensję. Bronisława radziła sobie przecież ze wszystkim.

Może powinna iść śladem innych kobiet? Nie matek-Polek, ideałów, mistrzyń w domu i sypialni? Jedna ze stryjenek prowadziła majątek ziemski, założyła szkołę koronkarstwa i fabrykę mebli w Kielcach. Nie dbała o opinię dewotek, nie interesowały jej piękne suknie ani prowadzenie domu. Pracowała za męża utracjusza i świetnie sobie radziła. Czy Maria miała prawo być egoistką i realizować własne marzenia? Bez oglądania się na dom i dziecko?

André Debierno przyjrzał jej się uważnie. Myliła się czy skrywał rozbawienie?

– Marie, ojciec zdaje sobie sprawę z tego, że nie jesteś przeciętną kobietą, którą można zamknąć w domu. Rozmawialiśmy o tym. Obiecałem przed ślubem, że będę cię wspierał, czymkolwiek się zajmiesz.

– Ponoć znalazłeś dom.

Jej oskarżycielski ton rozbawił Piotra. Splótł dłonie z tyłu głowy.

– A chciałabyś go szukać razem ze mną?

– A dlaczego nie?!

Spojrzał na nią oszołomiony.

– Zaskoczyłaś mnie – bąknął. – Po prostu uznałem, że to należy do głowy rodziny.

W tym stwierdzeniu było coś ujmującego. On, żyjący w innym wymiarze, postanowił być przykładnym mężem. Rozczulił Marię. Zapinała fartuch, czując pełen uznania wzrok Debierno'a. Uwielbiała to – uznanie mężczyzn.

Piotr był z siebie dumny, ponieważ rzadko miał okazję udowodnić żonie, że jest mężczyzną skutecznym. Maria była zwariowana i marudna, kochał ją jednak ponad wszystko. Każdego wieczoru wracał do domu wzruszony, że ją tam zastanie.

Uważał się za szczęściarza. Żył po to, by widzieć radość na twarzy żony. Musiał uczciwie przyznać, że nadmiernie koncentrował się na pracy, lecz jego jedynym pragnieniem było szczęście Marii. Czuł, że jest ona niczym nowa komórka jego ciała – niezbędna do życia.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Paryż, 4 czerwca 1912

Paul zdaje sobie sprawę, że żadne mieszkanie nie dorówna domowi, który zajmuje Jeanne i jego dzieci. Choćby stał w ciemnej sieni, czuje się tu dobrze, bo jest u siebie. Wszystko w pokoju syna wydaje się przeskalowane, zbyt duże dla dziecka, ale to tylko złudzenie. Wielkie łóżce nie jest wcale złe dla kilkulatka.

Malec śpi. Ma usta spękane od gorączki. Rzęsy rzucają cień na zaróżowione policzki. Chłopczyk przypomina aniołka. Mruczy coś przez sen.

Jeanne gasi lampę naftową i wycofuje się z sypialni. Paul odsuwa się, robiąc przejście. Przez chwilę idą obok siebie korytarzem w kompletnych ciemnościach. Mężczyzna czuje ciepło bijące od żony. Serce wali mu tak mocno, że aż go to niepokoi.

– Cały wieczór marudził – mówi Jeanne. – Płakał, że chce do tatusia.

Wchodzą do jadalni. Jeanne podkręca lampę i siada w fotelu przy oknie, przez które widać nocny Paryż. Jest zawstydzona. Mąż wygląda świetnie. Mimo upływu lat i mnóstwa kłopotów wciąż jest przystojny. Ubiera się z wyszukaną elegancją. Kobieta odsuwa od siebie myśl, że ktoś mu w tym pomaga. Przecież o to nie zapyta; nie chce znać odpowiedzi.

– Przyjdę z samego rana, żeby być tu, kiedy się przebudzi – obiecuje Paul.

Jest zmieszany. Chciałby już wyjść, lecz boi się urazić żonę. Dyskretnie jej się przygląda. Od lat tego nie robił. Owszem, patrzył na nią, ale nie widział. Jak to możliwe? Jeanne ma ładne rysy, ładne włosy, ładną... Paul przerywa tę idiotyczną wyliczankę, dochodząc do wniosku, że choćby żona miała milion zalet, dla ich związku nie ma to już znaczenia.

– Nie musisz wychodzić, Paul – słyszy.

Jeanne potrafi mówić słodkim głosem. Bywa delikatna.

– Daj spokój – odpowiada.

– Mógłbyś spać w gościnnym.

– Płacę za wynajmowane mieszkanie – tłumaczy.

Kobieta przytakuje. Tak, to ważny argument. Skoro Paul płaci, lokal nie powinien stać pusty.

– Wydajesz pieniądze, zamiast mieszkać z nami i przeznaczyć je na dzieci – mówi po chwili wbrew sobie.

Paul uśmiecha się, ponieważ słyszy dawną Jeanne – gwałtowną, przemądrzałą i złośliwą.

– Przemyślę to – obiecuje. Nie czuje gniewu. Ich drogi się rozeszły, mieszkają oddzielnie, wkrótce wezmą rozwód.

– Przynajmniej napij się czegoś – proponuje żona.

Jest smutna. Kuli ramiona. Wygląda teraz na przegraną, zrezygnowaną kobietę, co wywołuje u Paula wyrzuty sumienia. Mężczyzna z trudem przełyka ślinę.

– Chętnie – mówi i sam się sobie dziwi. Przecież spieszy się do Marii. To daleko, wołałby więc zakończyć wizytę u żony.

– Pamiętasz naszą wycieczkę do Bretanii? – pyta Jeanne.

Matka mówiła, że nagła zmiana tematu wytrąca przeciwnikowi broń z ręki. Miała rację. Paul podnosi głowę; widać, że jest zaskoczony.

– Kupiłaś wino u wieśniaczki – przypomina sobie i wybucha śmiechem. – Powiedziałeś, że to dla ciebie i koleżanek, które nocują w stogu siana. Pamiętam minę tej kobiety, kiedy potem ja przyszedłem po wino. Zapytała, czy i moje koleżanki śpią dziś na sianie.

Państwo Langevin śmieją się, ale zaraz potem znów zapada niezręczna cisza.

– Byliśmy szczęśliwi, prawda?

– Prawda – odpowiada Paul i wzdycha. Dociera do niego, że żona celowo przywołała miłe wspomnienia. Rzeczywiście miłe. – Takie życie... wszystko kiedyś przeminie – mówi sentencjonalnie.

Jeanne wstaje i podchodzi do okna. Paul mimo woli podąża za nią wzrokiem; rejestruje apetyczne krągłości.

– Czasem się zastanawiam, czy nasz spór ma sens – mówi kobieta, wachlując się gazetą.

– Ja już o tym nie myślę – ucina Paul z bezlitosną szczerością.

– Dlaczego? – pyta Jeanne ze smutkiem. – Nie zastanawia cię, co czują dzieci?

Podchodzi do męża i patrzy mu prosto w oczy. Paul zaczyna się irytować. Dobrze wie, jak wygląda ciąg dalszy takich rozmów.

– Oczywiście, że mnie zastanawia, ale... widuję się z nimi, zawsze będę o nie dbał...

– Należne im pieniądze będziesz wydawał na tę dziwkę – przerywa mu gwałtownie Jeanne.

Przychodzi jej na myśl, że kochanka męża przekona do siebie również dzieci jej i Paula, a wtedy ona zostanie z niczym. Gazety piszą, że madame Curie jest czarownicą. Zna tajniki chemii. Chemia, alchemia – bez różnicy. Jeanne wiele razy czytała życiorys Marii Curie i wie, że uczona osiągnęła wszystko, co zamierzała. Pani Langevin nie zna mężczyzny, któremu się to udało.

– Nie zaczynaj – prosi Paul, ale jak zwykle odrobinę za późno; Jeanne przestała go już atakować.

– Pójdiesz do niej? – pyta spokojnie.

– Kiedyś pójdę. To żona mego zmarłego przyjaciela.

Kobieta wzdryga się, nie mogąc znieść wykretów męża. Paul jest mistrzem kłamstwa i obłudy.

Lampa zaczyna kopcić; nafta zalewa knot.

– Wstydzisz się do niej przyznać... przyznać, że ją kochasz.

Paul porusza się nerwowo. Zadziwiające, jak jego twarz zmienia się pod wpływem emocji, nad którymi nie panuje.

Ulicą przejeżdża dorożka wioząca podchmielonych, wesołych mężczyzn. Śpiewają hymn na cześć życia. Po chwili stukot końskich kopyt oddala się, cichnie pijacka pieśń. Państwo Langevin wsłuchują się w odgłosy ulicy jakby w obawie, że ich sekrety mogłyby się wydostać na zewnątrz.

– Nie mam się do czego przyznawać – mówi Paul, gdy zapada cisza. – Pójdę już, niepotrzebnie zostałem.

– Pójdiesz prosto do niej – rzuca zaczepnie Jeanne.

– Dobranoc.

– Upokarzasz mnie.

Zachodzi mu drogę. Każdy miesiąc jej twarzy jest napięty, przez co rysy się wyostrzają, nos wydaje się dłuższy, twarz brzydnie. Kobieta rozkłada ramiona, zasłaniając drzwi.

– Sama to sobie robisz – stwierdza mężczyzna łagodnie.

– Nie wyjdiesz stąd – grozi żona.

Ton jej głosu przywołuje wspomnienia dawnych awantur. Paul marszczy brwi i cofa się o kilka kroków.

– Przestań – burczy z niesmakiem. – Nie będziemy się szarpać.

– Mój adwokat cię zniszczy.

Paul uśmiecha się z wyższością jak ktoś, kto ma lepsze źródło informacji i jest pewny swego. Wydaje mu się czy słyszy głosy dzieci?

– Zobaczymy. Nie bądź taka pewna – szepce na wszelki wypadek. – Gdybym był złośliwy, wystąpiłbym o prawo do opieki nad dziećmi. Zostałabyś sama. – Mówiąc to, gardzi sobą. Uważa, że szantaż tylko niepotrzebnie podsyca spory. Jaką można mieć satysfakcję z upokorzenia kobiety? – Tego chcesz? Nie zmuszaj mnie... – zawiesza głos i usiłuje wyjść z jadalni.

Jeanne wczepia się w jego ramię obiema dłońmi. Wywiązuje się szamotanina. Mężczyzna unieruchamia dłoń żony, żeby nie mogła go uderzyć. Jeanne patrzy mu w oczy kompletnie zaskoczona. Paul nigdy nie używał siły, a ona bezwstydnie to wykorzystywała. Takiego Paula nie zna. Mąż dostrzega jej zdziwienie. Uśmiecha się triumfalnie.

– Doprowadzasz mnie do ostateczności – rzuca Jeanne.

Paul chichocze.

– Targnę się na życie.

– Bardzo proszę – zgadza się mężczyzna, nie przestając chichotać. –

Ostrzegam jednak, że nie będę cię ratował. – Odsuwa ją ze wstrętem i na wszelki wypadek idzie w drugi koniec pokoju. – I nie strasz mnie. Gdybyś chciała się zabić, dawno byś to zrobiła.

– Zgłoszę na policję... chamie... że użyłeś siły.

– Nikt ci nie uwierzy.

Jeanne podbiega do niego. Patrzy jak rozwścieczone zwierzę.

– A chcesz się przekonać? – syczy. – Chcesz? Zobaczysz, jak urządzę tę twoją lalę! Rzuci się z okna bez niczyjej pomocy. Potnę jej gębę i na całe życie zapamięta, co znaczy gzić się z cudzym chłopem! – kończy podniesionym głosem.

– Zamknij się. Obudzisz dzieci – mówi oschle Paul.

Ale to już nie ten sam Paul. Jeanne jest w szoku, ponieważ ma przed sobą twardego, nieustępliwego mężczyznę. Czyżby naprawdę kochał tę zdzirę? Kobieta czuje pieczenie w klatce piersiowej. Świadomość, że straciła miłość męża, boli. Ma ochotę krzyczeć, płakać, wyc... byle go odzyskać.

– Dziećmi się przejmujesz? – cedzi z obrzydzeniem. – Boisz się, że cię sąsiedzi usłyszą! I niech usłyszą; niech wiedzą, że wciąż latasz do tej lafiryndy! – drze się na całe gardło. Nie ma nic do stracenia. Paul wymyka jej się z rąk. – Niech zobaczą, jaki jesteś! – woła dramatycznie. Jej ramiona unoszą się i opadają niczym skrzydła wielkiego ptaka. – Niech wiedzą, na co idą twoje pieniądze. – Dopada do drzwi wejściowych, otwiera je i wychyla głowę. – Alimenty są dla niego za wysokie! – drze się na całe gardło. Chce mieć pewność, że wszyscy sąsiedzi usłyszą. – Ale na garsonierę w centrum nie żałuje! Żeby cię szlag trafił, żeby cię pokręciło, dziadu pieruński!

Paul Langevin bezskutecznie próbuje wciągnąć żonę do domu, ale kobieta jest sprytniejsza.

– Co wy na tej Sorbonie wyczyniacie, to nikt nie wie, taka wasza mać! Profesorkę se wynalazł. Puszczalska... po kątach z chłopami się gzi... listy wypisuje z instrukcjami, co mają w domu robić, a czego nie. Tfu! Bezwstydna!

Paul chwytą żonę wpół i niemal wnosi do holu. Dyszy ciężko. Jest oburzony jej zachowaniem i bezbronny wobec wyniszczających gierek.

– Zamknij się – syczy.

– Jak będę chciała!

– Jesteś nienormalną... nieobliczalną wariatką. Ciągasz po sądach niewinną... niewinną kobietę. – Brak mu słów.

– Powiedz jej lepiej, z iloma oprócz niej sypiałeś. – Jeanne jest wściekła, bo ich kłótni nikt już nie słyszy.

Jej fryzura nie wytrzymała szamotaniny, włosy z lewej strony uwolniły się ze spinek. Żona wygląda niechlujnie, a to zawsze Paula pociągało. Lubi kobiety wstające z łóżka po szalonej nocy – są rozgrzane, półnagie, wyglądają nieporządnie i pachną seksem. To skojarzenie go podnieca.

– Czego ty właściwie chcesz? – pyta, łagodniejąc.

– Żebyś wrócił do domu, tego chcę – odparowuje Jeanne. – Do dzieci! Tu jest twoje miejsce... Tego chcę – łka, raz po raz łapiąc powietrze.

– Jak to sobie wyobrażasz? – Langevin przestaje się złościć. Poznał potrzeby żony, próbuje więc się do nich odnieść. Jest, jak większość mężczyzn, zadaniowy.

– Po tym wszystkim? – pyta bezradnie, gdyż wydaje mu się to absurdalne. – Jak mamy siedzieć przy jednym stole? Patrzeć na siebie?

Jeanne spogląda na niego załzawionymi oczyma.

– Kocham cię. Ślubowałeś mi przed Bogiem.

– Nawet Pana Boga byś wyprowadziła z równowagi – mówi Paul i ciężko wzdycha.

– Jakbyś się nie szlajał...

– Pozwalaś niewinną kobietę! Narażasz ją na upokorzenia, tylko dlatego...

– Nie musiałabym tego robić, gdybyś przysiągł, że jej więcej nie zobaczysz!

– krzyczy Jeanne.

– Jak mam ci to przysiąc, durna babo – rzuca z wściekłością Paul – kiedy ją spotykam w pracy... na konferencjach... w laboratorium... wszędzie!

– Przysięgnij, że z nią zerwiesz.

Langevin wraca do salonu. Jeanne idzie za nim. Przypomina zepsutą lalkę.

– Już od dawna nic nas nie łączy – mówi mężczyzna, siadając. Spogląda na żonę i po raz kolejny dostrzega, że jest bardzo ponętna. – Jak to sobie wyobrażasz? Po tym cyrku w mediach? Po tym, co jej zrobiłaś? Sądzisz, że ona chce mnie jeszcze widywać?

– Cholernie ci współczuję – nabija się Jeanne. Nie szanuje męża, widać to gołym okiem.

– Nawet w Stanach o nas piszą – burczy gniewnie Paul. – Dziennikarze biegają za nią niczym sfora psów. Ukrywa się przed światem jak przestępca.

– Nie licz na moje współczucie – powtarza twardo Jeanne.

Ma inne wyobrażenie o sytuacji Marii Curie. To twarda, bezlitosna baba, która kradnie cudzych mężów, niech więc zdycha w bólach! Pani Langevin ją przeklęła i będzie przeklinać dopóty, dopóki ta przebrzydła jędza nie zostawi jej męża. Paul należy do niej.

– Nikt nie potrzebuje twojego współczucia, wariatko – odzywa się mężczyzna w ciszy, jaka nagle zapadła. – Próbuję ci jedynie wytłumaczyć, że nie masz się czego obawiać.

Z niewiadomego powodu Jeanne wierzy mężowi. Siada na krześle i słucha w milczeniu.

– Owszem, widuję ją... ponieważ razem pracujemy... łączy nas milion spraw. Była żoną mego przyjaciela. Nie mogę udawać, że jej nie znam. Ale nie kocham jej, rozumiesz? Nigdy nie kochałem.

– Nie kochasz jej? – powtarza Jeanne jak echo.

– Nie.

Największą bronią Langevina jest to, że mówi przekonująco. Kobiety mu wierzą, wierzą we wszystko, co im wmawia, choć doświadczenie podpowiada, że je oszukuje. Ale tak właśnie działa jego urok osobisty. Paul jest nie tylko przystojny, ale i fascynujący. Bywa chłopcem, którym pragną się zaopiekować, rycerzem na białym koniu, który je wybawia z opresji, namiętnym kochankiem, czułym ojcem.

– Pisałeś w listach...

– Pisz się różne rzeczy, Jeanne – przerywa jej – tak jak w złości mówi się straszne rzeczy. Ale przecież nikt normalny w to nie wierzy. Ty groziłaś, że mnie zabijesz.

– Zabiję cię – potwierdza żona.

– Oczywiście, drzę ze strachu – kpi Paul.

Pani Langevin parska śmiechem. Mąż ma rację, to czcze pogrożki.

– Naprawdę jej nie kochasz? – pyta raz jeszcze.

– Jeanne, na litość boską – szepce Paul, znużonym gestem przecierając twarz. – Jeśli już ktoś ją kocha, to tym kimś jest André. André Debierno. Są razem; wszyscy o tym wiedzą.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Paryż, 19 kwietnia 1906

Eugène Curie nie narzucał się synowi i synowej przed śniadaniem. W milczeniu mył się, wkładał domowe ubranie, zawsze schludne, mimo że nie wychodził w nim na ulicę, i kierował się do kuchni, gdzie w ciszy wypijał pierwszą kawę i czytał najświeższe wiadomości. Gazety przywożono o świcie.

Miał zdrowe podejście do życia. Wiedział, że małżeństwo jest trudną instytucją, w której dwie wielkie indywidualności ścierają się czasem, dlatego nie przysłuchiwał się porannym sprzeczkom syna i jego żony. Oboje byli przemęczeni, choć odnosił wrażenie, że nie są tego świadomi. Wystarczyłby krótki odpoczynek, żeby doszli do siebie; cóż, kiedy niczym dwa znużone konie w zaprzęgu parli naprzód, oszołomieni własnymi odkryciami. Przypominali parę morfinistów; byli uzależnieni. Nie mogli się oderwać od pracy.

Maria budziła córki, zajmowała się ich toaletą, ubierała je, w milczeniu słuchając wesołego szczebiotu, po czym zaganiała do kuchni, gdzie dziewczynki przejmował dziadek Eugène. Zdarzało się, że z teściem również nie zamieniła ani słowa. Syn podobnie. Szykował się do kolejnego dnia, uzgadniał coś z małżonką i opuszczał dom bez śniadania. Jadał w Paryżu, zwykle w towarzystwie kolegów.

– Będiesz dziś w laboratorium?!

Gospościa wzdrygnęła się, słysząc krzyk pana Piotra.

– W przeciwieństwie do ciebie mam poza pracą w laboratorium mnóstwo obowiązków!

Niegrzeczna odpowiedź nadeszła z pierwszego piętra. Pani Maria była czymś zirytowana, zresztą zarówno gospościa, jak i Eugène znali charakter pani Curie. Była dobrą kobietą, ale miewała humory. Mówiła wtedy wolno, z rozmysłem ścisząc głos, co robiło większe wrażenie od krzyku. Nawet dzieci się jej wtedy bały. Maria była apodyktyczna. Choć często miewała rację, jej upór i nieustanna walka o prymat potrafiły świętego wytrącić z równowagi. Ciężko pracowała i marzył jej się sukces. Chciała, jak każdy naukowiec, żeby eksperymenty przebiegały zgodnie z planem, tymczasem życie przynosiło wiele niespodzianek, przestojów i fałszywych tez. Z jednej strony uwielbiała wyzwania, z drugiej – kosztowały ją wiele nerwów. Była błyskotliwa, szybka i stanowcza. Jej mąż wprost przeciwnie. Potrzebował chwili do namysłu. Rozumieli się jak mało kto, niemniej jednak jeśli Maria już rozumiała, a Piotr wciąż jeszcze analizował, leciały iskry. Zdarzało się i tak, że pani Curie prowadziła doświadczenia sama, gdyż jej mąż zaledwie bywał w laboratorium, pochłonięty spotkaniami z kolegami.

Eugène wiedział, że właśnie tego dnia Piotr wymknął się do Paryża na

śniadanie w Związku Profesorów Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego, potem zaś wybierał się do wydawnictwa Gauthier-Villars, w którym miała wyjść jego najnowsza publikacja. Maria rozumiała męża i akceptowała jego zajęcia, ale nienawidziła dni, gdy kazano jej się bawić w gospodynię domową. „Kazano” było właściwym określeniem, ponieważ z własnej woli wykonywała domowe obowiązki z uśmiechem na ustach. Chodziła na rynek, rozmawiała ze sprzedawcami warzyw na temat właściwości zdrowotnych oferowanych produktów, wydawała polecenia służbie i doglądała prac domowych. Nie lubiła tylko, gdy mąż tuż przed wyjściem z rozbrajającym uśmiechem informował, że cały dzień go nie będzie, a następnie pytał, czy i ona wybiera się do laboratorium. Jak się miała tam wybrać, skoro zostawiał dom na jej głowie?

Eugène zagłębił się w lekturze. Popijał kawę i rozmyślał nad szaleństwem ogarniającym Europę. Chwilami patrzył w okno, podziwiając kwietniową roślinność w ogrodzie. Nigdy zieleń nie była równie intensywna, jak wiosną.

Doktor Curie był szczęśliwy i wdzięczny synowej, że pozwoliła mu zamieszkać w domu syna. Kochał wnuczki Irenę i Ewę i czuł się naprawdę potrzebny. Chwilami zapominał nawet o tym, co za sobą zostawił. Po śmierci żony miał wrażenie, że wszystko się skończyło i przyjdzie mu wyłącznie czekać na śmierć, tymczasem na nowo się zakochał – w rodzinie Piotra, jego domu, ogrodzie, przyjaciółach. Uwielbiał atmosferę uczonych rozmów, konsekwencję w wychowaniu dzieci, szacunek dla służby. Nie bez znaczenia było, że zajmował w domu państwa Curie wysoką pozycję; stał tuż za Piotrem i Marią, pod ich nieobecność zaś przejmował ster rządów.

Maria i dziewczynki pojawiły się w kuchni dopiero koło południa. Stół był już zastawiony, śniadanie podane. Pani domu miała na sobie ciemnograny gruby szlafrok, nieco przypominający habit. Eugène przyzwyczał się do jej rozpuszczonych włosów i porannego zamyślenia. Sam również nie przepadał za rozmowami o niczym. Rozumiał, że synowa prowadzi badania naukowe i wciąż jest czymś zaabsorbowana. Wraz z Piotrem zdobyła prestiżową Nagrodę Nobla, co było powodem dumy doktora Curie. Chwalił się synem i synową, gdzie tylko mógł.

– Co słyhać na świecie? – zapytała Maria swoim zwyczajem. Korzystała z tego, że Eugène czytał poranną prasę, czego sama nie robiła.

– Niestety, nic dobrego. W San Francisco było trzęsienie ziemi. Dużo ofiar, jednym słowem, koszmar.

Maria skrzywiła się.

– To przykre – szepnęła, biorąc Ewę na kolana.

Gospoia zajęła się Ireną. Dziewczynka przybrała swój słynny ponury wyraz twarzy, który tak bawił znajomych rodziców, i jadła bez protestu. Nad wiek poważna, uwielbiała, gdy rodzice dopuszczali ją do swoich zajęć. Stanie przy biurku matki z jej notatkami w rękach uważała za zaszczyt. Nigdy jej się to nie

nudziło; mogła tak stać godzinami bez słowa skargi. Dopiero Maria łagodnie przepędzała dziecko, prosząc ojca, by je zabrał na świeże powietrze.

– Papież potępił polskich mariawitów – rzekł Eugène z nadzieją, że zainteresuje synową Polkę, ale Maria tylko prychnęła.

Irena uśmiechnęła się do matki, uznając, że zachęca ją do zabawy.

Doktor Curie wstał od stołu, podziękował służącej i poszedł się przebrać. Utarło się, że gdy synowa była w domu, to ona zajmowała się dziećmi, mógł więc wybrać się na spacer. Sceaux wiosną nabierało urody. Miał tu wielu znajomych. Niektórych leczył, innym doradzał, jeśli poprosili. Śmiać mu się chciało z szacunku, jaki budził jego zawód. Owszem, medycyna była trudną dyscypliną, miał jednak świadomość, że w wielu przypadkach jest bezradny. Nie był magiem ani cudotwórcą.

Idąc ulicami Sceaux, uświadomił sobie, że nie zapytał Marii o jej plany na ten dzień. Na wszelki wypadek zawrócił, żeby rozmówić się z synową. Okazało się, że pojechała już do Paryża.

– Bardzo dobrze – rzekł do siebie głośno. – Panienci, idziemy nad rzekę.

Irena podskoczyła z radości. Ewa zaklaskała w rączki – ucieszyła ją reakcja siostry, choć była za mała, by wiedzieć, co oznacza wyprawa nad rzekę. Doktor Curie dopilnował, żeby gosposia zapakowała ciepłe pledy, drugie śniadanie dla dziewczynek i coś do picia. Wsunął pod wózek Ewy powieść Romain Rollanda i wyruszył, słuchając paplania starszej wnuczki, która akurat opowiadała, co zrobi, gdy zostanie wielką uczoną jak jej matka. Starszy pan pomyślał: Niech Bóg broni, żeby szła w ślady Marii – i nawet zastanowił się, dlaczego tak zareagował. Synowa była wprawdzie dziwaczką, ale też kobietą niezwykle szlachetną. Pragnienie pójscia w jej ślady było więc chwalebne. Eugène kochał Marię. Nie przeszkadzała mu jej powściągliwość ani zmienne nastroje.

Nad rzeką ogarnęła go senność. Usiadł na ławce. Wózek ze śpiącą Ewą postawił w cieniu. Irena opowiedziała mu historię niegrzecznej wiewiórki, przytuliła się, ułożyła głowę na jego kolanach i także zasnęła. Sen zmorzył i Eugène'a. Obudził go dopiero chłód ciągnący od rzeki. Zanosilo się na deszcz. Pan Curie obudził starszą wnuczkę, poderwał się z ławki i wzięwszy wózek, w pośpiechu ruszył z dziewczynkami do domu.

Ledwie zdążyli przestąpić próg, rozpętała się ulewa. Na dworze pociemniało tak, że trzeba było zapalić lampy. Pomoc kuchenna rozpałała w kominku i w salonie i zrobiło się przyjemnie. Pan Curie posiedział tam trochę z dziewczynkami, a gdy się rozgrzali, zjadł z nimi wczesny obiad i ułożył je do snu w ich pokoju. Nigdy nie miał z tym problemu, w przeciwieństwie do synowej. Dziewczynki wiedziały, że jak się obudzą, dziadek będzie w pobliżu. Był w ich życiu stałym elementem, zapewniał spokój i poczucie bezpieczeństwa. Marii pilnowały, bojąc się, że im ucieknie.

Służąca sprzątała dom przed przyjściem gości. Spodziewali się Perrinów.

Eugène udał się do swojej sypialni na poobiednią drzemkę. Ułożywszy się wygodnie, zamknął oczy i zamyślił się nad swoim życiem. Uświadomił sobie, że nie połyka już mnóstwa książek, jak to czynił za młodu. Wyłącznie dzięki dyskusjom syna, synowej i ich znajomych wie, co się czyta i ogląda w teatrach. Państwo Curie rzadko wychodzili z domu na spotkania towarzyskie lub by się trochę rozerwać, niemniej jednak orientowali się w paryskich trendach i modzie. Zwłaszcza Maria dzięki swojej genialnej pamięci była skarbnicą wszelkiej wiedzy.

Tak rozmyślając, Eugène zasnął płytkim, niespokojnym snem.

– Panie Curie.

Zbudził go szept służącej. Mężczyzna otworzył oczy, zaniepokojony, ponieważ służąca nie miała zwyczaju nawet zaglądać do jego sypialni, kiedy tam przebywał. Teraz stała na progu z lampą naftową w dłoni. Poczul się niezręcznie w niekompletnym stroju.

– Co się stało?

– Przyjechał jakiś pan... do pani Marii – odpowiedziała szeptem.

– Czego chce? Pytałaś?

– Mówi, że jest od prezydenta republiki.

Pan Curie wiedział, że jeśli ktoś przedstawia się z podobną bufonadą, zwykle przychodzi z jakimś idiotycznym interesem. Piotrowi i Marii wciąż składano dziwne propozycje.

– Powiedz, że jej nie ma.

Eugène usiadł na łóżku całkiem rozbudzony i świadomy, że teraz dopiero wygląda idiotycznie – w samej koszuli i spodniach, z bosymi stopami.

– Powiedziała, proszę pana. Nie chciał czekać.

Eugène westchnął głęboko; skoro gość sobie poszedł, po co on został obudzony.

– Przyszli też panowie Appell i Perrin – zakomunikowała służąca i wyszła akurat wtedy, gdy doktor Curie chciał jej zadać pytanie.

Przede wszystkim nie rozumiał, dlaczego znajomi zjawili się tak wcześnie. Na Boga, dochodziła czwarta, a byli umówieni na siódmą! Co za dzień!

Zapalił lampę i zaczął się ubierać. Jego pokój był przytulny, możliwe, że najlepiej urządzone ze wszystkich pomieszczeń w domu syna. Ustawił w nim swoje stare meble. Te, które się nie zmieściły, oddał do dyspozycji synowej. Obawiał się, że się ich pozbędzie – wyrzuci albo każe spalić – ale nic takiego się nie stało. Zagospodarowała wszystkie. Przyznał nawet, że w ciekawy sposób. Kiedy sięgał pamięcią wstecz i przypominał sobie dawne mieszkanie Piotra i jego żony, widział jedynie puste, ascetyczne pokoje, w których nic nie budziło miłych skojarzeń. Nie tworzyły ciepłego domu. Tu było już inaczej. Młodzi wcześniej cierpieli straszną biedę. Wszystkie pieniądze szły na książki i badania naukowe.

Nagroda Nobla, którą otrzymali, oprócz splendoru przyniosła też wymierne korzyści. Mieli więcej pieniędzy, Maria mogła więc ujawnić skrywane talenty. Jednym z nich okazał się ten do urządzania wnętrza, co czyniła ze smakiem.

Doktor Curie zszedł do salonu. Panowie Paul Appell i Jean Perrin zerwali się na równe nogi. Eugène pomyślał nawet, że to krępujące. Znał ich nie najgorzej, nie widział więc powodu, by okazywali mu aż takie uszanowanie. Zdziwił go szczególnie profesor Appell.

– Siadajcie, panowie – poprosił doktor Curie, dając znak gosposi, by zajęła się dziewczynkami. – Piotr i Maria powinni wrócić lada moment... choć właściwie nie wiem – przyznał szczerze. – Wydawało mi się, że byli panowie umówieni na...

– To prawda, doktorze – wszedł mu w słowo Appell. – Jeśli pan pozwoli, zaczekamy tu na Marie.

– Ależ oczywiście.

Mężczyźni usiedli na kanapie, odmawiając poczęstunku. Perrin, zwykle roześmiany, o fizjonomii wiecznego chłopca, patrzył w okno z niepokojącym wyrazem twarzy. Obaj nie mieli ochoty na rozmowę. Sytuacja była więcej niż niezręczna.

– Piotr miał dziś śniadanie w Związku Profesorów... – zaczął doktor Curie.

– Wiemy – przerwał mu uprzejmie Perrin.

Na moment ich spojrzenia się spotkały, po czym Jean ponownie wbił wzrok w okno. Zaczekamy tu na Marie? Co to miało znaczyć? Dlaczego mieli czekać tu na Marię? Czemu nie na Marię i Piotra? Czemu przyszli dwie godziny wcześniej, nie chcą pić, nie chcą rozmawiać, nic ich nie interesuje...

Eugène poczuł ciarki na całym ciele. Był lekarzem... niemożliwe... znał tę atmosferę... te spojrzenia... słowa... niemożliwe. Wziął głęboki oddech. Wyprostował się i spojrzał Appellowi prosto w oczy. Profesor odwrócił głowę, nie mógł jednak ukryć... wzburzenia? Perrin niemal płakał. Jak można było tego nie zauważyć? Obaj byli roztrzęsieni. Kompletnie rozdygotani.

Doktor wstrzymał oddech, jakby miał nadzieję, że nie zakłócając ciszy, więcej zrozumie. Co właściwie chciał zrozumieć? Serce mu waliło.

– Mój syn nie żyje – wyrwało mu się.

Perrin rozplakał się w odpowiedzi.

Doktor Curie wstał bezradnie. Ręka, którą wsparł się o kanapę, zadrżała, a on się zachwiał.

– Nie ma pan pojęcia, doktorze, jak bardzo jest nam przykro – odezwał się profesor Appell. – To się stało na ulicy.

– Na ulicy?

– Wszedł na ulicę zza dorożki – mówił Perrin przez ściśnięte gardło. Łzy płynęły mu po twarzy. – Prosto pod koła pędzącego wozu z ciężkim ładunkiem. – Zamilkł.

Nie był w stanie opowiedzieć tego, co się stało, więc doktor Curie spojrzał pytająco na Appella. Profesor potarł twarz obiema dłońmi; był bledszy niż zwykle, z trudem opanowywał drżenie warg.

– Piotr uczepił się dyszla. Próbował się ratować. Koń stanął dęba.

– Perszerony go minęły. Koń zrobi wszystko, żeby nie stratować człowieka – zapewnił Jean Perrin, jakby to miało znaczenie. – Przednie koła wozu go nie zahaczyły... był cały.

Doktor Curie wiedział, co się stało później. Nie chciał tego słuchać, ale nie miał siły, by powstrzymać profesora Appella. Głos uwiązł mu w gardle, stał jak żona Lota, gapiąc się na swoje buty.

– Koło roztrzaskało czaszkę.

Nie chciał tego słuchać! Czy tak trudno było pojąć... nie chciał... Zaległa cisza, jakby Eugène'a zalała wysoka morska fala. Tylko szum, szum i jakiś cichy głos, informujący, że Piotra nie ma. Dokąd człowiek odchodzi z tego świata? Jeśli nie do Boga? Czy to koniec? Koniec Piotra? Koniec jego marzeń?

– Jak mógł? – szepnął Eugène, czując niepohamowany gniew na syna. – Nad czym się znów zamyślił? Jak tak można? Jak on mógł się tak zamyślić?

Doktor Curie zaczął przemierzać salon wzdłuż i wszerz, mówiąc bardziej do siebie niż do gości:

– Nigdy nie uważał. Jakby to było ponad jego siły. Jakby nie pojmował, czym jest życie. To nie tylko nauka, eksperymenty, książki, rozważania. Panowie wiedzą, co mam na myśli. Piotr po prostu nie przyjmował do wiadomości, że życie także ma swoje prawa, że to także fizyka, że nikt odpowiedzialny nie wychodzi nagle zza dorożki, nie naraża się na niebezpieczeństwo... Nikt, kto ma żonę i dwoje dzieci, kto ma ojca, dom z ogrodem. Zgadza się, panowie? Nad czym on się znów tak zamyślił?

Eugène zamilkł nagle; dławił go płacz. Chciał uciec, bo jak tu spojrzeć Marii w oczy. Z jednej strony doświadczenie podpowiadało, że z czasem wszystko jakoś się ułoży, z drugiej jednak nie wyobrażał sobie dalszego życia. Zniósł śmierć żony, śmierci Piotra nie przeżyje. Potrzebował ciszy i choć paru minut na zebranie myśli.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Brunoy, 4 czerwca 1912

Debierne zbliża się do domu wynajmowanego przez Marię w Brunoy. Z każdym krokiem nabiera przekonania, że powinien unieść się honorem i zaprzestać tych wizyt. Czuje się urażony. Dziwne; w Paryżu nie zastanawia się nad postępowaniem przyjaciółki, wiedząc, że jest wynikiem depresji. Tu, w Brunoy, traci spokój, jakby szkodziło mu powietrze uzdrowiska. Jedzie rowerem, od czasu do czasu mijają go luksusowe auta arystokracji. Ignoruje wesołe okrzyki dziewcząt, silny wiatr i nierówne bicie serca. Jest zmęczony, gdy więc zatrzymuje się przed domem, odstawia rower i próbuje wyrównać oddech. Na chwilę siada nawet na progu, wiedząc, że nie ma się do czego spieszyć. Maria nie przyjmie go z otwartymi ramionami. André czuje, że zalewa go fala złości, dlatego wstaje z postanowieniem załatwienia sprawy, z którą przyjechał, i opuszczenia Brunoy najszybciej, jak się da.

Miał rację. Maria wita go oziębło. Jej powaga wydaje mu się udawana, zaciśnięcie warg – sztuczne, a jednak, nie wiedząc który raz w życiu, zauważa, jak jest piękna. Gniew mija mu powoli, kiedy w półmroku zacierają się ku salonowi w głębi domu. Oto znów ma ją przy sobie, czuje jej zapach... Znają się od lat, wiedzą, czego się po sobie spodziewać.

– Gorączka Irenki nie spada – informuje André.

Maria odbiera to jako oskarżenie pod swoim adresem, a przecież to normalne, że dzieci chorują. Muszą przejść choroby wieku dziecięcego.

– Wezwaliście lekarza? – pyta zniecierpliwiona, nie zastanawiając się, jak to zabrzmie.

Kto się mieści w liczbie mnogiej słowa „wezwaliście”? Bo nie ona przecież, myśli z gniewem André. Odesłała dzieci z opiekunką do nowego mieszkania na Wyspie Świętego Ludwika, ponieważ przeszkadzają w przeżywaniu tragicznej miłości.

– Oczywiście, że był u niej lekarz – odpowiada chłodno.

– Co powiedział?

Kim jest dla niej, że śmie mu zadawać podobne pytania? Kim dla niego są jej córki? André ma rację, myśląc, że przyjaciółka go wykorzystuje. Chciałby jej to rzucić w twarz, lecz jest całkiem bezradny. Boi się, że Maria każe mu iść precz, a nie wyobraża sobie życia bez niej.

Kobieta siada w fotelu. Ma na sobie ulubiony szlafrok, a przecież André jest obcym mężczyzną; powinna go przyjmować w sukni. Siedzi w negliżu, bo jak to inaczej nazwać, odmawiając mu prawa do poufałości. Do Debierne'a dociera, że to

śmieszne.

Dochodzą ich głosy szczekających psów, gdzieś ryczy krowa.

– Lekarz zlecił kolejne badania – mówi Debierne. – Które też niczego nie wykażą – kończy ironicznie.

– André, jeżeli masz tu przyjeżdżać tylko po to, żeby mnie poinformować, że nic nie wiesz... – oburza się Maria, lecz Debierne jej przerywa.

– Przypomnę ci, jeśli pozwolisz, Marie, że nie mam obowiązku wzywać lekarzy do twoich córek. Ani nadzorować badań w twoim laboratorium.

Zapada cisza. Maria pąsowieje. Chowa twarz w dłoniach. Słysząc, że płacze. André traci cierpliwość. Mówienie do niej jest mówieniem w próżnię. Oszalała. Targają nim zazdrość, gniew i współczucie jednocześnie. Nie chce na nią patrzeć. Wzdycha i podchodzi do okna.

– Boże – szepce Maria. – Masz rację, masz zupełną rację – powtarza przepraszającym tonem. – To dlatego, że się z nikim nie widuję. Dni mi się zlewają... – Szlocha cicho.

Debierne nie może znieść jej łez. Zrobiłby wszystko, byle tylko przestała płakać. Nie ma pojęcia, jak wyrwać ją z tego błędnego koła.

– Niepotrzebnie się uniosłem – mówi.

Zauważa dzbanek z wodą. Napełnia szklankę i podaje Marii. Kobieta pije łapczywie. Czasem Debierne'owi się wydaje, że Maria ożywa tylko podczas jego wizyt.

– Powinnaś wrócić do pracy.

– Wiesz, że źle się czuję – odpowiada z pretensją w głosie i zaczyna chodzić po salonie.

Jest żałosna i zdaje sobie z tego sprawę. Na tym polega jej choroba.

– To się będzie pogłębiało – rzuca André.

Maria gwałtownie unosi głowę. Wprawdzie jest bezsilna wobec losu, wie jednak, że nad przyjacielem ma władzę absolutną. Nie potrzebuje jej, ale jest świadoma, że potrafi nim sterować, i to sprawia, że za każdym razem, gdy się spotykają, demonstruje, co z nim może zrobić, jeśli będzie ją zmuszał do zachowań, których sobie nie życzy. Może go oddalić. Niczym królowa. Oddalić z dworu.

– André, wrócę, kiedy przyjdzie pora – oświadcza. – Pozwól mi kierować własnym życiem.

Słyszał tę bzdurę tyle razy, że już go mdli. Kierować własnym życiem? Ona nie ma własnego życia, tak wygląda prawda!

– Niszczysz swoje życie. Jeśli je w ogóle prowadzisz.

– To jest tylko twoje zdanie – mówi Maria z godnością.

Mężczyzna przypomina sobie, że przyjechał do Brunoy w określonej sprawie, nie na pogaduchy z przyjaciółką.

– Wiesz doskonale, że Irenka tęskni za tobą – zaczyna obojętnym tonem, wiedząc, że to, co chce powiedzieć, zaboli Marię. – Nic jej nie jest; żaden lekarz nie pomoże dziecku, któremu po prostu brakuje matki. Nigdy nie masz dla niej czasu. Tęskni za tobą. Codziennie mnie pyta, co robisz i kiedy przyjedziesz, czy mówiłaś o niej, co kazałaś jej przekazać. Nie jest małym dzieckiem; czyta gazety i rozumie więcej, niż ci się wydaje.

Debierne widzi, że Maria zastyga w bezruchu.

– Zajmij się nią, póki nie jest za późno – rzuca ostro, chcąc wstrząsnąć przyjaciółką. Wie, że tylko miłość do dzieci jest w stanie wyrwać ją z letargu. – Masz prawo niszczyć siebie, ale zlituj się nad Ireną.

– Jestem z nią w stałym kontakcie! – Maria się oburza.

Rozmowy z nią to walenie głową w mur. Żyje we własnym świecie. Jest jak pacynka – podskakuje, kiedy Langevin bierze ją w ręce, leży w kącie jak szmatka, gdy ukochany wychodzi.

– Masz na myśli te żałosne listy, które do niej piszesz? – szydzi André. – Rozwiązujesz z nią równania, nie rozmawiasz – stwierdza z naciskiem. – Dziecko nie rozumie, że przeżywasz wzloty i upadki. Myśli, że zawiniło, i cierpi. Zastanów się, dlaczego żaden lekarz nie stwierdza u Ireny choroby, a mimo to od miesięcy trawi ją gorączka.

– Chyba nie winisz mnie za jej chorobę?! – Maria podnosi głos. Uważa, że Debierne posuwa się za daleko. Obraża ją. Powinna coś z tym zrobić.

– Owszem, Marie, jesteś temu winna. Tworzysz wokół siebie atmosferę, w której dzieci się nie odnajdują. Spokój, cisza, kulturalne rozmowy. Dziewczynki są stłamszone, nie pozwalasz na spontaniczność.

Maria jest oszołomiona. Przede wszystkim gość jej przeszkadza. Ona czeka na Paula i nie życzy sobie, by mężczyźni się spotkali. Poza tym nie ma chęci słuchać bzdurnych oskarżeń, które André nie po raz pierwszy wysuwa pod jej adresem.

– O czym ty mówisz? – Parska śmiechem. Liczy na to, że Debierne poczuje się dotknięty i wyjedzie.

– O tym, że każdy czasem musi wrzasnąć, madame Curie! – wybucha nagle André. – Każdego czasem coś przerasta, Marie... chciałby zaprotestować... pokazać światu, że...

Staje przed nią i kładzie dłonie na jej ramionach, nie zważając na to, że przyjaciółka odchyła się, chcąc uniknąć jakiegokolwiek bliskości.

– Może tobie również by ulżyło, gdybyś potrafiła odetchnąć pełną piersią, wykrzyknąć Paulowi, co o nim myślisz, dać upust swojej wściekłości... dać...

– Zostaw mnie samą – nakazuje Maria tonem przełożonej, którą de facto wciąż jest.

André odsuwa się. Otwartą dłonią uderza w ścianę i przechodzi w drugi

koniec salonu.

– Cała ty – odzywa się z pogardą. – Nie stać cię nawet na: *Won stąd, nie wracaj nigdy więcej.*

– Won stąd! Nie wracaj nigdy więcej!

Przez dobrą chwilę Debierno nie może uwierzyć, że Maria to powiedziała. Zaskoczyła go. Wreszcie jednak dociera do niego, że kazała mu się wynieść; dociera, gdyż widzi wyraz jej twarzy – zacięty, pełen nienawiści. Wie, że kobieta obwinia go o wszelkie niepowodzenia. Wyładowuje na nim gniew i frustrację za niewierność Paula i zawód miłosny, śmierć Piotra i brak szacunku części społeczeństwa. Debierno jest jej falochronem, ostatnią deską ratunku i zarazem największym wrogiem.

– Z przyjemnością, madame Curie – cedzi.

Maria odprowadza go wzrokiem. W jednym André się nie pomylił: kobieta ma chęć rozerwać go na kawałki za to głównie, że ją przejrzał i zna prawdę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Paryż, 12 czerwca 1906

Wszyscy wyjechali. Najpierw Jacques Curie, brat Piotra. Potem Helena Szalayowa i Józek, rodzeństwo Marii. Od rana w domu słycać było tylko śmiech niczego nieświadomej Ewuni.

Bronka przeszła się po ogrodzie, podlała kwiaty na rabatach i przysiadła na ławce z ciężkim westchnieniem. Miała nadzieję, że skończyła z pogrzebami na wiele lat. Czula teraz, że powinna zrobić wszystko, by nie myśleć, nie analizować i nie porównywać. Trzy lata wcześniej pochowała synka. Praktyka lekarska oswoiła ją ze śmiercią, tak jej się przynajmniej zdawało, ale okazało się, że nie ma sposobu, by znieczulić matkę na podobne doświadczenie.

Pani Dłuska skrzywiła się, uznając, że życie upływa stanowczo zbyt szybko, i natychmiast skierowała myśli na inne tory, by się nie rozplakać. Żal jej było Mani. Z jednej strony wiedziała, że nie da się jej pocieszyć, że nikt i nic nie powetuje straty, jaką poniosła. Chociaż z drugiej strony... Dłuscy od pewnego czasu przyglądali się Piotrowi z coraz większym niepokojem.

Drgnęła, słysząc szelest. Ścieżką szedł w jej stronę Eugène Curie.

– Ciepło? – zagadnął.

Nie miała mu za złe, że pyta o rzecz oczywistą. Tak, było ciepło. Dlatego miał na sobie spodnie i białą rozpiętą pod szyją koszulę, swój ulubiony strój.

– Musi pani wyjeżdżać?

Usiadł obok i złożył obie dłonie na kolanach. Utkwił w Bronce intensywne spojrzenie wyblakłych oczu, żalując, że ta szczerą, prostolinijną, logicznie myślącą kobietą nie jest jego synową. O ileż łatwiej byłoby mu poruszyć pewne kwestie.

– Muszę, niestety. Mąż nie poradzi sobie ze wszystkim sam. Czas wracać do Zakopanego.

– Mój syn był zachwycony polskimi górami.

– Zapraszam, mógłby nas pan odwiedzić.

Eugène nie uznawał sentymentów. Rozczulanie się nad sobą uważał za żenujące, dlatego czuł się fatalnie, gdyż od rana chciało mu się płakać. Rozmowa, którą miał przeprowadzić z synową, wydawała mu się nie do przejścia. Drapało go w gardle, pokasywał nerwowo, nie mógł znaleźć sobie miejsca.

– Podobno całkiem nieźle pisał po polsku – powiedział, byle coś powiedzieć.

Bronka zerknęła na korony drzew.

– Tak, Mania wspominała, że Piotr korespondował z nią po polsku.

Starszy pan uśmiechnął się z wdzięcznością. Dłuska odnosiła wrażenie, że mężczyzna kurczy się z roku na rok. To zły znak. Wiedziała z doświadczenia, że

twarze wielu ludzi tuż przed śmiercią zapadały się.

– Pani wie, że dla niego to nie było łatwe – rzekł, kiwając głową.

– Wiem.

– Więc pani jednak jedzie?

– Jadę. Jutro w południe wyjeżdżam do Paryża.

Przyglądał się bujnym posiwiałym włosom Bronisławy i jej twarzy. Wciąż była piękna. Tusza przydawała jej dostojęstwa.

– Chciałbym się poradzić – rzucił wreszcie, zapatrzony w czerwcowe niebo.

– Słucham. Jeśli tylko będę umiała pomóc...

– Tak. Po śmierci żony inaczej sobie to wszystko wyobrażałem – stwierdził. Jego zaczerwienione oczy były pełne łez. – Zamieszkałem z Piotrem – ciągnął, jakby opowiadał dziecku bajkę. – Kupił dom, żebyśmy się wszyscy pomieścili. W zasadzie przejąłem opiekę nad dziewczynkami. Wie pani, jacy oni byli zapracowani.

– Maria wychwalała pana pod niebiosa – przyznała Bronisława.

– Właśnie – westchnął – wychwalała... wtedy... co nie znaczy wcale, że i teraz... jak by to powiedzieć...

Bronka nie wiedziała, do czego mężczyzna zmierza.

– Teraz, gdy Piotr odszedł... straciłem chyba legitymację do mieszkania w jego domu, czy nie tak?

– Naprawdę nie wiem, co powiedzieć.

Myślał o sprzedaniu nieruchomości? Miał w niej swój udział? – zastanawiała się.

– I może powinienem przenieść się do Jacques'a? W końcu to mój syn.

– To zależy od pana.

– Wcale nie, pani Broniu, wcale nie ode mnie – zaprzeczył gwałtownie przenikliwym szeptem. – O tym chciałem porozmawiać. Tu jest moje miejsce.

– Musi pan rozmawiać z Marią.

– Oczywiście. Z Marią. Przyszedłem tylko spytać, jak się pani zdaje... czy synowa mi pozwoli... zostać tutaj... z dziećmi.

– Ojciec chciałby z nami mieszkać?

Bronka i Eugène nie zauważyli nadejścia Marii. Stała w cieniu jabłoni niczym zjawa – blada, w czarnej workowatej sukni.

– Pragnąłbym tu zostać... tak – przyznał zmieszany. – Wiem naturalnie, że jeżeli...

– To jest również ojca dom – przerwała Maria chłodno. – Proszę tu mieszkać tak długo, jak długo ojciec zechce.

– Mogę?

Najwyraźniej zdenerwowanie powodowało, że miał problem

ze zrozumieniem, co się do niego mówi. Maria nie odpowiedziała. Stała niczym posąg; jej obojętność przerażała.

Bronka wiedziała, że to, iż śmierć szwagra wstrząsnęła światem nauki, nie ulżyło Marii w cierpieniu, przeciwnie, tłumy ludzi na pogrzebie napęły ją niechęcią. Przyspieszyła datę pochówku, by uniknąć oficjalnej ceremonii. Nie życzyła sobie kondolencji. Mimo to na cmentarzu utworzył się potężny kondukt pogrzebowy, a dziennikarze obserwowali przebieg uroczystości, skryci za sąsiednimi grobami. Z Anglii przybył lord Kelvin... sława w środowisku naukowym.

Rząd francuski zaproponował Marii pensję. Odmówiła, twierdząc, że jest zbyt młoda, żeby korzystać ze wsparcia. Władze Sorbony, chętne do pozostawienia wdowy w gronie pracowników, zastanawiały się nad stanowiskiem, jakie mogłyby jej zaproponować. Była zbyt utytułowana, żeby pracować pod czyimś kierownictwem. To Bronka, Jacques Curie i przyjaciel Piotra, Georges Gouy, rzucili propozycję, by, zrywając z wielowiekową tradycją, mianować Marię profesorem Sorbony, skoro tylko ona jest w stanie kontynuować badania nieżyjącego męża. Wsparci przez wybitnych uczonych, dopięli swego. Rada wydziału zgodziła się utrzymać katedrę Piotra i powierzyć ją Marii, która mimo wahań przyjęła propozycję.

Szept Marii wyrwał Bronisławę z zamyślenia. Ruszyła za siostrą ku domowi. Maria skierowała się do sypialni, zaczekała, aż Bronka wejdzie do środka, i zamknęła drzwi na klucz.

Już od progu uderzyło panią Dłuską gęste powietrze. Rozejrzała się z niepokojem. Sytuacja była nienormalna. Jak tylko sięgała pamięcią, siostra nie zamykała się z nią przed resztą rodziny.

– Dlaczego tu jest tak gorąco? – zapytała. – Boże najśłodszy, czemu w taki upał rozpałałaś w kominku?

Siostra wyjęła spod łóżka gruby pakunek starannie owinięty w prześcieradło. Ukłękła, położyła go przed sobą i zaczęła rozwijać. Wewnątrz znajdowało się ubranie Piotra – uwalane błotem i zabrudzone krwią – to, które miał na sobie w dniu wypadku. Bronka poczuła mdłości. Nie przypuszczała, że Maria przechowywała je w upale przez dwa miesiące. Pokój wypełnił słodkawy odór. Lekarka знаła tę woń aż za dobrze.

Maria, z zaciśniętymi ustami, rozdygotana i z oczyma pełnymi łez, chwyciła nożyce i zaczęła ciąć ubranie. Nacięte szarpała na strzępy. Kawałek po kawałku rzucała w ogień przerażającą pamiątkę po mężu. Nagle skuliła się nad marynarką Piotra i zaczęła ją całować, płacząc histerycznie. Przez moment Bronka patrzyła jak skamieniała, zobaczywszy jednak, czym pokryta jest marynarka, wyszarpnęła ją z rąk siostry. Odebrała jej nożyce. Sama zaczęła ciąć i drzeć ubranie, po czym wrzucać je w ogień, jak w transie, dusząc się płaczem i powstrzymując mdłości.

Maria klęczała w bezruchu, pozwalając siostrze na spalenie wszystkiego, łącznie z prześcieradłem. Obie ociekały potem. Sypialnia przypominała łaźnię.

– To teraz powiedz, jak mam żyć – rzuciła nieswoim głosem, gdy z ubrania Piotra nie został nawet strzęp. Jej oczy były puste. – Podtrzymałam mu głowę, kiedy go przenoszono do trumny – poinformowała rzeczowo. – Położyłam przy nim barwinki z ogrodu i jedną z moich fotografii.

– Dobrze zrobiłaś – wydusiła Bronisława.

– Piotr nie żyje. *Nie żyje, Broniu? Nie żyje zupełnie?* – Maria zanosła się tak straszliwym płaczem, że siostra miała wrażenie, iż ze łzami wypłyną jej wnętrzności. To nie był płacz, lecz wycie zranionego zwierzęcia. – Wszystko – powtarzała – wszystko... wszystko... Jak mam teraz żyć?

Dłuska siedziała oparta o portal kominka, nie czując gorąca, które parzyło jej ramię, bezradna i przerażona skalą rozpaczki spokojnej dotąd siostry. Bała się, że Maria traci zmysły. Po chwili w pośpiechu opuściła sypialnię i wróciła po kilku minutach z silnym lekiem uspokajającym. Podała go siostrze, kazała połknąć, objęła ją i kołysała w ramionach. Kwadrans później powieki zaczęły Marii ciążyć. Bronka ułożyła ją na łóżku i cierpliwie poczekała, aż siostra zaśnie. Machinalnie sięgnęła po cienki zeszyt, który leżał na szafce. Przypominał zeszyty, w których Maria prowadziła buchalterię.

Piotrze, wstałam po nocy dość dobrze przespanej, stosunkowo spokojnej – zaczęła czytać zapiski. – To było zaledwie kwadrans temu – a teraz oto znowu chciałabym wyc jak dzikie zwierzę.

Bronka oderwała wzrok od tekstu i przez chwilę walczyła ze sobą. Naturalnie nie miała wątpliwości, że nie powinna przeglądać prywatnych notatek Marii, lecz musiała wiedzieć, w jakim stanie jest siostra i jak z nią postępować.

Piotrze. Piotrusiu. Chciałabym ci powiedzieć, że zakwitł złoty deszcz, a glicynie, glóg i kosańce zaczynają kwitnąć. Cieszyłbyś się z tego.

Chcę ci powiedzieć także, że dostałam nominację na twoją katedrę i że się znaleźli głupcy, którzy mi tego wieszowali.

Chcę ci powiedzieć, że już nie kocham ani słońca, ani kwiatów, ich widok sprawia mi ból, czuję się lepiej, kiedy jest pochmurnie, jak w dzień twojej śmierci, i – jeśli nie nienawidzę pięknej pogody – to tylko dlatego, że dzieciom jest ona potrzebna.¹

Łzy ciekły Bronisławie po twarzy, wolno płynęły po szyi za dekolt. Siedziała jak zahipnotyzowana. Niczego nie pragnęła bardziej, niż pomóc Marii, i nie miała pojęcia, jak ją wyrwać z otchłani rozpaczki. Nie знаła słów, którymi można by opisać jej własny ból po stracie dziecka. Nie było też nadziei, że ten ból przeminie. Wiedziała, że cierpienie nie mija. Staje się inne, łatwiejsze do zniesienia, pozwala żyć, śmiać się, cieszyć z sukcesów, a mimo to w najmniej spodziewanej chwili wypęła gdzieś z dna podświadomości i przejmuje władzę nad człowiekiem.

Dlatego milczała. Mogła jedynie towarzyszyć Marii, nie mogła jej uleczyć.

1 Fragment „dziennika żałobnego” Marii Skłodowskiej-Curie za: Ewa Curie, *Maria Curie*, z fr. przeł. Hanna Szyllerowa, Warszawa 1967.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Brunoy, 6 września 1912

Maria budzi się rano tuż po dziesiątej. To jeden z tych dni, kiedy z chwilą otwarcia oczu wie, że głowa jest za ciężka i nie ma szans na przemyślenie wszystkich zaległych spraw. To oczywiście wymówka; naprawdę wcale nie ma chęci zastanawiać się nad jutrem. Przez chwilę waha się, czy nie pozostać w łóżku, które jest granicą między snem a prozą życia, wreszcie jednak decyduje się zwlec i pójść do kuchni. Czuje suchość w ustach.

Obojętnie wita pomoc domową, przyzwyczajoną do pełnych troski spojrzeń. Otwiera drzwi spiżarki, wyjmuje sok, nalewa trochę do szklanki, uzupełnia wodą i wypija. Porusza się jak nienaoliwiony automat.

W ostrym słońcu roślinność za oknem wygląda zachwycająco. Maria przygotowuje drugą szklankę wody z sokiem, po czym idzie z nią ku oszklonym drzwiom do ogrodu. Ma ochotę wyjść na zewnątrz, ale natychmiast stwierdza, że to nie ma sensu.

Zastanawia się, czy Piotr u jej boku był szczęśliwy. W listach zapewniał ją o swojej miłości, nigdy nie wątpiła, że jest nią zauroczony, ale z chwilą, gdy umarł, jej pewność znikła i zaczęło się powolne mnożenie argumentów przemawiających za tym, że unieszczęśliwiła męża złym traktowaniem. Najgorsze jednak, że to był wynik bezmyślności i egoizmu. Mieli przecież jeszcze tyle czasu przed sobą, z niczym nie trzeba było się spieszyć. Pozwalała sobie na ironię, uszczypliwości, złośliwe komentarze i niekończące się pretensje. Jakie życie mu stworzyła?

Maria bierze głęboki oddech i na myśl o tym, że nie zdążyła powiedzieć mężowi, kim dla niej był, czuje rozdzierający ból. Okazuje się, że to największy błąd jej życia i nie można go już naprawić. Chętnie położyłaby się tu, gdzie stoi, i czekała na śmierć, obojętna na to, czy nadejdzie ona za parę sekund, czy za trzydzieści lat.

– Przyszedł list do pani – informuje gospościa. Podnosi jasną, wąską kopertę i przekłada o kilkanaście centymetrów.

Maria rozpoznaje okrągłe pismo Paula. Serce skacze jej do gardła. Zaczyna odgrywać komedię na własny użytek. Długo patrzy na ogród, sącząc napój, starannie myje szklankę. Wie, że dopóki nie otworzy listu, dopóty będzie szczęśliwa, i może dlatego podświadomie rozciąga czas dzielący ją od lektury.

Okazuje się, że Paul odwiedzi ją we środę. To dziś? Maria w popłochu przypomina sobie, w jakich godzinach kursuje kolejka podmiejska. Prosi o przygotowanie wody na kąpiel, sama zaś zamyka się w sypialni i kilkakrotnie odczytuje krótką informację od Paula. Co się stało? Przede wszystkim Paul nie

umie bez niej żyć. Maria ma nadzieję, że chodzi o tęsknotę za nią; nie, nie nadzieję – ma pewność. Nie mógł wrócić do żony. Odkąd wyrwał się spod wpływu tej wiedzy, nad czym Maria ciężko pracowała, poznał smak wolności. Przekonał się, czym jest szacunek kobiety. Maria z naiwnością dziecka plecie wianek z marzeń, mocno wiążąc każdą myśl z kolejną; drżącą i niepewną. Jako całość nie są niczym ładnym, ale chaos w jej głowie nie pozwala tego zauważyć.

Służąca wślizguje się do sypialni, by powiedzieć, że kąpiel gotowa, po czym znika. Madame Curie wchodzi do łazienki lekkim, pewnym krokiem. Na pobielonych ścianach igrają refleksy światła. W łazience jest miły półcień; małe okno, przez które wpadają promienie słoneczne i napływa cudowna woń bergonii, jest do połowy zasłonięte okiennicą. Na stolku leży kostka mydła lawendowego i opakowanie proszku do mycia głowy. Maria zanurza się w wannie i przez chwilę rozkoszuje ciepłem wody. Jest szczęśliwa. Jakby nagle odzyskała władzę nad zmysłami. Słyszy, czuje dotyk, zapach, radość. Do porcelanowej miseczki wlewa odrobinę wody i rozpuszcza w niej połowę sproszkowanego szamponu. Myje włosy, uśmiechając się do siebie. Od tygodni nie oddychała tak lekko.

Jest wczesna jesień – słoneczna i zachwycająca. Maria suszy włosy w ogrodzie, gdzie temperatura dochodzi do trzydziestu stopni. Czesze je wolnymi, spokojnymi ruchami. Wciąż jest w szlafroku, ale już planuje, że włoży suknię z białymi eleganc-kimi wstawkami.

Radość wygania ją z domu. Chce się przejść. Wydaje dyspozycję, by na popołudnie przygotowano ulubioną potrawę Paula, i rusza do centrum Brunoy. Jest tyle do zrobienia, nabierało się zaległości. Analizuje słowa André, wszystko, co powiedział podczas ostatniej wizyty, i czuje wstyd. Obiecuje sobie, że go przeprosi, i wydaje jej się, że to będzie bardzo łatwe – ot, szczerzy uśmiech i propozycja wspólnego wypadu do którejs z podparyskich wiosek powinny wystarczyć. Musi też napisać do córek. Nie, musi do nich jechać, nie pisać. Na pewno za nią tęsknią. Wypada zająć się instytutem radowym i odciążyć Debierne'a; w końcu to utalentowany fizyk, a traci tyle czasu na papierkową robotę. Warto zadbać o kondycję po operacji, bo wprowadzie Maria już wydobrzała, ale nie uprawia gimnastyki, choć powinna. A jeszcze zaległości w lekturze... od literatury poczynając, na artykułach naukowych kończąc.

Pół godziny później Maria zawraca i szybko zmierza ku domowi. Chce być na miejscu, gdy przyjedzie Paul. Każda minuta jego obecności jest bezcenna.

Poznaje Langevina po letniej lnianej marynarce i kapeluszu. Serce jej łomocze.

– Paul, dlaczego stoisz na zewnątrz? – mówi, miękko wsuwając się w jego ramiona. Pragnie mieć go przy sobie, poczuć jego silne dłonie.

– Powiedziano mi, że jesteś na spacerze. Pięknie wyglądasz. Jak się czujesz?

Euforia Marii opada. Rodzą się wątpliwości. Niepokój sprawia, że trudniej

oddychać. Nie tęsknił za nią? Tylko tyle ma do powiedzenia?

– Cieszę się, że jesteś – mówi kobieta, nadstawiając usta do pocałunku.

Pieszczota wypada blado. Paul nie pragnie bliskości. Odsuwa Marię na odległość wyciągniętej ręki i przygląda jej się z uśmiechem.

– Wybacz, że ostatnio nie przyjeżdżałem. Chodzi mi po głowie... chodziło mi jeszcze za życia Piotra... – płacze się zdenerwowany – odkąd powstała teoria piezoelektryczna... żeby posunąć się o krok dalej i wykorzystać piezoelektryki do budowy urządzenia namierzającego cel.

Maria nie spuszcza z niego wzroku. Paul wygląda tak nieprzyzwoicie atrakcyjnie, że wydaje się niemożliwe, by mógł ją kochać.

Prowadzi go do domu. Drogę do salonu wydeptała przez minione tygodnie tak, że gdyby wiodła przez trawnik, nie zostałyby na niej ani źdźbło trawy. Zamyka drzwi pokoju, dając tym samym znak, że nie życzy sobie, by ktoś im przeszkadzał. Niczego nie potrzebują. Maria chłonie Paula niczym środki pobudzające, pijana ze szczęścia, mimo podskórnego niezadowolenia z jego zachowania. Inaczej wyobrażała sobie powitanie. Pocałunki kochanka miały nie dopuszczać jej do głosu, dłonie – nie odrywać się od jej ciała.

– Przyjechałeś, żeby porozmawiać o badaniach?

– Żeby cię zobaczyć. Kiedy wracasz do Paryża? – Głos Paula jest oschły.

Maria zaczyna się niecierpliwic. Jest rozczarowana, a rozczarowana ma zwyczaj gwałtownie dawać temu wyraz. Jej wargi wydymają się, spojrzenie obojętnie, ciało usztywnia.

– Co u ciebie? – pyta.

– Jak to u mnie – odpowiada wesoło Langevin.

Troszczy się o bliskich, lubi sprawiać im przyjemność, dlatego żadna z byłych sympatii nie zerwała z nim stosunków. Jest miły. Lubi u siebie tę cechę.

– Nic się przecież diametralnie nie zmieniło – dopowiada, siadając na kanapie przy Marii. – Staram się codziennie odwiedzać dzieci, a to, wiadomo, zajmuje czas. Jeanne twierdzi, że gdy nie przychodzę, są nieznośne.

Maria myśli, że to nietakt opowiadać jej o Jeanne, lecz Paul najwyraźniej nie widzi w tym nic niestosownego. Dziwne, jak świat reaguje na zmiany jej nastroju. Słońce chowa się za drzewa otaczające dom.

– Co będzie z nami? – pyta kobieta.

Nie da się zadać pytania z większym wzruszeniem i nadzieją, Paul udaje jednak obojętność.

– W jakim sensie?

– Co zrobimy z naszym życiem, Paul? – Maria przestaje zwracać uwagę na niuanse w głosie kochanka. Jest przejęta. Kładzie mu dłoń na ramieniu. – Nie mogę wciąż się ukrywać.

Czuje, że nadeszła odpowiednia chwila, żeby zmusić Paula do podjęcia

ostatecznej decyzji. Wszyscy wiedzą, że jest słaby. Nie potrafi odmawiać. W małżeństwie mu się nie układa. Maria przywiera do niego stęskniona, z ulgą zauważając, że ukochany przestaje być powściągliwy. Kochają się pospiesznie i niezdarnie na brzegu kanapy – bez namiętnych pocałunków i subtelnych pieszczot – trochę jakby Paul brał płatną dziewczkę w bramie na przedmieściach Paryża. Nic dziwnego, że zbliżenie kończy się za szybko, nie dając żadnemu z nich satysfakcji.

– Jeanne obiecała, że wycofa z pozwu twoje nazwisko – mówi Paul, wstając.

Maria niecierpliwie kiwa głową. Przyjmuje tę informację z zadowoleniem, niemniej jednak czeka na coś innego.

– I co dalej? – pyta, ubierając się pospiesznie.

Mężczyzna czuje się jak odpytywany uczeń, ale nie klasowy prymus, tylko nieuk i leń. Wciąga spodnie, zapina koszulę, której nawet nie zdjął.

– Jakoś się ułoży – odpowiada.

Zawsze się układa. Paul jest optymistą. Życie go tego nauczyło. Chociaż... Ilekroć myśli o tym, że gazety szaleją, żona odchodzi od zmysłów, koledzy naukowcy krzywo patrzą, a znajomi uśmiechają się pod wąsem, dochodzi do wniosku, że tym razem chyba się przeliczył. Wieść o jego romansie dotarła nawet do Amerykanów. Przestał być dzieckiem szczęścia.

– Zostawisz ją? – naciska Maria.

Był taki moment, gdy Paul uważał, że powinien się z nią związać. Trwał jednak za krótko, by przedsięwziąć jakieś kroki. Teraz mężczyzna jest pewien, że przypadek uratował go przed złą decyzją. Kocha Marię, nie ma co do tego wątpliwości, uważa jednak, że jest trudną partnerką. Jeanne, choć gwałtowna, jest ufna. Maria ma przenikliwy umysł i jest podejrzliwa z natury.

– Marie... znalazłem się w kłopotliwej sytuacji. – Bywało już, że musiał się uciekać do podobnych stwierdzeń. Zawsze wtedy czuł złość. Nie rozumiał, dlaczego każdy związek tak obiecująco się zaczyna i tak beznadziejnie kończy. – Nie mogę zostawić kobiety, która się zajmuje czwórka moich dzieci. Znasz Jeanne. Grozi samobójstwem.

– Przecież to kompletny absurd! – Maria jest wściekła, gdyż wytrącił jej z ręki argument, którego zamierzała użyć. Boli ją, że kochanek wierzy w skłonności samobójcze prostackiej żony, choć to ona jest na skraju wyczerpania nerwowego.

– Nie wiem, czy to absurd – kontruje Paul. – W każdym razie gdybym miał przejąć opiekę nad dziećmi, musiałbym zaprzestać badań naukowych. Nie zarabiam tyle, żeby opłacić całodobową niańkę. Naprawdę ślicznie dziś wyglądasz. Uwielbiam twój uśmiech... jesteś taka delikatna.

Do Marii dociera, że ta wizyta nie jest bezinteresowna. Paul jest rozkojarzony, błędzi wzrokiem po salonie, z roztargnieniem odpowiada na pytania i cały czas trzyma w dłoniach piękny zegarek z łańcuszkiem – bawi się nim,

popatrując na godzinę.

– Pozdrowienia od Perrinów – przypomina sobie nagle i ożywia się, znalazłszy temat do rozmowy. – Powiedz mi, co u André. Mam wrażenie, że ostatnio mnie unika.

– Nie bywa tu – ucina Maria.

– Dlaczego? Pokłóciliście się?

– Ma swoje sprawy.

– André? – Langevin się śmieje. – Swoje sprawy? – Jest w tym śmiechu coś obrzydliwego; pobrzmiwa w nim wrogość w stosunku do Debierne’a. – Wszyscy wiedzą, że ty jesteś jego sprawą – dorzuca. Nieuważnie całuje włosy Marii, wstaje, błyskawicznym ruchem wygładza spodnie i podchodzi do okna. Dusi się w tej małej przestrzeni sam na sam z kochanką. – Idealnie do siebie pasujecie... temperamentem, zainteresowaniami. To poważny i odpowiedzialny mężczyzna.

Zachwalanie kolegi, który jest rywalem, brzmi cynicznie. Maria nie reaguje. Nie wie, co mogłaby powiedzieć. Jest jej przykro.

Paul nerwowo rozciera ręce. Musi jeszcze o czymś z Marią porozmawiać, a boi się, że ją urazi. Ceni sobie jej przyjaźń, wie, że to wrażliwa, subtelna kobieta. Mogłaby go źle zrozumieć.

– Pożyczyłabyś mi trochę pieniędzy? – wyrzuca z siebie wreszcie i czuje ulgę, że ma to za sobą. – Jeanne robi problemy. Adwokat wystawił rachunek, do tego alimenty, wynajem kosz...

– Dlatego przyjechałeś?

Jej ostry ton przeraża Paula. Zdaje sobie sprawę, że źle przygotował grunt do tej rozmowy. Jest na siebie wściekły.

– Nie to nie, Marie – sam przechodzi do ataku. – Nie pożyczaj, jeśli nie chcesz, ale nie rób ze mnie... – Prostuje się z godnością, dwoma palcami podkreślając wąsa; bezskutecznie szuka najlepszego słowa. – Muszę wiedzieć, czy mogę na ciebie liczyć.

– Możesz – mówi Maria.

Jej oczy tracą blask, twarz przypomina pośmiertną maskę. Paul pogardza sobą, niemniej jednak wie, że nie pozostaje mu nic innego, jak udawać, że to, co robi, jest normalne, przyzwoite i powszechnie stosowane.

– Napiszę, ile mi konkretnie potrzeba.

Oddycha z ulgą. Spieszy się teraz w obawie, że kochanka zmieni zdanie. Nie jest pewien, czy zgodziła się, bo nie dotarło do niej, co się dzieje, czy naprawdę chce mu pomóc. Ostatnimi czasy ratował budżet jej pieniędzmi. Przestali być parą, o czym wie tylko Paul, a to zmienia ich wzajemne relacje, w tym finansowe.

– Trochę mi się humor polepszył – rzuca, nie kryjąc radości – kiedy zobaczyłem, że masz się doskonale.

Przecina salon trzema długimi krokami i zatrzymuje przed Marią, która

mimo woli wstaje. Jej puszysta fryzura drży, co znaczy przecież, że to ona drży. Paul znów czuje irytację.

– Zostałbym dłużej, niestety, połączenie z Brunoy jest beznadziejne. Boję się spóźnić na pociąg. Chodź, uściśnij mnie, Marie – zwraca się do niej, jakby była dzieckiem. – Zrobiłaś się szczuplutka... w ogóle cię nie ma.

Maria w odruchu desperacji zaczyna go całować w usta, wierząc, że obudzi w nim przynajmniej czułość. Paul nie protestuje, ale i nie odwzajemnia pocałunku. Głaszcze ją uspokajająco po plecach.

– Smakujesz czekoladę – kwituje wesoło. – Trzymaj się, Maniu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Brunoy, 6 września 1912

Maria wolnym krokiem zmierza ku kamiennemu mostowi na rzece. Jest spokojny wieczór, słońce chowa się za horyzontem, ptaki ucichły i robi się chłodno.

Kobieta bezwiednie szarpie kolejne guziki u sukni. Przypomina sobie dzień, gdy pracowała do późna. Była wiosna, bo przez drzwi laboratorium wpadał zapach czeremchy. Słyszała kiedyś, że kto zaśnie pod tym drzewem w porze kwitnienia, nigdy się już nie obudzi. Pracownicy jeden po drugim kończyli zajęcia, żegnali się i wychodzili. Wreszcie i ona zdecydowała się iść do domu. Zdziwiła się na widok Paula. Stał przy zlewie, wciąż w fartuchu. Nie wiedząc czemu, podeszła do niego i w zupełnie irracjonalnym odruchu położyła dłoń na jego piersi, a on się pochylił i zaczęli się całować. Potrzebowała tego... do szaleństwa. Jeszcze teraz czuła ciepło tamtych pocałunków. Paul Langevin, przyjaciel i współpracownik Piotra, podobny do niego – przystojny, tak samo ostrzyżony, wiecznie zamyślony.

Przyspiesza kroku, nie panując nad łzami. Płyną jej po policzkach. Przed laty spędziła wakacje w Kępie pod Warszawą u jednej z uczennic nieżyjącej już wówczas matki. Wraz z siostrą Heleną dokuczała bratu pani domu, przemilemu młodzieńcowi. Wkładały mu pokrzywy pod prześcieradło albo wstawiały miskę z zimną wodą do łóżka, a kiedyś, z pomocą ogrodnika, podwiesiły na wielkich hakach wszystkie meble w jego pokoju. Co się stało, że teraz jej to nie bawi? Nie rozpoznawała siebie w tamtej wesołej, psotnej dziewczynie. To już przeszłość, tylko przeszłość. Nic jej w życiu nie wyszło. Przypomina sobie buraczane pola w Szczukach, rzekę pełną ścieków z cukrowni. Ostatni obraz jej żalosego raję na Ziemi. Wyjeżdżała stamtąd, mając w sercu chorą wiarę w miłość Kazimierza. Panna Skłodowska, uboga szlachcianka marząca o bogatym paniczu; zenująca niczym bohaterka powieści Orzeszkowej *Nad Niemnem*.

André ma rację. Paul jej nie kocha, zresztą nawet ona wie, że jest kobieciarzem. Tylko idiotka mogła wierzyć w jego wierność. Maria beznamyślnie, jednym zdaniem, podsumowuje swoje położenie: ośmieszona przed całym światem. Kto by się spodziewał, że gazety na wszystkich kontynentach poświęcą jej tyle miejsca? Jej – Polce, która zatraciła duszę. Nie miała dokąd iść, gdzie prowadzić wykładów ani jak kontynuować kariery. André Debierne'a odtrąciła, dzieci zaniedbała, dla nikogo nie ma czasu. Zewsząd presja i krytyka. Do tego źle się czuje. Chwilami na nic nie ma siły, jest zniechęcona, wszystko ją męczy.

Kobieta siada na ławce i zastanawia się, czego pragnie. Nieważne, czy to realne; chce po prostu wiedzieć. Tak pracuje naukowiec. Najpierw plan. Potem

weryfikacja i badanie prawdopodobieństwa. Siedzi z pochyloną głową. Ma skulone ramiona, dłonie leżą na chłodnej desce siedziska, wzrok utkwiała w grubym żwirze pod stopami. Nie zależy jej na Paulu. Nie? Głośno powtarza myśl, dopóki nie pojmuje jej treści. W takim razie kogo chce? Lub czego? Jej oczy napędniają się łzami, kiedy uświadamia sobie, że nie pragnie już niczego. Wszystko jej zubożyło. To przerażające. Jak ma żyć, jeżeli zmierza donikąd? Piotr mówił kiedyś, że gdy jedno z nich umrze, drugie ma kontynuować badania naukowe, wychowywać córki, realizować wspólne marzenia. Maria to rozumie, nie wie jednak, jak ma to osiągnąć bez niego. Zabrał ze sobą wszystko – jej wiarę, ufność, talent. Kobieta kuli się na ławce, nie zwracając uwagi na mijających ją przechodniów. Wspomina rozmowy z mężem. Nagle dociera do niej, jak bardzo go kochała i jak okrutnie zawiodła. Zamieniła jego miłość na pieszczoty tchórzliwego pantoflarza. Innego dnia załamałaby się. Tego wieczoru nie ma to znaczenia.

Rusza ku rzece. Myśli o tym, by rzucić się pod rozpędzony powóz. Tuż za mostem droga, która łączy Brunoy z Paryżem, skręca. Auta letników gnają tam z zawrotną prędkością, podobnie konne zaprzęgi. Nikt nie zważa na bezpieczeństwo, ponieważ kuracjusze rzadko spacerują tą drogą. Tłoczą się w centrum Brunoy. Przy muzyce i pod obstrzałem spojrzeń prezentują najnowsze kreacje, pozdrawiają znajomych, uśmiechają się do obcych. Krzesła przy stolikach kawiarnianych ogródków są zajęte, restauracje hotelowe pękają w szwach.

Maria idzie przed siebie. Zginie jak Piotr. Tak postanowiła. Słyszy zbliżający się powóz, przyspiesza więc kroku. Widzi pędzące konie, które szarpią wędzidła.

Kilka godzin przed śmiercią mąż zapytał ją, czy spotkają się w laboratorium. *Nie wiem*, powiedziała. Wiedziała, że tam pójdzie, mimo to skłamała. Chciała być niemiła. Czasem nienawidziła beztroski Piotra, jego wiecznie uśmiechniętej twarzy, tego, że nie dostrzega jej zmęczenia, niezgody na świat, jej pragnienia... Boże! Do Marii dociera nagle, że nikt i nic już jej nie uszczęśliwi. Los dał jej Piotra; po nim każdy będzie się wydawał zaledwie imitacją. To takie proste.

Kobieta uśmiecha się i odważnie kroczy ku swemu przeznaczeniu. Tak myśli. Nie boi się. Musi tylko przechytryć woźnicę. Jej wzrok napotyka czujne spojrzenie nieznajomego. Tak! Teraz!

Rozpaczliwy płacz dziecka wrywa Marię z transu. Powóz mija ją i mknie w stronę Paryża. Madame Curie jest zdezorientowana. Kilkuletni chłopiec stoi nad brzegiem rzeki, płacząc wniebogłosy. Kobieta zbiega po skarpie, chwyta go za rękę i ciągnie za sobą, nie mogąc się zdobyć na najmniejszy gest czułości. Dziecko ma mokre ubranie, trzęsie się z zimna, ale już nie rozpacza. Boi się nieznajomej o dziwnym spojrzeniu, przebranej w czarny strój wiedźmy.

– Gdzie są twoi rodzice? – pyta Maria ze złością.

– Zabierzesz mnie do mamy?

Chłopiec patrzy tak ufnie, że gniew Marii mija. Jego blond czupryna porusza

się zabawnie w rytm drobnych, pospiesznych kroków.

– Zabiorę cię do mamy, jeśli powiesz, gdzie jest – odpowiada madame Curie bez uśmiechu.

– Mieszkaś w Brunoy? – pyta dziecko.

Ledwie się upewniło, że nieznajoma się nim zajmie, odzyskało humor. Podskakuje, biegnąc za nią, co najwyraźniej pomaga mu się rozgrzać. Maria zauważa, że, na szczęście, kurtka i koszula chłopca są suche; wodą nasiąkły tylko spodnie.

– Chcę bitej śmietany – informuje malec, mocniej ściskając rękę swojej wybawicielki.

Kobieta rozgląda się, niepewna, gdzie ma iść. Wybiera centrum Brunoy. Gdzie, jak nie tam, szukać bliskich chłopca? Mrok gęstnieje z minuty na minutę. Maszerują dziarsko – malec, podbiegając co chwilę, Maria – irytując się znów do granic możliwości. Z naprzeciwka zbliżają się do nich zaaferowane, dobrze ubrane kobiety; sądząc po stroju, paryżanki. Młodsza wymachuje parasolką.

– Janie! Gdzieś ty się podziewał? – krzyczy przez łzy. – Myślałam, że mi serce pęknie. Jak tak można?

– Wpadł do rzeki – rzuca Maria bez zbędnego wstępu.

Puszcza rękę malca. Dziecko pędzi w ramiona rozdygotanej matki, bierze jej twarz w małe rączki, a ona obsypuje go pocałunkami.

– Poszedłeś nad rzekę? Boże Przenajświętszy, mogłeś się utopić! Nic ci nie jest?

Kobieta miota się pomiędzy chęcią dania chłopcu porządnego klapsa a euforią, że się znalazł. Poprawia welurowy kapelusz z pawim piórem i pająkami, przestępując z nogi na nogę. Jej strój jest nieskazitelny.

– Cały mokry! – stwierdza starsza z kobiet, kręcąc głową ze zgrozą.

Maria dostrzega jej przenikliwe spojrzenie. Czuje się nieswojo, przewidując nieprzyjemności.

– Wracajmy do hotelu – decyduje elegantka. – Bóg nam panią zesłał – rzuca w stronę uczonej.

– Przepraszam, że ośmielę się zapytać – zaczyna starsza pani, ruchem ręki powstrzymując towarzyszkę. Podchodzi do Marii, uśmiechając się uprzejmie. – Czy jest pani słynną madame Curie? Dostrzegam ogromne podobieństwo do zdjęć zamieszczanych w pismach.

Krew bucha Marii do głowy. Dobrze, że stoją w sztucznym świetle parkowej latarni i nie widać jej purpurowych policzków.

– Ja? Madame Curie? – prychnęła z odrazą. – To zabawne. Wybaczą panie... mam naprawdę pilną sprawę.

Odchodzi bez pożegnania, nie zważając na zmieszanie kobiet. Jest wzburzona i pełna żalu, że nie potrafi nawet tego – rozstać się z życiem bez

rozpraszania się i zwracania na siebie uwagi. Wszystko, czego się tknie, to pozory – niby-nauka, niby-kariera, niby-romans. Jest zmęczona, zwłaszcza psychicznie. Chce już tylko spać, zamknąć się w sypialni, nakryć kołdrą, schować pod nią w ubraniu i butach, ze szpilkami we włosach...

– Pan...?

Zderza się w drzwiach wynajmowanego domu z ostatnim człowiekiem, którego by się w tym miejscu spodziewała. Mężczyzna śmieje się, potrząsając zabawną nastroszoną fryzurą, czy raczej jej kompletnym zaprzeczeniem.

– Einstein – podpowiada grzecznie.

Maria wzrusza ramionami.

– Wiem, że Einstein, na Boga! Tylko jakbym zobaczyła ducha.

Idą w głąb mieszkania w kompletnych ciemnościach, a Marii się wydaje, że śni dziwny sen, bo przecież to nie może dziać się na jawie.

– Nie spodziewałam się tu pana – mówi, zapalając obie lampy.

Salon wypełnia się ciepłym światłem. Kobieta spogląda na gościa, z niedowierzaniem kręcąc głową.

– No więc ja również się tu siebie nie spodziewałem, ale echo niektórych słów wraca do nas po wielu miesiącach, więc... – Profesor bezceremonialnie cmoka Marię w oba policzki. – Zapraszała mnie pani do siebie.

Rozsiada się, zadowolony, że udało mu się zastać uczoną. Przygląda się ciemnej, ascetycznej, choć niebrzydkiej sukni madame Curie, dziwnemu wyrazowi jej twarzy i nagle dociera do niego, że Maria nie pamięta tamtej rozmowy.

– No tak – mruczy, zły na siebie – żartowała pani wtedy. Jestem durniem, bo potraktowałem pani zaproszenie poważnie. Przyjechałem z żoną i synami. Mam w Paryżu cykl wykładów. Nie zastaliśmy pani w paryskim domu. Powiedziano nam, gdzie pani jest, skorzystałem więc z uprzejmości znajomej niemieckiej arystokratki i oto jestem.

Profesor ma na nogach dziwaczne sandały. Ubrany jest w strój sportowy – niby czysty, a jednak niechlujny. Uśmiecha się ironicznie, unosząc brew; wyraźnie oczekuje na potwierdzenie, że się zbłądził.

Maria myśli, że nawet Pan Bóg nie byłby w stanie napisać równie kiczowatego i absurdalnego scenariusza, i dostaje ataku śmiechu. Albert nie rozumie powodu jej wesołości, ale patrzy na uczoną z przyjemnością. Jeszcze przed paroma minutami widział w jej twarzy jakiś tragiczny rys i poczuł się nieswojo. Myśli, że wesołość dodaje Marii urody; bez dwóch zdań.

– Śmiech to dobry znak, madame Curie.

– Ile czasu zostaną państwo w Paryżu? – pyta Maria, na próżno próbując się opanować.

– Póki nas pani nie wyrzuci. Takie było postanowienie. Może jednak ograniczymy pobyt do... tygodnia? Czy to nadal bezczelność?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Paryż, 9 września 1912

Mileva nie ma chęci na spacer po Paryżu. Jest zmienna niczym wiatr wiejący od Sekwany. Raz się rzuca w wir zmysłowych przyjemności, innym razem zamyka w sobie.

Maria nie próbuje nawet zgłębiać jej tajemnic. Pokazuje miasto Einsteinowi, a ten cieszy się bezwstydnie na widok każdej loretki, gryzетки czy midinetki. Głośno komentuje wygląd co urodziwszych kobiet, jakby były rasowymi klaczami, zwierza się madame Curie ze wszystkiego, co słyszał o paryskich kokotach i kurtyzanach, a Maria z niechęcią przyznaje w duchu, że niektórym ludziom pasują nawet świństwa. Nie czuje ani grama złości z powodu jego nieokrzesania. Cierpliwie słucha słusznych i cierpkich uwag na temat dzielnic biedy, bo Paryż dla tych, którym się nie powiodło, jest szarą śmierdzącą umieralnią. Ale tam się z Albertem nie zapuszcza. Przeważnie chodzą ramię w ramię – którymś z szerokich eleganckich bulwarów – od kafejki do kafejki lub wskakują do dorożki, żeby się przemieścić w odległy koniec miasta i zobaczyć pokaz iluzjonisty albo zaklinacza węży.

Albert upiera się, by usiedli przy stoliku w kawiarnianym ogródku. Wieje wiatr, jest dosyć chłodno, jemu jednak to nie przeszkadza. Wpatruje się w Marię. Kobieta ma dziecienny wyraz twarzy, mimo że swoje piętno odcisnęły na niej ciężka praca i cierpienie.

Profesor nie wie, co ma myśleć. Czasem wydaje mu się, że jest dla madame Curie ciężarem, innym razem, że zbawieniem. Kobieta mało mówi i unika jego wzroku. Einstein spogląda na jej drżące wargi.

– Może jednak by mi pani zaufała? – szepce.

Madame Curie raz po raz zapada w niepokojący letarg. Albert odnosi wrażenie, że przysypia w jego towarzystwie. Nie dbałby o to, gdyby miał pewność, że morzy ją sen, wydaje mu się jednak, iż kobieta zapada się w sobie. Ożywia się na moment, słysząc jego pytanie.

– Nie rozumiem pana – kłamie.

– Madame Curie – Einstein ze śmiechem pochyla się w jej stronę – to akurat cholernie marna wymówka jak na dwukrotną laureatkę Nobla.

Maria odpowiada uśmiechem. Dobrze się czuje w jego towarzystwie. Odpoczywa. Jak to możliwe, że Albert pojawia się za każdym razem, kiedy... jakby był... Kobieta chce dokończyć: „jakby był aniołem”, jednak zdaje sobie sprawę, że to śmieszne. Anioły nie istnieją. Człowiek myśli archetypami?

– Nie znam pana – spieszy z bardziej przekonującym wyjaśnieniem.

Nie otworzy przed nim serca. Nie otworzy go przed nikim. Znowu chce jej się płakać.

– Czy to nie idealna sytuacja? – kusi Albert.

Maria ma potrzebę wyrzucenia z siebie żalu, który zżera ją od lat, nauczono ją jednak milczenia. W głębi duszy sprzeciwia się wychowaniu, które zabrania jej wyrażać siebie. Kultura osobista i bezwzględny spokój. Właściwie czemu służy takie zakłamywanie? Jak ludzie mają się porozumieć, jeśli każdy reaguje identycznie? Biciem serca i milczeniem.

– Mam się doskonale – idzie w zaparte, przybierając dyżurny uśmiech przeznaczony na takie chwile, kiedy jest zażenowana i bezsilna.

– Dzisiaj tak – przyznaje Einstein. – Pochlebiam sobie, że przy mnie pani odpoczywa.

– Ale odrywam pana od pracy.

– Studenci nawet tego nie zauważą. – Albert lekceważąco wzrusza ramionami.

Paryż go zachwyca. To wielkie nowoczesne miasto; widać w nim ład, który Albert wysoko ceni. Zadziwiająco, że jego życie nie jest tego odzwierciedleniem. Zresztą ilekroć próbuje zwerbalizować, kim jest, przegrywa. Składa się z przeciwieństw. Widzi, że niektórzy starają się zrozumieć te sprzeczności, podczas gdy nie ma w tym nic do rozumienia. Jest, jaki jest; raz bywa geniuszem, innym razem żalonym egocentrycznym głupkiem. Chciałby objaśnić ludziom, jak wygląda świat. Fakt, że nie potrafi, doprowadza go na skraj obłędu. Rozumie Marię lepiej, niż jej się wydaje. Wie, że błądzi w poszukiwaniu właściwego partnera, podczas gdy nie istnieje partner jej miary. Zaprzedała się diabłu, jest egoistyczna, chorobliwie monotematyczna, ślepa na problemy codzienności. Idzie ciemnym tunelem; im dalej, tym ciemność jest gęstsza i bardziej przerażająca. Nieprawda, że na końcu badań widzi się dokładniej. Widzi się z większym zrozumieniem tę samą bezkresną ciemność. Maria szuka prawdy, a prawda jest tuż obok, w czystej urzekającej prostocie dnia codziennego. Cała reszta to wyłącznie gra. I mas-ka. Okrutna poza.

– Jest pani paryżanką – mówi i brzmi to w jego ustach niczym największy komplement. Maria wspiera głowę na złożonych rękach i posyła mu zachwycający uśmiech. – Ciekawe, co pani myśli o wieśniakach mego pokroju... i Milevy.

– Wychowałam się w Warszawie – odpowiada madame Curie. – To nie mniejsza prowincja niż Praga i Zurych.

Dziwi ją, że każde pytanie profesora traktuje z powagą. Ma także wrażenie, że odpowiada za nią ktoś, kogo nie zna, na pewno nie Maria Polka i patriotka przekonana o konieczności życia dla innych.

– Mówi się, że jest pani patriotką, a tu... proszę.

Odchyła się na krześle zaskoczona, opiera plecami o oparcie.

– Kto panu powiedział, że jestem patriotką? – pyta żartem.

Ludziom przykleja się etykiety, gdyż tak funkcjonuje świat, trudno się jednak nimi przejmować. Maria dziwi się własnej konkluzji, bo wielokrotnie cierpiała, poznając etykiety, które jej przyklejono.

– Nie pamiętam, skąd co wiem – odpowiada Albert. – Piszę się o pani w całej Europie. Świat jest panią zafascynowany.

– Ostrzegam, że pan zmierza w tym samym kierunku. Czeka pana sława. Już biegają za panem dziennikarze... co przenikliwi w każdym razie.

– Jestem zachwycony.

Einstein nie spuszcza z niej oka. Uwielbia tę kobietę, jest w niej zadurzony po uszy. Nie przeszkadzają mu oznaki starzenia ani oschłość Marii, z którą sama walczy, co sprawia, że raz ma się do czynienia z dojrzałą zdystansowaną sławą fizyki, innym razem z kokietującą rozmówcą nastolatką.

– Przestanie się pan zachwycać, kiedy zaczną robić wywiady z niańką pańskiego dziecka.

– Serio? – Mężczyzna chichocze. Rozpina dwa górne guziki wyświechtanej kurtki i zapina je z powrotem. – Szpiegują panią? – Nie dowierza. – Chyba się pani nie przejmuje plotkami hołoty?

– Rozmowa z panem uświadamia mi, że to niewarte uwagi.

– Prawda?

Albert marzy o sławie. To właśnie dziwi innych. Chce, by o nim mówiono, pragnie być śledzony. Potyczki słowne z dziennikarzami są dla niego niczym ulubiony deser. Wie, że nikt go nie zapędzi w kozi róg. Nie boi się uciążliwych aspektów sławy.

– Czy pan mnie... kokietuje? – pyta Maria. Nie krępuje się Alberta. Nikomu nie ośmieliłaby się zadać podobnego pytania, ale jest pewna dyskrecji profesora.

– Nie, to pani domena.

Oboje wybuchają śmiechem. Madame Curie upaja się radością. Od tak dawna nie śmiała się całym ciałem i duszą niczym małe dziecko. Śmiech leczy rany.

– Staram się panią oczarować, wydać się mądrzejszy, niż jestem.

– To możliwe, Albercie?

Maria przysuwa się do stołu. Kładzie dłoń na ręce profesora. Einstein porusza palcami tak, by ich dłonie się splotły. Kobieta pozwala na chwilę pieszczoty, po czym cofa rękę.

– Rzeczywiście, chyba nie da się być inteligentniejszym ode mnie – stwierdza profesor bezwstydnie. – Brakowało mi pani.

– Dlaczego?

Fyzyk wie, że to trudne pytanie. Powiedział prawdę. Brakuje mu Marii, choć potrafi bez niej żyć. Stała się jego chwilowym szaleństwem, niespodziewaną

odskoczną od codzienności. Porywa go na chwilę w zaczarowany świat, po czym każde idzie w swoją stronę. Maria – pociągająca i odpychająca zarazem. Albert domyśla się, jak mało w jej życiu odpoczynku, błęgiego lenistwa, szczęścia i wiary.

– Niech pani zgadnie, ile razy w życiu spotkałem piękną kobietę, która rozumiała moją pracę.

– Raz.

– Jest pani wróżką?

– To nie było trudne. Miał pan i ma tylko jedną żonę.

– Nie mówiłem o Milevie – protestuje Albert.

Upaja się gwarem paryskich bulwarów. Chce wejść na wieżę Eiffla, spojrzeć z góry na to niezwykle miasto.

– Miałem na myśli panią.

– Przecenia mnie pan. Gdybym pana rozumiała – Maria podąża wzrokiem za spojrzeniem Einsteina – możliwe, że od paru minut już bym z panem nie rozmawiała. Gdybym naprawdę wiedziała, co ma pan na myśli.

– Możliwe – przyznaje uczony z roztargnieniem. Poważnieje. W zamyśleniu, z syzyfowym uporem, przygląda włosy, które rozwiewa wiatr.

– Nad czym pan obecnie pracuje?

Spogląda na Marię z ukosa, jakby próbował odgadnąć, czy żartuje, czy jest naprawdę zainteresowana.

– Znowu nad teorią grawitacji. Nie radzę sobie – mruczy z irytacją. – Jestem beznadziejny. Przedzieram się przez rozważania matematyków, opisujących przestrzeń wielowymiarową o dowolnej krzywiznie. Mało że Minkowski ubrał moją teorię względności w porządną matematykę... prostą i klarowną, i przekonującą... bo ja sam tego nie umiałem... to znów teraz musiałem prosić o pomoc innego przyjaciela. Nie radzę sobie z geometrią. Zakrzywione przestrzenie – prychna. – Nic z Euklidesa nie jest prawdą. Zmagam się z opisem przestrzeni czterowymiarowej. Pracuję nad precyzją języka matematycznego, żeby wyrazić swoją teorię i uwzględnić w niej problem grawitacji. Tylko ja wiem, co chcę wyrazić, ale muszę to najpierw wyjaśnić memu przyjacielowi Grossmannowi, bo z kolei tylko on potrafi to zapisać. Przeżywam więc koszmar. Zazdroszczę pani, Marie, bo jest pani fizykiem i matematykiem jednocześnie.

– Do pewnego stopnia, panie Albercie – odpowiada Maria, wyczuwając szczerą jego skargę. – Nie wiem, jak bym się czuła w obszarze pańskich badań.

– A rzuciłaby pani okiem na moje zapiski?

– Z przyjemnością.

– Już dawno chciałem pani coś przysłać, tłumaczyłem sobie jednak, że jest pani przepracowana...

– Jestem przepracowana...

Nagle Maria uświadamia sobie, że od miesięcy nie pracuje i że brakuje jej tego. Zazdrości Albertowi. Laboratorium zawsze było jej jedynym azylem.

– Kiedy studiowałam i byłam przemęczona, zabierałam się do rozwiązywania równań. Nad nimi mijała senność. Jeżeli z jakiegoś względu musiałam długo pracować, a zaczynało mnie to nużyć, robiłam przerwę na zadania.

– Robię to samo, więc wiem, o czym pani mówi. Równania, różnorodność lektur... byle odgonić sen, kiedy trzeba zarwać noc.

Einstein delektuje się przez chwilę kawą, obserwując okolicę. Stwierdza, że jesień skutecznie wyparła lato i wkrótce skończą się spacerzy, trzeba będzie wkładać nakrycia głowy, a potem... Nie przepada za zimą.

To było miłe przedpołudnie. Spędził je sam na sam z madame Curie. Mógłby tak siedzieć godzinami. W jej towarzystwie nie ma przykrego wrażenia, że marnuje czas.

– Pasjonujące, że nie trzeba czegoś widzieć, żeby na podstawie obliczeń teoretycznych wiedzieć, iż naprawdę istnieje. Zupełnie jak z tym pani radem, którego się uczepił Rutherford, twierdząc, że nie jest metalem. Przeglądałem wtedy pani artykuł i mówię: Ernest, człowieku, nie upieraj się; z samych przesłanek wynika, że madame Curie ma rację.

– O czym pan mówi? – przerywa Maria ostro, chociaż wie, że wielu badaczy, w tym Ernest Rutherford, wątpiło w to, że rad jest nowym pierwiastkiem.

Wraz z Piotrem zidentyfikowała go wyłącznie na podstawie promieniowania, jednej z jego własności fizycznych, dopiero cztery lata później z pomocą André Debierne'a dokonała identyfikacji chemicznej i dała fizyczny dowód na jego istnienie. Nie stać ich było na zakup rudy uranowej, kupili więc od rządu Austro-Węgier same odpady z kopalni rudy w Jachimowie.

Maria przypomina sobie, w jak ciężkich warunkach pracowała z mężem i przyjacielem nad odkryciem nowych pierwiastków. Nie mogli liczyć na pomoc rządu ani Sorbony, nie mieli porządnego laboratorium, wszelkie wydatki pokrywali z własnych środków. Do tego Piotr coraz częściej zapadał na zdrowiu, ona zaś strasznie schudła. Nikt ich nie hołubił. W tych warunkach złośliwe twierdzenie Rutherforda, jakoby rad nie był metalem, naprawdę bolało, ponieważ kto jak kto, ale uczony tej miary powinien był wysnuć właściwe wnioski z ich badań.

– O ile mnie pamięć nie myli – kwituje madame Curie ironicznie – to pan twierdzi, że teorii naukowych nie da się ustalić na podstawie samego eksperymentu.

– Ale to nie podważało nigdy pani wniosków – denerwuje się Einstein. – Chociaż moim zdaniem można powziąć wiedzę o czymś i na drodze czystego myślenia.

– Nie wybiega to poza aksjomaty Euklidesa – kpi Maria.

– Owszem. Tak, madame Curie.

Einstein chce powiedzieć coś jeszcze, ale Maria mu nie pozwala.

– Czyżby pan również mierzył się z aksjomatem o prostych równoległych? – pyta.

– Tak, Marie – potwierdza rozdrażniony. – Nie w tym rzecz. Ma pani trochę racji, twierdząc, że różnimy się podejściem do fizyki. Pani poszerza wiedzę na drodze eksperymentu, ja uważam, że prawa przyrody są prawami matematycznymi. Ale gdzieś się przecież spotykamy. Pani genialna intuicja i prostota pani doświadczeń, powiedziałbym nawet, ich prymitywizm – dorzuca, myśląc o madame Curie tygodniami pochylonej nad kotłem i mieszającej zawieszinę – i moje przekonanie, że wyłącznie prosta teoria odzwierciedla prostotę praw przyrody. – Albert zbliża twarz do twarzy Marii i mówi, jakby zdradzał pilnie strzeżony sekret: – Póki się poruszam po kilkunastowerszowych równaniach, wiem, że błędzę. Prawda o świecie da się wyrazić krótkim, zwięzłym równaniem.

Maria odsuwa pustą filiżankę. Ziębły jej dłonie; ledwie nimi porusza. Brakuje jej Piotra, który w takiej chwili je rozgrzewał. Brakuje jej Piotra. W każdej chwili.

– Wie pan, dlaczego kocham laboratorium? – pyta, by się nie rozpląkać.

– Niczym matka lubi pani patrzeć na narodziny cudu.

– Trochę tak – przyznaje madame Curie. – Kiedy byłam małą dziewczynką, wszystko, co wspaniałe, było dla mnie niedostępne. Mówiło się o Polsce, naszej ojczyźnie, której nie ma, a którą jednak kiedyś wspólnym wysiłkiem wskrzesimy. W gabinecie ojca stała szafa pełna przyrządów do doświadczeń fizycznych. Używało się podobnych na uniwersytetach, gdzie dziewczynki nie miały wstępu. Ramiona matki są po to, żeby tulić dzieci, ale moja matka mnie odtrącała. Była chora na gruźlicę; chciała mnie chronić, ale wtedy tego nie rozumiałam. Cała moja młodość upłynęła na bolesnym zmaganiu się z bezsilnością. Może to wszystko właśnie spowodowało, że zawzięłam się. Miewam niemal mistyczne doznania, pracując w laboratorium. Chcę wyrwać coś z pozornej nicości. – Maria uśmiecha się do siebie. Oto wkracza na teren doskonale sobie znany. Dostrzega błysk zainteresowania w oczach Einsteina. – Nim zobaczę efekt doświadczeń, wyobrażam go sobie.

Piotr marzył, żeby rad miał piękny kolor. Rzeczywistość przeszła ich najśmielsze wyobrażenia.

– Moje idee są prawie namacalne. Kiedy myśli zaczynają mi uciekać, wracam do teorii, skupiam się na odwiecznych prawach, na tych, jak pan to ujmuje, najprostszych równaniach. Wiem, że jeśli zbłądziłam, właśnie w nich odnajdę drogę. – Milk-nie, dostrzegając dziwny uśmiech Alberta.

Mężczyzna patrzy na nią urzeczony. Zapomina nawet, jak idiotycznie musi wyglądać z tym rozanielonym wyrazem twarzy, o którym tyle razy mówiła mu Mileva.

– Nie można się w pani nie zakochać, prawda? – mówi cicho.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Paryż, 14 września 1912

Pobyt państwa Einsteinów w Paryżu trwa już tydzień, co zaczyna Marię męczyć. Szczególnie uciążliwe są zmienne nastroje Milevy. Nie trzeba być świetnym psychologiem, żeby zauważyć, że Albert i Mileva nie są dobrym małżeństwem. Zdarza się, że ich synowie nie wiedzą, jak reagować na słowa i zachowania rodziców. Gubią się w gąszczu ich fałszywych zapewnień o wzajemnym zaufaniu i miłości. W takich chwilach Maria dostrzega przewagę samotności. Towarzyszą jej wyłącznie dobre wspomnienia.

Albert dał jej siłę. Poczula dawny wigor, znów poczuła, że kocha życie. Przez pierwsze dni zwiedzania Paryża z Einsteinami pędziła naprzód jak szalona, zachłystując się atrakcjami wielkiego miasta – kinematografią (obejrzeli *Olivera Twista*), wystawami, kawiarniami, operą. Przez całe małżeństwo z Piotrem nie odwiedziła tyłu paryskich lokali. Albert wyczuł chyba jej nieznamość podobnych miejsc, to on bowiem, choć nie znał miasta, oprowadzał po nich panie z właściwym sobie wdziękiem, którego nie można mu było odmówić.

– Moje małżeństwo się wypaliło – rzuca teraz uczciwie.

Powinien był zapewne powstrzymać się od tego typu wyznań. Irytują Marię. Jej szare oczy zwięzają się w szparki, ucieka wzrokiem.

Einsteinowi podobają się olbrzymie wnętrza paryskiego mieszkania madame Curie. Nigdy w takim lokum nie mieszkał. Szept w jednej części salonu nie ma szans dotrzeć w jego przeciwległy koniec.

– Domyśla się pan, że niechętnie wysłuchuję podobnych zwierzeń – oświadcza Maria nieco znudzonym tonem.

Mileva wyszła z dziećmi na spacer. Pani domu nie zastała jej po przebudzeniu, mimo że wstała bardzo wcześnie. Teraz udaje się do kuchni, żeby wesprzeć Marię Kamieńską, szwagierkę swego brata, Józka, która pomaga w prowadzeniu domu. Chce, by śniadanie było ładnie podane. Zabawne, zważywszy na to, że ze wszystkich ludzi, których dotąd przyjmowała, Albertowi najmniej zależy na estetyce posiłków. Maria podświadomie próbuje zaimponować Milevie. Wydaje jej się, że żona Einsteina musi być idealną gospodynią, trochę na podobieństwo Broni Dłuskiej, której wszystko się udaje.

– Mileva ma żal, że nasze drogi się rozchodzą – nie daje za wygraną profesor.

– Ścieżki w górach także kluczą – zauważa Maria. Jej głos brzmi cierpko.

– Myśli pani?

Madame Curie zastanawia się przez chwilę, dlaczego Albert sprawia

wrażenie dojrzałego, niż jest. Ma przecież młodą twarz, chłopięcą figurę i figlarne oczy. A może wiek jest w ogóle bez znaczenia? Jej siostra Helena twierdzi, że idiota jest idiotą od urodzenia i taki umiera.

– Ostatnio doszłam do wniosku, że kto przez całe życie nie miał czasu na myślenie o codziennych sprawach, nie powinien się nimi zajmować. – Maria wzdycha, zauważywszy, że jej pojawienie się w kuchni spowodowało same utrudnienia.

Einstein nie odstępował jej na krok, co jest sympatyczne, ale odrobinę deprymujące. Kamińska świetnie sobie ze wszystkim radzi, nie ma jej w czym pomagać. Maria zerka w mijane lustro, kierując się ku jadalni. Mężczyzna idzie tuż za nią.

– Zgadza się – potakuje.

Madame Curie zatrzymuje się w holu. Einstein omal na nią nie wpada.

– Wolalam, kiedy się pan ze mną sprzeczał – stwierdza kobieta beznamiętnie.

Lada moment wstaną dziewczynki. Niania biega pomiędzy kuchnią a ich sypialnią. Mileva zostawiła Marię na pastwę swego męża, co zdaje się potwierdzać rozluźnienie więzi między małżonkami.

– Ma pani piękne włosy – szepce Albert.

Maria milczy. Rozgląda się zmieszana.

– Dlaczego pani nic nie mówi?

– Mam zwyczaj zabierać głos w sprawach, które są dla mnie nowe.

– Czyli stu innych mówiło to przede mną?

Madame Curie wchodzi do jadalni. Staje w najdalszym kącie, wiedząc, że Albert za nią podąży. Wyraźnie czeka, aż podejdzie.

– Sprawia mi pan przykrość – informuje krótko.

Większość mężczyzn zniechęciłaby samym wyglądem – zmarszczone czoło, lodowate spojrzenie, wydęte usta – ale Einstein lubi jej towarzystwo i myśli tylko o tym. Daje upust radości, że są razem.

– Uraził panią mój podziw? Proszę mi wybaczyć. Próbuję zburzyć mur pomiędzy nami.

– Nie uda się panu.

Maria mówi grzecznie, lecz w jej głosie pobrzmiewa ostrzegawczy ton. Albert prostuje się.

– Nie życzy sobie pani przyjaźni z kimś takim? – pyta z wyzywającym uśmiechem.

Maria wzdycha. Nie ma siły walczyć z tak irracjonalnym oskarżeniem.

– Jest pan... nieznośny – stwierdza.

Dom funkcjonuje bez niej. Śniadanie już gotowe. Dziewczynki są pod opieką niani. Ma czas dla niepoprawnego profesora. Siada przy stole, Albert tuż

obok.

– Wolę złość od uprzejmej obojętności – szepce jej do ucha.

Maria chichocze i natychmiast karci się w duchu za żaloszny brak konsekwencji. I za chichot, który zdaniem Bronki nie przystoi sławnej uczoniej.

– Nie tyle o pana chodzi, ile o... – Zastanawia się. – Mam niewielu przyjaciół... bardzo niewielu... – wyjaśnia.

– Czyli jeden więcej nie zrobi tłoku – droczy się z nią Albert. Oczy mu błyszczą, ma szampański humor.

Od miesiący nie czuł się tak dobrze. Jest wyspany, czeka go wspaniały dzień. Za pięć godzin zacznie wykład na Sorbonie, potem zje obiad z kilkoma profesorami. Wieczór znowu spędzi z Marią. Myśli o tym tak, jakby mieli być sami, tymczasem będą z nimi dzieci. Jego synowie i córki gospodyni robią wokół siebie straszny rejdach. Dziewczynki są dobrze wychowane, niemniej jednak wystarczy pół godziny wielojęzycznej rozmowy z pociechami Einsteinów, by idealnie się do nich dopasowały. Głośnym śmiechom nie ma końca.

– Czego pan naprawdę chce? – pyta nagle Maria.

Jej włosy, związane w luźny węzeł na karku, wyglądają zachwycająco. Albert podejrzewa, że dlatego tak się uczesała. Chciała, by je podziwiał. Mężczyzna wzdycha głęboko. Nie spodziewał się, że Maria zdobędzie się na takie pytanie.

– Jeśli powiem, że miłości, wyśmiej mnie pani? – ryzykuje.

– Wstanę i odejdę.

Albert zna ją coraz lepiej, więc wie, że to nie żart.

– Wyrzuci mnie pani z domu? – drwi, pewny, że Maria nie zrobiłaby tego, cokolwiek by powiedział.

– Ma pan rację. Nie zrobię tego. Jestem beznadziejna. – Przy Albercie odzyskuje dawno zapomnianą swobodę wyrażania prawdziwych odczuć.

– Co z tą miłością? – Profesor domaga się odpowiedzi. – Nalegam, gdyż mam kilka innych propozycji.

Maria milknie, ilekroć do jadalni wchodzi Maria Kamieńska. Kobieta złożyła jej kurtuazyjną wizytę, ale przy okazji ustaliły, że wkrótce zjedzie do Paryża na dłużej i pomoże w prowadzeniu domu.

– Wolę z panem podyskutować na temat grawitacji – oświadcza uczona, gdy zostają sami.

Ona również czuje się doskonale. Świat wydaje jej się piękniejszy, powietrze jakieś czystsze.

– Nie wątpię, że wolałaby pani pogawędkę na tematy naukowe – przyznaje Albert, zgniatając dłonią rozpięty mankiet koszuli, który i bez tego nie wyglądał świeżo – z tym że ja z kolei nienawidzę, gdy kobiety mi udowadniają, że jestem ograniczony. Dlatego, pozwoli pani, że będę się trzymał spraw przyziemnych.

Śmieją się. Zdumiewające, że mężczyzna potrafi ją rozweselić; ją – największą ponuraczkę w Paryżu. Nawet Maria Kamieńska jest tym zdziwiona.

– Dlaczego pańska żona wyszła z domu przed śniadaniem? – To pytanie można uznać za troskę gospodyni o to, czy gościom niczego nie brakuje. – Wczoraj odniosłam wrażenie, że świetnie się bawi. – Maria kłamie, jakby liczyła na to, że ma dar zaklinania rzeczywistości.

Mileva nie wszędzie im towarzyszy. Czasem jedzie z nimi na wycieczkę – jest wtedy afektowana, wszystko chwali – innym razem zostaje w domu, tłumacząc się migreną.

– Tak się właśnie zachowują małżonkowie, których już niewiele łączy. Wzloty i upadki – mówi Albert.

Madame Curie zdaje sobie sprawę, że profesor nie przesadza. Mileva ustawicznie ma do niego pretensje, rzuca pod jego adresem złośliwe uwagi, chce, by okazywał jej miłość. Maria zastanawia się, czy tak by z czasem wyglądało jej małżeństwo z Piotrem.

Słysząc, że Irena i Ewa opuściły swoją sypialnię. Zadziwiające, że dziewczęta w tak różnym wieku mają zwyczaj razem wstawać. Ewa jest wpatrzona w starszą siostrę. Obie są ładne i grzeczne, jednak bardzo odmienne. Irena pochłania książki. W każdym liście czy rozmowie stara się pochwalić Marii nowymi wiadomościami. Trudno przewidzieć, czy wyrośnie z niej naukowiec, ale jest uparta, pilna i niezwykle pracowita oraz... zaborcza. Ewę interesują stroje, goście i przyjęcia. Ma wrodzony dar konwersacji i, nie wiedząc skąd, zna się na modzie.

– Może powinien pan popracować nad swoim małżeństwem – sugeruje madame Curie.

Einstein siedzi oparty łokciami o stół.

– Wierzy pani w sens sprzątanania domu, który się chwieje?

Trudno stwierdzić, czy to atak, czy bezradność.

– Szczerze? – Maria wzdycha. – Problemy małżeństw w ogóle mnie nie obchodzą – kwituje.

– Rzecz w tym, że mnie również. – Albert poufale dotyka jej ramienia. – Nie uwodzę pani, Marie – oświadcza z nutą smutku w głosie. – Po prostu czasem chcę się poczuć mężczyzną. Inaczej wyjdę z wprawy.

Madame Curie wstaje z zamiarem przyprowadzenia córek. Ani ona, ani Albert nie tknęli śniadania, choć pani Kamieńska podczas ich rozmowy wniosła wszystko, co zwykle jada się rankiem w tym domu – świeże bagietki, sery i dżemy, miód i mleko, dzban herbaty.

– Zgoda. Jestem odporna na uwodzenie. – Maria chichocze, choć jej słowa brzmią niestosownie w zestawieniu z niedawnym skandalem obyczajowym, jaki wywołała.

Czują lekki przeciąg; to znak, że prawdopodobnie wróciła ze spaceru Mileva z synami. Czas najwyższy, bo herbata stygnie.

– Ubrała się pani staranniej niż wtedy, gdy widziałem panią w Brukseli – szepce Albert. – I zerwała pani z czernią... chociaż ja akurat wolę czerwień, a ma pani na sobie jakiś... nie znam się na kolorach, jeśli mam być szczery – kapituluje. Upewnia się, że nikt go nie usłyszy, i dodaje: – Ma pani nienaganną figurę.

Maria parska śmiechem. Einstein jest pajacem, ale może właśnie kogoś takiego zawsze potrzebowała?

– Wystarczy dwadzieścia lat bez obiadu – tłumaczy – żeby mieć doskonałą figurę.

– Ja jem dużo i tłusto. Za to uwielbiam piesze wycieczki.

– Podobnie jak ja, zwłaszcza górskie.

– Żartuje pani?! – krzyczy Albert, wstając.

W tej samej chwili do jadalni wchodzi Mileva. Od progu widać, że świetny nastrój męża jest jej nie w smak.

– Naprawdę?! Patrząc na panią, bałem się zaproponować spacer – kontynuuje Albert. – Chodźmy gdzieś wieczorem! Ot, prosto przed siebie. Niech mnie pani zaprowadzi gdzieś, gdzie będę mógł zafundować pani melbę. Stać mnie przecież, w końcu jestem sławnym profesorem!

– Melba wyszła z mody, panie Einstein – ucina Maria, przenosząc wzrok na Milewę.

– Profesorem sławnym na prowincji – poprawia się mężczyzna i wybucha śmiechem.

Mileva siada przy stole sztywna niczym kij od szczotki i rozgląda się, jakby nie mogła znaleźć nic godnego zjedzenia, choć świeże bagietki aż proszą, by po nie sięgnąć.

Profesor Einstein udał się na wykład. Marię zdziwiło, że Mileva mu nie towarzyszy, choć nie musi się zajmować synami, bo zaraz po obiedzie zabrała ich niańka dziewczynek. Od kilku minut z dziecięcego pokoju dochodzą odgłosy ożywionej dyskusji na temat ćwiczeń gimnastycznych, które są zalecane dziewczętom. Obecność Milevy nie pozwala Marii się skoncentrować. Pół godziny po wyjściu Alberta pani Curie idzie poszukać jego żony. Mileva stoi przy oknie w salonie i patrzy przez szybę. W oknach mieszkania uczonej wiszą nowe firanki, prezent od Dłuskich, jedyny oprócz kwiatów kobiecy akcent w tych pustych wnętrzach.

– Przepraszam, madame Curie, przeszkadzam pani w pracy, powinnam była... – Pani Einstein mówi tak, jakby deklamowała wyuczoną kwestię.

– Ależ nic podobnego – protestuje Maria, zawstydzona, że gość głośno

wyraża jej myśli.

Mileva spogląda na nią wielkimi oczyma, lekko zaciskając usta.

– Zdałam maturę z fizyki z najlepszą lokatą w klasie – szepce i natychmiast milknie, zażenowana.

Maria uśmiecha się uprzejmie.

– Każę podać herbatę – mówi, lecz Mileva chwyta jej dłoń.

– Nie trzeba... usiądźmy tu, porozmawiajmy chwilę.

Pani Curie i tę propozycję kwituje uśmiechem. Wskazuje gościowi miejsce na kanapie, a gdy pani Einstein przysiadła na jej brzegu, zajmuje miejsce obok niej. Serbka stwierdza w duchu, że twarz gospodyni jest jak wyrzeźbiona w kamieniu przez Michała Anioła – delikatna i wiele wyrażająca. Czuje dyskomfort na myśl o własnych, topornych, jak je ocenia, rysach.

– Dlaczego nie pojechała pani z mężem na Sorbonę?

Maria pragnie w ten sposób dać do zrozumienia, że wiedza Milevy, o której mogła się przekonać podczas jednej z wieczornych pogawędek, pozwala jej świadomie uczestniczyć w trudnych wykładach męża, lecz pani Einstein opacznie ją rozumie. Myśli, że uczona kpi z jej nieporadnych prób zwrócenia na siebie uwagi Alberta.

– Mąż nie lubi kobiet na wykładach – stwierdza. – To znaczy kobiet na widowni – płacze się, nie rozumiejąc, jak mogła powiedzieć podobne zdanie. – Przygodnych słuchaczek – poprawia się zmieszana, czując przenikliwy wzrok rozmówczyni.

– Nie wydaje mi się. – Maria reaguje zniecierpliwieniem. – Profesor wspomniał kilka razy, że docenia zarówno pani wiedzę, jak i elokwencję.

Mileva spuszcza oczy. Zgodziła się towarzyszyć Albertowi w podróży do Paryża, wiedząc, że zatrzymają się u madame Curie. Wierzyła, że połączy ją ze słynną uczoną nic porozumienia, jak to między kobietami. Miała nadzieję, że mąż przypomni sobie, iż ona również zna się na zagadnieniach, które stanowią przedmiot jego zainteresowań naukowych. Nic takiego nie nastąpiło.

Młodość pani Einstein to było pasmo sukcesów. Już na początku studiów uważano, że jest wybitnie uzdolniona. Dzięki swojej wiedzy zdobyła Alberta. Chodzili na te same wykłady. Dostrzegł ją i docenił, zbliżyli się do siebie. Wciąż nie rozumiała, dlaczego początkowy zachwyt nad jej uzdolnieniami i osiągnięciami zmienił się w kompletną obojętność wobec jej zalet i potencjału. Dotarło do niej, że porażki przyszły wraz z Albertem. Dzień, w którym pojawił się w życiu Milevy, był smutnym końcem jej sukcesów. Oblevała egzamin za egzaminem.

Pani Einstein otrząsa się z zamyślenia. Jest dla męża niesprawiedliwa. Wbija wzrok w Marię, bo ma wrażenie, że uczona wie na temat jej małżeństwa więcej, niż powinna. Podejrzenie, iż Albert zwierza się sławnej koleżance, napęłnia Milewę gniewem.

- Nie wszystko, co mój mąż mówi, jest prawdą – rzuca.
- To dotyczy każdego, nie tylko pani męża – kwituje Maria.

Mileva zaczyna płakać. Zdaje sobie sprawę, że jej zazdrość o Alberta przybiera patologiczną postać. To ją upokarza. Dopatruje się zdrady nawet w jego rozmowach z madame Curie, nie mówiąc o kontaktach z mieszkającą w Berlinie kuzynką Elzą. Czasem Mileva widzi wokół same rywalki. Nie nadąża za szybkimi spojrzeniami Alberta. Dobija ją, że jest koneserem kobiecej urody, ponieważ ona nie jest ani piękna, ani zgrabna. Utyka na jedną nogę, co jest wynikiem komplikacji okołoporodowych.

Kobieta podnosi głowę. Chce zapytać Marię, czy zakochany mężczyzna powtarzałby ukochanej kalumnie, jakie rzuca pod jej adresem teściowa. Paulina Einstein nienawidzi synowej. Jeszcze przed ślubem ostrzegła Alberta, że starsza od niego o trzy i pół roku Mileva zniszczy mu życie i złamie karierę. W listach do ukochanej chłopak bez żenady cytował matkę, wyśmiewając jej słowa. Czy miał prawo ranić uczucia narzeczonej? Przecież musiał zdawać sobie sprawę, że je rani?

Pani Einstein kurczy się, wciąż milcząc. Toczy swój monolog wewnętrzny, wypowiadając na głos jedno zdanie na kilkanaście pomyślanych. Marzy o przyjaciółce, która pomogłaby jej zrozumieć postępowanie męża, ale madame Curie przypomina zimną rybę. Jest wyzuta z empatii. Utrzymuje dystans, obojętna na udreki Milevy.

- Albert nie uważa mnie za partnera w pracy.

Maria wzrusza ramionami, co jest niegrzeczne, choć w jej przekonaniu znaczy: Jakież to ma znaczenie, jeśli docenia pani sama siebie?

– Jego praca o teorii względności wzięła się z naszych rozmów o nieskończoności.

Stwierdzenie Milevy brzmi jak oskarżenie. Pani Curie pamięta swoje rozmowy z mężem. To oczywiste, że nie sposób wyważyć, które ze współpracujących małżonków wnosi więcej do konkretnego odkrycia. Piotra nigdy nie martwiło, że wyniki jego pracy naukowej mogą zostać przypisane żonie, zaborczość Milevy wydaje się więc Marii małostkowa i niestosowna. Słabo zna panią Einstein, skłonna jest jednak uważać, że jej wybitne uzdolnienia i niezłe zapowiadająca się kariera naukowa nie zostały poparte pracowitością i uporem, bez których żaden sukces nie jest możliwy. Pamięta własne wyrzeczenia, lata głodu i walki z szyderstwami ludzi.

– Naukowcy są egoistami. Muszą zapomnieć o bożym świecie, chcąc do czegoś dojść... dokonać odkryć na miarę potrzeb ludzkości i swoich ambicji – tłumaczy, nie chcąc zdradzić się ze swoimi myślami.

Czuje, że Mileva cierpi, nawet chciałaby jej pomóc, ale nie nawykła do rozmów na tematy osobiste z obcymi. Nie potrafi się przełamać. Nie wie też, czy rozmawia z kobietą, czy z niespełnionym naukowcem.

– Bardzo nam się udały tegoroczne powidła – mówi, byle coś powiedzieć, i jak się okazuje, trafia najgorzej, jak to możliwe, gdyż Mileva, która od początku rozmowy ukradkiem ocierała pojedyncze łyzy, wybucha szlochem i pospiesznie opuszcza salon.

Maria zaciska dłonie na fałdach sukni, zastanawiając się, co mogłaby zrobić. Nieumiejętność porozumiewania się z ludźmi, która czasem niemiło się kończy, jest przygnębiająca. Madame Curie czuje, że spokój, który ostatnio osiągnęła dzięki Einsteinowi, przypomina zdradliwe morze – pod powierzchnią wody czają się demony.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Paryż, 14 września 1912

Maria, jak zawsze, kiedy cierpi na bezsenność, idzie do kuchni. Chce się czegoś napić. Zatrzymuje się w progu. Trudno powiedzieć, że zaskakuje ją obecność Alberta. Nie zaskakuje, choć miała nadzieję, że go tu nie będzie. Czuje wyrzuty sumienia wobec jego żony nie dlatego, że robi coś niestosownego. Ma niemal pewność, iż przyczynia się do podjęcia przez mężczyznę decyzji o rozwodzie. Nikomu nie życzy rozpadu związku. Sama pewnie by tego nie przeżyła. Zdarzają się chwile, gdy wydaje jej się, że los jest dla niej łaskawy. Oszczędził jej być może wielu cierpień, zabierając Piotra. Maria nie myśli o mężu. Wie, że jeśli chce żyć, musi o nim zapomnieć, i próbuje zapomnieć.

– Nie powinniśmy rozmawiać nocą – mówi cicho i siada naprzeciwko Alberta, po drugiej stronie stołu, gotowa do pogawędki.

Einsteina bawi jej kobiecy brak konsekwencji.

Kuchnię rozświetla tylko słaby ogień dogasający w kominku. Rzuca na twarz mężczyzny łagodne refleksy. Einstein uśmiecha się bardziej do swoich myśli niż do Marii.

– Uważa pani, że nasze spotkanie nocą jest nieprzyzwoite?

– Nigdy się nie przejmowałam przesadami, panie Albercie – mówi Maria. – Co innego mnie martwi. Staję się wobec pana nazbyt szczera.

– Nalać pani soku? – pyta mężczyzna, wchodząc w rolę gos-podarza.

Słyszał, że Maria nie ma pojęcia o prowadzeniu domu, co, jak się domyśla, jest grubą przesadą, nie zdziwiłby się jednak, gdyby nie wiedziała, gdzie w jej kuchni przechowuje się soki.

– Bardzo proszę.

– Dręczą panią koszmary?

Albert jest zadziwiająco uprzejmy. Zachowuje się tak, jakby chciał załagodzić jej gniew. Ale Maria nie czuje gniewu.

– Mam ich dosyć na jawie. Boję się otwierać kolejną gazetę.

– Nie zdaje sobie pani sprawy, jak gazety rozpropagowały na świecie pani pracę.

Próbuje uświadomić madame Curie, że dziennikarze nie są jej wrogami. Patrzy na świat z innej perspektywy. Normalnie zirytowałyby Marię, o pierwszej w nocy jest jednak bardziej tolerancyjna.

– Lękam się wyjść z domu. Trafiają wszędzie... do laboratorium, do biblioteki. Znają adresy moich przyjaciół.

Albert widział atakujące ją tłumy pismaków i był nawet odrobinę zazdrosny.

W półmroku twarz Marii wydaje mu się młodsza, a cera gładsza. Od dawna nikt go tak nie pociągał. To wbrew rozsądkowi, myśli. Obejmuje się ramionami, czując nieprzyjemny chłód.

– Niepotrzebnie tak to pani przeżywa. Sądzę, że większość czytelników nie pamięta, o czym czytała, za to na długo zapamiętuje nazwisko.

Maria nie wyraża zainteresowania tematem, profesor więc milknie. Co tu robią w środku nocy?

– Podobno dostała pani pieniądze na instytut radowy imienia pani męża.

Kobieta wzdryga się.

– Pierwsze słyszę – mówi z irytacją.

Jej ostre reakcje już nie martwią Einsteina, ponieważ wie, że to maska. Bezwstydnie wpatruje się w jej usta, przenosi wzrok na oczy i posyła Marii ciepły uśmiech.

– Nie bywa pani wśród ludzi – stwierdza.

– Mówi pan poważnie? – pyta madame Curie. – Gdzie pan o tym słyszał?

– Od kolegi z Instytutu Pasteura.

Informacja kojarzy jej się z wiadomością przekazaną przez André Debierne'a. Wyrzuciła ją z pamięci, jak wszystko, co ostatnio mówił jej przyjaciel. Nie przystała na to, by stał się jej sumieniem. Nie chce o nim myśleć, gdyż to potęguje jej wyrzuty sumienia. Powinna wreszcie spotkać się z nim, przeprosić. André pracuje za nią, podejmuje decyzje, użera się z asystentami; to niesprawiedliwe. Maria myśli sentencjonalnie, że świat nie jest sprawiedliwy i nie ma powodu udawać, że jest inaczej.

– Chciałabym wznieść Piotrowi pomnik – mówi po namyśle. – Poświęcił nauce całe życie... każdą chwilę. Mógł zostać miliarderem.

Albert słucha w milczeniu. Doniesiono mu o bulwersującej decyzji Piotra Curie, który postanowił nie występować o ochronę patentową technologii uzyskiwania radu. Udostępniał ją nieodpłatnie każdemu, kto o to zabiegał. Zdziwaczały Francuz, tak o nim mówiono. Mało kto go rozumiał. Świat nauki podzielił się na dwa obozy. Jedni twierdzili, że Curie to dureń, drudzy, że święty. Jaki był naprawdę? Zdaniem Einsteina musiał być jednym i drugim. Inna rzecz, co by zrobił on sam. Dotychczasowe doświadczenia z radem, dające nadzieję, że pierwiastek ten pomoże w walce z rakiem, przekonały Alberta o słuszności decyzji Piotra Curie. Darmowe udostępnianie technologii było gestem godnym prawdziwego naukowca. On postąpiłby tak samo. Przeklinając oczywiście w duchu swój altruizm. Kochał luksus.

Albert patrzy na Marię. Jej dłoń dotyka włosów leżących na ramionach. Włosy są rozpuszczone, czego wcześniej nie zauważył.

– Jestem pewny, że pani tego dokona – odzywa się po długim milczeniu. – Tylko proszę nie przeganiać dziennikarzy. – Uśmiecha się, przesuwał rękami po

stole. – Są jak mróweczki – tłumaczy. – Niosą tę pani misję... po kawałku... w lud.

– Lubię pana słuchać. W pańskim ujęciu wszystko wydaje się proste. – Szept Marii brzmi jak skarga. Głos więźnie jej w gardle, kobieta uśmiecha się przez łzy.

Einstein wyciąga rękę i niemal dotyka jej dłoni.

– Wie pani dlaczego? – zaczyna pośpiesznie, bojąc się, że kobieta mu przerwie. – Ponieważ jestem egoistą, przejmuję się wyłącznie tym, co mnie zaprzęta. Reszta świata mogłaby dla mnie nie istnieć. To pociąga. Absolutna miłość do samego siebie. Chciałbym z panią zamieszkać. Chciałbym być pani mężem. Taka żona... – Jest speszony, zaczyna się jąkać.

Dziwne, lecz Maria słucha go cierpliwie. Nie widać oznak gniewu czy niechęci.

– Żona zajęta nauką... jeżdżąc z konferencji na kongres. Czy jest pani w stanie urządzić awanturę o bałagan w sypialni?

– O to, że przestawił pan krzesło z prawej strony łóżka na lewą? – pyta madame Curie sennie. – Nie przywiązuję do tego wagi. – Schyla głowę. Włosy zasłaniają jej twarz, opadają na piersi. – Gromadziliśmy z Piotrem tylko to, bez czego nie umieliśmy żyć – mówi głucho.

– Jest pani nieszczęśliwa, prawda?

Maria podnosi głowę i spogląda na Einsteina.

– Dlaczego pan tak sądzi? – pyta cicho.

– Ja to wiem, ale niech mnie pani nie pyta skąd, ponieważ tego akurat nie wiem. Intuicja.

– A pan? Czuje się pan szczęśliwy?

– Kiedy siedzę z panią? Ogromnie.

– Znowu pan zaczyna.

Albert przechyla się, by dosięgnąć Marii, i zaczyna ją całować. Kobieta nie oddaje pocałunków, ale i nie protestuje, jakby skamieniała pod jego dotykiem.

– Lepiej panu z tym? – pyta, gdy zmieszany Einstein wreszcie się odsuwa.

– Niczym pani nie poruszę?

– Przykro mi.

Maria idzie ku drzwiom. Przystaje na progu z pogodnym wyrazem twarzy.

– Dobranoc, Albercie. Może kiedyś... w innym życiu. Gdzieś bliżej uniwersum.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Paryż, 15 września 1912

Maria zbliża się do laboratorium przy ulicy Cuvier. Jest wrzesień, liście zmieniają kolor, przyroda obumiera. Mimo to jest coś urzekającego w jesiennej feerii barw tuż przed okresem zimowych słońc i madame Curie to dostrzega; dostrzega, ale nie umie czerpać z tego radości. Czuje niedające spokoju wyrzuty sumienia po rozmowie z grupą Polaków, którzy próbowali ją namówić na powrót do Warszawy. Był wśród nich noblista w dziedzinie literatury Henryk Sienkiewicz. Spotkanie przeszło szybko, po obu stronach zostawiając niesmak. Minęły czasy, gdy Maria nie potrafiła odmawiać. Prawdę powiedziawszy, tęskni za tamtą sobą – niepewną, dumną z każdej pochwały, spragnioną nagród. O ileż prostsze było wtedy jej życie.

Odrzuciła propozycję rodaków, tłumacząc się nadmiarem zajęć i złym stanem zdrowia. Nawet nie próbowała mówić prawdy, a ma przecież córki, dla których Paryż jest domem. Mogła o tym wspomnieć. Dziewczęta tu się urodziły, tu mieszka rodzina ich ojca. Czują się Francuzkami. Nie chce im odbierać ani szansy na dobre wykształcenie, ani perspektyw. A jednak nie użyła tego argumentu.

Choć jest jej przykro, wie, że postąpiła słusznie. Jeszcze przed dekadą nie przyszłoby jej do głowy, że Polacy mogą o nią zabiegać. Wtedy też uwierzyłaby w patriotyczny obowiązek powrotu do kraju i pracy u podstaw. Teraz ma już pozycję i rzeczywisty wpływ na wiele spraw, zdobyła doświadczenie i rozumie, że nikt jej nie zwróci czasu, który odbierze najbliższym i nauce, jeśli porzuci Francję. Żyje w ciągłym pośpiechu, niecierpliwie. Za to też uwielbia Paryż. Nie znajduje słów, jakimi mogłaby opisać potrzebę pozostania we Francji. Czuje ją głębiej, niż kiedykolwiek była w stanie sobie wyobrazić. Wspomina pierwszą podróż z Warszawy do Paryża i uśmiecha się z niedowierzaniem. Jechała trzecią klasą, siedząc na twardej ławce przymocowanej do ściany wagonu. Miała ze sobą tylko książki i pakunki z prowiantem. Minęły lata, wszystko się zmieniło. Czasem wątpiła, że wciąż jest tą samą Marią.

Madame Curie wkracza do laboratorium i kieruje się wprost do zagraconego ponad miarę stanowiska pracy André Debierné'a. Oddycha z ulgą na widok przyjaciela, bo nie była pewna, czy go zastanie. Zaskakuje ją widok pleców André – są takie szerokie. Mężczyzna ma na sobie fartuch. Rozmawia z asystentką, młodą, atrakcyjną dziewczyną. Marii nie podoba się jej kokieterijne spojrzenie.

– Witaj, André.

– Madame Curie! – krzyczy któryś z pracowników. – Co za miła niespodzianka!

Maria rozgląda się po pomieszczeniu. Dostrzega nagromadzenie dziwacznych sprzętów – pozostałość z czasów Piotra, kiedy każda puszka, kawałek sznurka czy blachy mogły służyć do doświadczeń. Teraz mają więcej pieniędzy na eksperymenty, wciąż jednak zatrudniają ludzi, którzy musieli radzić sobie w ekstremalnych warunkach, więc hołdują starym przyzwyczajeniom. Prawdziwa nauka rozwinię się wszędzie, jeśli człowiek ma wiedzę, wyobraźnię, pasję i wiarę w siebie. Geniusz Piotra kwitł w budynku dawnego prosektorium. Uczona wzdyga się.

– Cieszycie się, że zmuszę was do większego tempa pracy? – naigrawa się, co młodsza część zespołu przyjmuje ze śmiechem.

Tęsknili za jej zgryźliwym poczuciem humoru i wiecznym utyskiwaniem. Chcą pracować u jej boku. Jest genialna, a oni wierzą, że pewnego dnia ją prześcigną.

– Jesteś tu przejazdem? – pyta André, odsuwając się od wagi.

Widać, że nie wie jeszcze, czy wybaczył Marii, dlatego wciąż zachowuje dystans.

– Nie reaguję na złośliwość – wesoło odpowiada uczona. – Wiem, że zasłużyłam.

Debierne podsuwa szefowej stołek, kątem oka widząc, że pracownicy wracają do zadań, które im wyznaczył. Maria siada, przyjmując wdzięczną pozę. Robi to z wyrachowaniem.

– Ładnie wyglądasz – wyrywa mu się, gdyż Maria sprawia wrażenie szczęśliwie zakochanej.

Jej twarz promienieje, usta nie przestają się uśmiechać. Ma na sobie nową suknię, a w rękę parasolkę obszytą koronką – coś absolutnie nie w jej stylu. Czyżby Paul do niej wrócił? André pociesza się, że to niemożliwe. Langevin pogodził się z małżonką.

– Nudziarz z ciebie – żartuje Maria, mimo że komplement sprawił jej przyjemność. Całym ciałem zwraca się w stronę przyjaciela i zniża głos, żeby tylko on mógł usłyszeć, co powie: – Od jutra wracam do pracy.

– Szkoda – mruczy Debierne. – Przyzwyczaiałem się do rządzenia.

Serce skacze mu do gardła. Karci się w duchu za te mimowolne emocje. Postanowił odsunąć się od Marii. Zbyt wiele upokorzeń zniósł w imię tej nieodwzajemnionej miłości. Dotarło do niego, że ta kobieta nie jest mu przeznaczona. Uświadomienie sobie tego wiele go kosztowało. Są dojrzałymi ludźmi. Wybrała Paula, mimo że jest żonaty; to był jasny sygnał dla André. Poczul niechęć, a nawet coś na kształt odrazy. Najbardziej poniżające było to, że Maria doskonale wiedziała o jego uczuciach, zdawała sobie sprawę, że jej pragnie – w końcu wszyscy już o tym mówili – a jednak wciąż udawała nieświadomą. I wybrała innego, choć André był wolny. Równie dobrze mogłaby go publicznie

spoliczkować.

Maria jest wyczulona na zachowanie bliskich. Żałuje, że nie może objąć André; przestałby stroić fochy i jej wybaczył. Jest zdemoralizowana jego uwielbieniem i nie dopuszcza myśli, że uczucia przyjaciela mogły się zmienić.

– Nie odzwyczajaj się od rządzenia – szeptem tak, że Debiernie'owi cierpnie skóra. – Jesteś moją prawą ręką. Nie odwdzięczę ci się nigdy, wiesz o tym.

– Nie lubię, gdy jesteś zbyt słodka.

André przybiera pozę obojętnej uprzejmości, co boli Marię najbardziej, jednak kobieta nie daje się zwieść pozorom.

– W takim razie będziesz wiecznie nieszczęśliwy – mówi aksamitnym głosem.

– To znaczy?

– Kocham cię, André. I będę słodka.

Debiernie nie potrafi ukryć, że sprawiła mu przyjemność.

– Zacznesz jadać trzy posiłki dziennie? – pyta wesoło.

Maria odzyskuje pewność siebie.

– Moja miłość ma granice – rzuca takim samym tonem.

Wstaje, obraca się wokół własnej osi, jak zawsze niewiarygodnie szybko, co pozornie nie licuje z jej charakterem, wprawia więc w zdumienie tych, którzy jej nie znają. Uśmiecha się; jest dawną Marią.

– Zamieszkas z dziewczynkami? – André nie dowierza, że zły czas minął. Widział przyjaciółkę niedawno. Była tak przygnębiona, że nawet jej włosy straciły puszystość.

– Zjechałam do Paryża dziś rano i od razu odbyłam kilka spotkań – kłamię madame Curie, walcząc z uporczywą myślą, że niezależnie od tego, jak bardzo się będzie starać, nigdy nie dorówna Bronisławie.

Ileż to razy Maria i mąż siostry z utęsknieniem wyczekiwali Bronki, która była w podróży? Bez niej nic nie funkcjonowało, jak powinno. Maria była do niczego. Dzisiejsze spotkanie z gość-mi z Polski dowiodło tego po raz kolejny.

– Któregoś dnia opowiem ci o nich. Zdałam sobie sprawę, jak bardzo brakuje mi pracy. Dlaczego się nie ożeniłeś?

– Ty wyszłaś za mąż. Co z tego masz? – odpowiada mężczyzna po zastanowieniu.

– Dzieci i wspomnienia.

– Irena powiedziała, że jestem dla niej jak ojciec.

Maria w słowach przyjaciela słyszy oskarżenie pod swoim adresem. Jak dziecko zaciska dłonie i trze nimi oczy.

– Naprawdę? – pyta tak cicho, że ledwie ją słysząc.

– Tak. Naprawdę. Jestem przy niej, kiedy ma problemy.

W polu widzenia Marii pojawia się kubek z herbatą. Dziękuje

z roztargnieniem, nie patrząc, kto go przyniósł.

– Irenka ma problemy?

– Marie, bądź poważna – prycha Debierne. – Ma wiele problemów. Ty jesteś największym.

– Co masz na myśli?

Kiedy mowa o jej dzieciach, Maria traci poczucie humoru. Zawsze sprzecza się z André na temat wychowania córek, z niezadowoleniem uznając czasem jego prawo do wtrącania się. Irena go szanuje, wręcz za nim przepada, nie da się zaprzeczyć faktom.

– Chce ci zaimponować – tłumaczy André.

– Czym? I po co? Nie rozumiem.

Ludzie jej mówili, że Irena jest w nią wpatrzona jak w obraz, że jest zaborcza i zazdrosna o jej uwagę. Puszczala te informacje mimo uszu, co innego jednak słyszeć je z ust Debierne'a. Znika miły, towarzyski nastrój. Maria patrzy wyczekująco, gotowa do ataku.

– Ubóstwia cię – mruczy André. – Zewsząd słyszy, że jesteś genialna. Otaczają cię chmary dziennikarzy. Dziewczynka zrozumiała, że jesteś kimś ważnym. Ludzie na całym świecie cię podziwiają...

– Mam nadzieję, że wybiłeś jej to z głowy – przerywa mu kobieta drwiącym tonem.

– Sama jej to wybij z głowy. Jesteś matką! – Debierne nie wytrzymuje.

Maria już ma powiedzieć coś przykrego, lecz skoro postanowiła znów wejść w dawne sztywne ramy, nie krzyczy, nie obraża, nie obwinia. Tak zaczęła dzień i stara się realizować swój plan. Debierne jej nie pomaga. Szatan w niego wstąpił!

– Twoje zdrowie, André – zmusza się do spokoju i wznosi toast kubkiem z herbatą.

Przyjaciół jest zaskoczony jej zachowaniem. Sądził, że Maria, którą poznał przed laty, już nie istnieje, tymczasem... czyżby? Nie jest pewien, czy to dobrze, że wróciła. Miał wprawdzie słabość do tej pracowitej, pogodnej dziewczyny, która rządziła w laboratorium, ale kochał tę szaloną, namiętą kobietę, jaką się stała po śmierci Piotra.

– O czym rozmawiałaś z Polakami?

– Chcieli, żebym wróciła do Warszawy.

– Wrócisz?

– Nie.

Debierne'a nie interesują szczegóły spotkania z polską delegacją. Musi wiedzieć, czy ma powód do zmartwienia. Maria jest Polką. Odkąd ją zna, twierdziła, że mieszka we Francji czasowo. Jej ojczyzna potrzebuje wsparcia. Doprowadzała go tym do furii. Mężczyzna uważa, że to efekciarskie i nikomu niepotrzebne. Milczał, żeby się jej nie narazić.

Maria przygląda się pracownikom, chłonąc atmosferę laboratorium. Nigdzie nie była równie szczęśliwa. Poprawia włosy, zastanawiając się, jak idą eksperymenty młodego zwariowanego Anglika, którym się zajęła przed rokiem. Widzi go siedzącego przy oknie w takim skupieniu, jakby się modlił.

Kiedyś czuła całą sobą wolność, jaką dawał Paryż. Jak każdy Polak zachłystywała się możliwościami, jakie oferował, prawem do wyrażania własnych poglądów. Pewnie dlatego wszystko tutaj wydawało jej się niezrównanie piękne, nawet nudna Galeria Lafayette i kropka w kropkę identyczne sklepy na bulwarze Sewastopolskim. Paryż znaczył dla niej rozwój. Czuła to już na Dworcu Północnym, gdy po raz pierwszy postawiła stopę na francuskiej ziemi.

– Chcesz przeczytać korespondencję? – pyta Debiarne. – Zachowałem najważniejsze listy.

– Później, André; jutro – odpowiada zamyślona.

Nie wie, czy podola życiu. Nie ma planów ani marzeń. Przypomina suchą, pustą w środku trzcinę, którą może złamać naj-lżejszy powiew wiatru.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Paryż, 20 września 1912

André Debierne siada w kuchni, czekając na wyborną kawę, równie wspaniałą, jak ta, którą uraczyła go pani Kamieńska podczas jego ostatniej bytności w domu Marii. Dyskretnie wdycha zapach świeżo mielonych ziaren. Przymyka oczy; pieką go. Jest wieczór. Lada moment dziewczynki powinny wrócić ze spaceru, Maria zaś z drobnych zakupów, w których wyręcza swoją nową pomocnicę.

André ma szlachetną twarz, oczy bardzo duże, powieki lekko opadające. Patrzy przenikliwym wzrokiem. Kamieńska zna go zbyt krótko, żeby wiedzieć, iż był pogodnym mężczyzną, zdążyła się jednak zorientować, że ma do czynienia z człowiekiem o nieskazitelnym manierach. Monsieur Debierne mówi spokojnie, w miły sposób modulując głos, ale w układzie jego pełnych ust jest coś gorzkiego, coś, co powstrzymuje rozmówców przed pochopnymi żartami.

– Nakryłam dziś Irenkę na czytaniu jakiegoś szmatławca – informuje pani Kamieńska.

Nie musi nic więcej dodawać i po prawdzie nie chce. Wie, że monsieur Debierne jest przyjacielem Marii, można mu więc zdradzić każdą tajemnicę, zwłaszcza tę, o której nie chce się dyskutować z madame Curie. Ale André nie ułatwia jej zadania. Rozmowy o romansie przyjaciółki niezmiennie wytrącają go z równowagi i sprawiają, że czuje się jak idiota. Teraz też siedzi sztywny, patrząc w milczeniu na miedzianą dżezwę, w której pani Kamieńska przygotowuje kawę. Widać, jak spod piany unosi się niewielka ilość pary. Miła woń wypełnia całą kuchnię. André myśli o młodym chemiku Louisie Camille’u Maillardzie, który prowadzi fascynujące badania nad reakcjami zachodzącymi pod wpływem ciepła między aminokwasami a cukrami redukującymi. Wyjaśnił już, jak powstaje aromat – również kawy. Uczony zastanawia się, jakie reakcje chemiczne wpływają na to, że ludzie zwracają się do niego z czymś takim jak czytanie przez Irenkę Curie drukowanych w gazetach plotek o życiu erotycznym jej matki. Jakie prawo moralne nimi kieruje?

– Czytałem kiedyś o chłopaku, który był przedmiotem drwin rówieśników – mówi, przenosząc wzrok na panią Kamieńską. – Wszyscy wiedzieli, że jest delikatny i wrażliwy, można więc go było bezkarnie obrażać. Pewnego dnia któryś z nastolatków podniósł na niego rękę. Ponoć było oczywiste, że napadnięty nie odda ciosu, i pewnie by nie oddał, tyle że napastnik, nim uderzył, padł bez życia.

Maria Kamieńska ukrywa przerażenie. Nie rozumie związku pomiędzy wypowiedzią uczonego a problemem dzieci madame Curie. Wstydzi się własnej

śmiałości wobec pana Debierne'a. Rozumie, że miał prawo się obruszyć. Nie wie, dlaczego jej powiedział o napastowanym chłopcu, czuje jednak, że jest nim on sam i że jest w tym jakaś groźba pod adresem potencjalnych napastników. Zastanawia się, czy jej zachowanie miało znamiona nękania. Nerwowym ruchem stawia przed mężczyzną filiżankę aromatycznej kawy. W Warszawie takiej nie sprzedają. Debierne słodzi napój, długo miesza, po czym podnosi filiżankę do ust i próbuje kawy.

– Wyborna – stwierdza krótko.

Pani Kamińska siada naprzeciw gościa.

– Martwię się o Irenkę – mówi, widząc jego pusty wzrok.

– Większość spraw nie zależy od nas.

Kobieta wstaje i wraca do codziennych zajęć. Zdaje sobie sprawę, że popełniła nietakt. Monsieur Debierne konkurował z Paulem Langevinem. Cokolwiek się stało, a ona nie chce dociekać prawdy, André Debierne przegrał. Świat nie jest sprawiedliwy. Ludziom brak rozsądku. Madame Curie byłaby szczęśliwa u boku takiego mężczyzny jak Debierne, niestety, Bóg, w którego nie wierzy, założył jej klapki na oczy i uczona widzi tylko Langevina.

André wie, że Irena lubi Paula. Wszyscy go lubią. Jest uroczy i usłużny, rozmowa z nim to czysta przyjemność. Wiele razy pomógł starszej panie Curie w matematyce, ponieważ ma dar przekazywania wiedzy. Problemem Ireny nie jest lęk, że gazety mówią prawdę i Paul Langevin to kochanek matki, bo to obelżywe kłamstwo, lecz obawa, iż matka nie wytrzyma oszczerstw i przeżyje ponowne załamanie nerwowe. Poza tym Irena jest zazdrosna o uwagę Marii, chce mieć matkę wyłącznie dla siebie. Mężczyznę męczą tego typu rozmyślania. Wokół Marii zawsze kręcą się wybawcy i opiekunowie.

André pospiesznie dopija kawę i opuszcza nowe mieszkanie przyjaciółki na Wyspie Świętego Ludwika. Gdy wychodzi przed budynek, czuje uderzenie wiatru. Szybkim krokiem zmierza ku kamiennemu murowi nad Sekwaną. Staje i patrzy w zielonkawą, mętną wodę. Zastanawia się chyba tysięczny raz, co Maria robiła na Jeziorze Genewskim. Jego zazdrość jest śmieszna, nie ma do niej podstaw, mimo to czuje ból. Ból trudny do zniesienia.

– Witaj, André.

Maria Curie staje obok i opiera się o mur z plamami mchu. Patrzy przed siebie, a mężczyzna przygląda się jej profilowi. – Byłeś u mnie?

– Tak. Jednak mam szczęście.

Kobieta chciałaby wytłumaczyć przyjacielowi, kim dla niej jest, ale zdaje sobie sprawę, że byłyby to tylko słowa. Dla niego prawdę obrazuje jej zachowanie. Czuje się bezradna; André jest przecież kimś więcej niż mężczyzną, którego tylekroć publicznie poniżyła. Przechodząc od wspomnienia do wspomnienia, nie może uwierzyć, że była zdolna do takiego okrucieństwa i lekceważenia. Kocha

Debierne'a, zdaje sobie jednak sprawę, że nie może mu tego wyznać. André poczułby się jak żaloszny wróbel w garści, a na to nie zasłużył. Uczona zgadza się więc milcząco na taką formę znajomości, jaką przyjaciel ustali.

– Napijemy się herbaty?

– Innym razem, Marie.

Maria uśmiecha się, kładąc dłonie na piersi mężczyzny. Przez cienką rękawiczkę czuje szorstki materiał jego jesionki. André odpowiada uśmiechem na uśmiech, widać jednak, że nie poddaje się jej urokowi. Oczy kobiety przypominają szarą toń Jeziora Genewskiego.

– Nie było cię podczas uroczystej kolacji w Genewie.

Maria odsuwa się gwałtownie, jakby przyłapano ją na kradzieży. Rumieniec rozlewa się na jej twarzy. Jest zachwycająca. André uwielbia jej wiotkość; większość sukni luźno opływa jej kibić, zamiast ją opinać. I te włosy – nawet najstaranniej ułożone i tak po kilku godzinach zaczęły się wymykać spod szpilek.

Przyjaciele patrzą sobie w oczy, ale w tym spojrzeniu nie ma sympatii. Kiedy go straciła? Niemożliwe, by tam był. Madame Curie nie musi się tłumaczyć z tego, jak spędza wolny czas, niemniej jednak nie może sobie pozwolić na opryskliwość wobec Debierne'a. W pewnym sensie jest od niego zależna. Budzi to jej protest, ale przypomina sobie słowa Bronisławy, która mawia, że wyłącznie ludzie niedojrzali uważają, iż mogą żyć bez zobowiązań.

– Zapewne miałam migrenę.

– Na pewno – odpowiada André. Całuje Marię w skroń i odchodzi.

Przez chwilę madame Curie ma wrażenie, że widzi Piotra. Czuje napływające do oczu łzy. Nie rozumie, co się dzieje, dlaczego jedynymi ludźmi, którzy jej nie opuszczają, są dziennikarskie hieny wystające na rogu ulicy, przy której mieszka.

Maria stoi zamyślona i nagle uświadamia sobie, że dysponuje stypendiami dla młodych ludzi z całego świata. Ma na swoim koncie nagrody i wyróżnienia, które otrzymała już po śmierci męża, a to znaczy, że jest samodzielnym wybitnym naukowcem. Uśmiecha się z ulgą. Wie, że poradzi sobie z wszelkimi przeciwnościami losu.

Unosi dumnie głowę i rusza za André. Jest pewna, że poszedł do laboratorium. Co innego robią ludzie ich pokroju? Zapomina o siatce z zakupami, którą położyła przy kamiennym murku.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Paryż, 3 listopada 1912

Madame Curie z lekkim sercem opuszcza Instytut Pasteura. Ostatnimi czasy rzadko towarzyszyło jej podobne uczucie ulgi. Uświadomiła sobie, jak bardzo zmieniła się jej pozycja w świecie nauki. Środowisko liczy się z jej opinią, mało tego, ludzie jej nadskakują. To niebywałe. Gdziekolwiek się pojawia, jest w centrum zainteresowania. Ma cichą satysfakcję, ale czuje też żal, że Piotr tego nie dożył. Uśmiecha się na myśl, że męża ominęła biurokratyczna mordęga związana z budową instytutu jego imienia. Nienawidził papierologii; niestety, bez ton zapisanego papieru świat nie istnieje, a tym bardziej się nie rozwija.

– Miałem rację, że sfinansują?!

Maria odwraca się gwałtownie, słysząc głośny śmiech. Na schody wbiega Einstein. Jest w rozpiętym płaszczu sięgającym niemal do ziemi. Szalik powiewa mu na szyi niczym szmata zaczepiona na kołku. Najmniej chyba służy otuleniu szyi.

– Albert?! – wrywa się madame Curie. – Nie spodziewałam się pana tutaj. Co pan robi w Paryżu?

Uczony chwyta jej dłoń i całując, patrzy Marii w oczy. Widać, że jest w doskonałym nastroju, zresztą w przeciwieństwie do niej często się uśmiecha.

– Jestem tylko przejazdem.

Nie chce się przyznać, że zjawił się w Instytucie Pasteura, wiedząc, że ona tu będzie. Spóźnił się, jak widać, ale to go nie wytrąca z równowagi. Idzie obok Marii, nie przestając jej się przyglądać. Z przyjemnością stwierdza, że uczona wygląda o niebo lepiej niż ostatnio. Oczy jej błyszczą. Któryś z fizyków powiedział kiedyś, że uroda Marii obywa się bez tego, co charakteryzuje młodość i, o dziwo, z wiekiem nie traci.

– Szkoda – rzuca madame Curie, przytrzymując kołnierz płaszcza. – No cóż, marzenia rzadko się spełniają – dodaje z westchnieniem.

Profesor nie wie, do czego odnoszą się jej słowa, ale mu to nie przeszkadza. Dawno zauważył, że milczenie im nie ciąży. Stara się nacieszyć obecnością kobiety.

– Chciał pan spotkania bliżej uniwersum – kontynuuje Maria, przypominając ich ostatnią nocną rozmowę. – Czy raczej ja chciałam.

Zaczyna padać śnieg. Płatki osiadają na ich płaszczach i rozpuszczają się na rozwianych włosach Einsteina, który ujmuje madame Curie pod rękę.

– A to akurat jest realne, Marie – informuje z figlarnym uśmiechem, nieświadom, że nikt nie śmie się spoufalać ze sławną Polką, która słynie również

z dystansu, jaki zachowuje wobec ludzi. – Tego lata jadę w Alpy. Proszę jechać ze mną. To chyba wystarczająco blisko uniwersum?

– Jeśli nie będą panu przeszkadzały moje córki... – rzuca Maria.

– W czym, na Boga? Sam biorę synów – mówi wesoło Einstein.

– Niech mi pan przyśle informację, kiedy się wybieracie – prosi madame Curie. – Obiecuję wpisać wyjazd do swojego kalendarza.

– Mówi pani poważnie?!

Mężczyzna przystaje oszołomiony, gdyż nie przeszło mu przez myśl, że Maria przyjmie propozycję. Jest zachwycony.

– Śmiertelnie poważnie. – Maria śmieje się z jego miny.

Profesor rozgląda się wokoło, widząc, że myśli już o czymś, co nie ma związku z rozmową.

– Żałuję, że muszę panią pożegnać – oświadcza. – Pędzę na wykład.

– Spotkajmy się wieczorem – proponuje Maria.

– Pół godziny po wykładzie mam pociąg do Berlina – tłumaczy Einstein. – Jadę na negocjacje. Noszę się z zamiarem przyjęcia tam pracy.

Pożegnawszy ją serdecznym pocałunkiem w policzek, oddala się. Maria bierze głęboki oddech i rusza w przeciwnym kierunku, jak zawsze nieco zdezorientowana po spotkaniu z Albertem. Dziwi się, że ruch uliczny nie zamarł, jak jej się wydawało, tylko ona – w czasie spotkania z profesorem – przestała go dostrzegać.

– Madame Curie! – słyszy czyjś krzyk.

Poznaje głos Einsteina. Ogląda się. Mężczyzna kilkoma susami pokonuje dzielącą ich odległość. Ma dziwny wyraz twarzy.

– Tak? – Maria przystaje.

Albert mruga powiekami; jest zakłopotany, prawą dłonią skubie guzik płaszcza.

– Ja i Mileva... – Urywa. Spogląda na ludzi, którzy ich omijają. Widząc, że nie chce, by ktokolwiek usłyszał to, co ma do powiedzenia. – Nie wiem, jak zacząć...

– Po prostu. – Maria uśmiecha się.

– Mieliśmy córkę – wyznaje profesor. – Mileva urodziła dziec-ko. Nie byliśmy jeszcze małżeństwem.

Maria nie wie, co powiedzieć. Potrzebuje jakichś danych, kontekstu, czegokolwiek, co umożliwi interpretację tego, co usłyszała.

– Bywa... że dziecko umiera – odzywa się po chwili. – To straszna tragedia.

Ona również straciła córkę, ale nie przechodzi jej to przez gardło.

– Nasze dziecko... ono nie umarło – mówi głucho Einstein.

– Nie? – Madame Curie żałuje, że się odezwała. Nie chce usłyszeć nic więcej. Boi się.

– Oddaliśmy ją.

Zapada nieprzyjemna cisza. Śnieg oblepia rzęsy Marii.

– Dlaczego pan mi o tym mówi? – pyta wreszcie.

– Nie wiem. Musiałem. Chciałem... zanim pojedziemy w Alpy... żeby mogła pani zdecydować... czy jestem godny... jechać z panią... dokądkolwiek.

Maria stoi ze spuszczoną głową. Jest ostatnią osobą gotową wydawać pochopne sądy. Informacja przekazana przez Einsteina jest z gatunku tych, które są w stanie wiele zmienić. Śnieg jest prostszy od człowieka; piękniejszy i prostszy. Pada i zachwyca. Ile książek trzeba przeczytać, żeby nie popełniać błędów? Madame Curie czuje wstyd. Dwukrotna noblistka i tak płytkie myśli! Jakby osiągnięcia naukowe musiały iść w parze z mądrością życiową.

– Do zobaczenia. Proszę się odezwać – rzuca na odchodne.

Jest na siebie zła. Zostawiła Einsteina z błaganiem w oczach na środku chodnika. Czekał na odpowiedź. Maria nie czuje się zobowiązana do udzielania odpowiedzi na wszystkie pytania świata.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Paryż, 8 grudnia 1912

Plotki wokół madame Curie, jak to plotki, ucichły i nikt nie wiedział, ile w nich było prawdy.

Maria jest na przyjęciu u Borelów, bawi się nieźle, nie brak jej rozmówców, lecz André zauważa, że jej wesołość jest sztuczna. Jego zresztą także, gdyż nie lubi przebywać w towarzystwie Paula Langevina. Nic go nie obchodzi, że jest genialny, dobry i że bardzo mu przykro, iż skrzywdził Marię. Zdaniem Debierné'a jest dupkiem. Daje mu to odczuć na każdym kroku.

André nie rozmawia z Marią, ponieważ nie życzy sobie, by mówiono, że jest w niej zakochany.

– Moim zdaniem przyszłość świata to inżynieria budowlana – słyszy rozmówcę madame Curie i uśmiecha się, przewidując, jaka będzie jej reakcja.

Przyjęcia u Borelów są wspaniałe. Gromadzą śmietankę towarzyską, wyfiokowane damy i hrabiów we frakach, naukowców i artystów. Nie obowiązują żadne zasady ani określony strój. Każdy ma się czuć swobodnie, bawić dobrze i rozmawiać, o czym chce. Tego dnia wpadł nawet zajęty zwykle Paul Appell. Po niesnaskach z Marią trzyma się od niej z daleka, Paul Langevin również. To spostrzeżenie rozśmiesza Debierné'a. Ilu jeszcze gości Borelów omija Marię szerokim łukiem? Na pewno nie artyści i nie arystokracja; oni od lat ślą jej zaproszenia na uroczystości bardziej i mniej familijne. Madame Curie jest gwiazdą. Każdy chce się ogrzać w blasku jej sławy.

– Pani słyszała, że w Nowym Jorku otwarto Grand Central Terminal, największy na świecie dworzec kolejowy?

André zmienia zdanie i podchodzi do rozmawiających, co Maria przyjmuje z ulgą.

– Cudo, proszę mi wierzyć – przynudza hrabia. – Pod dachem można zmieścić ponad tysiąc wagonów.

– Po co aż tyle? – dziwi się Maria złośliwie. – Chciałby pan, żeby otaczały pana setki ton stali? Czułby się pan dzięki temu silniejszy?

– Nie w tym rzecz, madame Curie. – Hrabia wygina się do tyłu, mierząc uczoną wzrokiem i badając, czy jest przygotowana na porażkę. Kilka minut wcześniej wygłosił pogląd, że fizyka i chemia to przeżytek. Spodziewał się ataku, lecz madame Curie zignorowała jego wypowiedź. – Chodzi o nowoczesność... i konstrukcje, proszę pani.

Słowo „konstrukcje” jest chyba kwintesencją jego podziwu dla rewolucji przemysłowej. Maria spokojnie dopija szampana i uśmiecha się łagodnie. André

wie, że im łagodniej się uśmiecha, tym bardziej bezlitośnie potraktuje rozmówcę.

– Nie ma na świecie konstrukcji bez chemii i fizyki, proszę mi wierzyć – rzuca, odstawiając kieliszek na tacę, którą podsunął służący.

– Do hoteli można się przedostać z dworca tunelami – nie poddaje się hrabia.

Madame Curie macha lekceważąco ręką, mało tego, po chwili kiwa do kogoś, kto znajduje się za plecami rozmówcy.

– Wolalabym chodzić po powierzchni ziemi – kwituje zachwyty hrabiego – podziwiać okolicę. Panowie wybaczą. – Odchodzi, nie tłumacząc nawet, co sprawia, że musi przerwać tak pasjonującą wymianę zdań.

Hrabia marszczy nos, rzuca Debierne'owi szybkie spojrzenie, porusza ramionami, jakby się dopasowywał do ubrania, i skinieniem głowy żegna fizyka. Zauważył, że Maria skierowała się w stronę żony Perrina, ale Langevin ją ubiegł, więc przystanęła. Krew hrabiego zawrzała. Mężczyzna podchodzi do uczonej.

– Wam, Polakom, ciągle źle – mówi jej prosto do ucha.

Maria odsuwa się. Nie nawykła do takiej poufałości. Arystokrata budzi jej obrzydzenie, mimo że wydaje się ideałem – ma nienaganny strój, jest urodziwy, mówi piękną francuszczyzną, jego fryzurze nie można nic zarzucić. Byłby ideałem, gdyby nie wrodzona głupota. Szkoda jej czasu dla kogoś takiego.

– A konkretnie? – pyta, ponieważ zna sztukę konwersacji i wie, że nie wypada przerywać rozmowy; nie dwa razy jednego wieczoru.

Życie nie polega na dogadaniu sobie, tego nauczył ją ojciec. Całe lata upłynęły od czasu, kiedy pobierała nauki, mimo to nadal zachowuje się niczym dobrze wyszkolony pies. Czasem denerwuje się na myśl o tym, ile traci, hołdując konwenansom. Niektórzy ludzie byłiby w szoku, gdyby wiedzieli, że największa skandalistka Francji w głębi duszy jest tak konserwatywna.

– Czytałem, że z więzień zwolniono wielu obywateli narodowości polskiej z okazji obchodów trzechsetlecia dynastii Romanowów. Mimo to wy, Polacy, zignorowaliście obchody.

– Dlaczego mielibyśmy świętować uwolnienie kryminalistów? – rzuca Maria.

Hrabia przewierca ją wzrokiem, kompletnie zszokowany. Słyszał, że jest ostra. W pierwszej chwili, gdy ją poznał, był rozczarowany – stara abnegatka, pomyślał. Teraz jednak zaczyna rozumieć, co się kryje za słowami „złodziejka cudzych mężów”. Maria jest seksowna. Widziałby ją w roli bohaterki powieści markiza de Sade'a, które to dzieło wpadło mu w ręce w jednej z jego wiejskich rezydencji.

Madame Curie nie może się doczekać odpowiedzi. Po chwili rezygnuje ze zjadliwej ironii i wyjaśnia hrabiemu:

– To nie byli kryminaliści. Bolesława Szczęsnego Herbaczewskiego na przykład uwięziono za przedmowę do tomiku wierszy, Antoniego Orłowskiego –

za felieton w piśmie satyrycznym...

– Dziwne, że o każdym przestępcy najbliższe otoczenie mówi zawsze, iż jest niewinny – wchodzi jej w słowo hrabia.

– To więźniowie polityczni.

– Skoro pani tak uważa – mówi hrabia, uśmiechając się drwiąco, i odchodzi, ponieważ teraz już może odejść. On. Nie ona. Sytuacja, kiedy jakaś... parweniuszka, mieniąca się sławną uczoną... jakaś... niewydarzona emancypantka... kwestionuje jego poglądy i porzuca jego towarzystwo, dając do zrozumienia, że ją nudzi, jest nie tylko oburzająca, jest wręcz niewiarygodna. Do tego ta polska buta! Brak mu słów na opisanie arogancji madame Curie.

Hrabia zdaje sobie sprawę, że nie postępuje rozsądnie, co może się źle skończyć, mimo to wraca. Widzi madame Curie w towarzystwie André Debierne'a. Podchodzi. Oboje milkną.

– Pani ignoruje politykę – oświadcza hrabia niemal z satysfakcją. – A przecież od polityki zależy życie nas wszystkich. Jak może ją pani ignorować, twierdząc jednocześnie, że chodzi pani o przysłużenie się ludzkości? Śledzę artykuły prasowe na pani temat... – uprzedza jej ewentualny protest.

– Może należy mniej o mnie czytać, a częściej mnie słuchać? – odparowuje Maria i dodaje złośliwie: – Zapraszam na wykłady.

– Pani zdaniem nauka pozwala wejść na wyższy szczebel rozwoju?

– Owszem, a polityka strąca nas o szczebel niżej – przyznaje madame Curie słodko.

André przygryza wargę, by nie parsknąć śmiechem.

– Skład dynamitu w Baltimore nie wybuchł dlatego, że Nobel wynalazł dynamit – kontynuuje Maria. – Tragedią jest zbrodnicze wykorzystywanie zdobyczy nauki, brak troski o robotników, brak właściwych zabezpieczeń, żądza osiągnięcia jak największych zysków jak najmniejszym kosztem. To polityka, nie nauka, za to odpowiada.

– Uważa pani, madame Curie, że odkrycie radu przez pani męża – hrabia celowo nie wspomina, że również przez nią – będzie dobrodziejstwem dla ludzkości? – Gwałtownym ruchem odrzuca głowę. Jego fryzura przybiera jeszcze ładniejszy kształt. Mężczyzna mruży piwne oczy. – Czy to nie państwo czerpali zyski z prywatnych firm, które zbijały kokosy na przemyśle radowym? – syczy. – Wciąż pani wierzy, że da się wykorzystać narzędzie mordy do niesienia pomocy chorym? Przecież pani wie, że rad zabija.

Marii brak tchu. Debierne po raz pierwszy obawia się, że przyjaciółka świadomie wywoła skandal. Nie ma wątpliwości, że słowa hrabiego ją zabolowały. Zniosłaby to, lecz obraził Piotra. Nieważne, że hrabia to idiota i ignorant. Maria dyszy żądzą zemsty.

– Kochani, bawmy się! – rzuca głośno André, celowo zwracając na siebie

uwagę. Chce, by do nich podchodzono, co zapobiegnie kontynuacji pozbawionej sensu wymiany zdań pomiędzy hrabią a Marią. – Zbyt wiele nieszczęść wokół, byśmy sami ich sobie dokładali. Mówimy wyłącznie o tragediach, a przecież jest tyle wspaniałości. Podobno kiedy Claude Debussy usłyszał, że córka i syn Isadory Duncan zginęli w wypadku samochodowym, udał się do jej studia i milcząc, towarzyszył w żałobie. A potem usiadł do pianina. Improwizował. Ci, którzy to słyszeli, twierdzą, że genialnie. Muzyczne katharsis, proszę państwa. Ciarki im przechodziły po plecach.

– Hop, hop, proszę o uwagę! – przerywa Debiejne'owi -Jean Perrin. Kilkakrotnie stuka łyżeczką w kryształowy kieliszek i czeka, aż towarzystwo ucichnie. Oczy zebranych zwracają się wreszcie w jego stronę, choć niektórzy nie przerywają rozmów. – Chciałbym coś obwieścić.

Marguerite Borel najwyraźniej wie, o czym będzie mówił. Daje znaki, by zakończono rozmowy.

– Szanowni państwo, grupa wybitnych francuskich uczonych, za jakich się oczywiście uważamy ja i moi przyjaciele – Perrin śmieje się razem z innymi – doszła do wniosku, że nasze zdolne, przeurocze dzieci są w prawdziwym niebezpieczeństwie. Jak twierdzi madame Curie, lepiej je pozabijać, niż posłać do francuskich szkół.

Wybuchą rwetes. Słowa Marii robią furorę, powszechnie wiadomo bowiem, że francuskie szkolnictwo na poziomie podstawowym i średnim jest fatalne i wymaga głębokich reform.

– Lepiej je potopić! Tak mówiłam! – prostuje Maria, wywołując jeszcze większy śmiech.

– Lepiej je potopić – zgadza się Perrin. – Dlatego pragnę obwieścić, że postanowiliśmy otworzyć szkółkę, w której nasze dzieci zapoznają się z naukami przyrodniczymi, literaturą i malarstwem.

Rozbrzmiewają oklaski. Perrin kłania się, błaznując. Wyciąga dłoń do Marii. Uczona z radością podaje mu rękę i podchodzi bliżej.

– Także z rzeźbą – mówi.

– Właśnie, z rzeźbą. Będę miał zaszczyt uczyć nasze pociechy chemii – informuje Jean. – Władze Sorbony zgodziły się udostępnić nam laboratoria. Matematykę wykladać będzie Paul Langevin. Moja wspaniała małżonka i pani Chavannes zapoznają dzieci z literaturą i historią, z przyrodą zaś profesor Mouton.

– Rzeźbą zajmie się Margou. – Maria wskazuje artystę i dziękuje mu ruchem głowy.

– Tak właśnie – kontynuuje Perrin. – No i fizyka. Fizyki uczyć będzie dwukrotna noblistka Marie Curie-Skłodowska.

Zebrani reagują owacją.

– To wspaniała inicjatywa – przyznaje André kilka minut później, kiedy

towarzystwo powraca do zabawy i dyskusji. – Nie wydaje ci się jednak, że dziewczynkom lepiej by zrobiły lekcje dobrego wychowania?

– O co ci znów chodzi, André? – Maria traci humor.

Ponuractwo Debierne'a działa jej na nerwy. Myśli, że powiedzenie tego głośno doprowadziłoby towarzystwo do spazmatycznego śmiechu. Pogodny André nazwany ponurakiem przez największą pesymistkę w Paryżu. Świetny dowcip.

– Są dzięki, Marie, nie umieją się znaleźć w towarzystwie. Ewie jest obojętne, co się o niej mówi, więc szaleje bez umiaru, za to Irena nie chce ci przynieść wstydu i chowa się po kątach. Nie potrafi rozmawiać z ludźmi.

– Nieprawda. – Madame Curie jest przewrażliwiona na punkcie córek. Dotyka włosów, jak zawsze, kiedy jest zmieszana.

– Prawda – nie ustępuje Debierne. – Najgorsze jest to, że nie uczysz jej równowagi. Ty, wielki fizyk... zero czułości, zero gniewu... brak balansu...

– Zwariowałeś? – wyrzywa się Marii.

Co w niego wstąpiło? Naprawdę jest zazdrosny o Paula? Maria dostrzega, że Langevin jest coraz bliżej, uznaje więc, że André ma uczulenie na jej byłego kochanka. Boże najśłodszy, tylko tego brakowało! Nie życzy sobie zakochanych mężczyzn! Koniec!

– Ty zwariowałaś – odpowiada spokojnie Debierne. – Uczysz dziewczynki, że nie wolno okazywać emocji. Ani radości, ani smutku, ani gniewu. Gówno prawda, Marie.

– André! – fuka Maria, kompletnie bezsilna.

Zamierza dyskutować o jej braku talentów wychowawczych podczas przyjęcia u Borelów? Co się z nim, u licha, dzieje? Maria znów nerwowo poprawia fryzurę, od lat niemal identyczną.

– Irena wdała się w ojca – tłumaczy Debierne. – Jest dzikuską i być może nie ma o co kruszyć kopii, ale Ewa to żywe, błyskotliwe dziecko. Spójrz na nią; wygląda lepiej niż ty z Ireną razem wzięte. Ma dopiero dziewięć lat, a potrafi zmusić opiekunkę do kupna pięknej sukni. Oczywiście nie zauważyłaś, że ona jedna z waszej trójki świetnie zna się na modzie.

– To dziecko, André.

– Dziecko z własnym zdaniem – nie poddaje się Debierne.

Maria patrzy na niego, próbując dociec, do czego zmierza.

– Przyjrzyj się jej – mówi mężczyzna. – To nie jest twoja kopia, Marie. To taki żart losu, rodzinna dywersantka. Ewa wyrasta na bywalczynię salonów. Jej nie odpowiada śmiertelna cisza domu. Nudzi się z wami. Ją też powinnaś kochać, zdajesz sobie z tego sprawę? Zadbać o jej potrzeby. Nie każdy pragnie być uczniem.

– Zwariowałeś – szeptem Maria.

– Bardzo dobrze. Któreś z nas, do cholery, musi być szalone.

Madame Curie oddycha z ulgą. André znów jest sobą. Oczy ma wesołe, zamasyście gestykuje.

– Każde dziecko jest indywidualnością – próbuje ją przekonać do czegoś, w co Maria wierzy od lat. – Nie możesz ich urabiać na swoją modłę, bo efekty będą oplakane. Weźmy na przykład ciche dni w twoim wydaniu.

– Co to znaczy?

Debierne nie ma prawa o tym wiedzieć! Ktoś mu doniósł. Irena? Ewa? Czy Kamieńska?

– Za karę nie odzywasz się do dziewczynek. – André unosi brew, robiąc minę pokerzysty. Wie, że wygrał. – Przyszły do mnie po radę, ponieważ było im przykro – zawiesza głos – przykro, że tak przeżywasz awanturę, którą im zrobiłaś.

Rechot Debierne'a uświadamia Marii, że przyjaciel nabija się z tego, iż ona bardziej się denerwuje, ganiąc córki, niż córki, słuchając jej wyrzutów. Z cichymi dniami dziewczynki też sobie radzą, za to Maria wręcz przeciwnie. Słowem, kary, jakie im wymierza, są żałosne i chybione.

– Nienawidzę cię – szepce do przyjaciela.

Chwilę potem przyłącza się do jego śmiechu. Potrzebuje go, by żyć. Śmiechu czy André?

Nagle tuż obok pojawia się Paul Langevin. Jest ciekaw, dlaczego współpracownik Marii nie opuszcza jej przez całe przyjęcie i co ich tak śmieszy. Czyżby wreszcie postawił na swoim ten, który dotychczas tylko wodził za szefową maślanymi oczyma? Mężczyzna często jest zazdrosny o kobietę, z którą nie zamierza się wiązać. Tak właśnie jest w przypadku Paula. Irytuje go wesołość bylejk kochanki, ponieważ nie wie, co ją wywołuje, i nie rozumie, jakim cudem kobieta ma chęć do zabawy, kiedy jego już przy niej nie ma. Przecież za nim szaleje.

– Co was tak rozbawiło?

– Nasze małe tajemnice – ubiega Debierne'a madame Curie.

– Macie jakieś tajemnice? – Paul spogląda to na jedno, to na drugie. Obdarza ich przy tym protekcyjnym uśmiechem rodzica pewnego swoich racji. – Mógłbym je poznać?

– Wtedy przestaną być tajemnicami – odpowiada Maria.

Debierne całuje jej dłoń i odchodzi. Nie chce być świadkiem tego, jak kobieta ulega Langevinowi. Myli się jednak. Tym razem Maria nie zamierza się poddawać. Jej tęsknota za Paulem przekroczyła granicę, poza którą są dwie drogi: albo człowiek się z niej wyleczy, albo zginie.

– Podobno grupa Polaków zaproponowała, żebyś wróciła do kraju.

– Owszem. Odwiedzili mnie rodacy z laureatem literackiej Nagrody Nobla na czele.

Madame Curie śledzi wzrokiem André Debierne'a. Młoda malarka, protegowana Marguerite Borel, czaruje go jakąś opowieścią. Ubrana jest w luźne

jedwabne szarawary. Mówiąc, delikatnymi dłońmi tnie powietrze z wdziękiem baletnicy. Jest piękna. Jej naturalną urodę podbija makijaż, na który Maria nigdy by sobie nie pozwoliła.

– No proszę – kpi dobrotliwie Paul. – Zabiegają o ciebie, Marie. Pojedziesz?

– Nie. A chciałbyś?

– Jak możesz tak mówić?

– Wybacz, bywam złośliwa.

Maria zdaje sobie sprawę, że Paul zawsze wpędzał ją w kompleksy. Niby nie kwestionował jej sukcesów, możliwości i kariery, ale mówił o jej samodzielności w sposób deprecjonujący i protekcyjny. Nie chce być niemiła, ale nie potrafi wybaczyć, że w nią nie wierzył. Najgorsze, że to nie wynika ze złego charakteru Paula, lecz z ignorancji i męskiego szowinizmu. Kochał ją na swój sposób, na pewno jednak nie kochał w niej wielkiego fizyka.

– Nieprawda – mówi Langevin. – Byłaś delikatna; nikogo nie chciałaś ranić.

Maria wie, że Paulowi nie podoba się jej szczerość. Wolał, gdy go wielbiła. Nie ma mu tego za złe, niemniej jednak jest jej trudno okazywać mu sympatię. Ma pretensje – że widuje się go z inną, że zrezygnował z niej bez walki, że nie zauważył, że... umierała?

Zastanawia się, jak to możliwe, że po kilku miesiącach miłość, która była sensem życia, odchodzi w przeszłość i trudno uwierzyć, że się tak kochało. Czyżby kochała samo uczucie? Maria musi rozumieć. Dopóki czegoś nie zrozumie, dopóty nie przestaje o tym myśleć. Patrzy więc na Paula. Nigdy jej nie akceptował i nie szukał do niej klucza. Smutne. Madame Curie ma ochotę wyjść z przyjęcia, ale obiecała André, że pozwoli odwiedzić się do domu, a przyjaciel jest w swoim żywiole; bawi się doskonale, bawiąc przy tym innych. Maria zazdrości mu prostoty i popularności.

– Ludzie się zmieniają, Paul – mówi do Langevina.

– Jesteś dla mnie bardzo ważna.

– To miłe.

Powiedziawszy to, madame Curie odchodzi w przeciwległy koniec salonu, gdzie czeka na nią zaniepokojona Marguerite Borel.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Alpy Francuskie, 25 czerwca 1913

Maria od dawna nie czuła się tak zrelaksowana. Obudziła się z lekkim bólem głowy, który na szczęście minął, zanim oprzytomniała, i zszedłszy do restauracji, wypila gorącą herbatę.

Teraz wraca szybko do dziewczynek, choć ma pewność, że Irena jest wystarczająco dojrzała, by zapanować nad ewentualnym napadem lęku Ewuni. Dyżuruje też przy nich opiekunka.

Pomysł, by jechać w Alpy z Einsteinem, był jedną z najtrafniejszych decyzji, jakie Maria ostatnio podjęła. Trochę obawiała się małżeńskich waśni pomiędzy Albertem i Milewą, mimo to warto było wyrzec się pracy na jakiś czas. Piotr twierdził, że kto chce żyć pracą naukową, ten musi dbać o kondycję. Uwielbiali rowerowe wycieczki poza Paryż.

Maria postanawia, że to będzie wspaniały dzień; żadnego zrzędzenia, żadnych wspomnień i tęsknoty za tym, co odeszło. Przerywa więc rozmyślania o ćwiczeniach fizycznych, które wymuszał na niej najpierw ojciec, a potem mąż.

Okazuje się, że córki już wstały. Irena pilnuje toalety Ewy, więc Maria, wbrew postanowieniu, że nie da się przeszłości, wraca myślą do lat spędzonych z teściem. Dziwne to były lata. Ojciec Piotra już samą swoją obecnością czynił jej życie łatwiejszym do zniesienia. Był wyrozumiały, mądry i kompletnie pozbawiony zahamowań, które wynikają z hołdowania konwenansom. Poświęcił się niesieniu pomocy ludziom, a gdy przeszedł na emeryturę – opiece nad wnuczkami. Nie przestał być lekarzem, za to przybyła mu kolejna rozwijająca rola. Bliskość dzieci na wiele lat uchroniła go przed starczym skostnieniem. Nie tylko dziewczynki go uwielbiały, Maria również za nim przepadała. Zdarzało się, że wieczorami siadywali razem przy kominku i milczeli. Czasem pytała go o radę. Ostatnie lata życia były dla doktora Curie koszmarem. Zmagał się z ciężkim schorzeniem, które, spotęgowane przez starość, uczyniło go zrzędlwym, niezdolnym mężczyzną. Zarówno Maria, jak Irena pokornie i bez słowa skargi znosiły jego utyskiwania – do ostatniego tchnienia Eugène'a, które było ciche i rozdzierające.

Teść był ostatnią nicią łączącą Marię z Piotrem. Dopiero kiedy umarł, poczuła, że straciła wszystko, co kochała. Wstydziała się, że tak myśli. To było niesprawiedliwe w stosunku do córek. Wiedziała jednak, że rozpadło się coś bezcennego; coś, czego nigdy nie odzyska.

Pytanie Ireny, czy wychodzą, wyrzywa Marię ze wspomnień. Jak to jest, że gdy źle się dzieje, to człowiek cierpi, a gdy cierpienie się kończy, pragnie wrócić

do tego czasu? Choroba doktora Curie odzierała go z godności i ciążyła wszystkim domownikom, a jednak kiedy umarł, wydało się Marii, że wolałaby sto lat jego narzekania od tej ciszy, jaka nastąpiła po jego śmierci.

Panie Curie schodzą do holu, gdzie czeka na nie Albert Einstein ze starszym synem. Mężczyzna energicznym ruchem wskazuje główne wyjście z hotelu. Maria rozgląda się, szukając wzrokiem Milevy.

– Nie zaczekamy na pańską żonę? – pyta.

Einstein lekceważąco macha ręką. Przytrzymuje drzwi, czekając, aż panie opuszczą budynek.

– Nigdy w życiu – mruczy – bo gotowa się do nas przyłączyć.

– Jest pan niemożliwy – kwituje uczona, myśląc, że da się racjonalnie wytłumaczyć chwilową nieobecność Milevy.

Jest przekonana, że chwilową. Nie po to planowali wspólne wakacje i przyjechali wszyscy pod granicę ze Szwajcarią, żeby teraz się okazało, że skorzystają z tego tylko Albert i ona. Dzieci nie bierze pod uwagę. Jej zdaniem są w wieku, kiedy się cieszy urokami życia bez konieczności uczestniczenia w procesie podejmowania decyzji, co oznacza, że jest się szczęściarzem. Mimo pewnych ograniczeń. Pamięta swoje szalone roczne wakacje. Były niekończącą się zabawą. Dziecinadą. To nie było prawdziwe życie.

– Za to mnie pani uwielbia – rzuca Einstein w odpowiedzi na komentarz Marii. – Co za cudowny poranek. Mileva źle się czuje, nie będziemy więc musieli patrzeć na jej zboląłą minę.

– Jak pan może?!

Albert upewnia się, że dzieci i panna Manley, opiekunka dziewczynek, a w czasie wycieczki także jego syna, stoją w bezpiecznej odległości i rozmawiają.

– Byle nie przy małym – mówi ze źle skrywanym zniecierpliwieniem. – Matka to zawsze matka, mógłbym go urazić.

Profesor stara się postępować inaczej niż jego żona, która ma przykry zwyczaj prowadzenia niemiłych rozmów w obecności dzieci. Jest zadowolony, że przez najbliższe godziny nie będzie musiał patrzeć na jej naburmuszoną twarz.

– Kłamałem – przyznaje niespodziewanie, choć Maria z zasady nie wierzy w jego opowieści. – Eduard źle się czuje. Mileva musi się nim zająć, co jest nam obojgu bardzo na rękę. Wstyd się przyznać, ale z trudem się dogadujemy. Jesteśmy w trakcie rozwodu i, jak wszyscy ludzie przeżywający traumę, wykonujemy wiele niepotrzebnych ruchów, licząc, że stanie się cud i wrócimy do siebie. Psychicznie oczywiście.

Maria milczy. Cudze problemy zawsze ją wprawiają w zakłopotanie.

– Jakie mamy plany na dziś? – odzywa się po chwili, oblewając się rumieńcem.

Einsteinowi nie zależy na roztrząsaniu problemów małżeńskich, więc chętnie

zmienia temat. Zerka z uśmiechem na towarzyszkę.

- Słyszałem, że zawsze jest pani przewodniczką stada – drwi bezwstydnie.
- Kpiarz z pana.
- Gdzie idziemy?

Maszerują szerokim wydeptanym szlakiem w stronę Jeziora Genewskiego, które chcą pokazać dzieciom. Niebo jest pogodne, powietrze jeszcze rześkie i chłodnawe. Maria ma na sobie jasną suknię, której dół jest tak szeroki, że nie krępuje ruchów. Materiał w ciemne groszki, wybrany przez uczoną, która preferuje czarne jednolite stroje, wydaje się Einsteinowi dość frywolny. Od razu czuje się swobodnie.

- Może przejdziemy przez granicę ze Szwajcarią i odwiedzimy pani rodzinę?
- proponuje.

Maria nie patrzy w jego stronę. Skupia się na pokonaniu podejścia.

- Odwiedzimy Dłuskich, bez obawy – odpowiada.

Już dawno ustalili, że wpadną na dwa dni do Szwajcarii, gdzie spędzają wakacje Bronka i Kazimierz Dłuscy. Na razie Maria chce odpocząć, zrelaksować się na łonie natury, nabrać energii i ochoty na kontakty z ludźmi. Przygląda się Hansowi Albertowi. Chłopak ma nadwagę, ale i niespożytą wprost energię. Bez przerwy go słyhać. Zabawia jej córki swoim koślawym francuskim i angielskim na przemian. Niewątpliwie odziedziczył po ojcu inteligencję i poczucie humoru, rozmowa z dziewczynkami toczy się więc wartko. Raz po raz słyhać salwy śmiechu.

- Najpierw dojdźmy do Jeziora Genewskiego. Po drodze odpytam pana z nazw szczytów górskich.

- A dlaczego? Jakim prawem? – oburza się Albert.
- Bo jest pan Szwajcarem.
- Ale nie geografem – protestuje profesor.
- Bez uników, panie Einstein. Albo jest pan geniuszem, albo nie.

Dzieci znowu wybuchają śmiechem. Usłyszały słowa Marii i są ciekawe, czy profesor poradzi sobie z wyzwaniem. Panna Manley nie spuszcza ich z oka. Widać, że jest zadowolona. Gryzie zerwaną trawkę, uśmiechając się do siebie. Praca u madame Curie nie jest męcząca. Trzeba dbać o posiłki dziewcząt, ich kondycję i wszechstronną konwersację po angielsku. Tyle co nic, gdy się porówna z pracą w innych domach.

- Lubi pani góry, prawda?

Albert dotyka pleców Marii, asekurowając ją podczas wspinaczki. Komu innemu dałaby odczuć, że za dużo sobie pozwala, Einstein jednak ma szczególne względy. Dawno przekroczył jej granicę intymności, więc takie drobiazgi nie mają już znaczenia.

- Prawda. Nawet powiedziałabym, że kocham, chociaż nie wiem dlaczego. –

Maria sapie i z kolei teraz ona, stojąc wyżej, pomaga profesorowi we wspinaczce, ciągnąc go za rękę. – Mam sporo złych wspomnień, które się wiążą z górami.

– E, to dziecinne łączyć złe wspomnienia z krajobrazem – stwierdza Albert.

Idzie nieostrożnie, czasem jest na granicy bezpieczeństwa, dlatego Maria co chwilę wyciąga rękę, gotowa chwycić go za koszulę, gdyby się pośliznął, jakby to mogło pomóc.

– Owszem – zgadza się. – Dlatego staram się nie wspominać. Uwielbiam Tatry i często je odwiedzam. Moja siostra ma tam sanatorium dla gruźlików.

Einstein kiwa głową z uznaniem. Nigdy się nie zastanawiał, kim jest rodzeństwo Marii, uważał jednak, że musi zajmować eksponowane stanowiska.

– Zawsze marzyłem o przytulnym domku w Bawarii – mówi zamyślony.

Teraz Maria kiwa głową. Doskonale rozumie takie marzenia. Albert patrzy na jej smukłą sylwetkę. Wszystko w tej kobiecie go zachwyca.

– Sanatorium Dłuskich jest olbrzymie – odzywa się uczona.

– Co dla ciebie znaczy olbrzymie, Marie? – Einstein przystaje, nie kryjąc irytacji. Lubi, gdy rozmówca wyraża się precyzyjnie. Uruchamia wyobraźnię, mając konkretne dane.

– To samo, co dla pana, panie Einstein – drwi madame Curie, ignorując to, że zwrócił się do niej po imieniu. – Dużo pięter, mnóstwo pokoi – stara się oddać ogrom sanatorium Bronki i Kazimierza.

– Ile kroków ma długość budynku?

– Sto. A może dwieście, nie wiem. Sam ich pan zapyta.

– Czyli jadę z tobą na rodzinne spotkanie – stwierdza Albert.

Widać, że to przyjemna perspektywa, bo mężczyzna się uśmiecha. Patrzy w dal. Po chwili schyla się i czemuś przygląda.

– Pod warunkiem, że nie będziesz do mnie mówił na ty – żartuje Maria.

– Nie będę... Marie – szepce Albert, zajęty dziwną, pierzastą rośliną. Zerwał ją właśnie i dokonuje oględzin. – Na której stronie ostatniego artykułu zaczynam pisać o grawitacji? – odpytuje słynącą z genialnej pamięci uczoną, która rzekomo potrafi wysłuchać wykładu, a potem zacytować dowolne pół strony bez pomyłki.

– Na czwartej.

– Skąd wiesz?

Einstein prostuje się zaskoczony. Trafiła. Marszczy nos.

– Czytałam.

Ruszają dalej, spostrzegłszy, że dzieci i panna Manley zniknęli im z oczu. Czas w górach inaczej płynie. Zdawałoby się, że jeszcze przed chwilą Hans Albert mówił o obrazie, który widział w Lozannie. Przedstawiony przez malarza koń w galopie zrobił na nim piorunujące wrażenie. Każdemu o tym opowiada.

Albert zerka w przepaście, zahipnotyzowany pełnym grozy widokiem. Zbliża się do Marii oglądającej storczyk koloru czerwonego burgunda.

– Chciałbym wiedzieć, jak się czuje pasażer spadającej windy – wyznaje. – Skoczmy razem, Marie. – Zdaje sobie sprawę, że palnął głupstwo, gdyż przez twarz kobiety przebiega skurcz. – Co się stało? Obraziłem panią?

– Nie. – Madame Curie przyspiesza kroku, co deprymuje Einsteina. – Tylko to straszne, że propozycja rzucenia się w przepaść jest dla mnie nęcąca.

Albert nie ma wątpliwości, że stało się coś niezwykłego. Maria dopuściła go do sekretu, którym na pewno nie dzieli się na prawo i lewo. Milczy wzruszony.

– Może to i straszne – zaczyna po chwili – ale ja też mieszkam wszystkiego dość. Ogarnia mnie zniecierpliwienie, że nie osiągam celu... nie znajduję prawdy... mijam się z powołaniem.

– Moja siostra Bronka...

– Właścicielka sanatorium w Zakopanem – doprecyzowuje Einstein.

– Jest i całe życie była niesamowita. Skończyła medycynę... trudniejszą pewnie od fizyki. Ma córkę, zadbany dom, jest wspaniałą żoną i matką, pomaga mężowi w prowadzeniu sanatorium, pisze artykuły naukowe, dba o siebie, nadaża za modą. Czasem, gdy o tym myślę, uświadamiam sobie, jak bardzo jestem niedoskonała i przeceniana przez środowisko.

Albert nie zaprzecza, ponieważ wie, że Maria ma rację, jednocześnie jej nie mając.

– Ja cię cenię za to – mówi, końcami palców odgarniając z jej twarzy kilka niesfornych loków – że... że denerwują cię bachory. – Rechocze.

Maria, która w napięciu czekała na jego słowa, pyta poważnie:

– Jestem za mało kobieca?

– Daj spokój, wiesz, że to kompletna bzdura. Geniusz nie ma płci.

Einstein śmieje się, bo lubi płać figle, lubi Marię, lubi iść przed siebie... bez celu i bez planu. Zastanawia się, czy już są przyjaciółmi. Może. Ale nie jest pewny. Może. Ale boi się zapytać. Siwe pasma we włosach kobiety srebrzą się w słońcu.

– Nawet nie zaprzeczasz, że jesteś genialna, tak się przyzwyczaiłaś do komplementów.

Fizyk wyprzedza Marię i zachodzi jej drogę. Twarz kobiety nabrała kolorów. Jakby znów ją widział pośród nieskończonej wody... tylko ona i jej nieobecny uśmiech... smuga spienionej wody za łodzią... szarość jej oczu.

– Zawsze byłaś dla mnie ważna.

Maria odzyskuje ostrość widzenia. Rozchyła usta. Chce coś powiedzieć. Skrzeczenie ptaka gdzieś obok dekoncentruje ją na moment.

– Od pierwszego dnia, gdy cię ujrzałem... Marie.

Czy to możliwe, że spędziła kiedyś z tym dziwakiem jeden z najbardziej magicznych wieczorów w życiu? Urzekła ją zmarszczona tafla wody, w której po horyzont odbijały się ostatnie tego dnia promienie słońca.

Einstein niczego od niej nie oczekiwał; opowiadał, drwił i śmiał się wniebogłosy. Czowała się lekka, cudownie lekka, bo nikt jej nie oceniał, niczego nie musiała, nie miała planów, nie miała marzeń, była tu i teraz. Nie powinna wtedy z nim wypływać. Złamali konwenanse. Ani go znała, ani lubiła. Szanująca się kobieta nie towarzyszy obcemu mężczyźnie, jeśli mają być tylko we dwoje. Nie godzi się zostawać z nim sam na sam. Szanująca się kobieta? Co to za gatunek? Potrzebowała odpoczynku i wolności, i wewnętrznej ciszy... z dala od dziennikarzy i oceniających ją kolegów naukowców... z dala od całego świata. Zrobił to naprawdę? Ujął w dłonie jej twarz? Chciał jej się przyjrzeć? I całował? A potem patrzyli na zadziwiająco spokojne wody jeziora, on zaś objął ją ramieniem, chroniąc przed wieczornym chłodem?

W imię czego walczyła całe życie? Było warto? Zastanawiała się, czy nie znalazłaby szczęścia w Warszawie. Albo na wsi u boku schłopiałego szlachcica. Kochała się kiedyś w urodziwym, inteligentnym Witoldzie Romockim. Rywalizowała o niego ze swoją siostrą Heleną, która opisała to w powieści *Siostry-rywalki*. Może byłaby u jego boku szczęśliwsza?

Patrzy na Einsteina. Jego wesołe oczy błyszczą. Jest Żydem. Mówią, że wybuchnie wojna, której przyczyną będą nacjonalizmy, a Żydzi, naród wybrany... Wybrany? Przez kogo? Polska też się uważała za naród wybrany. I zniknęła z mapy. A może najpierw zniknęła, a potem dorobiono teorię o narodzie wybranym?

Maria siada na suchej trawie pokrywającej zbocze góry. Albert Einstein. Jak mogłaby zapomnieć o kimś takim?

Oddychał pełną piersią, chłonąc życie. Tak jej się zdawało już przed laty.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

Genewa, 7 czerwca 1909

Obchody trzystupięćdziesięciolecia Uniwersytetu w Genewie odbyły się siódmego czerwca tysiąc dziewięćset dziewiątego roku. Zjechała cała śmietanka akademicka Europy. Einstein czuł się wyróżniony. Uwielbiał takie zjazdy, ponieważ pozwalały zadzierzgnąć więzy przyjaźni z dala od obowiązków małżeńskich i rutyny dnia codziennego.

Zatrzymał się nieopodal wejścia do budynku, tam, gdzie znaki wskazywały gościom drogę, i z uwagą obserwował wchodzących, pałac cygaro i uśmiechając się nieco cynicznie.

– Jest problem z oświetleniem. Pospiesz się – usłyszał.

Spojrzał w stronę, z której dobiegł głos. W drzwiach wejściowych stał portier, mężczyzna po czterdziestce, i machał na niego. Uczony rozejrzał się wokoło.

– Do ciebie mówię... tak, do ciebie. Co tak wytrzeszczasz oczy?

– Czym mogę służyć?

Portier z niedowierzaniem pokręcił głową. Oburzało go, że elektryk kopci przed głównym wejściem do szacownej uczelni, i to w tak uroczystym dniu.

– Wysiadło jedno ze świateł na sali.

– I?

Albert podszedł do portiera, nie przestając palić. Zaciągnął się dymem i wypuścił go prosto w twarz nieznanego. Robocze łachy domniemanego elektryka ostro kontrastowały z elegancją ubiorem gości, którzy raz po raz ich mijali. Nawet portier miał na sobie wyczyszczone, idealnie odprasowaną marynarkę. Dzień był upalny. Einstein na gołe stopy włożył dziwaczne, jakby damskie sandały, obuwie kompletnie nie na miejscu w tych okolicznościach.

– Długo mam cię prosić, gamoniu?

– Chętnie bym się przeszedł – mruknął Einstein ze stoickim spokojem – ale czekam na kolegę.

– Jakiego kolegę? Zdaje się, że jesteś w pracy. Nie czas na żarty!

– Pan mnie z kimś pomylił.

Portier przyjrzał mu się z uwagą, dochodząc do wniosku, że przenikliwy, bezczelny wzrok mężczyzny może oznaczać, iż naprawdę nie jest elektrykiem. Zasłonił oczy przed słońcem, lustrując dziwadło palące cygaro.

– Profesor Einstein – mruknął Albert.

Portier zawahał się. Spojrzał na sandały uczonego, potem w jego oczy. Uniósł brew.

– Profe...? Pan wybaczy.

Powiedziawszy to, pospiesznie wycofał się w głąb budynku. Albert rzucił cygaro na ziemię i zgniótł je lewą stopą. Widząc madame Curie, bezwiednie się wyprostował, przyoblekając twarz w najbardziej, jak przypuszczał, idiotyczny uśmiech ze swojego bogatego repertuaru. Kobieta pozdrowiła go skinieniem głowy, uznawszy, że uśmiecha się do niej, i zniknęła za drzwiami. Podobała mu się. Nic go nie podniecało tak, jak intelekt kobiety. Maria Curie była piękna, lecz nie to stanowiło o jej atrakcyjności. Była zaprzeczeniem pospolitości – jej cudowne gęste włosy, mały, zgrabny nos, wielkie oczy o niewinnym spojrzeniu, drobne stopy... w niczym nie przypominała sufrażystki opisywanej w gazetach. Albert dostrzegł ją już w auli podczas przemówienia rektora. Nie sposób było zresztą jej nie zauważyć. Mężczyźni, niezależnie od tego, co o niej myśleli, prześcigali się w uprzejmościach. Była wdową, a to podnosiło jej rynkową wartość, jak zwykł mawiać Einstein w prywatnych rozmowach. Maria Curie była klejnotem wśród fizyków. Przypominała rajskiego ptaka.

Profesor ruszył za nią, nie czekając na kolegów z Berna. Z bliska smukła figura uczonej wydała mu się jeszcze doskonalsza. Miał słabość do pięknych kobiet. Wszelkimi sposobami musiał im udowodnić, że jest godzien uwagi. Tak, był świadom, że w cieple ich spojrzeń odzyskuje wszystkie małpie cechy, to mu jednak nie przywracało rozsądku.

Podczas obiadu w gronie przyjaciół, z dala od eksponowanych miejsc (w końcu był nikim), Albert Einstein wodził rej, dyskretnie obserwując madame Curie. Dyskutowała z ożywieniem, on zaś wprost szalał, opowiadając najbardziej sprośne dowcipy, jakie sobie przypominał. Kilka razy napotkał jej spojrzenie. Zachowywał się tak głośno, że chyba wszyscy go zauważyli.

Wieczorem, niedługo przed zachodem słońca, wymknął się z suto zakrapianej kolacji, zawiedziony, że słynna uczona w niej nie uczestniczy. Jakież było jego zdziwienie, gdy ją spotkał spacerującą nad brzegiem jeziora. Alkohol skutecznie pozbawił go zahamowań, więc z uśmiechem ruszył ku madame Curie.

– Chciałbym się przedstawić – rzekł, słusznie licząc na to, że zapamiętała jego twarz i nie ucieknie z krzykiem, jak zobaczy zasnutę mgiełką oczy – dowód na to, że próbował wielu lokalnych trunków.

Na tle bezkresnego jeziora jej twarz wydała mu się smutna i zmęczona. Nigdy dotąd żadna kobieta nie zrobiła na nim podobnego wrażenia. Cały drżał, niczym w delirium, choć aż tyle przecież nie wypił.

– Tak? – Spojrzała pytająco.

– Albert Einstein – dokonał prezentacji, szczękając zębami. Nagle sandały, które miał na nogach, wydały mu się niestosowne. Celowo bulwersował nimi szacownych, kostycznych profesorów, zdał sobie jednak sprawę, że jej nie chce szokować. – Pani nie musi się przedstawiać – stwierdził, nieświadomie obniżając

głos.

Madame Curie nie spuszczała z niego wzroku. Pod tym spojrzeniem poczuł dziwną, niemal metafizyczną więź z pluskwą leżącą pod mikroskopem.

– Jest pani najjaśniejszą gwiazdą wszystkich konferencji.

Roześmiała się, gdyż mówił głupstwa, ale... sympatyczne głupstwa. Wiedziała, kim jest. Ktoś wspomniał, że się świetnie zapowiada... lepiej niż inni doskonale rokujący naukowcy.

– Co pani myśli o obchodach? – spytał, zrównując się z nią.

Drózkę biegnącą nad brzegiem jeziora oddzielał od niego niski kamienny murek.

– Że marnuję czas – przyznała szczerze – zamiast go poświęcić na aktywny odpoczynek.

Raz po raz poprawiała włosy, które i tak stale rozwiewał wiatr. Było w jej ruchach coś młodzieńczego.

– Aktywny? – zdziwił się Albert. – Uprawia pani sport?

– Jeżdżę na rowerze, chodzę po górach.

– Pływa pani?

– Nie – skłamała.

– To doskonale!

Einstein chwycił ją za rękę, zmuszając do wejścia na schodki. Prowadziły w dół, ku jezioru. Zorientowawszy się, że madame Curie posłusznie za nim idzie, puścił jej dłoń. Podbiegł kilka kroków w stronę miniaturowego pomostu, przy którym kolebały się łodzie.

– Zaraz wracam! – krzyknął.

Maria przystanęła, obserwując biegnącego, potem zaś jego rozmowę z mężczyzną siedzącym na pomoście. Młody fizyk pogrzebał w kieszeniach marynarki. Wręczył coś nieznanemu, zapewne pieniądze, i pomachał do niej. Na migi pokazywał, że stali się właścicielami czerwonej, zgrabnej łodzi.

– Co pan zamierza? – krzyknęła z oddali.

Wiatr szarpał jej suknię. Łopotą głośno.

– Wypływamy, madame Curie! Proszę nie tchórzyc! – odkrzyknął.

– Ale...

– Nie ma żadnego „ale”. Jest pani pod moją opieką.

– Pływa pan?

– Ani trochę, więc na pewno się nie utopimy.

Szła ku niemu jak odurzona. Posłusznie weszła do łodzi, myśląc, że to niebezpieczne i bezdennie głupie.

Kilka godzin później, w drodze powrotnej, Albert wiosłował ku rozświetlonemu miastu pełen planów, marzeń, z sercem wyskakującym z piersi. Madame Curie rozglądała się wokoło. Miała pod sobą przerażającą, czarną otchłań

wody.

– Niech mi pan obieca – zaczęła.

– Wszystko, co zechcesz.

– Niech mi pan obieca, że... że nigdy... nikt się o tym nie dowie. Póki żyję.

– Siedziała w łódce skulona, a jemu się wydało, że jest draniem, i zawstydził się... grubiaństwa, pocałunków i szaleństwa, którym ją zaraził. – Nikt nas sobie nie przedstawił, proszę zapamiętać. Nie znam pana.

– Dlaczego?

– Bo tak będzie lepiej.

Czasem Maria odnosiła wrażenie, że wszelkie wydarzenia, w których uczestniczy, stają się rzeczywistością dopiero w chwili, gdy opowiada o nich najbliższym. A może zamiast żyć, ciągle czekała? Czekwała, żeby opowiedzieć swoje życie, tracąc najcenniejsze chwile teraźniejszości?

KONIEC

Przyjaźń Marii Curie z Albertem Einsteinem trwała do śmierci uczonej w 1934 roku. Do szalonej eskapady po Jeziorze Genewskim, którą wspólnie odbyli, profesor przyznał się dopiero po śmierci madame Curie.

Spis treści

ROZDZIAŁ PIERWSZY ROZDZIAŁ DRUGI ROZDZIAŁ TRZECI ROZDZIAŁ
CZWARTY ROZDZIAŁ PIĄTY ROZDZIAŁ SZÓSTY ROZDZIAŁ SIÓDMY
ROZDZIAŁ ÓSMY ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY ROZDZIAŁ DZIESIĄTY
ROZDZIAŁ JEDENASTY ROZDZIAŁ DWUNASTY ROZDZIAŁ TRZYNASTY
ROZDZIAŁ CZTERNASTY ROZDZIAŁ PIĘTNASTY ROZDZIAŁ
SZESNASTY ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY ROZDZIAŁ OSIEMNASTY
ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ROZDZIAŁ
DWUDZIESTY PIERWSZY ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI ROZDZIAŁ
DWUDZIESTY TRZECI ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY ROZDZIAŁ
DWUDZIESTY PIĄTY ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY ROZDZIAŁ
DWUDZIESTY SIÓDMY ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY ROZDZIAŁ
DWUDZIESTY DZIEWIĄTY ROZDZIAŁ TRZYDZIEŚTY ROZDZIAŁ
TRZYDZIEŚTY PIERWSZY ROZDZIAŁ TRZYDZIEŚTY DRUGI ROZDZIAŁ
TRZYDZIEŚTY TRZECI ROZDZIAŁ TRZYDZIEŚTY CZWARTY ROZDZIAŁ
TRZYDZIEŚTY PIĄTY ROZDZIAŁ TRZYDZIEŚTY SZÓSTY ROZDZIAŁ
TRZYDZIEŚTY SIÓDMY ROZDZIAŁ TRZYDZIEŚTY ÓSMY ROZDZIAŁ
TRZYDZIEŚTY DZIEWIĄTY ROZDZIAŁ CZTERDZIEŚTY ROZDZIAŁ
CZTERDZIEŚTY PIERWSZY ROZDZIAŁ CZTERDZIEŚTY DRUGI
ROZDZIAŁ CZTERDZIEŚTY TRZECI ROZDZIAŁ CZTERDZIEŚTY
CZWARTY ROZDZIAŁ CZTERDZIEŚTY PIĄTY ROZDZIAŁ
CZTERDZIEŚTY SZÓSTY ROZDZIAŁ CZTERDZIEŚTY SIÓDMY
ROZDZIAŁ CZTERDZIEŚTY ÓSMY ROZDZIAŁ CZTERDZIEŚTY
DZIEWIĄTY

